



artefakty

# RAY BRADBURY

KRONIKI MARSJAŃSKIE

CZŁOWIEK ILUSTROWANY  
ZŁOCISTE JABŁKA SŁOŃCA



Ray Bradbury

KRONIKI MARSJAŃSKIE  
CZŁOWIEK ILUSTROWANY  
ZŁOCISTE JABŁKA SŁOŃCA

Przełożyli Paulina Braiter i Paweł Ziemkiewicz

Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2018

Tytuł oryginału: The Martian Chronicles. The Illustrated Man.  
The Golden Apples of the Sun

Copyright © 1950, 1951, 1953 by Ray Bradbury  
Copyright for the Polish translation © 2018 by Wydawnictwo  
MAG

Redakcja:  
Sylwia Sandowska-Dobija, Joanna Figlewska

Korekta:  
Elwira Wyszzyńska, Urszula Okrzeja

Projekt typograficzny, skład i łamanie:  
Tomek Laisar Fruń

Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce:  
Dark Crayon

Nazwa serii: Vanrad

Redaktor serii: Andrzej Miszkurka

ISBN 978-83-66065-53-6

Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG  
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa  
tel./fax 228134743  
e-mail: kurz@mag.com.pl  
www.mag.com.pl

# **Kroniki marsjańskie**

*Dla mojej żony Marguerite  
z miłością.*

- Dobrze jest poczuć na nowo zadziwienie światem - rzekł filozof. - Podróże kosmiczne znów uczyniły dzieci z nas wszystkich.

**styczeń 1999:**

## **RAKIETOWE LATO**

W jednej chwili w Ohio panowała zima, jak zwykle – pozamykane drzwi, zatrzaśnięte okna, bielmo szronu powlekające szyby, dachy obwieszane frędzlami sopli. Dzieci jeździły na nartach, kobiety wędrowały ciężko skutymi lodem ulicami i w swych futrzanych płaszczach przypominały wielkie czarne niedźwiedzie.

I nagle miasteczko ogarnęła fala ciepła. Powódź rozgrzanego powietrza; zupełnie jakby ktoś zostawił otwarte drzwi piekarni. Gorąco pulsowało pomiędzy domami, krzakami i grupkami dzieci. Sople opadły, łamiąc się i topniejąc. Drzwi otworzyły się na oścież. Okna uniosły w górę. Dzieci zrzuciły wełniane ubrania. Kobiety pozbyły się niedźwiedzich kostiumów. Śnieg zniknął, ukazując zielone zeszłoroczne trawniki.

*Rakietowe lato.* Słowa te wędrowały z ust do ust ludzi stojących w otwartych na przestrzał domach. *Rakietowe lato.* Ciepłe pustynne powietrze odmieniało malunki szronu na szybach, niwecząc zimowe dzieła sztuki. Narty i sanki stały się nagle bezużyteczne. Śnieg padający na miasto z chmurnego nieba przemienił się w gorący deszcz, zanim jeszcze dotknął ziemi.

*Rakietowe lato.* Ludzie wychylali się z ociekających wodą werand, obserwując poczerwieniałe niebo.

Rakieta leżała na polu startowym, wydmuchując z siebie różowe chmury ognia i hutniczego gorąca. W mroźny zimowy poranek każdym tchnieniem swych potężnych silników przywoływała lato. Jej dech odmienił klimat i przez krótką chwilę w okolicy zapanował lipiec...

**luty 1999:**

**YLLA**

Ich dom, wsparty na kryształowych filarach, stał na planecie Mars na skraju pustego morza. Co ranka można było ujrzeć panią K, jak jadła złociste owoce wyrastające z krystalicznych ścian albo też sprzątała za pomocą garstki magnetycznego pyłu, który unosząc ze sobą cały brud, ulatywał z gorącym wiatrem. Popołudniami, gdy skamieniałe morze było ciepłe i nieruchome, a drzewa winne tkwiły sztywno na dziedzińcu, podczas gdy odległe maleńkie kościane miasteczko zamykało się w swych murach i nikt nie opuszczał budynków, pan K zasiadał w swoim pokoju, gdzie czytał metalową księgę zapisaną wypukłymi hieroglifami, które muskał dłonią niczym muzyk grający na harfie. Pod jego dotykiem z książki odzywał się głos – miękki, pradawny głos, snujący śpiewnie historie o czasach, gdy morze było pełne rudej piany, a starożytni ludzie toczyli bitwy, zbrojni w chmary metalowych owadów i elektrycznych pajaków.

Pan i pani K mieszkali nad martwym morzem od dwudziestu lat. Ich przodkowie od dziesięciu wieków żyli w tym samym domu, obracającym się w ślad za słońcem niczym wielki kwiat.

Pan i pani K nie byli starzy. Mieli jasną, brązową cerę prawdziwych Marsjan, żółte okrągłe oczy, łagodne melodyjne głosy. Kiedyś lubili malować obrazy chemicznym ogniem, pływać w kanałach w sezonie, gdy drzewa winne wypełniały je zielonymi sokami, i dyskutować do świtu w blasku błękitnych fosforyzujących portretów w pokoju rozmów.

Teraz nie byli już szczęśliwi.

Tego ranka pani K stanęła pomiędzy filarami i słuchała, jak piaski pustyni rozgrzewają się, topią niczym żółty wosk i ściekają za horyzont.

Coś miało się wydarzyć.

Czekała.

Patrzyła w błękitne niebo Marsa, jakby w każdej chwili mogło unieść się w bolesnym skurczu i wypuścić z siebie lśniący cud, który opadnie na piasek.

Nic się nie działo.

Znużona czekaniem, przeszła pomiędzy zamglonymi kolumnami. Z ich rozchylnych szczytów trysnęła drobna mżawka, chłodząc rozpalone powietrze i łagodnie ściekając jej po skórze. W gorące dni przypominało to brodzenie w potoku. Posadzki w domu lśniły od setek chłodnych strumyczków. W dali słyszała męża, który niestrudzenie grał na swej książce. Stare pieśni nigdy nie nudziły jego palców. Pani K pragnęła, aby kiedyś poświęcił jej tyle czasu, co swoim niezwykłym księgom, tuląc ją i pieszcząc niczym maleńką harfę.

Ale nie. Potrząsnęła wyrozumiale głową, niemal niedostrzegalnie wzruszając ramionami. Jej powieki opadły wolno, skrywając złociste oczy. Małżeństwo sprawia, że ludzie, choć nadal młodzi, popadają w rutynę starości.

Wyciągnęła się na fotelu, który bezzwłocznie dopasował się do jej ciała. Mocno zamknęła oczy.

Natychmiast zmorzył ją sen.

Jej brązowe palce zadrżały i uniosły się, chwytając powietrze. Chwilę później usiadła gwałtownie, zdumiona, dysząc głośno.

Rozejrzała się szybko, jakby oczekiwała, że ujrzy kogoś przed sobą. Przeżyła zawód; przestrzeń pomiędzy filarami pozostawała pusta.

W trójkątnych drzwiach pojawił się jej mąż.

- Wołałaś mnie? - spytał z irytacją.
- Nie! - zaprotestowała.
- Zdawało mi się, że słyszę twój krzyk.
- Naprawdę? Prawie już spałam i miałam sen!
- Za dnia? Nieczęsto ci się to zdarza.

Pani K siedziała bez ruchu, jakby ów sen uderzył ją prosto w twarz.

- Jakie to dziwne, jak bardzo dziwne - mamrotała. - Ten sen.
- Ach tak? - Jej mąż najwyraźniej pragnął powrócić do swojej



książki.

– Śnił mi się mężczyzna...

– Mężczyzna?

– Wysoki, sześć stóp i cal.

– To absurdalne; byłby olbrzymem, niezdarnym olbrzymem.

– W jakiś sposób... – usiłowała znaleźć właściwe słowa – wyglądał normalnie. Mimo swojego wzrostu. A jego oczy – och, wiem, pomyślisz pewnie, że to niemądre – jego oczy były niebieskie!

– Niebieskie oczy! Bogowie! – wykrzyknął pan K. – Co przyśni ci się następnym razem? Może jeszcze miał czarne włosy?

– Skąd wiesz? – Była wyraźnie podniecona.

– Wybrałem najmniej prawdopodobny kolor – odparł chłodno.

– Naprawdę były czarne! Miał też bardzo białą skórę... Och! Był naprawdę niezwykły. Ubrany w dziwaczny mundur, zstąpił z nieba i przemówił do mnie grzecznie.

Uśmiechnęła się.

– Z nieba! Też mi bzdura!

– Przybył w metalowej konstrukcji, lśniącej jak słońce – wspominała. Przymknęła oczy, próbując przywołać ulotną wizję.

– Śniłam, że patrzę w niebo, na którym rozbłysła nagle iskra, niczym moneta rzucona w powietrze. Wkrótce plama światła stała się większa i opadła miękko ku ziemi – długa, srebrna i zupełnie obca. W jednej ze srebrzystych ścian otwały się drzwi i wyszedł z nich wysoki mężczyzna.

– Gdybyś ciężiej pracowała, nie miałabyś głupich snów.

– Nawet mi się podobał – odparła, układając się wygodniej. – Nigdy nie posądzałam siebie o tak bogatą wyobraźnię. Czarne włosy, niebieskie oczy i biała skóra! Co za dziwny człowiek, a przecież całkiem przystojny.

– Pobożne życzenia.

– Nie bądź taki. Nie wymyśliłam go specjalnie. Po prostu pojawił się w mojej głowie, kiedy zapadłam w drzemkę. Wszystko to zupełnie nie przypominało snu – było tak niespodziewane i inne. Spojrzał na mnie i powiedział: „Przybywam moim statkiem z trzeciej planety. Nazywam się Nathaniel York...”.

– To idiotyczne imię; nikt takiego nie nosi – zaprotestował mąż.  
– Oczywiście, że idiotyczne, pochodzi przecież ze snu – wyjaśniła cicho. – I rzekł: „To Pierwsza Wyprawa Kosmiczna. W statku jest nas tylko dwóch, ja i mój przyjaciel Bert”.

– Jeszcze jedno głupie imię.

– Powiedział też: „Przybywamy z miasta na Ziemi; tak nazywa się nasza planeta” – ciągnęła dalej pani K. – To jego słowa; Ziemia, takiej nazwy użył. Posługiwał się też obcym językiem. W jakiś sposób zdołałam go zrozumieć. Samym umysłem. Pewnie to telepatia.

Pan K odwrócił się, przystanął jednak na wezwanie żony.

– Yll? – zawołała cicho. – Zastanawiałeś się kiedykolwiek, czy... no cóż, czy na trzeciej planecie naprawdę żyją ludzie?

– Trzecia planeta nie nadaje się do życia – odparł cierpliwie mąż. – Nasi naukowcy stwierdzili, że w jej atmosferze jest stanowczo zbyt wiele tlenu.

– Pomyśl jednak, czyż nie byłoby to fascynujące, gdyby rzeczywiście tam żyli i wyruszyli w przestrzeń jakimś statkiem?

– Naprawdę, Ylla, wiesz, że nie znoszę emocjonalnych wybuchów. Wracaj do pracy.

\* \* \*

Później tego samego dnia, krążąc pomiędzy szemrzącymi deszczowymi filarami, zaczęła śpiewać piosenkę, powtarzając ją raz za razem bez końca.

– Co to za pieśń? – warknął jej mąż, siadając przy ognistym stole.

– Nie wiem. – Uniosła zaskoczona wzrok, z niedowierzaniem zakrywając usta dłonią.

Słońce zachodziło. W gasnącym świetle dom zamykał się niczym olbrzymi kwiat. Między kolumnami świstał wiatr; pośrodku ognistego stołu bulgotała kałuża srebrzystej lawy. Wiatr poruszał rdzawymi włosami kobiety, szepcząc jej cicho do uszu. Stała w milczeniu, zapatrzona w bezkresną, płową dal morskiego dna, jakby przywoływała jakieś wspomnienie. Jej żółte oczy były miękkie i wilgotne.

– Wznies toast, oczu twoich mowa uczucie me zaklina... – zaintonowała cicho, powoli. – Twój pocałunek w szkle zamknięty słodszy mi jest od wina. – Z zamkniętymi oczyma, poruszając delikatnie dłońmi na wietrze, zanuciła melodię.

Pieśń była bardzo piękna.

– Nigdy wcześniej tego nie słyszałem. Sama ją ułożyłaś? – spytał mąż, obserwując ją uważnie.

– Nie. Tak. Naprawdę nie wiem. – Zawahała się, oszołomiona. – Nie mam nawet pojęcia, co to za słowa. Są w innym języku.

– W jakim?

Jak odrętwiała wrzuciła porcję mięsa do bulgoczącej lawy.

– Nie wiem. – Po chwili wyjęła je upieczone i podała mu na talerzu. – Pewnie wymyśliłam to wszystko. To szaleństwo. Nie mam pojęcia dlaczego.

– Nie odpowiedział. Patrzył, jak topiła płaty mięsa w syczącym zbiorniku ognia. Słońce już zaszło. Noc powoli sączyła się do pokoju, pochłaniając kolumny i ich samych niczym ciemne wino oblewające sufit. Ich twarze oświetlał jedynie srebrzysty blask lawy.

Kobieta znów zanuciła dziwną pieśń.

Jej mąż natychmiast zerwał się z krzesła i uniesiony gniewem wypadł z pokoju.

\* \* \*

Później samotnie dokończył kolację.

Kiedy wstał, przeciągnął się, zerknął na nią i ziewnął.

– Może weźmiemy płomieniste ptaki i polecimy do miasta, aby się zabawić?

– Chyba nie mówisz poważnie? Dobrze się czujesz?

– Co w tym takiego dziwnego?

– Od sześciu miesięcy nie oddawaliśmy się rozrywkom.

– Uważam, że to dobry pomysł.

– Cóż za nagła troska? – zdziwiła się.

– Nie mów tak – odparł rozdrażniony. – Chcesz jechać czy nie?

Kobieta spojrzała na bladą pustynię. Dwa białe bliźniacze księżycy już wzeszły. Wokół jej stóp szemrała zimna woda.

Kobieta zadrżała. Jakże pragnęła pozostać tu i siedzieć w pokoju cicho, bez ruchu, póki nie wydarzy się to, na co czekała przez cały dzień. Rzecz nieprawdopodobna, a przecież możliwa. W jej umyśle zadźwięczała zbłąkana nuta.

- Ja...

- Dobrze ci to zrobi - nalegał. - No chodź.

- Jestem zmęczona - odparła. - Może kiedy indziej.

- Masz tu szal. - Podał jej ampułkę. - Od miesiący nigdzie się nie wyprawialiśmy.

- Dwa razy w tygodniu odwiedzasz miasto Xi - przypomniała, nie patrząc na niego.

- W interesach - odrzekł.

- Ach tak? - szepnęła do siebie.

Z ampułki wylał się płyn, błękitna mgiełka, która dygocząc, otuliła jej szyję.

\* \* \*

Ogniste ptaki już czekały, połyskując na gładkim, chłodnym piasku niczym garść rozżarzonych węgli. Biały baldachim, uwiązany do ptaków tysiącem zielonych wstążek, wydymał się na nocnym wietrze, łopocząc cicho.

Ylla ułożyła się na białym łożu, a wówczas posłuszne słowu jej męża ptaki zerwały się z ziemi i niczym stado iskier wzleciały w mroczne niebo. Wstęgi napięły się, pociągając baldachim. Piasek z jękiem umknął w dal. Przeptywali nad niebieskimi wzgórzami, pozostawiając za sobą swój dom, deszczowe filary, kwiaty zamknięte w klatkach, śpiewające księgi, szepczące na posadzkach strumienie. Kobieta nie patrzyła na męża. Słyszała, jak wykrzykiwał coś do ptaków, gdy wznosiły się w górę niby dziesięć tysięcy rozpalonych ognistych drobin, czerwono-żółtych fajerwerków. Smuga ognia frunęła z wiatrem, ciągnąc za sobą biały żagiel, samotny płatek wielkiego kwiatu.

Nie spojrziała nawet na znikające w dole martwe pradawne miasta ani na stare kanały, wypełnione pustką i snami. Lecieli, mijając suche rzeki i jeziora, niczym cień księżycy, płonąca pochodnia.

Ylla spoglądała w niebo.

Jej mąż odezwał się cicho.

Patrzyła w dal.

– Słyszałaś, co powiedziałem?

– Co?

Powoli wypuścił powietrze.

– Mogłabyś uważać.

– Myślałam o czymś.

– Nigdy nie przypuszczałem, że pociąga cię natura, a przecież dziś wyraźnie zapatrzyłaś się w niebo – rzekł.

– Jest bardzo piękne.

– Zastanawiałem się... – oznajmił wolno mąż. – Pomyślałem, że może zadzwonię dziś do Hullego. Chciałbym go uprzedzić, że wybierzemy się w Góry Błękitne i spędzimy tam tydzień czy dwa. Na razie to tylko pomysł, ale...

– Góry Błękitne! – Jej dłoń zacisnęła się na skraju żagla.

– To tylko luźna propozycja.

– Kiedy chcesz jechać? – spytała, dygocząc.

– Może jutro rano? Wiesz, lepiej zacząć od razu i tak dalej – odparł, jak gdyby nigdy nic.

– Ale przecież nie jeździmy tam tak wcześnie w roku!

– Uznałem, że moglibyśmy spróbować. – Uśmiechnął się. – Wyjazd dobrze nam zrobi. Trochę spokoju i ciszy, no wiesz. Nie masz chyba innych planów? Pojedziemy, prawda?

Kobieta odetchnęła, odczekała chwilę, po czym odparła:

– Nie.

– Co takiego?! – Jego krzyk spłoszył ptaki. Żagiel zakołysał się gwałtownie.

– Nie – powtórzyła stanowczo. – Już zdecydowałam. Nie jadę.

Zmierzył ją wzrokiem. Potem już nie rozmawiali. Odwróciła głowę. Ptaki fruwały dalej, dziesięć tysięcy ognistych różdżek unoszonych wiatrem.

\* \* \*

O świcie promienie słońca przenikające przez kryształ kolumn stopiły opar podtrzymujący śpiącą Yllę. Przez całą noc unosiła się

nad podłogą na miękkim pościeliu z mgły wylewającej się ze ścian. Uśpiona, pływająca w nurcie milczącej rzeki niczym łódź niesiona falą przyływu. Teraz słońce wypaliło opar, poziom mgły obniżył się, składając kobietę na brzegu jawy.

Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą męża.

Wyglądał, jakby stał nad nią od paru godzin, obserwując ją. Nie wiedziała dlaczego, nie potrafiła jednak spojrzeć mu prosto w oczy.

- Znów miałaś majaki - oznajmił. - Mówiłaś przez sen i obudziłaś mnie. Naprawdę uważam, że powinnaś pomówić z doktorem.

- Nic mi nie jest.

- Paplałaś jak najęta.

- Naprawdę? - zdumiała się.

W pokoju panował chłód poranka. Gdy tak leżała, czuła, jak wypełnia ją szary brzask.

- Co ci się śniło?

Zastanowiła się przez moment, usiłując sobie przypomnieć.

- Statek. Znów przybył z nieba, wylądował i wyszedł z niego wysoki mężczyzna, który przemówił do mnie, żartując i śmiejąc się. To było bardzo przyjemne.

Pan K dotknął kolumny. Natychmiast wystrzeliły z niej fontanny ciepłej parującej wody, przeganiając chłód. Twarz mężczyzny niczego nie wyrażała.

- A potem - ciągnęła dalej kobieta - ten człowiek o dziwnym imieniu, Nathaniel York, powiedział, że jestem piękna, i... pocałował mnie.

- Ha! - wykrzyknął mąż, gwałtownie odwracając głowę. Jego szczęki zacisnęły się nagle.

- To tylko sen - rzuciła z rozbawieniem.

- Zatrzymaj swoje głupie babskie sny dla siebie!

- Zachowujesz się jak dziecko. - Odchyliła głowę, wsparta na resztkach chemicznego oparu. Po chwili zaśmiała się cicho. - Przypomniałam sobie coś jeszcze z tego snu - wyznała.

- Co to było? Co?! - wykrzyknął.

- Yll, jesteś strasznie zły.

– Powiedz mi! – zażądał. – Nie możesz mieć przede mną sekretów.

Spoglądał na nią z góry z gniewną, zachmurzoną twarzą.

– Nigdy dotąd takim cię nie widziałam – odparła z mieszaniną zdumienia i rozbawienia. – To nic wielkiego. Ten nieznajomy, Nathaniel York, powiedział mi... cóż, powiedział, że zabierze mnie na swój statek i dalej, w niebo, że polecę z nim na jego planetę. To naprawdę śmieszne.

– Ach tak, śmieszne! – krzyknął. – Powinnaś posłuchać samej siebie. Łasiłaś się do niego, rozmawiałaś z nim, śpiewałaś. Och, bogowie, trzeba było siebie słyszeć!

– Yll!

– Kiedy ląduje? Gdzie posadzi swój przeklęty statek?

– Yll, nie podnoś głosu.

– Niech licho porwie mój głos! – Nachylił się nad nią sztywno. – A w twoim śnie – chwycił przegub żony – czyż statek nie wylądował tu, w Zielonej Dolinie? Odpowiedz!

– Ależ tak...

– I to dziś po południu, prawda? – nalegał.

– Owszem, tak mi się zdaje. Ale tylko we śnie!

– No – odepchnął jej rękę – przynajmniej mówisz prawdę. Słyszałem każde słowo, które wypowiedziałaś we śnie. Cały czas wspominałaś dolinę.

Oddychając głośno, wędrował pomiędzy filarami niczym człowiek oślepiiony błyskawicą. Powoli jego oddech wracał do normy. Kobieta patrzyła na niego, jakby oszalała. Wreszcie wstała i podeszła do męża.

– Yll – szepnęła.

– Nic mi nie jest.

– Jesteś chory.

– Nie. – Zmusił znużoną twarz do uśmiechu. – To tylko dziecinada. Wybacz mi, kochana. – Poklepał ją lekko. – Ostatnio zbyt wiele pracowałem. Przepraszam. Chyba położę się na chwilę.

– Byłeś taki podekscytowany.

– Już mi przeszło. Wszystko w porządku. – Wypuścił powietrze.

– Zapomnijmy o tym. Wiesz, wczoraj słyszałem dowcip o Uelu. Zamierzałem ci go powtórzyć. Co powiesz na to, żebyś przyrządziła śniadanie, a ja opowiem dowcip i nie wspomnimy już o tym więcej?

– To był tylko sen.

– Oczywiście. – Mechanicznie pocałował ją w policzek. – Tylko sen.

\* \* \*

W południe gorące słońce stało wysoko na niebie. Wzgórza migotały w jego blasku.

– Nie wybierasz się do miasta? – spytała Ylla.

– Do miasta? – Lekko uniósł brwi.

– Przecież dzisiaj jest dzień, kiedy zawsze jeździsz do miasta. – Poprawiła stojącą na postumencie kwietną klatkę. Kwiaty poruszyły się, otwierając zgłodniałe żółte pyszczki.

Zamknął książkę.

– Nie. Jest za gorąco i zbyt późno.

– Ach tak. – Zostawiwszy klatkę, ruszyła ku drzwiom. – Niedługo wrócę.

– Chwileczkę! Dokąd idziesz?

Odwróciła się już w progu.

– Do Pao. Zaprosiła mnie.

– Dziś?

– Dawno jej nie widziałam. To niedaleko.

– W Zielonej Dolinie, prawda?

– Owszem. Krótki spacer. Pomyślałam, że... – Potok pośpiesznych słów nagle się urwał.

– Przepraszam, naprawdę przepraszam. – Mąż podbiegł do niej i wprowadził ją do środka, niezwykle zakłopotany własnym roztargnieniem. – Wyleciało mi to z głowy. Zaprosiłem na dziś doktora Nlle.

– Doktora Nlle!

Cofnęła się w stronę drzwi.

Chwycił ją za łokieć i pociągnął ku sobie.

– Tak, ale Pao...



- Pao może zaczekać, Ylla. Musimy przyjąć Nllego.
- Tylko na chwilę...
- Nie, Ylla.
- Nie?

Potrząsnął głową.

- Nie. Zresztą Pao wcale nie mieszka tak blisko. Po drugiej stronie Zielonej Doliny, za Wielkim Kanałem, i jeszcze dalej. Zgadza się? Wkrótce będzie bardzo gorąco. A poza tym doktor Nlle ucieszy się na twój widok. I co?

Nie odpowiedziała. Pragnęła wyrwać się i uciec. Krzyczeć na głos. Jednakże usiadła tylko na krześle, powoli wyłamując palce i wpatrując się w nie bez wyrazu, schwytna w pułapkę.

- Ylla? - mruknął. - Będziesz tu, prawda?
- Tak - odparła po długiej chwili. - Będę.
- Przez całe popołudnie?

Jej głos zabrzmiał głucho.

- Przez całe popołudnie.

\* \* \*

Czas mijał, a doktor Nlle się nie pojawił. Mąż Ylli nie był tym specjalnie zdumiony. Późnym popołudniem mruknął coś, podszedł do szafy i wyjął z niej złowrogą broń - długą żółtawą tuleję, zakończoną miechem i spustem. Gdy się odwrócił, zobaczyła, że jego twarz zakrywa wykuta ze srebrzystego metalu beznamiętna maska, którą zakładał zawsze, kiedy pragnął zachować dla siebie swe uczucia; maska przylegała dokładnie do kanciastych policzków, podbródka i czoła. Metal lśnił, a mąż Ylli obracał w dłoniach broń. Strzelba brzęczała nieustannie niczym ogromny owad. Za naciśnięciem spustu wyrzucała z siebie z piskiem roje złocistych pszczoł - straszliwych pszczoł, które wbijały w ofiarę zatrute żądła i padały martwe na piasek niczym garść suchych nasion.

- Dokąd idziesz? - spytała.
- Proszę? - Mężczyzna przyłożył ucho do miecha, zasłuchany w złowieszcze bzyczenie. - Skoro doktor Nlle się spóźnia, nie zamierzam na niego czekać. Wybiorę się na polowanie. Wkrótce

wrócę. Ty jednak zostaniesz tu, prawda? – Srebrzysta maska rozbłysła.

– Tak.

– Powiedz doktorowi, że niedługo się zjawię. To tylko drobne polowanie.

Trójkątne drzwi się zamknęły. Odgłos jego kroków ucichł za wzgórzem.

Odprawiała go wzrokiem, póki nie zniknął wśród płam słonecznego blasku. Następnie podjęła codzienną pracę, rozrzucając magnetyczny pył i zbierając owoce wyrastające z kryształowych ścian. Oddawała się swym zajęciom z energią i zapałem, od czasu do czasu jednak ogarniało ją zubożenie – i nagle uświadamiała sobie, że śpiewa ową dziwną, wpadającą w ucho pieśń i spogląda poprzez kolumny z kryształu w niebo.

Wstrzymywała oddech, stając bez ruchu. Czekwała.

Zbliżało się.

Mogło nastąpić w każdej chwili.

Czuła się zupełnie jak w jeden z tych dni, kiedy słyszymy nadciągającą burzę. Wokół panuje pełna napięcia cisza i nagle ciśnienie zmienia się niepostrzeżenie, w miarę jak burza wędruje nad ziemią wśród podmuchów wiatru, kłębow mgły i cieni. Powietrze napiera nam na uszy, kiedy tak tkwimy zawieszeni w oczekiwaniu na nadejście burzy. Zaczynamy dygotać. Niebo ciemnieje, jego barwa pogłębia się, chmury gęstnieją; góry nabierają odcienia stali. Zamknięte w klatkach kwiaty wydają z siebie słabe ostrzegawcze westchnienia. Czujemy, jak nasze włosy powoli się poruszają. Gdzieś w domu zegar wyśpiewuje cicho: „Czas, czas, czas, czas...” niczym woda skapująca na aksamit.

A potem przychodzi burza. Elektryczny blask, zasłony ciemności pełnej odgłosów czerni opadają na ziemię, zamykając ją na zawsze w swych objęciach.

Tak było i teraz. Zbierało się na burzę, choć niebo pozostało czyste. Lada moment miał błysnąć piorun, choć nie było ani śladu chmur.

Ylla wędrowała po wyczekującym letnim domu. Błyskawica

mogła zajaśnieć w każdej chwili; grom, chmura dymu i cisza, a potem kroki na ścieżce, stukanie do kryształowych drzwi, ona zaś pobiegnie, by otworzyć...

Oszalałaś, Ylla!, upomniała samą siebie. Po co zaprzątasz swój próżny umysł zwariowanymi myślami?

I wówczas to się zdarzyło.

W powietrzu rozeszła się fala gorąca, jakby po niebie przeleciał potężny ogień. Rozległ się wibrujący świst. Na niebie rozbłysła metaliczna isierka.

Ylla krzyknęła na głos.

Przebiegając między filarami, szeroko rozwarła drzwi i spojrzała wprost na wzgórze. Jednakże do tej chwili wszystko już zniknęło.

Zamierzała ruszyć biegiem w dół zbocza, powstrzymała się jednak. Miała tu zostać, nigdzie nie odchodzić. Mąż pogniewałby się, gdyby odeszła, a lekarz przybył z wizytą.

Czekała przy drzwiach, oddychając szybko, wyciągając przed siebie rękę.

Wyteżając wzrok, spoglądała w stronę Zielonej Doliny, nic jednak nie dostrzegła.

Niemądra kobieta. Wróciła do środka. Ty i twoja wyobraźnia, pomyślała. Nic tam nie było, tylko ptak, liść, wiatr, a może ryba w kanale. Usiądź. Odpocznij.

Usiadła.

W dali huknął strzał.

Wyraźny, ostry dźwięk złowieszczej owadziej strzelby.

Całe jej ciało szarpnęło się konwulsyjnie.

Odgłos dochodził z bardzo daleka. Jeden strzał. Błyskawiczny bzyk odległych pszczół. Jeden. A potem drugi, chłodny, dokładny i odległy.

Jej ciało sprężyło się ponownie i z niewiadomych przyczyn skoczyło na równe nogi, krzycząc, krzycząc bez ustanku. Jak opętana przebiegła przez dom i ponownie szeroko otworzyła drzwi.

Echa zamierały w dali.

Ucichły.

Przez pięć minut z poważną twarzą czekała na podwórzu. Wreszcie, stając powoli, ze zwieszoną głową, zaczęła wędrować po pełnych kolumn pomieszczeniach, kładąc dłonie na najróżniejszych przedmiotach. Jej wargi drżały. W końcu usiadła. W pokoju dziennym zapadał zmrok i Ylla przetarła rąbkiem szala bursztynowe szkło.

I wówczas usłyszała dobiegający z dala odgłos kroków po kamykach.

Podniosła się z miejsca, stając pośrodku cichego pokoju. Kieliszek wypadł z jej palców i roztrzaskał się na kawałki.

Tuż przed drzwiami kroki przystanąły.

Czy powinna przemówić? Może wykrzyknąć: „Wejdz, ach, wejdz!”?

Postąpiła parę kroków naprzód.

Czyjaś dłoń przekreśliła zatrask.

Ylla uśmiechnęła się w stronę wejścia.

Drzwi otwały się i uśmiech kobiety zniknął.

To był jej mąż. Srebrna maska lśniła martwym blaskiem. Wszedł do pokoju i przez moment przyglądał się jej, po czym otworzył miech strzelby i wytrząsnął z niego dwie martwe pszczoły, które z płaskim uderzyły o podłogę. Rozdeptał je i umieścił pustą broń w rogu pomieszczenia, podczas gdy Ylla nachyliła się, próbując zebrać odłamki strzaskanego szkła – bez powodzenia.

– Co porabiałeś? – spytała.

– Nic – odparł zwrócony do niej plecami. Powoli zdjął maskę.

– Ale strzelba... Słyszałam, jak strzelałeś. Dwukrotnie.

– Tylko polowałem. Od czasu do czasu lubię to. Czy przyjechał już doktor Nlle?

– Nie.

– Chwileczkę. – Z niesmakiem pstryknął palcami. – Teraz dopiero sobie przypominam. Ma nas odwiedzić jutro po południu. Co za dureń ze mnie.

Usiedli do posiłku. Ylla spojrzała na jedzenie, nie sięgając po nie.

– Co się stało? – spytał, całkowicie zaabsorbowany zanurzaniem mięsa w bulgoczącej lawie.

- Nie wiem. Nie jestem głodna - odparła.

- Czemu?

- Nie mam pojęcia; po prostu nie jestem.

Na dworze zrywał się wiatr; słońce zachodziło. Mały pokój wydał jej się nagle nieprzyjemnie zimny.

- Próbowałam sobie przypomnieć - rzekła w ciszy do siedzącego naprzeciwko chłodnego, sztywnego, złotoookiego męża.

- Przypomnieć sobie? Co? - Pociągnął łyk wina.

- Tę pieśń. Tę piękną wzruszającą pieśń. - Przymknęła oczy i zanuciła melodię, jednakże nie tę, o której wspomniała. - Zapomniałam ją. A to dziwne, bo wcale tego nie chcę. Pragnę na zawsze zapamiętać te słowa. - Poruszyła rękami, jakby rytm mógł jej pomóc przypomnieć sobie zapomniane strofy. Po chwili odchyliła się na krześle. - Nie pamiętam - szepnęła przez łyż.

- Czemu płaczesz? - spytał.

- Nie wiem, nie wiem, ale nie mogę się powstrzymać. Jest mi smutno, nie mam pojęcia dlaczego. Płaczę i nie wiem czemu. Ale nie mogę przestać.

Skryła twarz w dłoniach; jej ramiona unosiły się i opadały.

- Jutro wszystko będzie dobrze - rzekł.

Nie patrzyła na niego. Widziała przed sobą jedynie pustkowie i oślepiająco jasne gwiazdy, rozbłyskujące na czarnym niebie. Z dali dobiegł ją skowyt wiatru i szum zimnych wód w długich kanałach. Dygocząc, zamknęła oczy.

- Tak - powiedziała. - Jutro wszystko będzie dobrze.

**sierpień 1999:**

## **LETNIA NOC**

Na kamiennych galeriach, wśród cieni zalegających zbocza błękitnych wzgórz, zebrały się grupki ludzi. Padały na nich miękkie wieczorne światło gwiazd i jasny blask dwóch księżyców Marsa. Poza marmurowym amfiteatrem w mroku i dali drzemały miasteczka i wille; zbiorniki srebrzystej wody trwały w bezruchu, sieć błyszczących kanałów łączyła horyzonty. Był letni wieczór na spokojnej, umiarkowanej planecie Mars. Na zielonych jak wino kanałach unosiły się łódzie, delikatne niczym brązowe kwiaty. W długich, niekończących się siedzibach, wijących się wśród wzgórz niczym uśpione węże, kochankowie leżeli w chłodnych nocnych łóżach, szepcząc do siebie leniwie. Ostatnie grupki dzieciarni uganiały się po skąpanych w blasku pochodni uliczkach, ściskając w dłoniach złote pająki, które wyrzucały przed siebie zwiewną mgiełkę sieci. Tu i ówdzie na stołach bulgotała srebrzysta lawa i dopiekały się spóźnie kolacje. W amfiteatrach setek miast po nocnej stronie Marsa brązowoskórzy Marsjanie o oczach jak złote monety gromadzili się powoli, skupiając uwagę na stojących na scenach muzykach. Wzruszające melodie rozchodziły się w nieruchomym powietrzu niczym słodka woń kwiatów.

Na jednej ze scen kobieta zaintonowała pieśń.

Widownia zaszemrała.

Kobieta urwała, unosząc dłoń do gardła. Skinęła głową akompaniatorom, którzy podjęli przerwana melodię.

Muzycy grali, a ona śpiewała, i tym razem widownia westchnęła, nachylając się ku nim. Kilku mężczyzn wstało nawet z miejsc. Po plecach zebranych przeszedł zimny dreszcz. Pieśń, którą śpiewała kobieta, była bowiem dziwna, przerażająca i nieznaną. Śpiewaczka usiłowała powstrzymać słowa cisnące się

jej na usta, a brzmiały one tak:

*Idzie w Piękności, jak noc, która kroczy  
W cichym gwiazd gronie przez bezchmurne kraje;  
Co cień i światło w sobie kras jednoczy,  
To w jej obliczu i w jej oczach taje...<sup>1</sup>*

Śpiewaczka przycisnęła dłonie do ust. Rozejrzała się oszołomiona.

- Co to za słowa? – pytali muzycy.
- Co to za pieśń?
- Co za język!

A kiedy ponownie zadęli w złote rogi, wylała się z nich fala obcej muzyki, która powoli spłynęła po amfiteatrze. Słuchacze tymczasem zaczęli wstawać z miejsc, rozmawiając głośno.

- Co się z tobą dzieje? – pytali się nawzajem muzycy.
- Jaką melodię zagrałeś?
- A ty?

Kobieta rozplakała się i uciekła ze sceny, widzowie zaś opuścili amfiteatr. Podobne wypadki zaszły we wszystkich ogarniętych nerwową gorączką miastach Marsa. Dosięgło ich tchnienie chłodu niczym biały śnieg padający z nieba.

W mrocznych uliczkach dzieci śpiewały w blasku pochodni:

*...lecz tak się zdarzyło, w szafce nic nie było,  
I pies musiał obejść się smakiem!*

- Dzieci! – nawoływały głosy. – Co to za wierszyk? Skąd go znacie?

- Właśnie go wymyśliliśmy, ot tak. To tylko słowa, których nie rozumiemy.

Trzaskały drzwi. Ulice opustoszały. Ponad błękitnymi wzgórzami wzeszła zielona gwiazda.

Na całej nocnej półkuli Marsa kochankowie budzili się, słysząc swych najdroższych nucących w ciemności.

---

1 Przeł. Stanisław Egbert Koźmian.

– Co to za melodia?

A w tysiącach willi w środku nocy kobiety zrywały się z krzykiem. Mężowie musieli uspokajać je, osuszać spływające po policzkach łzy.

– No już dobrze, dobrze. Śpij. Co się stało? Miałaś zły sen?

– Rankiem wydarzy się coś strasznego.

– Nic się nie stanie, u nas wszystko dobrze.

Histeryczny szloch.

– To się zbliża coraz bardziej i bardziej!

– Nic się nie wydarzy. Co mogłoby nas spotkać? Śpij już. Śpij.

Nad ranem na Marsie panowała cisza. Świat przypominał czarną chłodną studnię, w wodach kanałów odbijały się gwiazdy, a w pokojach rozbrzmiewały spokojne oddechy. Dzieci kuliły się w łózkach, ściskając w dłoniach pająki, kochankowie spali objęci, księżyc już zaszły; wypalone pochodnie były zimne, kamienne amfiteatry puste.

Jedynym dźwiękiem mącąym spokój przedświtą był głos nocnego stróża, wędrującego w dali samotną ulicą i nucącego w ciemności niezwykłą piosenkę...



**sierpień 1999:**

## **ZIEMIANIE**

Ktokolwiek dobijał się do ich domu, nie miał zamiaru przestać. Pani Ttt gwałtownie otworzyła drzwi.

– Słucham?

– Mówi pani po angielsku? – Stojący przed nią mężczyzna wydawał się zaskoczony.

– Mówię jak mówię – odparła.

– To cudowna angielszczyzna!

Nieznajomy miał na sobie mundur. Towarzyszyło mu trzech innych, wyraźnie podekscytowanych mężczyzn. Uśmiechali się; ich stroje pokrywał kurz.

– Czego chcecie? – spytała pani Ttt.

– Pani jest Marsjanką! – Mężczyzna uśmiechnął się do niej. – Z pewnością to słowo nic dla pani nie znaczy. Pochodzi z języka Ziemian. – Skinął głową w stronę swych towarzyszy. – Przybywamy z Ziemi. Ja jestem kapitan Williams. Niecałą godzinę temu wylądowaliśmy na Marsie. I oto jesteśmy! Druga Wyprawa! Przed nami była Pierwsza Wyprawa, nie wiemy jednak, co się z nią stało. Ale my dotarliśmy tutaj. A pani jest pierwszą Marsjanką, jaką spotkaliśmy!

– Marsjanką? – Jej brwi powędrowały w górę.

– Chcę przez to powiedzieć, że mieszka pani na czwartej planecie od Słońca. Zgadza się?

– To oczywiście – warknęła, mierząc go wzrokiem.

– A my – przycisnął do piersi pulchną różową dłoń – pochodzimy z Ziemi. Zgadza się, chłopcy?

– Tak jest! – zawtórowali mu chórem.

– To jest planeta Tyrr – poinformowała ich – jeśli chcecie użyć właściwej nazwy.

– Tyrr, Tyrr. – Kapitan zaśmiał się ze znużeniem. – Cóż za

piękna nazwa! Ale, moja dobra kobieto, jak to możliwe, że mówi pani po angielsku?

– Ja nie mówię, ja myślę – odparła. – Telepatia! Miłego dnia!  
I zatrzasnęła drzwi.

W chwilę później ów okropny mężczyzna znów zaczął stukać.  
Szarpnęła klamkę.

– Co znowu? – spytała.

Mężczyzna nadal tam stał, oszołomiony, i próbował się uśmiechnąć. Wyciągnął ku niej rękę.

– Chyba pani nie rozumie...

– Czego? – prychnęła.

Spojrzał na nią zdumiony.

– Przybywamy z Ziemi!

– Nie mam czasu – odparła. – Czeka mnie dziś mnóstwo gotowania. Poza tym muszę posprzątać, przeszyć parę rzeczy. Pewnie chcecie zobaczyć się z panem Ttt; jest na górze, w swoim gabinecie.

– Zgoda – odparł Ziemianin, wyraźnie zagubiony. – Chętnie spotkamy się z panem Ttt.

– Jest zajęty. – Znów trzasnęła drzwiami.

Tym razem pukanie zabrzmiało wyjątkowo impertynencko.

– Proszę posłuchać! – krzyknął mężczyzna na jej widok i podskoczył, jakby chciał ją przerazić. – Nie tak traktuje się gości!

– Moja czysta podłoga! – zawołała. – Błoto! Wynocha! Jeśli chcecie wejść do mojego domu, najpierw umyć buty.

Mężczyzna spojrzał z desperacją na swe zabłocone nogi.

– Nie czas na trywialne rozmówki – rzekł. – Powinniśmy raczej świętować.

Przez długą chwilę przyglądał się jej, jakby wzrok mógł sprawić, by zrozumiała znaczenie jego słów.

– Jeśli przez was opadną mi kryształowe bułeczki w piekarniku – rzuciła – zbiję was kawałkiem drewna. – Zajrzała do rozgrzanego piekarnika, po czym wróciła zdyszana, zaczerwieniona. Jej oczy płonęły jaskrawą żółcią, skóra była jasna i brązowa, ruchy smukłej postaci szybkie jak u owada. Głos

brzmiał ostro, metalicznie. – Zaczekajcie tu. Zobaczę, czy pan Ttt zechce was przyjąć. W jakiej sprawie przychodzicie?

Mężczyzna zaklął z ponurą miną, jakby wymierzyła mu cios młotkiem w rękę.

– Proszę mu powtórzyć, że przybywamy z Ziemi i że nigdy wcześniej tego nie dokonano.

– Czego? – Uniosła brązową dłoń. – Nieważne. Zaraz wrócę.

Odeszła. Jeszcze przez chwilę słyszeli tupot jej stóp na kamiennej posadzce.

Na zewnątrz niewiarygodnie niebieskie marsjańskie niebo było gorące i nieruchome niczym ciepły głęboki ocean. Marsjańska pustynia drzemała pod nim jak rozpalony gliniany garnek. Z jej piasku wznosiły się fale rozedrganego powietrza. Na zboczu pobliskiego wzgórza leżała niewielka rakieta. Wyraźne ślady stóp prowadziły od niej aż do drzwi pierwszego domu.

Na górze rozległy się odgłosy kłótni. Mężczyźni czekający za progiem spojrzeli po sobie, przestępując z nogi na nogę, pstrykając palcami i zatykając kciuki za pasy na biodrach. Męski głos wykrzyknął coś gniewnie. Odpowiedział mu głos kobiety. Po jakimś kwadransie znudzeni wyczekiwaniem Ziemianie zaczęli wchodzić i wychodzić kuchennymi drzwiami.

– Papierosa? – zaproponował jeden z nich.

Jego kolega wyjął paczkę. Zapalili, wypuszczając z ust długie smużki bladego dymu. Wyglądali mundury, poprawiali kołnierze. Głosy na górze mamrotały coś, podśpiewywały. Dowódca przybyszów zerknął na zegarek.

– Dwadzieścia pięć minut – rzekł. – Zastanawiam się, co tam robią.

Podszedł do okna i wyjrzał.

– Upalny dzień – zauważył jeden z ludzi.

– Owszem – przytaknął drugi.

Było wczesne leniwe popołudnie. Głosy opadły do szeptu, by po chwili zupełnie zamilknąć. W całym domu nie rozbrzmiewał nawet najśłabszy dźwięk. Mężczyźni słyszeli jedynie własne oddechy.

Minęła godzina.

– Mam nadzieję, że nie spowodowaliśmy żadnych kłopotów.  
Kapitan przeszedł przez kuchnię i zajrzał do salonu.

Pani Ttt była tam; podlewała kwiaty rosnące pośrodku pomieszczenia.

– Wiedziałam, że o czymś zapomniałam – westchnęła na widok kapitana, przechodząc do kuchni. Podała mu skrawek papieru. – Pan Ttt jest zbyt zajęty – oznajmiła, wracając do gotowania. – Zresztą to nie z nim powinniście się zobaczyć, tylko z panem Aaa. Zanieście tę kartkę na następną farmę nad Błękitnym Kanałem. Pan Aaa wyjaśni wam wszystko, co chcecie wiedzieć.

– Nie chcemy niczego wiedzieć – zaprotestował kapitan, wydymając grube wargi. – My już wiemy.

– Macie kartkę, na co jeszcze czekacie? – spytała. Potem nie odezwała się już ani słowem.

– No cóż – powiedział z wahaniem kapitan. Przez chwilę stał, jakby na coś czekał. Wyglądał jak dziecko patrzące na ogołocną z ozdób choinkę. – Cóż, chodźcie, chłopcy.

Czterej mężczyźni wyszli na dwór, w gorący i cichy dzień.

\* \* \*

W pół godziny później pan Aaa, który siedział w bibliotece, sącząc elektryczny ogień z metalowej filiżanki, usłyszał głosy dobiegające z kamiennej grobli. Wychyliwszy się przez okno, ujrzał czterech mężczyzn w mundurach, którzy przyglądali mu się, mrużąc oczy.

– Czy pan nazywa się Aaa?! – zawołali.

– Owszem.

– Pan Ttt przysłał nas do pana! – krzyknął kapitan.

– Niby czemu?! – ryknął pan Aaa.

– Był zajęty!

– To ci nowina. – Głos pana Aaa ociekał sarkazmem. – Czyżby uważał, że nie mam nic lepszego do roboty – niż przyjmować jakichś ludzi, bo on jest zbyt zajęty?

– Nie o to chodzi! – zawołał kapitan.

– Dla mnie o to. Mam mnóstwo zaległych lektur. Pan Ttt zachował się nietaktownie, zresztą już nie pierwszy raz. Niech

pan przestanie machać rękami, póki nie skończę. I proszę słuchać uważnie. Zazwyczaj kiedy mówię, ludzie słuchają, co mam do powiedzenia. Mógłby pan okazać odrobinę uprzejmości.

Czterej mężczyźni na podwórku poruszyli się niespokojnie, otwierając usta. W oczach kapitana błysnęły łzy, na jego skroniach wystąpiły żyły.

– I co – ciągnął dalej pan Aaa – czy według was podobna nieuprzejmość może ujść panu Ttt płazem?

Czterej mężczyźni patrzyli na niego przez zasłonę gorąca. Wreszcie kapitan rzekł:

– Przybywamy z Ziemi!

– To naprawdę okropny brak wychowania – zastanawiał się dalej pan Aaa.

– Rakieta. Przylecieliśmy rakieta. Aż tutaj!

– Ttt już nie pierwszy raz okazuje brak szacunku.

– Całą drogę z Ziemi.

– Na mój rozum zadzwonię do niego i powiem mu, co o tym myślę.

– Tylko nas czterech; ja i ci trzej ludzie, moja załoga.

– Zadzwonię, tak, to właśnie zrobię.

– Ziemia. Rakieta. Ludzie. Podróż. Kosmos.

– Zadzwonię i powiem raz, a dobrze! – krzyknął pan Aaa, po czym zniknął niczym kukielka ze sceny.

Po minucie zabrzmiały podniesione głosy, przekazywane przez jakieś tajemnicze urządzenie. W dole kapitan i jego załoga spoglądali z utęsknieniem na leżącą na zboczu rakieta, jakże uroczą, słodką, znajomą. Pan Aaa gwałtownie uniósł szybę; jego twarz przybrała szalony triumfujący wyraz.

– Wyzwałem go na pojedynek, na bogów! Pojedynek!

– Panie Aaa... – przerwał mu łagodnie kapitan.

– Zastrzelę go, słyszycie?!

– Panie Aaa, chciałbym coś panu powiedzieć. Przebyliśmy sześćdziesiąt milionów mil.

Pan Aaa przyjrzał mu się uważnie.

– Mówił pan, że skąd jesteście?

Kapitan błysnął zębami w uśmiechu, szepcząc cicho do swych

ludzi:

– Nareszcie do czegoś dochodzimy. – Potem zwracając się do pana Aaa, zawołał: – Pokonaliśmy sześćdziesiąt milionów mil. Przybywamy z Ziemi!

Pan Aaa ziewnął.

– O tej porze roku to jedynie pięćdziesiąt milionów mil. – Uniósł złowrogą broń. – No, muszę już iść. Weźcie ten niemądry liścik, choć doprawdy nie wiem, na co może się wam przydać, i idźcie. Po drugiej stronie wzgórza znajdziecie miasteczko Iopr. Opowiedzcie o wszystkim panu Iii. To właśnie z nim powinniście się zobaczyć. Nie z panem Ttt, bo to idiota i zabiję go, i nie ze mną, ponieważ nie mieście się w zakresie moich zawodowych zainteresowań.

– Zawodowych zainteresowań, zawodowych zainteresowań – prychnął kapitan. Czy trzeba uprawiać określony zawód, aby przywitać Ziemiaków?

– Ależ tak, przecież wszyscy o tym wiedzą! – Pan Aaa zbiegł na dół. – Do widzenia! – rzucił, pędząc groblą sztywno niczym cyrkiel.

Czterej podróżni trwali bez ruchu, wstrząśnięci. Wreszcie kapitan odezwał się cicho:

– W końcu znajdziemy kogoś, kto nas wysłucha.

– Może powinniśmy odejść stąd i wrócić jeszcze raz? – zaproponował posępnie jeden z mężczyzn. – Wystartowalibyśmy i wylądowali ponownie. Dzięki temu zyskaliby czas, by zgotować nam właściwe przyjęcie.

– Całkiem niezły pomysł – mruknął kapitan.

Miasteczko było pełne ludzi wchodzących i wychodzących z domów, pozdrawiających się nawzajem; ich twarze zakrywały złote maski, niebieskie maski, szkarłatne maski – wielość barw to taka przyjemna odmiana! – maski o srebrnych wargach i brwiach z brązu, uśmiechnięte bądź marszczące czoło w zależności od nastroju właściciela.

Czterej mężczyźni, spoceni po długim marszu, przystanęli, pytając napotkaną dziewczynkę, gdzie znajdą dom pana Iii.

– Tam. – Mała wskazała głową.

Kapitan, czując nowy przyptyw zapachu, ostrożnie przykucnął, spoglądając prosto w słodką młodą twarz.

– Dziewczyńko, chciałbym z tobą pomówić. – Posadził ją sobie na kolanie, ujmując w wielkie dłonie jej małe brązowe rączki, jakby szykował ją na przyjęcie bajki na dobranoc, którą powoli i cierpliwie komponował w umyśle, napawając się każdym szczegółem.

– Oto, jak się rzeczy mają, moja mała. Sześć miesięcy temu na Marsa przybyła rakietą. Lecieli nią człowiek nazwiskiem York i jego pomocnik. Nie mamy pojęcia, co ich spotkało. Może się rozbili? Przylecieli rakieta, podobnie jak my. Powinnaś ją zobaczyć. To wielki statek. Jesteśmy zatem Drugą Wyprawą, podążającą w ślady Pierwszej, i przebyliśmy całą drogę z Ziemi...

Dziewczynka bez namysłu uwolniła jedną dłoń i nasunęła na twarz pozbawioną wyrazu złotą maskę. Następnie wyjęła zabawkę w kształcie złotego pająka i upuściła ją na ziemię. Kapitan mówił dalej. Pająk wspiął się posłusznie po jej kolanie, podczas gdy ona przyglądała mu się spokojnie przez szpary w beznamiętnej masce. Kapitan potrząsnął nią lekko, zmuszając, by słuchała jego opowieści.

– Jesteśmy Ziemianami – rzekł. – Wierzysz mi?

– Tak. – Dziewczynka spuściła wzrok na palce swych stóp grzebiące w piasku.

– Świetnie. – Uszczypnął ją lekko w ramię; był to gest na poły jowialny, na poły przykry i złośliwy, mający sprawić, aby na niego spojrzała. – Zbudowaliśmy własną rakieta. W to także wierzysz?

Dziewczynka podłubała palcem w nosie.

– Tak.

– Zostaw nos w spokoju, moja panno. Ja jestem kapitanem i...

– I nikt dotąd w dziejach nie pokonał przestrzeni wielką rakieta – wyrecytowała z zamkniętymi oczyma.

– Wspaniale! Skąd wiedziałaś?

– Och, to tylko telepatia. – Nonszalancko podrapała się po kolanie.

– W ogóle cię to nie wzrusza?! – wykrzyknął kapitan. – Nie

cieszysz się?

– Lepiej jak najszybciej zobaczcie się z panem Iii. – Upuściła zabawkę na ziemię. – Pan Iii chętnie z wami pomówi.

Uciekła, złoty pająk zaś posłusznie śmignął za nią.

Kapitan nadal kucął z wyciągniętą ręką, odprowadzając ją wzrokiem. Jego oczy zaszyły mgłą. Spojrzał na swoje puste dłonie i rozwarł bezradnie usta. Pozostali trzej trwali bez ruchu, uwiązani do swych cieni. Kolejno splunęli na kamienną ulicę...

\* \* \*

Pan Iii sam otworzył drzwi. Właśnie wybierał się na wykład, ale jeśli się pośpieszą, znajdzie dla nich minutkę. Może zatem wejdą do środka i powiedzą mu, czego pragną...

– Odrobiny uwagi – oznajmił kapitan, patrząc na niego czerwonymi ze zmęczenia oczami. – Przybywamy z Ziemi, mamy raketę, jest nas czterech – załoga i kapitan, jesteście wyczerpani, głodni i chcielibyśmy się przespać. Pragnęlibyśmy, aby ktoś oddał nam klucze do miasta albo coś w tym guście, żeby ucisnąć nam ręce, mówiąc: „Niech żyją” i „Moje gratulacje, staruszkule!”. To chyba wszystko.

Pan Iii był wysokim, szczupłym, niewyraźnym mężczyzną. Jego żółte oczy lśniły słabo za grubymi błękitnymi kryształami.

Nachylił się nad biurkiem, z namysłem przeglądając papiery. Od czasu do czasu rzucał gościom niezwykle przenikliwie spojrzenie.

– Nie mam chyba przy sobie właściwych formularzy. – Zaczął grzebać w szufladach biurka. – Gdzie mogłem je schować? – zastanawiał się. – Gdzieś. Gdzieś. A, tu są! Proszę! – Energicznie podał papiery przybyszowi. – Oczywiście będzie pan musiał je podpisać.

– Czy te wszystkie ceregiele są konieczne?

Pan Iii posłał mu przeciągłe spojrzenie.

– Twierdzi pan, że przybywa z Ziemi, zgadza się? Musi pan zatem podpisać.

Kapitan nabazgrał swoje imię i nazwisko.

– Moja załoga także?



Pan Iii popatrzył na kapitana, potem na trzech pozostałych mężczyzn i wybuchnął szaleńczym śmiechem.

– Oni mieliby podpisać? Ha! Cudowne! Oni i podpisy! – Z oczu trysnęły mu łzy. Klepnął się po kolanach i nachylił, pozwalając, by z jego otwartych ust wystrzeliła salwa śmiechu. Jedną ręką przytrzymał się biurka. – Oni mieliby podpisać?

Przybysze skrzywili się.

– Co w tym śmiesznego?

– Oni i podpisy! – Pan Iii westchnął, osłabły po ataku radości. – Jakież to zabawne. Będę musiał powtórzyć to panu Xxx! – Nadal zaśmiewając się, przejrzał wypełniony formularz. – Chyba wszystko jest w porządku. – Skinął głową. – Nawet zgoda na eutanazję, jeśli zajdzie potrzeba podjęcia ostatecznej decyzji. – Zachichotał.

– Zgoda na co?

– Niech pan nic nie mówi. Mam coś dla pana. O tu, proszę wziąć ten klucz.

Kapitan zarumienił się.

– To ogromny zaszczyt.

– To nie klucz do miasta, głupcze! – warknął pan Iii. – Otwiera jedynie drzwi Domu. Pójdiesz tym korytarzem, otworzysz wielkie drzwi, wejdiesz do środka i dokładnie zamkniesz je za sobą. Możesz spędzić tam noc. Rano przyślę do ciebie pana Xxx.

Kapitan z powątpiewaniem ujął klucz w dłoń i stał, wbijając wzrok w podłogę. Jego ludzie także się nie poruszyli. Zupełnie jakby wraz z raketową gorączką odpłynęła z nich cała krew. Kompletnie uszło z nich życie.

– O co chodzi? Coś jest nie tak? – spytał pan Iii. – Na co czekasz? Czego chcesz? – Nachylając się, spojrział prosto w twarz kapitana. – No już, dalej!

– Nie przypuszczam, żeby zechciał pan... – zaczął kapitan. – To znaczy gdyby pan spróbował albo pomyślał o... – Zawahał się. – Bardzo ciężko pracowaliśmy, przebyliśmy długą drogę i może mógłby pan ucisnąć nam dłonie i powiedzieć: „Dobra robota!”. Jak pan sądzi? – Jego głos załamał się i ucichł.

Pan Iii sztywno wyciągnął rękę.

– Moje gratulacje! – Uśmiechnął się zimno. – Gratuluję – dodał, odwracając się. – A teraz muszę już iść. Skorzystajcie z klucza.

Nie zwracając na nich uwagi, zupełnie jakby zapadli się pod ziemię, pan Iii krążył po pomieszczeniu, wsuwając papiery do niewielkiej teczki. Został tam jeszcze pięć minut, ale nie zwrócił się więcej do milczącej czwórki ludzi, stojących ze zwieszonymi głowami. Zmęczone nogi ciążyły im okrutnie, światło w ich oczach przygasło. Kiedy pan Iii wyszedł na zewnątrz, z zajęciem oglądał swoje paznokcie...

\* \* \*

Powłócząc nogami, szli korytarzem w mętym świetle popołudnia. W końcu dotarli do wielkich, pokrytych nalotem srebrnych drzwi, które otworzył klucz ze srebra. Weszli i zatrzasnęli za sobą wrota.

Ujrzeni rozległą słoneczną salę. Obecni tu mężczyźni i kobiety siedzieli przy stolikach i stali w niewielkich grupkach, prowadząc ożywione dyskusje. Na dźwięk zamykanych drzwi spojrzeli na czterech przybyszów w mundurach.

Jeden z Marsjan wystąpił naprzód i się uklonił.

– Jestem pan Uuu – oznajmił.

– A ja kapitan Jonathan Williams z Nowego Jorku na Ziemi – odparł beznamiętnie kapitan.

I sala eksplodowała!

Sufit zadrżał od krzyków. Ludzie runęli naprzód, machając rękami i piszcząc radośnie; wywracając stoły, wyroili się wokół, chwycili czterech Ziemiaków i unieśli ich w górę. Sześć razy okrążyli salę – od ściany do ściany – podskakując i tańcząc, ze śpiewem na ustach. Przybysze byli tak oszołomieni, że przez pełną minutę pozwalali w milczeniu unosić się tłumowi; dopiero potem zaczęli śmiać się i krzyczeć do siebie:

– Hej! Tak już lepiej!

– To jest życie! Hu ha! Wiwat!

Mrugali do siebie porozumiewawczo, unosząc ręce, klaskali donośnie. – Hej!

– Hura! – odparł tłum.

W końcu zebrani postawili Ziemian na stole. Krzyki ucichły.

Kapitan o mało nie rozpląkał się na głos.

– Dziękuję wam. Tak nam miło, tak miło.

– Proszę nam opowiedzieć o sobie – podsunął pan Uuu.

Kapitan odchrząknął i rozpoczął swoją historię do wtóru ochów i achów tłumu. Przedstawił członków załogi; każdy wygłosił krótką mowę, z zakłopotaniem przyjmując gromkie brawa.

Pan Uuu klepnął kapitana po ramieniu.

– Dobrze jest spotkać innego Ziemianina. Ja także przybywam z Ziemi.

– Słucham?

– Wielu z nas stamtąd pochodzi.

– Pan? Z Ziemi? – Kapitan spojrział na niego ze zdziwieniem. – Ale jak to możliwe? Przybył pan rakieta? Czyżby podróże kosmiczne odbywały się od wieków? – W jego głosie zabrzmiała nuta zawodu. – Skąd... z jakiego kraju pan pochodzi?

– Tuiereol. Zjawiłem się tu duchem wiele lat temu.

– Tuiereol. – Kapitan powoli powtórzył tę nazwę. – Nie znam takiego kraju. O co chodzi z tym duchem?

– Panna Rrr, ta, która stoi tam z boku, także przybyła z Ziemi. Nieprawdaż, panno Rrr?

Panna Rrr przytaknęła i zaśmiała się dziwnie.

– Podobnie jak panowie Www, Qqq i Vvv!

– Ja jestem z Jowisza – oznajmił jeden z mężczyzn, dumnie unosząc głowę.

– Ja z Saturna – dodał drugi. Jego oczy błysnęły przebiegle.

– Jowisz, Saturn – mruknął kapitan, zaskoczony.

Nagle zapadła cisza. Ludzie skupili się wokół stołów, dziwnie pustych jak na przyjęcie. Ich żółte oczy błyszczały, kości policzkowe rzucały mroczny cień na dół twarzy. Kapitan uświadomił sobie nagle, że w pomieszczeniu nie ma okien, światło zdawało się przenikać przez ściany. Dostrzegł tylko jedne drzwi. Skrzywił się.

– Gdzie dokładnie leży Tuiereol? Czy niedaleko Ameryki?

– Co to jest Ameryka?

– Nigdy nie słyszał pan o Ameryce? Twierdzi pan, że przyleciał

tu z Ziemi, a jednak pan nie wie!

Pan Uuu wyprostował się gniewnie.

– Ziemia to planeta mórz i nie ma na niej żadnych lądów. Pochodzę z Ziemi, więc wiem.

– Chwileczkę. – Kapitan usiadł na krześle. – Wygląda pan jak zwyczajny Marsjanin. Żółte oczy. Brązowa skóra.

– Cała Ziemia jest porośnięta dżunglą – oznajmiła z godnością panna Rrr. – Przybywam z Orri na Ziemi, cywilizacji srebra!

Kapitan powiódł wzrokiem od pana Uuu do panów Www, Zzz, Nnn, Hhh i Bbb. Ich żółte oczy rozbłyskały w świetle i przygasały, raz dobrze widoczne, to znów rozmyte. Zadrżał. Wreszcie odwrócił się do swych ludzi i spojrzął na nich z powagą.

– Zdajecie sobie sprawę, gdzie trafiliście?

– Gdzie, kapitanie?

– To nie jest żadna uroczystość – odparł dowódca ze znużeniem. – Ani bankiet. Ci ludzie nie reprezentują rządu, nie wyprawili dla nas przyjęcia. Spójrzcie im w oczy. Posłuchajcie ich.

Wszyscy wstrzymali oddech. W zamkniętej sali poruszały się jedynie błyszczące źrenice.

– Teraz rozumiem – głos kapitana zdawał się dochodzić z wielkiej odległości – czemu wszyscy dawali nam karteczki i odsyłali wciąż dalej i dalej, póki w końcu nie spotkaliśmy pana Iii, który wysłał nas korytarzem z kluczem, abyśmy otworzyli drzwi i zamknęli je za sobą. I oto jesteśmy...

– Ale gdzie?

Kapitan odetchnął.

– W domu wariatów.

\* \* \*

Zapadła noc. W wielkiej sali, oświetlonej słabym blaskiem płynącym ze źródeł ukrytych w przejrzystych ścianach, panowała cisza. Czterej Ziemianie siedzieli wokół drewnianego stołu i nachylając się ku sobie, szeptali cicho. Na podłodze leżeli rzędem skuleni mężczyźni i kobiety. Od czasu do czasu w mrocznych kątach ktoś się poruszał, gestykulując rękami. Co

pół godziny jeden z ludzi kapitana sprawdzał srebrne drzwi i wracał do stołu.

– Jak dotąd nic. Tkwimy tu zamknięci.

– Naprawdę sądzą, że jesteśmy szaleni?

– Owszem, dlatego właśnie nikt nas nie witał. Zaledwie tolerowali coś, co dla nich musi być powszechną chorobą umysłową. – Szerokim gestem wskazał ciemne uśpione postaci wokół. – Paranoicy, co do jednego. Cóż za powitanie nam zgotowali. Przez chwilę – w jego oczach zapłonęła nagle iskra, by zaraz zniknąć bez śladu – sądziłem, że to prawdziwa uroczystość. Wszystkie te krzyki, śpiewy i mowy. Przyjemne, nieprawdaż? – póki trwało.

– Jak długo nas tu zatrzymają?

– Dopóki nie udowodnimy, że nie jesteśmy wariatami.

– To nie powinno być trudne.

– Mam nadzieję.

– Nie wygląda pan na przekonanego.

– Bo nie jestem. Spójrzcie w tamten kąt.

W mroku siedział w kucki samotny mężczyzna. Z jego ust strzelał błękitny płomień, układający się w postać niewielkiej nagiej kobiety. Płomień powoli rozkwitał w powietrzu, otoczony oparami kobaltowego światła, do wtóru szeptów i westchnień.

Kapitan skinął głową w stronę kolejnego kąta. Stała tam kobieta ulegająca ciągłym przemianom. Najpierw tkwiła bez ruchu, zatopiona w kryształowej kolumnie, potem przeobraziła się w złoty posąg, wreszcie w laskę z lśniącego cedrowego drewna i znów w kobietę.

W całej pogrążonej w mroku sali ludzie żonglowali fioletowymi ognikami, znikali, zmieniali swą postać, albowiem noc była czasem smutku i przemiany.

– To jakaś magia, czary – szepnął jeden z Ziemiaków.

– Nie, tylko halucynacje. Przekazują nam swoje szaleństwo, tak że my również widzimy ich złudzenia. Za sprawą autosugestii i telepatii.

– Czy to właśnie pana martwi, kapitanie?

– Owszem. Jeśli cudze ułudy mogą wydawać nam się tak

rzeczywiste, że dostrzegają je inni i niemal skłonni są w nie uwierzyć, nic dziwnego, iż uznali nas za wariatów. Skoro ten człowiek potrafi tworzyć małe naguski z błękitnego ognia, a ta kobieta wtapiać się w kolumnę, niewątpliwie normalni Marsjanie uznają, że i my stworzyliśmy naszą rakietę.

Wokół nich w rozległej sali tańczyły w powietrzu błękitne płomyki, które rozbłyskiwały i gasły bez śladu. Małeńkie demony z czerwonego piasku przebiegały między zębami uśpionych ludzi. Kobiety przeistaczały się w oleiste węże. Wszędzie unosiła się woń zwierząt.

Rankiem wszyscy wstali, z pozoru radośni i normalni. W pomieszczeniu nie kryły się żadne ognie ani demony. Kapitan i jego ludzie czekali przy srebrnych drzwiach z nadzieją, że w końcu się otworzą.

Pan Xxx zjawił się po czterech godzinach. Podejrzewali, że stał po drugiej stronie drzwi, obserwując ich ukradkiem przez co najmniej trzy godziny, zanim wreszcie wszedł do środka. Wezwał ich gestem i poprowadził do małego gabinetu.

Pan Xxx, jeśli wierzyć jego masce, był jowialnym, wesołym człowiekiem, namalowano na niej bowiem nie jeden uśmiech, ale aż trzy. Jednakże głos dobiegający zza maski należał do zupełnie poważnego psychologa.

– W czym problem? – spytał.

– Wy uważacie, że jesteśmy szaleni, a my tak nie uważamy – odparł kapitan.

– Wcale nie sędzę, że wszyscy jesteście szaleni. – Psycholog wskazał niewielką różdżką na kapitana. – Nie. Jedynie pan. Pozostali to tylko wtórne złudzenie.

Kapitan klepnął się w kolano.

– A zatem o to chodziło! To dlatego pan Iii wybuchnął śmiechem, kiedy zaproponowałem, by moi ludzie także podpisali dokumenty.

– Owszem, pan Iii wspominał mi o tym. – Z radośnie wygiętych wyrzeźbionych w masce ust dobiegł cichy śmiech. – Niezły żart. Na czym skończyłem? Wtórne złudzenia, no tak. Kobiety przybywają do mnie z węzami wypełzającymi im z uszu. Kiedy je

ulecę, węże znikają.

– Chętnie damy się uleczyć. Proszę.

Pan Xxx sprawiał wrażenie zdumionego.

– To niezwykle. Niewielu ludzi pragnie się wyleczyć. Nasza kuracja jest dość drastyczna.

– Ależ proszę. Jestem pewien, że odkryjecie, iż wszyscy jesteście najzupełniej normalni.

– Proszę pozwolić, że sprawdzę pańskie papiery. Przed zastosowaniem kuracji muszę się upewnić, że wszystko jest w absolutnym porządku. – Pan Xxx przejrzał formularze. – Przypadki takie jak pański wymagają specjalnego lekarstwa. Ludzie zamknięci w tej sali to lekkie formy choroby, kiedy jednak psychoza pogłębia się i pacjent zaczyna tworzyć wtórne złudzenia dźwiękowe, zapachowe i smakowe oraz fantazje dotykowe i wzrokowe, nie jest dobrze. Musimy uciec się do eutanazji.

Kapitan zerwał się z miejsca.

– Proszę posłuchać! – huknął. – Znosimy to już dostatecznie długo. Niech pan nas zbada! Popuka w kolana, osłucha serca, każe wykonywać ćwiczenia, zada jakieś pytania!

– Może pan swobodnie mówić.

Kapitan wściekał się przez godzinę. Psycholog słuchał.

– Niewiarygodne – mruczał do siebie. – Najbardziej szczegółowa fantazja, jaką kiedykolwiek słyszałem.

– Do diabła, pokażemy panu rakiety! – wykrzyknął kapitan.

– Chętnie ją zobaczę. Czy mógłby pan wywołać ją w tym pokoju?

– Och, oczywiście. Jest w pańskich aktach pod literą R.

Pan Xxx z poważną miną zajrzał do akt. Po chwili poszukiwań cmokając z niesmakiem, uroczyście zamknął teczkę.

– Czemu kazał mi pan zajrzeć w papiery? Rakiety tu nie ma.

– Oczywiście, że nie, idioto! Żartowałem. Czy szaleńcy dowcipkują?

– Niektórzy. Czasami są obdarzeni osobliwym poczuciem humoru. A teraz proszę zaprowadzić mnie do rakiety. Chciałbym ją obejrzeć.

\* \* \*

Dochodziło południe. Zanim dotarli do rakiety, zapanował nieznośny skwar.

– Ach tak. – Psycholog podszedł do statku i postukał w niego palcem. Metal zadzwieczał cicho. – Mogę wejść do środka? – spytał przebiegle mężczyzna.

– Bardzo proszę.

Pan Xxx na długą chwilę zniknął we wnętrzu rakiety.

– Cóż za głupota. – Kapitan żuł koniuszek cygara. – Mam szczerą ochotę natychmiast wracać do domu i powiedzieć ludziom, by nie zaprzęтали sobie głowy Marsem. Co za podejrzliwa banda kretynów!

– Zakładam, że spory procent ich populacji jest dotknięty obłędem, kapitanie. Dlatego właśnie wątpili w nasze słowa.

– Mimo wszystko cała ta sytuacja jest niezmiernie irytująca.

Po półgodzinie wędrówek po rakiecie, opukiwania ścian, nasłuchiwania, wężania, kosztowania psycholog wynurzył się ze statku.

– Teraz nam pan wierzy?! – ryknął kapitan, jakby jego rozmówca był głuchy.

Psycholog zamknął oczy i podrapał się po nosie.

– To przykład najbardziej niewiarygodnego połączenia złudzenia zmysłowego i sugestii hipnotycznej, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia. Obejrzałem dokładnie waszą raketę, jak ją pan nazywa. – Postukał palcem w pancerz. – Słyszę to. Fantazja słuchowa. – Wciągnął powietrze. – Czuję jej zapach. Złudzenie węchowe wywołane telepatią. – Ucałował statek. – Czuję jej smak. Fantazja smakowa.

Uścisnął dłoń kapitana.

– Czy mogę panu pogratulować? Jest pan geniuszem wśród wariatów. Cóż za osiągnięcie! Praktycznie nie da się dokonać projekcji istot żywych do innych umysłów, nie niszcząc jednocześnie pozorów rzeczywistości materialnych złudzeń. Ludzie zamknięci w Domu zazwyczaj skupiają się na obrazach albo w najlepszym razie na połączeniu wizji i dźwięku. Panu



udało się stworzyć pełną kombinację. Pańskie szaleństwo jest cudownie kompletnie.

– Moje szaleństwo. – Kapitan zbladł.

– Ależ tak, tak, wspaniała psychoza. Metal, guma, grawitatory, prowiant, ubrania, paliwo, broń, drabinki, mutry, śruby, łyżeczki. W pańskim statku naliczyłem dziesięć tysięcy odrębnych przedmiotów. Nigdy nie widziałem podobnie złożonej halucynacji. Umieścił pan nawet cienie pod kojami i pod wszystkim innym! Cóż za koncentracja! I wszystko, nieważne jak i kiedy sprawdzałem, miało własny zapach, masę, smak, dźwięczało! Niechże pana uścisnę!

W końcu się cofnął.

– Napiszę o tym najwspanialszą w moim życiu monografię. W przyszłym miesiącu omówię ten przypadek na wykładzie w Akademii Marsjańskiej! Proszę tylko spojrzeć! Przecież zmienił pan nawet kolor własnych oczu z żółtego na niebieski i skóry z brązowego na różowy. A ten strój! Pańskie dłonie mają pięć palców zamiast sześciu! Biologiczne przeistoczenie wywołane brakiem równowagi umysłowej. A pańscy trzej przyjaciele...

Wyjął niewielki pistolet.

– Oczywiście to nieuleczalne. Biedny, cudowny człowieku. Lepiej dla ciebie, żebyś umarł. Chcesz jeszcze coś powiedzieć?

– Przestań, na miłość boską! Nie strzelaj!

– Nieszczęśniku, uwolnię cię od cierpień, które sprawiły, że wyobraziłeś sobie tę raketę i tych trzech ludzi. Z przyjemnością zobaczę, jak twoi przyjaciele i statek znikają, kiedy już cię zabiję. Dzisiejsze doświadczenia staną się podstawą do dużego artykułu na temat rozpraszania obłąkańczych wizji.

– Pochodzę z Ziemi! Nazywam się Jonathan Williams, a ci ludzie...

– Tak. Wiem – powiedział uspokajająco pan Xxx i wystrzelił.

Kapitan runął na piasek z sercem przebitym kulą. Pozostała trójka krzyknęła.

Pan Xxx przyglądał się im uważnie.

– Nadal istniejecie? Niesamowite! Złudzenia trwające w czasie i przestrzeni! – Wycelował w nich pistolet. – Cóż, strachem

zmuszę was do zniknięcia.

– Nie! – zawołali trzej mężczyźni.

– Wrażenia słuchowe wciąż trwają mimo śmierci pacjenta – zauważył pan Xxx, strzelając do nich po kolei.

Mężczyźni leżeli bez ruchu na piasku.

Kopnął ich. Następnie postukał pięścią w pancerz statku.

– Nadal istnieje! Oni także! – Zaczął strzelać do ciał. Wreszcie odskoczył. Uśmiechnięta maska opadła mu z twarzy.

Oblicze drobnego psychologa powoli ulegało zmianie. Jego szczeka opadła, broń wysunęła mu się z palców. Oczy spoglądało tępo naprzód. Uniósł dłonie i obrócił się na oślep wokół własnej osi. Zaczął niezdarnie obmacywać ciała, do ust napłynęła mu ślina.

– Złudzenia – mamrotał rozpaczliwie. – Smak. Obraz. Zapach. Dźwięk. Dotyk. – Pomachał rękami, wybałuszając oczy. Na wargi wystąpiła mu piana.

– Odejdźcie! – krzyknął do trupów. – Idź sobie! – wrzasnął pod adresem statku. Uważnie obejrzał własne rozdygotane dłonie. – Jestem zarażony – szepnął. – Przeszło na mnie. Telepatia. Hipnoza. Oszalałem. Ja także zostałem zarażony. Złudzenia w pełnej postaci zmysłowej. – Urwał i zaczął macać wokół siebie odrętwiałą ręką w poszukiwaniu broni. – Tylko jedno lekarstwo. Jedyńy sposób, aby odeszli, zniknęli.

Rozległ się strzał. Pan Xxx runął w pył.

Cztery ciała spoczywały w słońcu. Pan Xxx leżał tam, gdzie padł.

Rakieta czekała na niewielkim słonecznym wzgórzu i wcale nie chciała zniknąć.

Kiedy ludzie z miasta odkryli ją o zachodzie słońca, zastanawiali się, co to jest. Nikt nie wiedział, toteż sprzedano ją handlarzowi złomem, aby następnie rozebrać na kawałki.

Tej nocy spadł ulewny deszcz. Następny dzień był pogodny i ciepły.

**marzec 2000:**

## **PODATNIK**

Pragnął polecieć rakieta na Marsa. Wczesnym rankiem podszedł do granicy pola startowego i zaczął wrzeszczeć przez siatkę do ludzi w mundurach, że chce lecieć na Marsa. Powiedział im, że jest uczciwym podatnikiem, nazywa się Pritchard i ma prawo udać się na Marsa. Czyż nie urodził się tu, w Ohio? Czyż nie jest dobrym obywatelem? Czemu zatem nie miałby polecieć? Wygrażał im pięściami i powtarzał, że chce uciec z Ziemi. Każdy, kto ma choć trochę zdrowego rozsądku, pragnie wydostać się z Ziemi. W ciągu dwóch lat wybuchnie wielka wojna atomowa i on nie zamierza być tutaj, kiedy to się stanie. On i tysiące jemu podobnych – jeśli mają choć trochę oleju w głowie, polecą na Marsa. Jeszcze zobaczycie!, krzyczał. Za wszelką cenę uciec od wojen i cenzury, poboru i panoszenia się państwa, rządowej kontroli tego i owego, sztuki i nauki! Weźcie sobie Ziemię! Oddałby zdrową prawą rękę, własne serce, głowę, byle tylko móc lecieć na Marsa! Co trzeba zrobić, jaki dokument podpisać, kogo wpływowego znać, żeby dostać się do rakiety?

Ludzie po drugiej stronie ogrodzenia wyśmiewali się z niego. Z pewnością nie chce lecieć na Marsa. Czyż nie wie, że Pierwsza i Druga Wyprawa zakończyły się klęską, że załogi zniknęły bez śladu; że ich członkowie najpewniej nie żyją?

Ale nie potrafią tego udowodnić, nie wiedzą na pewno, odparł, przywierając do siatki. Może czeka tam na ludzi kraina mlekiem i miodem płynąca i kapitanowie York i Williams po prostu uznali, że nie ma po co wracać? Czy zatem otworzą bramę i pozwolą mu wsiąść na pokład rakiety Trzeciej Wyprawy? A może ma wywalić ją kopniakiem?

Kazali mu się zamknąć.

Ujrzał ludzi maszerujących w stronę statku.

Zaczekajcie na mnie!, krzyknął. Nie zostawiajcie mnie w tym strasznym świecie! Muszę się stąd wydostać; niedługo wybuchnie wojna! Nie zostawiajcie mnie na Ziemi!

Odciągnęli go, mimo że się wrywał. Zatrzasnęli za nim drzwi radiowozu i wywieźli stamtąd wczesnym rankiem. On zaś, przyciskając twarz do tylnej szyby, wciąż patrzył, i tuż przed tym, nim zniknęli po drugiej stronie wzgórza, ujrzał czerwony błysk ognia, usłyszał grzmot i poczuł potężny wstrząs, kiedy srebrna rakietą wystrzeliła w górę, pozostawiając go w ten zwyczajny poniedziałkowy poranek na zupełnie zwyczajnej planecie.

**kwiecień 2000:**

### TRZECIA WYPRAWA

Statek szykował się do lądowania. Przybywał z gwiazd, spomiędzy lśniących prądów i czarnych przyśpieszeń, przecinających milczące otchłanie kosmosu. Był zupełnie nowy, w jego ciele krążył ogień, metalowe komórki kryły w sobie ludzi; sunął w milczeniu wśród płomieni. Jego wnętrze mieściło siedemnastu pasażerów, włączając w to kapitana. Tłum na polach w Ohio pożegnał ich krzykiem, machając rękami w blasku słońca, gdy rakieta wśród ogromnych kwiatów barwy i gorąca wystrzeliła w przestrzeń, rozpoczynając trzecią podróż na Marsa.

Teraz zwalniała z metalową precyzją, wtargnąwszy w wyższe warstwy marsjańskiej atmosfery. Nadal zachwycała urodą i siłą. Pokonywała mroczny ocean kosmosu niczym błady niezłomny Lewiatan; minęła starożytny księżyc, prąc naprzód w głąb kolejnych pokładów nicości. Zamknięci w środku umęczeni ludzie objali się o ściany i chorowali, by znów wyzdrowieć, każdy w swoim czasie. Jeden z nich umarł, teraz zaś pozostałych szesnastu, przyciskając twarze do grubego szkła iluminatorów, jasnymi oczami obserwowało rosnącą z każdą chwilą planetę.

- Mars! - wykrzyknął nawigator Lustig.
- Pocziwy stary Mars - mruknął Samuel Hinkston, archeolog.
- I dobrze - uciął kapitan John Black.

Rakieta usiadła na zielonym trawniku. Nieopodal stała żelazna figurka sarny. Dalej, w słońcu, pośród zieleni wznosił się wysoki brązowy wiktoriański dom, cichy i milczący. Ze ścian pokrytych ślimacznicami i rokokowymi ozdóbkami spoglądały na nich witrażowe okna, ułożone z błękitnych, różowych, żółtych i zielonych szybek. Na werandzie dostrzegli włochate geranium i starą huśtawkę, przykręconą do sufitu i kołyszącą się powoli na lekkim wietrze w przód i w tył, w przód i w tył. Szczyt ostrego

dachu wieńczyła mała kopułka, okna z ołowiowego szkła połyskiwały niczym diamenty. Przez frontową szybę można było dostrzec spoczywający na półeczce plik nut zatytułowany *Piękny nurt Ohio*.

Wokół rakiety rozciągało się małe miasteczko, zielone i nieruchome w promieniach marsjańskiej wiosny. Wszędzie stały domy – białe tynki, czerwone cegły – wiatr poruszał gałęziami wyniosłych wiązów, klonów i kasztanowców. Zawieszane w kościelnej wieży dzwony milczały.

Przybysze wyjrzeni przez iluminatory i zobaczyli otaczający ich świat. Następnie spojrzeli po sobie. Podtrzymywali się nawzajem, nagle pozbawieni tchu; ich twarze zbladły.

– A niech mnie – szepnął Lustig, rozcierając odrętwiałymi palcami policzki. – A niech mnie diabli!

– To przecież niemożliwe – rzucił Samuel Hinkston.

– Boże! – jęknął kapitan John Black.

Po chwili chemik krzyknął:

– Kapitanie, atmosfera jest nieco rozrzedzona, ale zawiera wystarczająco dużo tlenu. Można nią bezpiecznie oddychać.

– Zatem wyjdźmy – zaproponował Lustig.

– Chwileczkę – powstrzymał go kapitan John Black. – Skąd wiemy, z czym mamy do czynienia?

– Z miasteczkiem o rozrzedzonym powietrzu, które jednak nadaje się do oddychania.

– I to miasteczkiem, które zupełnie przypomina ziemskie osady – dodał Hinkston, archeolog. – Niewiarygodne. To niemożliwe, a przecież istnieje.

Kapitan Black spojrział na niego przelotnie.

– Uważasz, Hinkston, że cywilizacje na dwóch różnych planetach mogą rozwijać się w jednakowym tempie i tak samo ewoluować?

– Powiedziałbym, że to mocno wątpliwe.

Dowódca stanął przy włązie.

– Spójrzcie tylko. Geranium. Wysoce wyspecjalizowana roślina. Ta szczególna odmiana została wyhodowana na Ziemi zaledwie pięćdziesiąt lat temu. Pomyślcie o trwającej tysiące lat ewolucji

roślin, a potem powiedzcie mi, że logika dopuszcza, by Marsjanie znali: po pierwsze, okna z ołowiowymi szybami; po drugie, kopuły; po trzecie, huśtawki na werandach; po czwarte, instrument, który wygląda dokładnie jak pianino i zapewne nim jest; po piąte... Spójrzcie uważnie przez lornetkę. Czy to możliwe, by kompozytor z Marsa skomponował utwór muzyczny zatytułowany, dziw nad dziwami, *Piękny nurt Ohio*? Czyli na Marsie także mają rzekę Ohio.

– Kapitan Williams, oczywiście! – wykrzyknął Hinkston.

– Co takiego?

– Kapitan Williams i jego trzyosobowa załoga! Albo Nathaniel York wraz z towarzyszem. To wszystko wyjaśnia!

– Wręcz przeciwnie. Nie wyjaśnia niczego. Z tego, co udało nam się stwierdzić, rakieta Yorka eksplodowała w dniu, w którym dotarła na Marsa, zabijając kapitana i jego kolegę. Co do zespołu Williamsa, to ich statek uległ zniszczeniu w dzień po lądowaniu. O tym przynajmniej świadczy fakt, że ich radio przerwało nadawanie. Uznaliśmy, że gdyby nasi ludzie jednak przeżyli, spróbowaliby się z nami skontaktować. Zresztą wyprawa Yorka wyruszyła zaledwie rok temu, zaś kapitan Williams i jego ludzie wylądowali tu w sierpniu zeszłego roku. Nawet zakładając, że wciąż jeszcze żyją, czy mogliby, choćby z pomocą genialnej rasy Marsjan, wznieść podobne miasteczko i postarzyć je w tak krótkim czasie? Przyjrzyjcie mu się uważnie. Stoi tu bez wątpienia od przynajmniej siedemdziesięciu lat. Spójrzcie na drewnianą poręcz werandy; na drzewa, wszystkie są przynajmniej stuletnie. Nie, to nie jest dzieło Yorka ani Williamsa, lecz coś zupełnie innego. Nie podoba mi się to wszystko. I nie zamierzam opuszczać statku, dopóki się nie dowiem, o co tu chodzi.

– Pamiętajmy też – poparł go Lustig – że Williams i jego ludzie, podobnie jak York, wylądowali po przeciwnej stronie Marsa. Specjalnie wybraliśmy tę półkulę.

– Na wypadek gdyby wrogo nastawiony szczep Marsjan zabił Yorka i Williamsa, instrukcje nakazywały nam wylądować dalej, by zapobiec powtórzeniu się podobnej katastrofy. I oto jesteśmy,

z tego, co nam wiadomo, w krainie, której Williams i York nigdy nie ujrżeli.

– Niech to diabli! – rzucił Hinkston. – Za pańskim pozwoleniem, kapitanie, chciałbym obejrzeć to miasto. Może rzeczywiście na każdej planecie naszego Układu Słonecznego rozwinęły się identyczne wzory myślowe i cywilizacyjne? Może znaleźliśmy się u progu największego psychologicznego i metafizycznego odkrycia naszych czasów?

– Chętnie wysłucham, co ma pan do powiedzenia.

– Możliwe, że natknęliśmy się na zjawisko, które po raz pierwszy bez cienia wątpliwości dowiedzie istnienia Boga.

– Wielu ludzi wierzy w niego, nie dysponując podobnymi dowodami, panie Hinkston.

– Sam jestem jednym z nich, kapitanie. Z pewnością jednak podobne miasto nie mogłoby powstać bez boskiej interwencji. Te wszystkie szczegóły! Widok ów budzi we mnie uczucia tak silne, że nie wiem, śmiać się czy płakać?

– Proszę zatem powstrzymać się od jednego i drugiego, póki nie stwierdzimy, czemu przyszło nam stawić czoło.

– Stawić czoło? – wtrącił Lustig. – Niczemu, kapitanie. To poczciwe, ciche, zielone miasteczko, bardzo przypominające staroświecką osadę, w której przyszedłem na świat.

– Kiedy się pan urodził, Lustig?

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku.

– A pan, Hinkston?

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym, kapitanie. W Grinnell w stanie Iowa. I mam wrażenie, że znalazłem się w domu.

– Hinkston, Lustig, mógłbym być waszym ojcem. Niedawno skończyłem osiemdziesiąt lat. Urodziłem się w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku w Illinois. Łaska boska i dokonane w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat odkrycia naukowe sprawiły, że niektórzy starzy ludzie mogą znów odmłodzić. I oto znalazłem się na Marsie, nie bardziej zmęczony niż reszta was, ale o wiele bardziej podejrzliwy. To miasteczko wygląda przyjaźnie, pogodnie i tak bardzo przypomina Green Bluff w Illinois, że mnie



przeraża. Jest zbyt podobne do Green Bluff. – Odwrócił się do radiooperatora. – Wezwij Ziemię. Powiedz im, że wylądowaliśmy. To wszystko. Zawiadam, że jutro wyślemy pełny meldunek.

– Tak jest.

Kapitan Black wyrzwał przez iluminator rakiety, przyciskając do niego twarz, która należała do osiemdziesięciolatka, a wyglądała jak oblicze mężczyzny po czterdziestce.

– Powiem panu, co zrobimy, Lustig; pan, ja i Hinkston obejrzymy miasto z bliska. Reszta zostanie na pokładzie. Jeśli coś nam się stanie, będą mogli wynieść się stąd do diabła. Lepiej stracić trzech ludzi niż cały statek. Jeśli zdarzy się coś złego, nasza załoga może ostrzec następnych. Zdaje się, że rakieta kapitana Wildera przygotowuje się do startu na święta. Jeśli na Marsie natrafimy na coś groźnego, lepiej byłoby, gdyby nasi następcy przybyli dobrze uzbrojeni.

– Nam też nie brak broni. Mamy ze sobą cały arsenał.

– Proszę zatem rozkazać ludziom, aby przygotowali się do walki. Lustig, Hinkston, chodźcie.

Trzej mężczyźni zeszli razem przez kolejne pokłady statku.

\* \* \*

Był piękny wiosenny dzień. Na kwitnącej jabłoni przysiadł rozśpiewany drozd. Za każdym razem, gdy wiatr muskał zielone gałęzie, na ziemię opadały tumany kwietnego śniegu. W powietrzu unosił się słodki zapach. Gdzieś w miasteczku ktoś grał na pianinie, wietrzyk niósł ze sobą ciche, senne dźwięki piosenki *Piękna marzycielka*. Gdzie indziej odezwał się patefon, ze zdartej syczącej płyty popłynęły pierwsze takty *Księżycowej włóczęgi* Harry'ego Laudera.

Trzej mężczyźni stali przed barem. Gwałtownie wciągając w płuca rozrzedzone powietrze, ruszyli naprzód, maszerując wolno, aby się nie zmęczyć.

Teraz z patefonu odezwał się kolejny głos:

*Och piękna noc czerwcową,  
księżycą blask i ty...*

Lustig zadrzał, podobnie Samuel Hinkston.

Niebo nad ich głowami było pogodne i czyste; gdzieś w dali w chłodnym wąwozie osłoniętym drzewami szemrała woda. Niedaleko usłyszeli stukot podków i skrzyp wozu podskakującego na wybojach.

– Kapitanie – odezwał się Samuel Hinkston – z pewnością raketowe podróże na Marsa musiały się rozpocząć jeszcze przed pierwszą wojną światową.

– Nie.

– Jak inaczej da się wyjaśnić istnienie tych domów, żelaznej sarenki, pianin, muzyki? – Hinkston ścisnął łokieć kapitana i spojrzał mu prosto w oczy, próbując go przekonać. – Powiedzmy, że w 1905 roku żyli ludzie, którzy nienawidzili wojen. Połączyli zatem swe siły z grupą naukowców, skonstruowali raketę i przybyli tu, na Marsa...

– Nie, nie, Hinkston.

– Czemu? W 1905 świat był zupełnie inny. Z łatwością mogliby utrzymać to w tajemnicy.

– Ale skomplikowane urządzenie, takie jak rakietka... nie, tego nie da się zbudować w sekrecie.

– Przylecieli, by tu zamieszkać, i oczywiście domy, które wzniesli, były podobne do ich siedzib na Ziemi, bo przywieźli ze sobą swą kulturę.

– I żyją tu od tylu lat? – spytał kapitan.

– Owszem, w ciszy i spokoju. Może zorganizowali parę wycieczek tam i z powrotem, tylko tyle, by sprowadzić tu wystarczająco wielu ludzi i zasiedlić jedno niewielkie miasteczko. A potem przestali, lękając się, że ktoś ich odkryje. Dlatego to miejsce wydaje się takie staroświeckie. Nie dostrzegam tu nic, co pochodziłoby z okresu późniejszego niż rok 1927. A może rakiety są starsze, niż sądzimy? Może wszystko zaczęło się w jakiejś innej części świata? Setki lat temu niewielka grupka wtajemniczonych przybyła na Marsa; odtąd z rzadka składają krótkie wizyty na Ziemi.

– W twoich ustach brzmi to niemal logicznie.

– Tak musiało być. Mamy przed sobą dowód. Należy jedynie znaleźć jakichś ludzi i potwierdzić jego prawdziwość.

Gęsta zielona trawa tłumiała odgłos ich kroków. Wokół pachniało świeżo skoszoną łąką. Mimo żywionych obaw kapitan John Black poczuł wielki spokój. Od trzydziestu lat nie oglądał podobnego miasteczka; brzęczenie krążących wokół wiosennych pszczół przeganiało troski z jego umysłu. Świeżość otaczającego go świata niczym balsam kołła jego duszę.

Weszli na werandę. Deski pod stopami mężczyzn odpowiadały głuchym echem, gdy zbliżyli się do siatkowych drzwi. Wewnątrz widzieli zasłonę z koralików u wylotu korytarza, kryształowy żyrandol i obraz Maxfielda Parrisha wiszący nad wygodnym stylowym fotelem. W całym domu panowała atmosfera jak na staroświeckim strychu; sprawiał wrażenie niezwykle przytulnego. Słyszeli pobrzękiwanie lodu w dzbanku z lemoniadą, obok w kuchni krzątała się kobieta, przygotowując zimny lunch, stosowny na tak upalny dzień. Nuciała pod nosem słodką, niewinną melodię.

Kapitan Black nacisnął guzik dzwonka.

\* \* \*

W korytarzu rozległy się lekkie kroki i w drzwiach pojawiła się miła pani około czterdziestki, ubrana w suknię, która na oko pochodziła z 1909 roku.

– O co chodzi? – spytała.

– Przepraszamy bardzo – odparł niepewnie kapitan Black – ale szukamy... Czy mogłaby pani... – Urwał.

Kobieta patrzyła na niego ciemnymi zamyślnymi oczyma.

– Jeśli coś sprzedajecie... – zaczęła.

– Nie, chwileczkę! – krzyknął. – Co to za miasto?

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

– Co to znaczy: co to za miasto? Jak możecie być w mieście, nie znając jego nazwy?

Kapitan wyglądał, jakby nade wszystko pragnął usiąść pod cienistą jabłonką.

– Jesteśmy tu obcy. Chcemy wiedzieć, skąd wzięło się tu

miasto... i pani.

– Czy przychodzicie z biura spisu ludności?

– Nie.

– Wszyscy wiedzą, że nasze miasto zostało zbudowane w 1868 roku. Czy to jakaś gra?

– Nie, żadna gra! – odparł kapitan. – Jesteśmy z Ziemi.

– Z gruntu pod stopami? – spytała ze zdumieniem.

– Nie, z trzeciej planety, Ziemi. Przylecieliśmy statkiem. Wylądowaliśmy tu, na czwartej planecie, Marsie...

– To – wyjaśniła kobieta cierpliwie, jakby zwracała się do dziecka – jest Green Bluff w stanie Illinois, na kontynencie amerykańskim, oblanym wodami oceanów Atlantyckiego i Spokojnego, w miejscu zwanym światem albo też czasami Ziemią. A teraz odejdźcie stąd. Do widzenia.

Podreptała korytarzem, poruszając palcem długie sznury koralików.

Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Wyważmy drzwi – zaproponował Lustig.

– Nie możemy. To własność prywatna. Dobry Boże!

Powoli usiedli na stopniu werandy.

– Czy nie przyszło ci do głowy, Hinkston, że może w jakiś sposób zeszliliśmy z kursu i wylądowaliśmy na Ziemi?

– Jak mielibyśmy tego dokonać?

– Nie wiem, sam nie wiem. O Boże, dajcie mi pomysłu.

– Ale przecież sprawdzaliśmy każdą milę – nie ustępował Hinkston. – Nasze wskaźniki zapisały wszystko dokładnie. Minęliśmy Księżyc, wystrzeliliśmy w przestrzeń i oto jesteśmy. To z pewnością Mars.

– Może jednak – wtrącił Lustig – zupełnym przypadkiem zabłąkaliśmy się w czasie i przestrzeni i wylądowaliśmy na Ziemi sprzed trzydziestu–czterdziestu lat?

– Och, daj spokój, Lustig.

Nawigator podszedł do drzwi, zadzwonił i zawołał w stronę zimnych, pogrążonych w półmroku pomieszczeń:

– Jaki rok mamy?!

– Rzecz jasna tysiąc dziewięćset dwudziesty szósty – odparła

kobieta, która tymczasem usiadła wygodnie w fotelu na biegunach, pociągając łyk lemoniady.

– Słyszeliście? – Lustig odwrócił się do pozostałych. – Tysiąc dziewięćset dwudziesty szósty! Cofnęliśmy się w czasie! To jest Ziemia!

\* \* \*

Lustig usiadł i cała trójka ze zgrozą i zdumieniem zaczęła zastanawiać się nad tym, co ich spotkało. W końcu kapitan rzekł:

– Nie tego się spodziewałem. To mnie przeraża. Jak mogło dojść do czegoś podobnego? Szkoda, że nie zabraliśmy ze sobą Einsteina.

– Czy ktokolwiek z tego miasta nam uwierzy? – spytał Hinkston.

– Czyżbyśmy mieli do czynienia z czymś niebezpiecznym? Chodzi mi o czas. Może powinniśmy wystartować i wracać do domu?

– Nie. Nie wrócimy, póki nie sprawdzimy jeszcze jednego domu.

Minęli trzy budynki i doszli do maleńkiego białego domku pod dębem.

– Chciałbym być możliwe najbardziej logiczny – oświadczył kapitan – ale nie wierzę, że odgadliśmy, co się stało. Hinkston, przyjmijmy, że tak jak zakładałeś, podróże kosmiczne rozpoczęły się już wiele lat temu i że po latach spędzonych na Marsie Ziemianie zatęsknili za swoją planetą. Najpierw przypominało to łagodną neurozę, potem w pełni rozwiniętą chorobę psychiczną, grożącą wręcz szaleństwem. Co zrobiłbyś jako psychiatra postawiony przed podobnym problemem?

Hinkston zastanowił się.

– No cóż, sądzę, że zmieniałbym cywilizację na Marsie, tak aby z każdym dniem coraz bardziej przypominała ziemską. Gdybym mógł, odtworzyłbym każdą roślinę, drogę i jezioro, a nawet ocean. Następnie za pomocą masowej hipnozy przekonałbym wszystkich w mieście, że naprawdę są na Ziemi, nie na Marsie.

– Dobrze, Hinkston. Tym razem chyba do czegoś doszliśmy. Kobieta, z którą rozmawialiśmy, mogła jedynie uważać, że mieszka na Ziemi. Wiara w to chroni ją przed obłędem. Wraz ze wszystkimi mieszkańcami tego miasta uczestniczy

w największym doświadczeniu w dziedzinie migracji i hipnozy, jakie kiedykolwiek przeprowadzono.

– Słusznie, kapitanie! – wykrzyknął Lustig.

– Jasne! – zawtórował mu Hinkston.

– No cóż – westchnął kapitan. – Coś już mamy. Przyznaję, że czuję się trochę lepiej. Takie rozwiązanie jest bardziej logiczne. Dyskusje o czasie i wędrówkach czy to w przeszłość, czy przyszłość, sprawiają, że ściska mnie w żołądku. – Uśmiechnął się. – No, no, wygląda na to, że będziemy tu sławni.

– A może nie? – wtrącił Lustig. – Ostatecznie, podobnie jak Ojcowie Pielgrzymi, ludzie ci przybyli tu, aby uciec z Ziemi. Może nie będą zachwyceni naszym widokiem? A jeśli spróbują nas przegnać albo nawet zabić?

– Jesteśmy lepiej uzbrojeni. Zobaczmy ten następny dom. No już.

Nie zdążyli jeszcze przejść przez trawnik, kiedy Lustig zatrzymał się i z zachwyconą miną spojrział na drugą stronę sennej uliczki.

– Kapitanie... – wymamrotał.

– O co chodzi, Lustig?

– Och, kapitanie, co ja widzę... – Mężczyzna wybuchnął płaczem. Jego dłonie dygotały, twarz wyrażała zachwyt, radość i niedowierzanie. Wszystko wskazywało na to, że nawigator jest bliski szaleństwa – ze szczęścia. Zapatrzone w głąb ulicy, zaczął biec, potykając się, upadając i powstając. – Patrzcie, patrzcie!

– Nie pozwól mu się oddalić! – Kapitan także ruszył biegiem.

Lustig pędził naprzód, krzycząc donośnie. W połowie cienistej uliczki skręcił na podjazd i jednym skokiem znalazł się na werandzie wielkiego zielonego domu z żelaznym kurkiem na dachu.

Kiedy Hinkston i kapitan doścignęli go wreszcie, Lustig dobijał się z wrzaskiem do drzwi. Wszyscy trzej dyszeli gwałtownie, wyczerpani biegiem w rozrzedzonym powietrzu.

– Babciu! Dziadku! – wołał Lustig.

W drzwiach stanęło dwoje starych ludzi.

– David! – wykrzyknęli oboje i rzucili się, aby go uściskać. –

David! Och, David! Tak wiele lat minęło! Jak ty wyrosłeś, chłopcze; jaki jesteś duży. Och, mój mały Davidzie, jakże się miewasz?

– Babciu, dziadku! – szlochał David Lustig. – Wyglądacie wspaniale!

Obejmował ich po kolei, całując i ściskając, po czym z płaczem, gwałtownie mrugając oczami, przytulił dwójkę starych ludzi. Na niebie lśniło słońce, wiał wiatr, trawa była zielona.

– Wejdz, chłopcze, wejdz! Mamy dla ciebie świeżą mrożoną herbatę, mnóstwo mrożonej herbaty!

– Są ze mną przyjaciele. – Lustig odwrócił się i ze śmiechem pomachał kapitanowi i Hinkstonowi. – Kapitanie, niech pan tu podejdzie!

– Witamy – powiedziała para starsuszków. – Wejdzcie, panowie. Każdy przyjaciel Davida jest także naszym przyjacielem. Nie stójcie tak!

\* \* \*

W saloniku starego domu panował chłód. Na ścianie tykał staroświecki brązowy zegar. Wielkie kanapy zaścięły stopy miękkich poduszek, ściany wypełniały książki, podłogę pokrywał dywan w ogromne róże. Spoceni przybysze ściskali w dłoniach szklanki z mrożoną herbatą, spływającą chłodnymi strumieniami po spragnionych językach.

– Nasze zdrowie! – Babcia uniosła szklankę, która zadzwoniła o jej porcelanową szczękę.

– Jak długo tu jesteście, babciu? – spytał Lustig.

– Odkąd umarliśmy – odparła cierpko.

– Odkąd co? – Kapitan Black odstawił herbatę.

– Ależ tak – przytaknął Lustig. – Oboje nie żyją od trzydziestu lat.

– A ty siedzisz tu tak spokojnie?!

– Po co to gadanie? – Oczy starej kobiety rozbłysły. – Kto dał panu prawo, by kwestionować to, co się zdarzyło? Oto jesteśmy. Zresztą na czym polega życie? Kim jesteśmy, co robimy, czemu, jak, gdzie? Wiemy jedynie, że znaleźliśmy się tutaj, i nie pytamy

dlaczego. Dano nam drugą szansę. – Zbliżyła się do niego chwiejnym krokiem i wyciągnęła szczupłą rękę. – Proszę jej dotknąć. – Kapitan posłuchał. – Czuje pan ciało i kości? – spytała. Przytaknął. – A zatem – odparła z triumfem – po co zadawać pytania?

– Cóż, po prostu nie spodziewaliśmy się, że znajdziemy na Marsie coś takiego.

– A jednak znaleźliście. Śmiem twierdzić, że na tej planecie ujrzycie jeszcze wiele rzeczy, które udowodnią wam, iż niezbadane są wyroki Boga.

– Czy to jest niebo? – spytał Hinkston.

– Ależ nie, bzdura. To świat, a my dostaliśmy drugą szansę, aby w nim żyć. Nikt nie powiedział nam czemu, ale też nikt nie mówił, dlaczego znaleźliśmy się na Ziemi. Tej drugiej Ziemi, z której przybywacie. Skąd wiemy, że przed nią nie istniała jeszcze jedna?

– Dobre pytanie – mruknął kapitan.

Lustig wciąż uśmiechał się do swoich dziadków.

– O rany, jak dobrze znów was zobaczyć. Jak dobrze.

Kapitan wstał i lekko klepnął się po udach.

– Musimy już uciekać. Dziękujemy za poczęstunek.

– Oczywiście wróćcie – powiedzieli starszyszkowie. – Dziś wieczór? Na kolację?

– Postaramy się, dziękuję. Mamy bardzo dużo do zrobienia. Moi ludzie czekają na nas w rakiecie i...

Urwał. Zdumiony spojrzał w stronę drzwi.

Daleko w słońcu rozbrzmiewały powitalne okrzyki i śmiechy.

– Co się dzieje? – spytał Hinkston.

– Zaraz się dowiemy.

Kapitan John Black pośpiesznie wypadł na dwór i ruszył biegiem przez zielony trawnik na ulice marsjańskiego miasta.

Po chwili przystanął, patrząc na rakieta. Włazy były otwarte, załoga wyszła na dwór, machając rękami, i teraz przedzierała się przez zebrany wokół tłum tubylców, rozmawiając, śmiejąc się, ściskając dziesiątki rąk. Niektórzy miejscowi tańczyli. Rakieta stała pusta i porzucona.

Nagły oślepiający blask słońca odbitego w błyszczącym metalu



zwiastował nadejście orkiestry dętej. Wzniesione w górę tuby i trąby zagrały radosną melodię. Towarzyszył im łoskot bębnów i wysokie głosy fujarek. Złotowłose dziewczynki podskakiwały podniecone, chłopcy krzyczeli „hurra!”. Postawni mężczyźni rozdawali dziesięciocentowe cygara. Burmistrz miasteczka wygłosił mowę. Następnie każdy członek załogi z matką uwieszoną u jednego ramienia i z ojcem bądź siostrą u drugiego powędrował uliczkami w stronę małego domku bądź wielkiej posiadłości.

– Stójcie! – wykrzyknął kapitan Black.

Odpowiedział mu trzask zamykanych drzwi.

Zapadła cisza. Orkiestra dęta odmaszerowała, pozostawiając samotną raketę, lśniąca oślepiającym blaskiem w promieniach słońca.

– Zdezerterowali! – wybuchnął kapitan. – Porzucili statek! Na Boga, obedrę ich ze skóry. Mieli przecież rozkazy!

– Kapitanie – wtrącił Lustig. – Proszę nie być dla nich zbyt surowym. Spotkali tu swoich najbliższych krewnych i starych przyjaciół.

– To żadne wytłumaczenie!

– Proszę pomyśleć, jak oni się czuli, kapitanie, gdy ujrzeli wokół statku znajome twarze.

– Do diabła, wydałem im rozkaz!

– A jak pan by się czuł, kapitanie?

– Posłuchałbym poleceń... – Urwał, patrząc przed siebie z otwartymi ze zdumienia ustami.

Skąpanym w promieniach marsjańskiego słońca chodnikiem nadchodził wysoki, liczący sobie najwyżej dwadzieścia sześć lat mężczyzna o zdumiewająco przejrzystych błękitnych oczach.

– John! – wykrzyknął przybysz i ruszył ku nim biegiem.

– Co takiego? – Kapitan John Black zachwiał się na nogach.

– John, ty stary sukinsynu!

Mężczyzna podbiegł do nich, z całych sił ścisnął mu rękę, poklepał po plecach.

– To ty – sapnął kapitan Black.

– Oczywiście, a sądziłeś, że kim jestem?

– Edward! – Kapitan, nie wypuszczając dłoni nieznanego, spojrział błagalnie na Lustiga i Hinkstona. – To jest mój brat Edward. Ed, poznaj moich ludzi. Lustig, Hinkston, to mój brat!

Przez chwilę ściskali sobie ręce, aż wreszcie mocno się objęli.

– Ed!

– John, ty włóczęgo!

– Świetnie wyglądasz, Ed, ale jak to możliwe? Zupełnie się nie zmieniłeś. Pamiętam, jak umarłeś; miałeś wtedy dwadzieścia sześć lat, a ja dziewiętnaście. Dobry Boże, tak wiele lat temu, a przecież się spotykamy. Co tu się dzieje, na Boga?!

– Mama czeka – oznajmił Edward Black z szerokim uśmiechem.

– Mama?

– I tato.

– Tato? – Kapitan niemal upadł, jakby ktoś wymierzył mu cios ciężką pałką. – Mama i tato żyją? Gdzie?

– W starym domu na Dębowym Pagórku.

– W starym domu. – Kapitan patrzył na niego ze zdumieniem i zachwytem. – Lustig, Hinkston, słyszeliście?

Hinkstona już nie było. Dostrzegł tymczasem własny dom na rogu ulicy i popędził ku niemu.

Lustig wybuchnął śmiechem.

– Widzi pan, kapitanie, co się stało z innymi. Nie potrafili się powstrzymać.

– Tak, tak. – Kapitan zamknął oczy. – Kiedy je otworzę, znikniesz. – Zamrugał. – Nadal tu jesteś. Boże, Ed, świetnie wyglądasz.

– Chodź już, lunch czeka. Uprzedziłem mamę.

– Kapitanie – powiedział Lustig – gdyby mnie pan potrzebował, będę u dziadków.

– Co takiego? A tak, świetnie, Lustig. A zatem do zobaczenia.

Edward ujął go pod ramię i pociągnął za sobą.

– To jest nasz dom. Pamiętasz?

– Do diabła, jasne! Założę się, że pierwszy dobiegnę na werandę!

Pobiegli. Nad głową kapitana Blacka szumiały korony drzew, pod stopami drżała ziemia. Widział złocistą postać Edwarda

Blacka, który wyprzedził go w tym zdumiewająco rzeczywistym śnie. Ujrzał zbliżający się z każdą chwilą dom, szeroko otwarte siatkowe drzwi.

– Wygrałem! – krzyknął Edward.

– Jestem starym człowiekiem – wydyszał kapitan – a ty wciąż młodzieńcem. Pamiętam zresztą, że zawsze ze mną wygrywałeś.

W drzwiach stała mama, pulchna, promienna i rumiana. Za nią czekał ojciec o szpakowatych włosach. W dłoni trzymał fajkę.

– Mamo, tato!

Kapitan Black jak dziecko pobiegł im na spotkanie.

\* \* \*

To było długie cudowne popołudnie. Zjedli późny lunch i usiedli w salonie, a on opowiedział im wszystko o swojej rakiecie, podczas gdy oni przytakiwali i uśmiechali się do niego. Matka była taka sama jak zwykle; ojciec odgryzł koniuszek cygara i jak zawsze zapalił je z namysłem. Wieczorem na stole pojawił się wielki pieczony indyk. Czas płynął, a kiedy ogryziono już ostatnie udko i na talerzach pozostały tylko stosiki kruchych kości, kapitan wygodniej rozparł się w fotelu i odetchnął z głębokim zadowoleniem. Wśród drzew przyczaiła się noc, powlekając niebo ciemnością. Lampy wewnątrz domu otaczała poświata różowego blasku. Ze wszystkich innych budynków przy głównej ulicy dobiegały dźwięki muzyki, gry na pianinach, trzasku drzwi.

Mama puściła płytę na patefonie i zatańczyła z kapitanem Johnem Blackiem. Pachniała tymi samymi perfumami, które pamiętał z owego lata, kiedy wraz z ojcem zginęli w wypadku kolejowym. Jednakże teraz, tańcząc lekko w rytm muzyki, czuł ją w ramionach, prawdziwą, namacalną.

– Nie każdego dnia – rzekła – dostajemy drugą szansę w życiu.

– Rano obudzę się – stwierdził kapitan – i będę w rakiecie, w przestrzeni. Wszystko to zniknie.

– Nie myśl tak. Przestań wątpić, Bóg jest dla nas dobry. Radujmy się.

– Przepraszam, mamo.

Igła ze zgrzytem dotarła do końca płyty.

– Jesteś zmęczony, synu. – Tato wstał, trzymając w dłoni fajkę. – Przygotowaliśmy dla ciebie swoją starą sypialnię, mosiężne łóżko i tak dalej.

– Ale przecież powinienem zebrać moich ludzi.

– Po co?

– Po co? Sam nie wiem. Chyba nie ma powodu. Nie, to bez sensu. Wszyscy jedzą albo leżą już w łóżkach. Porządny długi sen nikomu nie zaszkodzi.

– Dobranoc, synu. – Mama ucałowała go w policzek. – Dobrze jest znowu widzieć cię w domu.

– Dobrze jest znowu być w domu.

Porzuciwszy krainę dymu z cygara, perfum, książek i miękkiego światła, wspiął się po schodach, cały czas rozmawiając z bratem. Edward pchnął drzwi i kapitan ujrzał przed sobą żółte mosiężne łóżko, stare chorągiewki kolejowe, jeszcze z liceum, i wyleniałą skórkę szopa, którą pogładził z czułością.

– To zbyt wiele – rzekł. – Jestem zmęczony i otepiały. Miałem dziś za dużo wrażeń. Czuję się, jakbym przez czterdzieści osiem godzin stał na ulewnym deszczu bez płaszcza ani parasola. Jestem przemoczony uczuciami – do suchej nitki.

Edward przyglądał się śnieżnobiałą pościel i uklepał poduszki. Potem uniósł okno, pozwalając, by do sypialni napłynęła słodka woń jaśminu. Świecił księżyc, z dala dobiegały ciche odgłosy szeptów i tańca.

– A zatem to jest Mars – mruknął kapitan, powoli się rozbierając.

– Owszem.

Edward leniwie, bez pośpiechu ściągnął przez głowę koszulę, odsłaniając złociste ramiona i muskularny kark.

Światła zgasły; leżeli w łóżku obok siebie, jak kiedyś – ile dziesiątków lat temu? Kapitan umościł się wygodnie, chłonąc zapach jaśminu przenikający przez firanki do pograżonego w mroku pokoju. Na trawniku wśród drzew ktoś nakręcił przenośny fonograf, z którego popłynęły łagodne dźwięki. Na zawsze.

Nagle pomyślał o Marilyn.

– Czy Marilyn tu jest?

Jego brat, wyciągnięty w blasku księżyca wpadającym przez okno, odczekał chwilę, po czym rzekł:

– Tak. Musiała wyjechać. Ale rano wróci.

Kapitan zamknął oczy.

– Bardzo chciałbym znów zobaczyć Marilyn.

W kanciastym pokoju panowała cisza, zmacona jedynie szmerem ich oddechów.

– Dobranoc, Ed.

Chwila milczenia.

– Dobranoc, John.

Leżał spokojnie, pozwalając myślom swobodnie wędrować. Po raz pierwszy towarzyszące mu przez cały dzień napięcie ustąpiło i znów mógł logicznie myśleć. Wszystkie te emocje. Orkiestra grająca fanfarę. Znajome twarze. Ale teraz...

Jak?, zastanawiał się w ciszy. Jak to możliwe? I dlaczego? Po co? Czyżby to wszystko stanowiło przejaw dobroci ze strony nieznannej potęgi? Czy Bóg naprawdę dba o swoje dzieci? Jak, po co, dlaczego?

Ponownie rozważył teorie wygłoszone w pierwszych godzinach upalnego popołudnia przez Hinkstona i Lustiga. Następnie sam począł przesiewać kolejne pomysły, przesypywać je w umyśle niczym kamyczki rzucające mętne pobłyski światła. Mama. Tato. Edward. Mars. Ziemia. Mars. Marsjanie.

Kto żył na Marsie tysiąc lat temu? Marsjanie? A może zawsze był taki jak teraz?

Marsjanie. Bez pośpiechu powtórzył w umyśle to słowo.

O mało nie zaśmiał się w głos, nagle bowiem przyszła mu do głowy zupełnie idiotyczna teoria, która sprawiła, że po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Oczywiście to zupełna bzdura. Kompletnie nieprawdopodobna. Głupota. Zapomnij o tym. To nic.

Ale, pomyślał, przypuśćmy jednak... Tylko przypuśćmy, że na Marsie rzeczywiście żyją Marsjanie, którzy ujrzeli nasz statek zbliżający się do ich planety i nas w środku, i zniechęcili nas. Przypuśćmy zatem, ot tak, dla zabawy, że uznali nas za najeźdźców, nieproszonych gości, i postanowili nas zniszczyć,

a w dodatku uczynić to w bardzo sprytny sposób, tak aby nas zaskoczył. Jaka byłaby najlepsza broń Marsjan przeciw przybyszom z Ziemi, uzbrojonym w bomby atomowe?

Odpowiedź wydała mu się ciekawa. Telepatia, hipnoza, pamięć i w ogóle wyobraźnia.

Przypuśćmy, że wszystkie te domy nie są prawdziwe, podobnie jak łóżko, w którym leżę, lecz stanowią jedynie wytwory mojej wyobraźni, którym telepatia i hipnoza Marsjan nadały pozór rzeczywistości, pomyślał kapitan John Black. Przypuśćmy, że domy są w istocie zupełnie inne, marsjańskie z kształtu i wyglądu, lecz igrając z moimi pragnieniami i marzeniami, ci Marsjanie sprawili, że widzę rodzinne miasteczko i mój własny dom; spowodowali, że pozbyłem się podejrzeń. Któż lepiej zdołałby oszukać człowieka, jeśli nie jego własna matka i ojciec?

I to miasto, tak stare, pochodzące z 1926 roku, na długo przed narodzinami wszystkich członków mojej załogi. Miałem wówczas sześć lat, ludzie słuchali płyt Harry'ego Laudera, a obrazy Maxfielda Parrisha nadal wisiały na ścianach. Stworzyli miasteczko, w którym można znaleźć zasłony z paciorków, usłyszeć *Piękne nurty Ohio* i zobaczyć zabytki architektury z przełomu wieków. A jeśli Marsjanie zaczerpnęli wizję miasta wyłącznie z mojego umysłu? Podobno wspomnienia z dzieciństwa pozostają najwyraźniejsze. A kiedy już wzniesli miasto według moich myśli, zaludnili je najbliższymi dla wszystkich członków załogi osobami!

I przypuśćmy, że tych dwoje ludzi, śpiących smacznie w sąsiednim pokoju, to nie moja matka i ojciec, ale dwoje Marsjan, niewiarygodnie inteligentnych i obdarzonych zdolnością narzucania mi sennych hipnotycznych myśli.

A ta orkiestra dęta? To byłby naprawdę wspaniały plan. Najpierw oszukać Lustiga, potem Hinkstona. Następnie zgromadzić tłum, aby wszyscy ludzie w rakiecie, widząc matki, ciotki, wujów, ukochane, nieżyjących od dziesięciu, dwudziestu lat, wybiegli na zewnątrz, lekceważąc rozkazy i porzucając statek. Cóż prostszego? Cóż bardziej niewinnego? Kiedy ktoś wskrzesza nam matkę, nie zadajemy zbyt wielu pytań; jesteśmy zanadto

szczęśliwi. I oto znaleźliśmy się tutaj – każdy w innym domu i łóżku, pozbawieni broni i wszelkiej ochrony, rakieta zaś leży pusta w blasku księżyca. I czyż nie strasznie byłoby odkryć, że to wszystko to jedynie część wielkiego, sprytnego planu Marsjan, zmierzającego do tego, by nas rozdzielić, pokonać, zabić? I może w nocy mój brat leżący ze mną w łóżku zmieni postać, stopi się, przeistoczy i stanie czymś innym, straszliwą istotą, Marsjaninem. Cóż łatwiejszego niż odwrócić się i wbić mi nóż prosto w serce. A we wszystkich innych domach na tej ulicy tuzin innych braci czy ojców też zmieniłby się nagle i dobywając noży, pozbyłby się niczego niepodejrzewających uśpionych przybyszów z Ziemi...

Jego dłonie pod kołdrą dygotały, na ciele wystąpił zimny pot. Nagle to już nie była teoria. Nagle zaczął się bać.

Uniósł się na łóżku, nasłuchując. Noc była bardzo cicha. Muzyka umilkła. Wiatr zamarł. Brat leżał uśpiony u jego boku.

Kapitan ostrożnie podniósł kołdrę i złożył ją. Zsunął się z łóżka i stąpając cicho, ruszył przez pokój, gdy jego brat spytał:

– Dokąd idziesz?

– Co?

Głos brata był bardzo zimny.

– Pytałem, dokąd idziesz?

– Napić się wody.

– Ale przecież nie chce ci się pić.

– Owszem, chce.

– Ależ nie.

Kapitan John Black rzucił się biegiem naprzód. Krzyknął raz. Drugi.

Nie zdołał dotrzeć do drzwi.

\* \* \*

Rankiem orkiestra dęta zagrała żałobną melodię. Z każdego domu wynurzył się krótki uroczysty orszak niosący długą skrzynię. Całą rozświetloną ulicę wypełnili płaczący krewni, babcie, matki i siostry, bracia, wujowie i ojcowie; razem pomaszrowali na cmentarz, gdzie wykopano już świeże doły i przygotowano nagrobki. Szesnaście dołów, szesnaście

nagrobków.

Burmistrz wygłosił krótką smutną mowę. Czasami jego oblicze przypominało twarz urzędnika, czasami coś zupełnie innego.

Matka i ojciec Black byli tam wraz z bratem Edwardem. Płakali, zaś ich twarze o znajomych rysach rozpływały się, odsłaniając obce oblicza.

Obok nich stali babcia i dziadek Lustigowie, także roniąc łzy. Ich twarze ściekały niczym wosk, otoczone falą rozedrganego powietrza, jak to w upalny dzień.

Po chwili trumny zostały spuszczone do grobów. Ktoś mruknął cicho o „niespodziewanej i nagłej śmierci, która spotkała nocą szesnastu dzielnych ludzi...”.

Grudy ziemi zabębniły o wieka trumien.

Orkiestra grająca *Kolumbię, perłę oceanu* pomaszerowała z powrotem do miasta i wszyscy wzięli sobie dzień wolnego.



**czerwiec 2001:**

## W KSIĘŻYCOWY BLASK

Gdy po raz pierwszy wyszli z rakiety w noc, było tak zimno, że Spender zaczął zbierać suche marsjańskie drewno, aby rozpalić niewielkie ognisko. Nie wspomniał przy tym ani słowem o okazji do świętowania; zebrał jedynie drwa, podpalił je i patrzył, jak płoną.

W blasku ognia rozjaśniającym rozrzedzone powietrze tego wyschniętego marsjańskiego morza obejrzał się przez ramię i ujrzał rakietę, która sprowadziła tu ich wszystkich – kapitana Wildera, Cherokiego, Hathawaya, Sama Parkhilla i jego samego; przeniosła ich poprzez milczącą czerń gwiazdnej otchłani na ten martwy, uśpiony świat.

Jeff Spender czekał na jakikolwiek hałas, obserwował towarzyszy, wiedząc, że któryś z nich zacznie w końcu podskakiwać i krzyczeć. Stanie się tak, gdy tylko odrętwienie towarzyszące myśli, że są pierwszymi ludźmi na Marsie, ustąpi. Żaden z nich nie odezwał się jednak ani słowem, ale wielu żywiło w duchu nadzieję, że poprzednie wyprawy poniosły klęskę i że właśnie ich, czwarta, okaże się tą jedyną. Nie było w tym zresztą nic strasznego. Stali tak, zamyśleni, marząc o honorze i sławie, podczas gdy ich płuca przywykały do rzadkiej atmosfery, która sprawiała, że jeśli człowiek ruszył się za szybko, czuł się niemal jak pijany.

Do jasno płonącego ogniska podszedł Biggs.

– Czemu nie uruchomimy chemicznego ogrzewania statku, zamiast palić drewno?

– Daj spokój – odparł Spender, nie patrząc na niego.

Pierwszej nocy na Marsie nie powinni czynić hałasu, anonsować swego przybycia bezsensownym blaskiem kuchenki. Stanowiłoby to niemal bluźnierstwo. Później nadejdzie jeszcze

czas na ogrzewanie, czas na rzucanie puszek po skondensowanym mleku w głąb dumnych marsjańskich kanałów, czas na strony z „New York Timesa” fruujące na wietrze i szeleszczące na dnie samotnych szarych marsjańskich mórz, czas na skórki od bananów i papierki po kanapkach pośród delikatnych żłobkowanych ruin starych marsjańskich miast. Będzie dużo czasu. Myśl ta sprawiła, że zadrżał w duchu.

Podsycił ogień, powoli dorzucając drewno, zupełnie jakby składał ofiarę martwemu olbrzymowi. Wylądowali na gigantycznym grobie. Na tej planecie zginęła cywilizacja. Zwykła grzeczność wymagała, by pierwszą noc spędzili spokojnie.

– Nie tak wyobrażam sobie zabawę. – Biggs odwrócił się do kapitana. – Kapitanie, pomyślałem, że może warto by otworzyć parę butelek dżinu, kilka puszek mięsa i rozerwać się trochę.

Kapitan Wilder spoglądał ku oddalonemu o milę martwemu miastu.

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni – rzekł nieobecny głosem, jakby zapomniał o swej załodze, całą uwagę skupiając na ruinach. – Może jutro wieczorem. Dziś powinna nam wystarczyć świadomość, że przebyliśmy całą tę przestrzeń, nie zderzywszy się z meteorem, i że wszyscy jesteśmy żywi.

Ludzie poruszyli się niespokojnie. W sumie było ich dwudziestu. Klepali się po plecach i poprawiali pasy. Spender obserwował ich. Nie byli zadowoleni. Ryzykowali życie, aby osiągnąć coś wielkiego. Teraz pragnęli się upić, wrzeszczeć, strzelać w powietrze, pokazać, jacy są cudowni. Wybili przecież dziurę w niebie i dotarli rakieta aż na Marsa.

Jednakże nikt nie krzyczał.

Kapitan cicho wydał rozkaz. Jeden z ludzi pobiegł do statku i przyniósł puszek z prowiantem; nadal milcząc, otwarli je i rozdali. W końcu ludzie zaczęli rozmawiać. Kapitan usiadł między nimi, głośno wspominając przebieg wyprawy. Wszyscy doskonale go znali, dobrze jednak było wiedzieć, że mają to już za sobą. Nie wspominali nawet o drodze powrotnej. Ktoś co prawda poruszył ten temat, ale kazali mu się zamknąć. Łyżki poruszały się miarowo w promieniach dwóch księżyców;

jedzenie smakowało im jak nigdy, wino było jeszcze lepsze.

Nagle na niebie rozbłysła smuga ognia i po sekundzie obok obozu wylądowała rakieta pomocnicza. Spender patrzył, jak otwiera się niewielki właz i wychodzi z niego Hathaway, lekarz i geolog wyprawy – wszyscy jej członkowie mieli podwójne specjalności, to pozwalało zmniejszyć koszty. Powoli podszedł do kapitana.

– I co? – spytał Wilder.

Hathaway uniósł wzrok ku odległym miastom połyskującym w blasku gwiazd. Po chwili przełknął ślinę i rzekł:

– To miasto, kapitanie, jest martwe i było takie od wielu tysięcy lat. Podobnie trzy pozostałe, leżące wśród wzgórz. Ale piąte, dwieście mil stąd...

– Co z nim?

– Jeszcze w zeszłym tygodniu było zamieszkane.

Spender podniósł się z miejsca.

– Przez Marsjan – dodał Hathaway.

– Gdzie są teraz?

– Nie żyją. Wszedłem do domu przy jednej z ulic. Sądziłem, że tak jak pozostałe miasta i budowle jest martwy od wieków. Mój Boże, tam leżały ciała. Zupełnie jakbym brodził wśród stosu jesiennych liści. Przypominały suche patyki, kawałki spalonego papieru. I były świeże. Nie żyli najwyżej od dziesięciu dni.

– Sprawdziłeś inne miasta? Widziałeś cokolwiek żywego?

– Absolutnie nic. Toteż ruszyłem dalej, aby zwiedzić kolejne osady. Cztery na pięć stały puste od tysięcy lat. Nie mam pojęcia, co spotkało ich pierwotnych mieszkańców. Ale w co piątym zawsze zastawałem to samo. Zwłoki. Tysiące ciał.

– Na co umarli? – Spender ruszył ku niemu.

– Nie uwierzyłybyś.

– Co ich zabiło?

– Wietrzna ospa.

– Mój Boże, nie!

– Owszem. Przeprowadziłem badania. Wietrzna ospa. Przebiegała u Marsjan zupełnie inaczej niż na Ziemi. Przypuszczam, że ich metabolizm zareagował odmiennie.

Choroba zupełnie ich wypaliła i wysuszyła, pozostawiając kruche skorupy. Ale to ospa wietrzna, bez cienia wątpliwości. Zatem York, kapitan Williams i kapitan Black musieli dotrzeć na Marsa. Wszystkie trzy wyprawy. Bóg jeden wie, co ich spotkało. Ale wiadomo przynajmniej, co niechcący przywieźli ze sobą na Marsa.

– Żadnych innych śladów życia?

– Istnieje możliwość, że niewielka część Marsjan okazała się sprytna i uciekła w góry. Ale założę się o wszystkie pieniądze, że jest ich zbyt mało, by wywołać kłopoty z tubylcami. Ta planeta jest martwa.

Spender odwrócił się i ponownie usiadł przy ognisku, zapatrzony w płomienie. Wietrzna ospa, mój Boże, wietrzna ospa, pomyślcie tylko! Przez miliony lat rasa rozwija się, wznosi na coraz wyższe poziomy, buduje miasta jak to tutaj, czyni wszystko, by zyskać doskonałość, piękno i szacunek, a potem ginie. Część jej umiera powoli, w stosownym czasie, przed naszym nadejściem, z godnością. A reszta? Czy pozostała część Marsa padła ofiarą choroby o pięknej i groźnej nazwie, nazwie pełnej majestatu? Nie, w imię wszystkich świętości, to musiała być ospa wietrzna, choroba, która na Ziemi nie zabija nawet dzieci. To nie w porządku, to niesprawiedliwe. Zupełnie jakby Grecy wymarli na świnkę, a dumny Rzym na siedmiu wzgórzach padł ofiarą grzybicy. Gdybyśmy tylko dali Marsjanom dość czasu, pozwolili im przywdziać strojne całuny, położyć się na marach i wynaleźć sobie inną przyczynę śmierci, byle nie bezsensowną, paskudną wietrzną ospę. Coś takiego nie pasuje do tej architektury, do całego tego świata!

– W porządku, Hathaway, weź sobie coś do jedzenia.

– Dziękuję, kapitanie.

I wszystko wróciło do normy. Ludzie podjęli przerwane rozmowy.

Spender nie odrywał od nich oczu. Swoją porcję zostawił nietkniętą. Czuł, jak grunt stygnie mu pod palcami. Na niebie płonęły jasne gwiazdy; zdawało się, że opadają coraz niżej.

Kiedy ktoś odzywał się nazbyt głośno, kapitan odpowiadał mu,

znizając głos, aby naśladować go, także ucichł.

W powietrzu unosił się młody, świeży zapach. Spender przez długi czas trwał w bezruchu, napawając się tą wonią. Składało się na nią wiele rzeczy, których nie potrafił rozpoznać: kwiaty, związki chemiczne, pyły, wiatr.

– To właśnie wtedy w Nowym Jorku poznałem tę blondynkę, jak jej było? Ginnie! – wykrzyknął Biggs. – Właśnie tak, Ginnie!

Spender był cały spięty. Jego ręka zaczęła dygotać. Oczy pod cienkimi powiekami poruszyły się niespokojnie.

– I Ginnie powiedziała... – ciągnął donośnie Biggs.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

– Więc dałem jej w twarz! – dokończył, wymachując butelką.

Spender odstawił talerz. Słuchał chłodnego wiatru szepczącego mu do uszu. Spoglądał na lodowate bryły białych marsjańskich budowli wznoszących się na pustych lądomorzach.

– Co za kobieta, co za kobieta! – Biggs uniósł flaszkę do szerokich ust i wysączył jej zawartość. – Nigdy nie znałem lepszej!

W powietrzu unosiła się woń spoconego ciała Biggsa. Spender pozwolił ogniewi przygasnąć.

– Hej, dorzuc no drewna, Spender! – rzucił Biggs, zerkając na niego przez moment, po czym wrócił do swej butelki. – Którejś nocy Ginnie i ja...

Mężczyzna nazwiskiem Schoenke ujął akordeon i wyciął parę hołubców, wzbijając tuman kurzu.

– Ohoho, ja żyję! – wykrzyknął.

– Hej! – ryknęli pozostali, odrzucając puste talerze.

Trzech ustawiło się w rząd, wymachując nogami niczym tancerki w rewii, do wtóru głośnych żartów. Pozostali zaczęli klaskać, domagając się dalszych występów. Cherokee ściągnął koszulę, ukazując spoconą nagą pierś, i zawirował w tańcu. Blask księżycy padał na jego ostrzyżone na jeża włosy i młodą, gładko wygoloną twarz.

Na dnie morza wiatr poruszył słaby opar. Stojące na szczycie gór wielkie kamienne fasady spoglądały obojętnie na srebrzystą rakietę i maleńkie ognisko.

Hałas stawał się głośniejszy – coraz więcej członków załogi dołączało do zabawy. Ktoś przytknął do ust organki, inny zaczął grać na owiniętym serwetką grzebieniu. Otwarto i opróżniono kolejnych dwadzieścia butelek. Biggs zataczał się wokół i wymachując rękoma, dyrygował tancerzami.

– Prosimy, kapitanie! – krzyknął Cherokee, zawodząc piosenkę.

Kapitan musiał dołączyć do tańczących, choć wcale nie miał na to ochoty; jego twarz była śmiertelnie poważna. Spender obserwował go, myśląc: „Biedaku, co to za noc. Nie wiedzą nawet, co robią. Powinni byli odbyć specjalny kurs orientacyjny przed lotem na Marsa, wtedy wiedzieliby, jak patrzeć, poruszać się i choć przez kilka dnia zachowywać się przyzwoicie”.

– Wystarczy.

Kapitan odłączył od reszty i usiadł, tłumacząc się zmęczeniem. Spender spojrzał na jego pierś. Wcale nie unosiła się szybciej, nie dostrzegł też ani śladu potu.

Akordeon, organki, wino, krzyki, tańce, zawodzenie, szczęk naczyń, śmiech.

Biggs, potykając się, dotarł na brzeg marsjańskiego kanału. Przyniósł ze sobą sześć pustych butelek i teraz ciskał je kolejno w głęboką błękitną wodę. Flaszki tonęły z głuchym bulgotem.

– Chrzczę cię, chrzczę cię, chrzczę cię... – wybełkotał Biggs. – Chrzczę cię Kanałem, Kanałem Biggsa...

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Spender zerwał się na równe nogi, przeskoczył ogień i stanął obok pijanego mężczyzny. Uderzył Biggsa raz w zęby i raz za uchem. Ten zachwiał się i runął do kanału. Spender usłyszał donośny plusk i czekał w milczeniu, żeby Biggs wygramolił się z powrotem na kamienny brzeg. Do tego czasu pozostali już go przytrzymali.

– Hej, co cię gryzie, Spender? – pytali.

Biggs dźwignął się na brzeg i stanął, ociekając wodą. Ujrzawszy mężczyzn przytrzymujących Spendera, mruknął „no” i ruszył naprzód.

– Wystarczy – warknął kapitan Wilder.

Towarzysze Spendera puścili go. Biggs przystanął i obejrzał się na dowódcę.

– W porządku, Biggs, przebierz się w coś suchego. Wy tam, nie przeszkadzajcie sobie! Spender, chodź ze mną!

Mężczyźni podjęli przerwana zabawę. Wilder odszedł kawałek, po czym spojrzał wprost w twarz Spendera.

– Może zechciałby pan wyjaśnić mi, co się stało? – spytał.

Spender patrzył w głąb kanału.

– Nie wiem. Było mi wstyd. Za Biggsa, za nas wszystkich i za ten hałas. Chryste, co za cyrk.

– Odbyli długą podróż. Muszą się rozerwać.

– Gdzie się podziało ich poczucie przyzwoitości, kapitanie? Ich godność, poszanowanie odmienności?

– Jest pan zmęczony i inaczej spogląda na pewne rzeczy, Spender. Płaci pan grzywnę, pięćdziesiąt dolarów.

– Tak jest. Po prostu pomyślałem, że oni patrzą, jak robimy z siebie głupców.

– Oni?

– Marsjanie, nieważne – żywi czy martwi.

– Niewątpliwie martwi – odparł kapitan. – Sądzi pan, iż wiedzą, że tu jesteśmy?

– Czyż stare nie wyczuwa zawsze nadejścia nowego?

– Chyba tak. Gada pan, jakby wierzył w duchy.

– Wierzę w rzeczy, których dokonano, a na Marsie istnieją ślady, że wykonano tu mnóstwo rzeczy. Są tu ulice, domy, pewnie także książki, wielkie kanały i pomieszczenia, w których trzymano jeśli nie konie, to inne domowe zwierzęta. Może dwunastonogie, kto wie? Wszędzie, gdzie spojrzę, dostrzegam rzeczy zdradzające ślady użycia. Dotykano ich, wykorzystywano przez całe wieki.

Jeśli zatem pyta mnie pan, czy wierzę w ducha używanych rzeczy, to owszem, wierzę. To wszystko tu jest. Wszystkie przedmioty, niegdyś tak powszechne. Góry też miały kiedyś własne nazwy. I nigdy nie zdołamy ich wykorzystać, nie czując się przy tym niezręcznie. Nie przywyknijemy do tych gór: nadamy im nowe nazwy, ale nigdy nie zabrzmią one właściwie, bo stare nazwy istnieją gdzieś, skryte w otchłani czasu, i to właśnie one kształtowały niegdyś te szczyty. Nazwy, które nadamy kanałom, góróm i miastom, spłyną po nich niczym woda po kacze.

Nieważne, jak bardzo będziemy próbowali, nigdy nie zdołamy dotknąć sedna Marsa. A potem zacznie nas to złościć i wie pan, co zrobimy? Zniszczymy go. Zedrzemy z niego skórę, aby nadać mu nowe oblicze.

– Nie zrujnujemy Marsa – zaprotestował kapitan. – Jest zbyt wielki i zbyt piękny.

– Tak pan sądzi? My, Ziemianie, mamy talent do niszczenia wielkich i pięknych rzeczy. Tylko dlatego nie umieściliśmy budek z hot dogami pośrodku egipskiej świątyni w Karnaku, że leży ona na uboczu i przez to nie przyciąga handlowców. Poza tym Egipt to tylko drobna część Ziemi. Tutaj jednak cały świat jest stary i obcy, a my musimy gdzieś się osiedlić i zacząć wszystko psuć. Kanałowi nadamy imię Rockefellera, górze – króla Jerzego, morzu – Duponta; ochrzcimy też miasta nazwiskami Lincolna, Roosevelta i Coolidge’a, i nic nie będzie takie, jak powinno, bo miejsca te już mają swoje właściwe nazwy.

– To wasza praca, archeologów. Wy musicie znaleźć stare nazwy, a my będziemy ich używać.

– Kilku ludzi przeciwko potędze interesów. – Spender spojrział na pasmo żelaznych gór. – Oni wiedzą, że przybyliśmy tu dzisiaj, aby napluć im do wina, i zapewne nas nienawidzą.

Kapitan potrząsnął głową.

– Nie wyczuwam tu nienawiści. – Przez moment słuchał szmeru wiatru. – Sądząc z wyglądu ich miast, byli ludem filozofów, ceniących piękno i sztukę. Akceptowali to, co ich spotykało. Wiemy przecież, że pogodzili się nawet ze śmiercią całej swojej rasy. Nigdzie nie widać śladów ostatniej rozpaczliwej walki, która poruszyłaby ich miasta. Wszystko, co dotąd oglądaliśmy, pozostało nietknięte. Prawdopodobnie nie mają nic przeciw naszej obecności, tak samo jak nie protestowałyby, gdyby na ich trawnikach zaczęły bawić się dzieci, bo pojmowali dziecięce pragnienia. Zresztą może zetknięcie z tym światem odmieni nas na lepsze.

Czy dostrzegł pan ów szczególny spokój, jaki ogarnął naszych ludzi, póki Biggs nie zmusił ich do zabawy? Sprawiali wrażenie dziwnie pokornych i przerażonych. Teraz wiemy, że daleko nam



do doskonałości. Jesteśmy jak dzieci w pajacykach bawiące się raketami i atomami – głośne i pełne życia. Jednak pewnego dnia Ziemia stanie się taka jak Mars dzisiaj. To nas otrzeźwi. Podobne doświadczenie stanowi lekcję pogładową w dziedzinie cywilizacji. Mars wiele nas nauczy. A teraz niech pan uniesie głowę. Wracajmy i udawajmy, że świetnie się bawimy. Ale grzywnę i tak pan zapłaci.

\* \* \*

Przyjęcie nie szło zbyt dobrze. Nad martwym morzem zerwał się wiatr. Zaczął krążyć wokół załogi, wokół kapitana i Jeffa Spendera, którzy tymczasem wrócili do pozostałych. Wiatr wzbijał w powietrze chmury pyłu, atakując niestrudzenie lśniąca raketę i akordeon. Kurz wciskał się w szczeliny organków, wpadał do oczu, wiatr nucił zaś wysoką melodyjną pieśń. Aż wreszcie, równie nagle, jak się wcześniej pojawił, wiatr ucichł.

Jednak zabawa także się skończyła.

Ludzie stali bez ruchu na tle ciemnego chłodnego nieba.

– Chłopaki, chodźcie! – Biggs wyskoczył ze statku w świeżym mundurze. Nie obdarzył Spendera nawet jednym słowem. Jego głos zabrzmiał jak kogoś wołającego w wielkiej pustej sali. Spenderowi wydał się samotny. – Chodźcie!

Nikt się nie ruszył.

– No, Whitie, łap się za organki!

Whitie posłusznie zagrał, lecz już pierwszy akord zadźwięczał obco i fałszywie. Mężczyzna otarł wilgotną harmonijkę i schował ją.

– To ma być zabawa? – rzucił Biggs.

Ktoś nacisnął akordeon, który jęknął jak konające zwierzę.

– W porządku, urządzimy własną zabawę. Ja i moja flaszka. – Biggs przykucnął obok rakiety, pociągając długi łyk.

Spender obserwował go. Przez długi czas trwał bez ruchu. Wreszcie jego palce popęzły wolno do tkwiącego w kaburze pistoletu i cicho, niemal niedostrzegalnie poklepały grubą skórę.

– Czy ktoś ma ochotę wybrać się ze mną do miasta? – spytał kapitan. – Na wszelki wypadek zostawimy wartownika

i zabierzemy broń.

Zaczęli zgłaszać się chętni. Czternastu, łącznie z Biggsem, który zameldował się ze śmiechem, wymachując butelką. Sześciu wolało zostać.

– No to idziemy! – wrzasnął Biggs.

Całą grupą ruszyli naprzód, maszerując cicho. W blasku ścigających się po niebie bliźniaczych księżyców dotarli do granicy martwego miasta. Każdy z mężczyzn rzucał podwójny cień. Nie oddychali, a przynajmniej przez kilkanaście chwil tak się zdawało. Czekali, żeby coś poruszyło się wśród martwych budowli, by powstała z nich jakaś szara postać i pradawny widmowy cień przeciął galopem dno wyschłego morza, zakuty w starożytną stal – nieznaną metal niewiarygodnego pochodzenia.

Oczy i umysł Spendera wypełniły ulicę postaciami. Po brukowanych alejkach krążyli ludzie, zwiewni niczym światła w błękitnej mgle. Towarzyszył im cichy, słaby pomruk; od czasu do czasu po szaro-czerwonym piasku przemykało jakieś dziwne zwierzę. W każdym oknie pojawił się mieszkaniec, który wychylał się z niego, machając wolno ręką, jakby tkwił w beczasowej wodnej głębinie i pozdrawiał kogoś stojącego pod wieżami, srebrnymi w blasku księżyców. Jego wewnętrzne ucho usłyszało muzykę i Spender wyobraził sobie kształt instrumentu, który musiał ją zrodzić. Całą tę krainę nawiedzały duchy.

– Hej! – ryknął Biggs, osłaniając usta dłońmi. – Hej! Wy tam, w mieście!

– Biggs! – warknął kapitan.

Mężczyzna ucichł.

Ruszyli naprzód wykładaną płytami ulicą. Teraz wszyscy już szeptali, czuli się bowiem tak, jakby weszli do wielkiej otwartej biblioteki, czy może mauzoleum, w którym mieszkał wiatr, a gwiazdy dostarczały światła. Kapitan odezwał się półgłosem. Zastanawiał się, dokąd odeszli mieszkańcy miasta, kim byli, kto nimi władał, jak umarli. Rozmyślał też, jak udało im się wznieść miasto, które przetrwało wieki. Czy kiedykolwiek przybyli na Ziemię? Może byli przodkami Ziemiaków sprzed dziesięciu tysięcy

lat? Czy znali podobne do ludzkiego uczucie miłości i nienawiści? I czy popełniali głupstwa tak jak Ziemianie?

Nikt się nie poruszył. Księżycy odnalazły ich i przyszpiliły do kamieni. Wiatr krążył wokół.

– Lord Byron – mruknął Jeff Spender.

– Jaki lord? – Kapitan odwrócił się do niego.

– Lord Byron, dziewiętnastowieczny poeta. Dawno, dawno temu napisał wiersz, który idealnie pasuje do tego miasta i tego, co czuliby Marsjanie, gdyby jacyś jeszcze pozostali. Równie dobrze mógłby być dziełem ostatniego poety Marsa.

Ludzie stali bez ruchu, rzucając długie cienie.

Wreszcie kapitan rzekł:

– Jak idzie ten wiersz, Spender?

Spender przestąpił z nogi na nogę, uniósł dłoń i przez chwilę mrużył w skupieniu oczy. Wreszcie, przypomniawszy sobie, zaczął recytować powoli, miarowo, a towarzysze słuchali z uwagą.

*Już nie będzie się łąziło,  
w ten mrok nocny, co nas krył,  
choćby serce jeszcze biło,  
choćby księżyc znów się skrzył.*

Miasto było szare, wyniosłe, nieruchome. Twarze ludzi zwracały się do światła.

Miecz odrzuca zdartą pochew,  
duch odmawia piersiom snu,  
miłość niech odpocznie trochę,  
serce musi nabrać tchu.

*Więc choć noc kochania uczy,  
i zbyt wczesnie wraca brzask –  
nie będziemy już się włóczyć  
w księżycowy blask<sup>2</sup>.*

Ziemianie stali w milczeniu w samym środku miasta. Noc była spokojna, wokół nie słychać było żadnych dźwięków poza szumem wiatru. Płyty dziedzińca ułożone były w kształty pradawnych zwierząt i ludzi. Przybysze spojrzeli na nie.

Nagle Biggs beknął. Jego oczy patrzyły tępo przed siebie, ręce powędrowały ku ustom. Zakrztusił się, zgiął wpool i z jego ust trysnął strumień ciecicy, rozbryzgując się po mozaice i pokrywając starożytne wzory. Biggs powtórzył to jeszcze dwukrotnie. W chłodnym powietrzu rozeszła się ostra kwaśna woń.

Nikt się nie poruszył, aby mu pomóc. Mężczyzna nadal wymiotował.

Spender przez moment mu się przyglądał, po czym zawrócił i odszedł w głąb miasta, samotny w blasku księżyców. Ani razu nie przystanął, aby obejrzeć się na swych towarzyszy.

\* \* \*

O czwartej nad ranem wrócili do rakiety. Położyli się owinięci kocami i zamknęli oczy, wciągając w płuca nieruchome powietrze. Kapitan Wilder siedział przy ognisku, podsycając płomień drobnymi patyczkami.

Dwie godziny później zagadnął go McClure.

– Nie idzie pan spać, kapitanie?

– Czekam na Spendera.

Dowódca lekko się uśmiechnął.

McClure zastanowił się przez moment.

– Wie pan, kapitanie, mam wrażenie, że on już nie wróci. Nie wiem dlaczego, ale tak przypuszczam. On już tu nie wróci.

Odwrócił się na drugi bok. Ogień trzasnął i zgasł.

\* \* \*

Spender nie wracał przez cały tydzień. Kapitan rozesłał grupy poszukiwawcze, jednakże ludzie wrócili z niczym, twierdząc, że nie wiedzą, gdzie mógł się podziać. Kiedy będzie gotów, sam przyjdzie. To zapaleniec, powtarzali. Do diabła z nim!

Kapitan milczał, zapisywał jednak wszystko w dzienniku.

Rankiem dnia, który mógł być poniedziałkiem lub wtorkiem, lub jakimkolwiek innym dniem na Marsie, Biggs siedział na brzegu kanału. Przewieszone przez krawędź nogi moczył w zimnej wodzie, podczas gdy twarz wystawił do słońca.

Na brzegu pojawił się mężczyzna. Kiedy jego cień padł na Biggsa, ten uniósł wzrok.

– A niech mnie! – rzucił.

– Jestem ostatnim Marsjaninem – oznajmił mężczyzna, dobywając broni.

– Co powiedziałaś?

– Zamierzam cię zabić.

– Przestań. Co to za żarty, Spender?

– Wstawaj i przyjmij to jak mężczyzna.

– Na miłość boską, odłóż pistolet.

Spender tylko raz pociągnął za spust. Biggs jeszcze przez moment siedział na brzegu kanału, po czym pochylił się naprzód i runął w wodę. Pistolet wydał z siebie tylko cichy pomruk. Ciało powoli, beztrudnie płynęło z leniwym prądem. Przez chwilę słychać było cichy bulgot, który jednak wkrótce ustał.

Spender wsunął broń do kabury i bezszelestnie odszedł. Nad Marsem świeciło słońce. Czuł, jak promienie palą jego ręce i muskają napiętą twarz. Nie biegł; szedł, jakby nic się nie stało, jakby wokół był tylko słoneczny blask. Zbliżywszy się, ujrzał raketę i grupkę ludzi jedzących świeżo przyrządzone śniadanie w cieniu rozbitego przez Cookiego namiotu.

– Idzie nasz samotnik – rzucił ktoś.

– Cześć, Spender! Dawno cię tu nie było.

Czterej ludzie siedzący przy stole patrzyli na milczącego mężczyznę, który stał obok, przyglądając im się uważnie.

– Ty i te twoje przeklęte ruiny! – roześmiał się Cookie, mieszając w garnku czarny płyn. – Jesteś jak pies w składzie kości.

– Możliwe – odparł Spender. – Znalazłem różne rzeczy. Co byście powiedzieli na to, że natrafiłem na krążącego w pobliżu Marsjanina?

Cała grupka szybko odłożyła widelce.

– Naprawdę? Gdzie?

– Nieważne. Pozwólcie, że o coś was spytam. Jak byście się czuli, gdybyście to wy byli Marsjanami, a ludzie przybyli do waszego kraju i zaczęli go niszczyć?

– Doskonale wiem, jak bym się czuł – odparł Cherokee. – W moich żyłach płynie krew Irokezów. Dziadek opowiadał mi często o Terytorium Oklahomy. I jeśli został tu gdzieś jakiś Marsjanin, jestem po jego stronie.

– A wy? – spytał ostrożnie Spender.

Nikt się nie odezwał. Ich milczenie wystarczyło za odpowiedź. Łap ile wlezie. Co znajdziesz, to twoje. Jeśli ktoś nadstawi drugi policzek, uderz go czym prędzej. I tak dalej, i tak dalej...

– No cóż... – mruknął Spender. – Ja znalazłem Marsjanina.

Patrzyli na niego, mrużąc oczy.

– Tam, w martwym mieście. Nie wiedziałem, że go spotkam. Nie zamierzałem nawet szukać. Nie mam pojęcia, co tam porabiał. Spędziłem tydzień w małym miasteczku w dolinie, ucząc się czytać pradawne księgi i oglądając starożytne dzieła sztuki. I któregoś dnia ujrzałem tego Marsjanina. Przez chwilę stał tam, po czym zniknął. Następnego dnia nie wrócił. Siedziałem przed domem, próbując odczytać stare pismo, gdy Marsjanin znów się pojawił; za każdym razem coraz bardziej się zbliżał. Aż wreszcie w dniu, kiedy zdołałem odcyfrować ich język – jest zdumiewająco prosty, istnieją też piktogramy wspomagające naukę – Marsjanin stanął przede mną i rzekł: „Daj mi swoje buty”. Posłuchałem go, a on na to: „Daj mi swój mundur i resztę ekwipunku”. A kiedy to uczyniłem, rzekł: „Oddaj mi broń.” I dałem mu pistolet. Wówczas powiedział: „Teraz chodź ze mną i patrz, co się stanie”. Po tych słowach Marsjanin ruszył w stronę obozu. I teraz tu jest.

– Nie widzę żadnych Marsjan – stwierdził Cherokee.

– Przykro mi.

Spender wyjął pistolet, który zamruczał cicho. Pierwsza kula trafiła mężczyznę po lewej. Druga i trzecia pozbawiły życia siedzących po prawej i pośrodku stołu. Cookie ze zgrozą odwrócił się od kuchni tylko po to, by trafił go czwarty pocisk. Runął do tyłu, wprost w ogień, i jego ubranie zaczęło płonąć.

Rakieta leżała w słońcu. Trzej mężczyźni siedzieli przy śniadaniu z rękami na blacie. Nie poruszali się, nietknięte jedzenie stygło przed nimi na stole. Cherokee, wciąż cały i zdrowy, patrzył na Spendera z niedowierzaniem.

– Możesz pójść ze mną – rzekł Spender.

Cherokee nie odpowiedział.

– Możesz mi w tym pomóc.

Wreszcie chłopak zdołał się odezwać.

– Zabiłeś ich – wykrztusił, odważywszy się spojrzeć na swych towarzyszy.

– Zasłużyli na to.

– Oszalałeś!

– Możliwe. Ale możesz ze mną pójść.

– Pójść z tobą! Po co?! – krzyknął Cherokee. Jego twarz pobladła, z oczu spływały łzy. – Idź już! Wynoś się stąd!

Oblicze Spendera stężało.

– Myślałem, że spośród nich wszystkich ty jeden mnie zrozumiesz.

– Wynocha! – Cherokee sięgnął po broń.

Spender strzelił po raz ostatni. Mężczyzna przestał się ruszać.

Nagle Spender zachwiał się na nogach. Uniósł dłoń do spoconego czoła, zerknął na raketę i zaczął dygotać. Jego ciało zareagowało z taką siłą, że omal nie upadł. Wyglądał jak człowiek budzący się z transu. Usiadł i polecił swemu ciału, by przestało drżeć.

– Przestań! Przestań! – rozkazywał. Każdy jego mięsień kurczył się i dygotał. – Przestań! – Miażdżył swe ciało myślą, dopóki nie wycisnął z niego ostatniej drgawki. Jego dłonie spoczęły bez ruchu na kolanach.

Wstał i zręcznie zarzucił na plecy szelki przenośnej lodówki. Przez moment jego dłońią znów wstrząsnął dreszcz, jednak Spender rzucił stanowcze „nie!” i drzenie ustało. Wówczas, maszerując sztywno, zawrócił i skierował się samotnie pomiędzy rozpalone do czerwoności wzgórza Marsa.

Słońce uniosło się na niebie. Godzinę później z rakiety wygramolił się kapitan; miał ochotę na jajka na szynce. Właśnie zamierzał się przywitać z czterema ludźmi siedzącymi przy stole, gdy zamarł, czując w powietrzu słabiutką woń prochu. Ujrzał kucharza leżącego na ziemi w miejscu, gdzie jeszcze niedawno płonęło ognisko. Na stole stało jedzenie, całkiem już zimne.

Chwilę później na drabince pojawił się Parkhill i jeszcze dwaj ludzie. Kapitan zagradzał im drogę, zafascynowany milczącymi towarzyszami i tym, jak wciąż siedzieli przy śniadaniu.

– Zwołaj wszystkich, całą załogę – polecił.

Parkhill pobiegł wzdłuż kanału.

Kapitan dotknął ramienia Cherokee, a ten poruszył się lekko i padł na piasek. Jego krótkie szorstkie włosy i wydatne kości policzkowe jaśniały w palącym blasku słońca.

Zjawili się pozostali.

– Kogo brakuje?

– Wciąż tylko Spendera, kapitanie. Znaleźliśmy Biggsa w kanale.

– Spender!

Kapitan powiódł wzrokiem po wyrastającym w oddali łańcuchu wzgórz, szczerząc zęby w paskudnym grymasie.

– Niech go diabli porwą! – rzekł ze znużeniem. – Czemu nie przyszedł i nie pogadał ze mną?

– To ze mną powinien być pogadać! – wykrzyknął Parkhill. Jego oczy płonęły. – Rozwaliłbym mu czerep, ot co!

Kapitan Wilder skinieniem głowy wezwał dwóch ludzi.

– Przynieście łopaty – rozkazał.

Ciężko było kopać groby w upale. Gorący wiatr znad pustego morza sypał im piaskiem w oczy, podczas gdy kapitan przewracał strony Biblii. Kiedy w końcu zatrzasnął książkę, ktoś zaczął sypać powolne strumienie piasku na nieruchome, spowite w koce postaci.

Potem wrócili do rakiety, sprawdzili zamki karabinów, zarzucili na plecy pojemniki z granatami i upewnili się, że pistolety gładko wychodzą z kabur. Następnie kapitan przydzielił każdemu kawałek terenu wśród wzgórz.

– Idziemy! – rozkazał.



\* \* \*

Spender ujrzał w dolinie kilka obłoczków kurzu i zrozumiał, że rozpoczął się pościg. Zamknął niegrubą srebrną książkę, którą czytał, siedząc wygodnie na płaskim głazie. Jej karty były cieniutkie jak bibułka, utkane z czystego srebra i malowane ręcznie czernią i złotem. Był to traktat filozoficzny, liczący sobie co najmniej dziesięć tysięcy lat, który Spender znalazł w jednej z willi marsjańskiego miasta w dolinie. Teraz z najwyższą niechęcią odłożył go na bok.

Przez chwilę zastanawiał się, po co to wszystko. Zostanę tu, pogrążony w lekturze, póki się nie zjawią i mnie nie zastrzelą.

Jego pierwszą reakcją na zabicie sześciu ludzi tego ranka było zupełne otępienie. Potem poczuł mdłości, aż wreszcie osobliwy spokój. Jednak on też minął, bowiem widok kurzu wzbijanego nogami polujących nań mężczyzn wzbudził w Spenderze nową falę niechęci.

Pociągnął łyk chłodnej wody z wiszącej u pasa menażki. Następnie wstał, przeciągnął się, ziewnął i przez moment wsłuchiwał się w cudowną ciszę otaczającej go doliny. Jakże wspaniałe życie mogliby tu wieść – on i jeszcze kilku innych, których znał na Ziemi. Dokonaliby tu żywota w milczeniu i beztrosce.

Ruszył naprzód, w jednej dłoni trzymając książkę, w drugiej gotowy do strzału pistolet. Wkrótce dotarł do wąskiego bystrego potoku, pełnego białych kamyków i głazów. Spender rozebrał się i brodząc w wodzie, umył się bez pośpiechu. Już ubrany, z powrotem podniósł broń.

Pierwsze strzały padły około trzeciej po południu. Do tego czasu Spender był już wysoko na wzgórzach. Szli za nim przez trzy małe osady. Nad miastami, rozrzucone niczym kamienie na trawie, stały pojedyncze wille, w których dawne rodziny odpoczywały na brzegach strumyka, wśród zieleni, w wykładanym kaflami basenie, w bibliotece i na dziedzińcu, pośrodku którego pulsowała fontanna. Spender pluskał się godzinami w jednym z basenów pełnych deszczowej wody,

czekając, aż ścigający zrównają się z nim.

Gdy opuścił willę, w powietrzu świsnęła kula. Jeden z kaflów dwadzieścia stóp za nim eksplodował. Spender pobiegł naprzód, oszczędzając siły. Skręcił za rząd niewysokich skałek, zawrócił i pierwszym strzałem powalił jednego ze ścigających go ludzi.

Wiedział, że jego prześladowcy wkrótce okrążą go, po czym, zaciskając pętlę, dopadną go. Dziwne, że dotąd nie użyli granatów. Kapitan Wilder mógł już dawno wydać taki rozkaz.

Ale jestem nazbyt miły, by rozwalić mnie na kawałki, pomyślał Spender. Tak przynajmniej uważa kapitan. Chce, żeby moje ciało oszpeciła tylko jedyna dziura. Czyż to nie dziwne? Pragnie, abym zginął czystą śmiercią, żeby to nie było nic paskudnego. Czemu? Bo mnie rozumie. A ponieważ rozumie, jest gotów ryzykować życie porządnych ludzi, byle tylko zabili mnie czystym strzałem w głowę.

Znów zaświszczały kule. Dziewięć, dziesięć. Kamienie wokół niego zaczęły podskakiwać. Spender odpowiadał miarowymi strzałami, czasem nawet nie odrywając wzroku od trzymanej w ręku srebrnej książki.

Kapitan wybiegł na słońce, unosząc w dłoniach karabin. Spender odprowadzał go wzrokiem, cały czas trzymając na muszce. Nie wystrzelił jednak. Zamiast tego uniósł broń i zdmuchnął szczyt skałki, za którą ukrywał się Whitie. Odpowiedział mu gniewny okrzyk.

Nagle kapitan przystanął. W rękach trzymał białą chusteczkę. Powiedział coś do swych ludzi i odłożywszy karabin, zaczął wspinać się po zboczu góry. Spender leżał przez chwilę bez ruchu, po czym dźwignął się na nogi, nie opuszczając broni.

Kapitan podszedł bliżej i usiadł na ciepłym głazie, przez chwilę w ogóle na niego nie patrząc.

Wreszcie sięgnął do kieszeni kurtki. Palce Spendera zacisnęły się na kolbie pistoletu.

- Papierosa? – zaproponował kapitan.
- Dzięki. – Spender poczęstował się.
- Ognia?
- Mam własny.

Zaciągnęli się w milczeniu.

– Ciepło – zauważył kapitan.

– Owszem.

– Wygodnie tu panu?

– Tak.

– Jak pan sądzi, ile czasu się pan utrzyma?

– Dostatecznie długo, by zabić jakichś dwunastu ludzi.

– Czemu nie wystrzelał nas pan dziś rano, kiedy miał okazję?

Wie pan chyba, że mógł to zrobić?

– Owszem. Źle się poczułem. Kiedy dostatecznie silnie czegoś pragniemy, zaczynamy się okłamywać. Mówimy, że pozostali ludzie nie mają racji. Cóż, wkrótce po tym, gdy zacząłem ich zabijać, uświadomiłem sobie, że to zwykli głupcy i nie powinienem był tego robić. Ale było już za późno. Nie mogłem wówczas kontynuować przerwanej zadania, toteż wróciłem tutaj, aby pooszukiwać się jeszcze trochę, znów poczuć dostatecznie mocny gniew, by dokończyć dzieło.

– I co? Jest już wystarczająco mocny?

– Nie aż tak bardzo.

Kapitan przyglądał się swemu papierosowi.

– Czemu to pan zrobił?

Spender delikatnie odłożył broń na piasek.

– Ponieważ przekonałem się, że to, co mieli tu Marsjanie, wykraczało poza wszystko, o czym możemy marzyć. Zatrzymali się tam, gdzie i my powinniśmy to byli zrobić sto lat temu. Zwiedzałam ich domy, poznałem ów lud i z chęcią nazwałbym ich moimi przodkami.

– Mają tu piękne miasto. – Kapitan skinieniem głowy wskazał jedno ze skupisk budowli.

– I nie tylko. Marsjanie potrafili połączyć sztukę z życiem, a ta umiejętność zawsze była obca Amerykanom. Sztuka to coś, co trzymamy w pokoju syna na poddaszu, coś, co przyjmuje się w małych dawkach co niedzielę, czasem zmieszane z religią. Cóż, ci Marsjanie mieli sztukę, religię i wszystko pozostałe.

– Uważasz pan, że wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi?

– Założę się o każdy grosz.

- I dlatego właśnie zaczął pan strzelać do ludzi?

- Kiedy byłem mały, rodzice zabrali mnie na wycieczkę do Meksyku. Zawsze będę pamiętał, jak zachowywał się wówczas mój ojciec. Był głośny i prostacki. Matce nie podobali się tamtejsi ludzie, bo mieli ciemną skórę i za rzadko się myli, a siostra w ogóle nie chciała z nimi rozmawiać. Tylko ja dobrze się tam czułem. Wyobrażam sobie moją matkę i ojca, jak przylatują na Marsa i zachowują się dokładnie tak jak wtedy. Wszystko, co obce, budzi wrogość przeciętnego Amerykanina. Jeśli miasto nie ma chicagowskiej kanalizacji, jest do niczego. Proszę tylko pomyśleć! O Boże, co za koszmar! A potem wojna. Słyszał pan przemowy w Kongresie przed naszym startem. Jeśli wszystko się uda, wkrótce na Marsie powstaną trzy ośrodki badań jądrowych i składy broni atomowej. A to oznacza, że Mars jest skończony. Wszystkie te cuda odejdą. Jak by się pan czuł, gdyby Marsjanin zwymiotował przetrawionym alkoholem na podłogę w Białym Domu?

Kapitan słuchał w milczeniu. Spender ciągnął dalej:

- A potem do gry włączą się kolejne grupy nacisku: przedsiębiorstwa górnicze, biura podróży. Pamięta pan, co spotkało Meksyk, kiedy Cortez i jego najdrożsi przyjaciele przybyli tam z Hiszpanii? Grupa chciwych, zadufanych bigotów zniszczyła całą cywilizację. Historia nigdy nie wybaczy tego Cortezowi.

- Pan sam też nie zachował się dziś specjalnie etycznie - zauważył kapitan.

- Co innego mogłem zrobić? Dyskutować? Byłbym sam przeciwko całej ziemskiej chciwości, nieuczciwości, niszczyielskiej korupcji. Wkrótce sprowadziliby tu swoje ohydne bomby atomowe i zaczęłyby walczyć między sobą o bazy, z których można prowadzić wojny. Czy zniszczenie jednej planety już im nie wystarczy? Muszą zrujnować kolejną? Splugawić cudzą ojczyznę? Banda nadętych głupców! Gdy wspiałem się na te wzgórza, poczułem się nie tylko wolny od ich tak zwanej kultury, ale też od ich etyki i zwyczajów. Wyzwolilem się z dawnego układu odniesienia, pomyślałem. Wystarczy tylko

zabić was wszystkich i mogę żyć własnym życiem.

– Ale nie udało się panu – stwierdził kapitan.

– Nie. Kiedy zastrzeliłem piątego człowieka przy śniadaniu, odkryłem, że nie jestem jednak kimś nowym; nie stałem się Marsjaninem. Nie potrafiłem tak łatwo odrzucić tego, czego nauczono mnie na Ziemi. Teraz jednak znów odzyskuję wiarę. Zabiję was wszystkich. To o dobrych pięć lat opóźni następną wyprawę. W tej chwili nasza rakieta jest jedyną, jaka istnieje. Ludzie na Ziemi oczekują rok, może dwa, a kiedy nie dostaną żadnej wiadomości, będą się bali zbudować nowy statek. Zaczną się zastanawiać, przeprowadzać setki dodatkowych doświadczeń na modelach, aby upewnić się, że wyeliminowali niebezpieczeństwo.

– Ma pan rację.

– Z drugiej strony jeśli wróćcie, przywożąc dobre wieści, przyspieszycie inwazję na Marsa. Przy odrobinie szczęścia dożyję sześćdziesiątki. Wyjdę na spotkanie każdej wyprawy, która wyląduje na Marsie. Nie wyślą więcej niż jeden statek na raz, a i to co parę lat, zaś na pokładzie nie będzie więcej niż dwadzieścia osób załogi. Kiedy się z nimi zaprzyjaźnię i wyjaśnię, że pewnego dnia nasza rakieta wybuchła – zamierzam ją wysadzić, gdy tylko skończę swą pracę – zabiję ich wszystkich. Przez następne pół wieku Mars pozostanie nietknięty. Może po jakimś czasie ludzie z Ziemi zrezygnują z dalszych prób? Pamiętaj pan, jak szybko chytrość kazała im porzucić budowę zeppelinów, które zawsze stawały w płomieniach?

– Widzę, że wszystko pan sobie dokładnie zaplanował – przyznał kapitan.

– Owszem.

– Ale my mamy przewagę. Za godzinę zostanie pan otoczony, wkrótce potem zginie.

– Znalazłem siatkę podziemnych przejść i schronienie, którego nigdy nie znajdziecie. Ukryję się tam na parę tygodni, póki wasza czujność nie osłabnie. Wtedy wyjdę i wykończę was, jednego po drugim.

Kapitan skinął głową.

– Niech mi pan opowie o tutejszej cywilizacji – poprosił.

– Wiedzieli, jak żyć i współżyć z naturą. Nie starali się usilnie pozbyć pierwiastka zwierzęcego i pozostać wyłącznie ludźmi. To błąd, jaki popełniliśmy, kiedy Darwin wystąpił ze swoją teorią. Z uśmiechem przyjęliśmy pomysły Huxleya i Freuda. A potem odkryliśmy, że Darwin i nasza religia nie mogą współistnieć. Albo przynajmniej tak sądziliśmy. Byliśmy głupcami. Usiłowaliśmy obalić tezy Darwina, Huxleya i Freuda. Nie dało to większych rezultatów, więc jak idioci spróbowaliśmy obalić religię.

I to nam się powiodło. Utraciliśmy wiarę i zaczęliśmy błąkać się po świecie, zadając sobie pytanie, po co właściwie żyjemy, skoro sztuka daje wyłącznie ujęcie naszym pragnieniom, a religia to jedno wielkie oszustwo. Po cóż mamy żyć? Wiara zawsze udzielała nam odpowiedzi na każde pytanie, wszystko to jednak poszło w diabły wraz z Freudem i Darwinem. Byliśmy i nadal jesteśmy zagubioną rasą.

– A ci Marsjanie byli rasą odnalezioną?

– Tak. Wiedzieli, jak połączyć naukę i religię, by współgrały, nie zaprzeczając sobie, a jedynie wzbogacając się nawzajem.

– To brzmi idealnie.

– Bo takie było. Chętnie pokazałbym panu, jak Marsjanie to osiągnęli.

– Moi ludzie czekają.

– To potrwa najwyżej pół godziny. Proszę im to powiedzieć.

Kapitan zawahał się. Wreszcie wstał i wykrzyknął stosowny rozkaz.

Spender poprowadził go do małej marsjańskiej wioski wzniesionej z zimnego, doskonałego marmuru. Jej ściany ozdabiały wielkie fryzy przedstawiające piękne zwierzęta, kocie istoty o białych kończynach, żółtorękie symbole słońca. Wokół tłoczyły się posągi stworów podobnych do byków, rzeźby mężczyzn, kobiet i wielkich szlachetnych psów.

– Oto pańska odpowiedź, kapitanie.

– Nic nie widzę.

– Marsjanie odkryli sekret życia pośród zwierząt. Zwierzę nie kwestionuje życia, po prostu trwa. Życie to jedyny powód, dla

którego istnieje. Raduje się nim i napawa. Widzi pan te posągi i symbole zwierząt, powtarzające się bez końca?

– Wygląda to dość pogańsko.

– Wręcz przeciwnie. To symbole Boga, symbole życia. Człowiek na Marsie także stał się zanadto człowiekiem, zatraciwszy w sobie zwierzę. Tyle że mieszkańcy Marsa pojęli, iż aby przetrwać, muszą przestać zadawać to jedno, jedyne pytanie: czemu żyjemy? Życie stanowi ostateczną odpowiedź. Życie to mnożenie nowych bytów i możliwie najszcześniejsza egzystencja. U szczytu wojny i rozpacz Marsjanie uświadomili sobie, że w istocie zadawali pytanie: po co w ogóle żyć? Wówczas nie uzyskali odpowiedzi. Kiedy jednak cywilizacja uspokoiła się, a wojny ustały, pytanie w zupełnie nowy sposób straciło sens. Teraz życie było piękne. Nie potrzebowali dalszych sporów.

– Wygląda na to, że pańscy Marsjanie byli bardzo naiwni.

– Tylko kiedy im się to opłacało. Przestali starać się wszystko zniszczyć, wszystko poniżyć. Połączyli w jedną całość religię, naukę i sztukę, ponieważ nauka to w gruncie rzeczy badanie cudu, którego nigdy nie zdołamy wyjaśnić, a sztuka jest interpretacją tegoż cudu. Nigdy nie pozwolili nauce zniszczyć owego piękna. To tylko kwestia stopniowania. Ziemianin myśli: „Na tym obrazie barwa tak naprawdę nie istnieje. Naukowiec potrafi udowodnić, że kolor to jedynie komórki określonej substancji, odbijające światło. Zatem barwa nie jest tak naprawdę częścią oglądanego przeze mnie świata”. Marsjanin, znacznie mądrzejszy, powiedziałby: „To piękny obraz. Stworzyła go ręka i umysł natchnionego człowieka. Jego idea i barwa naśladują życie. To dobre dzieło”.

Zapadła cisza. Kapitan, siedząc w południowym słońcu, rozejrzał się ciekawie po małym, cichym miasteczku.

– Chętnie bym tu zamieszkał – rzekł.

– Może pan, jeśli chce.

– Proponuje to pan? Mnie?

– Czy ktokolwiek z pańskich podwładnych zdołałby zrozumieć to wszystko, o czym przed chwilą opowiadałem? To zawodowi cynicy. Dla nich jest już za późno. Czemu chce pan z nimi wracać?

Aby dotrzymać kroku sąsiadom? Kupić wóz dokładnie taki jak gość z naprzeciwka? Słuchać muzyki portfelem, miast całym organizmem? Tu niedaleko jest niewielki dziedziniec, na którym znalazłem taśmę z nagraniem marsjańskiej muzyki. Liczy sobie co najmniej pięćdziesiąt tysięcy lat i nadal można ją odtworzyć. Muzyka, jakiej w życiu nie słyszeliśmy. Mógłby jej pan wysłuchać. Są też książki. Odszyfrowanie ich pisma idzie mi całkiem nieźle. Mógłby pan siedzieć i poznawać skarby literatury Marsa.

– Wszystko to brzmi cudownie, Spender.

– Ale nie zostanie pan?

– Nie. W każdym razie dzięki.

– I z pewnością nie pozwoli mi pan odejść w spokoju. Będę musiał zabić was wszystkich.

– Optymista.

– Mam po co żyć i o co walczyć. To sprawia, że jestem lepszym zabójcą. Znalazłem tu coś, co stało się moją religią. Zupełnie jakbym na nowo uczył się oddychać, leżeć w słońcu, opalać się. Pozwolić dotykać się promieniom. Słuchać muzyki i czytać książkę. Co ofiaruje panu pańska cywilizacja?

Kapitan powoli pokręcił głową.

– Żałuję, że tak się stało. Przykro mi.

– Mnie także. Chyba powinienem odprowadzić pana z powrotem, żebyście mogli rozpocząć atak.

– Chyba tak.

– Kapitanie, nie zabiję pana. Kiedy to się skończy, wciąż będzie pan żył.

– Co?

– Od początku postanowiłem, że pana nie tknę. A kiedy pozostali zginą, może zmieni pan zdanie.

– Nie – odparł kapitan. – Mam w sobie zbyt wiele ziemskiej krwi. Będę musiał nadal pana ścigać.

– Nawet kiedy dam panu szansę pozostania tutaj?

– To dziwne, ale owszem, nawet wtedy. Nie wiem czemu. Nigdy nie zadawałem sobie tego pytania. No, jesteście. – Wrócili na miejsce, w którym się spotkali. – Poddaj się, Spender. To moja ostatnia oferta.



– Dzięki, ale nie. – Spender wyciągnął rękę. – I jeszcze jedno. Jeśli wygracie, proszę wyświadczyć mi pewną przysługę. Niech pan postara się wstrzymać niszczenie tej planety przynajmniej przez pięćdziesiąt lat, póki archeolodzy nie będą mieli szansy poznania tego wszystkiego.

– Zgoda.

– I wreszcie, jeśli to w czymś pomoże, niech pan myśli o mnie jak o obłąkańcu, który pewnego letniego dnia dostał ataku szału i nigdy nie miał racji. W ten sposób będzie panu łatwiej.

– Zastanowię się na tym. Żegnaj, Spender. Powodzenia.

– Niezwykły z pana człowiek – odparł Spender.

Kapitan pomaszerował w dół ścieżką z ciepłym wiatrem. Po chwili otoczył go oddziałek zakurzonych ludzi, jak kogoś, kto się zgubił, a teraz odnalazł drogę. Mrużąc oczy, spoglądał pod słońce, ciężko dysząc.

– Macie coś do picia? – spytał. Ktoś wcisnął mu do ręki chłodną piersiówkę. – Dzięki. – Pociągnął łyk i otarł usta. – W porządku. Bądźcie ostrożni. Nigdzie nam się nie śpieszy. Nie chcę, żeby ktoś jeszcze stracił życie. Musicie go zabić. Nie podda się. Jeśli się uda, zróbcie to czysto, jednym strzałem. Załatwmy to raz dwa.

– Rozwałę mu tę cholerną łepetynę! – rzucił Sam Parkhill.

– Nie. Strzelajcie w pierś – zaprotestował kapitan.

Wciąż jeszcze miał przed oczami silną, pełną determinacji twarz Spendera.

– Cholerną łepetynę – powtórzył Parkhill.

Kapitan niezgrabnie oddał mu butelkę.

– Słyszałeś, co powiedziałem? W pierś.

Parkhill zaklął pod nosem.

– Ruszamy! – rzucił kapitan.

\* \* \*

Wyruszyli, skradając się i biegnąc po zboczach letnich wzgórz, gdzie nagle można było się natknąć na chłodne, pachnące mchem grotty, a za chwilę wypaść na rozżarzone terasy, nad którymi unosił się zapach słońca i kamienia.

Nienawidzę przebiegłości, pomyślał kapitan, zwłaszcza gdy nie

czuję się dość sprytny i wcale nie chcę taki być. Skradanie się, ustalanie planów i uczucie, że czynią one z nas kogoś wielkiego. Nienawidzę świadomości, że mam rację, choć sam nie jestem co do tego przekonany. W czyim bowiem imieniu właściwie występujemy? Większości? Czy to jest odpowiedź? Większość zawsze ma rację, nigdy nie popełnia błędów, nawet przez jedną nieistotną chwilkę, ani jednej pomyłki przez dziesięć milionów lat. Czym jest ta większość?, zastanawiał się. I kim jesteśmy w niej my? O czym myślą jej członkowie? Czemu tacy się stali? Czy kiedykolwiek się zmienia? I co ja do diabła robię w tej przeklętej pułapce? Czy to klaustrofobia? Lęk przed tłumem? A może zwyczajny zdrowy rozsądek? Czy jeden człowiek może mieć rację, podczas gdy reszta świata się myli? Nie myślmymy o tym. Pełnijmy naprzód, pełni podniecenia, i pociągajmy za spust. O tak!

Mężczyźni biegli, uskakując za skałki i przykucając w cieniu. Błyskali zębami, dysząc, bo powietrze było bardzo rzadkie, nie nadające się do biegów. Od czasu do czasu przysiadali na pięć minut, dysząc ze świstem. Przed ich oczami wirowały czarne plamki, podczas gdy oni chłoneśli rozrzedzone powietrze, pragnąc więcej i więcej, zaciskając powieki, by wreszcie wstać, unieść broń i wybić dziury w tej cienkiej letniej atmosferze, otwory pełne dźwięku i gorąca.

Spender pozostał tam, gdzie był, strzelając jedynie od czasu do czasu.

– Rozwalę ci ten przeklęty łeb! – wrzasnął Parkhill, pędząc pod górę.

Kapitan wycelował karabin w Sama Parkhilla. Nagle opuścił broń, patrząc na nią ze zgrozą. Co ty wyprawiasz?, spytał swą bezwładną rękę.

O mało nie strzelił Parkhillowi w plecy.

Boże, dopomóż.

Patrzył, jak Parkhill wciąż biegnie, po czym pada na ziemię, kryjąc się w bezpiecznym miejscu.

Spender leżał na szczycie wzgórza, pomiędzy dwiema skałami, uśmiechając się, zmęczony oddychaniem rzadkim powietrzem;

pod jego pachami wyrosły dwie wielkie plamy potu. Kapitan ujrzał między tymi dwoma głazami szeroką na jakieś cztery cale szczelinę, otwierającą dostęp do piersi mężczyzny.

– Hej, ty! – ryknął Parkhill. – Mam tu kulkę, którą przestrzelę ci łeb!

Kapitan Wilder czekał. No dalej, Spender, pomyślał. Uciekaj, tak jak mówiłeś. Zostało ci jeszcze tylko parę minut. Znikaj stąd i wróć później. Idź. Mówiłeś przecież, że to zrobisz. Zejdź w głąb tunelu, który ponoć odkryłeś, ukryj się tam i zamieszkać przez następne miesiące i lata, oddając się lekturze przepięknych ksiąg i kąpielom w świątynnych basenach. Uciekaj, człowieku, zanim będzie za późno.

Spender nie ruszył się z miejsca.

– Co się z nim dzieje? – spytał samego siebie kapitan.

Uniósł karabin. Patrzył na ludzi biegnących, kryjących się wokół; na wieże czystej marsjańskiej wioski, rzeźbione figurki szachowe w blasku słońca. Ujrzał głazy i szczelinę między nimi oraz widoczną w niej pierś Spendera.

Parkhill pędził pod górę, wrzeszcząc wściekle.

– Nie, Parkhill! – rzucił kapitan. – Nie pozwolę ci na to. Ani innym. Żadnemu z was. Tylko ja mogę to zrobić. – Uniósł broń i wycelował.

Czy po tym będę czuł się zbrukany?, pomyślał. Czy to słuszne, abym ja to zrobił? Owszem. Wiem, że postępuję właściwie, że mam rację, albowiem jestem właściwą osobą. Mam tylko nadzieję, że stanę na wysokości zadania.

Skinął głową w stronę Spendera.

– Uciekaj! – zawołał głośnym szeptem, którego nikt nie usłyszał.

– Daję ci jeszcze trzydzieści sekund, abyś stąd zniknął. Trzydzieści sekund!

Zegarek na jego ręce tykał nieubłaganie. Kapitan patrzył. Jego ludzie biegli. Spender się nie ruszał. Zegarek tykał. Jego cykanie brzmiało w uszach kapitana niczym grzmot.

– No dalej, Spender, rusz się, uciekaj!

Minęło trzydzieści sekund.

Broń odnalazła cel. Kapitan odetchnął głęboko.

– Spender – rzekł, wypuszczając powietrze.

Nacisnął cyngiel.

Pozornie nic się nie stało. Jedynie drobny obłoczek skalnego pyłu uniósł się w powietrze. Po chwili echo wystrzału ucichło.

\* \* \*

Kapitan wstał i zawołał do swoich ludzi:

– On nie żyje!

Nie uwierzyli mu. Kąt, pod jakim patrzyli, uniemożliwiał im dostrzeżenie tej szczególnej skalnej szczeliny. Widzieli, jak ich kapitan biegnie samotnie pod górę, i uznali, że jest bardzo odważny albo oszalał.

Po kilku minutach poszli w jego ślady.

Zebrali się wokół ciała i jeden z nich spytał:

– W pierś?

Kapitan popatrzył w dół.

– W pierś – odrzekł. Widział, jak kamienie pod ciałem Spendera zmieniają barwę. – Zastanawiam się, czemu czekał. Dlaczego nie próbował uciec, tak jak zaplanował. Dlaczego został i dał się zabić?

– Kto wie? – odparł jeden z jego ludzi.

Spender leżał tam, gdzie padł; jedną dłoń zaciskał wokół kolby pistoletu, druga wciąż trzymała migoczącą w słońcu srebrną książkę.

Czy to przeze mnie?, rozmyślał kapitan. Dlatego, że nie zgodziłem się ustąpić? Zatem Spender nie chciał mnie zabić? Czym różnię się od pozostałych? Czyżby dlatego właśnie to zrobił? Uznał, że może mi zaufać? Czy istnieje jakaś inna odpowiedź? Nie. Przykucnął obok milczących zwłok. Będę musiał sprostać temu zadaniu, pomyślał. Teraz nie mogę go zawieść. Skoro uznał, że jest we mnie coś, co przypomina mu jego samego, i dlatego nie mógł mnie zabić, czeka mnie ogromna praca. To o to chodziło. Ja także jestem Spenderem, ale myślę, zanim zacznę strzelać. Nie, w ogóle nie strzelam, nie zabijam. Zamiast tego kieruję ludźmi. Nie potrafił mnie zabić, ponieważ jestem nim, tyle że odrobinę innym.

Kapitan poczuł na karku ciepły promień słońca. Usłyszał własny głos mówiący:

– Gdyby tylko przyszedł do mnie porozmawiać, zanim kogokolwiek postrzelił... Może zdołalibyśmy dojść do porozumienia?

– Dojść do porozumienia? – powtórzył Parkhill. – Jak można dojść do porozumienia z kimś takim?

Fala upału zalewająca skały, błękitne niebo, cały świat niosła ze sobą dziwną odległą pieśń.

– Chyba masz rację – mruknął kapitan. – Nigdy byśmy się nie dogadali. Spender i ja, to możliwe. Ale Spender i ty oraz wszyscy pozostali? Nie, nigdy. Lepiej, że tak się stało. Daj mi jeszcze łyka.

To kapitan zaproponował, by pochowali Spendera w pustym sarkofagu. Znaleźli starożytny marsjański cmentarz. Umieścili Spendera w srebrnej skrzyni, wśród wosków i win liczących sobie dziesięć tysięcy lat, z rękami splecionymi na piersi. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzeli, była jego pogodna twarz.

Przez chwilę stali w prądawnej krypcie.

– Sądzę, że dobrze by było, gdybyśmy wszyscy wspomnieli go od czasu do czasu – rzekł kapitan.

Wyszli na dwór, zatrzymując za sobą marmurowe drzwi grobowca.

Następnego popołudnia Parkhill zaczął ćwiczyć się w strzelaniu w jednym z martwych miast, roztrzaskując kryształowe okna i szczyty kruchych wież. Kapitan przyłapał go na tym i wybił mu wszystkie zęby.

## **sierpień 2001:**

### **OSADNICY**

Ludzie z Ziemi przybyli na Marsa.

Przyjechali wiedzeni lękiem albo brakiem lęku, ponieważ byli szczęśliwi bądź nieszczęśliwi; bo chcieli poczuć się jak Pielgrzymi albo i nie. Każdego przywiodły tu własne powody. Opuszczali nieudane żony, nieudane zawody, nieudane miasta; zjawiali się tu, aby coś odnaleźć, porzucić lub zdobyć, odkryć, pogrzebać, zostawić w spokoju. Wyruszeni kierowani śmiałymi wizjami, skromnymi snami albo w ogóle brakiem marzeń. Czterobarwne plakaty rozwieszone w całym kraju powtarzały za rządem: TY TEŻ ZNAJDZIESZ PRACĘ W KOSMOSIE. LEĆ NA MARS! I ludzie posłuchali. Z początku tylko nieliczni, drobna garstka, większość bowiem, zanim jeszcze rakietę wystrzeliła w przestrzeń, nabawiła się potężnej choroby. Nosila ona miano samotności, bo kiedy widzi się swoje rodzinne miasto malejące do rozmiarów pięści, potem cytryny i szpilki, by wreszcie zniknąć w ognistym ogniu, człowiek czuje się tak, jakby nigdy się nie narodził, jakby miasto w ogóle nie istniało, a on tkwił sam, otoczony przestrzenią, w towarzystwie obcych ludzi, pozbawiony punktu oparcia. A kiedy morze chmur pochłaniało stany Illinois, Iowa, Missouri czy Montana, Stany Zjednoczone kurczyły się do rozmiarów wyspy, a cała planeta Ziemia stawała się odrzuconą błotnistą piłką, człowiek zostawał sam, wędrując przez błonie kosmosu w drodze do miejsca, którego nawet nie potrafił sobie wyobrazić.

Nic dziwnego zatem, że najpierw wyruszyli nieliczni. W miarę rozrostu kolonii na Marsie liczba przybyszów zwiększała się – jak powiadają, w wielości siła. Jednakże pierwsi samotnicy musieli radzić sobie sami...

## Zielony ranek

Po zachodzie słońca zboczył ze ścieżki, aby przyrządzić sobie skromną kolację. Unosząc jedzenie do ust i żując z namysłem, słuchał potrzaskiwania ognia. Kolejny dzień, podobny do trzydziestu pozostałych; kolejne dziesiątki równiutkich dziur wykopanych o świcie, zagrzebanych w ziemi nasion i wody dźwiganej z błyszczących kanałów. Teraz, gdy znużenie przygniotło jego szczupłe ciało żelaznym ciężarem, leżał, obserwując zmieniające się kolory nieba.

Nazywał się Benjamin Driscoll, miał trzydzieści jeden lat, a jego marzeniem były drzewa. Wysokie zielone drzewa na Marsie; rozłożyste korony produkujące powietrze, coraz więcej powietrza, rosnące coraz wyżej z każdym rokiem; drzewa, które osłoniłyby miasta przed letnimi upałami i wiatrami zimy; pożyteczne drzewa, które dodają barwy światu, zapewniają cień i rodzą owoce; dzieci bawią się wśród nich, skacząc i balansując w królestwie splątanych gałęzi. Oto drzewo, połączenie radości i prozy życia. Jednakże przede wszystkim drzewa dostarczały płucom lodowatego powietrza, a kiedy ludzie kładli się nocą w śnieżną pościel łóżek, łagodny szelest liści usypiał ich niczym kołysanka.

Driscoll leżał przytulony do mrocznej ziemi, słuchając, jak zbiera się w sobie, czekając na słońce, albowiem nie nastąpiła jeszcze pora deszczów. Jego ucho przytknięte do gruntu chwyciło odgłos stóp, które będą kroczyły w tym miejscu w nadchodzących latach. Wyobrażał sobie, jak zasadzone dziś nasiona kiełkują zielone i świeże i obejmują w posiadanie niebo, gałąź za gałęzią, póki Mars nie przekształci się w szumiący las, rozległy promienny sad.

Wczesnym rankiem, gdy mała tarcza słońca rozbłyśnie słabo wśród pofałdowanych wzgórz, Driscoll wstanie, w kilka minut dokończy pachnące dymem śniadanie i zdeptawszy popiół

ogniska, ruszy w drogę, dźwigając plecak. Znów będzie sprawdzał skład gleby, kopał, umieszczał w otworach nasiona bądź kielki, uklepywał lekko ziemię, podlewał i tak dalej, i tak dalej, pogwizdując lekko, podczas gdy czyste niebo pojaśnieje i nadejdzie ciepłe południe.

– Potrzebujesz powietrza – rzekł w stronę nocnego ogniska. Ogień był mu rumianym żywym towarzyszem, który trząskając potakująco i drzemał tuż obok, rozgrzewając spojrzeniem swych sennych różowych oczu nocny chłód. – Wszyscy potrzebujemy powietrza. Tu, na Marsie, atmosfera jest zbyt rzadka, człowiek łatwo się męczy. Zupełnie jakby mieszkał wysoko w Andach w Południowej Ameryce. Oddycha głęboko i nic to nie daje.

Pomacał żebra. W ciągu trzydziestu dni jego klatka piersiowa bardzo się rozrosła. Aby zapewnić sobie więcej powietrza, ludzie będą musieli rozwinąć własne płuca. Albo zasadzić drzewa.

– I właśnie po to tu jestem – oznajmił. Ogień strzelił cicho. – W szkołach opowiadają nam historię Johnny’ego Pestki, który wędrował po Ameryce, sadząc jabłonie. Cóż, ja dokonam więcej, sadzę bowiem dęby, wiązy i klony, wszelkie gatunki drzew, cedry, osiki i kasztany. Miast dostarczać tylko owoców brzuchom, dostarczam płucom powietrza. Kiedy za paręnaście lat moje drzewa urosną, pomyśl tylko, ile wytworzą tlenu.

Przypomniał sobie dzień swego przybycia na Marsa. Podobnie jak tysiące innych przybyszów spojrział na nieruchomy w blasku poranka świat i pomyślał: Czy będę tu pasował? Czym się zajmę? Czy znajdę jakąś pracę?

A potem zemdłał.

Ktoś przytknął mu do nosa fiolkę z amoniakiem i Driscoll, kaszląc, odzyskał świadomość.

– Nic panu nie będzie – oznajmił lekarz.

– Co się stało?

– Powietrze jest tu dość rzadkie. Niektórzy nie są w stanie tego znieść. Obawiam się, że będzie pan musiał wrócić na Ziemię.

– Nie! – Usiadł gwałtownie. Niemal natychmiast pociemniało mu w oczach i Mars zawirował wokół niego. Jego nozdrza rozszerzyły się; zmusił płuca, by wciągnęły w siebie głęboki



haust nicości. – Nic mi nie będzie. Muszę tu zostać!

Zostawili go leżącego i chwytającego rozpaczliwie oddechem niczym wyrzucona na brzeg ryba. On zaś pomyślał: Powietrze, powietrze, powietrze. Odsyłają mnie z powodu powietrza. Odwróciwszy głowę, spojrział na marsjańskie pola i wzgórze. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł, był zupełny brak drzew. Jak daleko sięgał wzrok, nie dojrzał ani jednego. Wokół rozciągały się czarne iłowe pustkowia, pozbawione choćby jednego źdźbła trawy. Powietrze!, pomyślał, ze świsem wciągając do nosa rozrzedzony tlen. Powietrze. Na szczytach wzgórz, w ich cieniach, nawet na brzegach strumieni, ani jednego drzewa. Nawet kępki zielonej trawy. Oczywiście! Miał wrażenie, że odpowiedź przyszła nie z jego umysłu, lecz z płuc i gardła. I myśl ta była niczym haust czystego tlenu, dodając mu sił. Drzewa i trawa. Popatrzył na swe ręce. Zasadzi tu drzewa i trawę. To będzie jego praca. Walka z tym, co mogło przeszkodzić mu zostać na Marsie. Wypowie tej planecie osobistą rolniczą wojnę. Oto połacie starej gleby, niegdyś dającej życie roślinom, które jednak już dawno wyginęły. A gdyby sprowadzić tu nowe gatunki? Ziemskie drzewa, wzniosłe mimozy i wierzby płaczące, magnolie i dostojne eukaliptusy – co wtedy? Trudno stwierdzić, jakie bogactwo minerałów kryje się nietknięte w tej ziemi, bo pradawne paprocie, kwiaty, krzaki i drzewa wymarły co do jednego.

– Pozwólcie mi wstać! – krzyknął. – Muszę porozmawiać z Koordynatorem!

Przez cały ranek dyskutowali o rzeczach, które rosną i są zielone. Miną miesiące, jeśli nie lata, zanim rozpocznie się zorganizowane sadzenie roślin. Na razie mrożoną żywność sprowadzano wprost z Ziemi w wielkich latających soplach. Powstały też załączki kilku ogrodów w hydroponicznych zbiornikach.

– Tymczasem – oznajmił Koordynator – to będzie pańska praca. Dostarczymy panu wszelkie dostępne nasiona i nieco sprzętu. W tej chwili każda odrobina miejsca w rakietach jest niezwykle cenna. Ponieważ pierwsze miasta to wyłącznie osady górnicze,

obawiam się, że nie znajdzie pan zrozumienia, sadząc swoje drzewa.

– Ale pozwolicie mi to robić?

Pozwolili mu.

Zaopatrzony w motocykl, którego bagażnik wypełniały bezcenne nasiona i kiełki, zaparkował swój pojazd w samotnej dolinie i ruszył pieszo przez kraj.

Było to trzydzieści dni wcześniej i Driscoll ani razu nie obejrzał się za siebie. To bowiem z pewnością ostudziłoby jego zapał. Na Marsie panowała niezwykła susza; wątpliwe, by jakiegokolwiek nasienie skiełkowało. Możliwe, że całe cztery tygodnie skłonów i kopania spędził na niczym. Toteż patrzył wyłącznie przed siebie, schodząc w głąb szerokiej, płytkiej doliny skąpanej w blasku słońca, coraz dalej od Pierwszego Miasta, i czekając, aż nadejdą deszcze.

Teraz, gdy naciągał koc na ramiona, nad wyschłymi górami gromadziły się chmury. Mars był miejscem równie nieprzewidywalnym jak czas. Pan Benjamin Driscoll czuł, jak spalone słońcem wzgórze stygną z nadejściem lodowatej nocy. Pomyślał o bogatej, czarnej jak tusz ziemi, tak ciemnej i lśniącej, że kiedy ścisnął ją w dłoni, miał wrażenie, że zaraz zacznie się ruszać; tak żywej, iż wydawało się, że lada moment wystrzeli z niej gigantyczne strąki, które otworzą się z ogłuszającym trzaskiem, wyrzucając z siebie wrzeszczących olbrzymów.

Ostatnie słabe płomyki zgasły pod kołdrą popiołu. Powietrze zadrżało, niosąc ze sobą odległe echo. Grzmot. Nagły zapach wody. Tej nocy, pomyślał i wyciągnął rękę, przywołując deszcz. Tej nocy.

\* \* \*

Obudziło go uderzenie kropli w czoło.

Woda spłynęła po grzbiecie jego nosa i dalej, po wargach. Kolejna kropla trafiła go w oko, na moment przesłaniając świat. Następna rozbryznęła się na podbródku.

Deszcz.

Zimna, łagodna mżawka opadała z nieba; życiodajny eliksir,

niosący ze sobą smak magii powietrza i gwiazd, przyprawiony kurzem, spływał po jego języku niczym lekka szlachetna sherry.

Deszcz.

Usiadł, odrzucając koc. Jego błękitną dzinsową koszulę natychmiast pokryły plamy. Krople deszczu stawały się coraz większe. Ogień wyglądał tak, jakby niewidzialne zwierzę stratowało go, tańcząc, i pozostawiło jedynie gniewny dym. Deszcz padał. W wielkiej czarnej kopule niebios otwarło się sześć błękitnych pęknięć, które strzaskały szklistą powłokę. Ujrzał dziesięć miliardów deszczowych kryształków, uwiecznionych na moment w błysku elektryczności. Potem pozostała tylko woda – i ciemność.

Wkrótce przemókł do suchej nitki, nadal jednak unosił twarz, pozwalając ze śmiechem, by krople rozbijały się na jego powiekach. Klasnął w dłonie i wstał, krążąc po swym maleńkim obozowisku. Była pierwsza nad ranem.

Deszcz padał przez pełne dwie godziny, po czym ustał. Na niebie rozbłysły gwiazdy jaśniejsze i wyraźniejsze niż kiedykolwiek.

Pan Benjamin Driscoll, przebrany w suche ubranie wyjęte z foliowego worka, położył się na ziemi i zasnął szczęśliwy.

\* \* \*

Słońce wstało powoli między wzgórzami. Jego promienie musnęły pustkowie i obudziły pana Driscolla. Odczekał chwilę, po czym wstał.

Przez długi gorący miesiąc pracował niestrudzenie, toteż teraz odwrócił się wreszcie i spojrział w kierunku, z którego przybył.

Powitał go zielony ranek.

Jak daleko sięgał wzrokiem, na tle nieba wyrastały drzewa. Nie jedno, dwa czy tuzin, lecz tysiące, które zasadził, każdy kiełek i nasienie. I nie były to małe drzewka, sadzonki, pierwsze wątle pędy, lecz wielkie pnie; drzewa wysokie niczym dziesięciu ludzi, zielone, zieleńsze, o krągłych gęstych koronach. Ich metaliczne liście połyskiwały w słońcu, podczas gdy pokrywające rzędami wzgórza drzewa cytrynowe i pomarańczowe, lipy, sekwoje

i mimozy, dęby, wiązy i osiki, wiśnie, klony, jesiony, jabłonie i eukaliptusy szeptały, pobudzone do życia falą deszczu, wykarmione przez obcą czarodziejską glebę. Na jego oczach nowe gałęzie strzelały w górę, kolejne pąki otwierały się ku słońcu.

– To niemożliwe! – krzyknął pan Benjamin Driscoll.

Jednakże poranek i dolina wciąż były zielone.

A powietrze!

Wszędzie wokół, niczym bystry prąd górskiej rzeki, krążyło nowe powietrze, tlen wydychany przez zielone drzewa. Niemal widziało się jego rozświetlone krystaliczne fale. Tlen, czysty, świeży, zielony tlen, który przemieniał dolinę w deltę rzeki. Za chwilę wszystkie drzwi w mieście otworzą się szeroko. Ludzie wybiegną na ulice, chłonąc nowy cud tlenu, wciągając powietrze, spijając je całymi łykami. Ich policzki zaróżowią się, nosy przemarzną, płuca ożyją, serca zabiją raźniej, a znużone ciała ruszą do tańca.

Pan Benjamin Driscoll wciągnął w płuca haust zielonego wilgotnego powietrza i zemdlął.

Zanim się ocknął, ku złotemu słońcu wystrzeliło pięć tysięcy nowych drzew.

**luty 2002:**

## SZARAŃCZA

Ogień raketowy pochłaniał łąki, przemieniał skały w lawę, drzewa w popiół, a wodę w parę, topił piasek i krzemionkę w zielone szkło, które niczym strzaskane zwierciadła zalegało wszędzie wokół, odbijając pojazdy najeźdźców. Rakiety przybywały niczym werble huczące w ciemności, jak szarańcza roiły się i osiadały na równinach pośród różowego dymu. A z nich wybiegali ludzie, unosząc w dłoniach młoty, gotowi przekuć ów obcy świat w coś znajomego oku, przegnać to, co nieznanne. Trzymając w zębach gwoździe, przypominali drapieźców o stalowych szczękach; spluwali metalem w zręczne dłonie, zbijając ramy domów. Okrywali je gontami dachów przesłaniającymi obce gwiazdy. Zielone okiennice nie wpuszczały do środka nocy. Kiedy cieśle odeszli, zjawily się kobiety z doniczkami, rondlami i perkalem, i podzwaniając kankami, zaczęły się krzątać w kuchniach, wypełniając znajomymi dźwiękami ciszę Marsa, która wciąż zalegała za drzwiami i zamkniętymi oknami.

W ciągu sześciu miesięcy na nagiej planecie wyrosło dwanaście małych osad, pełnych syczących neonów i żółtych żarówek. W sumie na Marsa przybyło już ponad dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi, a na Ziemi kolejni pakowali manatki...

## sierpień 2002:

### SPOTKANIE NOCĄ

Przed wyprawą na Błękitne Wzgórza Tomas Gomez zatrzymał się na samotnej stacji, aby nabrać benzyny.

– Pustawo tu, co, dziadku? – spytał.

Stary mężczyzna przetarł przednią szybę niewielkiej ciężarówki.

– Nie jest tak źle.

– Jak wam się podoba Mars, dziadku?

– Bardzo. Stale natykam się na coś nowego. Kiedy w zeszłym roku przybyłem na tę planetę, postanowiłem nie oczekiwać niczego, o nic nie prosić, niczemu się nie dziwić. Musimy zapomnieć Ziemię i tamtejsze zwyczaje, skupić się na tym, co zastaliśmy tutaj, jak bardzo to wszystko jest inne. Sama pogoda dostarcza mi świetnej zabawy. To marsjańska pogoda: za dnia gorąco jak w piekle, nocą diablo zimno. Bawią mnie też obce kwiaty i obcy deszcz. Przyleciałem na Marsa, gdy tylko przeszedłem na emeryturę, a zawsze chciałem spędzić ją w miejscu, gdzie wszystko jest inne. Stary człowiek potrzebuje odmiany. Młodzi nigdy nie chcą z nim rozmawiać, a inni starcy śmiertelnie go nudzą. Toteż uznałem, że muszę wyszukać sobie miejsce tak inne, że wystarczy unieść powieki, aby mieć rozrywkę. Otworzyłem stację benzynową. Jeśli interes zanadto się rozkręci, przeniosę się na inną starą drogę, gdzie nie ma takiego ruchu. Byleby tylko zarobić na życie i mieć czas, aby czuć inność tego świata.

– Dobry mieliście pomysł, dziadku – orzekł Tomas.

Jego opalone ręce spoczywały na kierownicy. Czuł się naprawdę świetnie. Przez ostatnich dziesięć dni pracował bez przerwy w jednej z nowych kolonii, a teraz miał dwa dni wolnego i zmierzał na przyjęcie.

– Już nic mnie nie zaskakuje – ciągnął dalej starzec. – Po prostu patrzę i chłonę. Jeśli nie potrafisz zaakceptować Marsa takim, jaki jest, równie dobrze możesz wracać na Ziemię. Wszystko tu jest inne, szalone: gleba, powietrze, kanały, tubylcy (dotąd żadnego nie widziałem, ale słyszałem, że kręcą się w pobliżu), zegary. Nawet mój własny zegar zachowuje się osobliwie, zupełnie jakby czas także oszalał. Często mam wrażenie, jakbym tkwił tu zupełnie sam, jakby poza mną na całej planecie nikogo nie było. I gotów jestem się założyć, że to prawda. Innego dnia wydaje mi się, że mam najwyżej osiem lat, moje ciało kurczy się, a wszystko inne wyrasta wysoko. Jezu, to cudowne miejsce dla starego człowieka. Pobudza mnie, ożywia, sprawia, że jestem szczęśliwy. Wie pan, jaki jest Mars? Przypomina zabawkę, którą dostałem na Gwiazdkę siedemdziesiąt lat temu – nie wiem, czy kiedykolwiek miał pan coś takiego. Nazywali ją kalejdoskopem; kawałeczki kryształ, tkaniny, koraliki i inne świecidełka. Unosiło się ją do światła, zaglądało do środka i widok zapierał dech w piersi. Wszystkie te wzory... Cóż, taki właśnie jest Mars. Proszę się nim cieszyć i nie żądać, aby stał się czymś innym, niż teraz jest. Dobry Jezu, wiedział pan, że tę drogę zbudowali Marsjanie? Liczy sobie dobrych szesnaście wieków! A nadal jest w świetnym stanie. To będzie dolar pięćdziesiąt.

Tomas, śmiejąc się cicho, odjechał starożytną drogą.

Długi trakt wiódł między wzgórz, prosto w ciemność. Tomas, trzymając w dłoniach kierownicę, od czasu do czasu sięgał do pojemnika z prowiantem, częstując się cukierkiem. Jechał już ponad godzinę, nie natknąwszy się na żaden inny samochód. Istniały jedynie rozwijająca się przed nim wstęga drogi, pomruk silnika i przejmująca, wszechobecna cisza Marsa. Mars zawsze był cichy, lecz tego wieczoru stał się cichszy niż kiedykolwiek. Za oknami przepływały pustynie i suche morza. Na tle gwiazd rysowały się łańcuchy gór.

Tej nocy w powietrzu unosiła się woń czasu. Tomas uśmiechnął się, zadowolony z tego pomysłu. To ci dopiero. Jak mógłby pachnieć czas? Kurzem, płaszcami i ludźmi. A jeśli zastanowić się, jak brzmi czas, to szumi on niczym woda płynąca w mrocznej

grocie, dźwięczy jak płaczące głosy, huczy jak ziemia opadająca na drewniane wieka trumien, szmerze jak deszcz. A dalej, jak wygląda czas? Jak śnieg padający cicho w ciemnym pokoju albo może niemy film w dawnym kinie – setki miliardów twarzy szybujących w dół niczym noworoczne balony, coraz niżej i niżej, w nicość. Tak właśnie pachniał, wyglądał i brzmiał czas. Tej nocy zaś – Tomas wysunął rękę za okno ciężarówki – tej nocy można go było nieomal dotknąć.

Jechał dalej pomiędzy wzgórzami czasu. Po jego karku przebiegł dreszcz. Wyprostował się, uważnie obserwując drogę.

Po chwili zjechał na pobocze w martwym marsjańskim miasteczku, wyłączył silnik i pozwolił, by otoczyła go cisza. Siedział tak, wstrzymując oddech i spoglądając na białe budynki skąpane w blasku księżyców, od wieków stojące pustką. Doskonałe, idealne budowle. Zrujnowane? Owszem, ale mimo wszystko doskonałe.

Włączył silnik, przejechał kolejną milę, po czym ponownie się zatrzymał. Wysiadł z ciężarówki, niosąc w ręku pudełko z prowiantem, i wspiął się na niewielki skalny cypel, z którego roztaczał się widok na zasypane pyłem miasto. Otworzył termos i nalał sobie kubek kawy. Niedaleko przemknął nocny ptak. Tomas czuł się wspaniale. Ogarnął go niezwykle spokój.

Jakieś pięć minut później jego uszu dobiegł cichy dźwięk. Daleko wśród wzgórz, w miejscu, gdzie starożytna droga gwałtownie skręcała, coś się poruszyło, rozblęskło słabe światełko, a potem zamruczał silnik.

Tomas powoli odwrócił się z kubkiem kawy w ręce.

I nagle zza wzgórz wyłoniło się coś dziwnego.

To była maszyna, jaskrawozielony owad przecinający delikatnie chłodne nocne powietrze; olbrzymia modliszka o ciele wysadzonym setkami zielonych diamentów, mrugających w blasku gwiazd. Osadzone pomiędzy nimi czerwone klejnoty lśniły niczym fasetowe oczy. Sześć nóg uderzało o pradawny szlak z odgłosem przypominającym szum deszczu w oddali. Siedzący z tyłu maszyny Marsjanin o oczach z płynnego złota popatrzył na Tomasa, jakby spoglądał w głąb mrocznej studni.



Tomas uniósł dłoń w odruchowym powitaniu, lecz jego usta nie poruszyły się, albowiem to był prawdziwy Marsjanin. Jednakże Tomas pływał w błękitnych rzekach Ziemi, nie dbając o stojących na brzegu nieznanym; jadał w obcych domach z obcymi ludźmi i zawsze jego jedyną bronią pozostawał uśmiech. Nie nosił ze sobą pistoletu, i teraz także nie czuł takiej potrzeby, choć ogarnął go lekki strach.

Ręce Marsjanina też były puste. Przez długą chwilę patrzyli na siebie poprzez mrok.

To Tomas poruszył się pierwszy.

– Witaj! – zawołał.

– Witaj! – odrzyknął Marsjanin w swym własnym języku.

Nie zrozumieli się nawzajem.

– Czy powiedziałaś „witaj”? – spytali obydwoje.

– Co mówisz? – dodali, każdy w swojej mowie.

Skrzywili się.

– Kim jesteś? – spytał Tomas po angielsku.

– Co tu robisz? – Wargi nieznanego poruszyły się, formując marsjańskie słowa.

– Dokąd zmierzasz? – dodali oszołomieni.

– Jestem Tomas Gomez.

– Jestem Muhe Ca.

Żaden z nich nie rozumiał, jednakże powtarzając swe imiona, uderzali się w piersi, i wreszcie pojęli, o co chodzi.

Nagle Marsjanin wybuchnął śmiechem.

– Zaczekaj! – Tomas poczuł, jak coś sięga jego głowy, choć nie dotknęła go niczyja ręka. – Proszę! – rzekł Marsjanin po angielsku. – Tak lepiej.

– Już zdołałaś nauczyć się mojego języka? Tak szybko?

– To nic wielkiego.

Patrzyli po sobie, zakłopotani nagłą ciszą. Ich spojrzenia powędrowały ku parującej kawie Tomasa. – Coś nowego? – spytał Marsjanin.

– Chciałbyś spróbować? – zaproponował Tomas.

– Chętnie.

Marsjanin zsunął się ze swej maszyny.

Tomas wyciągnął drugi kubek, napełnił go parującą kawą i podał obcemu.

Ich ręce zetknęły się i przeniknęły przez siebie jak mgła.

– Chryste Panie! – wykrzyknął Tomas, upuszczając kubek.

– Bogowie! – rzucił Marsjanin w swym własnym języku.

– Widziałeś, co się stało? – szepnęli obydwaj.

Ogarnął ich lodowaty lęk.

Marsjanin schylił się, aby dotknąć kubka, jednakże jego palce przeszły przez skorupę.

– Jezu – westchnął Tomas.

– Istotnie. – Marsjanin ponownie spróbował. Bez powodzenia. Wyprostował się i zastanowił przez moment, po czym wyjął zza pasa nóż.

– Hej! – krzyknął Tomas.

– Źle mnie zrozumiałeś! Łap go! – krzyknął Marsjanin i cisnął sztylet. Tomas złożył dłonie, jednakże nóż przeniknął przez jego ciało i uderzył o ziemię. Tomas sięgnął po niego, nie zdołał go jednak dotknąć i odskoczył, wstrząsany dreszczem.

Spojrzał na stojącego na tle nieba Marsjanina.

– Gwiazdy – rzekł.

– Gwiazdy – powtórzył Marsjanin, patrząc na Tomasa.

Ostre białe gwiazdy przeświecały przez ciało Marsjanina i pływały w nim niczym iskierki uwięzione w cienkiej świetlistej błonie galaretowatej meduzy. Fioletowe gwiazdne oczy migotały w jego brzuchu i piersi, niczym klejnoty płonęły w jego przegubach.

– Widzę wskroś ciebie – powiedział Tomas.

– A ja wskroś ciebie – odparł Marsjanin, cofając się o krok.

Tomas pomacał swe ciało i czując jego ciepło, uspokoił się. To ja jestem prawdziwy, pomyślał.

Marsjanin dotknął własnego nosa i ust.

– Mam ciało – rzekł półgłosem. – Żyję.

Tomas wpatrywał się w niego.

– A jeśli ja istnieje naprawdę, ty musisz być martwy.

– Nie, ty!

– Duch!

– Zjawa!

Wskazywali się nawzajem, a światło gwiazd płonęło w ich dłoniach niczym sztylety, sople i świetliki. A potem znów zaczęli badać własne kończyny i każdy stwierdzał, że jest gorący, materialny, podniecony, oszołomiony, zachwycony. A ten drugi? O tak, ten drugi naprzeciw niego to tylko nierzeczywista zjawa, widmowy pryzmat skupiający blask odległych światów.

Jestem pijany, pomyślał Tomas. Na pewno nie wspomnę jutro nikomu o tym spotkaniu.

Stali tak na starożytniej drodze, żaden się nie ruszał.

– Skąd przybywasz? – spytał w końcu Marsjanin.

– Z Ziemi.

– Gdzie to jest?

– Tam. – Tomas skinął głową w stronę nieba.

– Kiedy?

– Wylądowaliśmy ponad rok temu. Pamiętasz?

– Nie.

– A wy wszyscy byliście martwi. No, prawie wszyscy. Jesteście dziś rzadkością, wiedziałeś o tym?

– To nieprawda.

– Owszem. Widziałem wasze ciała. Czarne trupy w sypialniach, we wszystkich domach, bez życia. Tysiące.

– To śmieszne. My żyjemy.

– Może o tym nie wiesz, ale zostaliście najechani. Musiałeś uciec.

– Nie uciekłem; nie było przed czym. O czym ty mówisz? W tej chwili wybieram się na festyn nad kanałem u stóp gór Eniall. Byłem tam zeszłej nocy. Nie widzisz miasta? – Marsjanin wskazał ręką.

Tomas podążył za nią wzrokiem i ujrzał ruiny.

– Ależ to miasto jest martwe od tysiący lat.

Marsjanin wybuchnął śmiechem.

– Martwe? Spałem tam wczoraj.

– A ja byłem tam dziś, tydzień temu i jeszcze tydzień wcześniej. To kupa gruzu. Widzisz strzaskane kolumny?

– Strzaskane? Owszem, widzę wyraźnie. Księżycy świecą jasno, a kolumny są nietknięte.

– Ulice zaściela pył – rzucił Tomas.  
– Są czyste!  
– Kanały stoją puste.  
– Płynie w nich lawendowe wino!  
– Miasto jest martwe.  
– Żyje! – protestował Marsjanin, zaśmiewając się coraz głośniej.  
– Och, jakże się mylisz! Nie widzisz weselnych świąteł? Są tam piękne łodzie, smukłe niczym kobiety; piękne kobiety, smukłe jak łodzie; kobiety barwy piasku z ognistymi kwiatami w dłoniach. Widzę je, maleńkie, biegające po ulicach. Tam właśnie zmierzam, na festyn. Przez całą noc będziemy żeglować po kanałach, śpiewać, pić, kochać się. Nie widzisz tego?

– Przyjacielu, to miasto jest martwe jak zasuszona jaszczurka. Spytaj kogokolwiek z naszej grupy. Ja sam jadę dziś do Zielonego Miasta; to nowa kolonia, zbudowana niedawno w pobliżu traktu Illinois. Coś ci się pomieszało. Sprowadziliśmy tu milion stóp desek z dobrego oregońskiego drewna i parę tuzinów ton gwoździ z porządnej stali i zbiliśmy z nich dwie śliczniutkie wioski, lepszych z pewnością nie widziałeś. Dziś właśnie oblewamy jedną z nich. Z Ziemi przybędzie parę rakiet, przywożąc ze sobą nasze żony i narzeczone. Będą też tańce, whisky...

Twarz Marsjanina zdradzała niepokój.

– Twierdzisz, że jedziesz w tym kierunku?  
– Tam stoją rakiety. – Tomas podprowadził go do krawędzi zbocza i wskazał w dół. – Widzisz?

– Nie.

– Do diabła, przecież są! Te długie srebrne przedmioty.

– Nie.

Nagle Tomas wybuchnął śmiechem.

– Jesteś ślepy.

– Bynajmniej. To ty nic nie dostrzegasz.

– Ale przecież widzisz nowe miasto, prawda?

– Jedynie ocean. Niedawno zaczął się odpływ.

– Przyjacielu, ta woda wyparowała czterdzieści wieków temu.

– To już naprawdę przesada.

– Nie, to prawda, mówię ci.

Marsjanin spoważniał.

– Powtórz raz jeszcze. Nie dostrzegasz miasta takim, jak je opisuję? Niezwykle białych kolumn, niezwykle smukłych łodzi, światła festynu? Och, widzę je tak wyraźnie! Słuchaj! Z dala dochodzi śpiew. To naprawdę niedaleko.

Tomas nasłuchiwał przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– Nie.

– A ja nie widzę tego, co ty opisujesz. No, no.

Znów ogarnął ich chłód, zupełnie jakby ich ciała zamieniły się w lód.

– Czy to możliwe...?

– Co takiego?

– Twierdzisz, że przybywasz z nieba?

– Z Ziemi.

– Ziemia to tylko nazwa, nic nie znaczy – stwierdził Marsjanin. – Ale... kiedy godzinę temu dotarłem do przełęczy... – musnął dłonią kark – poczułem...

– Chłód?

– Tak.

– A teraz?

– Znowu. To dziwne. Światło, wzgórze, droga – wszystko miało w sobie coś osobliwego – powiedział Marsjanin. – Poczułem obcość drogi, światła, i przez moment wydało mi się, jakbym był jedyną żywą istotą na całym świecie...

– Ja też – przerwał mu Tomas; zupełnie jakby rozmawiał ze starym, drogim przyjacielem, zwierając mu się, poruszając bliski ich sercu temat.

Marsjanin przymknął oczy i ponownie je otworzył.

– To może znaczyć tylko jedno. Cała ta sprawa ma jakiś związek z czasem. Tak. Jesteś zjawą z przeszłości.

– Nie, to ty pochodzisz z przeszłości – zaprotestował natychmiast Ziemićjanin.

– Jesteś taki pewny siebie. Jak możesz udowodnić, który z nas pochodzi z przeszłości, a który z przyszłości? Który rok mamy?

– Dwa tysiące drugi.

– Co to dla mnie znaczy?

Tomas pomyślał przez chwilę i wzruszył ramionami.

– Nic.

– Zupełnie jakbym ci powiedział, że jest rok 44462853 S.E.C. To nic i gorzej niż nic. Gdzie znajdziemy zegar, który pokaże nam pozycje gwiazd?

– Ale ruiny! Dowodzą, że to ja jestem przyszłością, ja żyję, a ty jesteś martwy!

– Wszystko we mnie temu zaprzecza. Moje serce bije, żołądek łąknie, usta są spragnione. Nie, żaden z nas nie jest ani żywy, ani martwy. Choć przecież obaj żyjemy. Zupełnie jakbyśmy trafili pomiędzy dwa światy, dwóch nieznanomych mijających się w ciemności. Dwóch obcych. Ruiny, powiadasz?

– Owszem. Boisz się?

– Któż chciałby ujrzeć przyszłość? Kto by tego pragnął? Przeszłości można stawić czoło, ale pomyśl tylko – twierdzisz, że kolumny zawałyły się, morze jest puste, kanały wyschły, dziewczęta umarły, a kwiaty zwiędły? – Marsjanin umilkł. Po chwili jednak spojrział przed siebie. – Ale przecież tu są! Widzę je. Czyż to nie wystarczy? Czekają na mnie, nieważne, co powiesz.

Na Tomasa zaś czekały w dali rakiety, miasto i kobiety z Ziemi.

– Nigdy się nie pogodzimy – rzekł.

– Zgódźmy się zatem co do dzielących nas sprzeczności – odparł Marsjanin. – Skoro obaj żyjemy, jakie to ma znaczenie, który z nas pochodzi z przeszłości, a który z przyszłości? To, co ma być, i tak będzie – jutro albo za dziesięć tysięcy lat. Skąd wiesz, że te świątynie to nie leżące w gruzach kościoły twojej własnej cywilizacji za sto wieków? Nie możesz wiedzieć, zatem nie pytaj. Ale noc jest bardzo krótka. Na niebie płonie łuna. To ognie festynu i świąteczne ptaki.

Tomas wyciągnął rękę. Naśladując go, Marsjanin uczynił to samo.

Ich dłonie nie zetknęły się, lecz przeniknęły przez siebie.

– Czy spotkamy się jeszcze?

– Kto wie? Może któreś innej nocy?

– Chętnie poszedłbym z tobą na ten festyn.

– A ja bardzo pragnąłbym odwiedzić wasze nowe miasto, ujrzeć statek, o którym mówiłeś, zobaczyć owych ludzi, usłyszeć o wszystkim, co się wydarzyło.

– Do zobaczenia – rzucił Tomas.

– Dobranoc.

Marsjanin dosiadł swej zielonej metalowej maszyny i odjechał cicho między wzgórz. Ziemianin zawrócił swoją ciężarówkę i skierował się w przeciwną stronę.

– Dobry Boże, co za sen – westchnął Tomas, pieścąc kierownicę; jego myśli krążyły wokół rakiet, kobiet, ostrej whisky, polek wirginijskich i zabawy.

Jakaż osobliwa wizja, stwierdził Marsjanin, pędząc naprzód i rozmyślając o festynie, kanałach, łodziach, złotoookich kobietach i pieśniach.

Noc była ciemna. Księżyc zasłży. Światło gwiazd migotało na powierzchni pustej drogi, gdzie nie rozlegał się już żaden dźwięk. Wokół nie było żywej duszy, nic. I pozostało tak przez resztę chłodnej nocy.

## październik 2002:

### BRZEG

Mars był jak odległy brzeg, na który ludzie przybywali falami. Każda z nich była inna, każda coraz większa. Pierwsza przyniosła ze sobą mężczyzn przywykłych do chłodu, samotności i rozległych przestrzeni; łowców wilków i zaganiaczy bydła, pozbawionych grama tłuszczu. Lata wyostrzyły ich rysy, oczy były twarde jak główki gwoździ, ręce szorstkie niczym skóra starych rękawic, gotowe dotknąć wszystkiego. Mars nic im nie mógł zrobić, przywykli bowiem do równin i prerii, rozległych jak tutejsze pola. Zjawili się zatem i ujarzmili pustkowia, by inni nabrali odwagi, aby pójść w ich ślady. Wstawili szyby w puste okna, zapalili za nimi światło.

Tacy byli pierwsi mężczyźni.

Wszyscy wiedzieli, kim będą pierwsze kobiety.

Druga fala mężczyzn winna była wyruszyć z innych krajów, przynosząc ze sobą obce akcenty i idee. Jednakże rakiety zbudowano w Ameryce, pionierzy także byli Amerykanami. I tak już zostało – Europa, Azja, Ameryka Południowa, Australia i wyspy patrzyły, jak w niebo strzelają rzymskie świece, pozostawiając ich w tyle. Reszta świata pogrzażyła się w wojnie bądź myślach o niej.

Toteż druga fala ludzi także przybyła z Ameryki. Ci pochodzili z kapuścianych osiedli i korytarzy; towarzystwo milczących przybyszów z równin było dla nich niczym ożywczy oddech, upragnione wakacje, albowiem pierwsi ludzie wiedzieli, jak posłużyć się ciszą, aby przepełniła człowieka spokojem po długich latach, kiedy tkwił skurczony w rurach, puszkach i skrzynkach Nowego Jorku.

Pomiędzy przybyszami drugiej fali znaleźli się zaś ludzie, w których oczach płonęła wiara, że zmierzają wprost do Boga...



**luty 2003:**

**TYMCZASEM...**

Sprowadzili piętnaście tysięcy stóp desek z oregońskiej sosny, z których miało powstać Dziesiąte Miasto, oraz siedemdziesiąt dziewięć tysięcy stóp kalifornijskiej sekwoi i wzniesli z nich zgrabne miasteczko na brzegach kamiennych kanałów. W niedzielne noce kościelne witraże jaśniały czerwienią, błękitem i zielenią; słychać też było głosy śpiewające kolejny hymny.

– Teraz zaśpiewamy Hymn Siedemdziesiąty Dziewiąty. A teraz Dziewięćdziesiąty Czwarty.

W niektórych domach słychać było ostry stukot maszyny do pisania – oto pisarz przy pracy, albo drapanie pióra – poeta przy pracy; w innych panowała cisza – dawni zbieracze muszli przy pracy. Zupełnie jakby potężne trzęsienie ziemi zerwało korzenie i piwnice osady w stanie Iowa, a potem w jednej sekundzie trąba powietrzna, godna tej z krainy Oz, przeniosła całe miasteczko na Marsa i tam zostawiła...

**kwiecień 2003:**

## MUZYKANCY

Chłopcy zapuszczali się daleko na marsjańskie pustkowia. Dźwigali ze sobą papierowe torby i od czasu do czasu, przystając na moment w długim marszu, wtykali do nich nosy, aby wciągać z lubością smakowitą woń szynki i pikli w majonezie i słuchać bulgotu oranżady w coraz cieplejszych butelkach. Wymachując sklepowymi torbami pełnymi zielonego szczypiorku i pachnącej wątrobianki, czerwonego keczupu i białego chleba, rzucali sobie nawzajem wyzwania, aby przekroczyć granice zakreślone przez surowe matki. Biegli naprzód, krzycząc:

– Pierwszy zaczyna kopać!

Włóczyli się tak latem, jesienią i zimą. Jesień była najlepsza, bo wyobrażali sobie, że są na Ziemi i brodzą wśród zeschniętych liści.

Wypadli niczym garść kulek do gry na marmurowe nabrzeża kanału – chłopcy o rumianych policzkach i zimnych, błękitnych jak agat oczach; zdyszani wykrzykiwali pachnące cebulą rozkazy, teraz bowiem, gdy dotarli do zakazanego martwego miasta, wyzwania typu: „Ostatni to zwykła baba!” albo „Pierwszy zostanie muzykantem!” przestały się liczyć. Teraz drzwi martwego miasta stały otworem, a chłopcom wydawało się, że słyszą dobiegający ze środka lekki szmer, szelest jesiennych liści. W milczeniu skradali się naprzód, trzymając się za łokcie, niosąc w rękach kijki i wspominając słowa rodziców: „Tylko nie tam! Nie do starych miast! Uważajcie, gdzie się wybieracie! Kiedy wrócicie, oberwiecie w skórę jak jeszcze nigdy! Sprawdźmy wasze buty!”.

I oto stali w umarłym mieście, grupka chłopców, którzy pożarli już połowę kanapek, a teraz namawiali się piskliwym szeptem.

– Raz kozie śmierć!

I nagle jeden z nich wpadł do najbliższego kamiennego domu, przebiegł przez salon i nie oglądając się, dotarł do sypialni, gdzie zaczął wymierzać wokół kopniaki, a w powietrze frunęły czarne liście, kruche, cienkie jak bibułka wycięta z nocnego nieba. W jego ślady podążyło sześciu innych, pierwszy zaś chłopak stał się muzykantem, który grał na białych ksylofonowych kościach, skrytych pod warstwą czarnych płatków. Na środek pokoju wytoczyła się niczym śnieżna kula wielka czaszka; chłopcy krzyknęli. Pajęczne nogi żeber dźwięczały niczym rozstrojona harfa, a czarne płatki tańczyły wokół nich. Chłopcy szurali nogami, popychali się, siłowali i padali w stosy liści, prosto w śmierć, która zamieniła martwych w stertę suchych płatków, zabawkę dla opitych oranżadą chłopaków.

A potem wypadali z jednego domu i wpadali do drugiego, do siedemnastu kolejnych budynków, świadomi, że do każdego z miast po kolei przybywają strażacy, sterylni wojownicy z łopatom i kubłami, którzy wypalają grozę i oczyszczają budynki, usuwając hebanowe strzępy ciał i miętowe laseczki kości, powoli, lecz nieubłaganie oddzielając koszmar od normalności, toteż chłopcy muszą bawić się, póki się da – strażacy wkrótce nadejdą.

Wreszcie z twarzami lśniącymi od potu pożerali resztę kanapek i wraz z ostatnim kopnięciem, ostatnim akordem na marimbach, pożegnany skokiem w stos jesiennych liści wracali do domów.

Matki oglądały ich buty w poszukiwaniu śladów czerni, a jeśli je znalazły, chłopców czekała wrząca kąpiel i lanie od ojców.

Pod koniec roku strażacy zagrabilili jesiennie liście i białe ksylofony. Zabawa się skończyła.

**czerwiec 2003:**

## DROGA W PRZESTWORZACH

- Słyszeliście?
- O czym?
- Czarnuchy, czarnuchy!
- Co z nimi?
- Wyjeżdżają, wyprowadzają się, wynoszą; nie słyszeliście?
- Co to znaczy: wynoszą? Przecież nie mogą?
- Mogą i robią to.
- Tylko paru?
- Wszyscy z Południa, co do jednego!
- Nie!
- Tak!
- Muszę to zobaczyć. Nie wierzę. Dokąd? Do Afryki?

Cisza.

- Na Marsa.
- Chcesz powiedzieć, że na planetę Mars?
- Zgadza się.

Mężczyźni stali w upalnym cieniu werandy sklepu żelaznego. Czyjaś ręka, zapalająca właśnie fajkę, zawisła w powietrzu. Ktoś inny splunął w rozgrzany poranny kurz.

- Nie mogą się wynieść, po prostu nie mogą.
- Ale właśnie to robią.
- Skąd wiesz?
- Mówią o tym wszędzie, minutę temu wspominali nawet w radiu. Właśnie to ogłosili.

Niczym grupa zakurzonych posągów mężczyźni kolejno powracali do życia.

Samuel Teece, właściciel sklepu żelaznego, zaśmiał się niespokojnie.

- Po prawdzie zastanawiałem się, co się dzieje z Głuptakiem.

Godzinę temu posłałem go na moim rowerze. Jeszcze nie wrócił od pani Bordman. Sądzicie, że czarny dureń popedałował prosto na Marsa?

Mężczyźni prychnęli.

– Powiadam jedynie, że lepiej dla niego, żeby przyprowadził mi rower. Na Boga, nikomu nie odpuszczę kradzieży.

– Słuchajcie!

Poirytowani mężczyźni zderzali się ze sobą, gwałtownie się obracając.

Zupełnie jakby daleko w głębi ulicy pękła grobla. Ciepłe czarne wody zalały miasto. Pomiedzy lśniącymi białymi brzegami miejskich sklepów i sterczącymi nieruchomo pniami drzew przelewał się czarny prąd. Spęczniałe fale gęstego ciemnego syropu ściekały na cynamonowy piach drogi. Rzeka powoli płynęła naprzód, a składali się na nią mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczynki, z ust ludzi zaś tworzących ową falę dobywał się śpiew rzeki, letniej rzeki zmierzającej w dal, szemrzącej, nieposkromionej. W głębi powolnego, niestrudzonego strumienia ciemności, prącego naprzód w jasnym blasku dnia, rozbłyskiwały czujne białe plamki, jasne białka oczu spoglądających naprzód, na boki, podczas gdy rzeka, długa, niekończąca się rzeka, opuszczała dawne koryto, spływając w nowe. Tworzyły ją niezliczone dopływy, strumienie, strumyczki i potoki barwy i ruchu, łączące się w jedność, w jeden potężny prąd pędzący coraz dalej i dalej. Główny nurt unosił też ze sobą rozliczne przedmioty, które trafiły w głąb rzeki – staroświeckie zegary z kurantami, cykające kuchenne budziki, zamknięte w klatkach wrzeszczące wniebogłoso kury i płaczące dzieci; nagłe wiry porwały muły i koty, na wodzie kołysały się materace, z których sterczały sprężyny i kępy włosów, obok nich przepływały pudła, skrzynie, skrzynki i obrazy czarnych dziadków w dębowych ramach. Rzeka płynęła naprzód, podczas gdy mężczyźni siedzieli na werandzie sklepu niczym rozdrażnione ogary. Już za późno, by załatać tamę. Ich ręce były puste.

Samuel Teece nie wierzył własnym oczom.

– Do diabła, skąd wzięli transport? Jakim cudem chcą dostać się na Marsa?

– Rakietami – odparł Dziadunio Quartermain.

– Głupstwa gadasz. Skąd wzięliby rakiety?

– Zaoszczędzili pieniędzy i je zbudowali.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

– Wygląda na to, że czarnuchy trzymały wszystko w sekrecie. Sami zajęli się budową rakiet. Nie wiem gdzie, może w Afryce.

– I wolno im zrobić coś takiego? – spytał ostro Samuel Teece, krążąc po werandzie. – Nie ma na to żadnego prawa?

– Przecież nie wypowiedzieli nam wojny – odparł spokojnie Dziadunio.

– Dokąd się wybierają, do diaska? Po co te wszystkie spiski i sekrety?! – wykrzyknął Teece.

– Zgodnie z planem wszystkie czarnuchy z naszego miasta mają się zebrać nad jeziorem Loon. Rakiety przylecą tam o pierwszej, zabiorą ich i zawiozą na Marsa.

– Zadzwońcie do gubernatora, wezwijcie milicję stanową! – wrzasnął Teece. – Powinni o tym wiedzieć.

– Idzie twoja kobieta, Teece.

Mężczyźni znów się odwrócili.

Gdy tak patrzyli, na rozgrzanej drodze pod nieubłaganym słońcem pojawiła się najpierw jedna biała kobieta, potem druga i trzecia; dziesiątki kobiet, oszołomionych, szeleszczących jak zeschnięty papier. Niektóre płakały, twarze innych zastygły w surowym grymasie. Wszystkie przybyły w poszukiwaniu swych mężczyzn. Część skręciła do baru, znikając za wahadłowymi drzwiami, inne weszły do chłodnych, spokojnych sklepów, jeszcze inne do aptek i garaży, a jedna z nich, pani Clara Teece, stanęła w kurzu obok ganku sklepu żelaznego i mrugając oczami, spojrzała na swego złego, wyniosłego męża, podczas gdy czarna rzeka przepływała za jej plecami.

– Mam kłopot z Lucindą, tatuśku; potrzebuję cię w domu.

– Nie będę wracał do domu dla jakiejś czarnej zdziry!

– Ona odchodzi. Co ja bez niej pocznę?

– Sama sobie poradzisz. Nie zacznę błagać na kolanach, żeby

została.

– Ale ona jest jak członek rodziny – jęknęła pani Teece.

– Zamknij się! Nie będziesz tak gadała przy ludziach o jakiejś przeklętej...

Urwał, słysząc cichy szloch żony. Kobieta otarła załzawione oczy.

– Powtarzałam jej: „Lucindo, zostań, podwyższę ci pensję, jeśli zechcesz, dostaniesz nawet dwa wolne wieczory w tygodniu”, ale ona była taka stanowcza! Nigdy nie widziałam jej tak zdecydowanej. Więc mówię: „Nie kochasz mnie już, Lucindo?”, a ona na to, że owszem, ale musi odejść, ponieważ tak już jest. To wszystko. Sprzątnęła dom, odkurzyła, postawiła lunch na stole, po czym podeszła do drzwi jadalni i... i stała tam z dwoma zawiniątkami, które złożyła na ziemi, i uściśnięła mi rękę, mówiąc: „Do widzenia, pani Teece”. A potem wyszła. Lunch został na stole, a my wszyscy byliśmy tak zmartwieni, że nie mogliśmy go tknąć. Zdaje się, że nadal tam czeka. Pewnie zupełnie już wystygł.

Teece o mało jej nie uderzył.

– Do diabła, pani Teece, wynoś się do domu! I przestań robić z siebie widowisko!

– Ależ, tatuśku...

Odwrócił się na pięcie i zniknął w gorącym półmroku sklepu. W kilka sekund później wynurzył się stamtąd, trzymając w dłoni srebrny pistolet.

Jego żona już zniknęła.

Czarna rzeka przelewała się między budynkami. Towarzyszył jej szmer głosów, skrzypienie butów i nieustanne ciche szuranie. Wszystko odbywało się bardzo spokojnie, nieuchronnie; żadnych śmiechów i krzyków, jedynie miarowy, stanowczy, nieubłagany prąd.

Teece przysiadł na skraju drewnianego krzesła.

– Jeśli jeden z nich choćby się zaśmieje, klnę się na Boga, że go zabiję.

Mężczyźni czekali.

Rzeka przepływała spokojnie w sennym blasku południa.

– Wygląda na to, że od tej pory sam będziesz musiał okopywać swoją rzepe – zachichotał Dziadunio.

– Zdarzało mi też strzelać do białych.

Teece nawet nie spojrzął na starca. Ten także odwrócił głowę i zamilkł.

– Stać! – Samuel Teece zeskoczył z werandy, wyciągnął rękę i pochwycił wodze konia, na którym jechał wysoki Murzyn. – Ty, Belter, zsiadaj!

– Tak, proszę pana. – Belter zsunął się na ziemię.

Teece zmierzył go wzrokiem.

– Dokąd to się wybierasz?

– Cóż, panie Teece...

– Zgaduję, że chcesz odjechać tak jak w tej piosence, jak ona idzie? „Drogą w przestworzach”, zgadza się?

– Tak, proszę pana. – Murzyn czekał.

– Pamiętasz, że jesteś mi winien pięćdziesiąt dolarów, Belter?

– Tak, proszę pana.

– Próbujesz mnie oszukać? Na Boga, wychłosczę cię za to!

– W całym tym zamieszaniu wyleciało mi z głowy, proszę pana.

– Wyleciało mu z głowy. – Teece uśmiechnął się paskudnie i mrugnął do swych towarzyszy na werandzie sklepu żelaznego.

– Na Boga, wiesz, co teraz będzie, mój panie?

– Nie, proszę pana.

– Zostaniesz tutaj, żeby odpracować te pięćdziesiąt dolarów, albo nie nazywam się Samuel W. Teece. – Odwrócił się ponownie, posyłając siedzącym w cieniu ludziom pewny siebie uśmiezek.

Belter spojrzął na płynącą ulicą rzekę, czarne wody przelewające się między sklepami, mroczny strumień na wozach, koniach i w zakurzonych butach; nurt, z którego tak nagle go wyrwano. Zaczął się trząść.

– Proszę mnie puścić, panie Teece. Przyrzekam, że odeślę panu pieniądze.

– Słuchaj, Belter. – Teece chwycił szelki swego rozmówcy niczym dwie struny harfy, od czasu do czasu strzelając nimi pogardliwie. Krzywiąc się, spoglądał w niebo i celował kościstym palcem prosto w Boga. – Belter, wiesz, co cię tam czeka?



– To, co mi opowiadali.

– To, co mu opowiadali! Chryste! Słyszeliście? Co mu opowiadali! – Szarpnął szelkami, pociągając do siebie mężczyznę, i leniwie pstryknął palcami tuż przed jego czarną twarzą. – Belter, wylecisz w górę jak rakieta na czwartego lipca, a potem bum! i twoje popioły rozsypią się w kosmosie. Ci zwariowani naukowcy nie znają się na niczym. Zabiją was wszystkich!

– Nie dbam o to.

– Cieszę się, że to słyszę. Bo wiesz, co znajdziesz na planecie Mars? Są tam potwory o wielkich jak grzyby oczach! Widywałeś je przecież w pisemkach, które kupujesz w sklepie za dziesiątaka. Właśnie! Te potwory rzucą się na was i wyssają wam szpik z kości!

– Nie dbam o to ani trochę. – Belter patrzył, jak tłum przepływa obok, pozostawiając go w tyle. Na jego czarne czoło wystąpiły krople potu. Zdawało się, że zaraz zemdleje.

– Do tego jest tam zimno, nie ma powietrza. Człowiek pada, szarpiąc się jak ryba; dusi się i umiera, dusi i umiera. Podoba ci się to?

– Mnóstwo rzeczy mi się nie podoba, proszę pana. Niech pan mnie puści. Spóźnię się.

– Puszczę cię, kiedy uznam za stosowne. A na razie porozmawiamy sobie uprzejmie, póki nie powiem, że możesz już iść. I dobrze o tym wiesz. A więc chcesz podróżować? No cóż, panie Droga w Przystworzach, możesz teraz zabrać swój tyłek do domu i odpracować pięćdziesiąt dolców, które jesteś mi dłużny. To ci zabierze ze dwa miesiące.

– Ale jeśli je odpracuję, spóźnię się na raketę, proszę pana.

– Jakże mi przykro. – Teece przybrał smutną minę. Nie wyszło mu to najlepiej.

– Oddam panu konia, proszę pana.

– Koń nie jest legalną zapłatą. Nie ruszysz się stąd, póki nie dostanę moich pieniędzy. – Teece roześmiał się w duchu. Po jego ciele rozeszło się rozkoszne ciepło.

Tymczasem wokół nich zebrała się grupka ciemnoskórych ludzi. Jeden z nich, starszy już, wystąpił naprzód i stanął obok

dygoczącego Beltera, który czekał ze zwieszoną głową.

– Panie?

Teece zerknął na niego spode łba.

– Co?

– Ile jest panu winien ten człowiek?

– Nie twój przeklęty interes.

Starzec spojrział na Beltera.

– Ile, synu?

– Pięćdziesiąt dolarów.

Starzec wyciągnął czarne ręce do zebranych wokół ludzi.

– Jest was dwudziestu pięciu. Niech każdy da dwa dolary. Szybko, nie ma czasu na dyskusje.

– Chwileczkę! – zawołał Teece, cały sztywniejąc.

Nie wiadomo skąd pojawiły się pieniądze. Stary mężczyzna przeliczył je, wrzucił do kapelusza i podał Belterowi.

– Synu – rzekł – nie spóźnisz się na rakieta.

Belter uśmiechnął się do kapelusza.

– Nie, proszę pana, chyba nie.

– Zwróć im to, szybko! – wrzasnął Teece.

Belter uklonił się grzecznie, podając mu pieniądze, a kiedy Teece nie zareagował, położył je w pyle u jego stóp.

– Oto mój dług, proszę pana – rzekł. – Dziękuję uprzejmie. – Nadal uśmiechając się, wskoczył na siodło i ruszył naprzód, dziękując staremu mężczyźnie, który jechał obok niego.

Wkrótce obaj zginęli z oczu.

– Sukinsyn – szepnął Teece, gapiąc się w słońce. – Sukinsyn.

– Weź swoje pieniądze, Samuelu – poradził ktoś z werandy.

Podobne sceny rozgrywały się wszędzie wokół. Bosonodzy biali chłopcy śmigali, roznosząc nowiny.

– Ci, którzy mają pieniądze, pomagają tym, co ich nie mają! W ten sposób wszyscy się wyzwolą! Widziałem bogacza, który oddał biedakowi dwieście dolarów, aby spłacił swój dług! Ktoś inny pożyczył dziesiątkę, pięć dolarów, szesnaście, i wszyscy to robią!

Biali mężczyźni siedzieli bez ruchu, czując kwaśny posmak w ustach. Mrużyli napuchnięte oczy, jakby wiatr, piasek i upał

wymierzyły każdemu z nich policzek.

Samuel Teece kipiał wściekłością. Wspiął się na werandę, patrząc gniewnie na przechodzący tłum. Wymachiwał pistoletem, a po chwili, kiedy poczuł, że musi coś zrobić, zaczął wrzeszczeć do każdego Murzyna, który odważył się na niego spojrzeć:

– Bum! Kolejna rakietka wylatuje w kosmos! – Ryczał tak, aby wszyscy go słyszeli. – Bum! Na Boga! – Czarne głowy nawet nie drgnęły, puszczają te słowa mimo uszu, jednakże białe oczy zerkały niespokojnie wokół. – Łup! I rakiety spadają! Ginę z wraskiem! Bum! Boże wszechmogący, cieszę się, że zostają tu na dobrym, znanym gruncie! Jak powiadają w starym dowcipie, grunt to grunt, im twardszy, tym lepszy! Ha ha!

Konie przejeżdżały obok, stukając kopytami, wozy podskakiwały na zużytych resorach.

– Bum! – Jego głos rozbrzmiewał samotnie w upale, próbując przerazić pył i płonące na niebie słońce. – Łup! Czarnuchy w kosmosie! Na Boga, wylatują z rakiet niczym szprotki z puszek! Kosmos jest pełen meteorów. Wiedzieliście o tym? Jasne! Gęstych jak ziarnka śrutu! Zestrzelą wasze blaszane statki jak kaczkę czy garść rzutków! Puszki pełne czarnych dorszy zaczną wybuchać jak kapiszony! Bach, bach, bach! Tu dziesięć tysięcy trupów, tam dziesięć tysięcy. A wszystkie krążące w przestrzeni wokół Ziemi, na zawsze, zimne i dalekie. Mój Boże! Słyszycie, wy tam?!

Cisza. Szeroka rzeka płynęła nieprzerwanie. Przez ostatnią godzinę dotarła do wszystkich chat na polach i wymyła z nich cenne drobiazgi, teraz zaś unosiła zegary i tary do bielizny, sztuki jedwabiu i karnisze, zmierzając do odległego czarnego morza.

Wreszcie fala zaczęła opadać. Była druga. Rzeka wysychała powoli, miasto milczało, kurz opadał, osiadając cieniutką warstwą na fasadach sklepów, nieruchomych ludziach, wysokich rozgrzanych sklepach.

Cisza.

Mężczyźni na werandzie nadstawiali uszu.

Nie słysząc nic, posłali swoje myśli na otaczające miasto łąki. Jeszcze wczesnym rankiem całą krainę wypełniała zwykła

mieszanina dźwięków. Tu i ówdzie rozlegały się głosy nucące tradycyjne pieśni do pracy. Wtórował im słodki śmiech pod gałęziami mimozy i nawoływania Murzyniątek pluszczących się w czystej wodzie strumienia. Ludzie na polach schylali się miarowo, z drewnianych chat porośniętych zielonym mchem dobiegały żarty i wesołe okrzyki.

Teraz zapadła cisza, zupełnie jakby wielki wiatr zdmuchnął z Ziemi wszystkie dźwięki. Nie pozostało nic. Zbite z desek drzwi wisiały otwarte na skórzanych zawiasach, huśtawki z opon kołysały się lekko, puste i porzucone. Kamienie w rzece, na których codziennie odbywało się pranie, sterczały samotne nad wodą, ostatnie zaś pozostawione odłogiem grządki arbuzów grzały w słońcu swe ukryte soki. Pająki zaczęły już snuć nowe sieci w opuszczonych domach; z dawno nie łatanych dachów opadały złote kolce kurzu. Tu i ówdzie zapomniany w pośpiechu ogień budził się z drzemki i w nagłym przypiływie sił pożerał suchy szkielet zaśmieconej chaty. Martwą ciszę zakłócał trzask towarzyszący jego uczcie.

Mężczyźni siedzieli bez ruchu na werandzie sklepu żelaznego, nie mrugając oczami, nie przełykając śliny.

– Jednego nie pojmuje. Czemu odeszli właśnie teraz? Przecież było im coraz lepiej. Co dzień dostawali nowe prawa. Czego właściwie chcą? Zniesiono podatek pogłówny, coraz więcej stanów przyjmuje ustawy zwalczające lincz i wprowadza równe prawa. Czego jeszcze mogliby pragnąć? Zarabiają prawie tyle samo co biali, a jednak odchodzą.

U wylotu pustej ulicy pojawił się rower.

– A niech mnie, Teece, jedzie twój Głuptak.

Rower zatrzymał się przed werandą. Zsiadł z niego siedemnastoletni kolorowy chłopiec, same ręce, stopy, długie nogi i głowa okrągła jak arbuz. Spojrzał na Samuela Teece'a i uśmiechnął się.

– A zatem wróciłeś. Pewnie dopadły cię wyrzuty sumienia, co? – rzucił drwiąco Teece.

– Nie, proszę pana. Po prostu odprowadzam rower.

– A co, nie mogłeś zabrać go do rakiety?

- Nie o to chodzi, proszę pana.
- Nie mów mi o co! Rusz się, nie ukradniesz mi mojej własności!
- Pchnął chłopca. Rower runął na ziemię. - Włóż do środka i zacznij polerować mosiądze.
- Przepraszam? - Oczy chłopca rozszerzyły się.
- Słyszałeś, co powiedziałem. Trzeba rozpakować nowe strzelby, z Natchez przysłano skrzynię gwoździ...
- Panie Teece...
- Musisz też osadzić całe pudło młotków...
- Panie Teece, proszę pana!
- Jeszcze tu stoisz? - Teece zmierzył go gniewnym spojrzeniem.
- Panie Teece, jeśli nie ma pan nic przeciw temu, wezmę dziś wolny dzień - powiedział chłopak przeproszającym tonem.
- A także jutro, pojutrze i jeszcze później - dokończył Teece.
- Obawiam się, że tak, proszę pana.
- I powinieneś się obawiać, chłopcze. Chodź tutaj! - Powłókł go za sobą przez werandę i wyciągnął z biurka kartkę papieru. - Pamiętasz to?
- Nie, proszę pana.
- To twoja umowa o pracę. Podpisałeś ją, tu jest twój krzyżyk. Zgadza się? Odpowiadaj!
- Ja tego nie podpisałem, panie Teece. - Chłopiec zadrżał. - Każdy może postawić taki znaczek.
- Posłuchaj tylko, Głuptaku. „Będę pracował u pana Samuela Teece’a przez dwa lata, począwszy od piętnastego lipca 2001 roku. Przed odejściem złożę czterotygodniowe wypowiedzenie i nadal będę pracował, póki nie znajdzie się ktoś, kto zajmie moje miejsce”. Masz. - Teece rąbnął pięścią w papier. Jego oczy błyszczały. - Zacznesz się stawiać, to pójdziemy do sądu.
- Nie mogę tego zrobić - jęczał chłopiec. Po jego policzkach spływały łzy. - Jeśli dziś nie odejdę, nie odejdę w ogóle.
- Rozumiem twój zawód, Głuptaku. Tak, nawet ci współczuję. Ale będziemy cię dobrze traktować i karmić, mój chłopcze. A teraz wracaj do środka, zacznij pracować i zapomnij o tym bzdurnym wyjeździe, co, Głuptaku? Jasne? - Teece uśmiechnął się szeroko i poklepał chłopaka po ramieniu.

Chłopiec odwrócił się i powiódł wzrokiem po ludziach siedzących na werandzie. Ledwie ich widział przez łyzy.

– Może... może jeden z tych panów zechciałby...

Mężczyźni zebrani w gorącym niespokojnym cieniu unieśli wzrok, spoglądając to na chłopca, to na Teece'a.

– Chcesz powiedzieć, że według ciebie biały człowiek mógłby zająć twoje miejsce, chłopcze? – spytał lodowato Teece.

Dziadunio Quartermain uniósł czerwone dłonie, spoczywające dotąd na kolanach. Z namysłem popatrzył na horyzont i rzekł:

– Teece, a może ja?

– Co ty?

– Wziąłbym robotę Głuptaka.

Na werandzie zapadła cisza.

Teece zakołysał się na piętach.

– Dziaduniu... – rzucił ostrzegawczo.

– Puść chłopaka. Ja wyczyszczę mosiądze.

– Naprawdę pan to zrobi? – Głuptak podbiegł do Dziadunia, uśmiechając się z niedowierzaniem. Jego policzki wciąż lśniły od łez.

– Dziaduniu! – warknął Teece. – Nie mieszaj się do tego.

– Daj spokój chłopakowi.

Teece podszedł do nich i pochwycił rękę chłopca.

– Jest mój. Zamknę go w składziku na tyłach i wypuszczę dopiero wieczorem.

– Panie Teece, nie!

Chłopak zaczął żałośnie płakać. Ulicą zbliżał się, rżąc, stary blaszany ford, który unosił ze sobą ostatni ładunek kolorowych.

– Jedzie moja rodzina, panie Teece. Błagam, o Boże, błagam pana!

– Teece – odezwał się jeden z mężczyzn na werandzie, wstając z miejsca. – Puść go.

Jego sąsiad także się podniósł.

– Też tak uważam.

– I ja – dodał następny.

– Po co to wszystko? – Teraz mężczyźni mówili już jeden przez drugiego. – Daj spokój, Teece. Puść go.

Teece pomacał się po kieszeni, w której trzymał pistolet. Kiedy jednak ujrzał twarz towarzyszy, jego ręka opadła, pozostawiając broń w spokoju.

– A więc tak to wygląda? – spytał.

– Tak to wygląda – odparł ktoś.

Teece uwolnił chłopca.

– W porządku. Wynos się stąd. – Skinął ręką w stronę sklepu. – Ale mam nadzieję, że nie zamierzasz zostawić po sobie żadnych śmieci w moim sklepie.

– Nie, proszę pana!

– Sprzątnij wszystko z szałasów na tyłach. Spal to.

Głuptak potrząsnął głową.

– Wezmę te rzeczy ze sobą.

– Nie pozwolą ci zabrać ich do tej przeklętej rakiety.

– Wezmę je ze sobą – powtórzył chłopiec z łagodnym uporem.

Śmignął w głąb sklepu i zniknął na zapleczu. Po chwili rozległy się stamtąd odgłosy zmiatania i sprzątanania; w parę minut później chłopak stanął w drzwiach z rękami pełnymi kapsli i szklanych kulek, starych zakurzonych latawców i zbieranych przez całe lata śmieci. W tym momencie pod sklep podjechał stary blaszany wóz, Głuptak wszedł do środka, trzasnęły drzwi. Teece stał na werandzie, uśmiechając się z goryczą.

– Co zamierzasz tam robić?

– Zacząć wszystko od nowa – powiedział Głuptak. – Będę miał własny sklep żelazny.

– Niech to diabli! Uczyłeś się fachu tylko po to, żeby uciec i wykorzystać to do własnych celów!

– Nie, proszę pana, nie przypuszczałem, że któregoś dnia tak się ułoży. Ale stało się. Nie mogę nic poradzić na to, że się nauczyłem, panie Teece.

– Ponazywaliście jakoś te wasze rakiety?

Pasażerowie zerknęli na zegar na tablicy rozdzielczej.

– Tak, proszę pana.

– Pewnie *Eliasz* i *Rydwan*, *Wielkie Koło* i *Małe Koło*, *Wiara*, *Nadzieja* i *Litość*, co?

– Mamy własne nazwy dla naszych statków, panie Teece.

– *Syn Boży i Duch Święty*, dobrze zgadłem? Powiedz no, chłopcze, macie może raketę nazwaną *Pierwszy Kościół Baptystów*?

– Musimy już jechać, panie Teece.

Teece wybuchnął śmiechem.

– Może którąś nazwaliście *Zstąp w Dół, a drugą Słodki Rydwan*?<sup>3</sup>

Samochód ruszył.

– Do widzenia, panie Teece.

– *A Rozruszaj Stare Kości?*

– Do widzenia, proszę pana!

– I jeszcze *Na Brzegach Jordanu!* Ha! Bierz swą raketę, chłopcze, unieś ją w powietrze, no dalej, wybuchnij razem z nią! Zobaczysz, ile mnie to obejdzie!

Samochód oddalał się w tumanie kurzu.

Chłopiec wstał z miejsca i przytykając dłonie do ust, wykrzyknął po raz ostatni:

– Panie Teece, panie Teece, co pan teraz będzie robił po nocach?! Co pan będzie robił po nocach, panie Teece?!

Cisza. Samochód zniknął w dali. Już go nie było.

– O co u diabła mu chodziło? – zastanawiał się pan Teece. – Co będę robił po nocach?

Patrzył, jak kurz osiada na szlaku, i nagle zrozumiał. Przypomniał sobie noce, kiedy pod jego dom podjeżdżali ludzie; nad ich sterczącymi w powietrzu kolanami unosiły się strzelby niczym stado studziennych żurawi na tle nocnego nieba. Oczy przybyszów lśniły paskudnym blaskiem. Naciskali klakson, a on trzaskając drzwiami, wypadał na dwór z bronią w rękę, śmiejąc się do siebie, a jego serce waliło jak u dziesięciolatka, po czym razem odjeżdżali drogą. Na podłodze samochodu spoczywał zwój konopnej liny, pudełka z nabojami wypychały kieszenie płaszczy. Ileż nocy spędzili w ten sposób? Wiatr wpadał do wozu, szarpiąc ich włosy, wciskając je w błyszczące mściwie oczy i rycząc w uszach, podczas gdy oni wybierali porządne, silne drzewo i stukali do drzwi!

---

<sup>3</sup> *Zstąp w dół, słodki rydwanie* – to pierwsze słowa popularnej murzyńskiej pieśni gospel (przyp. tłum.).



– A więc to miał na myśli ten sukinsyn? – Teece wyskoczył na słońce. – Wracaj, świniou! Co będę robił po nocach? Ten głupi, bezczelny pomiot...

Dobre pytanie. Poczul nagłą pustkę w piersi. O tak, co będziemy robić po nocach teraz, kiedy oni odeszli? Był jak pusta butelka, zagubiony, odrętwiały.

Wyciągnął z kieszeni pistolet i sprawdził magazynek.

– Co chcesz zrobić, Sam? – spytał ktoś.

– Zabić sukinsyna!

– Nie nakręcaj się – upomniał go Dziadunio.

Jednakże Samuel Teece zniknął już za sklepem. Po chwili wyjechał na drogę swym kabrioletem.

– Ktoś jedzie ze mną?

– Po prawdzie mam ochotę się przewietrzyć – odparł Dziadunio, wstając.

– Ktoś jeszcze?

Nikt nie odpowiedział.

Dziadunio wsiadł do środka, trzaskając drzwiami. Samuel Teece ruszył gwałtownie w wielkim tumanie kurzu. Milczeli, pędząc naprzód pod jasnym, pogodnym niebem. Powietrze nad suchymi łąkami drżało od gorąca.

Zatrzymali się na skrzyżowaniu.

– Którędy poszli, Dziaduniu?

Starzec rozejrzał się, mrużąc oczy.

– Myślę, że prosto.

Pojechali dalej. Samochód pędził naprzód między letnimi drzewami. Jedyne ryk silnika zakłócał wszechobecną ciszę. Droga była pusta. W miarę posuwania się naprzód zauważyli coś nowego. Teece zwolnił i wychylił się z wozu. Jego żółte oczy patrzyły gniewnie.

– Niech to diabli, Dziaduniu, widzisz, co ci dranie zrobili?

– Co takiego? – spytał Dziadunio i podążył wzrokiem za spojrzeniem swego towarzysza.

Po obu stronach pustej wiejskiej drogi spoczywały, starannie ułożone w stosy i zawiniątka, stare wrotki, chusty pełne drobiazgów, znoszone buty, taczki, kubki, spodnie, płaszcze

i wysłużone kapelusze, orientalne kryształowe drzazgi, które kiedyś podzwaniały na wietrze, różowe geranium posadzone w puszkach, półmiski woskowych owoców, pudła pieniędzy konfederatów, wanny, tary, sznury do suszenia bielizny, mydło, trójkołowy rowerek, sekator do strzeżenia żywopłotów, wagonik zabawka, diabeł w pudełku, witraż z murzyńskiego kościoła baptystów, cały zestaw szczęk hamulcowych, rurki, materace, kanapy, fotele na biegunach, słoje zimnej śmietanki, ręczne lusterka. Żaden z tych przedmiotów nie został niedbale porzucony; wszystkie ułożono starannie, z uczuciem i szacunkiem, na piaszkowych poboczach drogi. Zupełnie jakby całe miasto przybyło tu, dźwigając swój dobytek, a potem, gdy zabrzmiała wielka trąba z brązu, wszystkie te rzeczy oddano w pieczę milczących piasków i mieszkańcy Ziemi jeden za drugim umknęli wprost w błękitny przestwór nieba.

– Nie chcieli ich spalić! – wykrzyknął gniewnie Teece. – Nie, nie chcieli ich spalić, jak mówiłem; musieli zabrać wszystko ze sobą i zostawić, tak by mogli spojrzeć na to po raz ostatni, przy drodze, wszystko razem, nietknięte. Czarnuchy sądzą, że są bardzo sprytne.

Gwałtownie zarzucając wozem, parł naprzód, mila za milą, miażdżąc paczuszki papieru, szkatułki na biżuterię, lustra, fotele.

– A masz! Jeszcze, jeszcze!

Nagle przednie koło ogłuszająco syknęło. Samochód szarpnął gwałtownie i zjechał na bok, wprost do rowu, ciskając Teece'em o przednią szybę.

– Sukinsyn! – Mężczyzna otrzepał się z kurzu i wyskoczył z samochodu, niemal wrzeszcząc z wściekłości.

Spojrzał z nienawiścią na cichą, pustą drogę.

– Teraz nigdy już ich nie złapiemy. Nigdy.

Jak daleko sięgnąć wzrokiem, widział jedynie tobołki, stosiki i kolejne zawiniątka, ułożone starannie niczym maleńkie porzucone świątynie skąpane w blasku popołudniowego słońca. Ciepły wiatr dmuchał im w twarze.

Godzinę później Teece i Dziadunio wrócili pieszo do sklepu żelaznego, kompletnie wyczerpani. Tamci nadal siedzieli na

werandzie, nasłuchując i patrząc w niebo. W chwili gdy Teece opadł na krzesło, zzuwając ciasne buty, ktoś krzyknął:

– Patrzcie!

– Niech mnie diabli, jeśli spojrzę – mruknął Teece.

Jednakże pozostali posłuchali i ujrzeli odległe złote nitki ulatujące w niebo. Po chwili zniknęły, pozostawiając za sobą ognisty ślad.

Na polach bawełny wiatr szumiał pośród pokrytych śnieżnym nalotem krzaków. Jeszcze dalej na łąkach leżały nietknięte arbuzy, pasiaste niczym koty wygrzewające się w słońcu.

Mężczyźni na werandzie usiedli. Spojrzeli po sobie, zerknęli na żółte zwoje liny na półkach sklepowych, przebiegli wzrokiem stosy nabojów połyskujących mosiężnym blaskiem w kartonowych pudełkach, popatrzyli na srebrne pistolety i długie czarne strzelby wiszące spokojnie w cieniu. Ktoś wsunął do ust słomkę, ktoś inny nakreślił palcem w kurzu ludzką sylwetkę.

Wreszcie Samuel Teece uniósł triumfalnie swój but, obrócił go w dłoni i przyglądając mu się, rzekł:

– Zauważyliście? Klnę się na Boga, aż do samego końca mówię do mnie „proszę pana”!

## 2004-2005:

### NADAWANIE IMION

Przybyli do obcej błękitnej krainy i narzucili jej swoje nazwy. I tak pojawił się Strumień Hinkstona, Zakątek Lustiga, Czarna Rzeka, Lasy Driscolla, a z drugiej strony Góry Graniczne i Osada Wildera – wszystkie nazwy przywodziły na myśl ludzi i rzeczy, które robili. Oto miejsce, gdzie Marsjanie zabili pierwszych Ziemian. Nazwano je Czerwonym Grodem, od barwy krwi. Tu, gdzie zgładzono Drugą Wyprawę, stanęła wioska Drugie Podejście; we wszystkich innych miejscach, w których piloci raket postawili swe ogniste kotły, pozostały po nich popioły imion. Oczywiście istniało też Wzgórze Spendera i Miasto Nathaniela Yorka...

Stare marsjańskie nazwy wywodziły się z wody, powietrza i wzgórz. To były imiona śniegów spływających na południe kamiennymi kanałami, aby wypełnić puste morza; miana pogrzebanych pod ziemią pradawnych magów, wież i pomników. Rakiety niczym młoty strąciły stare nazwy w nicość, rozbijając marmur w pył, miażdżąc porcelanowe kamienie milowe, drogowskazy dawnych miast. Wśród ich szczątków osadzono wielkie filary, na których widniały nowe nazwy: ŻELAZOWO, STALOWIEC, ALUMINIÓW, PRĄDNIK, ZBOŻÓW, ZIARNOWO, DETROIT II – miana urzędzeń i metali wprost z Ziemi.

A gdy już wzniesiono i ochrzczono miasta, pojawiły się też cmentarze: Zielone Wzgórze, Ciche Mchy, Pagórek Wędrowców, Zaczekaj Chwilkę; w grobach spoczęli pierwsi zmarli...

Kiedy zaś wszystko trafiło już na swe miejsca, pewne i bezpieczne, gdy ciche, porządne miasta zyskały wszelkie wygody, a samotność niemal zniknęła, z Ziemi przybyły wyższe sfery. Ich członkowie zjeżdżali na przyjęcia i urlopy, wyprawy na zakupy, w poszukiwaniu pamiątek, zdjęć i atmosfery. Przybywali,

aby badać i stosować prawa socjologii; zjawiali się, przynosząc ze sobą gwiazdy, odznaki, prawa i reguły oraz biurokratyczne przepisy, spowijające Ziemię niczym obca roślinność. Teraz zaczęli rozsadzać je na Marsie, czekając, aż zapuszczą korzenie. Poczęli planować żywoty ludzi i zawartość ich bibliotek, pouczać i gnębić – tych samych ludzi, którzy przybyli na Marsa po to, by uciec od pouczeń, przepisów i nacisków.

A czasami niektórzy z tych ludzi odpłacali pięknym za nadobne...

**kwiecień 2005:**

## USHER II

– „Przez cały dzień pewnej jesieni – dzień zadymką omglony, posepny i oniemiały, gdy chmury ciężko i nisko zwisyły na niebie, przebywałem samopas i konno obszary niezwykle ponurej krainy i wreszcie, w chwili przyptywu zmierzchów wieczornych, stanąłem przed melancholijnym Domem Usherów...”<sup>4</sup>.

Pan William Stendahl zawiesił głos, nie kończąc cytatu, tam bowiem, na niskim czarnym wzgórzu wznosił się Dom, na którego kamieniu węgielnym wypisano datę A.D. 2005.

– Wszystko gotowe. Oto klucz, panie Stendahl – oznajmił architekt, pan Bigelow.

Obaj mężczyźni stali razem w milczeniu. Było spokojne jesienne popołudnie. Na kruczoczarnej trawie u ich stóp szeleściły odbitki planów.

– Dom Usherów. – Pan Stendahl wymówił te słowa z prawdziwą rozkoszą. – Zaplanowany, zbudowany, kupiony, zapłacony. Czyż pan Poe nie zachwyciłby się nim?

Pan Bigelow zmrużył oczy.

– Tego właśnie pan pragnął?

– Tak!

– Czy barwę ma odpowiednią? Jest pełen spustoszenia i zgrozy?

– Przejmującego spustoszenia, straszliwej zgrozy!

– A ściany, czy dostatecznie chłodem przesycone?

– Zdumiewająco!

– A staw jest wystarczająco czarny i żałobny?

– Niewiarygodnie czarny i żałobny.

– I wreszcie sitowie – wie pan, musieliśmy je zafarbować – czy nazwie je pan stosownie widmowym i szarawym?

---

<sup>4</sup> Edgar A. Poe, Zagłada domu Usherów, przeł. Bolesław Leśmian (przyp. tłum.).

– Jest iście ohydne!

Pan Bigelow skonsultował się ze swymi planami, cytując z nich:

– Czy cała ta budowla budzi w panu „drętwotę serca, zniekanie, niemoc – niepokonany smutek zadumy”? Dom, staw, krajobraz... I jak, panie Stendahl?

– Panie Bigelow, to jest warte każdych pieniędzy. Na Boga, jest cudowny!

– Dziękuję panu. Prawdę mówiąc, musiałem pracować na ślepo. Dzięki Bogu ma pan własne prywatne rakiety, w przeciwnym razie nigdy nie zezwolono by nam na sprowadzenie większości sprzętu. Zauważył pan, że w tej krainie stale panuje zmierzch? Tu zawsze jest październik, jałowy, sterylny, martwy. Wymagało to sporo wysiłku. Zabiliśmy wszystko. Dziesięć tysięcy ton DDT. Nie został żaden wąż, żadna żaba, nawet marsjańska mucha. A co do wiecznego zmierzchu, panie Stendahl, to jestem z niego wyjątkowo dumny. Zainstalowaliśmy tu ukryte maszyny, które przesłaniają słońce, tak by wywołać stosownie posępny nastrój.

Stendahl chłonał roztaczający się przed nim widok, smutek, grozę, cuchnące opary, całą tę atmosferę, jakże starannie wymyśloną i wykreowaną. A Dom! Zmurszała fasada, złowroga topiel, liszaje, aura rozkładu! Nieważne, że wszystko zrobiono z plastiku! Któż mógłby to stwierdzić?

Uniósł wzrok ku jesiennemu niebu. Gdzieś daleko, w górze, świeciło słońce, na planecie Mars rozkwitał kwiecień, złocisty miesiąc pod błękitnym niebem; gdzieś w górze rakiety lądowały w ogniu, aby ucywilizować tę cudownie martwą planetę. Huk ich przelotów ginął jednak, pochłonięty przez ten mroczny, dźwiękoszczelny świat, świat starożytnej jesieni.

– Teraz, kiedy moja praca dobiegła końca – powiedział pan Bigelow niespokojnie – chciałbym spytać, co zamierza pan zrobić z tym wszystkim?

– Z Usherem? Nie domyślił się pan?

– Nie.

– Czy nazwisko Usher nic panu nie mówi?

– Nic.

– A Edgar Allan Poe?

Pan Bigelow potrząsnął głową.

– Oczywiście. – Stendahl prychnął lekko z pogardą i smutkiem. – Jak mogłem oczekiwać, że będzie pan znał genialnego pana Poe? Zmarł on bardzo dawno temu, jeszcze przed Lincolnem. Wszystkie jego książki spłonęły w Wielkim Ogniu. To było trzydzieści lat temu, w 1975 roku.

– Ach – westchnął pan Bigelow ze zrozumieniem. – Jeden z tych!

– Owszem, jeden z tych, Bigelow. On i Lovecraft, Hawthorne i Ambrose Bierce, niezliczone opowieści pełne fantazji, koszmaru i grozy, a przy okazji historie o przyszłości – wszystko to zostało spalone. Bezlitośnie. Uchwalono stosowne prawo. Och, wszystko zaczęło się od drobiazgów. Lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte były jak ziarnko uruchamiające lawinę. Na początku kontroli pod takim czy innym kątem poddano komiksy, potem powieści detektywistyczne i oczywiście filmy; do akcji włączały się kolejne grupki, kierując się względami patriotycznymi, uprzedzeniami religijnymi, naciskiem związków... Zawsze znalazła się mniejszość, która bała się tego i owego, i ogromna większość czująca strach przed ciemnością, przyszłością, własną historią, dniem dzisiejszym; ludzie bali się samych siebie i swoich własnych cieni.

– Rozumiem.

– Nawet słowo „polityka” budziło w nich lęk (w końcu w bardziej reakcyjnych kręgach stało się ono synonimem słowa „komunizm” i samo jego wypowiedzenie – tak przynajmniej słyszałem – mogło kogoś kosztować życie!). Stopniowo przykręcano śrubę, wbijano kolejne gwoździe, popychano w odpowiednim kierunku, aż wreszcie sztuka i literatura, rozciągane, splatane w warkocze, wyginane w węzły, szarpane na wszystkie strony niczym wielka bryła gliny, przestały stawiać opór i straciły swój smak. Wówczas wyłączyły się kamery filmowe, światła w teatrach pogasły, spływająca z drukarni ogromna Niagara lektur zamieniła się w wąziutki niewinny strumień „czystych opowieści”. Mówię panu, prawdziwie radykalna była to ucieczka.

– Naprawdę?



– O tak! Powiadali, że każdy musi stawić czoło rzeczywistości, temu, co dzieje się Tu i Teraz! Wszystko inne musi odejść. Piękne literackie kłamstwa i wybryki fantazji straciły rację bytu, toteż pewnego sobotniego ranka trzydzieści lat temu, w 1975 roku, ustawiono ich wszystkich pod ścianą biblioteki – świętego Mikołaja i Jeźdźca bez Głowy, Królową Śnieżkę, Rumpelsztyka i Matkę Gąskę – och, jakież podniósł się płacz! – i rozstrzelano, spalono zamki z papieru, księżniczki zakłute w żaby i starych władców oraz ludzi, którzy żyli długo i szczęśliwie (rzecz jasna bowiem wszyscy wiedzieli, że nikt nie żyje długo i szczęśliwie!). Dawno temu przemieniło się w nigdy już. A potem na ruinach Szmaragdowego Grodu rozsypali popioły Upiornego Rykszarza; strzaskali na kawałki kości dobrej czarownicy Gladioli i Ozmy; Kolor z Przestworzy wepchnęli do spektroskopu, a Kubusia Dyniogłowego podali z bezami na balu biologów! Łodyga fasoli uschła, przysypana papierami, Śpiąca Królowna ocknęła się ze snu, przebudzona pocałunkiem naukowca tylko po to, by zemrzeć od śmiertelnej rany zadanej przez jego strzykawkę. Zmusili też Alicję, by wypita napój, po którym zmniejszyła się tak, że nie mogła już wykrzyknąć „zdziwniej i zdziwniej”; jednym uderzeniem młota rozbili lustro, Czerwonego Króla i ostrzygi.

Zacisnął pięści. Boże, jak szybko zaszła w nim przemiana! Jego twarz poczerwieniała, z trudem chwycił powietrze.

Pan Bigelow był wyraźnie zaskoczony tym długo tłumionym wybuchem. Kilka razy zamrugał oczami.

– Przepraszam, ale nie mam pojęcia, o czym pan mówi. To dla mnie puste słowa. Z tego, co słyszałem, palenie przyniosło wiele dobrego.

– Wynoś się stąd! – krzyknął Stendahl. – Zrobiłeś już swoje, a teraz zostaw mnie, idioto!

Pan Bigelow wezwał swoich stolarzy i odjechał.

Stendahl został sam przed swoim domem.

– Słuchajcie – zwrócił się do niewidocznych rakiet. – Przybyłem na Marsa, aby uciec przed wami, ludzie o czystych umysłach! Ale was przybywa z każdym dniem niczym much przy padlinie, toteż pokażę wam coś nowego. Zamierzam dać wam nauczkę za to, co

zrobiliście na Ziemi z panem Poe. Strzeżcie się zatem, ponieważ dziś Dom Usherów otwiera swoje podwoje!

Uniósł rękę i pogroził niebu.

\* \* \*

Rakieta wylądowała na ziemi. Wyskoczył z niej jowialny mężczyzna, raz jeden zerknął na dom i jego szare oczy pociemniały z niesmakiem. Szybkim krokiem przeszedł przez fosę i stanął naprzeciw drobnego mężczyzny.

– Pan się nazywa Stendahl?

– Tak.

– Jestem Garrett, kontroler Klimatów Moralnych.

– A zatem ludzie z Klimatów Moralnych dotarli w końcu na Marsa? Zastanawiałem się, kiedy się zjawicie.

– Przybyliśmy w zeszłym tygodniu. Wkrótce zaprowadzimy tu porządek. Będzie tak jak na Ziemi. – Mężczyzna machnął gniewnie legitymacją w stronę domu. – Czy zechce mi pan coś powiedzieć o tym miejscu, Stendahl?

– To moje nawiedzone zamczysko. Podoba się panu?

– Nie, Stendahl, absolutnie nie. Nie odpowiada mi nawet sam dźwięk słowa „nawiedzony”.

– To bardzo proste. W roku pańskim 2005 wzniosłem sobie mechaniczne sanktuarium. W jego murach fruwały miedziane nietoperze sterowane elektronicznymi promieniami; mosiężne szczury przemykają w piwnicach z plastiku, automatyczne szkielety tańczą taniec śmierci; mechaniczne wampiry, arlekiny, wilki i zjawy, połączenie chemii i pomysłowości – wszystkie mieszkają tutaj.

– Tak właśnie przypuszczałem. – Garrett lekko się uśmiechnął. – Obawiam się, że będziemy musieli zburzyć pański dom.

– Wiedziałem, że gdy tylko odkryjecie, co się dzieje, natychmiast zjawicie się tutaj.

– Przybyłbym nawet wcześniej, ale najpierw, zanim wkroczymy, chcieliśmy się upewnić co do pańskich zamiarów. Do kolacji zjawią się tu ekipy burzycieli i podpalaczy. O północy to miejsce zostanie zrównane z ziemią. Panie Stendahl, osobiście uważam

pana za głupca. Jak można wydawać na takie szaleństwo ciężko zarobione pieniądze? Coś takiego musiało pana kosztować trzy miliony dolarów...

- Cztery miliony. Ponieważ jednak jako młody człowiek odziedziczyłem dwadzieścia pięć milionów, stać mnie na to, aby nimi szastać. Okropna szkoda jednak, że ledwie godzinę temu zakończyliśmy budowę, a już zjawia się tu pan ze swoimi burzycielami. Czy nie mógłby pan pozwolić mi nacieszyć się moją zabawką przez, powiedzmy, dwadzieścia cztery godziny?

- Zna pan prawo. Przestrzegamy go bardzo skrupulatnie. Nieważne, czy w grę wchodzi książki, czy domy. Nie wolno tworzyć niczego, co w jakikolwiek sposób sugerowałoby obecność duchów, wampirów, wróżek, jakichkolwiek wytworów fantazji.

- Niedługo spalicie i Babbita!

- Mieliśmy z panem wiele kłopotów, panie Stendahl. Wszystko jest w naszych aktach. Dwadzieścia lat temu, na Ziemi. Pan i pańska biblioteka.

- Owszem, ja i moja biblioteka. I paru innych mnie podobnych. Poe już dawno został zapomniany, a także Oz i inne fantastyczne istoty. Ja jednak miałem swą małą kolekcję. Nasza grupa obywateli przechowywała swoje biblioteki, póki nie przystaliście do nas ludzi z pochodniami, którzy podarli moich pięćdziesiąt tysięcy książek i spalili je wszystkie, tak jak wcześniej przebiliście kołkiem serce święta duchów i uprzedziliście producentów filmowych, że jeśli już muszą coś kręcić, niech to będą kolejne wersje dzieł Ernesta Hemingwaya. Mój Boże, ile razy oglądałem Komu bije dzwon? Trzydzieści różnych adaptacji. Wszystkie bardzo realistyczne. Och, niech piekło pochłonie wasz realizm!

- Gorycz nie popłaca.

- Panie Garrett, musi pan złożyć pełne sprawozdanie, prawda?

- Owszem.

- Zatem proszę wejść i się rozejrzeć. Choćby po to, by zaspokoić ciekawość. To potrwa tylko chwilę.

- W porządku, niech pan prowadzi. Tylko bez żadnych sztuczek.

Jestem uzbrojony.

Wrota Domu Usherów rozwarły się szeroko. Ich twarze owionęło ciepłe, wilgotne powietrze. Rozległ się ogłuszający chór jęków i westchnień, zupełnie jakby podziemne miechy, zamknięte w głębokich katakumbach, powróciły nagle do życia.

Po kamiennej posadzce przemknął szczur. Garrett kopnął go z głośnym krzykiem. Szczur przewrócił się i z jego nylonowej sierści wypadł niewiarygodny rój metalowych pcheł.

– Zdumiewające! – Garrett nachylił się, patrząc uważnie.

W ciemnej niszy przycupnęła stara wiedźma, jej woskowe dłonie kołysały się nad pomarańczowo-niebieskimi kartami do tarota. Nagle gwałtownie szarpnęła głową i ściągając bezzębne usta, syknęła na Garretta, stukając palcami w wytluszczone arkana.

– Śmierć! – krzyknęła.

– Właśnie o to mi chodziło – oznajmił Garrett. – Godne pożalowania.

– Pozwolę panu osobiście ją spalić.

– Naprawdę? – ucieszył się Garrett. Po chwili jednak zmarszczył czoło. – Muszę przyznać, że dziwnie lekko to pan przyjmuje.

– Wystarczy mi świadomość, że mogłem stworzyć to miejsce i że będę mógł o tym opowiadać. Odetchnąłem średniowieczną atmosferą w nowoczesnym świecie niedowiarków.

– Niechętnie przyznaję, że pański geniusz budzi we mnie podziw. – Garrett odprowadził wzrokiem przepływającą obok szepczącą mgłę w kształcie pięknej, zmysłowej kobiety. W głębi wilgotnego korytarza szumiała maszyna. Z jej wylotu wypływała mgła niczym wata cukrowa z wirówki i mrużąc, wędrowała po milczącym domu.

Nagle znikąd pojawiła się mała.

– Chwileczkę! – wykrzyknął Garrett.

– Proszę się nie bać. – Stendahl poklepał czarną pierś zwierzęcia. – To robot. Widzi pan? – Rozgarnął sierść, spod której błysnął metal.

– Owszem. – Garrett wyciągnął nieśmiało rękę, aby pogłaskać zwierzę. – Ale dlaczego, panie Stendahl? Po co to wszystko? Co

panem kierowało?

– Niechęć do biurokracji, panie Garrett. Nie mam jednak czasu na wyjaśnienia. – Skinął głową w stronę małpy. – W porządku. Teraz.

Małpa zabiła pana Garretta.

\* \* \*

– Jesteśmy już gotowi, Pikes?

Pikes uniósł wzrok znad stołu.

– Tak, proszę pana.

– Wykonałeś kawał dobrej roboty.

– Za to mi pan płaci, panie Stendahl – odparł miękko Pikes, unosząc plastikową powiekę robota i wsuwając pod nią szklaną gałkę oczną, która osiadła wygodnie w gumowych fałdach mięśni. – Proszę.

– Istny brat bliźniak pana Garretta.

– Co z nim zrobimy? – Spikes wskazał blat, na którym spoczywał martwy prawdziwy pan Garrett.

– Lepiej go spal, Pikes. Nie chcielibyśmy przecież, aby ktoś zobaczył dwóch panów Garretów.

Pikes przeniósł zwłoki do ceglanego pieca.

– Żegnaj. – Wepchnął pana Garretta do środka i zatrzasnął drzwiczki.

Tymczasem Stendahl stanął przed robotem.

– Znasz swoje rozkazy?

– Tak, proszę pana. – Robot usiadł. – Mam wrócić do biura Klimatów Moralnych. Tam sporządzę raport uzupełniający. Opóźnię działanie o co najmniej czterdzieści osiem godzin. Powiem, że muszę przeprowadzić dokładniejsze śledztwo.

– Zgadza się, Garrett. Do widzenia.

Robot pośpieszył do rakiety Garretta, wsiadł do środka i odleciał.

– A teraz, Pikes, roześlijmy resztę zaproszeń na dzisiejszy wieczór. Myślę, że czeka nas świetna zabawa, co ty na to?

– Szczególnie że czekaliśmy na nią dwadzieścia lat.

Mruknęli do siebie porozumiewawczo.

\* \* \*

Siódma. Stendahl raz jeszcze spojrzął na zegarek. Już prawie pora. Obrócił w palcach kieliszek sherry, czekając w milczeniu. Zwisające z dębowych belek stropu nietoperze, delikatne miedziane ciała skryte pod warstwą gumowej skóry, mrugały do niego, popiskując. Pozdrowił je, unosząc kieliszek.

– Za nasze powodzenie.

Następnie odchylił się w fotelu, przymykając oczy. Och, jak będzie się napawał na starość tą zapłatą rządowi za jego terror literacki i płonące stopy. Jakże jego gniew i nienawiść narastały przez te wszystkie lata. Jego plan z wolna nabierał kształtów w otępiałym umyśle, aż do owego dnia, trzy lata wcześniej, kiedy spotkał Pikesa.

Pikesa, który chował w sercu zapiekłą gorycz, głęboką i mroczną niczym czarna studnia pełna żrącego zielonego kwasu. Kim był Pikes? Jedynie największym z nich wszystkich! Pikes, człowiek o dziesięciu tysiącach twarzy, upiór, dym, błękitna mgiełka, biały deszcz, nietoperz, gargulec, potwór. Oto Pikes! Lepszy niż Lon Chaney ojciec?, zastanawiał się Stendahl. Ileż to razy nocami oglądał stare filmy z Chaneyem. Tak, lepszy niż Chaney. Lepszy niż ten drugi, sławny potwór, starożytna mumia. Jak on się nazywał? Karloff? Znacznie lepszy! Lugosi? Nie ma porównania! Nie, istniał tylko jeden Pikes, obecnie nieszczęsny człowiek, pozbawiony swoich fantazji, swojego miejsca na Ziemi. Nikomu już nie mógł się pokazywać. Zabroniono mu nawet grać dla samego siebie przed lustrem!

Biedny, niezwykły, pokonany Pikesie! Co musiałeś czuć owej nocy, gdy zabrali twoje filmy niczym wnętrzości wyrwane z kamery, twoje własne serce, i wepchnęli całe zwoje taśmy do pieca. Czy może się to równać z wściekłością człowieka, któremu zniszczono pięćdziesiąt tysięcy książek bez żadnego zadośćuczynienia? Tak. Tak. Dłonie Stendahla zlodowaciały w bezsensownym gniewie. Cóż zatem bardziej naturalnego, że spędzili razem niezliczone noce, dyskutując nad nieskończoną ilością dzbanków z kawą, i że z owych rozmów, z tej goryczy,

zrodził się Dom Usherów.

Zadźwięczał wielki kościelny dzwon. To przybywali goście.

Wstał z uśmiechem, aby ich powitać.

\* \* \*

Roboty, dorosłe, choć pozbawione pamięci, czekały. Odziane w zielone jedwabie barwy leśnych stawów, młodych żab i paproci, czekały cierpliwie. Złotowłose, o puklach barwy słońca i piasku, leżały bez ruchu – naoliwione szkielety z brązu zatopione w żelatynie. Tkwiły w trumnach przeznaczonych dla nieżywych i nieumarłych, zamknięte w skrzynkach z tarcicy; metronomy ich serc wyglądały chwili, gdy zostaną wprawione w ruch. W powietrzu unosiła się woń smarów i rozgrzanego mosiądzu. Na cmentarzysku panowała cisza. Obdarzone płcią, a przecież bezpłciowe, nazwane, lecz anonimowe, nie różniące się od ludzi niczym prócz człowieczeństwa, spoglądały na zabite gwoździami wieka swych skrzyń z naklejkami głoszącymi „wolne od opłat”, pogrążone w śmierci, którą nawet śmiercią trudno nazwać, nigdy bowiem nie żyły. Nagle rozległ się ogłuszający jęk wyszarpywanych gwoździ. Wieka się uniosły. Na skrzynie padł cień. Czyjaś ręka wycisnęła smar z oliwiarki. Pierwszy zegar, nakręcony, zaczął cichutko tykać. Po chwili dołączył do niego drugi i jeszcze jeden, i jeszcze, póki w całym pomieszczeniu nie rozległ się pomruk mechanizmów. Gumowe powieki uniosły się, odsłaniając szklane oczy. Nozdrza zadrżały. Roboty, odziane w małą sierść i białe królicze skórki, powstały: Tweedledum podążył za Tweedledee, Żółwiciel za Susłem; topielcy z głębin mórz, pokryci solą i wodorostami, zakołysali się niepewnie, wokół nich stanęli wisielcy o sinych gardłach i wywróconych ślimaczych oczach; stwory z lodu i rozgrzanej blachy, powolne skrzaty i bystre elfy, Tik-tak, Ruggedo, święty Mikołaj, poprzedzany własnoręcznie stworzoną śnieżycą, Sinobrody o zaroście niczym płomień palnika, siarkowe chmury, z których wystawały zielone ogniste pyski, a za nimi pokryte łuskami olbrzymie węzowe ciało smoka, w którego brzuchu płonął ogień. Wszystkie roboty toczyły się naprzód z krzykiem, tykaniem,

świstem, w ciszy pośród wiatru. Dziesięć tysięcy wiek runęło na ziemię i niezliczone automaty ruszyły w głąb Domu Usherów. Nadeszła magiczna noc.

\* \* \*

Okolicę owiała fala gorąca. Rakiety gości, płonące na niebie i zmieniające jesień w wiosnę, przybyły na miejsce.

Wysiedli z nich mężczyźni w wieczorowych strojach, a za nimi kobiety o włosach upiętych w eleganckie koki.

– A zatem to jest Usher!

– Ale gdzie on ma drzwi?

W tym momencie pojawił się Stendahl. Kobiety zaśmiały się i zaszचेbiotały. Pan Stendahl uciszył je krótkim gestem ręki. Odwróciwszy się, uniósł wzrok ku wysokiemu oknu i wykrzyknął:

– Rapunzel, Rapunzel, zrzuć swoje warkocze!

W górze piękne dziewczę wychyliło się z okna i spuściło złote włosy kołysane wieczornym wiatrem. Pukle wiły się coraz niżej, rosnąc i rosnąc, aż wreszcie stały się drabiną, po której roześmiani goście wspięli się do wnętrza domu.

Co za szanowani socjologodzy! Cóż za sprytni psychologodzy! I jacyż niezwykle ważni politycy, bakteriolodzy i neurologodzy! Wszyscy co do jednego stali teraz w wilgotnych murach domu.

– Witajcie.

Pan Tryon, pan Owen, pan Dunne, pan Lang, pan Steffens, pan Fletcher i dwa tuziny innych.

– Proszę, proszę!

Panna Gibbs, panna Pope, panna Churchil, panna Blunt, panna Drummond i jeszcze paręnaście kobiet, wystrojonych i eleganckich.

Jeden w drugiego ludzie cieszący się ogólnym szacunkiem, członkowie Towarzystwa Zwalczenia Fantazji, zwolennicy zakazu obchodów święta duchów i dnia Guya Hawkesa, wrogowie nietoperzy, podpalacze książek dzierżący w dłoniach pochodnie; porządni, uczciwi obywatele, którzy odczekali, aż nieokrzesani pielgrzymi przybędą tu, pochowają Marsjan,



sprzątną miasta, wybudują nowe domy, naprawią drogi i ujarzmią tę krainę, a potem, kiedy wszystko toczyło się jak należy, przybyli na Marsa – porządnicy, psujący każdą zabawę, ludzie o oczach barwy jodyny, w których żyłach płynęła rtęć. Zjawili się tu, aby ustanowić kontrolę Klimatów Moralnych i wydzielać wszystkim głodowe porcje dobra. I pomyśleć, że byli jego przyjaciółmi! O tak, w zeszłym roku włożył wiele wysiłku, by ich poznać i zaprzyjaźnić się z nimi!

– Witajcie w przestronnych salach śmierci! – krzyknął.

– Cześć, Stendahl, o co tu chodzi?

– Sami zobaczycie. A teraz przebierzcie się, szybko. Tam są kabiny, znajdziecie w nich odpowiednie kostiumy. Panowie po tej stronie, panie po tamtej.

Goście poruszyli się niespokojnie.

– Nie wiem, czy powinniśmy zostać – mruknęła panna Pope. – Nie podoba mi się tutaj. To niemal jak... bluźnierstwo.

– Bzdura, to tylko bal kostiumowy.

– Wygląda mi na nielegalną imprezę. – Pan Stevens zaczął węszyć wokoło.

– Dajcie spokój! – roześmiał się Stendahl. – Bawcie się, jutro to wszystko legnie w gruzach. Do kabin!

Dom tętnił życiem i kolorami; błaźni podzwaniiali brzękadłami na czapkach, białe myszki tańczyły miniaturowe kadryle w takt melodii odgrywanych przez karły, które ciągnęły maleńkimi smyczkami po malusieńkich skrzypkach. U zwęglonych belek stropu powiewały proporce, a chmary nietoperzy krążyły wokół żygaczy, z których tryskało chłodne, mocne, spienione wino. Przez siedem komnat domu przelewał się strumień. Goście, przekraczając go, odkryli, że to sherry. Przybysze wysypywali się z kabin, przebrani w postaci z mroków dziejów, o twarzach skrytych za maskami domino. Sam fakt przywdziania masek odebrał im prawo do zgłaszania sprzeciwów wobec grozy i fantazji. Kobiety ze śmiechem przepływały wokół, odziane w czerwone suknie; obok nich krążyli mężczyźni, po ścianach zaś poruszały się pozbawione właścicieli cienie. Rozwieszona gdzieś lustra niczego nie odbijały.

– Wszyscy jesteśmy wampirami! – zaśmiał się pan Fletcher. – Już nie żyjemy!

Bał odbywał się w siedmiu komnatach, każdej innego koloru; jednej błękitnej, drugiej purpurowej, trzeciej zielonej, czwartej pomarańczowej, piątej białej, szóstej fioletowej, siódmej obitej czarnym aksamitem. W czarnej sali stał hebanowy zegar, który głośno wybijał kolejne godziny. Wszędzie zaś kręcili się goście, dobrze już podpici, a wśród nich mechaniczne stwory, Susły, Szaleni Kapelusznicy, trolle, olbrzymy, Czarne Koty i Białe Królowe. Tańczące stopy muskały posadzkę, spod której dobywało się ogłuszające bicie ukrytego oskarżycielskiego serca.

– Panie Stendahl – rozległ się szept.

U jego boku pojawił się potwór o twarzy śmierci. To był Pikes.

– Muszę pomówić z panem na osobności.

– Co się stało?

– Proszę. – Pikes wyciągnął kościstą dłoń. Spoczywała na niej garstka na wpół stopionych, na wpół zwęglonych kółek, śrub i nakrętek. Stendahl przyglądał im się przez długą chwilę. Wreszcie wyciągnął Pikesa na korytarz.

– Garrett? – wyszeptał.

Pikes przytaknął.

– Przysłał nam robota. Znalazłem to, kiedy przed chwilą czyściłem palenisko.

Przez jakiś czas obaj wpatrywali się w zębate kółka.

– To oznacza, że lada moment zjawi się tu policja – oznajmił Pikes. – Nasze plany wezmą w łeb.

– Sam nie wiem. – Stendahl obejrzał się na wirujących po salach ludzi w żółtych, błękitnych i czerwonych strojach. W zamglonych komnatach rozbrzmiewała muzyka. – Powiniennem się domyślić, że Garrett nie byłby takim głupcem, aby osobiście złożyć mi wizytę. Ale chwileczkę!

– Co się stało?

– Nic. Nic się nie stało. Garrett przysłał nam jednego robota, a my odesłaliśmy drugiego. Jeśli nie sprawdzi dokładnie, nie zauważy różnicy.

– Oczywiście!

– Następnym razem zjawi się tu sam. Teraz sądzi, że będzie bezpieczny. Lada chwila powinien się pokazać! Więcej wina, Pikes!

Wielki dzwon zabrzmiał donośnie.

– Założę się, że to on. Idź, wpuść pana Garretta.

Rapunzel spuściła swe złote włosy.

– Pan Stendahl?

– Pan Garrett? Prawdziwy pan Garrett?

– Jako żywo. – Garrett powiódł wzrokiem po zagrzybionych ścianach i wirujących w tańcu gościach. – Uznałem, że lepiej przyjadę tu osobiście. Nie można polegać na robotach. Zwłaszcza na cudzych robotach. Poczyniłem też pewne kroki. Burzyciele zjawią się tu za godzinę, aby zrównać to straszne miejsce z ziemią.

Stendahl uklonił się.

– Dziękuję, że mnie pan uprzedził. A tymczasem może przyłączy się pan do zabawy? Wina?

– Nie, dziękuję. Co tu się dzieje? Jak nisko człowiek może upaść?

– Proszę samemu się przekonać, panie Garrett.

– Morderstwo – rzucił Garrett.

– Morderstwo wręcz przeokropne – zgodził się Stendahl.

Usłyszeli krzyk kobiety. Podbiegła do nich panna Pope; jej twarz pobladła niczym ser.

– Właśnie zdarzyło się coś okropnego. Widziałam, jak małpa udusiła pannę Blunt i wepchnęła ją do komina.

Obejrzawszy się, ujrzeli długie jasne włosy wystające z przewodu kominowego. Garrett krzyknął głośno.

– Potworność! – szlochała panna Pope. Nagle jednak jej płacz urwał się gwałtownie i zamrugała ze zdumienia. – Panna Blunt!

– Owszem – odparła panna Blunt, stając obok niej.

– Ale widziałam, jak ten stwór wpychał panią do komina!

– Nie – roześmiała się panna Blunt. – To był robot. Bardzo zręczna kopia.

– Ale... ale...

– Nie płacz, moja droga. Nic mi nie jest. Daj mi spojrzeć. Rzeczywiście, to ja. W górze, w kominie. Zupełnie tak, jak

mówiłaś. Czyż to nie zabawne?

Panna Blunt odeszła ze śmiechem.

– Napije się pan, panie Garrett?

– Chyba tak. To mnie poruszyło. Mój Boże, co za miejsce. Naprawdę powinno zostać zniszczone. Przez chwilę sądziłem...

Garrett pociągnął długi łyk.

Kolejny krzyk. Cztery białe króliki dźwignęły pana Steffensa i poniosły go schodami, które w cudowny sposób pojawiły się na środku sali. Wkrótce pan Steffens znalazł się w studni, gdzie starannie skrępowany został rzucony na pastwę wielkiego, ostrego jak brzytwa wahadła, które opuszczało się z każdym ruchem coraz bliżej i bliżej umęczonego ciała.

– Czy to ja? – spytał pan Steffens, stając u boku Garretta. Nachylił się nad studnią.

– Jakież to osobliwe, oglądać własną śmierć.

Wahadło świsnęło po raz ostatni.

– Cóż za realizm! – krzyknął pan Steffens.

– Jeszcze kieliszek, panie Garrett?

– Poproszę.

– To nie potrwa długo. Wkrótce zjawią się burzyciele.

– Dzięki Bogu.

Znowu rozległ się krzyk.

– Co teraz? – spytał niespokojnie Garrett.

– Moja kolej – oświadczyła panna Drummond. – Spójrzcie.

Roboty chwyciły jej wrzeszczącego sobowtóra, wepchnęły go do trumny, zabiły gwoździami wieko i zagrzebały w ziemi pod podłogą.

– Chwileczkę, pamiętam to – westchnął kontroler Klimatów Moralnych. – Ze starych zakazanych książek. Przedwczesny pogrzeb. I pozostałe. Studnia, wahadło, małpa i komin. *Zabójstwo przy rue Morgue*. Wszystko było w książce, którą spaliłem.

– Napij się jeszcze, Garrett. Proszę, przytrzymaj kieliszek.

– Mój Boże, naprawdę ma pan wyobraźnię.

Patrzyli, jak ginie kolejna piątka gości, jeden pożarty przez smoka, pozostali wrzuceni do czarnego stawu. Mroczna toń pochłonęła ich bez śladu.

– Chciałby pan obejrzeć, co zaplanowaliśmy dla pana? – spytał Stendahl.

– Bardzo chętnie – odparł Garrett. – Co za różnica. I tak rozwalimy to koszarne miejsce. Okropny z pana człowiek.

– Chodźmy zatem. Tędy.

I poprowadził Garretta na dół, poprzez liczne korytarze, stromymi schodami w głąb ziemi, do katakumb.

– Co chce mi pan tu pokazać? – spytał Garrett.

– Pańską śmierć.

– Kapię?

– Tak. I coś jeszcze.

– Co takiego?

– Amontillado – odrzekł Stendahl, krocząc naprzód z lampą w dłoni. Z niedomkniętych trumien wychylały się kościotrupy. Garrett zatkał palcami nos, krzywiąc się z niesmakiem.

– Co proszę?

– Nie słyszał pan nigdy o amontillado?

– Nie.

– Nie poznaje pan tego? – spytał Stendahl, wskazując celę.

– A powinienem?

– Albo tego? – Uśmiechając się, Stendahl wyjął spod peleryny kielnię.

– Co to takiego?

– Proszę za mną.

Razem weszli do celi. Stendahl skrępował podpitego mężczyznę łańcuchem.

– Na Boga, co pan robi?! – wykrzyknął Garrett, pobrzękując kajdanami.

– Lubię ironię. Proszę mi nie przerywać. To niegrzeczne. O tak!

– Zakuł mnie pan w łańcuchy!

– Istotnie.

– I co teraz?

– Zostawię tu pana.

– To jakiś żart!

– I to bardzo dobry.

– Gdzie mój sobowtór? Nie obejrzymy jego śmierci?

– Nie ma żadnego sobowtóra.  
– Ale tamci...!  
– Tamci nie żyją. Ci, których śmierć pan oglądał, to byli prawdziwi ludzie. Ich sobowtóry, roboty, stały obok i patrzyły.  
Garrett milczał.  
– Teraz powinien pan zawołać: „Na miłość boską, Montresorze!”  
– pouczył go Stendahl. – A ja odpowiem: „A tak, na miłość boską”.  
No dalej! Proszę to powiedzieć.  
– Ty głupcze!  
– Muszę pana błagać? Niech pan to powie. Proszę rzec: „Na miłość boską, Montresorze!”.  
– Nie zrobię tego, idioto. Wypuść mnie stąd.  
Garrett natychmiast wytrzeźwiał.  
– Chwileczkę. Proszę to założyć.  
Stendahl cisnął mu coś, co brzęczało i dzwoniło.  
– Co to jest?  
– Czapka z dzwoneczkami. Jeśli pan ją włoży, może zgodzę się pana wypuścić.  
– Stendahl!  
– Zakładaj ją, powiedziałem!  
Garrett posłuchał. Dzwoneczki zabręczały.  
– Nie ma pan wrażenia, że wszystko to już się kiedyś wydarzyło? – spytał Stendahl, biorąc się do pracy.  
Nabrał kielnią zaprawy i umieścił pierwszą cegłę.  
– Co pan robi?  
– Zamuruję pana. Oto pierwsza warstwa. Teraz druga.  
– Pan oszalał!  
– Nie będę zaprzeczał.  
– Zostanie pan ukarany!  
Stendahl opukał cegłę i nucąc pod nosem, umieścił ją na mokrej zaprawie.  
Z mrocznej wnęki dobiegły go odgłosy szamotaniny, którym towarzyszyły krzyki. Cegły wznosiły się coraz wyżej.  
– Powalcz jeszcze trochę – zachęcał go Stendahl. – Niech wszystko będzie jak należy.  
– Wypuść mnie, wypuść mnie stąd!

Pozostała jeszcze tylko jedna cegła. Krzyki nie ustawały.

– Garrett?! – zawołał cicho Stendahl. Garrett umilkł. – Garrett, wiesz, dlaczego to zrobiłem? Ponieważ spaliłeś książki pana Poego, w ogóle ich nie czytając. Zadowoliliś się opinią innych, że zasługują na stos. W przeciwnym razie wiedziałbyś, co planuję, kiedy tylko zeszliśmy tutaj. Ignorancja bywa niebezpieczna, panie Garrett.

Garrett milczał.

– Chcę, żeby wszystko odbyło się jak należy. – Stendahl uniośł lampę, tak by przenikające przez otwór światło padło na skuloną w mroku postać. – Niechaj zadźwięczą brzękadła. – Dzwoneczki lekko się poruszyły. – A teraz, jeśli zechce pan rzec: „Na miłość boską, Montresorze!”, może pana uwolnię.

Twarz mężczyzny uniosła się ku światłu. W jego oczach widać było wahanie. Po chwili więzień rzekł groteskowo:

– Na miłość boską, Montresorze!

– Ach – westchnął Stendahl, przymykając oczy. Wsunął na miejsce ostatnią cegłę i spokojnie ją замуrował. – *Requiescat in pace*, drogi druhu.

Po chwili wyszedł z katakumb.

\* \* \*

Na dźwięk zegara, który wybił północ, ruch w siedmiu komnatach zamarł.

Pojawiła się Śmierć Szkarłatna.

Stendahl na moment przystanął w drzwiach, obserwując całą scenę, po czym wypadł z wielkiego domu i pobiegł na drugą stronę fosy, do miejsca, w którym czekał helikopter.

– Gotów, Pikes?

– Gotów.

– Teraz!

Z uśmiechem spojrzeli na wielki dom, który zaczął zapadać się pośrodku, jakby ziemia pod nim nagle się zatrzęsła. Stendahl, obserwując wspaniałą scenę, usłyszał Pikesa recytującego cicho:

– „Dostałem zawrotu głowy, gdym ujrzał, jak potężne mury rozpadły się na dwoje. Zahuczało coś przeciągle, zabrzmiało

głucho jak odgłos tysiąca wodospadów – i głęboki spleśniały staw, u stóp mych tkwiący, posępny w milczeniu zawarł swe fale nad szczątkami Domu Usherów”.

Helikopter uniósł się nad kipiącą topielą i odleciał na zachód.



**sierpień 2005:**

STARCY

Cóż bardziej naturalnego, że wreszcie i na Marsie pojawili się też starzy ludzie, podążający szlakiem wyznaczonym przez szorstkich pionierów, wypachnionych elegantów, zawodowych podróżników i romantyków poszukujących nowych wrażeń?

I tak wyschnięci, skrzypiący ludzie, którzy cały swój czas spędzali zasłuchani w rytm własnych serc, wymacując sobie puls i wlewając do ust łyżki leków; ludzie, którzy kiedyś zdążyli w listopadzie pociągami do Kalifornii, a w kwietniu wyprawiali się do Włoch trzecią klasą parowców, pomarszczeni jak śliwki i zasuszeni jak mumie, w końcu także dotarli na Marsa...

**wrzesień 2005:**

**MARSJANIN**

Błękitne góry celowały w zapłakane niebo, krople deszczu padały do długich kanałów. Stary LaFarge i jego żona wyjrzeni z domu, aby zobaczyć widowisko.

- Pierwszy deszcz tego roku – zauważył LaFarge.
- To dobrze – odparła żona.
- Najwyższy czas.

Zamknęli drzwi. Bezpieczni w środku, ogrzali dłonie nad ogniem. Oboje drżeli z zimna. Spoglądając przez okno, ujrzeli połyskującą od deszczu rakietę, która przywiozła ich z Ziemi.

- Brak mi tylko jednego. – LaFarge spuścił wzrok.
- Czego? – spytała żona.
- Żałuję, że nie mogliśmy przywieźć ze sobą Toma.
- Przestań, Lafe!
- Przepraszam. Nie będę znów zaczynał.
- Przyjechaliśmy tu, aby w spokoju dożyć swoich dni, nie myśląc o Tomie. Nie żyje od tak dawna, że powinniśmy o nim zapomnieć, zapomnieć o wszystkim na Ziemi.

- Masz rację – odparł i ponownie wystawił ręce do ognia. Niewidzącym wzrokiem zapatrzył się w płomienie. – Nie będę już poruszał tego tematu. Tyle że brakuje mi coniedzielnych wypraw na cmentarz Green Lawn, aby złożyć kwiaty na jego grobie. To były nasze jedyne wycieczki.

Błękitny deszcz bębnił miękko o dach ich domu. O dziewiątej położyli się do łóżka i leżeli w ciszy, trzymając się za ręce. On miał pięćdziesiąt pięć lat, ona sześćdziesiąt. Otaczała ich deszczowa ciemność.

- Anno – powiedział cicho.
- Tak? – spytała.
- Słyszałaś coś?

Oboje zaczęli nasłuchiwać. Z zewnątrz dobiegał jednak tylko szum deszczu i wiatru.

- Nie – odparła.
- Ktoś tam gwizdże – oznajmił.
- Niczego nie słyszałam.
- Wstanę i sprawdzę.

Narzucił na plecy szlafrok i podeszedł do frontowych drzwi. Zawahał się, po czym rozwarł je szeroko. Zimne krople deszczu natychmiast zmoczyły mu twarz. Wiał wiatr.

Na środku podwórza stała drobna postać.

Niebo przeszły błyskawica i biały rozbłysk oświetlił twarz spoglądającą na stojącego w drzwiach starego LaFarge'a.

- Kto tam?! – krzyknął, dygocząc.

Cisza.

- Kim jesteś? Czego chcesz?

Przybysz nie odezwał się ani słowem.

LaFarge poczuł nagłą słabość i znużenie.

- Kim jesteś?! – wykrzyknął.

Żona stanęła za nim i ujęła go za łokieć.

- Czemu krzyczysz?

- Na podwórku stoi chłopczyk i nie chce się odezwać – odparł stary człowiek. Wstrząsały nim dreszcze. – Wygląda zupełnie jak Tom!

- Coś ci się przyśniło. Wracaj do łóżka.

- Ale on tu jest. Sama zobacz.

Otworzył szerzej drzwi. Do środka wdarł się zimny podmuch. Rzadki deszcz siąpił na ziemię i obserwującą ich odległymi oczyma postać. Stara kobieta przytrzymała się framugi.

- Odejdź! – krzyknęła, machając ręką. – Odejdź!

- Czy on nie wygląda jak Tom? – spytał jej mąż.

Postać nie drgnęła.

- Boję się – rzekła kobieta. – Zamknij drzwi i chodź do łóżka. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Zniknęła w sypialni, jęcząc pod nosem.

Stary mężczyzna nadal stał w drzwiach, czując chłód deszczu na rękach.

– Tom! – zawołał cicho. – Tom, jeśli to ty, jeśli jakimś cudem to naprawdę ty, zostawię drzwi otwarte. Gdyby było ci zimno, gdybyś chciał wejść i ogrzać się, przyjdź tu później i połóż się przy kominku. Leży tam ciepły futrzak.

Zamknął drzwi, nie ruszając zasuw.

Żona poczuła, kiedy wrócił do łóżka, i zadrżała.

– Co za paskudna noc. Tak mi zimno – zapłakała.

– Cicho, cicho – uspokajał ją, tuląc w ramionach.

Po długim czasie zasnęła.

A potem uszu mężczyzny dobiegł bardzo cichy dźwięk. Drzwi frontowe otwarły się na moment, wpuszczając do środka wiatr i deszcz. Usłyszał miękkie kroki obok kominka i cichutki oddech.

– Tom – powiedział do siebie.

\* \* \*

Ranek był bardzo gorący.

Pan LaFarge otworzył drzwi salonu i pośpiesznie się rozejrzył.

Skóry przed kominkiem były puste.

LaFarge aż westchnął.

– Starzeję się – mruknął.

Ruszył na dwór, aby przynieść z kanału wiaderko świeżej wody do mycia. Przy drzwiach niemal zderzył się z młodym Tomem dźwigającym wiadro pełne aż po brzegi.

– Dzień dobry, tato.

– Dzień dobry, Tom.

Stary człowiek odsunął się; bosonogi chłopiec pośpieszył przez pokój, postawił wiaderko pod ścianą i odwrócił się z uśmiechem.

– Piękny mamy dziś dzień.

– Owszem – odparł LaFarge z niedowierzaniem.

Chłopiec zachowywał się jak gdyby nigdy nic. Zaczął obmywać twarz w wodzie.

– Tom, jak się tu dostałeś? Ty żyjesz?

– A nie powinienem? – Chłopiec uniósł wzrok.

– Ależ, Tom, cmentarz Green Lawn co niedziela, kwiaty i... – LaFarge poczuł, że musi usiąść. Chłopiec stanął przed nim i ujął jego dłoń. Stary człowiek czuł jego palce, ciepłe, namacalne. –

Naprawdę tu jesteś? To nie sen?

– Przecież chcesz, żebym tu był, prawda? – Twarz chłopca wyrażała troskę.

– O tak, Tom!

– Czemu zatem zadajesz pytania? Przyjmij mnie.

– Ale twoja matka; wstrząs...

– Nie bój się o nią. W nocy zaśpiewałem wam obojgu, dzięki temu chętniej mnie przyjmiecie, zwłaszcza ona. Nie będzie żadnego wstrząsu. Zaczekaj, aż się zjawi, a sam się przekonasz. – Wybuchnął śmiechem, potrząsając miedzianą kręconą czupryną. Jego oczy były czyste i bardzo niebieskie.

– Dzień dobry, Lafe, Tom. – Matka wynurzyła się z sypialni, upinając włosy w kok. – Jaki piękny dzień, prawda?

Tom odwrócił się ze śmiechem, spoglądając w twarz ojca.

– Widzisz?

Cała trójka zjadła pyszne śniadanie w cieniu za domem. Pani LaFarge wyjęła nawet butelkę starego słonecznikowego wina, które przechowywała na specjalną okazję, i wszyscy wzniesli toast. Pan LaFarge nigdy nie widział żony tak szczęśliwej. Jeśli nawet gdzieś w jej umyśle krył się cień wątpliwości, nie wspominała o tym. Obecność Toma była dla niej czymś zupełnie naturalnym i powoli też stawała się taka dla samego LaFarge'a.

Podczas gdy matka sprzątała talerze, LaFarge nachylił się i spytał cicho:

– Ile masz lat, synu?

– Nie wiesz, tato? Oczywiście czternaście.

– Kim ty naprawdę jesteś? Nie możesz być Tomem, ale kimś przecież jesteś.

– Nie rób tego.

Zdumiony chłopak ukrył twarz w dłoniach.

– Możesz mi powiedzieć – naciskał stary człowiek. – Zrozumiem. Jesteś Marsjaninem, prawda? Słyszałem historie o Marsjanach. Nic pewnego, jedynie opowieści o tym, jak rzadko są spotykani, i że kiedy pojawiają się wśród nas, przybywają pod postacią Ziemiaków. Jest w tobie coś dziwnego, jakbyś był Tomem, a jednocześnie nim nie był.

– Czemu nie możesz po prostu mnie przyjąć i przestać tyle gadać?! – wykrzyknął chłopiec. Jego dłonie całkowicie skrywały twarz. – Nie wążp, błagam, nie wążp we mnie!

Odwrócił się i uciekł od stołu.

– Tom, wracaj!

Jednakże chłopak pobiegł wzdłuż kanału w stronę odległego miasta.

– Dokąd poszedł Tom? – spytała Anna, wracając po kolejne naczynia. Spojrzała mężowi prosto w oczy. – Czy powiedziałeś coś, co go zdenerwowało?

– Anno – odparł, ujmując jej dłoń. – Anno, pamiętasz cokolwiek? Cmentarz Green Lawn, targowisko, zapalenie płuc Toma?

– O czym ty mówisz? – Roześmiała się.

– Nieważne – odparł cicho.

W dali kurz, który biegnący Tom wzbili z ziemi, osiadał powoli na brzegu kanału.

\* \* \*

Chłopiec wrócił o piątej po południu, wraz z zachodem słońca. Spojrzał z powątpiewaniem na ojca.

– Chcesz mnie jeszcze o coś zapytać?

– Żadnych więcej pytań – odparł LaFarge.

Tom uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby.

– Świetnie.

– Gdzie byłeś?

– Niedaleko miasta. O mały włos byłbym nie wrócił. Niemal... – chłopiec szukał stosownego słowa – wpadłem w pułapkę.

– Co to znaczy „w pułapkę”?

– Minąłem niewielki blaszany domek nad kanałem i prawie się stałem. A wówczas już nigdy nie mógłbym do was wrócić. Nie potrafię tego wyjaśnić; nie wiem jak. Sam tego nie rozumiem. To dziwne. Nie chcę już o tym rozmawiać.

– Zatem zmieńmy temat. Lepiej się umyj, chłopcze. Czas na kolację.

Chłopak odbiegł.

Jakieś dziesięć minut później na spokojnych wodach kanału

pojawiła się Łódź. Siedzący w niej wysoki mężczyzna o czarnych włosach popychał ją naprzód leniwymi ruchami wioseł.

– Dobry wieczór, bracie LaFarge – rzucił, przerywając wiosłowanie.

– Dobry wieczór, Saul. Przynosisz jakieś nowiny?

– I to najróżniejsze. Znasz gościa nazwiskiem Nomland, który mieszka nad kanałem w blaszanym domku?

LaFarge cały się napiął.

– Tak.

– Wiesz, co to za łajdak?

– Podobno uciekł z Ziemi, ponieważ zabił człowieka.

Saul oparł się na mokrym drągu, patrząc wprost na LaFarge'a.

– A pamiętasz, jak nazywał się ten, którego zabił?

– Gillings, prawda?

– Zgadza się. Gillings. Jakies dwie godziny temu pan Nomland przybiegł do miasta, krzycząc, że widział Gillingsa żywego, tu, na Marsie, dziś, tego popołudnia! Próbował przekonać strażników więziennych, żeby zamknęli go dla bezpieczeństwa w celi. Nie zgodzili się, więc Nomland wrócił do domu i podobno dwadzieścia minut później palnął sobie prosto w łeb. Właśnie stamtąd płynę.

– No, no – mruknął LaFarge.

– Dzieją się tu naprawdę dziwne rzeczy – mruknął Saul. – Cóż, dobranoc, LaFarge.

– Dobranoc.

Łódź popłynęła dalej, przecinając spokojną toń.

– Kolacja na stole! – zawołała stara kobieta.

Pan LaFarge zajął swoje miejsce i z nożem w dłoni spojrzął na Toma.

– Tom – spytał – co robiłeś dziś po południu?

– Nic – odparł chłopiec z pełnymi ustami. – A dlaczego?

– Po prostu chciałem wiedzieć.

Stary człowiek zawiązał serwetkę pod brodą.

\* \* \*

O siódmej wieczorem kobieta zapragnęła pojechać do miasta.

– Nie byłam tam od miesiący.

Jednakże Tom się sprzeciwił.

– Boję się miasta – rzekł. – Ludzi. Nie chcę tam jechać.

– Dorosły chłopak, a gada takie głupstwa – odparła Anna. – Nie zamierzam tego słuchać. Jedziesz z nami. Ja tak mówię.

– Anno, jeśli chłopak nie ma ochoty... – zaczął starzec.

Jednakże Anna ucięła dalszą dyskusję. Zapędziła obu do łodzi i popłynęli kanałem pod wieczornymi gwiazdami. Tom leżał na plecach z zamkniętymi oczami, trudno stwierdzić, czy spał, czy nie. Stary człowiek nie spuszczał z niego wzroku, rozmyślając. Kto to taki, zastanawiał się, tak samo spragniony miłości jak my? Kim jest, tak bardzo samotny, że przybywa do obozu wroga, przybiera twarz i głos z naszej pamięci i zostaje pośród nas, wreszcie zaakceptowany i szczęśliwy? Z jakiej przychodzi góry, z której grotty? Jakiej to rasy niedobitki wciąż pozostają na tej planecie po przybyciu rakiet z Ziemi? Stary człowiek potrząsnął głową. W żaden sposób nie zdoła się tego dowiedzieć. Po co wątpić? To jest Tom.

Uniósł wzrok na rozciągające się przed nimi miasto i nie spodobał mu się ten widok. Potem jednak wrócił myślami do Toma i Anny, mówiąc do siebie: może nie powinniśmy trzymać tu Toma, nawet na krótko. Nie wyjdzie z tego nic dobrego, tylko kłopoty i smutek. Ale jak mielibyśmy zrezygnować z tego, czego najbardziej pragniemy, nieważne, czy potrwa tylko jeden dzień i zniknie, sprawiając, że pustka stanie się jeszcze większa, ciemne noce ciemniejsze, a deszczowe bardziej mokre? Nie można nam go odebrać; równie dobrze moglibyśmy odjąć sobie jedzenie od ust.

Spojrzał na chłopca drzemiącego błogo na dnie łodzi. Nagle jednak zaczął jęczeć przez sen.

– Ludzie – mamrotał. – Zmiany, ciągłe zmiany. Pułapka.

– No już, chłopcze, cicho. – LaFarge pogładził miękkie loki Toma, a on natychmiast się uspokoił.

\* \* \*

LaFarge pomógł żonie i synowi wysiąść z łodzi.



– No, już jesteśmy! – Anna uśmiechnęła się na widok światła i dźwięki muzyki dobiegającej z barów, pianin, fonografów; wokół po zatłoczonych ulicach spacerowali ludzie, trzymając się pod rękę.

– Chciałbym wrócić do domu – szepnął Tom.

– Nigdy wcześniej tak nie mówiłeś – odparł matka. – Zawsze lubiłeś sobotnie wieczory w mieście.

– Zostań blisko mnie. Nie chcę wpaść w pułapkę.

– Przestań mówić takie rzeczy. Chodźcie.

LaFarge poczuł, że chłopiec chwycił go za rękę. Stary człowiek uściskał jego dłoń.

– Będę tuż obok, Tommy, mój chłopcze. – Widok przelewającej się wokół ciżby także i jego zaniepokoił. – Nie zostaniemy tu długo.

– Bzdura, mamy przed sobą cały wieczór – nie zgodziła się Anna.

Przeszli na drugą stronę ulicy i w tym momencie wpadło na nich trzech pijaków. Wywołało to spore zamieszanie, na chwilę rozdzielili się, a kiedy tamci odeszli, LaFarge stanął zdumiony.

Tom zniknął.

– Gdzie on jest? – spytała Anna z rozdrażnieniem. – Zawsze odbiega gdzieś sam, kiedy tylko nadarzy się okazja. Tom! – zawołała.

Pan LaFarge zaczął przedzierać się przez tłum, ale Toma nigdzie nie było.

– Wróci. Spotkamy go później przy łodzi – oznajmiła Anna pewnym siebie tonem, prowadząc męża w stronę kina. Nagle wśród tłumu zrobiło się poruszenie. Obok LaFarge'a przepchnęła się jakaś para. Rozpoznał ich. Joe Spaulding i jego żona. Odeszli, zanim zdążył się do nich odezwać. Oglądając się niespokojnie, kupił bilety na najbliższy seans i pozwolił żonie wciągnąć się w niegościnną ciemność.

\* \* \*

Kiedy o jedenastej znaleźli się na przystani, Toma nadal nie było. Pani LaFarge śmiertelnie zbladła.

– Spokojnie, mateczko – pocieszał ją LaFarge. – Nie martw się, znajdę go. Zaczekaj tutaj.

– Tylko się pośpiesz. – Szum wody zagłuszył jej słowa.

Stary mężczyzna wędrował nocnymi ulicami, trzymając ręce w kieszeniach. Wszędzie wokół kolejno gasły światła. Nieliczni ludzie nadal wychylali się z okien, noc bowiem była ciepła, choć pośród gwiazd wciąż przepływały burzowe chmury. Po drodze przypomniał sobie ciągłe aluzje chłopca do pułapek, jego strach przed tłumem i miastem. Nie ma w tym żadnego sensu, pomyślał ze znużeniem. Może chłopak odszedł na zawsze, może w ogóle nigdy go nie było? LaFarge skręcił w kolejną uliczkę, sprawdzając wzrokiem numery.

– Witaj, LaFarge. – W drzwiach domu siedział palący fajkę mężczyzna.

– Cześć, Mike.

– Pokłóciłeś się ze swoją kobietą? Wyszedełłeś ochłonać?

– Nie. Po prostu spaceruję.

– Wyglądasz, jakbyś coś zgubił. A skoro już mowa o zgubach, dziś wieczór jedna się znalazła. Znasz Joego Spauldinga? Pamiętasz jego córkę Lavinie?

– Tak. – LaFarge poczuł nagły chłód. Zupełnie jakby sen powtarzał się od nowa. Wiedział, co zaraz usłyszy.

– Dziś wieczór Lavinia wróciła do domu – oznajmił Mike, wypuszczając z ust chmurę dymu. – Przypominasz sobie zapewne, że jakiś miesiąc temu zaginęła na dnie martwego morza? Później znaleźli rozkładające się ciało. Myśleli, że to ona. Od tego czasu rodzinie Spauldingów nie wiodło się najlepiej. Joe wałęsał się po mieście, powtarzając, że to nie jej zwłoki. Okazało się, że miał rację. Dziś wieczór spotkali Lavinie.

– Gdzie? – LaFarge z trudem oddychał, jego serce waliło.

– Na Main Street. Spauldingowie kupowali bilety do kina i nagle w samym środku tłumy ujrzeni Lavinie. To musiała być niezła scena. Z początku ich nie poznała. Poszli za nią kawałek i wreszcie ją zawołali. Wtedy sobie przypomniała.

– Widziałeś ją?

– Nie. Ale słyszałem jej głos. Pamiętasz, jak śpiewała Zielone

brzegi Loch Lommond? Dawniej często słyszałem, jak nucila to ojcu w ich domu. Przyjemna piosenka; zresztą była śliczną dziewczynką. Wielka szkoda, że umarła, myślałem często, ale teraz, kiedy wróciła, wszystko będzie dobrze. Prawdę mówiąc, ty też nie najlepiej wyglądasz. Wpadnij może na kropelkę whisky...

- Dzięki Mike, ale nie.

Stary człowiek odszedł. Słyszał, jak Mike mówi mu dobranoc, nie odpowiedział jednak, wpatrując się w piętrowy budynek, którego wysoki kryształowy dach pokrywał dywan szkarłatnych marsjańskich kwiatów. Na tyłach, nad ogrodem, wznosił się balkon z żelazną balustradą. W oknach paliło się światło. Było już bardzo późno, lecz stary człowiek nadal rozmyślał. Co się stanie z Anną, jeśli nie przyprowadzę Toma? Drugi wstrząs, ponowna śmierć - jak to na nią wpłynie? Czy przypomni jej się jego pierwsze odejście? A potem ten sen i nagłe zniknięcie? O Boże, muszę znaleźć Toma. W przeciwnym razie co będzie z Anną? Biedna Anna, czeka tam teraz na przystani. Zatrzymał się, unosząc głowę. Gdzieś w górze ciche głosy żegnały się ze sobą, trzaskały drzwi, przygasały światła. Ktoś nucił piosenkę. Chwilę później na balkon wyszła śliczna dziewczyna, licząca sobie najwyżej osiemnaście lat.

LaFarge zawołał ją poprzez wiatr.

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała w dół.

- Kto tam?! - krzyknęła.

- To ja - odparł starzec, po czym uświadamiając sobie nagle, jak niemądrze zabrzmiała ta odpowiedź, umilkł. Czy powinien krzyknąć: „Tom, synu, to twój ojciec!”? Jak ma z nią rozmawiać? Pomyśli, że oszalał, i wezwie rodziców.

Dziewczyna nachyliła się przez balustradę.

- Znam cię - odparła cicho. - Proszę, odejdz. Nic już nie poradzisz.

- Musisz ze mną wrócić! - wymस्कnęło się LaFarge'owi, zanim zdołał się powstrzymać.

Skąpana w blasku księżyców postać cofnęła się w cień, tak że pozostał po niej tylko głos.

- Nie jestem już waszym synem - rzekła. - Nigdy nie

powinniśmy byli przyjeżdżać do miasta.

– Anna czeka na przystani.

– Przykro mi – odparł cichy głos. – Ale co mogę począć? Jestem tu szczęśliwa, kochają mnie, tak jak wyście mnie kochali. Jestem tym, kim jestem, i biorę to, co mogę wziąć. Już za późno. Złapali mnie.

– Ale Anna, to będzie dla niej szok! Zastanów się nad tym.

– Myśli w tym domu są zbyt silne; zupełnie jak kraty w więzieniu. Nie mogę z powrotem się zmienić.

– Ale jesteś Tomem, byłaś Tomem, prawda? Nie żartujesz sobie z biednego starca; nie jesteś tak naprawdę Lavinia Spaulding.

– Jestem tylko sobą. Gdziekolwiek trafiam, staję się kimś innym i nic nie możesz na to poradzić.

– W tym mieście stale grozi ci niebezpieczeństwo. Lepiej byłoby ci nad kanałem, gdzie nikt nie mógłby cię skrzywdzić – błagał starzec.

– To prawda – w głosie zabrzmiało wahanie – ale muszę też wziąć pod uwagę tych ludzi. Jak by się poczuli, gdybym rano znów odeszła, tym razem na dobre? Zresztą matka wie, kim jestem. Odgadła, podobnie jak ty. Podejrzewam, że wszyscy się domyślili, ale nie zadawali pytań. Nie kwestionuje się Opatrzności. Jeśli nie można mieć rzeczywistości, marzenie świetnie ją zastąpi. Może nie jestem tą, którą stracili, ale dla nich stanowią niemal coś więcej: ideał zrodzony w ich umysłach. Mam zatem wybór: zranić ich albo twoją żonę.

– Ich jest pięcioro. Łatwiej zniosą stratę.

– Proszę – rzekł cień. – Jestem zmęczona.

Głos starca stwardniał.

– Musisz pójść ze mną. Nie pozwolę, by Anna znowu cierpiała. Jesteś naszym synem, moim synem. Należysz do nas.

– Nie, błagam. – Cień zadrżał.

– Nie masz nic wspólnego z tym domem i z tymi ludźmi!

– Nie rób mi tego!

– Tom, Tom, synu, posłuchaj mnie. Wracaj, chłopcze. Zejdz po tych pnącach. Chodź ze mną, Anna czeka. Zapewnimy ci dom i wszystko, czego zapragniesz.

Z napięciem patrzył w górę, wyężając myśli, pragnąc, by tak się stało.

Cienie poruszyły się, pnącza zaszeleściły.

Aż wreszcie cichy głos szepnął:

– W porządku, ojcze.

– Tom!

W blasku księżyców zręczna chłopięca postać zsunęła się na dół. LaFarge wyciągnął rękę, aby go schwycić.

Nagle światła na górze rozbłysły. Z zakratowanego okna rozległ się głos:

– Kto tam jest?

– Pośpiesz się, chłopcze!

Kolejne światła. Kolejne głosy.

– Stójcie, mam broń! Vinny, nic ci nie jest?

Tupot stóp.

Starzec i chłopiec pobiegli przez ogród.

Rozległ się wystrzał. Pocisk uderzył w mur, w chwili gdy wspólnie wyważyli furtkę.

– Tom, biegnij tędy. Ja pójde w przeciwną stronę i ich odciągnę. Uciekaj w stronę kanału. Spotkamy się tam za dziesięć minut.

Rozstali się.

Ciemna chmura skryła księżyc. Stary człowiek biegł w ciemności.

– Anno, tu jestem!

Stara kobieta pomogła mu wsiąść do łodzi. Dygotała.

– Gdzie jest Tom?

– Zaraz powinien tu być – wydyszał LaFarge. Odwrócili się, patrząc na uliczki i uśpione miasto. Wokół nadal kręcili się spóźnieni przechodnie: policjant, nocny strażnik, pilot rakiety, killkunastu samotnych mężczyzn wracających do domów z nocnych spotkań, czwórka mężczyzn i kobiet ze śmiechem wychodzących z baru. Gdzieś w dali grała muzyka.

– Czemu jeszcze go nie ma? – spytała kobieta.

– Przyjdzie, przyjdzie. – Ale LaFarge nie był pewny. A jeśli chłopak znów wpadł w tarapaty, biegnąc ku przystani przez pogrążone w mroku ulice między ciemnymi domami? To długa

droga, nawet dla młodego chłopaka, ale powinien dotrzeć tu pierwszy.

I nagle w oddali, na skąpanej w księżycowym blasku ulicy pojawiła się biegnąca postać. LaFarge krzyknął w głos, po czym umilkł, bowiem jego uszu dobiegł daleki odgłos krzyków i biegnących stóp. W kolejnych oknach zapalały się światła. Pierwszy biegacz pędził przez otwarty plac przylegający do przystani. Nie był to Tom, a jedynie biegnąca postać o twarzy niczym srebrna tafla, połyskująca w świetle okalających plac latarni. W miarę jak się zbliżała, stawała się coraz bardziej znajoma, aż wreszcie, gdy dotarła nad wodę, należała do Toma. Anna uniosła rękę, LaFarge pośpieszył, aby odbić od brzegu. Było już jednak za późno.

Z uliczek wysypywali się bowiem na milczący plac ludzie. Jeden mężczyzna, drugi, kobieta, jeszcze dwóch mężczyzn, pan Spaulding, wszyscy pędzili naprzód. Nagle zatrzymali się oszołomieni, wodząc wokół wzrokiem, marząc o tym, by wrócić do domu, ponieważ widzieli przed sobą prawdziwy koszmar, szaleństwo. Jednak po chwili znów ruszyli naprzód, z wahaniem, zatrzymując się po każdym kroku.

Za późno. Ta noc, wydarzenia, wszystko się skończyło. LaFarge skręcał w palcach cumę. Było mu zimno, czuł się taki samotny. W blasku księżyców ludzie podnosili stopy i opuszczali je na kamienie, śmigając naprzód, oszołomieni, aż wreszcie cała grupa – dziesięć osób – zatrzymała się na przystani. Ogarnięci szaleństwem zajrzeli do łodzi. Zaczęli krzyczeć.

– LaFarge, nie ruszaj się! – Spaulding trzymał w dłoni strzelbę.

I nagle LaFarge zrozumiał, co się stało. Tom, biegnąc przez księżycowe ulice, mijał różnych ludzi. Policjant na widok uciekającej postaci odwrócił się i wykrzyknął nazwisko, a potem ruszył w pościg.

– Ty tam, stój! – wrzasnął, albowiem twarz, którą ujrzał, należała do przestępcy. Przez całą drogę działało się to samo. Mężczyźni, kobiety, nocni stróże, piloci rakiet. Ta zręczna postać znaczyła dla nich tak wiele, przybierając znajome twarze, przywołując utracone osoby, nazwiska. Ile różnych imion

wymieniono w ciągu ostatnich pięciu minut? Jak wiele twarzy pojawiło się na obliczu Toma? A wszystkie niewłaściwe.

Przez całą drogę ścigający i ścigany, śniący i sen, ogary i zwierzyzna, i ciągle nowe objawienia, błysk znajomych oczu, okrzyk powtarzający imię z dawnych czasów, wspomnienia lepszych dni. Tłum rósł, wszyscy rzucali się naprzód, podczas gdy postać rodem ze snu, niczym obraz odbity w dziesięciu tysiącach luster, dziesięciu tysiącach oczu, pędziła naprzód, ukazując różne oblicza tym przed nią, tym za nią, niewidocznym i tym, których miała dopiero spotkać.

A teraz wszyscy zgromadzili się wokół łodzi, pragnąc posiąść ów sen na własność. LaFarge nie był wyjątkiem. On także chciał, aby postać była Tomem, nie Lavinia, Williamem czy Rogerem. Ale to już skończone. Sprawy zaszły za daleko.

– Wyłaźcie wszyscy! – rozkazał Spaulding.

Tom wdrapał się na brzeg. Spaulding chwycił go za rękę.

– Ty pójdziesz ze mną.

– Chwileczkę! – wtrącił policjant. – To mój więzień. Nazywa się Dexter, jest poszukiwany za morderstwo.

– Nie! – wyszlochała jakaś kobieta. – To mój mąż! Chyba znam mojego męża?!

Inne głosy zaczęły protestować. Tłum ruszył naprzód.

Pani LaFarge zasłoniła sobą Toma.

– To mój syn. Nie macie prawa go oskarżać. Wracamy do domu.

Sam Tom dygotał gwałtownie; sprawiał wrażenie chorego. Pierścień ludzi zaciskał się wokół niego, wyciągali w jego stronę oszalałe dłonie.

Tom krzyknął.

Na ich oczach zaczął się zmieniać. Był jednocześnie Tomem i Jamesem, mężczyznomi noszącymi nazwiska Switchman i Butterfield; był burmistrzem miasteczka i młodą dziewczyną Judith, a także mężem Williamem i żoną Clarisse. Ich umysły kształtowały go niczym stopiony wosk. Ludzie wrzeszczeli błagalnie, napierając, on zaś krzyczał, wyciągając ręce. Jego twarz przekształcała się na każde żądanie.

– Tom! – ryknął LaFarge.

– Alice! – dodał ktoś inny.

– William!

Chwyтали go za ręce, obracali do siebie, póki z wrzaskiem nie runął na ziemię.

Leżał na kamieniach, stygnąca bryła rozgrzanego wosku. Wszystkie oblicza stopiły się w całość. Jedno oko miał niebieskie, drugie złote; włosy miejscami brązowe, rude, żółte, miejscami czarne; jedna brew była gęsta, druga cienka, jedna dłoń duża, druga wąska, drobna.

Stali nad nim, po chwili się nachylili.

– Nie żyje – oznajmił ktoś w końcu.

Zaczął padać deszcz. Ludzie unieśli wzrok ku niebu. Z początku powoli, potem coraz szybciej odwracali się i odchodzili prawie biegiem, uciekając jak najdalej. W ciągu minuty nie został nikt oprócz pana i pani LaFarge ściskających się za ręce.

Deszcz padał na zwróconą ku niebu twarz, zmienioną nie do poznania.

Anna milczała. Zaczęła płakać.

– Chodź do domu, Anno. Już nic nie możemy zrobić – mruknął stary mężczyzna.

Z powrotem wsiedli do łodzi i popłynęli pogrążonym w mroku kanałem. Po wejściu do domu rozpalili niewielki ogień i rozgrzali ręce. Następnie położyli się razem do łóżka, szczupli i zmarznięci, słuchając deszczu bębniącego o dach domu.

– Zbudź się – powiedział LaFarge o północy. – Słyszalas?

– Nie, nic.

– Pójdę i sprawdzę.

Przez chwilę kręcił się po ciemnej sypialni i zanim otworzył frontowe drzwi, odczekał długą chwilę.

Otwarł je na oścież i wyjrzał na dwór.

Deszcz siąpiący z czarnego nieba obmywał podwórze, wpadając do kanału i ściekając po zboczach błękitnych gór.

LaFarge zaczął pięć minut, po czym mokrymi rękami zamknął cicho drzwi i starannie zasunął rygiel.



**listopad 2005:**

## SKLEP Z WALIZKAMI

Właściciel sklepu z walizkami usłyszał w nocnym programie radiowym wiadomość przekazaną z Ziemi promieniem światłodźwięku. Nie przejął się zbyt, pojął jedynie, jak bardzo odległe to wieści: na Ziemi zanosilo się na wojnę.

Wyszedł na dwór, aby spojrzeć w niebo.

I była tam – Ziemia, na tle wieczornego nieba, podążająca w ślad za słońcem między wzgórzami. Słowa wyłowione przez radio i ta zielona gwiazda stanowiły jedność.

– Nie wierzę – westchnął właściciel sklepu.

– To dlatego, że cię tam nie ma – odparł ojciec Peregrine, który wpadł z wieczorną wizytą, aby trochę zabić czas.

– Czemu tak mówisz, ojczu?

– Przypomina mi się moje dzieciństwo. Słyszeliśmy o wojnach w Chinach, ale nigdy w to nie wierzyliśmy. Wszystko to działo się daleko, zbyt wielu ludzi ginęło. To było po prostu niemożliwe. Nawet gdy zobaczyliśmy film, nie uwierzyliśmy. Tak samo wygląda to dzisiaj. Ziemia to nasze Chiny. Krąży tak daleko, że trudno uwierzyć w jej istnienie. Tu jej nie ma. Nie da się jej dotknąć ani zobaczyć. Widać jedynie zielone światło. Dwa miliardy ludzi żyjących na tym światełku? Niewiarygodne. Wojna? Nie słyszymy przecież żadnych wybuchów.

– Ale usłyszymy – odparł właściciel sklepu. – Cały czas myślę o ludziach, którzy mieli dotrzeć na Marsa w tym tygodniu. Ilu ich będzie? Jakies sto tysięcy, które zjawią się tu za miesiąc. Co zrobią, jeśli wybuchnie wojna?

– Przypuszczam, że wrócą. Będą potrzebni na Ziemi.

– Cóż, lepiej odkurzę swoje walizki. Mam przecucie, że wkrótce czeka nas wyprzedaż.

– Sądzisz, że jeśli rzeczywiście oznacza to początek wielkiej

wojny, której spodziewaliśmy się od lat, wszyscy mieszkańcy Marsa wrócą teraz na Ziemię?

– To zabawne, ojcie, ale owszem. Przypuszczam, że wszyscy wrócimy. Wiem, przybyliśmy tu, aby oderwać się od różnych rzeczy – polityki, bomby atomowej, wojny, grup nacisku, przesądów, praw... Nadal jednak tam jest nasz dom. Proszę tylko poczekać, a sam się ojciec przekona. Kiedy pierwsza bomba spadnie na Amerykę, tutejsi ludzie zaczną myśleć o powrocie. Nie spędzili tu znów tak wiele czasu. Najwyżej parę lat. Gdyby przebywali na Marsie przez czterdzieści lat, wszystko byłoby inaczej, ale przecież tam mają rodziny i ojczyste miasta. Ja sam nie wierzę już w Ziemię; nie mogę jej sobie wyobrazić, ale ja się starzeję i już się nie liczę. Może nawet tu zostanie.

– Wątpię.

– Owszem, chyba ma ojciec rację.

Stali razem na werandzie, patrząc w gwiazdy. Wreszcie ojciec Peregrine wyjął z kieszeni plik pieniędzy i podał właścicielowi.

– A skoro już przy tym jesteśmy, proszę dać mi nową walizkę. Stara jest w bardzo kiepskim stanie...

**listopad 2005:**

MARTWY SEZON

Sam Parkhill machnął miotłą, zmiatając błękitny marsjański piasek.

– I oto jesteśmy – rzekł. – Bez dwóch zdań! Patrzcie tylko! – Wskazał ręką szyld. – Spójrz na ten napis „HOT DOGI U SAMA”! Czyż to nie piękne, Elmo?

– Jasne, Sam – odparła żona.

– Rany, co za odmiana. Gdyby tylko chłopcy z Czwartej Wyprawy mogli mnie teraz zobaczyć. Wziąłem się za interesy, podczas gdy cała reszta ciągle bawi się w żołnierzyków. Zarobimy tysiące, Elmo, tysiące!

Przez długą chwilę żona przyglądała mu się bez słowa.

– Co się stało z kapitanem Wilderem? – spytała wreszcie. – Tym, który zabił tego gościa przekonanego, że musi wystrzelać wszystkich pozostałych Ziemiaków. Jak on się nazywał?

– Spender. Co za świr. Zupełnie zwariowany. A, chodzi ci o kapitana Wildera? Słyszałem, że poleciał rakieta na Jowisza. Dali mu kopa w górę. Był chyba nieco przeczulony na punkcie Marsa. No wiesz, drażliwy. Jeśli mu się poszczęści, za jakieś dwadzieścia lat wróci z Jowisza i Plutona. Tak to bywa, kiedy ktoś gada bez namysłu. A tymczasem kiedy on zamierza na śmierć w kosmosie, spójrz na to miejsce!

Przed nimi rozciągało się skrzyżowanie. Dwa martwe trakty spotykały się i umykały w mrok. I dokładnie w tym punkcie Sam Parkhill wznosił nitowaną konstrukcję z aluminium, lśniąca białymi światłkami, dygoczącą od głośnej muzyki z szafy grającej.

Schylił się, poprawiając kawałek szkła obramowującego ścieżkę. Osobiście wytłukł to szkło ze starych marsjańskich budowli na wzgórzach.

– Najlepsze hot dogi na dwóch planetach! Pierwszy człowiek na Marsie mający własną budkę z hot dogami! Najsmaczniejsza cebula, chili i musztarda! Nie możesz powiedzieć, że nie jestem przezorny. Oto dwa główne szlaki. Po tamtej stronie leżą martwe miasto i złoża minerałów. Ciężarówka z Osady 101 będą musiały przejeżdżać tędy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę! No co, potrafisz wybrać odpowiednie miejsce?

Żona uporczywie wpatrywała się w czubki własnych paznokci.

– Myślisz, że te dziesięć tysięcy rakiet nowego typu naprawdę przyleci na Marsa? – spytała w końcu.

– Za miesiąc – odparł. – Czemu tak dziwnie wyglądasz?

– Nie ufam Ziemianom. Uwierzę, kiedy zobaczą dziesięć tysięcy statków wiozących sto tysięcy Meksykanów i Chińczyków.

– Klienci. – Napawał się brzmieniem tego słowa. – Sto tysięcy głodnych ludzi.

– Jeśli – dodała powoli jego żona, patrząc w niebo – nie wybuchnie wojna jądrowa. Nie ufam bombom atomowym. Jest ich na Ziemi tak wiele, że wszystko może się zdarzyć.

– Ach! – westchnął Sam i wrócił do przerwanej pracy.

Kątem oka dostrzegł błękitny ruch. Za jego plecami coś płynęło łagodnie w powietrzu. Usłyszał głos żony:

– Sam. Jakiś przyjaciel do ciebie.

Sam odwrócił się na pięcie i ujrzał pozornie unoszącą się w powietrzu maskę.

– A zatem wróciłeś! – Uniósł miotłę jak broń.

Maska przytaknęła. Wyrzeźbiono ją z bladoniebieskiego szkła; zza jej krawędzi wystawała szczupła szyja, z której zwisały luźne szaty ze zwiewnego złotego jedwabiu. Spomiędzy fałd materiału wyłoniły się dwie dłonie ze srebrnej siatki. Ze szczeliny tworzącej usta maski dobywały się melodyjne dźwięki, podczas gdy szaty, sama maska i dłonie to unosiły się, to opadały.

– Panie Parkhill, wróciłem, aby znów z panem pomówić – oznajmił głos zza szklanej zasłony.

– Chyba powiedziałem już, że nie chcę cię tu widzieć! – wykrzyknął Sam. – Odejdź albo złapiesz ode mnie Zarazę!

– Miałem już Zarazę – odparł głos. – Należę do tych nielicznych,

k którzy przetrwali. Bardzo długo chorowałem.

– Idź, schowaj się na swoich wzgórzach. Tam jest twoje miejsce i tam powinieneś zostać. Czemu zawracasz mi głowę i to dwa razy w ciągu jednego dnia?

– Nie mamy złych zamiarów.

– Ale ja mam! – Sam cofnął się o krok. – Nie lubię obcych. A zwłaszcza Marsjan. Nigdy dotąd żadnego z was nie widziałem. To nienaturalne. Przez wszystkie te lata ukrywacie się i nagle zaczynacie mnie nachodzić. Odejdźcie.

– Przybywamy w ważnej sprawie – oznajmiła błękitna maska.

– Jeśli to dotyczy ziemi, to należy ona do mnie. Własnymi rękami zbudowałem ten bar.

– W pewnym sensie owszem, to dotyczy ziemi.

– Posłuchaj – rzucił Sam. – Pochodzę z Nowego Jorku. Mieszka tam dziesięć milionów ludzi takich jak ja. Was, Marsjan, zostało parę tuzinów. Nie macie żadnych miast, wędrujecie tylko po wzgórzach, pozbawieni przywódców i praw, a teraz przychodzicie i nękanie mnie sprawą mojej ziemi. Cóż, stare musi ustępować miejsca nowemu. Tak to już jest. Mam ze sobą broń. Kiedy odszedłeś dziś rano, wyjąłem ją i załadowałem.

– My, Marsjanie, mamy zdolności telepatyczne – oznajmiła zimna błękitna maska. – Nawiązaliśmy kontakt z jednym z waszych miast po drugiej stronie martwego morza. Słuchał pan może radia?

– Jest zepsute.

– Zatem nic pan nie wie. Zdarzyło się coś istotnego. To dotyczy Ziemi...

Srebrna ręka wyciągnęła w jego stronę brązową tulejkę.

– Proszę pozwolić, że coś panu pokażę.

– Pistolet! – krzyknął Sam Parkhill.

W sekundę później wyrwał z kabury własną broń i wypalił w sam środek mgiełki, szaty, maski.

Przez chwilę maska wisiała jeszcze w powietrzu; potem niczym maleńki cyrkowy namiot, z którego wyjęto podpory, jedwabie opadły miękko, maska runęła w dół, srebrne paznokcie zadzwoniły o kamienną ścieżkę. Przed Samem leżał niewielki

stosik milczących białych kości i materiału, na środku którego spoczęła maska.

Sam stał nad nią, gapiąc się bez słowa.

Jego żona pochyliła się nad szczątkami.

– To nie jest broń – stwierdziła, podnosząc brązową tulejkę. – Zamierzał przekazać ci wiadomość. Napisano ją błękitnymi wężykami. Nie potrafię tego przeczytać, a ty?

– Nie, to marsjańskie pismo obrazkowe. Nic ważnego. Zostaw to.

– Sam rozejrzał się pośpiesznie. – W pobliżu mogą czaić się inni. Musimy go ukryć. Przynieś łopatę!

– Co zamierzasz zrobić?

– Pogrzebać go, rzecz jasna.

– Nie powinieneś być do niego strzelać.

– Pomyliłem się. Szybko!

W milczeniu podała mu szpadel.

O ósmej wieczorem znów zamiatał podwórze przed barem. Wciąż jeszcze nie do końca doszedł do siebie. Jego żona stała w drzwiach, z których wylewało się jaskrawe światło.

– Przykro mi, że tak wyszło – rzekł. Spojrzał na nią, po czym odwrócił wzrok. – To zrzędzenie losu, nic innego.

– Owszem – odparła.

– Dostałem szału, kiedy wyciągnął tę swoją broń.

– Jaką broń?

– Myślałem, że to broń. Przepraszam, w porządku? Przepraszam! Ile razy mam to powtórzyć?

– Ciii. – Elma uniosła palec do ust. – Ciii.

– Nie dbam o to – rzekł. – Stoi za mną całe Zjednoczenie Ziemi Osad – prychnął. – Ci Marsjanie nie odważą się...

– Spójrz – szepnęła Elma.

Obejrzał się na dno martwego morza. Upuścił miotłę i natychmiast ją podniósł. Otworzył usta; kropelka śliny błysnęła w powietrzu. Nagle Parkhill zaczął drżeć.

– Elmo, Elmo, Elmo! – powtarzał.

– Oto oni – oznajmiła.

Po dnie martwego morza płynął tuzin smukłych marsjańskich statków piaskowych. Błękitne żagle trzepotały w powietrzu

niczym duchy czy może niebieski dym.

– Statki piaskowe! Ale przecież ich już nie ma, Elmo! Ani jednego!

– Wygląda na to, że jednak są – odparła.

– Wszak władze wszystkie je skonfiskowały. Większość zniszczono, część sprzedano na licytacjach. Tylko ja jeden w tej cholernej okolicy mam taki i umiem nim kierować.

– Już nie. – Skinęła głową w stronę przybyszów.

– Chodź, zabierajmy się stąd!

– Czemu? – spytała wolno, zafascynowana pojazdami Marsjan.

– Zabiją mnie! Wsiadaj do ciężarówki, prędko!

Elma nie zareagowała.

Musiał zaciągnąć ją na tył baru, gdzie czekały dwa pojazdy. Jego ciężarówka, z której jeszcze miesiąc temu korzystał praktycznie bez przerwy, i stary marsjański piaskowy statek, kupiony z uśmiechem na licytacji. W ciągu ostatnich trzech tygodni często go używał, przewożąc zapasy przez szkliste dno morza. Spojrzał na ciężarówkę i nagle sobie przypomniał – wymontowany silnik leżał na ziemi. Sam zmagął się z nim przez ostatnie dwa dni.

– Najwyraźniej ciężarówka nie na wiele nam się przyda – zauważyła Elma.

– Piaskowy statek! Wsiadaj!

– Chcesz mnie stąd zabrać piaskowym statkiem? O nie!

– Wsiadaj! Potrafię nim kierować!

Wepchnął ją do środka, wskoczył za nią, parę razy poruszył rumplem i pozwolił, by kobaltowy żagiel napełnił się wieczornym wiatrem.

Gwiazdy jasno świeciły na niebie. Błękitne marsjańskie łodzie pędziły po szepczącym piasku. Z początku jego własny statek nawet nie drgnął, nagle jednak Parkhill przypomniał sobie o piaskowej kotwicy i ją wyszarpnął.

– Proszę!

Pchany wiatrem piaskowy statek śmignął po dnie martwego morza, przemykając nad pogrzebanymi od wieków kryształowymi budowlami, mijając strzaskane kolumny, porzucone porty z marmuru i brązu, martwe szachownice

białych miast i fioletowe wzgórza. Marsjańskie statki małały w oczach. Po chwili ruszyły w ślad za nimi.

– No, pokazałem im, na Boga! – wykrzyknął Sam. – Złożę meldunek Kompanii Raketowej. Zapewnię mi ochronę. Szybki jestem, no nie?

– Gdyby chcieli, mogliby cię powstrzymać – stwierdziła Elma ze znużeniem. – Po prostu im nie zależało.

Roześmiał się.

– Daj spokój. Czemu mieliby mnie puścić? Nie, nie byli dość szybcy i tyle.

– Naprawdę? – Elma spojrzała do tyłu.

On jednak się nie obrócił. Nagle owionął go zimny wiatr. Na ławeczce za sobą czuł czyjąś obecność. Coś łagodnego jak oddech w chłodzie poranka, błękitnego jak dym z orzecha o zmierzchu, delikatnego jak stara biała koronka, jak płatek śniegu, kryształki szronu na kruchym zimowym sitowiu.

Rozległ się dźwięk przypominający melodyjny brzęk tłuczonego szkła – to był śmiech. Potem zapadła cisza. Odwrócił się.

Na ławeczce przy sterze siedziała młoda kobieta. Przeguby miała smukłe niczym sopte lodu, oczy czyste jak blask księżyca, wielkie, białe i spokojne. Z każdym powiewem wiatru falowała niczym obraz odbity w tafli wody; wokół niej fruwały niby błękitny deszcz jedwabne strzępki.

– Zawracaj – powiedziała.

– Nie. – Sam dygotał leciutko niczym szerszeń wiszący w powietrzu, nie wiedząc, czy powinien czuć lęk, czy też nienawiść. – Wynoś się z mojego statku!

– Ten statek nie należy do ciebie – odparło zjawisko. – Jest stary jak nasz świat. Dziesięć tysięcy lat temu zeglował po morzach piasku, zanim ich śpiew ucichł, porty opustoszały, a ty przybyłeś i go ukradłeś. A teraz zawróć. Musimy z tobą pomówić. Zdarzyło się coś ważnego.

– Wynoś się stąd! – powtórzył Sam. Skóra zaskrzypiała, gdy wyciągał rewolwer z kabury. Ostrożnie wycelował w falującą zjawę. – Zeskakuj, zanim policzę do trzech. W przeciwnym razie...

– Nie rób tego! – krzyknęła dziewczyna. – Nie skrzywdzę cię.



Podobnie pozostali! Przybywamy w pokoju!

- Raz - powiedział Sam.
- Sam! - rzuciła Elma.
- Wysłuchaj mnie - nalegała dziewczyna.
- Dwa - oznajmił stanowczo Sam, poprawiając palec na spuście.
- Sam! - krzyknęła Elma.
- Trzy.
- My tylko... - zaczęła dziewczyna.

Rewolwer wypalił.

W blasku słońca śnieg topnieje, kryształki zamieniają się w parę i znikają, po zetknięciu z płomieniami mgiełka zaczyna tańczyć i się rozwiewa. Delikatne przedmioty wrzucone w głąb krateru wulkanu wybuchają ogniem i znikają. W ogniu wystrzału uderzona rozpaloną kulą dziewczyna złożyła się niczym miękkiej szal i stopiła jak kryształowa figurka. Wiatr zdmuchnął to, co z niej zostało - drzazgi lodu, płatki śniegu, dym. Ławeczka przy sterze była pusta.

Parkhill schował pistolet, nie patrząc na żonę.

- Sam - powiedziała po chwili Elma, podczas gdy ich pojazd mknął po księżycowym morzu piasku - zatrzymaj statek.

Obejrzał się na nią, śmiertelnie blady.

- Nic z tego. Nie nabierzesz mnie. Nie po tym wszystkim.

Patrzyła na jego dłoń spoczywającą na kolbie rewolweru.

- Wierzę, że naprawdę byś to zrobił - powiedziała. - Nie zawahałbyś się.

Rozejrzał się gorączkowo, ściskając w palcach rumpel.

- Elmo, to szaleństwo. Za chwilę znajdziemy się w mieście. Wszystko będzie dobrze.

- Tak - odparła obojętnie, kładąc się na dnie statku.

- Elmo, posłuchaj mnie.

- Tu nie ma już czego słuchać, Sam.

- Elmo!

Mijali właśnie niewielkie miasteczko. Sam, wściekły i sfrustrowany, posłał sześć pocisków w stronę kryształowych wież. Miasto rozpadło się w deszczu odłamków starożytnego szkła i kwarcu. Runęło na ziemię niczym strzaskana mydlana

rzeźba. Zniknęło. Roześmiał się, wystrzelił ponownie i jedyna ocalała wieża, ostatnia szachowa figurka, stanęła w płomieniach, a jej szczątki poszybowały ku gwiazdom.

– Pokażę im! Wszystkim pokażę!

– No dalej, pokaż nam, Sam. – Jego żona leżała wśród cieni.

– Oto następne miasto! – Sam przeładował rewolwer. – Patrz, jak je załatwię!

Błękitne widmowe statki płynęły za nimi, zbliżając się z każdą chwilą. Z początku ich nie dostrzegał. Słyszał jedynie świst i wysoki, rozdzierający zgrzyt stali na piasku – kile piaskowych statków cięły dno morza. Czerwone i niebieskie proporce powiewały na wietrze. Na pokładach jasnych błękitnych okrętów snuły się ciemnoniebieskie cienie ludzi w maskach, ludzi o srebrzystych twarzach, oczach z błękitnych gwiazd, rzeźbionych złotych uszach, policzkach ze srebrnej folii i wysadzanych rubinami wargach; nieznanym o splecionych ramionach; ścigających go Marsjan.

Jeden, drugi, trzeci. Sam liczył kolejne statki. Marsjanie coraz bardziej się zbliżali.

– Elmo! Nie zdołam powstrzymać ich wszystkich!

Elma nie odpowiadała. Leżała dalej bez ruchu. Sam wystrzelił osiem razy. Jeden z piaskowych statków rozpadł się na kawałki – szmaragdowy kadłub, żagiel, okucia z brązu, biały jak księżyc ster, wszystkie tkwiące wewnątrz widma. Ludzie w maskach zapadli się w piasek i zniknęli wśród dymu i pomarańczowych płomieni.

Jednakże pozostałe okręty coraz bardziej się zbliżały.

– Sam nie dam rady, Elmo! – krzyknął. – Zabiją mnie!

Zarzucił kotwicę. To nie miało sensu. Żagiel załopotał i opadł z westchnieniem. Statek zamarł. Wiatr ucichł. Wszelki ruch ustał. Mars trwał wokół w milczeniu, podczas gdy majestatyczne żaglowce jego mieszkańców okręwały z wahaniem statek Parkhilla.

– Ziemiannie! – zawołał czyjś głos z wysoka. Srebrzysta maska poruszyła się, wysadzane rubinami wargi zamigotały w rytm słów.

– Ja nic nie zrobiłem! – Sam powiódł wzrokiem po otaczającej go setce twarzy.

Na Marsie nie zostało zbyt wielu Marsjan – może stu, może stu pięćdziesięciu, i większość z nich była teraz tutaj, na martwym morzu, we wskrzeszonych statkach, niedaleko wymarłych rzeźbionych miast, z których jedno rozsypało się właśnie niczym delikatna waza uderzona kamieniem. Srebrzyste maski błyszcząły.

– To była pomyłka! – mówił błagalnie, wychylając się za burtę. Jego żona leżała jak martwa, skulona w najgłębszej ładowni. – Przybyłem na Marsa, aby prowadzić uczciwy interes. Zabrałem z rozbitej rakiety niezbędne materiały i zbudowałem najpiękniejszy bar z hot dogami, jaki można sobie wyobrazić, na samym skrzyżowaniu dróg – zresztą wiecie, gdzie to jest. Musicie przyznać, że odwaliłem kawał dobrej roboty. – Roześmiał się, wodząc naokoło wzrokiem. – A potem zjawił się ten Marsjanin. Wiem, że był waszym przyjacielem. Zapewniam was, że jego śmierć to przypadek. Pragnąłem tylko prowadzić bar z hot dogami, jedyny na Marsie, pierwszy, najważniejszy. Rozumiecie? Zamierzałem podawać tu najlepsze hot dogi z chili, cebulą i sokiem pomarańczowym.

Srebrne maski trwały w bezruchu, płonąc w promieniach księżyców. Lśniące żółte oczy spoglądały na Sama, który poczuł, jak żołądek ściska mu się gwałtownie i zaczyna ciążyć jak kamień. Cisnął rewolwer na piasek.

– Poddaję się.

– Podnieś swą broń – powiedzieli Marsjanie chórem.

– Co takiego?

– Swoją broń. – Pokryta klejnotami dłoń machnęła na niego z dziobu błękitnego statku. – Zabierz ją. Schowaj.

Z niedowierzaniem podniósł rewolwer.

– A teraz – poleciał głos – zawróć statek i wracaj do swego baru.

– Od razu?

– Od razu. Nie zrobimy ci krzywdy. Uciekłeś, zanim zdążyliśmy ci wyjaśnić. Dalej.

\* \* \*

Wielkie statki zawróciły lekko jak osty w promieniach księżyca. Unoszące je skrzydła żagli zatrzepotały niczym klaszczące dłonie. Maski iskrzyły się, obracały, płonęły w mroku.

- Elmo! - Sam obrócił się gwałtownie i wpadł do ładowni. - Wracamy! - Podekscytowany, niemal bełkotał. - Nie zrobią mi krzywdy, nie zabiją mnie, Elmo. Wstań, kochanie, wstań!

- Co? Co takiego? - Podczas gdy statek ponownie żeglował z wiatrem, powoli, niczym we śnie, kobieta dźwignęła się na siedzenie i opadła tam ciężko jak worek kamieni, nie odzywając się więcej.

Piasek ze zgrzytem umykał w tył. Po półgodzinie znaleźli się z powrotem na rozstajach. Okręty stanęły na kotwicach, wszyscy wysiedli.

Do Sama i Elmy podszedł przywódca Marsjan. Jego twarz skrywała maska wykuta z błyszczącego brązu, oczy były jedynie pustymi szczelinami nieskończonej czerni i błękitu. Ze szpary w miejscu ust wiatr porывał kolejne słowa.

- Przygotujcie swój bar - powiedział. Dłoń w diamentowej rękawicy uczyniła drobny gest. - Szykujcie przysmaki, potrawy, obce wina, albowiem dziś mamy wielką noc.

- To znaczy - spytał Sam - że pozwolicie mi tu zostać?

- Tak.

- Nie jesteście na mnie źli?

Maska patrzyła na niego - sztywna, rzeźbiona, chłodna, ślepa.

- Przygotuj swój kram z jadłem - polecił łagodnie głos. - I weź to.

- Co to jest?

Mrużąc oczy, Sam spojrział na podany mu zwój srebrzystej folii, na której tańczyły hieroglificzne figurki węży.

- To akt nadania ziemi, całego terenu od srebrnych gór do błękitnych wzgórz, od martwego słonego morza do odległych szmaragdowych dolin i kryształowych jarów - odparł przywódca.

- D-dla mnie? - zająknął się Sam.

- Dla ciebie.

– Sto tysięcy mil ziemi?

– Dla ciebie.

– Słyszałaś, Elmo?

Elma siedziała na piasku, oparta o aluminiową ścianę baru. Oczywiście zamknięte.

– Ale czemu... czemu mi to dajecie? – spytał Sam, próbując zajrzeć w metalowe szczeliny oczu.

– To jeszcze nie wszystko. Proszę.

Znikąd pojawiło się sześć kolejnych zwojów. Wymieniono nazwy, opisano tereny.

– Ależ to połowa Marsa! Jestem właścicielem połowy Marsa! – Zwoje zaszeleściły w dłoniach Sama. Machnął nimi przed twarzą Elmy, zanosząc się szaleńczym śmiechem. – Elmo, słyszałaś?

– Słyszałam – odparła w niebo.

Zdawała się na coś czekać. Najwyraźniej powoli wracała jej świadomość.

– Dziękuję wam. Och, dziękuję! – jęknął Sam, zwracając się do maski z brązu.

– Dziś jest ta noc – odparła maska. – Musisz być gotów.

– Będę. To niespodzianka, tak? Czyżby rakiety z Ziemi przybywały wcześniej, niż przypuszczaliśmy? O cały miesiąc wcześniej? Dziesięć tysięcy rakiet przywożących osadników, górników, robotników i ich żony? Sto tysięcy ludzi? Czyż to nie cudowne, Elmo? Zobaczysz, mówiłem ci, mówiłem, że nasze miasto nie zawsze będzie liczyło tylko tysiąc mieszkańców. Wkrótce zjawi się pięćdziesiąt tysięcy nowych ludzi, za miesiąc jeszcze sto tysięcy, a pod koniec roku zamieszka tu pięć milionów Ziemiaków. Ja zaś będę właścicielem jedyne go baru z hot dogami, stojącego na najbardziej ruchliwym skrzyżowaniu w okolicy!

Maska poszybowała na wietrze.

– Zostawiamy cię już. Szykuj się. Ziemia należy do ciebie.

Stare statki zawróciły w promieniach księżyców niczym metalowe płatki pradawnych kwiatów, błękitne pióropusze, ogromne kobaltowe motyle, i odpłynęły po morzu ruchomych piasków, unosząc z sobą migoczące maski, aż w końcu ostatni promyk światła, ostatni błękitny cień zniknął pośród wzgórz.

– Elmo, dlaczego to zrobili? Czemu mnie nie zabili? Mają nie po kolei w głowach? Co z nimi? Elmo, rozumiesz coś z tego? – Potrząsnął nią mocno. – Jestem właścicielem połowy Marsa!

Patrzyła w nocne niebo, czekając.

– Chodź – polecił. – Musimy się przygotować. Trzeba nastawić parówki, podgrzać bułeczki, zagotować chili, obrać i pokroić cebulę, dosypać przypraw, rozłożyć serwetki, wyszykować cały bar! Hej! – Zatańczył radośnie wokół, wycinając hołubce. – Taki jestem rad! Tak bardzo rad! – zafąszował. – To mój szczęśliwy dzień!

Zagotował parówki, rozciął bułki, w szalonym tempie pokroił cebulę.

– Pomyśl tylko, Marsjanie wspominali o niespodziance. To może oznaczać tylko jedno, Elmo. Sto tysięcy ludzi przybędzie tu przed terminem, i to właśnie dziś, jeszcze tej nocy! Przeżyjemy prawdziwy najazd! Przez dłuższy czas będziemy pracować po godzinach, obsługując turystów, którzy zechcą zwiedzić okolicę. Pomyśl tylko, Elmo, pomyśl o pieniądzach!

Wyszedł na dwór i spojrzał w niebo. Nic nie zobaczył.

– Może za chwilę – rzekł, z rozkoszą wciągając w nozdrza chłodne powietrze i klepiąc się w pierś. – Ach!

Elma nie odpowiedziała. Obierała spokojnie kartofle na frytki, ani na moment nie odrywając wzroku od nieba.

– Sam – powiedziała pół godziny później. – Już jest. Spójrz.

Uniósł wzrok i ją ujrzał.

Ziemię.

Właśnie wschodziła nad wzgórzami, krągła i zielona niczym piękny szlifowany klejnot.

– Pocziwa stara Ziemia – szepnęła czule. – Pocziwa, cudowna Ziemia. Przyślij mi swoich głodnych i spragnionych. Jak szedł ten stary wiersz? Przyślij mi swoich głodnych, stara Ziemi. Sam Parkhill czeka, hot dogi już się grzeją, chili stoi na ogniu, wszystko przygotowane. No dalej, Ziemi, ześlij mi swoje rakiety!

Wszedł do środka, rozglądając się po barze. Cóż za wspaniałe miejsce, doskonałe niczym świeżo złożone jajo na dnie martwego morza. Jedyne jądro światła i ciepła pośród setek mil samotnych

pustkowi. Bar był niczym serce bijące cicho w wielkim, mrocznym ciele. Poczłł niemal smutek, jednocześnie jednak przyglądał mu się z dumą wilgotnymi oczami.

– Coś takiego uczy człowieka pokory – powiedział, wdychając zapach gotujących się parówek, rozgrzanych bułeczek, świeżutkiego masła. – Zapraszamy! – rzucił pod adresem licznych gwiazd na niebie. – Kto kupuje pierwszy?

– Sam – powiedziała Elma.

Ziemia na czarnym niebie nagle się zmieniła. Zapłonęła.

Jej część zdawała się rozpadać na miliony kawałków, jakby wybuch rozrzucił gigantyczną układankę. Przez minutę wielka kula jarzyła się, ociekając ohydnyim blaskiem, trzykrotnie większa niż zwykle, po czym zaczęła maleć.

– Co to było? – Sam spoglądał na zielony płomień na niebie.

– Ziemia – odparła Elma, składając dłonie.

– To nie może być Ziemia! To nie Ziemia! Nie Ziemia! Niemożliwe!

– Twierdzisz, że to niemożliwe? A zatem to nie Ziemia. Nie, to nie Ziemia; czy to chciaeś usłyszeć?

– Nie Ziemia, och nie, tylko nie to! – zawodził.

Stał bez ruchu z rękami opuszczonymi wzdłuż boków; jego usta otwały się, patrzył niewidzącym wzrokiem w niebo.

– Sam! – zawołała Elma. Po raz pierwszy od wielu dni jej oczy zabłyśły. – Sam?

Nadal spoglądał w niebo.

– No cóż – westchnęła. Przez chwilę bez słowa wodziła wokół wzrokiem, po czym przewiesiła sobie przez ramię wilgotną ściereczkę. – Zapal więcej świateł, włącz muzykę, otwórz drzwi. Za jakiś milion lat zjawi się tu prawdziwy tłum gości. Musimy być gotowi.

Sam nawet nie drgnął.

– Co za wspaniałe miejsce na bar z hot dogami – dodała. Sięgnęła do pojemnika, wydobyła z niego wykałaczkę i wsunęła ją między przednie zęby. – Powiem ci coś w sekrecie, Sam – szepnęła, nachylając się do męża. – Wygląda na to, że zapowiada się martwy sezon.

**listopad 2005:**

**OBSERWATORZY**

Tej nocy wszyscy wyszli na dwór i spojrzeli w niebo. Porzucili kolacje, pranie, przebieranie się na wieczorny seans i wybiegli na nie takie już nowe werandy, aby oglądać zieloną gwiazdę Ziemi. Uczynili to zupełnie bezwiednie; tylko po to, by lepiej pojąć nowiny, które usłyszeli przez radio. Oto Ziemia, zagrożona nadchodzącą wojną, a wraz z nią setki tysięcy matek i babek, ojców i braci, ciotek, wujów i kuzynów. Stali zatem na werandach, próbując uwierzyć w istnienie Ziemi, tak jak kiedyś usiłowali uwierzyć w istnienie Marsa. Tym razem stanęli przed podobnym problemem. Praktycznie rzecz biorąc, Ziemia była dla nich martwa. Opuścili ją trzy, cztery lata wcześniej. Przestrzeń kosmiczna działała niczym środek znieczulający. Siedemdziesiąt milionów mil próżni otępiało człowieka, usypiało pamięć, wyludniało Ziemię, zamazywało przeszłość i pozwalało tutejszym ludziom spokojnie pracować dalej. Teraz jednak, właśnie tego wieczoru, martwi powstali z grobów, na Ziemi zaroilo się od ludzi, wspomnienia powróciły, wymieniono milion imion: jak się dziś miewa taki-a-taki na Ziemi? A ten czy tamten? Ludzie na werandach zerkali na twarze swoich towarzyszy.

O dziewiątej Ziemia eksplodowała, stanęła w ogniu i zaczęła płonąć.

Ludzie na werandach unieśli ręce, jakby pragnęli zdusić płomień.

Czekali.

Do północy ogień zgasł. Ziemia nadal tam była. Z werand dobiegło chóralne westchnienie niczym jesienny wiatr.

- Od dawna nie mieliśmy wiadomości od Harry'ego.
- Na pewno dobrze mu się wiedzie.
- Powinniśmy wysłać list do mamy.



- Nic jej nie jest.
- Naprawdę?
- Nie martw się.
- Jak sądzisz, czy nic jej nie grozi?
- Oczywiście, oczywiście; a teraz chodź do łóżka.

Jednakże nikt się nie poruszył. Gospodynie wyniosły spóźnione kolacje na nocne trawniki, ustawiły je na składanych stolikach i ludzie powoli skubali jedzenie aż do drugiej nad ranem, kiedy z Ziemi zaczęły dochodzić wiadomości świetlne i radiowe. Z łatwością odczytywali wielkie rozbłyski alfabetu Morse'a, odległe niczym świetliki:

KONTYNET AUSTRALIJSKI ZNISZCZONY W PRZEDWCZESNYM WYBUCHU ARSENAŁÓW JĄDROWYCH. LOS ANGELES I LONDYN ZBOMBARDOWANE. WOJNA. WRACAJCIE DO DOMU. WRACAJCIE DO DOMU. WRACAJCIE DO DOMU.

Podnieśli się od stołów.

WRACAJCIE DO DOMU. DO DOMU. DO DOMU.

- Czy miałeś w tym roku wiadomości od twego brata, Teda?
- No wiesz, znaczek na Ziemię kosztuje pięć dolarów, więc nie pisuję zbyt często.

WRACAJCIE.

- Zastanawiałem się, co słyhać u Jane; pamiętasz Jane, moją młodszą siostrę?

WRACAJCIE.

O trzeciej nad ranem właściciel sklepu z walizkami uniósł wzrok. Ulicą zbliżała się gromada ludzi.

- Specjalnie zostałem dziś dłużej. Czym mogę państwu służyć?
- O świcie z półek zniknęły ostatnie walizki.

**grudzień 2005:**

## MILCZĄCE MIASTA

Na brzegu martwego marsjańskiego morza wznosiło się białe milczące miasteczko. Było puste. Nic się w nim nie poruszało. Całymi dniami w oknach płonęły samotne światła. Drzwi sklepów stały otworem, jakby ludzie wybiegli, nie używając kluczy. Pisma, miesiąc wcześniej sprowadzone z Ziemi srebrnymi raketami, łopotały nietknięte na milczących stojakach przed drogeriami, zbrązowiałe od słońca.

Miasto było martwe. Jego puste łóżka już dawno ostygły. Jedynym słyszalnym dźwiękiem pozostał pomruk linii elektrycznych i prądnic, które nadal jeszcze działały. Woda spływała do zapomnianych wanien, przelewała się do salonów, na werandy i ściekała po grządkach, zasilając zapomniane kwiaty. W ciemnych kinach guma do żucia przylepiona pod krzesłami zaczęła twardnieć, na zawsze utrwalając odciski zębów.

Niedaleko miasta znajdował się port kosmiczny. W miejscu, gdzie ostatnia rakietę wystrzeliła w niebo, w powietrzu nadal unosił się swąd spalenizny. Gdyby wrzucić monetę do teleskopu i wycelować go w Ziemię, być może dałoby się zobaczyć toczącą się tam wielką wojnę, dojrzeć wybuch niszczący Nowy Jork i Londyn okryty nowym całunem mgły. Może wówczas dałoby się pojąć, czemu to małe marsjańskie miasteczko zostało porzucone. Jak szybko odbyła się ewakuacja? Wystarczy wejść do któregoś sklepu i nacisnąć przycisk ZWROT GOTÓWKI. Szufladki kasy otworzą się ze szczękiem, pełne jasnych, brzęczących monet. Wojna na Ziemi musiała być bardzo ciężka...

Pustymi ulicami miasteczka, pogwizdując pod nosem, całkowicie skupiony na kopaniu przed sobą pustej puszką, wędrował wysoki, szczupły mężczyzna. W jego oczach czał się

mrok samotności. Co chwila wsuwał kościste ręce do kieszeni i pobrzękiwał nowymi dziesiątakami. Od czasu do czasu rzucał błyszczącą monetę na ziemię, śmiał się do siebie i szedł dalej.

Nazywał się Walter Gripp. Mieszkał daleko na błękitnych marsjańskich wzgórzach, w chacie wzniesionej obok bogatego złoża. Co dwa tygodnie przychodził do miasteczka w nadziei, że spotka w końcu spokojną i mądrą kobietę, którą mógłby poślubić. Przez lata wracał do swej chaty samotny i zawiedziony. Tydzień temu po przybyciu do miasta odkrył, że jest puste.

Zdumiał się tak bardzo, że pobiegł do baru, otworzył szeroko zaplecze i zamówił potrójną kanapkę z wołowiną.

– Jedną chwilkę! – wykrzyknął ze ściereczką na ramieniu.

Zgrabnie pokroił zimne mięso i wczorajszy chleb, odkurzył stół, zaprosił sam siebie na miejsce i zaczął jeść, póki nie poczuł takiego pragnienia, że musiał poszukać sklepiku z napojami, gdzie zamówił wodę sodową. Sklepikarz, niejaki Walter Gripp, był zdumiewająco uprzejmy. Przygotował nawet syfon specjalnie dla niego!

Napchał kieszenie pieniędzmi, wszystkimi, jakie tylko mógł znaleźć. Załadował dziecięcy wózek dziesięci dolarówkami i popędził naprzód. Dotarłszy do przedmieścia, uświadomił sobie nagle, jak okropnie niemądrze się zachował. Przecież nie potrzebował pieniędzy. Odniósł banknoty tam, skąd je zabrał, odliczył z własnego portfela dolara, by zapłacić za kanapki, wrzucił go do kasy baru i dodał ćwiartkę napiwku.

Tego wieczoru zażył gorącej kąpieli w tureckiej łaźni, uraczył się soczystym befsztykiem z pachnącymi grzybami, importowaną wytrawną sherry i truskawkami w winnej zalewie. Dobra też sobie nowy garnitur z błękitnej flaneli i szary kapelusz, który siedział na jego wąskiej głowie pod osobliwym kątem. Wrzucił pieniądze do szafy grającej i wybrał Naszą starą paczkę. Powrzucał miedziaki do dwudziestu szaf w całym mieście. Samotne nocne ulice rozbrzmiewały smutną melodią Naszej starej paczki, podczas gdy on, wysoki, szczupły i samotny, wędrował wokół bez celu. Jego nowe buty uderzały lekko o ziemię, zmarznięte ręce wsunął w kieszenie.

Od tamtego dnia minął tydzień. Walter sypiał w przytulnym domu na Mars Avenue, wstawał co rano o dziewiątej, brał kąpiel i wędrował do miasta na porcję jajek na szynce. Każdego ranka zamrażał tonę mięsa, warzyw i cytrynowych kremówek – dostatecznie dużo, by starczyło na dziesięć lat, póki rakiety nie wrócą z Ziemi. Jeśli w ogóle przylecą.

Tego wieczoru wałęsał się bez celu, oglądając stojące na barwnych wystawach woskowe figury kobiet, piękne i różowe. Po raz pierwszy zrozumiał, jak martwe jest to miasto. Nalał sobie kufel piwa i zapłakał.

– Boże – westchnął. – Jestem zupełnie sam.

Wszedł do kina Elite, aby puścić sobie film i oderwać myśli od własnej samotności. Kino było puste i głuche niczym grób. Po wielkim ekranie pełzały szaroczarne widma. Drżąc, umknął pośpiesznie z nawiedzzonego zamczyska.

Uznawszy, że czas wracać do domu, maszerował dziarsko środkiem bocznej uliczki, gdy nagle usłyszał dzwonek telefonu.

Zaczął nasłuchiwać.

– Telefon.

Ruszył naprzód, energicznie stawiając kroki.

– Ktoś powinien odebrać – zastanawiał się.

Usiadł na krawężniku, aby wytrząsnąć kamyk z buta.

– Ktoś! – krzyknął, zrywając się na równe nogi. – Ja! Mój Boże, co się ze mną dzieje?! – wrzasnęła, zawracając na pięcie. – Który to dom? Ten!

Popędził przez trawnik, po schodkach do domu, w głąb mrocznego przedsionka. Chwytał słuchawkę.

– Halo! – krzyknął.

Buuuuuu.

– Halo! Słucham!

Rozmówca już się rozłączył.

– Halo! – ryknął i odrzucił słuchawkę.

– Ty idioto! – krzyknął do samego siebie. – Siedziałeś jak kretyn na krawężniku! Ty przekłety durniu! – Ścisnął rękami telefon. – No dalej, zadzwoń jeszcze! Dalej!

Nigdy nie sądził, że na Marsie ktoś jeszcze mógł zostać. Przez

cały tydzień nie widział nikogo. Uznał, że wszystkie inne miasta były równie puste jak to.

Teraz, wpatrując się w straszliwy czarny telefon, zadrżał. Wszystkie osady na Marsie miały wspólny system łączności, ale z którego z trzydziestu miast dzwoniło?

Nie wiedział.

Czekał. Przeszedł do obcej kuchni, rozmroził porcję czarnych jagód i je zjadł, niepokieszony.

– Po drugiej stronie nie było nikogo – mruknął. – Może gdzieś po drodze złamał się słup i telefon zadzwonił sam z siebie?

Ale czyż nie usłyszał szcęką, co oznaczało, że ktoś w dali odłożył słuchawkę?

Resztę nocy spędził w przedśionku.

– Nie z powodu telefonu – upierał się. – Po prostu nie mam nic lepszego do roboty.

Słuchał cichego tykania zegarka.

– Ona już nie zadzwoni – rzekł. – Nie wykręci ponownie numeru, który nie odpowiedział. Zapewne w tej chwili sprawdza inne domy w miasteczku, a ja siedzę tutaj. Chwileczkę! Czemu właściwie mówię „ona”?

Zamrugnął.

– Równie dobrze to mógłby być on.

Jego serce zaczęło coraz wolniej bić. Ogarnął go chłód; czuł w sobie przejmującą pustkę.

Bardzo pragnął, aby to była „ona”.

Wyszedł z domu i stanął pośrodku ulicy, skąpanej w mętnym blasku przedświtu.

Nasłuchiwał. Nic. Żadnych ptaków ani samochodów, jedynie bicie jego serca. Uderzenie, przerwa, i znów. Twarz miał tak napiętą, że aż bolała. Wiatr dmuchał łagodnie, bardzo łagodnie, poruszając jego płaszczem.

– Ciiii – szepnął. – Słuchaj.

Obracał się powoli, przenosząc wzrok z jednego milczącego domu na następny.

Będzie dzwoniła pod kolejne numery, pomyślał. To musi być kobieta. Dlaczego? Tylko kobieta mogłaby wpaść na taki pomysł

z telefonem. Nie mężczyzna. Mężczyźni są niezależni. Czy ja do kogokolwiek dzwoniłem? Nie! Nawet o tym nie pomyślałem. To musi być kobieta. Musi, na Boga!

Słuchaj.

W oddali, pod gwiazdami, zadzwonił telefon.

Walter pobiegł. Zatrzymał się, nasłuchując. Dzwonek zaterkotał cicho. Mężczyzna znów przebiegł parę kroków. Głośniej! Popędził alejką. Jeszcze głośniej! Minął sześć domów, kolejnych sześć. Znacznie głośniej! Wybrał kamienicę... i odkrył, że drzwi są zamknięte.

Telefon w środku dzwonił.

– Niech cię diabli! – Szarpnął za gałkę.

Aparat krzyczał.

Cisnął stojącym na werandzie krzesłem w okno salonu i wskoczył do środka.

Zanim dotarł do stolika, telefon umilkł.

Wówczas Walter wpadł w szal. Zaczął rozbijać zwierciadła, zdzierać zasłony, kopać zimną kuchenkę.

Wreszcie wyczerpany podniósł cienki spis wszystkich telefonów na Marsie. Pięćdziesiąt tysięcy numerów.

Zaczął od pierwszego.

Amelia Ames. Wybrał numer w Nowym Chicago, sto mil dalej, po drugiej stronie martwego morza.

Nikt nie odpowiedział.

Numer dwa mieszkał w Nowym Nowym Jorku, pięć tysięcy mil za błękitnymi górami.

Brak odpowiedzi.

Wykręcił trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem numerów. Jego palce drżały tak mocno, że nie mógł utrzymać słuchawki.

– Halo? – odezwał się kobiecy głos.

Walter krzyknął:

– Halo?! O Boże, halo!

– Tu automatyczna sekretarka – recytował głos w słuchawce. – Panny Helen Arasumian nie ma w domu. Proszę nagrać wiadomość na taśmę, by mogła odpowiedzieć, gdy wróci. Halo? Tu automatyczna sekretarka. Panny Helen Arasumian nie ma

w domu. Proszę zostawić wiadomość...

Odłożył słuchawkę.

Przez chwilę siedział bez ruchu, jego wargi drżały.

Po namyśle raz jeszcze wybrał ten sam numer.

- Kiedy panna Helen Arasumian wróci - rzekł - powiedz jej, żeby poszła do diabła.

\* \* \*

Dzwonił do central w Mars Junction, Nowej Arkadii i Roosevelt City, uznawszy, że logicznie rzecz biorąc, ktoś, kto chciałby zadzwonić, powinien pójść właśnie tam. Potem zaczął wybierać numery ratuszy i innych instytucji publicznych. Wydzwaniał do najlepszych hoteli. Kobieta na pewno zechce zamieszkać w luksusie.

Nagle zamarł, klasnął głośno i się roześmiał. Oczywiście! Zajrzał do spisu i wykręcił numer największego salonu kosmetycznego w Nowym Texas City. Jeśli istniało miejsce, gdzie kobieta zatrzyma się na dłużej, aby nałożyć na twarz maseczki z błota, siedząc pod suszarką, z pewnością był to lśniący jak klejnot, aksamitnie miękki salon piękności.

Telefon zadzwonił. Ktoś z drugiej strony podniósł słuchawkę.

Kobięcy głos rzekł:

- Halo?

- Jeśli to nagranie - oznajmił Walter Gripp - przyjadę tam i rozwalę ten lokal.

- To nie jest nagranie - odparł głos kobiety. - Halo? Och, halo, więc jednak ktoś żyje! Gdzie jesteś?! - krzyknęła radośnie.

Walter o mało nie zemdleł.

- To ty! - Zerwał się z miejsca, wodząc wokół nieprzytomnym wzrokiem. - Dobry Boże, co szczęście! Jak się nazywasz?

- Genevieve Selsor - wyszlochała do słuchawki. - Och, tak się cieszę, że cię słyszę, kimkolwiek jesteś!

- Nazywam się Walter Gripp.

- Cześć, Walterze!

- Cześć, Genevieve!

- Walter, jakie ładne imię. Walter, Walter!

– Dziękuję.

– Walterze, gdzie jesteś? – Jej głos był taki miły, słodki i łagodny. Walter przyciskał słuchawkę do ucha, tak by mogła do niego czule szeptać. Miał wrażenie, że wlatuje nad posadzkę. Jego policzki płonęły.

– Jestem w Marlin Village – rzekł. – Ja...

Buuuuuu.

– Halo? – rzucił.

Buuuuuu.

Nacisnął widełki. Nic.

Gdzieś wiatr musiał wywrócić słup. Genevieve Selsor zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

Ponownie wykręcił numer, ale nie usłyszał żadnego sygnału.

– Przynajmniej wiem, gdzie jest. – Wybiegł z domu. Dniało już, gdy wycofywał samochód z obcego garażu, wypełniał jego tylne siedzenie prowiantem z domu i ruszał w drogę, pędząc osiemdziesiąt mil na godzinę trasą prowadzącą do Nowego Texas City. Tysiąc mil, pomyślał. Genevieve Selsor, czekaj spokojnie, jeszcze o mnie usłyszysz.

Na każdym zakręcie naciskał klakson.

O zachodzie słońca po niewiarygodnym dniu szaleńczej jazdy zjechał na pobocze, zrzucił ciasne buty, rozciągnął się na siedzeniu i zsunął szary kapelusz na znużone oczy. Po chwili jego oddech stał się miarowy, regularny. Na zewnątrz dał wiatr, gwiazdy świeciły łagodnie na ciemniejącym niebie. W dali na błękitnych wzgórzach połyskiwały iglice maleńkiego marsjańskiego miasteczka, nie większego niż zwykła szachownica.

Walter leżał pogrążony w półśnie, półjawie.

– Genevieve – szepnął. – „O Genevieve, ma Genevieve – zaśpiewał cicho – upływa życie, płynie czas, lecz Genevieve, ma Genevieve...”. – Nagle zrobiło mu się ciepło. Słyszał w głowie jej cichy, słodki głos nucący: „Halo, och, halo, Walterze! To nie jest nagranie. Gdzie jesteś, Walterze, gdzie jesteś?”.

Westchnął i wyciągnął rękę, aby dotknąć jej w blasku księżyców. Długie ciemne włosy, falujące na wietrze; naprawdę



piękne. Usta jak dwie czerwone marmoladki. Policzki aksamitne niczym świeże, wilgotne róże. I ciało, zwiewna przezrzysta mgiełka. Słodki głos zawodził, powtarzając raz po raz słowa starej, smutnej piosenki: „O, Genevieve, ma Genevieve, upływa życie, płynie czas...”.

Zasnął.

\* \* \*

O północy dotarł do Nowego Texas City.

Zahamował z piskiem opon przed Luksusowym Salonem Piękności.

Spodziewał się, że wybiegnie ku niemu w obłoku perfum, roześmiana.

Nic takiego się nie stało.

– Pewnie śpi. – Podszedł do drzwi. – Jestem! – zawołał. – Witaj, Genevieve!

Miasteczko drzemało w blasku dwóch księżyców, pogrążone w ciszy. Gdzieś daleko wiatr łopotał płócienną markizą.

Walter otworzył szeroko szklane drzwi i wszedł do środka.

– Hej! – Zaśmiał się niespokojnie. – Nie chowaj się! Wiem, że tu jesteś!

Przeszukał każdą kabinę.

Na podłodze znalazł małą chusteczkę do nosa. Pachniała tak pięknie, że o mało nie zemdlął.

– Genevieve – westchnął.

Wsiadł do samochodu i zaczął krążyć po pustych ulicach. Nic jednak nie dostrzegł.

– Jeśli to jakiś żart...

Zwolnił.

– Chwileczkę. Rozłączyło nas. Może ona pojechała do Marlin Village, podczas gdy ja zmierzałem tutaj? Pewnie wolała stary morski szlak i minęliśmy się w ciągu dnia. Skąd mogła wiedzieć, że przybędę do niej? Nic takiego nie mówiłem. Kiedy telefon ucichł, przeraziła się tak bardzo, że pośpieszyła do Marlin Village aby mnie odszukać! Tymczasem ja przyjechałem tutaj. Na Boga, jakież ze mnie głupiec!

Naciskając klakson, wyprysnął z miasta.

Jechał całą noc. Co będzie, jeśli po przyjeździe jej nie zastanę?, zastanawiał się.

Wolał nawet o tym nie myśleć. Musi tam być! On zaś podbiegnie do niej, obejmie i może nawet pocałuje w usta.

„O Genevieve, ma Genevieve”, zagwizdał, przyśpieszając do stu mil na godzinę.

\* \* \*

O świcie Marlin Village była cicha i spokojna. W kilkunastu sklepach nadał płonęły żółte światła. Szafa grająca, od stu godzin odtwarzająca tę samą melodię, ucichła wreszcie z trzaskiem, ustępując miejsca ciszy. Słońce rozgrzewało ulice oraz chłodne puste niebo.

Walter skręcił w Main Street, nie gasząc reflektorów. Zatrąbił sześć razy na jednym rogu, sześć na drugim. Zerkał na szyldy mijanych sklepów. Jego twarz była blada i zmęczona, ręce ślizgały się po mokrej od potu kierownicy.

– Genevieve! – nawoływał na pustych ulicach.

Nagle drzwi salonu piękności gwałtownie się otwarły.

– Genevieve! – Zatrzymał samochód.

Genevieve Selsor stała w progu salonu, podczas gdy on biegł ku niej. W ramionach tuliła pudełko czekoladek. Palce ściskające bombonierkę były pulchne i blade. Wbiegając w plamę światła, Walter ujrzał jej twarz, krągłą i nalaną. Oczy kobiety przypominały dwa wielkie jajka wetknięte w biały krąg chlebowego ciasta. Nogi miała grube jak pnie drzew; poruszając się, szurała nimi. Brązowe włosy o nieokreślonym odcieniu uczesała na kształt ptasiego gniazda. W ogóle nie miała warg; zamiast nich namalowała tłustą kredką wielkie czerwone usta, które to otwierały się z zachwyty, to znów zamykały z lękiem. Wyskubane brwi tworzyły cieniutką linię.

Walter zatrzymał się. Jego uśmiech zniknął. Stał bez ruchu i się przyglądał.

Nieznamoma upuściła bombonierkę na chodnik.

– Czy ty jesteś Genevieve Selsor? – Dzwoniło mu w uszach.

- A ty Walter Griff?
  - Gripp.
  - Gripp – poprawiła się.
  - Jak się miewasz? – spytał opanowanym głosem.
  - Jak się miewasz? – Uścisnęła mu dłoń.
- Jej palce lepiły się od czekolady.

\* \* \*

- Cóż... – rzucił Walter Gripp.
- Co takiego? – spytała Genevieve Selsor.
- Powiedziałem tylko „cóż” – odparł.
- Ach tak.

Była dziewiąta wieczór. Przez cały dzień spacerowali po mieście. Na kolację przyrządził filet mignon, który jej nie smakował, był bowiem zbyt krwisty, toteż Walter przypiekł go bardziej i teraz okazał się zanadto wysmażony.

- Obejrzyjmy film! – zaproponował ze śmiechem.

Zgodziła się, obejmując poplamionymi czekoladą palcami jego łokieć. Jednakże interesował ją jedynie pięćdziesięcioletni film z Clarkiem Gable.

- Czyż nie jest zabójczy? – zachichotała. – No powiedz, nie jest zabójczy?

Film dobiegł końca.

- Puść go jeszcze raz – poleciła.
- Jeszcze? – spytał.
- Jeszcze – odparła.

A kiedy wrócił, przytuliła się do niego, obmacując go lepkimi rękami.

- Wyobrażałam sobie ciebie nieco inaczej, ale jesteś całkiem miły – przyznała.
- Dzięki – odparł, przełykając ślinę.
- Och, ten Gable! – westchnęła i uszczypnęła go w nogę.
- Au! – krzyknął.

Po filmie ruszyli milczącymi ulicami na zakupy. Stłukła szybę wystawową i wyciągnęła z niej najjaskrawszą sukienkę, jaką tylko zdołała znaleźć. Wylała też sobie na głowę całą butelkę

perfum, tak że wyglądała jak zmokły owczarek.

– Ile masz lat? – spytał.

– Zgadnij. – Ociekając perfumami, poprowadziła go naprzód.

– Trzydzieści – rzucił.

– Też mi coś! – odparła zimno. – Tylko dwadzieścia siedem.

Wypraszam sobie! – Po chwili zawołała: – O, kolejna cukiernia! Szczerze mówiąc, od kiedy to wszystko wybuchło, miałam rajskie życie. Nigdy nie lubiłam rodziny. Byli głupi. Odlecieli na Ziemię dwa miesiące temu. Miałam lecieć za nimi ostatnią rakieta, ale zostałam. A wiesz, dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo wszyscy mieli do mnie pretensje. Teraz przynajmniej mogę przez cały dzień zlewać się perfumami, popijać piwo słodowe i zjadać cukierki. I nikt mi nie powie: „Uważaj, to ma zbyt wiele kalorii”. I oto jestem.

– Oto jesteś. – Walter przymknął oczy.

– Robi się późno – zagadnęła, patrząc na niego.

– Owszem.

– Jestem zmęczona.

– To dziwne. Ja czuję się świetnie.

– Och! – westchnęła.

– Mam ochotę nie kłaść się przez całą noc – ciągnął dalej. – U Mike’a znalazłem naprawdę świetną płytę. Chodź, to ci ją puszczę.

– Jestem zmęczona. – Zerknęła na niego przebiegle.

– A ja nie – odparł. – Dziwne.

– Chodź ze mną do salonu – poprosiła. – Chcę ci coś pokazać.

Poprowadziła go przez szklane drzwi do leżącego na środku wielkiego białego pudełka.

– Kiedy wyjeżdżałam z Texas City, zabrałam to ze sobą. – Rozwiązała różową kokardkę. – No cóż, skoro jestem jedyną kobietą na Marsie, a tam czekał na mnie jedyny mężczyzna... – Uniosła pokrywkę i rozłożyła szeleszczącą różową bibułkę. Poklepała materiał. – Proszę.

Walter Gripp patrzył bez słowa na zawartość pudełka.

– Co to jest? – spytał w końcu, wstrząsany dreszczem.

- Nie wiesz, głuptasie? Najbielsze koronki, delikatne i w ogóle.
- Nie, nie mam pojęcia, co to jest.
- Niemądry! To suknia ślubna.
- Naprawdę? – wychrypiał.

Zamknął oczy. Jej głos był nadal słodki i melodyjny, tak jak wtedy, przez telefon. Kiedy jednak uniósł powieki i spojrzał na nią, cofnął się o krok.

- Bardzo ładna – rzekł.
- Prawda?
- Genevieve... – Obejrzał się na drzwi.
- Tak?

- Genevieve, muszę ci coś powiedzieć.

- Tak? – Podpłynęła ku niemu; jej pucołowatą twarz otaczał gęsty obłok perfum.

- Chciałem jedynie rzec... – zaczął.
- Tak?
- Żegnaj!

I zanim zdążyła krzyknąć, wypadł za drzwi i wskoczył do samochodu.

Pobiegła za nim i stanęła przy krawężniku, podczas gdy on zawracał wóz.

- Walterze Griff, wracaj tu! – zawodziła, wymachując rękami.
- Gripp! – poprawił ją.
- Gripp! – wrzasnęła.

Samochód popędził milczącą ulicą, nie zważając na wrzaski i tupanie dziewczyny. Podmuch spalin zaszeleścił białą sukienką, którą ścisnęła w pulchnych rękach. Gwiazdy świeciły jasno, gdy samochód zniknął w głębi pustyni, pogrążając się w ciemności.

\* \* \*

Jechał bez przerwy przez trzy dni i trzy noce. Raz wydawało mu się, że ściga go jakiś samochód. Złany potem, dygocząc, skręcił na kolejny szlak. Przemierzał samotne pustynie Marsa, mijając niewielkie martwe miasta; jechał tak i jechał przez tydzień i jeden dzień, póki w końcu od Marlin Village nie dzieliło go dziesięć tysięcy mil. Wówczas zatrzymał się w małym miasteczku

Holtville Springs, gdzie znalazł kilka sklepików, w których mógł nocą zapalać światła, i restauracji, gdzie można było siedzieć i zamawiać posiłki. Odtąd zamieszkał tam, zaopatrzony w dwie zamrażarki pełne jedzenia, które mogło starczyć mu na sto lat, i zapas cygar na dziesięć tysięcy dni oraz solidne łóżko z miękkim materacem.

A kiedy od czasu do czasu w ciągu tych długich lat odzywa się telefon, Walter nie podnosi słuchawki.

## **kwiecień 2026:**

### **DŁUGIE LATA**

Gdy tylko na niebie zrywał się wiatr, mężczyzna zasiadał wraz ze swą rodziną w kamiennym domku, aby ogrzewać ręce nad płonącym ogniskiem. Wiatr kołysał wodami kanału i niemal zdmuchiwał gwiazdy z nieba, jednakże pan Hathaway z ukontentowaniem tkwił w fotelu, rozmawiając z żoną; żona mówiła coś cicho, on opowiadał dwóm córkom i synowi o dawnych czasach na Ziemi, oni zaś uprzejmie słuchali.

Od wielkiej wojny minęło dwadzieścia lat. Mars pozostał pusty jak grobowiec. Hathaway i jego rodzina często zastanawiali się w długie marsjańskie wieczory, czy Ziemia także jest martwa.

Tej nocy nad niskimi marsjańskimi cmentarzami przeszła gwałtowna burza piaskowa, atakując starożytne miasta i rozdzierając plastikowe ściany nowszych amerykańskich osad, które, porzucone, rozsypywały się w proch.

Kiedy minęła, Hathaway wyszedł na dwór, aby obejrzeć Ziemię płonąca zielonym blaskiem na wietrznym niebie. Uniósł rękę jak ktoś, kto chce poprawić ledwie żarzącą się żarówkę na suficie mrocznego pokoju. Spojrzał w dal na równinne dna dawno wyschłych mórz. Na całej planecie nie ma ani jednej żywej duszy, pomyślał. Oprócz mnie. I ich. Obejrzał się w stronę kamiennego domku.

Co dzieje się teraz na Ziemi? Przez trzydziestocalowy teleskop nie dostrzegał żadnych zmian w jej wyglądzie. No cóż, pomyślał, jeśli zachowam ostrożność, pożyję jeszcze ze dwadzieścia lat. Może ktoś przybędzie z drugiej strony martwego morza albo z przestrzeni rakietą na cieniutkiej niteczce czerwonego ognia.

– Przejdę się trochę! – zawołał w stronę domku.

– W porządku! – odparła jego żona.

Wędrował bezszelestnie pomiędzy ruinami. Przechodząc obok

kawałka metalu, przeczytał napis „Made in New York”. Wszystkie rzeczy z Ziemi wkrótce znikną i pozostaną jedynie stare marsjańskie miasta. Zerknął w stronę przycupniętej wśród błękitnych gór wioski, liczącej sobie pięćdziesiąt stuleci.

W końcu dotarł do samotnego marsjańskiego cmentarza, szeregów sześciokątnych kamiennych płyt na smaganym samotnym wiatrem zboczu.

Przystanął, spoglądając na cztery groby oznaczone niezgrabnymi drewnianymi krzyżami, na których wyryto imiona. Nie zapłakał; jego łzy już dawno temu wyschły.

– Czy wybaczycie mi to, co zrobiłem? – spytał, zwracając się do krzyży. – Byłem taki samotny. Rozumiecie mnie, prawda?

Wrócił do kamiennego domku i raz jeszcze, tuż przed wejściem do środka, osłaniając oczy, przebiegł wzrokiem czarną kopułę nieba.

– Wciąż tylko czekasz, czekasz i szukasz – rzekł – by wreszcie którejś nocy...

Na niebie zapłonęła maleńka czerwona iskra.

Cofnął się, wychodząc z kręgu światła padającego z wnętrza domu.

– ...a potem znów zaczynasz szukać.

Czerwona iskierka nadal tam była.

– Nie zauważyłem jej zeszłej nocy – powiedział szeptem. Potknął się i upadł, natychmiast jednak zerwał się z ziemi, pobiegł za dom, wykręcił teleskop i wycelował go w niebo.

W minutę później stanął w niskich drzwiach domku. Żona, dwie córki i syn zwrócili się ku niemu. Dopiero po chwili odzyskał głos.

– Mam dobrą nowinę – rzekł. – Spojrzałem w niebo. Przybywa rakiet, aby zabrać nas wszystkich do domu. Rankiem już tu będzie.

Opuścił ręce, ukrył twarz w dłoniach i cicho zapłakał.

O trzeciej nad ranem spalił to, co zostało z Nowego Nowego Jorku.

Zabrał pochodnię i od czasu do czasu przytykał ją do murów plastikowego miasta. Ogień rozkwitał wielkimi falami gorąca



i światła. Kwadratowa mila iluminacji, dostatecznie wielka, by móc dostrzec ją z przestrzeni kosmicznej... Wezwie tu rakiętę na spotkanie z panem Hathawayem i rodziną.

Jego serce zatrzepotało nagle z bólu. Pośpiesznie wrócił do domu.

– Widzicie? – Uniósł do światła zakurzoną butelkę. – Wino! Zachowałem je specjalnie na dzisiejszy wieczór. Wiedziałem, że kiedyś ktoś nas odnajdzie. Napijmy się, aby to uczcić.

Nalał do pełna do pięciu kieliszków.

– Minęło tak wiele czasu – oznajmił, wpatrując się z powagą w swój trunek. – Pamiętacie ten dzień, kiedy wybuchła wojna? Dwadzieścia lat i siedem miesięcy temu. Wszystkie rakiety z Marsa powróciły na Ziemię, kiedy ty, ja i dzieci wałęsaliśmy się po górach, zajęci wykopaliskami, badaniami dotyczącymi pradawnych technik chirurgicznych Marsjan. Pamiętacie, jak ruszyliśmy do domu? Niemal zajeździliśmy konie na śmierć, a jednak dotarliśmy do miasta o tydzień za późno. Wszyscy już odeszli. Ameryka została zniszczona; rakiety odleciały, nie czekając na spóźnialskich. Pamiętacie to, pamiętacie? A potem okazało się, że zostaliśmy tylko my. Boże, jak czas szybko płynie. Nie zniósłbym tego bez was wszystkich. Gdyby nie wy, zabiłbym się, ale przy was warto było czekać. Wasze zdrowie. – Uniósł kieliszek. – Za nasze długie wspólne oczekiwanie. – Wypił.

Żona, dwie córki i syn także unieśli kieliszki do ust.

Wino pociekło po brodach całej czwórki.

\* \* \*

Rankiem nad miastem unosiły się tumany wielkich czarnych płatków. Wiatr pędził je po dnie suchego morza. Ogień już zgasł, jednakże wykonał swe zadanie. Czarny punkcik na niebie się powiększył.

Z kamiennego domku dobiegał korzenny zapach świeżych pierników. Kiedy Hathaway wszedł do środka, jego żona stała przy stole, ustawiając gorące formy z ciastem. Dwie córki cicho zamiatały sztywnymi miotłami nagą kamienną posadzkę. Syn polerował srebra.

- Przygotujemy im wielkie śniadanie – roześmiał się Hathaway.
- Załóżcie najlepsze ubrania.

Pośpieszył do wielkiego blaszanego magazynu. Wewnątrz znajdowała się chłodnia i generator, który przywrócił do życia swymi zręcznymi, nawykłymi do napraw palcami, tak jak przez lata reperował w wolnym czasie zegarki, telefony i magnetofony. Szopa była pełna jego konstrukcji, od prozaicznych urządzeń po bezsensowne mechanizmy, których przeznaczenia nawet on sam nie potrafił odgadnąć, kiedy teraz spoglądał na nie z góry.

Z zakamarka chłodni wyjął oszronione pudełka fasoli i truskawek, liczące sobie dwadzieścia lat. Wyjdź, Łazarzu, pomyślał, dokładając do nich zamrożone kurczę.

Kiedy rakieta wylądowała, w powietrzu unosiła się cała gama kuchennych zapachów.

Hathaway jak chłopiec popędził w dół wzgórze. Raz jeden zatrzymał się po drodze, czując nagły ból w piersi. Usiadł na kamieniu, aby złapać oddech, po czym przebiegł całą resztę drogi.

Wreszcie stanął, czując na twarzy gorąco rozpalonej rakiety. Otworzył się właz. Wyjrzał z niego mężczyzna.

Hathaway, osłaniając oczy, patrzył na niego przez chwilę.

- Kapitan Wilder! – krzyknął w końcu.
- Kto to? – spytał kapitan Wilder i zeskakując na piasek, stanął naprzeciw starego człowieka. Wyciągnął do niego rękę. – Dobry Boże! To przecież Hathaway!

- Zgadza się.

Badali się wzrokiem.

- Hathaway z mojej starej załogi, jeszcze z Czwartej Wyprawy.
- Wiele czasu minęło, kapitanie.
- Zbyt wiele. Dobrze znów cię widzieć.
- Jestem stary – odparł z prostotą Hathaway.
- Ja też nie młodnieję. Ostatnich dwadzieścia lat spędziłem w drodze na Jowisza, Saturna i Neptuna.
- Słyszałem, że dali panu kopa w górę, aby nie mieszał się pan w politykę kolonialną tu, na Marsie. – Stary człowiek się rozejrzał. – Nie było pana tak długo, że nie wie pan nawet, co się

stało.

– Mogę się domyślić – odparł Wilder. – Dwukrotnie okrążyliśmy Marsa i znaleźliśmy tylko jednego żywego człowieka. Niejakiego Waltera Grippa, jakieś dziesięć tysięcy mil stąd. Zaproponowaliśmy, że zabierzemy go ze sobą, ale odmówił. Kiedy widziałem go po raz ostatni, siedział pośrodku drogi w fotelu na biegunach, paląc fajkę i machając nam na pożegnanie. Praktycznie rzecz biorąc, Mars jest martwy. Nawet Marsjanie odeszli. A co z Ziemią?

– Wie pan tyle co ja. Od czasu do czasu odbieram sygnały radiowe, bardzo słabe, ale zawsze nadają w obcym języku. Wstyd przyznać, lecz znam tylko łacinę. Docierają do mnie jedynie urywki zdań. Mam wrażenie, że większa część Ziemi legła w gruzach, jednakże wojna trwa dalej. Zamierza pan wrócić, kapitanie?

– Tak. Oczywiście jesteśmy ciekawi. Byliśmy zbyt daleko, by utrzymać łączność. Chcemy zobaczyć Ziemię – nieważne, co się tam dzieje.

– Zabierzecie nas ze sobą?

Kapitan wzdrygnął się, lekko zdumiony.

– Ach tak. Oczywiście. Pańska żona. Pamiętam ją. Dwadzieścia pięć lat temu, prawda? Kiedy otwarto Pierwsze Miasto, a pan zrezygnował ze służby i sprowadził ją tutaj. Zdaje się, że mieliście też dzieci?

– Troje. Syna i dwie córki.

– Tak, przypominam sobie. Są tutaj?

– W naszym domku na wzgórzu. Czeka tam też na was porządne śniadanie. Przyjdziecie?

– Będziemy zaszczyceni, panie Hathaway. – Kapitan Wilder odwrócił się do rakiety. – Wszyscy na ląd!

\* \* \*

Hathaway i kapitan Wilder ruszyli w górę zbocza; dwudziestu członków załogi podążało w ślad za nimi. Oddychali głęboko rzadkim porannym powietrzem. Słońce już wzeszło; zapowiadał się piękny dzień.

– Pamięta pan Spendera, kapitanie?  
– Nigdy go nie zapomniałem.  
– Mniej więcej raz do roku odwiedzam jego grób. Wygląda na to, że ostatecznie postawił na swoim. Nie chciał, abyśmy tu przybyli, i teraz, kiedy wszyscy odeszli, zapewne jest szczęśliwy.  
– Co z... jak on się nazywał? Parkhillem, Samem Parkhillem?  
– Otworzył bar z hot dogami.  
– To do niego podobne.  
– Wrócił na Ziemię tydzień później, aby wziąć udział w wojnie. – Hathaway przycisnęła dłoń do piersi i gwałtownie usiadł na gładzie. – Przepraszam, wszystko przez to podniecenie. Nasze spotkanie bardzo mnie poruszyło. Po tylu latach! Muszę odpocząć.

Czuł szaleńcze bicie serca. Zaczął liczyć uderzenia. Nie było dobrze.

– Mamy ze sobą lekarza – oznajmił Wilder. – Wybacz, Hathaway, wiem, że też jesteś doktorem, ale lepiej, żeby ktoś jeszcze cię zbadał.

Wezwano lekarza.

– Nic mi nie będzie – upierał się Hathaway. – To wszystko przez czekanie i podniecenie. – Ledwo mógł oddychać. Jego wargi posiniały. – Wie pan – rzekł, gdy doktor przyłożył mu stetoskop do piersi – zupełnie jakbym trzymał się życia przez te wszystkie lata tylko dla tego jednego dnia. Teraz, kiedy pan się zjawił, aby zabrać mnie na Ziemię, mogę już położyć się i odejść.

– Proszę. – Lekarz podał mu żółtą pigułkę. – Powinien pan odpocząć.

– Bzdura. Posiedzę tylko przez chwilkę. Dobrze jest widzieć was wszystkich, usłyszeć nowe głosy.

– Czy lekarstwo działa?

– Znakomicie. No, idziemy.

Podjęli przerwanań wędrowną.

\* \* \*

– Alice, chodź, zobacz, kto przyjechał!

Hathaway zmarszczył brwi i lekko się nachylił.

– Alice, słyszałaś?!

Jego żona stanęła w drzwiach. W chwilę później pojawiły się dwie wysokie córki, a za nimi jeszcze wyższy syn.

– Alice, pamiętasz kapitana Wildera?

Kobieta zawahała się i zerknęła na Hathaway, jakby prosząc o instrukcje, po czym nagle się uśmiechnęła.

– Naturalnie! Kapitan Wilder!

– Przypominam sobie, że jedliśmy razem kolację tuż przed moim odlotem na Jowisza, pani Hathaway.

Energicznie uściśnęła jego dłoń.

– Moje córki Marguerite i Susan. Mój syn John. Z pewnością pamiętacie kapitana Wildera.

Wymieniono uściski rąk. Wokół rozległy się śmiechy i rozmowy.

Kapitan Wilder zaczął głośno wciągać powietrze.

– Czy to piernik?

– Ma pan ochotę?

Wszyscy zakrzętnęli się i wkrótce rozstawiono składane stoliki; ułożono na nich talerze, półmiski z gorącym jedzeniem, srebrne sztuce i cienkie batystowe serwetki.

Kapitan Wilder stał bez ruchu, obserwując najpierw panią Hathaway, a potem jej syna i dwie wysokie, milczące córki. Spoglądał w ich pozbawione zmarszczek twarze, gdy śmigały obok, śledził każdy gest młodzieńczych dłoni. W końcu usiadł na przyniesionym przez Johna krześle.

– Ile masz lat, John?

– Dwadzieścia trzy – odpowiedział chłopak.

Twarcz Wildera nagle poblądła. Siedzący obok niego mężczyzna szepnął:

– Kapitanie Wilder, to niemożliwe.

Chłopak odszedł, aby przynieść więcej krzeseł.

– Dlaczego?

– Ja sam mam czterdzieści trzy lata, kapitanie. Skończyłem szkołę dwadzieścia lat temu – razem z młodym Johnem Hathawayem. Twierdzi, że ma dopiero dwadzieścia trzy lata, i na tyle wygląda, ale to przecież niemożliwe. Powinien mieć co

najmniej czterdzieści dwa lata. Co to wszystko znaczy, kapitanie?

– Nie wiem.

– Pan też nie wygląda za dobrze.

– Bo i nie czuję się dobrze. To samo dotyczy córek. Poznałem je dwadzieścia lat temu. Zupełnie się nie zmieniły. Nie przybyła im nawet jedna zmarszczka. Zrobisz coś dla mnie, Williamson? Powiem ci, dokąd masz iść i co sprawdzić. Wymknij się podczas śniadania, to powinno ci zająć najwyżej dziesięć minut. Miejsce, o które mi chodzi, leży niedaleko stąd. Widziałem je z rakiety, kiedy schodziliśmy do lądowania.

– Proszę. O czym rozmawiacie z takimi poważnymi minami? – Pani Hathaway, zręcznie manewrując chochlą, nałata każdemu pełen talerz zupy. – Uśmiechnijcie się! Jesteśmy razem, wyprawa się skończyła. Czujcie się jak u siebie w domu.

Kapitan Wilder roześmiał się głośno.

– Świetnie pani wygląda, pani Hathaway! Tak młodo!

– Och, wy mężczyźni!

Patrzył, jak odchodzi, niemal odpywa. Twarz miała rumianą, gładką niczym jabłko, zdrową i świeżą; zaśmiewała się z każdego żartu, sprawnie nakładała sałatki, ani razu nie zatrzymując się, aby odpocząć. Zaś kościsty syn i smukłe córki byli niezwykle dowcipni, tak jak ich ojciec – na zmianę snuli opowieści o długich latach spędzonych w samotności, podczas gdy Hathaway z dumą kiwał głową.

Williamson wstał z miejsca i pobiegł w dół zbocza.

– Dokąd on idzie? – spytał Hathaway.

– Sprawdzić coś w rakiecie – odpowiedział Wilder. – Ale jak już wspomniałem, Hathaway, na Jowiszu nie ma nic, co by mogło zainteresować ludzi. Podobnie na Saturnie i Plutonie.

Mówił mechanicznie, nie słysząc własnych słów. Myślał jedynie o Williamsonie biegnącym w dół zbocza i wspinającym się z powrotem, aby powiedzieć, co znalazł.

– Dziękuję.

Marguerite Hathaway dopełniła jego szklanek wodą. Wiedziony nagłym impulsem, dotknął ramienia dziewczyny. Jej ciało było ciepłe i miękkie.

Hathaway siedzący po drugiej stronie stołu kilka razy zastygał bez ruchu, ze zboląłą miną dotykając palcami piersi, po czym znów skupiał całą uwagę na cichych rozmowach i nagłych głośnych wybuchach śmiechu; od czasu do czasu zerkał z troską na Wildera, który bez entuzjazmu przeżuwał kawałek piernika.

Williamson wrócił na miejsce i dziobał swoje jedzenie, póki kapitan nie szepnął do niego:

- I co?
- Znalazłem.
- I?

Policzki Williamsona pokryły się śmiertelną bladością. Ani na moment nie spuszczał oczu z radosnej grupki ludzi. Córki uśmiechały się z powagą, podczas gdy syn opowiadał kolejny dowcip.

- Poszedłem na cmentarz.  
- Były tam cztery krzyże?  
- Cztery, kapitanie. Nadal widniały na nich nazwiska. Zapisałem je, żeby mieć pewność. - Odczytał z białej kartki papieru: - Alice, Marguerite, Susan i John Hathaway. Zmarli na nieznaną chorobę.  
Lipiec 2007.

- Dziękuję, Williamson.  
- Dziewiętnaście lat temu, kapitanie. - Dłoń Williamsona zadrżała.

- Owszem.
- Kim zatem są ci tutaj?
- Nie wiem.
- Co pan zamierza zrobić?
- Tego też nie wiem.
- Powiemy pozostałym?
- Później. Bierz się do jedzenia, jak gdyby nic nie zaszło.
- Jakoś straciłem apetyt, kapitanie.

Posiłek zakończył się przyniesionym z rakiety winem. Hathaway wstał.

- Wypijmy wasze zdrowie. Dobrze jest znów ujrzeć przyjaciół. A także zdrowie mojej żony i dzieci, bez których nie przetrwałbym tutaj. Tylko dzięki ich trosce i opiece trzymałem

się przy życiu, czekając na wasz przyłot.

Uniósł kieliszek, pozdrawiając rodzinę, która zawstydzona spuściła wzrok.

Potem Hathaway jednym haustem wypił wino. Nawet nie krzyknął. Padł na stół, a stamtąd ześliznął się na piasek. Kilku ludzi ułożyło go wygodnie. Lekarz nachylił się, aby osłuchać serce. Wilder dotknął jego ramienia. Doktor uniósł wzrok i potrząsnął głową. Kapitan ukląkł, ujmując dłoń starego człowieka.

– Wilder? – Głos Hathaway był ledwie słyszalny. – Zepsułem wam śniadanie.

– Bzdura.

– Pożegnaj ode mnie Alice i dzieci.

– Chwileczkę, zaraz ich zawołam.

– Nie, nie rób tego – wykrztusił Hathaway. – Oni nie rozumieją. Nie chciałem, żeby zrozumieli. Nie wołaj nikogo.

Wilder pozostał więc na miejscu.

Hathaway nie żył.

Kapitan odczekał długą chwilę, aż wreszcie odłączył się od skupionej wokół gospodarza oszołomionej grupki. Podszedł do Alice Hathaway, spojrzał jej prosto w oczy i rzekł:

– Wie pani, co się właśnie stało?

– Coś z moim mężem?

– Umarł, jego serce... – oznajmił Wilder, obserwując kobietę.

– Tak mi przykro – powiedziała.

– Jak się pani czuje? – spytał.

– On nie chciał, abyśmy rozpaczali. Powiedział nam, że któregoś dnia to się stanie, i nie życzył sobie, żebyśmy płakali. Nie nauczył nas, wie pan. Nie chciał, żebyśmy wiedzieli, jak się to robi. Twierdził, że najgorszą rzeczą, jaka może spotkać człowieka, jest poznać samotność, smutek i płacz, toteż mieliśmy nie wiedzieć, jak się płacze i co znaczy smutek.

Wilder zerknął na jej dłonie, miękkie, ciepłe dłonie, smukłe przeguby, zadbane paznokcie. Spojrzał na jej długą, gładką, białą szyję i w mądre oczy. Wreszcie rzekł:

– Pan Hathaway włożył naprawdę wiele pracy w panią i dzieci.



– Ucieszyłby się, słysząc te słowa. Był z nas bardzo dumny. Po pewnym czasie zapomniał nawet, że sam nas stworzył. Pod koniec kochał nas i traktował jak prawdziwą żonę i dzieci. Zresztą w pewnym sensie jesteśmy nimi.

– Byliście mu ogromną pociechą.

– Tak, przez lata toczyliśmy długie rozmowy. On uwielbiał mówić. Lubił też ten kamienny domek i otwarty ogień. Mogliśmy zamieszkać w prawdziwym domu w mieście, ale wolał zostać tutaj, gdzie wedle woli mógł żyć prymitywnie albo ze wszelkimi wygodami. Opowiedział mi wszystko o swym laboratorium i rzeczach, które w nim tworzył. Podłączył do głośników całe martwe amerykańskie miasteczko w dole; kiedy naciskał guzik, w mieście zapalały się światła i rozlegały głosy, jakby żyło tam dziesięć tysięcy ludzi. Słyszać było silniki samolotów i samochodów oraz odgłosy rozmów. On zaś siadał, zapalał cygaro i rozmawiał z nami, a w tle rozbrzmiewały dźwięki z miasteczka. Od czasu do czasu odzywał się telefon i nagrany głos zwracał się do pana Hathawaya z pytaniami natury naukowej bądź medycznej, on zaś zawsze udzielał odpowiedzi. I kiedy tak dzwonił telefon, my siedzieliśmy wokół, a z dołu dobiegały odgłosy miasta, pan Hathaway był najszczęśliwszy. Nie potrafił dokonać tylko jednego – dodała. – Sprawić, abyśmy się starzeli. On z każdym dniem stawał się coraz starszy, a my zupełnie się nie zmienialiśmy. Mam wrażenie, że to mu nie przeszkadzało. Chyba nawet tego pragnął.

– Pochowamy go na cmentarzu obok tamtych czterech krzyży. Myślę, że chciałby tego.

Przez moment jej dłoń spoczęła na przegubie kapitana.

– Jestem tego pewna.

Padły rozkazy. Rodzina podążyła za krótkim orszakiem w dół wzgórza. Dwaj mężczyźni dźwigali Hathawaya na krytych materiale noszach. Minęli kamienny domek i magazyn, w którym Hathaway wiele lat temu rozpoczął swoją pracę. Wilder przystanął przy drzwiach warsztatu.

Jakie to uczucie, zastanawiał się, mieszkać na planecie z żoną i trójką dzieci, którzy nagle umierają, pozostawiając człowieka

samego, w towarzystwie wiatru i ciszy? Co zrobiłby taki człowiek? Pogrzebał ich pod krzyżami na cmentarzu, po czym wrócił do warsztatu i posługując się całą mocą swego umysłu i pamięci, zręcznością palców i geniuszem, kawałek po kawałku stworzył istoty, które byłyby dla niego żoną, synem, córką. Dysponując zasobami całego amerykańskiego miasta, inteligentny człowiek mógł dokonać cudów.

Piasek tłumiał odgłosy ich kroków. Kiedy weszli na cmentarz, dwóch mężczyzn kopało już grób.

\* \* \*

Późnym popołudniem wrócili do rakiety.

Williamson skinął głową w stronę domku.

– Co z nimi pocniemy?

– Nie wiem.

– Zamierza ich pan wyłączyć?

– Wyłączyć? – Kapitan spojrzał na niego ze zdumieniem. – Nawet nie przyszło mi to na myśl.

– Nie zabiera ich pan chyba z nami?

– Nie, to nie miałyby sensu.

– Więc chce pan zostawić ich tutaj? Jak gdyby nigdy nic?

Kapitan podał Williamsonowi pistolet.

– Jeśli zamierzasz coś z nimi zrobić, nadajesz się do tego znacznie lepiej niż ja.

W pięć minut później Williamson wrócił z domku zlany potem.

– Proszę, oto pańska broń. Teraz rozumiem, co miał pan na myśli. Wszedłem do środka z pistoletem. Jedna z córek uśmiechnęła się do mnie, potem pozostali. Żona zaproponowała mi filiżankę herbaty. Boże, to by było morderstwo.

Wilder przytaknął.

– Nigdy już nie powstanie coś tak wspaniałego jak ta czwórka. Zbudował ich solidnie. Mogą przetrwać dziesięć, pięćdziesiąt, nawet dwieście lat. Tak, mają takie samo prawo do... do życia jak ja czy którykolwiek z nas. – Opróżnił fajkę. – No dobra, wsiadaj. Zaraz startujemy. To miasto jest martwe. Nie mamy tu nic więcej do roboty.

Dzień chylił się ku zachodowi. Nad równiną zrywał się zimny wiatr. Pozostali czekali w rakiecie. Kapitan zawahał się. Williamson rzekł:

– Nie powie pan chyba, że chce pan tam wrócić i pożegnać się z nimi?

Kapitan spojrzął chłodno na swego podwładnego.

– Nie twoja sprawa.

W zapadającym mroku ruszył w stronę domku. Ludzie w rakiecie ujrzeni jego cień w drzwiach. Obok niego pojawił się cień kobiety. Widzieli, jak kapitan ściska jej dłoń.

W parę minut później wrócił do nich biegiem.

\* \* \*

Wieczorami, gdy z wyschniętego morskiego dna wieje wiatr, przemykając ze świstem między sześciobocznymi płytami cmentarza, czterema starymi krzyżami i jednym nowym, w niskim kamiennym domku zapala się światło. Podczas gdy wichry z rykiem uderza o ściany, wzbijając chmury kurzu, a na niebie płoną zimne gwiazdy, cztery postaci – kobieta, dwie córki i syn – siadają wokół kominka, rozmawiając i śmiejąc się do siebie.

Co wieczór każdego roku, bez żadnej widocznej przyczyny, kobieta wstaje i przez długą chwilę patrzy w niebo. Unosząc dłoń, przygląda się zielonemu ognikowi Ziemi, sama nie wiedząc, czemu to robi.

A potem wraca i dorzuca szczapę do ognia. Wiatr wyje dalej, a martwe morze trwa w zadumie śmierci.

## sierpień 2026:

### ŁAGODNE SPADNĄ DESZCZE

Zegar w salonie zaśpiewał: *Tik-tak, szast-prast, godzina siódma, wstawać czas! Siódma, wstawać czas!*, jakby lękał się, że nikt go nie posłucha. Lecz tego ranka dom był pusty. Zegar tykał dalej, powtarzając w ciszy swe wezwanie. *Siódma sześć, śniadanie czas zjeść!*

W kuchni piecyk wydał z siebie syczące westchnienie i z jego wnętrza wypadło osiem idealnie brązowych grzanek, tyleż sadzonych jajek, szesnaście plastrów wędzonki, dwie kawy i dwie szklanki mleka.

*Dziś mamy czwarty sierpnia 2026 roku, oznajmił drugi głos, dobiegający z sufitu, wedle czasu w Allendale w stanie Kalifornia.* Dla pamięci powtórzył tę informację trzykrotnie. *Urodziny pana Featherstone'a. Rocznica ślubu Tility. Czas opłacić ratę ubezpieczenia oraz rachunki za wodę, gaz i prąd.*

Gdzieś wewnątrz ścian szcęknięły przekładnie, taśmy pamięci przesunęły się przed elektrycznymi oczami.

*Ósma pięć, ósma pięć, do szkoły biec macie chęć.* Nie trzasnęły jednak żadne drzwi, na wykładzinie nie zadudnił odgłos miękkich kroków. Na dworze padał deszcz. Wisząca na drzwiach pogodynka nuciła cicho: *Deszczu, deszczu, odejź, proszę, dzieci, załóżcie kalosze...* Krople deszczu bębniły o szyby, odbijając się echem w pustym domu.

Na zewnątrz zadźwięczał dzwonek. Drzwi garażu uniosły się, ukazując czekający samochód. Po dłuższym czasie ponownie opadły.

O ósmej trzydzieści jajka zupełnie zaschły, a grzanki były twarde jak kamień. Aluminiowa łopatka zsunęła wszystko do zlewu, a gorąca woda spłukała to w głąb stalowego gardła, które przełknęło resztki i po przetrawieniu wypluło do odległego

morza. Brudne naczynia po wizycie w zmywarce ukazały się suche i błyszczące.

*Kwadrans po dziewiątej!*, zaśpiewał zegar. *Sprzątać wszystkie kąty!*

Z maleńkich korytarzy w ścianach wypadły stada mechanicznych myszy. W pokojach zaroiło się od miniaturowych zwierzątek-sprzątaczy z gumy i metalu. Obijały się o krzesła, kręcąc wąsikami, ugniatały włosie dywanu, wysysając zeń każdy, nawet najmniejszy pyłek. Nagle niczym tajemniczy i obcy najeźdźcy zniknęły w swoich norach. Ich różowe elektryczne oczy zgasły. Dom był czysty.

Dziesiąta. Zza chmur wyjrzało słońce. Dom stał samotnie pośród gruzów i popiołów. Z całego miasta on jeden ocalał. Nocami ruiny jarzyły się radioaktywnym blaskiem, widocznym na wiele mil.

Kwadrans po dziesiątej. Zraszacze ogrodowe zawirowały niczym złociste fontanny, rozsiewając wokół jasne błyski. Kropelki wody osiadały na oknach, spływały po zwęglonej zachodniej ścianie, niemal całkowicie opalanej z białej farby. Na czarnej fasadzie odcinało się pięć białych plam. Oto sylwetka mężczyzny koszącego trawnik. Obok kobieta schyla się, aby zerwać kwiatek. Jeszcze dalej widniały kolejne postaci, na zawsze utrwalone w drewnie w jednej potwornej chwili – mały chłopczyk unoszący ręce; nad nim kula ciśniętej piłki, a naprzeciwko dziewczynka gotowa złapać piłkę, która nigdy nie dotknęła ziemi.

Tych pięć plam farby – mężczyzna, kobieta, dzieci, piłka – to wszystko, co zostało z dawnej białej ściany. Reszta zmieniła się w cienką warstwę węgla i żużlu.

Mżawka zraszacza wypełniła ogród rozbłyskami światła.

Dotychczas dom świetnie sobie radził ze strzeżeniem swojego spokoju. Czujnie pytał: Kto tam? Proszę podać hasło!, a nie otrzymawszy odpowiedzi od zbłąkanych lisów i miauczących kotów, zatrzaskiwał okna i zaciągał rolety, broniąc się przed intruzami niczym stara panna; w swej czujności niemal wpadał w mechaniczną paranoję.

Każdy dźwięk wprawiał go w stan gotowości. Kiedy wróbel choćby musnął szybę, roleta unosiła się, płosząc zdumionego gościa. Nikt, nawet ptak, nie śmiał tknąć tego domu!

Sam dom przypominał ołtarz z tysiącami kapłanów, małych i dużych, gotowych na każde skinienie.

Lecz bogowie odeszli, choć obrzęd religijny trwał dalej, bezsensowny, absurdalny.

Dwunasta.

Na werandzie zaskowyczał pies.

Drzwi frontowe rozpoznały jego głos i się otwały. Pies, niegdyś wielki i masywny, dziś wychudzony, pokryty wrzodami, kręcił się po domu, wszędzie roznosząc błoto. Tuż za nim śmigały myszy, wściekłe, że muszą usuwać kolejne ślady z dywanu, zagniewane z powodu dodatkowego kłopotu.

Wystarczył bowiem nawet najdrobniejszy śmieć, by kłapy w ścianach otwały się i wypadły z nich miedziane szczury-sprzątacze. Małe stalowe szczęki chwytaly drobinę pyłu, włosek bądź skrawek papieru i unosiły go ze sobą w głąb nory. Tam, pochłonięty przez rury prowadzące do piwnicy, ginął w rozgrzanym brzuchu pieca, który przycupnął w mrocznym kącie pomieszczenia niczym złowrogi bożek Baal.

Pies pobiegł na górę, szczekając histerycznie pod każdymi drzwiami. W końcu, podobnie jak dom, pojął, że została mu tylko cisza.

Zaczął węszyć w powietrzu, skrobiąc w kuchenne drzwi. Za nimi piecyk szykował właśnie świeże naleśniki; po domu rozchodziła się słodka woń ciasta i syropu.

Pies leżał przy drzwiach; z jego pyska ciekła rzadka piana, oczy płonęły niezdrowym ogniem. Po chwili zaczął ganiać w kółko, gryząc własny ogon. Kilka razy targnęły nim konwulsje. Potem zdechł. Przez godzinę leżał w salonie.

*Godzina druga, zaśpiewał głos.*

Zwabione ulotną wonią rozkładu oddziały myszy ruszyły do ataku, pomrukując nie głośniejsze niż liście na wietrze.

Kwadrans po drugiej.

Pies zniknął.

Piec w piwnicy nagle się rozjarzył; z komina trysnął snop iskier.  
Druga trzydzieści pięć.

Ze ścian patio wystrzeliły stoliki do brydża. Karty z szelestem opadły na sukno w deszczu kolorów i punktów. Na dębowej ławie pojawiły się szklanki martini i kanapki z jajkiem i sałata. Zabrzmiała muzyka. Lecz nikt nie zasiadł do gry. Karty leżały nietknięte.

O czwartej stoliki złożyły się niczym olbrzymie motyle i zniknęły w głębi ścian.

Czwarta trzydzieści.

Ściany pokoju dziecinnego rozbłyły.

Ukazały się na nich zwierzęta. Żółte żyrafy, błękitne lwy, różowe antylopy, fioletowe pantery baraszkowały w głębi kryształ. Ściany były szklane. Za nimi roztaczała się kraina barw i fantazji. Ukryte taśmy filmowe wirowały na naoliwionych szpulkach; ściany żyły. Podłogę pokrywała wykładzina utkana z włókien przypominających soczystą trawę. Biegały po niej aluminiowe chrząszcze i żelazne cykady; w przesyconym ostrą zwierzęcą wonią rozgrzanym powietrzu unosiły się motyle z delikatnej czerwonej bibułki. Pokój wibrował dźwiękami – bzyčeniem wielkiego roju żółtych pszczół ukrytych w mrocznej dziupli, pomrukiem zadowolonego lwa. Wtórował im stukot kopytek okapi i szmer tropikalnej ulewy, która zraszała wyschniętą letnią darń. Po chwili ściany rozpląnęły się, ukazując dziesiątki mil zasuszonych krzaków pod ciepłym, nieskończonym niebem. Zwierzęta umknęły pomiędzy cierniste zarośla, zmierzając do wodopojów.

Ta godzina należała do dzieci.

\* \* \*

Godzina piąta.

Wanna napełniła się czystą gorącą wodą.

Szósta, siódma, ósma. Na stole niczym w magicznej sztuczce pojawiły się naczynia. Kolacja podana. W gabinecie coś trzasnęło i z metalowego stojaka naprzeciwko kominka, na którym płonął jasny ogień, wysunęło się cygaro. Zapalone czekało, stopniowo

zmieniając się w szary popiół.

Dziewiąta.

Obwody grzewcze ukryte w głębi łóżek ożyły, bo tutejsze noce bywały dość chłodne.

Dziewiąta pięć.

Z sufitu gabinetu przemówił głos: Pani McClellan, jakiego wiersza pragnie pani wysłuchać dziś wieczór?

Dom milczał.

Po chwili głos rzekł: *Skoro nie ma pani specjalnych życzeń, sam dokonam wyboru. W tle zabrzmiała cicha muzyka. Sara Teasdale. O ile dobrze pamiętam, to pani ulubiony wiersz...*

*Łagodne spadną deszcze, a w nieba otchłani  
jaskółki wnet podejmą swój radosny taniec;*

*Żaby w stawie zagrają koncert nocnych pieśni,  
w szaleństwie bieli zadrzą śliwy i czereśnie;*

*Drozdzy ogniście strojne w czerwieni i złocie,  
kapryśny tryl wysnują na przydrożnym płocie;*

*I nikt nie będzie myślał o wojnie, nikogo  
nie obejdzie, gdy w końcu zabraknie już wrogów.*

*Żaden zwierz, żadne drzewo, ptak, co w chmurach lata  
nie zadba, że zniknęli ludzie z tego świata.*

*I nawet Wiosna sama, zstępując na ziemię  
pomni, że odeszło całe ludzkie plemię<sup>5</sup>.*

Na wyłożonym kamieniami kominku płonął ogień; cygaro na podstawce przemieniło się w stosik milczącego popiołu. Puste krzesła stały naprzeciw siebie w objęciach cichych ścian. I wciąż grała muzyka.

---

5 Przeł. Paulina Braiter.



\* \* \*

O dziesiątej dom zaczął umierać.

Zerwał się wiatr. Spadająca gałąź rozbiła kuchenne okno. Butelka z rozpuszczalnikiem runęła na piecyk. Po sekundzie cała kuchnia stanęła w płomieniach.

*Pali się!*, krzyknął jakiś głos. Światła domu rozbłysły, z sufitów trysnęła woda. Lecz rozpuszczalnik rozprysnął się po całym linoleum, docierając wszędzie, ściekając na boki, przenikając pod drzwiami. Tymczasem głosy podjęły chóralny krzyk: *Pożar! Pożar! Pożar!*

Dom jeszcze próbował się ocalić. Drzwi zatrzęsły się na głucho, lecz szyby popękały od gorąca i wpadający do środka wiatr tylko podsycił płomień.

Dom ustępował; ogień, prac naprzód w orszaku miliardów gniewnych iskier, zagarniał kolejne pokoje. Wkrótce dotarł do schodów i ruszył na górę. Tymczasem ze ścian zaczęły wyskakiwać stada wodnych szczurów, które strzelały swoim ładunkiem i odbiegały po kolejne porcje wody. Ze zraszaczy w sufitach lały się potoki mechanicznego deszczu.

Za późno jednak. Gdzieś w głębi domu jedna z pomp zgrzytnęła i zamarła. Ulewa ustała. Zapasowy zbiornik wody, który od wielu dni napełniał wanny i zmywał naczynia, w końcu się wyczerpał.

Ogień wbiegał po schodach, pożerając wiszące w holu Picassy i Matissy niczym największe przysmaki, podpiekając oleisty miąższ, czule wytapiając z płótna czarne chrupkie skwarki.

Teraz rozpychał się w łózkach, wyglądał przez okna, zmieniał kolor zasłon.

I nagle zjawily się posiłki.

Klapy na strychu otwarły się i wyjrzały z nich ślepe roboty rzygające zieloną pianą.

Ogień cofnął się, jak to czyni nawet słoń na widok martwego węża. Tym razem jednak na podłodze wiło się co najmniej dwadzieścia węży, a każdy z nich tłumił ogień chłodnym jadem zielonkawej piany.

Jednakże ogień okazał się chytrzejszy. Posłał swe płomienie na zewnątrz, w górę, ku stojącym na poddaszu pompom. Wybuch!

Umieszczony na strychu mózg kierujący działaniem pomp rozprysnął się na kawałki. Pozostała po nim jedynie garstka drzazg z brązu, które utkwily na amen w stropowych belkach.

Ogień zaglądał do wszystkich szaf, obmacując wiszące w nich ubrania.

Dom zadrżał; dębowe kości tarły o siebie, odsłonięty szkielet skręcał się od żaru; między żebrami sterczały nagie druty, zupełnie jakby chirurg zdarł z niego skórę, wystawiając tętnice i żyły na pastwę płomieni. *Ratunku, pomocy! Pożar! Uciekajcie, uciekajcie!* Zwierciadła pękały z gorąca niczym tafle kruchego lodu. A głosy zawodziły: *Pożar, pożar, uciekajcie, uciekajcie!* jak w upiornej dziecinniej rymowance; tuzin głosów, wysokich i niskich; grupka dzieci samotnie konających w lesie. W miarę jak druty rozsadzały izolację niczym gorące kasztany łupiny, głosy milkły – jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty...

Dżungla w pokoju dziecinnym płonęła. Błękitne lwy ryczały, fioletowe żyrafy odskakiwały w tył. Pantery krążyły w kółko, nieustannie zmieniając barwy, a dziesięć milionów zwierzaków umykających przed ogniem zniknęło w dali, pędząc ku zbawiennej rzece.

Kolejnych dziesięć głosów umilkło. W ostatniej sekundzie poprzedzającej zejście ognistej lawiny inne chóry, nieświadome sytuacji, wciąż podawały godziny, odgrywały muzykę, strzygły trawnik za pomocą zdalnie sterowanej kosiarki, gorączkowo rozpinały i składały parasol nad drzwiami, które stale otwierały się i zamykały. Wokół działy się tysiące rzeczy, zupełnie jak w warsztacie zegarmistrza, gdzie każdy zegar wybija inną, własną godzinę. Oto szalony chaos, w którym kryje się jedność! Śpiew mieszał się z krzykami, ostatnie myszy-sprzątacze umykały odważnie na dwór, wynosząc kupki złowrogich popiołów. Jeden z głosów, wyniosłe lekceważąc sytuację, czytał poezję w ognistym gabinecie do chwili, gdy ostatnie rolki filmów spłonęły bez śladu, druty stopiły się, obwody potrzaskały.

Wreszcie ogień rozsadził dom, który runął na ziemię w obłoku dymu, wyrzucając w powietrze istny rój iskier.

W kuchni na sekundę przed ulewą ognia i drewnianych

szczętków piecyk w szaleńczym tempie zaczął przyrządzać śniadanie – dziesięć tuzinów jaj, sześć bochnów grzanek, dwadzieścia tuzinów plastrów wędzonki. A kiedy ogień pożarł to wszystko, kuchenka z rozpaczliwym sykiem znów zabrała się do pracy.

Trach! Górne piętro runęło do kuchni i salonu, salon wpadł do piwnicy, piwnica znalazła się jeszcze niżej. Zamrażarka, fotele, taśmy, druty, łóżka – wszystko to w jednym wielkim stosie zniknęło pod ziemią.

Dym i cisza. Wielka chmura dymu.

Na wschodzie zajaśniała pierwsza jutrzienka. Pośród gruzów wznosiła się samotna ściana. I kiedy poranne słońce oświetliło dymiące zgliszcza, z wnętrza ściany przemówił ostatni głos, powtarzając wciąż od nowa:

*Dziś mamy piąty sierpnia 2026 roku, dziś mamy piąty sierpnia 2026 roku, dziś..*

## październik 2026:

### MILION LAT WAKACJI

To mama pierwsza zaproponowała, aby cała rodzina wybrała się razem na ryby. Jednakże słowa nie pochodziły od mamy; Timothy wiedział o tym. To były słowa taty; mama po prostu wypowiedziała je za niego.

Tato szurnął nogami, rozrzucając marsjańskie kamyki, i wyraził zgodę. Natychmiast zrobiło się zamieszanie i wśród krzyków i śmiechów cały obóz znalazł się w kapsułach i pojemnikach. Matka przebrała się w podrózny kombinezon i bluzę, ojciec drżącymi dłońmi nabił fajkę, cały czas spoglądając w marsjańskie niebo, trzej chłopcy zaś z krzykiem załadowali się do motorówki. Żaden z nich nie zwracał uwagi na mamę i tatę – poza Timothyem.

Tato nacisnął dźwignię. Pomruk silnika łodzi wzniósł się w górę, ku niebu, woda zafalowała i łódź skoczyła naprzód.

– Hurra! – krzyknęła chórem rodzina.

Timothy siedział z tatą na rufie, jego małe palce spoczywały na włochatej dłoni ojca. Patrzył, jak kanał wiję się przed nimi. Z każdą chwilą oddalali się od pełnego ruin miejsca, w którym wylądowali małą rodzinną rakieta po długim locie z Ziemi. Przypomniał sobie wieczór przed odlotem, pośpiech i krzątanie, rakieta, którą tato wyszukał gdzieś w sekrecie, i rozmowy o wakacjach na Marsie. Długa wyprawa jak na wakacje, lecz Timothy nic nie powiedział ze względu na młodszych braci. Teraz zaś przybyli na Marsa i od razu ruszyli na ryby – albo przynajmniej rodzice tak twierdzili.

Oczy taty dziwnie błyszczały, gdy łódź parła naprzód, coraz dalej i dalej. Timothy nie potrafił rozszyfrować tego spojrzenia. Kryła się w nim wiara i głęboka ulga. Pomarszczona twarz, zwykle zatroskana, promieniała radością.

Po chwili stygnąca rakietka zniknęła za zakrętem.

– Jak długo tu zostaniemy? – Robert wystawił dłoń za burzę. Wyglądała niczym maleńki krab śmigający po fiołkowych wodach.

Tato wypuścił powietrze.

– Milion lat.

– O rany – westchnął Robert.

– Spójrzcie, dzieci. – Matka wyciągnęła miękką, szczupłą rękę. – Przed nami widać martwe miasto.

Unieśli wzrok w gorączkowym oczekiwaniu. Martwe miasto drzemało w upalnej letniej ciszy marsjańskiego lata, stworzonego przez marsjańskich mistrzów pogody.

Tato wyglądał, jakby się cieszył, że miasto umarło.

Nie było zbyt imponujące. Różowe głązy przycupnięte na piasku, kilka zwalonych kolumn, jedna samotna świątynia i znów bezkres pustyni. W promieniu wielu mil nie było nic więcej, jedynie białe pustkowia wokół kanału i błękitne pustkowia nad głowami.

W tym momencie nad kanałem śmignął ptak; był niczym kamień do puszczania kaczek, który uderza o powierzchnię wody, wpada do środka i znika.

Na ten widok tato nerwowo się wzdrygnął.

– Myślałem, że to rakietka.

Timothy spoglądał w głąb oceanu nieba, usiłując dojrzeć Ziemię i wojnę, zburzone miasta i ludzi zabijających się nawzajem od dnia, kiedy przyszedł na świat. Niczego jednak nie dostrzegł. Wojna była równie odległa i nierzeczywista jak dwie muchy toczące śmiertelny pojedynek pod łukiem wyniosłej, milczącej katedry. I równie pozbawiona sensu.

William Thomas otarł spocone czoło. Czując na ramieniu dotknięcie palców syna, delikatnych niczym młoda tarantula, odwrócił się z uśmiechem.

– Co u ciebie, Tim?

– W porządku, tato.

Timothy wciąż jeszcze nie wiedział, co kieruje tym wielkim dorosłym mechanizmem siedzącym obok niego; mężczyzną o wydatnym jastrzębim nosie, spalonym na słońcu i obłączącym

ze skóry, ognistych błękitnych oczach, twardych niczym szklane kulki, którymi bawili się po szkole w letnie popołudnie na Ziemi, i długich kolumnach nóg w luźnych spodniach do konnej jazdy.

– Na co tak patrzysz, tato?

– Szukałem ziemskiej logiki, rozsądku, uczciwych rządów, pokoju i odpowiedzialności.

– I wszystko to zostało na Ziemi?

– Już nie. Nie znalazłem niczego. Może to już nigdy nie powróci. Może oszukiwaliśmy się, sądząc, że kiedykolwiek istniało.

– Że co?

– Zobacz, ryby. – Tata wskazał ręką.

\* \* \*

Trzej chłopcy wykrzyknęli zgodnym chórem, kołyszając łodzią i wyciągając kruche szyje przy wtórze ochów i achów. Srebrzysta ryba pierścieniowa krążyła, rozwijając się i zamykając niczym żrenica oka, wokół każdej napotkanej cząstki jedzenia, którą potem w siebie wchłaniała.

Tato przyglądał się jej długo. Jego głos był głęboki i cichy.

– Zupełnie jak wojna. Wojna także podpływa znienacka, dostrzega ofiarę, rozwija swe szyki... i w chwilę potem Ziemia znika.

– Williamie! – upomniała go mama.

– Przepraszam – mruknął tato.

Siedzieli w milczeniu. Za burtą przepływały szkliste wody kanału. Jedynie szum silnika i plusk fal zakłócały wszechobecną ciszę. Powietrze drżało w promieniach słońca.

– Kiedy zobaczymy Marsjan?! – krzyknął Michael.

– Zapewne już niedługo – odparł ojciec. – Może nawet dziś wieczór.

– Ale przecież Marsjanie wymarli – zaprotestowała mama.

– Nie, bynajmniej. Pokażę wam paru Marsjan – rzekł po chwili tato.

Słyszając to, Timothy skrzywił się, jednak milczał. Nagle wszystko stało się dziwne – wakacje, ryby i spojrzenia wymieniane przez dorosłych.

Tymczasem pozostała dwójka splecionymi z dłoni daszkami osłaniała oczy i zerkąta na dwumetrowe kamienne nabrzeża kanałów, poszukując wzrokiem Marsjan.

– Jak oni wyglądają? – spytał Michael.

– Poznasz ich, kiedy ich zobaczysz.

Tato zaśmiał się i Timothy dostrzegł pulsującą na jego policzku żyłkę.

Matka była smukła i łagodna, złoty warkocz upięta na głowie na kształt tiary. Jej oczy miały kolor głębokich, chłodnych wód kanału w miejscach, gdzie padał na nie cień – były niemal fioletowe, z widocznymi w głębi bursztynowymi iskierkami. W owych oczach widać było myśli pływające wokół niczym ryby, niektóre jasne, inne mroczne, jedne szybkie i zręczne, inne powolne, leniwe; a czasami, jak wówczas, gdy spoglądała w miejsce, gdzie winna świecić Ziemia, w jej oczach pozostawała jedynie barwa, nic poza tym. Matka siedziała na dziobie, jedną rękę złożyła na burcie, drugą na kolanach okrytych granatowymi bryczesami. Z rozpiętej u góry koszuli wyłaniała się niczym biały kwiat jej smukła opalona szyja.

Spoglądała naprzód, usiłując dostrzec, co ich tam czeka. Ponieważ jednak nie widziała dostatecznie wyraźnie, obejrzała się w stronę męża i w jego oczach ujrzała odbicie przyszłości, a że obraz ów odzwierciedlił także jego stanowczość i determinację, kobieta odprężyła się i odwróciła z ulgą, wiedząc nagle, czego ma szukać.

Timothy także spoglądał w dal, jednak widział jedynie cienką kreskę kanału, fioletową w szerokiej, płytkiej dolinie otoczonej niskimi zwietrzalymi wzgórzami. Nitka wody sięgała dalej, aż do miejsca, w którym znikąta poza granicą nieba. Ów kanał przecinał miasta, które potrząśnięte, grzechotałyby niczym chrabąszcze w pustej trupiej czaszce. Setka, dwie setki miast, za dnia śniących gorące letnie sny, nocami chłodne letnie koszmary...

Ponoć przebyli miliony mil tylko po to, aby łowić ryby – ale w rakiecie została broń. To miały być wakacje – po co zatem zabrali prowiant, który wystarczyłby im w zupełności na wiele

lat, a teraz czekał ukryty w pobliżu rakiety? Wakacje. Jednakże za zasłoną wakacji nie kryła się beztroska, roześmiana twarz, lecz coś srogiego, kościstego, budzącego grozę. Timothy nie potrafił podnieść tej zasłony, a pozostali dwaj chłopcy byli całkowicie pochłonięci faktem, że jeden z nich skończył właśnie dziesięć, a drugi osiem lat.

– Ani śladu Marsjan. Lipa. – Robert oparł spiczasty podbródek na splecionych dłoniach, spoglądając gniewnie przed siebie.

Tato zabrał ze sobą przypięte do przegubu atomowe radio. Jego działanie opierało się na staromodnej zasadzie: przykładano się odbiornik do kości koło ucha, ten zaś przekazywał wibracje przynoszące melodie bądź głosy. Tato właśnie go słuchał. Jego twarz wyglądała jak jedno z owych zrujnowanych marsjańskich miast – była zapadnięta, wyschnięta, niemal martwa.

Po chwili dał posłuchać mamie. Jej usta rozchyliły się ze zdumienia.

– Co się... – zaczął Timothy, nie zdołał jednak dokończyć myśli, bowiem w tym właśnie momencie rozległy się dwa ogłuszające wybuchy. Po nich nastąpiło kilkanaście cichszych trzasków.

Tato natychmiast przesunął dźwignię. Łódź skoczyła naprzód, podskakując i trzęsąc się gwałtownie. To sprawiło, że Robert otrząsnął się z zadumy, Michael zaś przerażony, choć z radosnym piskiem, przywarł do nóg mamy, patrząc, jak tuż obok jego nosa przepływa rwący prąd.

Tato przestawił ster, zmniejszył prędkość i skręcił w maleńki boczny kanalik pod starym kamiennym nabrzeżem, cuchnącym krabim mięsem. Łódź uderzyła o brzeg z taką mocą, że wszyscy polecili naprzód, jednakże nikomu nie stało się nic złego i tato natychmiast się obrócił, by sprawdzić, czy zmarszczki na wodzie mogą wskazać komuś drogę do ich kryjówki. Niewysokie fale lizały kamienie i cofały się, zderzając się nawzajem i migocząc w słońcu. Po chwili wszystko ucichło.

Tato nasłuchiwał. Podobnie pozostali.

Oddech ojca odbijał się echem niczym uderzenia pięści o mokre kamienie nabrzeże. Przycupnięta w cieniu mama obserwowała go kocimi oczyma w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki.



Wreszcie tato odprężył się i odetchnął z ulgą.

– Rakieta, oczywiście. Chyba robię się nerwowy. To była rakietka.

– Co to było, tatusiu? – spytał Michael. – Co?

– Och, po prostu wysadziliśmy naszą rakietę – odparł Timothy, starając się, by zabrzmiało to możliwie nonszalancko. – Słyszałem już wcześniej podobne wybuchy. Nasza właśnie wyleciała w powietrze.

– Czemu wysadziliśmy rakietę? – spytał Michael. – Co, tato?

– To wszystko część zabawy, głuptasie – wyjaśnił Timothy.

– Zabawy! – Michael i Robert uwielbiali to słowo.

– Tato urządził ten wybuch, żeby nikt nie wiedział, gdzie wylądowaliście ani dokąd popłynęliście. W razie gdyby ktokolwiek nas szukał. Rozumiecie?

– O rany! Tajemnica!

– Wystraszyła mnie własna rakietka – przyznał tato, zwracając się do mamy. – Naprawdę robię się nerwowy. To niemądre sądzić, że zjawią się tu jeszcze jakieś rakietki, może poza jedną, jeśli Edwards i jego żona poradzili sobie z własnym statkiem.

Ponownie przyłożył do ucha maleńki odbiornik. Po dwóch minutach opuścił rękę, jakby odrzucał starą szmatę.

– Nareszcie koniec – rzekł do mamy. – Radio właśnie zeszło z atomowej fali. Wszystkie inne stacje umilkły. W ciągu ostatnich paru lat ich liczba ciągle się zmniejszała. Teraz w eterze panuje cisza. I prawdopodobnie tak już zostanie.

– Na jak długo? – chciał wiedzieć Robert.

– Może wasze prawnuki znów usłyszą jakąś wiadomość – odparł tato. Przez chwilę siedział bez ruchu.

Dzieci milczały, porażone jego smutkiem i rezygnacją, poczuciem klęski i pogodzenia się z losem.

Wreszcie mężczyzna ponownie wypłynął na wody kanału i ruszyli dalej, w stronę, w którą zmierzali już wcześniej.

Robiło się późno. Słońce zniżało się na niebie. Przed sobą widzieli szereg martwych miast.

Tato rozmawiał cicho ze swymi synami. W przeszłości często bywał roztargniony i oddalał się od nich, teraz jednak jego słowa były niczym pieszczota i chłopcy natychmiast to wyczuli.

– Mike, wybierz jakieś miasto.

– Co, tato?

– Wybierz miasto, synu. Jedno z tych, które mijamy.

– W porządku. Które mam wybrać?

– To, które najbardziej ci się podoba! Wy także, Robercie, Tim. Wybierzcie swoje miasta.

– Chcę mieć miasto, w którym mieszkają Marsjanie! – zawołał Michael.

– Na to możesz liczyć – odparł tato. – Przyrzekam ci. – Jego słowa były przeznaczone dla dzieci, lecz oczy szukały jedynie mamy.

W ciągu dwudziestu minut minęli sześć miast. Tato nie wspominał już o wybuchach. Znacznie bardziej interesowała go zabawa z synami.

Michaelowi spodobało się pierwsze mijane miasto, jednakże rodzina zgłosiła weto, wątpiąc w wartość zbyt pochopnych ocen. Drugie nikomu nie odpowiadało. To była osada Ziemian zbudowana z drewna, rozsypująca się w spróchniałe wióry. Timothy głosował na trzecie miasto, było bowiem naprawdę duże. Czwarte i piąte uznano za zbyt małe, szóste zaś wywołało entuzjazm wszystkich, łącznie z mamą, która dołączyła do chóru okrzyków: „O rany, a niech mnie” i „Spójrzcie tylko na to!”.

Osada składała się z pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu potężnych budowli. Zasypane kurzem ulice były starannie brukowane, dostrzegli też jedną czy dwie stare wirowe fontanny. Tylko one jeszcze żyły. Strumienie wody połyskiwały w promieniach zachodzącego słońca.

– To jest nasze miasto – oznajmili wszyscy.

Tato podpłynął do nabrzeża i wyskoczył z łodzi.

– Zatem jesteśmy. To wszystko należy do nas. Od tej pory zamieszkamy tutaj.

– Od tej pory? – powtórzył z niedowierzaniem Mike. Przez chwilę rozglądał się wokół, po czym mrugając, obejrzał się w stronę, gdzie kiedyś stał ich pojazd. – A co z rakieta? Co z Minnesotą?

– Proszę – powiedział tato i przyłożył maleńkie radio do jasnej

głowy Michaela.

– Nic tu nie ma – rzekł po chwili chłopiec.

– Zgadza się. Nic. Nic już nie ma. Ani Minneapolis, ani rakiety, ani Ziemi.

Michael przez moment rozważał złowrogie słowa ojca, po czym rozpląkał się, cicho szlochając.

– Chwileczkę – rzucił tato. – Daję ci wiele w zamian, Mike!

– Co takiego? – Zciekawiony chłopiec zdusił płacz. Był jednak gotów rozpląkać się na nowo, w razie gdyby słowa ojca okazały się równie niepokojące jak poprzednie.

– Daję ci to miasto, Mike. Należy do ciebie.

– Do mnie?

– Do ciebie, Roberta, Timothy’ego. Całej waszej trójki. Jest waszą własnością.

Timothy wyskoczył z łodzi.

– Chłopaki, patrzcie! To wszystko dla nas! Wszystko!

Grał razem z tatą, i to grał bardzo dobrze. Później, kiedy minie pierwszy wstrząs, będzie mógł odejść gdzieś na bok i chwilę popłakać, teraz jednak wciąż jeszcze trwała zabawa w rodzinną wycieczkę i dzieci musiały w niej uczestniczyć.

Mike skoczył za nim wraz z Robertem. Razem pomogli mamie.

– Uważajcie na waszą siostrę – polecił tato, na razie jednak nikt nie zrozumiał, co miał na myśli.

Pospiesznym krokiem ruszyli w wielkie miasto z różowego kamienia, szepcząc do siebie, ponieważ w atmosferze martwych miast jest coś takiego, że człowiek zaczyna szeptać. Patrzyli, jak słońce opada za horyzont.

– Za jakieś pięć dni – powiedział cicho tato – wrócę na miejsce, gdzie stała nasza rakietka, zabiorę ukryty w ruinach prowiant i przywiozę go tutaj. Potem poszukam Berta Edwardsa, jego żony i córek.

– Córek? – spytał Timothy. – Ilu?

– Czterech.

– Widzę, że będą z tym jeszcze kłopoty. – Mama pokiwała głową.

– Dziewczyny. – Michael skrzywił się niczym stara marsjańska

rzeźba. – Dziewczyny.

– One też przylatują rakieta?

– Tak. Jeśli im się uda. Rodzinne rakiety przeznaczono do wycieczek na Księżyc, nie na Marsa. Mieliśmy szczęście, że tu dotarliśmy.

– Skąd wzięłaś rakieta? – szepnął Timothy, kiedy pozostała dwójka pobiegła naprzód.

– Zachowałem ją. Przechowywałem rakieta od dwudziestu lat, Tim. Trzymałem w ukryciu w nadziei, że nigdy nie będę musiał z niej skorzystać. Chyba powinienem był ją oddać rządowi na wojna, ale wciąż myślałem o Marsie...

– O naszych wakacjach!

– Właśnie. Ale niech to pozostanie między nami. Kiedy uznałem, że na Ziemi wszystko dobiega końca, odczekałem do ostatniej chwili i zabrałem nasze rzeczy. Bert Edwards także ukrywał statek, stwierdziliśmy jednak, że bezpieczniej będzie wystartować osobno, w razie gdyby ktoś próbował nas zestrzelić.

– Czemu wysadziłaś rakieta, tato?

– Żebyśmy nigdy nie mogli wrócić. I żeby żaden ze złych ludzi, którzy mogliby przybyć na Marsa, nie wiedział, że tu jesteśmy.

– Dlatego przez cały czas spoglądasz w niebo?

– Tak. To głupie. Nie przylecą tu za nami. Nie mają statków. Jestem po prostu zbyt ostrożny.

Michael wrócił do nich biegiem.

– Czy to naprawdę nasze miasto, tato?

– Cała ta planeta należy do nas.

Stali tam – królowie i władcy, najlepsi z najlepszych, mistrzowie nad mistrzami, niezrównani monarchowie i prezydenci, próbując zrozumieć, co to znaczy posiadać na własność świat i jak wielki jest w istocie ten świat.

W rzadkiej atmosferze noc zapadała szybko. Tato zostawił ich na placu, obok pulsującej fontanny, wrócił do łodzi i po chwili pojawił się, niosąc w wielkich dłoniach gruby plik papierów.

Ułożył je w nieporządku stosik na starym dziedzińcu i podpalił. Rodzina zebrała się wokół ognia, aby się ogrzać. Timothy patrzył, jak małe literki podskakują niczym przerażone zwierzęta, kiedy

dotykały ich żarłoczne płomienie. Papier trzeszczał jak skóra starca, gdy ogień pochłaniał niezliczone słowa: *OBLIGACJE RZADOWE; Wykresy statystyczne 1999; Rozprawa na temat uprzedzeń religijnych; Logistyka; Problem jedności panamerykańskiej; Raport giełdowy z 3 lipca 1998; Kronika Wojenna...*

Tato uparł się, aby przywieźć te papiery specjalnie w tym celu. Siedział na kamieniach, z zadowoleniem podsycając ogień kolejnymi kartkami i opowiadając dzieciom, co to wszystko znaczy.

– Już czas, abym wyjaśnił wam parę rzeczy. Trzymanie ich w sekrecie byłoby nieuczciwe. Nie wiem, czy zrozumiecie, ale musicie mnie wysłuchać, nawet jeśli dotrze do was tylko część z tego, co wam powiem.

Cisnął w ogień kolejną stronicę.

– W tej chwili palę pewien sposób życia, tak jak wypalono go na Ziemi. Wybaczcie, że mówię jak polityk, ostatecznie piastowałem urząd gubernatora stanowego. Byłem uczciwy. Nienawidzili mnie za to. Życie na Ziemi nigdy nie zmierzało do niczego dobrego. Nauka za bardzo nas wyprzedziła i ludzie zagubili się w mechanicznej dżungli niczym dzieci zachwycone ślicznymi drobiazgami, gadżetami, helikopterami, raketami. Nasza uwaga skupiała się nie na tym, na czym powinna, czyli na maszynach, zamiast sposobach kierowania nimi. Wojny stawały się coraz groźniejsze, aż w końcu zamordowały Ziemię. Symbolem tego jest właśnie milczące radio. To przed tym uciekliśmy.

Mieliśmy szczęście – nie ma już więcej rakiet. Czas, abyście dowiedzieli się, że nie wybraliśmy się tu na wakacje. Odwlekałem tę chwilę, ale wreszcie muszę to powiedzieć. Ziemi już nie ma. Podróże międzyplanetarne skończyły się na kilka najbliższych wieków, może nawet na zawsze. Jednakże tamten sposób życia okazał się błędny i sam doprowadził do własnego upadku. Jesteście młodzi. Będę powtarzał wam to codziennie, dopóki nie pojmiecie.

Urwał, wrzucając do ognia kolejne pliki papierów.

– Teraz jesteśmy sami. My i garstka innych, którzy wylądują za

parę dni. Dostatecznie wielu, by zacząć wszystko od nowa. Wystarczająco, by odwrócić się od tego, co zaszło na Ziemi, i wytyczyć nowy szlak...

Płomienie wystrzeliły w górę, jakby podkreślając wagę jego słów. A potem wszystkie papiery zniknęły. Wszystkie prawa i wierzenia Ziemi spłonęły, pozostawiając po sobie kupkę gorących popiołów, które wkrótce rozniesie wiatr.

Timothy spojrział na ostatnią rzecz, którą ojciec cisnął do ognia. To była mapa świata. Wrzucona w żar zmarszczyła się, wykrzywiła, stanęła w ogniu i zniknęła niczym ciepła biała ćma.

Timothy odwrócił głowę.

– A teraz pokażę wam Marsjan – oznajmił tato. – Chodźcie ze mną wszyscy. Dalej, Alice. – Ujął dłoń żony.

Michael płakał głośno, toteż tato poniosł go w ramionach. Wędrowali przez ruiny w stronę kanału.

Kanał. Jutro, a może pojutrze ich przyszłe żony przybędą tu łodzią. Małe roześmiane dziewczynki w towarzystwie ojca i matki.

Zapadła już noc. Na niebie świeciły gwiazdy, lecz Timothy nie mógł znaleźć Ziemi, już bowiem zaszła. To dawało sporo do myślenia.

Kiedy tak szli wśród gruzów, odezwał się nocny ptak.

– Wasza matka i ja postaramy się was uczyć – oznajmił tato. – Mam nadzieję, że was nie zawiedziemy. Wiele przeszliśmy, zebraliśmy mnóstwo doświadczeń. Planowaliśmy tę wyprawę od lat, zanim jeszcze wy się urodziliście. Sądzę, że nawet gdyby wojna nie wybuchła, i tak przybylibyśmy na Marsa, aby stworzyć własny standard życia. Musiałby minąć wiek, zanim ziemską cywilizacja naprawdę zatrzymała tę planetę. Oczywiście teraz...

Dotarli na brzeg. Długi, prosty kanał połyskiwał wilgotnym blaskiem, odbijając w sobie niebo.

– Zawsze chciałem zobaczyć Marsjanina – rzekł Michael. – Gdzie oni są? Obiecałeś.

– Oto oni – oznajmił tato i posadziwszy Michaela na ramieniu, wskazał ręką w dół.

I rzeczywiście tam byli.

Timothy zadrzał. Marsjanie stali, odbici w wodzie kanału.  
Timothy i Michael, Robert, mama i tato.

*Przez długą chwilę Marsjanie spoglądali na nich z pomarszczonej  
tafli wody...*

# **Człowiek ilustrowany**

*Tę książkę z miłością  
ojcu, matce i Skipowi  
poświęcam.*



## prolog:

### CZŁOWIEK ILUSTROWANY

Człowieka Ilustrowanego poznałem pewnego ciepłego wrześnieowego popołudnia. Maszerowałem wówczas poboczem asfaltowej szosy, pokonując ostatni etap dwutygodniowej pieszej wędrówki po stanie Wisconsin. Późnym popołudniem zatrzymałem się, zjadłem wieprzowinę z fasolą i pączka, i właśnie miałem położyć się i poczytać, gdy Człowiek Ilustrowany wynurzył się zza wzgórza i przystanął na moment – ciemna sylwetka na tle nieba.

Wówczas nie wiedziałem jeszcze, że jest Ilustrowany. Widziałem jedynie wysokiego, niegdyś muskularnego mężczyznę, którego mięśnie z nieznanymi przyczyn zaczynały porastać tłuszczem. Pamiętam, że miał długie ręce i potężne dłonie, lecz jego twarz przypominała oblicze dziecka.

Zdawało się, iż wyczuł moją obecność, przemówił bowiem, w ogóle na mnie nie patrząc:

– Wie pan, gdzie mógłbym znaleźć pracę?

– Niestety nie – odparłem.

– Od czterdziestu lat nie zdołałem nigdzie zaczepić się na dłużej.

Choć mimo późnego popołudnia wciąż panował upał, przybysz miał na sobie wełnianą koszulę zapiętą pod szyją. Spuszczone rękawy zasłaniały grube przeguby. Po twarzy spływały mu strugi potu, on jednak nawet nie próbował się rozpiąć.

– Cóż – rzekł w końcu – równie dobrze mogę spędzić noc tutaj. Nie przeszkadza panu towarzystwo?

– Chętnie podzielę się z panem prowiantem – odparłem.

Usiadł ciężko, odchrząkując.

– Pożałuje pan, że mnie zaprosił – rzekł. – Wszyscy żałują. To dlatego wciąż jestem w drodze. No proszę, mamy właśnie początek wrześniea, szczyt sezonu lunaparkowego. Powinienem

zarabiać stopy pieniędzy, jeździć z miasteczka do miasteczka, a oto tkwię tutaj bez żadnych perspektyw.

Zdjął wielgachny but i przyjrzał mu się uważnie.

– Zazwyczaj udaje mi się utrzymać posadę jakieś dziesięć dni. Potem coś się dzieje i wyrzucają mnie. Wszystkie lunaparki w Ameryce unikają mnie jak zarazy.

– Ale w czym problem? – spytałem.

Zamiast odpowiedzi powoli rozpiął ciasny kołnierzyk. Z zamkniętymi oczami odpinał kolejne guziki koszuli, aż do samego dołu. Następnie przesunął dłonią po piersi.

– Zabawne – powiedział, nie otwierając oczu. – Nie da się ich wyczuć, ale nadal tu są. Wciąż mam nadzieję, że pewnego dnia spojrzę, a ich nie będzie. Godzinami maszeruję w najgorętszym słońcu, smażąc się w upale, z nadzieją, że mój pot je zmyje, słońce wypali, lecz o zmierzchu ciągle tu są. – Zwrócił głowę w moją stronę i odsłonił pierś. – Wciąż je widać?

Po długiej chwili wypuściłem powietrze.

– Tak – odparłem. – Wciąż je widać.

Ilustracje.

– Zapinam się także z powodu dzieci – rzekł, otwierając oczy. – Włóczę się za mną po wiejskich drogach. Wszyscy chcą oglądać obrazki, a przecież nikt tak naprawdę nie chce ich widzieć.

Zdjął koszulę i wyjął ją w rękach. Od błękitnej wytatuowanej opaski na szyi aż do pasa pokrywały go Ilustracje.

– Są też niżej – dodał, zgadując, o czym myślę. – Cały jestem wytatuowany. Proszę spojrzeć.

Uniósł rękę. Na dłoni miał różę, świeżo zerwaną; na jej miękkich różowych płatkach połyskiwały krople krystalicznie czystej wody. Wyciągnąłem rękę, żeby jej dotknąć, ale była to tylko Ilustracja.

Nie wiem, jak długo siedziałem i wpatrywałem się w niego, pokrywał go bowiem szaleńczy tłum rakiet, fontann i ludzi, oddanych z tak wspaniałym wyczuciem barw i szczegółów, że niemal słyszało się szmer cichych, piskliwych głosów tłumów istot zamieszkujących ciało mężczyzny. Gdy jego mięśnie drżały, małe usta otwierały się, małe zielonozłote oczy mrugały,

różowe dłonie gestykulowały. Na piersi nieznajomego widać było żółte łąki, błękitne rzeki i góry, gwiazdy, słońca i planety tworzące Mleczną Drogę. Byli też ludzie, dwadzieścia lub więcej grupek pokrywających ramiona, plecy, ręce, boki i przeguby, a także brzuch. Tkwili w pozyciu włosów, czaili się wśród konstelacji piegów i wyglądali z jaskiń pach, a ich oczy lśniły niczym diamenty. Każdy zajmował się własnymi sprawami; kolejne portrety w niezwykłej galerii.

– Ależ to piękne! – wykrzyknąłem.

Jak mam opisać jego Ilustracje? Gdyby El Greco w największym rozkwicie swego talentu malował miniatury nie większe niż ludzka dłoń, jak zwykle u niego dokładnie oddane w niezdrowych barwach, wydłużone, zniekształcone anatomicznie, mógłby użyć ciała tego człowieka jako modelu. Kolory płonęły w trzech wymiarach. Ilustracje były niczym okna ukazujące ognistą rzeczywistość. Zgromadzone na jednej ścianie widniały najwspanialsze sceny we wszechświecie. Człowiek ten był chodzącą skarbnicą sztuki. Obrazy nie były dziełem taniego jarmarcznego specja od tatuażu o oddechu cuchnącym whisky, operującego trzema podstawowymi kolorami. W wyraźnych, tętniących życiem pięknych obrazach znać było tchnienie geniuszu.

– O tak – odparł Człowiek Ilustrowany. – Jestem tak dumny ze swych Ilustracji, że chętnie bym je wypalił. Próbowałem papieru ściernego, kwasu, noża...

Słońce gasło. Na wschodzie błyszczał już księżyc.

– Bo widzi pan – ciągnął Człowiek Ilustrowany – te Ilustracje przepowiadają przyszłość.

Milczałem.

– W słońcu nic się nie dzieje – dodał. – Za dnia mógłbym utrzymać robotę, lecz nocą obrazki zaczynają się ruszać. Zmieniać.

Nie zdołałem powstrzymać uśmiechu.

– Od dawna jest pan Ilustrowany?

– W tysiąc dziewięćsetnym roku, kiedy miałem dwadzieścia lat i pracowałem w cyrku, złamałem nogę. To mnie załatwiło.

Musiałem coś zrobić, żeby utrzymać się w zawodzie, więc postanowiłem się wytatuować.

– Ale kto pana wytatuował? Co się stało z artystą?

– Wróciła do przyszłości. Poważnie. To była stara kobieta mieszkająca w małym domku pośrodku Wisconsin. Niedaleko stąd. Mała wiedźma, która w jednej chwili wyglądała, jakby miała tysiąc lat, a w następnej jak dwudziestolatka. Mówiła, że potrafi podróżować w czasie. Wtedy się śmiałem. Teraz wiem, że miała rację.

– Jak pan ją spotkał?

Opowiedział mi. Zauważył szyldek przy drodze: *ILUSTRACJE NA SKÓRZE! Ilustracje, nie tatuaz! Artystyczne!* Siedział zatem całą noc, podczas gdy jej magiczne igły kłuły go niczym ostre żądła os i delikatne pszczoł. Rankiem wyglądał jak człowiek, który wpadł do barwnej prasy drukarskiej i wyleciał z drugiej strony pstrokaty, kolorowy.

– Od pięćdziesięciu lat przychodzę tu każdego lata – rzekł, unosząc ręce. – Kiedy znajdę tę wiedźmę, zabiję ją.

\* \* \*

Słońce zniknęło. Na niebie rozbłysły pierwsze gwiazdy, księżyc oświetlił rozległe łąki i pola pszenicy, jednakże obrazki Człowieka Ilustrowanego wciąż żarzyły się w półmroku niczym garść rubinów i szmaragdów; długie, wyciągnięte ciała El Greca połyskiwały barwami Rouaulta i Picassa.

– I kiedy ludzie widzą, jak moje obrazki zaczynają się poruszać, wyrzucają mnie. Nie podoba im się, gdy Ilustracje ukazują przemoc. Każda z nich to odrębna opowieść. Jeśli zacznie pan je oglądać, w kilka minut opowiedzą panu historię. W ciągu trzech godzin obejrzy pan osiemnaście – dwadzieścia historii odegranych na moim ciele, usłyszysz głosy i myśli. Wszystko tu jest i tylko czeka, żeby pan spojrzeł. Najgorszy jednak jest pewien punkt na moim ciele. – Odsłonił plecy. – Widzi pan? Na prawej łopatce nie mam żadnego obrazka, jedynie płataninę linii.

– Owszem.

– Gdy dostatecznie długo przebywam w czyimś towarzystwie,

miejsce to ciemniej i się wypełnia. Jeśli jestem z kobietą, w ciągu godziny na moich plecach pojawia się jej portret i ukazuje wszystko, co ją czeka – jej życie, śmierć, to, jak będzie wyglądała po sześćdziesiątce. Jeżeli towarzyszy mi mężczyzna, w godzinę później to on pojawia się na obrazku – widzi, jak spada z urwiska albo ginie pod pociągiem. I znów tracę pracę.

Gdy mówił, jego dłonie cały czas wędrowały po Ilustracjach, jakby poprawiał ich ramy, ocierał z kurzu – niczym koneser, mecenas sztuki. Wyciągnął się na trawie, leżąc na plecach w blasku księżyca. Noc była ciepła i duszna, powietrzem nie poruszał nawet najłagodniejszy powiew. Obaj zdjeliśmy koszule.

– I nigdy nie znalazł pan tej kobiety?

– Nigdy.

– I naprawdę sądzi pan, że przybyła z przyszłości?

– Skąd inaczej znałaby historie, które na mnie wymalowała?

Znużony zamknął czy. Jego głos zaczął cichnąć.

– Czasami nocą czuję je, moje obrazki – są jak mrówki pełzające po skórze. Wtedy wiem, że robią to, co muszą. Już ich nie oglądam. Po prostu próbuję odpocząć. Niewiele śpiam. Pan też nie powinien na nie patrzeć. Ostrzegam. Proszę odwrócić się na drugi bok.

Położyłem się kilka stóp od niego. Nie wydawał się groźny, a obrazki były takie śliczne. Normalnie miałbym ochotę odejść, by nie słuchać jego gadaniny, ale Ilustracje... Pochłaniałem je wzrokiem. Tak ozdobione ciało każdemu pomieszałoby w głowie.

Noc był piękna. W księżycowej ciszy słyszałem oddech Człowieka Ilustrowanego. W odległych kotlinkach odezwały się świerszcze. Minęło może pół godziny. Nie wiem, czy Człowiek Ilustrowany spał, nagle jednak usłyszałem jego szept.

– Ruszają się, prawda?

Odczekałem minutę. W końcu rzekłem:

– Tak.

Obrazki poruszały się, każdy po kolei, każdy jedynie przez chwilę czy dwie. W blasku księżyca, do wtóru cichutkich myśli i odległego szmeru głosów, odkrywały się kolejne dramaty. Trudno orzec, czy każdy z nich trwał godzinę czy też trzy. Wiem

jedynie, że leżałem zafascynowany, podczas gdy gwiazdy wędrowały po niebie.

Osiemnaście ilustracji. Osiemnaście historii. Odliczałem je po kolei.

Na początku wzrok mój padł na scenę przedstawiającą wielki dom. W środku mieszkało dwoje ludzi. Ujrzałem stado sępów na płonącym cielesnym niebie. Zobaczyłem żółte lwy i usłyszałem głosy.

Pierwsza ilustracja zadrżała i ożyła...

## SAWANNA

– George, chciałabym, żebyś zajrzał do dzieciennego pokoju.  
– Coś z nim nie tak?  
– Nie wiem.  
– O co więc chodzi?  
– Chcę tylko, żebyś go obejrzał albo wezwał psychiatrę, to wszystko.

– Czemu psychiatra miałby oglądać dziecienny pokój?  
– Doskonale wiesz czemu. – Jego żona przystanęła pośrodku kuchni, patrząc, jak kuchenka, mrucząca cicho do siebie, przygotowuje obiad dla czworga. – Rzecz w tym, że dziecienny pokój nie jest taki jak przedtem.

– W porządku, chodźmy więc.

Wyszli na korytarz swego dźwiękoszczelnego domu, model „Szczęśliwy żywot”, którego instalacja kosztowała ich trzydzieści tysięcy dolarów; domu, który ubierał ich, karmił i kołysał do snu, grał im, śpiewał i był dla nich dobry. Zbliżając się, uruchomili ukryty wewnątrz czujnik, i kiedy znaleźli się dziesięć stóp od dzieciennego pokoju, wewnątrz zapłonęło światło. Tymczasem w korytarzach za nimi lampy gasły z cichą automatyczną precyzją.

– No, no – rzekł George Hadley.

Stali na wyściełanej słomianymi matami podłodze dzieciennego pokoju. Pomieszczenie miało czterdzieści na czterdzieści stóp i trzydzieści stóp wysokości; kosztowało o połowę więcej niż cała reszta domu. „Ale nic nie jest za dobre dla naszych dzieci” – mawiał George Hadley.

W pokoju panowała cisza. Było pusto niczym na polanie w dżungli w upalne południe. Otaczały ich martwe dwuwymiarowe ściany. Kiedy jednak George i Lydia Hadleyowie stanęli pośrodku pokoju, ściany zaczęły mruczeć i ożyły; zdawało się, iż uciekają w dal, w kryształową przestrzeń. Nagle pojawiła

się trójwymiarowa afrykańska sawanna, widoczna ze wszystkich stron, barwna, odtworzona do ostatniego kamyka i źdźbła trawy. Sufit nad ich głowami stał się niebem, na którym płonęło gorące żółte słońce.

George Hadley poczuł, jak pot występuje mu na czoło.

– Zejdźmy ze słońca – powiedział. – To trochę zbyt rzeczywiste. Ale nie widzę w tym nic złego.

– Zaczekaj chwilę, a zobaczysz – odparła żona.

Ukryte odorofony owiały dwoje ludzi stojących na spieczonej sawannie falą zapachów. Gorąca woń wyschniętej lwiej trawy, chłodny zielony zapach niewidocznego wodopoju, ostry odór zwierząt, woń pyłu unoszącego się w powietrzu niczym piekąca czerwona papryka. Po sekundzie dołączyły do nich dźwięki: odległy tętent kopyt antylop na miękkiej trawie, papierowy szelest sępicz skrzydeł. Po niebie przemknął cień, padając na moment na wzniesioną spoconą twarz George'a Hadleya.

– Ohydne zwierzaki – mruknięła jego żona.

– Sępy.

– Widzisz, tam daleko, z boku, są też lwy. Zmierzają do wodopoju. Właśnie skończyły jeść – oznajmiła Lydia. – Tylko nie wiem co.

– Jakieś zwierzę. – George Hadley uniósł dłoń, osłaniając zmrużone oczy przed palącym blaskiem. – Może zebře albo małą żyrafę.

– Jesteś pewien? – W głosie żony brzmiało dziwne napięcie.

– Trochę za późno, żeby to sprawdzić – odparł z rozbawieniem.

– Widzę tylko nagie kości, a sępy pożerają właśnie resztki.

– Słyszałeś ten krzyk?

– Nie.

– Jakąś minutę temu.

– Przykro mi, ale nie.

Lwy zbliżały się ku nim. I znów George Hadley z podziwem pomyślał o mechanicznym geniuszu, który stworzył ten pokój. Prawdziwy cud techniki, sprzedawany za absurdalnie niską cenę; powinien się znaleźć w każdym domu. Och, czasem symulacje zaskakiwały, przerażały swą kliniczną dokładnością, lecz



najczęściej zapewniały znakomitą zabawę – i to wszystkim, nie tylko synowi i córce, lecz także dorosłym, jeśli zapragnęli nagle wyskoczyć na krótko za granicę, błyskawicznie zmienić otoczenie.

A oto i lwy, piętnaście stóp od nich, tak rzeczywiste, zdumiewająco, obłąkańczo rzeczywiste, że czuło się na dłoniach ukłucia ich futra, a usta wypełniała sucha woń zakurzonych, rozgrzanych skór. W oczach odbijała się żółta barwa zwierząt, wspaniała żółć francuskiego gobelinu, żółć lwów i letniej trawy; w uszach falował cichy szmer włochatych lwich płuc, wypuszczających powietrze zmieszane ze smrodem mięsa ulatującym z ich dyszących, zaślinionych paszcz.

Lwy stały bez ruchu, obserwując George'a i Lydię Hadleyów złowrogimi zielonożółtymi oczami.

– Uważaj! – krzyknęła Lydia.

Lwy rzuciły się na nich.

Lydia uchyliła się i uciekła. George odruchowo skoczył za nią. Już na korytarzu, zatrzasnąwszy drzwi, zaczął się śmiać, podczas gdy ona wybuchnęła płaczem. Obojgiem wstrząsnęła reakcja małżonka.

– George!

– Lydio! Moja biedna, kochana Lydio!

– O mało nas nie złapały!

– Lydio, pamiętaj, że to tylko ściany; kryształowe ściany, nic więcej. Och, przyznaję, że wyglądają bardzo prawdziwie – Afryka w twoim domu! – ale w rzeczywistości to jedynie hiperrealistyczny, superczuły kolorowy film i mentalne taśmy za szklaną przesłoną. Wszystko to tylko fonia i odorofonika, Lydio. Masz chusteczkę.

– Boję się. – Podeszła do niego i przytuliła się, wciąż płacząc. – Widziałeś? Czułeś to? Jest zbyt rzeczywiste.

– Ależ, Lydio...

– Musisz zabronić Wendy i Peterowi czytania o Afryce.

– Oczywiście. – Poglądził jej twarz.

– Obiecujesz?

– Jasne.

– I zamknij dziecinny pokój. Na kilka dni, póki się nie uspokoję.  
– Wiesz, jak Peter na to zareaguje. Kiedy w zeszłym miesiącu za karę wyłączyłem pokój zaledwie na kilka godzin, dostał ataku hysterii. Wendy także. Ten pokój to całe ich życie.  
– Trzeba go zamknąć, bez dwóch zdań.  
– Zgoda. – Zerknął niechętnie na wielkie drzwi. – Zbyt ciężko pracujesz. Powinnaś odpocząć.  
– Nie wiem... nie wiem. – Wydmuchnęła nos i usiadła na fotelu, który natychmiast utulił ją i zaczął kołysać. – Może brakuje mi zajęć. Może mam za dużo czasu na myślenie. Czemu nie wyłączymy całego domu na kilka dni i nie zrobimy sobie wakacji?  
– Czyżbyś chciała smażyć mi jajecznicę?  
– Tak. – Skinęła głową.  
– I cerować skarpety?  
– Tak. – Kolejne gwałtowne łzawe skinienie.  
– I sprzątać?  
– Tak, tak, o tak!  
– Ale przecież kupiliśmy ten dom właśnie po to, by nie musieć niczego robić!  
– W tym rzecz. Czasem myślę, że nie ma tu dla mnie miejsca. Teraz to dom jest żoną, matką i opiekunką. Jak mam konkurować z afrykańską sawanną? Czy mogę wykąpać i umyć dzieci równie sprawnie i szybko jak automatyczna wanna? Nie mogę. I nie chodzi tylko o mnie. O ciebie także. Ostatnio stałeś się strasznie nerwowy.  
– Chyba za dużo palę.  
– Ty też wyglądasz, jakbyś nie wiedział, co ze sobą począć w tym domu. Co rano palisz trochę więcej, każdego popołudnia odrobinę więcej pijesz, każdej nocy potrzebujesz nieco większej dawki środka nasennego. Tak jak ja zaczynasz się czuć niepotrzebny.  
– Naprawdę? – Urwał, próbując wniknąć w siebie i przekonać się, co faktycznie czuje.  
– Och, George! – Jej wzrok powędrował ku drzwiom dziecinnego pokoju. – Te lwy nie mogą się stamtąd wydostać, prawda?

Spojrzał na drzwi i ujrzał, jak dygocą, zupełnie jakby coś skoczyło na nie od wewnątrz.

– Oczywiście, że nie – rzekł.

\* \* \*

Obiad zjedli sami, bo Wendy i Peter wybrali się do specjalnego plastikowego wesołego miasteczka po drugiej stronie miasta i przekazali przez wideofon, że się spóźnią i żeby nie czekać na nich z jedzeniem. George Hadley siedział w milczeniu, bezmyślnie patrząc, jak stół w jadalni wysuwa kolejne ciepłe potrawy ze swego mechanicznego wnętrza.

– Zapomnieliśmy o keczupie – rzekł.

– Przepraszam – rzekł cichy głos wewnątrz stołu i na blacie pojawił się keczup.

„A jeśli chodzi o dziecinny pokój – pomyślał Hadley – dzieciom nie zaszkodzi, jeśli rozstaną się z nim na jakiś czas. Grunt to nie przesadzić. Wyraźnie widać, iż zbyt wiele czasu poświęcają Afryce”. To słońce. Wciąż czuł je na karku niczym dotyk rozpalonej łąpy. I lwy. I ta woń krwi. Zdumiewające, jak dokładnie pokój wychwytywał telepatyczne przekazy z umysłów dzieci, tworząc życie zaspokajające ich wszelkie zachcianki. Dzieci pomyślały o lwach i pojawiły się lwy. Dzieci pomyślały o zebach i pojawiły się zebry. O słońcu – pojawiło się słońce. O żyrafach – żyrafy. O śmierci – śmierć.

Właśnie, śmierć. George odruchowo przeżuwał podawane mu przez stół mięso, zupełnie pozbawione smaku. Myśli o śmierci. Wendy i Peter są strasznie młodzi jak na myśli o śmierci. A może nie aż tak młodzi? Na to nigdy się nie jest za młodym. Zanim w ogóle dowiemy się, czym jest śmierć, już życzymy jej innym. Nawet dwulatki strzelają do ludzi z korkowców.

Ale to – ta rozległa gorąca sawanna i potworna śmierć w paszczach lwów... I do tego powtarzana raz po raz.

– Dokąd idziesz?

Nie odpowiedział Lydii. Zajęty własnymi myślami, nie zwracał uwagi na światła rozbłyskujące przed nim i gasnące za jego plecami, gdy wędrował korytarzem. Stał przed drzwiami

dziecinne go pokoju. W oddali ryczał lew. Przekreślił zamek i otworzył drzwi. Tuż przed tym, nim przekroczył próg, usłyszał odległy krzyk. A potem kolejny ryk lwów, który szybko umilkł.

Nagle znalazł się w sercu Afryki. Ileż to razy w ciągu ostatniego roku otwierał te drzwi, aby ujrzeć Krainę Czarów, Alicję, Niby Żółwia, Aladyna i jego czarodziejską lampę, Kubusia Dyniogłowego z Oz albo doktora Dolittle, albo krowę przeskakującą przez bardzo rzeczywisty księżyc – urocze rekwiizyty bajkowego świata. Ileż to razy śledził lot Pegaza na sufitowym niebie, oglądał fontanny czerwonych fajerwerków i słyszał chóry anielskich głosów. Ale teraz była tu tylko żółta gorąca Afryka, piec, w którego sercu płonęła żądza mordy. Może Lydia ma rację. Może dzieci powinny odpocząć od fantazji, która staje się nieco zbyt rzeczywista jak dla dziesięciolatków. Zwykle mrzonki to nic zdrożnego, ot, gimnastyka wyobraźni, kiedy jednak żywy dziecięcy umysł ugrzęźnie w jednym wzorcu...? George miał wrażenie, że przez ostatni miesiąc wciąż słyszał z daleka ryki lwów i czuł ich ostrą woń, przenikającą nawet do jego gabinetu. Był jednak zbyt zajęty, by zwracać na to uwagę.

Teraz stał samotnie na afrykańskiej sawannie. Pożerające ofiarę lwy uniosły głowy, obserwując go. Jedyłą skazą na doskonałej iluzji pozostawały otwarte drzwi, przez które, niczym w ramie obrazu, widział żonę; siedziała po drugiej stronie ciemnego korytarza, z roztargnieniem jedząc obiad.

– Idźcie sobie – polecił lwom.

Nie odeszły.

Dokładnie znał zasady działania pokoju. Trzeba tylko pomyśleć, a pojawi się to, co zechcemy.

– Daj Aladyna i jego lampę – warknął.

Sawanna pozostała na miejscu, podobnie lwy.

– No dalej, pokoju! Domagam się Aladyna!

Nic się nie stało. Zakute w rozgrzane futra lwy pomrukiwały cicho.

– Aladyna!

Wrócił do stołu.

– Ten durny pokój się zepsuł – rzekł. – Nie reaguje.

- A może...?  
- A może co?  
- A może nie jest w stanie zareagować – podsunęła Lydia – bo dzieci od tak dawna rozmyślają o Afryce, lwach i zabijaniu, że pokój się zaciął.  
- Albo Peter tak go nastawił.  
- Nastawił?  
- Mógł dostać się do maszyneryi i coś zmienić.  
- Peter nie zna się na maszynach.  
- Jest bardzo mądry jak na swoje dziesięć lat. Jego iloraz inteligencji...

- Mimo to...

- Cześć, mamó. Cześć, tato.

Hadleyowie odwrócili się. Wendy i Peter wchodzili właśnie frontowymi drzwiami. Policzki mieli zarumienione, ich oczy jaśniały chłodnym błękitnym blaskiem, kombinezony przenikał zapach ozonu – pozostałość po wycieczce helikopterem.

- Zdążyliście akurat na kolację – powiedzieli chórem rodzice.

- Najedliśmy się hot dogami i lodami truskawkowymi – odparły dzieci, trzymając się za ręce. – Ale posiedzimy z wami.

- Tak, opowiedzcie nam o dzieciennym pokoju – rzucił George Hadley.

Brat i siostra spojrzeli na niego ze zdumieniem i popatrzyli po sobie.

- Dziecinnym pokoju?

- O Afryce i w ogóle – dodał ojciec z fałszywą serdecznością.

- Nie rozumiem – odparł Peter.

- Wasza matka i ja podróżowaliśmy niedawno po Afryce z wędką i kołowrotkiem. Tom Swift i jego elektryczny lew – wyjaśnił George Hadley.

- W dziecinnym pokoju nie ma Afryki – rzucił z prostotą Peter.

- Daj spokój, Peter. Przecież wiemy.

- Nie pamiętam żadnej Afryki. – Peter zwrócił się do Wendy. – A ty?

- Nie.

- Biegnij i sprawdź.

Posłuchała.

– Wendy, wracaj tu! – zawołał George Hadley, córka jednak już odbiegła. Światła podążały za nią niczym stadko świetlików. Zbyt późno uświadomił sobie, że zapomniał zamknąć drzwi pokoju na klucz po ostatniej inspekcji.

– Wendy sprawdzi i wszystko nam powie – oznajmił Peter.

– Mnie nie musi mówić. Sam widziałem.

– Z pewnością się mylisz, ojczu.

– Bynajmniej, Peter. Chodź.

Ale Wendy zdążyła już wrócić.

– To nie Afryka – wydyszała.

– Przekonamy się – uciął George Hadley i wszyscy poszli korytarzem w stronę dzieciennego pokoju.

Wewnątrz czekał na nich piękny zielony las, cudowna rzeka, fioletowa góra, chór wysokich głosów i Rima, urocza i tajemnicza dziewczyna-ptak, przycupnięta na drzewie; stadka kolorowych motyli niczym ruchome bukiety przysiadły na jej długich włosach. Afrykańska sawanna zniknęła. Lwy zniknęły. Pozostała tylko Rima śpiewająca pieśń tak piękną, że na jej dźwięk łyż same napływały do oczu.

George Hadley przyjrzał się zmienionej scenerii.

– Do łóżek – poleciał.

Dzieci otwały usta.

– Słyszeliście – dodał.

Peter i Wendy weszli do powietrznej windy, z której wiatr porwał ich niczym suche liście przewodem do sypialni.

George Hadley przeciął rozśpiewaną polanę i podniósł coś, co leżało w kącie nieopodal miejsca, gdzie wcześniej widział lwy. Powoli podszedł do żony.

– Co to? – spytała.

– Mój stary portfel – odparł.

Pokazał go jej. Na skórze pozostał zapach rozgrzanej trawy i woń lwa. Były też na niej krople śliny, nosiła ślady zębów, a obie strony pokrywały plamy krwi.

Zamknął drzwi dziecięcego pokoju i starannie przekręcił klucz.

\* \* \*

W środku nocy wciąż nie mógł zasnąć, wiedział, że żona też nie śpi.

– Myślisz, że Wendy zmieniła scenę? – spytała w końcu.

– Oczywiście.

– Przełączyła sawannę na las i umieściła tam Rimę zamiast lwów?

– Tak.

– Czemu?

– Nie wiem, ale póki się nie dowiem, pokój pozostanie zamknięty.

– Skąd tam się wziął twój portfel?

– Nie mam pojęcia – odparł. – Zaczynam jednak żałować, że kupiliśmy ten pokój. Jeśli dzieci mają jakieś neurozy, podobne pomieszczenie...

– Ma im pomagać pozbyć się nerwic w najzdrowszy możliwy sposób.

– Zaczynam mieć wątpliwości. – Zapatrzył się w sufit.

– Daliśmy dzieciom wszystko, czego kiedykolwiek pragnęły. Czy tylko to dostaniemy w zamian: tajemniczość, nieposłuszeństwo?

– Kto to powiedział: „Dzieci są jak dywany: od czasu do czasu powinno się je przetrzepać”? Nigdy nie podnieśliśmy na nie ręki. Przyznajmy to otwarcie, są niezsnośne. Przychodzą i wychodzą, kiedy zechcą, traktują nas, jakbyśmy to my byli potomstwem. Są rozpuszczone, podobnie jak my.

– Zachowują się dziwnie od czasu, gdy kilka miesięcy temu zabroniłeś im polecieć rakieta do Nowego Jorku.

– Wyjaśniłem, że są na to jeszcze za młodzi.

– Mimo to zauważyłam, że od tego czasu traktują nas raczej chłodno.

– Chyba poproszę jutro Davida McCleana, aby przyszedł i obejrzał Afrykę.

– Ale przecież to już nie Afryka, tylko kraina z Green Mansions oraz Rima.

– Mam przeczucie, że wkrótce znów pojawi się Afryka.

Chwilę później usłyszeli krzyki. Dwa krzyki, dwoje ludzi

krzyczących na dole. A potem ryk lwów.

– Wendy i Peter nie śpią – zauważyła żona.

George leżał zasłuchany w bicie swego serca.

– Nie śpią – przytaknął. – Włamali się do dzieciennego pokoju.

– Te krzyki. Brzmiały znajomo.

– Naprawdę?

– Bardzo znajomo.

I choć łóżka dokładały wszelkich starań, przez następną godzinę dwoje dorosłych nie dało się ukołysać do snu. W nocnym powietrzu unosił się zapach kotów.

\* \* \*

– Ojczy? – zagadnął Peter.

– Tak?

Peter spuścił wzrok. Już od dawna nie patrzył na ojca i matkę.

– Nie zamkniesz chyba na dobre dzieciennego pokoju, prawda?

– To zależy.

– Od czego? – warknął Peter.

– Od ciebie i twojej siostry. Jeśli urozmaicie nieco tę waszą Afrykę, powiedzmy, dodacie Szwecję, Danię czy Chiny...

– Myślałem, że możemy bawić się tak, jak chcemy.

– Owszem, przestrzegając rozsądnych ograniczeń.

– Co ci się nie podoba w Afryce, ojczy?

– A zatem przyznajesz, że wywoływaliście Afrykę?

– Nie chciałbym, żebyś zamknął dziecienny pokój – oznajmił zimno Peter. – Nigdy.

– Szczerze mówiąc, zastanawiamy się nad wyłączeniem całego domu na jakiś miesiąc. Chcemy pożyć pełnią życia.

– To brzmi okropnie. Miałbym sam wiązać buty zamiast wiązaczki sznurówek? Własnoręcznie myć zęby, czesać włosy i się kąpać?

– Byłoby to całkiem zabawne, nie sądzisz?

– Nie, raczej okropne. Nie podobało mi się, kiedy w zeszłym roku wyłączyłeś automalarza.

– Chciałem, żebyś nauczył się malować.

– Nie chcę nic robić. Chcę tylko patrzeć, słuchać i wachać.



Czegóż więcej mi trzeba?

- W porządku. Idź, pobaw się w Afryce.
- Powiedz, wyłączysz dom?
- Rozważamy taką możliwość.
- Lepiej więc jej nie rozważajcie, ojcze.
- Mój syn nie będzie mi groził!
- Doskonale.

Peter odwrócił się i odszedł do dziecinnego pokoju.

\* \* \*

- Nie spóźniłem się? – spytał David McClean.  
- Śniadanie? – zaproponował George Hadley.  
- Dzięki, już jadłem. O co chodzi?  
- Davidzie, jesteś psychologiem.  
- Taką mam nadzieję.  
- Spójrz zatem na dziecinnie pokój. Oglądałeś go w zeszłym roku, kiedy do nas wpadłeś. Zauważyłeś wtedy coś szczególnego?

- Raczej nie. Zwykła przemoc połączoną z lekką paranoją. Często pojawia się ona u dzieci, bo bez wyjątku czują się prześladowane przez rodziców. Poza tym jednak nic ciekawego.

Ruszyli korytarzem.

- Zamknąłem pokój – wyjaśnił ojciec – ale dzieci włamały się do niego w nocy. Pozwoliłem im zostać, żeby wytworzyły wzory, które mógłbyś obejrzeć.

Z pokoju dobiegły przeraźliwe krzyki.

- Proszę – rzekł George Hadley. – Sam zobacz.

Bez pukania weszli do środka. Krzyki ucichły. Lwy pożerały zdobycz.

- Dzieci, wyjdźcie stąd na chwilę – polecił George. – Nie zmieniajcie kombinacji myślowej. Pozostawcie ściany w spokoju. Już!

Po odejściu dzieci obaj mężczyźni stanęli bez ruchu, przyglądając się zgromadzonym w dali lwom; pożerały z zapałem upolowane wcześniej ofiary.

- Chciałbym wiedzieć, co jedzą – mruknął George Hadley. –

Czasami niemal to dostrzegam. Jak myślisz, gdybym przyniósł silną lornetkę i...

David McClean zaśmiał się sucho.

– Raczej nie. – Odwrócił się, badając kolejno cztery ściany. – Od jak dawna to trwa?

– Nieco ponad miesiąc.

– Nie wygląda to dobrze.

– Chcę faktów, nie przeczuć.

– Mój drogi George'u, żaden psycholog w swym życiu nie dostrzegł ani jednego faktu. Wysłuchujemy tylko opinii o uczuciach; mętnych, nieokreślonych uwag. Mówię ci, to nie wygląda dobrze. Zaufaj moim przeczuciom i instynktowi. Mam nosa do takich rzeczy. Tu dzieje się coś bardzo złego. Radzę wyburzyć cały ten przeklęty pokój i przez następny rok co dzień przysyłać do mnie dzieci na terapię.

– Jest aż tak źle?

– Obawiam się, że tak. Pierwotnie stosowano takie pokoje do studiowania wzorców pozostawianych na ścianach przez umysł dziecka, spokojnego badania śladów, pozwalającego lepiej pomóc pacjentom. W tym przypadku jednak pokój zamiast uwolnić użytkowników od niszczących myśli, zaczęła je skupiać.

– Wcześniej tego nie wyczułeś?

– Czułem jedynie, że okropnie rozpuściłeś swoje dzieci, ale teraz je zawiodłeś. Jak?

– Nie pozwoliłem im lecieć do Nowego Jorku.

– I co jeszcze?

– Wyłączyłem kilka maszyn i miesiąc temu zagroziłem, że zamknę dziecienny pokój, jeśli nie zaczną odrabiać lekcji. Zrobiłem to zresztą na kilka dni, aby pokazać, że mówię poważnie.

– Aha.

– Czy to coś znaczy?

– Wszystko. Poprzednio mieli w domu Świętego Mikołaja, teraz mają skąpca. Dzieci wolą Mikołaja. Pozwoliłeś, by ten pokój i dom zastąpiły w ich sercach ciebie wraz z żoną. Pokój stał się ich matką i ojcem. Odgrywa w ich życiu znacznie większą rolę niż

prawdziwi rodzice. A teraz nagle zagroziłeś, że go wyłączysz. Nic dziwnego, że jest tu nienawiść. Promieniuje nawet z nieba. Czujesz to słońce? George, musisz zmienić wasze życie. Jak wielu innych ludzi zanadto skupiłeś się na wygodach. Gdyby jutro zepsuła ci się kuchnia, umarłbyś z głodu. Nie umiesz nawet rozbić jajka. Powinieneś wszystko wyłączyć. Zacząć od nowa. Trzeba na to czasu, ale w ciągu roku ze złych dzieci zrobimy grzeczne. Poczekaj, a zobaczysz.

– Czy jednak wstrząs towarzyszący wyłączeniu dzieciennego pokoju nie okaże się dla nich zbyt wielki?

– Nie chcę po prostu, by zagłębiały się w tę fantazję.

Lwy zakończyły swą krwawą ucztę.

Teraz stanęły na skraju łąki, obserwując obu mężczyzn.

– Ja także zaczynam czuć się prześladowany – rzucił McClean. – Chodźmy stąd. Nigdy nie podobały mi się te przeklęte pokoje. Denerwują mnie.

– Lwy wyglądają bardzo autentycznie, prawda? – spytał George Hadley. – To chyba niemożliwe...

– Co?

– ...żeby stały się prawdziwe?

– Oczywiście, że nie.

– Może uszkodzone maszyny, majstrowanie czy coś podobnego?

– Nie.

Podeszli do drzwi.

– Wątpię, by pokojowi spodobało się to, że zamierzam go wyłączyć – rzekł ojciec.

– Nikt nie chce umierać, nawet pokój.

– Ciekawe, czy mnie nienawidzi?

– Aż gęsto tu dziś od paranoi – odparł David McClean. – Można ją kroić nożem. A to co? – Schylił się i podniósł zakrwawioną chustkę. – Należy do ciebie?

– Nie. – Twarz George'a Hadleya zeszywniała. – Do Lydii.

Razem podeszli do skrzynki kontrolnej i przesunęli przełącznik, który zgasił dziecienny pokój.

Dzieci wpadły w histerię. Zaczęły wrzeszczeć, miotać się, ciskać przedmiotami. Krzyczały i szlochały, przeklinały, skakały po

meblach.

- Nie możecie tego zrobić dziecinnemu pokojowi! Nie możecie!
- Spokój, dzieci.

Chłopiec i dziewczynka padli na kanapę, zalewając się łzami.

- George - wtrąciła Lydia Hadley - włącz dziecinnie pokój tylko na parę minut. To zbyt wielki wstrząs. Nie możesz być tak okrutny.

- Lydio, pokój jest wyłączony i pozostanie wyłączony. Od tej chwili cały ten przeklęty dom będzie martwy. Im dłużej przyglądam się matni, w jaką się wpakowaliśmy, tym większy czuję wstręt. Zbyt długo byliśmy zapatrzeni we własne elektroniczne pęпки. Mój Boże, jak bardzo potrzeba nam wszystkim świeżego powietrza!

To rzekłszy, zaczął krążyć po domu, wyłączając gadające zegary, kuchenki, grzejniki, pucybutów, wiązaczki sznurówek, myjki, wycieraczki i masażystów. A także wszystkie inne maszyny, jakie tylko zdołał znaleźć.

Zdawało się, że dom zapełnił się trupami. Sprawiał wrażenie mechanicznego cmentarza, taki był cichy. Umilkł szum ukrytych maszyn, czekających, by włączyć je za naciśnięciem guzika.

- Nie pozwól im tego zrobić! - zawodził Peter, patrząc w sufit, jakby zwracał się do domu, do dziecinnego pokoju. - Nie pozwól ojcu wszystkiego zabić. - Odwrócił się do niego. - Nienawidzę cię!

- Wyzwiskami nic nie osiągniesz.
- Obyś umarł!

- Wszyscy byliśmy martwi, i to bardzo długo. Teraz dopiero naprawdę zaczniemy żyć. Miast poddawać się masażom i zabiegom pielęgnacyjnym, będziemy żyć pełnią życia.

Wendy wciąż płakała, Peter ponownie do niej dołączył.

- Tylko chwilkę, jedną chwilkę, jeszcze chwilkę w dziecinnym pokoju - szlochali.

- Och, George - wtrąciła żona - jedna chwila nie zaszkodzi.

- Już dobrze, dobrze, jeśli tylko się zamkną. Pamiętajcie, jedna minuta, a potem wyłączamy.

- Tatusiu, tatusiu! - zaśpiewały dzieci. Ich mokre od łez twarze

rozjaśniły szerokie uśmiechy.

– A potem wyjedziemy na wakacje. David McClean przyjedzie tu za pół godziny i zawiezie nas na lotnisko. Idę się ubrać. Lydio, włącz na minutę dziecinny pokój. Ale tylko na minutę, pamiętaj.

Gdy dzieci z matką odbiegły, gadając z podnieceniem, pozwolił prądowi powietrza wessać się na górę i zaczął się ubierać. Chwilę później zjawiała się Lydia.

– Ucieszę się, kiedy już stąd wyjedziemy – westchnęła.

– Zostawiłaś ich w dziecinnym pokoju?

– Też chciałam się ubrać. Och, ta paskudna Afryka. Co oni w niej widzą?

– Cóż, za pięć minut będziemy już w drodze do Iowa. Boże, czemu w ogóle kupiliśmy ten dom? Co sprawiło, że zafundowaliśmy sobie taki koszmar?

– Duma, pieniądze, głupota.

– Lepiej będzie, jeśli zejdziemy na dół, zanim dzieciaki znów zaczną się bawić z tymi wstrętnymi zwierzakami.

W tym momencie usłyszeli wołanie dzieci.

– Mamo, tato, chodźcie szybko, szybko!

Spłynęli na dół z prądem powietrza i pobiegli korytarzem. Nigdzie nie było ani śladu dzieci.

– Wendy, Peter!

Wbiegli do dziecinnego pokoju.

Sawanna była pusta – poza lwami, które patrzyły na przybyszów, zupełnie jakby na nich czekały.

– Peter, Wendy?

Drzwi zatrzęsnęły się.

– Wendy, Peter!

George Hadley i jego żona zawrócili gwałtownie i pobiegli ku drzwiom.

– Otwierajcie! – krzyknął George, naciskając klamkę. – Zamknęli nas od zewnątrz! Peter! – Rąbnął pięścią w drzwi. – Otwieraj!

Nagle usłyszał dobiegający z drugiej strony głos Petera.

– Nie pozwólcie im wyłączyć dziecinnego pokoju i domu – powiedział chłopak.

Pan i pani Hadleyowie dobijali się do drzwi.

– Dzieci, nie wygłupiajcie się. Już czas jechać. Pan McClean będzie tu za chwilę i...

I wówczas je usłyszeli.

Lwy skradające się z trzech stron w żółtej trawie sawanny, depczące suche źdźbła, z narastającym w gardłach głośnym pomrukiem.

Lwy.

Pan Hadley spojrzął na swoją żonę, oboje odwrócili się i popatrzyli wprost na zbliżające się wolno potężne bestie, przycupnięte, z naprężonymi ogonami.

Państwo Hadleyowie krzyknęli.

I nagle uświadomili sobie, czemu tamte wcześniejsze krzyki wydawały im się znajome.

\* \* \*

– No, jestem – oznajmił David McClean, stając w drzwiach dzieciennego pokoju. – Witajcie. – Spojrzął na dwójkę dzieci siedzących pośrodku łąki. Wyraźnie urządziły sobie piknik. Za nimi widniał wodopój i żółte sawanny. W górze świeciło gorące słońce. Zaczął się pocić. – Gdzie wasz ojciec i matka?

Dzieci uniosły wzrok i się uśmiechnęły.

– Zaraz tu będą.

– To dobrze, bo musimy jechać. – Pan McClean ujrzał w dali walczące i szarpiące coś pazurami lwy. Po chwili zwierzęta uspokoiły się, cicho pożerając łup w cieniu rozłożystych drzew.

Przyjrzał się im, mrużąc oczy i osłaniając twarz dłonią.

Teraz lwy skończyły posiłek i przeszły do wodopaju.

Po rozpalonym czole pana McCleana przemknął cień. Za nim podążyły następne. Z gorącego nieba opadały sępy.

W ciszy rozległ się głos Wendy.

– Może herbaty?

Człowiek Ilustrowany poruszał się we śnie. Za każdym razem, gdy się odwracał, pojawiał się kolejny obrazek, barwna plama na plecach, ramieniu, przegubie. Wyrzucił dłoń, wyprostował rękę, roztrącając suchą trawę. Palce rozgięły się i kolejna Ilustracja ożyła na jego dłoni. Przewrócił się na plecy i na jego piersi ukazała się czarna rozgwieżdżona przestrzeń. Pośród gwiazd coś się poruszało, spadało w czerń, leciało w dół, a ja patrzyłem...

## KALEJDOSKOP

Pierwszy wstrząs rozdarł bok rakiety niczym olbrzymi otwieracz do konserw. Ludzie zostali wyrzuceni w przestrzeń: tuzin podskakujących srebrnych ryb w mrocznym morzu. Tymczasem statek, rozbity na milion kawałków, leciał dalej – deszcz meteorów w poszukiwaniu straconego słońca.

– Barkley, Barkley, gdzie jesteś?

Głosy nawoływały niby dzieci zbłąkane w ciemnościach mroźnej nocy.

– Woode, Woode!

– Kapitanie!

– Hollis, Hollis, tu Stone.

– Stone, tu Hollis. Gdzie jesteś?

– Nie wiem. Skąd niby mam wiedzieć? Gdzie jest góra? Spadam. Dobry Boże, spadam.

Spadali jak garść kamyków ciśniętych w głąb studni. Rozsypani niczym kulki rzucone ręką giganta. Przestali być ludźmi, stając się tylko głosami – najróżniejszymi głosami, bezcielesnymi i namiętymi, w których dzwijała cała gama grozy i rezygnacji.

– Oddalamy się od siebie.

Rzeczywiście. Hollis, wirujący w przestrzeni, wiedział, że to prawda. Powoli zaczynał godzić się z sytuacją. Szybowali w przeciwnych kierunkach i nic nie mogło połączyć ich z powrotem. Mieli na sobie hermetyczne skafandry kosmiczne, ich blade twarze zasłaniały szklane walce, zabrakło im jednak czasu, żeby nałożyć moduły zasilające. Z nimi staliby się maleńkimi szalupami ratunkowymi w kosmosie. Mogliby uratować siebie samych i swych towarzyszy, tworząc ludzką wysepkę postępującą zgodnie z wytyczonym planem. Jednakże pozbawieni przypiętych do ramion modułów stali się jedynie bezmyślnymi meteorami zdążającymi ku swemu odrębnemu, nieodwracalnemu przeznaczeniu.



Upłynęło może dziesięć minut, podczas których początkowa panika minęła, zastąpiona chłodnym spokojem. W przestrzeni pojawiły się nici oderwanych głosów, krzyżujące się i łączące ze sobą, tworzące ostateczny wzór na wielkich mrocznych krosnach.

- Stone do Hollisa. Ile czasu możemy rozmawiać przez telefon?
- To zależy, jak szybko ty lecisz w swoją stronę, a ja w swoją.
- Pewnie jakąś godzinę.
- Najprawdopodobniej - zgodził się Hollis, wyciszony i obojętny.
- Co się stało? - spytał minutę później.
- Rakieta wybuchła, to wszystko. Rakiety wybuchają; to się zdarza.
- W którym kierunku lecisz?
- Wygląda na to, że uderzę w Księżyc.
- Mnie przypadła Ziemia. Z powrotem na starą matkę Ziemię, z prędkością dziesięciu tysięcy mil na godzinę. Spłonę jak zapałka.

Hollis myślał o tym z dziwną obojętnością, zupełnie jakby oderwał się od swego ciała i patrzył z daleka, jak pogrąża się coraz głębiej w przestrzeni. Równie beznamiętnie mógłby obserwować pierwsze płatki śniegu zwiastujące nadejście dawno minionej zimy.

\* \* \*

Pozostali milczeli, rozmyślając o losie, który sprowadził ich tu, aby spadali i spadali, nic nie mogąc na to poradzić. Nawet kapitan milczał, nie znał bowiem żadnych planów ani rozkazów, które mogłyby załodze pomóc.

- Tak daleko na dół. Jest tak daleko, daleko, daleko na dół - powiedział jakiś głos. - Nie chcę umierać, nie chcę umierać, jest tak daleko na dół.
- Kto to?
- Nie wiem.
- Chyba Stimson. Stimson, to ty?
- To tak daleko, daleko, a ja tego nie chcę. O Boże, nie chcę.

– Stimson, mówi Hollis. Stimson, słyszysz mnie?  
Chwila ciszy, podczas której oddalili się od siebie.

– Stimson?  
– Tak – odparł w końcu głos.

– Stimson, uspokój się; wszyscy tkwimy w tym samym bagnie.  
– Ja nie chcę. Chcę być gdzie indziej.  
– Może jeszcze nas znajdą.  
– Muszą mnie znaleźć! Muszą! – odparł Stimson. – To się nie dzieje. To się nie dzieje naprawdę.  
– To tylko zły sen – wtrącił ktoś.  
– Zamknij się! – rzucił Hollis.  
– Chodź i zmusz mnie! – odrzekł głos. To był Applegate. Roześmiał się lekko. – Chodź tu i zmusz mnie, żebym się zamknął.

Hollis po raz pierwszy poczuł, w jak nieznośnej sytuacji się znalazł. Wpadł w wielki gniew. Nagle ponad wszystko zapragnął coś zrobić Applegate’owi. Chciał tego od wielu lat, ale teraz było już za późno. Applegate stał się jedynie głosem w telefonie.

W dół, w dół, w dół...

\* \* \*

Później, jakby wreszcie uświadomili sobie grozę swojego położenia, dwaj mężczyźni zaczęli krzyczeć. W koszmarnej wizji Hollis ujrzał jednego z nich szubującego w pobliżu, wrzeszczącego bez opamiętania.

– Przestań!

Mężczyzna znalazł się niemal w zasięgu jego rąk; wciąż wrzeszczał jak potępieniec. Nigdy nie umilknie. Będzie wydierał się przez milion mil, dopóki pozostanie w zasięgu radia, przeszkadzając im wszystkim, uniemożliwiając jakąkolwiek rozmowę.

Hollis wyciągnął rękę. Tak będzie najlepiej. Z pewnym wysiłkiem chwycił kostkę mężczyzny i podciągnął się w górę. Tamten krzyczał i szarpał się rozpaczliwie niczym tonący pływak. Jego wrzask wypełniał wszechświat.

Tak czy inaczej, pomyślał Hollis, zginie, zabity przez Księżyc, Ziemię czy meteor. Czemu więc nie teraz?

Żelazną pięścią strzaskał szklaną maskę tamtego. Krzyki ucichły. Odepchnął się od trupa i spadał dalej, pozwalając, by ciało bezwładnie szybowało.

W dół i w dół. Hollis i pozostali spadali w głęboką, nieskończoną, wirującą otchłań ciszy.

– Hollis, jesteś tam?

Nie odpowiedział, poczuł jednak gorąco napływającej do twarzy krwi.

– Tu znów Applegate.

– W porządku, Applegate.

– Pogadajmy. Nie mamy nic innego do roboty.

W tym momencie włączył się kapitan.

– Wystarczy. Musimy znaleźć jakieś wyjście.

– Może byś się zamknął? – rzucił Applegate.

– Co takiego?

– Słyszałeś, kapitanie. Nie próbuj mnie zastraszyć. Dzieli nas dziesięć tysięcy mil i nie mamy się co oszukiwać. Jak to określił Stimson, jest tak daleko na dół.

– Posłuchaj, Applegate!

– Daj sobie spokój. Ogłaszam jednoosobowy bunt. Nie mam nic do stracenia. Twój statek był kiepski, a ty byłeś kiepskim kapitanem. Mam nadzieję, że roztrzaskasz się na Księżycu.

– Rozkazuję ci przestać!

– No dalej, porozkazuj mi jeszcze. – Applegate uśmiechnął się z odległości dziesięciu tysięcy mil. Kapitan milczał. Applegate podjął wątek. – Na czym to skończyliśmy, Hollis? A tak, pamiętam. Ja też cię nienawidzę, ale przecież to wiesz. Wiedziałeś od bardzo dawna.

Hollis bezradnie zacisnął pięści.

– Chciałem ci coś powiedzieć – dodał Applegate. – Uszczęśliwić cię. To ja głosowałem przeciwko twojemu przyjęciu do Kompanii Rakietowej pięć lat temu.

Tuż obok przemknął meteor. Hollis spojrział w dół i zobaczył, że jego lewa dłoń zniknęła. Trysnęła krew. Nagle ze skafandra uleciało powietrze. Zachował go jednak dość w płucach, by poruszyć prawą ręką i przekręcić gałkę na lewym łokciu,

zaciskając staw kombinezonu i zamykając przeciek. Wszystko zdarzyło się tak szybko, że nawet nie zdążył się zdziwić. Nic go już nie zaskakiwało. Po uszczelnieniu przecieku poziom powietrza w skafandrze natychmiast wrócił do normy, a kiedy mocniej przekręcił gałkę, tworząc opaskę uciskową, krew także przestała płynąć.

Cały czas zachowywał milczenie. Tymczasem pozostali gawędzili ze sobą. Jeden z nich, Lespere, rozwodził się nad swymi żonami na Marsie, Wenus i Jowiszu, pieniędzmi, cudownymi przeżyciami, pijaństwem, hazardem, szczęściem. Gadał tak i gadał, podczas gdy spadali. Lespere, szczęśliwy, wspominał przeszłość, zmierzając ku śmierci.

\* \* \*

Wszystko było takie dziwne. Tysiące mil przestrzeni i te głosy wibrujące w samym jej sercu. Niewidocznych ludzi łączyły jedynie drżące fale radiowe, próbujące pobudzić w nich wygasłe emocje.

– Jesteś zły, Hollis?

– Nie.

I rzeczywiście nie był. Powróciła obojętność. Stał się bryłą martwego betonu, spadającą w nicość.

– Całe życie pragnąłeś dotrzeć na szczyt, Hollis. Zawsze zastanawiałeś się, co się nie udało. To ja zagłosowałem na nie – tuż przed tym, nim mnie także wyrzucili.

– To już nieważne – odrzekł Hollis.

Istotnie, wszystko odeszło. Kiedy życie się kończy, jest jak mignięcie barwnego filmu, ułamek sekundy na ekranie – wszystkie niechęci i namiętności skoncentrowane i przez moment płonące w przestrzeni, i zanim człowiek zdąży krzyknąć: „Oto szczęśliwy dzień, oto nieszczęśliwy, oto zła twarz, a to dobra!”, z filmu zostaje jedynie popiół, ekran ciemnieje.

Kiedy spoglądał wstecz z owej granicy życia, żałował tylko jednego, tylko jednego pragnął: żyć dalej. Czy wszyscy umierający ludzie czują się tak, jakby nigdy nie żyli? Czy życie zdaje im się krótkie, skończone, nim zdążą choć raz odetchnąć?

Czy wszystkim wydaje się równie ulotne i niesamowite, czy też tylko on tak myśli, lecąc w przestrzeni, wiedząc, że zostało mu jedynie kilka godzin rozważań?

Jeden z ich grona, Lespere, wciąż mówił.

– Dobrze sobie żyłem. Miałem żonę na Marsie, Wenus i Jowiszu. Żadnej z nich nie brakło pieniędzy. Traktowały mnie wspaniale. Tęgo piłem i raz przegrałem dwadzieścia tysięcy dolarów.

Ale teraz jesteś tutaj, pomyślał Hollis. Ja nie miałem żadnej z tych rzeczy. Kiedy jeszcze żyłem, zazdrościłem ci, Lespere. Gdy jeszcze miałem przed sobą przyszłość, z zawiścią słuchałem o twoich kobietach i zabawach. Kobiety mnie przerażały. Wyruszyłem w przestrzeń, wciąż ich pragnąc i zazdroszcząc ci tego, że miałaś wszystko: kobiety, pieniądze i tyle szczęścia, ile tylko zdołałaś dla siebie wyrwać. Lecz teraz, spadając, gdy wszystko już odeszło, nie czuję zazdrości, bo twoje życie także minęło, zupełnie jakby nigdy go nie było.

Hollis wyciągnął szyję i krzyknął do telefonu:

– Wszystko minęło, Lespere!

Cisza.

– To już koniec, zupełnie jakby nigdy nie istniało, Lespere.

– Kto to? – Głos Lespere'a się załamał.

– Tu Hollis.

Był zły. Czuł bezsensowną złość. Applegate sprawił mu ból. Teraz on pragnął komuś sprawić ból. Applegate i kosmos, obaj go zranili.

– Jesteś tutaj, Lespere. Wszystko odeszło. Zupełnie jakby nigdy się zdarzyło, prawda?

– Nie.

– Gdy wszystko się kończy, jest tak, jakby nigdy nie miało miejsca. W czym teraz twoje życie jest lepsze od mojego? Liczy się tylko obecna chwila. Czy jest lepsze? Jest?

– Owszem, jest lepsze.

– Jak?

– Bo mam swoje wspomnienia, pamiętam! – wykrzyknął Lespere z oddali, przyciskając oburącz do piersi szczęśliwe myśli.

I miał rację. Hollis pojął to nagle, zupełnie jakby ktoś oblał go

lodowatą wodą. Marzenia i wspomnienia to nie to samo. On mógł jedynie marzyć o rzeczach, których pragnął dokonać, podczas gdy Lespere mógł wspominać swoje osiągnięcia. Świadomość ta zaczęła drążyć mu umysł z powolną, nieznosną precyzją.

– I co ci z nich przyjdzie?! – krzyknął do Lespere’a. – Po co ci one teraz? Kiedy coś się kończy, nic już po tym. Nie jest ci lepiej niż mnie.

– Spoczywam w pokoju – odparł Lespere. – Przeżyłem już, co moje. Nie robię się złośliwy tak jak ty.

– Złośliwy? – Hollis obracał to słowo w ustach.

Odkąd pamiętał, nigdy nie był złośliwy, całe życie nie śmiał być złośliwy. Musiał chyba oszczędzać się przez te wszystkie lata, czekając na podobny moment. Złośliwy? Słowo to odbiło się echem w głębi jego umysłu. Poczuł, jak do oczu napływają mu łzy i ściekają po policzkach. Ktoś musiał usłyszeć jego cichy szloch.

– Spokojnie, Hollis.

Oczywiście było to idiotyczne. Zaledwie minutę wcześniej udzielał rad pozostałym, Stimsonowi; czuł odwagę i sądził, że jest prawdziwa, teraz jednak pojął, że to jedynie wstrząs i zrodzona z szoku obojętność. W ciągu kilku minut usiłował uwolnić tłumione całe życie emocje.

– Wiem, jak się czujesz, Hollis – rzekł Lespere, oddalony o dwadzieścia tysięcy mil. Jego głos powoli cichł. – To nic osobistego.

Ale czyż nie jesteśmy równi?, zastanawiał się Hollis. Lespere i ja? Tutaj, teraz? Jeśli coś się skończyło, to było, minęło. Co nam po tym? I tak umrzemy. Wiedział, że oszukuje sam siebie, zupełnie jakby próbował odróżnić człowieka żywego od martwego. W jednym tliła się jeszcze iskra, w drugim nie.

Tak samo przedstawiała się sprawa z nim i z Lespere’em. Lespere żył pełnią życia – dzięki temu stał się teraz innym człowiekiem – a on, Hollis, od wielu lat był już praktycznie martwy. Zmierzali ku śmierci odrębnymi ścieżkami, i jeżeli w ogóle istnieją rozmaite rodzaje śmierci, to w ich przypadku będą one różnić się od siebie niczym noc od dnia. Śmierć, podobnie jak życie, musi występować w niezliczonej ilości

odmian, i jeśli ktoś raz już umarł, czego jeszcze mógłby się spodziewać po ostatecznym rozstaniu z życiem, które go teraz czekało?

Sekundę później odkrył, że coś odcięło mu prawą stopę. O mało nie wybuchnął śmiechem. Powietrze znów uleciało ze skafandra. Schylił się szybko i ujrzał krew; meteor urwał ciało i kombinezon aż do kostki. Och, śmierć w kosmosie była taka zabawna. Rozczłonkowszywała człowieka, kawałek po kawałku, niczym czarny niewidzialny rzeźnik. Hollis zacisnął zawór kolanowy; w głowie wirowało mu z bólu, z trudem zachowywał przytomność. A potem, gdy zakręcił zacisk, zatamował upływ krwi i zatrzymał powietrze, wyprostował się, by dalej spadać i spadać, bo w końcu tylko to mu pozostało.

– Hollis?

Sennie skinął głową, zmęczony czekaniem na śmierć.

– Tu znów Applegate – oznajmił głos.

– Tak?

– Przemyślałem to. Posłuchałem cię. Tak nie powinno być. Przez to wszyscy źle wyglądamy. To niedobra śmierć. Pozostawia po sobie niesmak. Słuchasz mnie, Hollis?

– Tak.

– Skłamałem. Minutę temu skłamałem. Nie głosowałem przeciw tobie. Nie wiem, czemu to powiedziałem. Chyba chciałem cię zranić. Wydawałeś się idealną ofiarą. Zawsze się kłóciliśmy. Chyba nagle zacząłem się starzeć i zapragnąłem się poprawić. Słuchanie twoich złościwości zawstydziło mnie. W każdym razie chcę, żebyś wiedział, że też zachowałem się jak idiota. W moich słowach nie było ani krzty prawdy. Do diabła z tobą.

Hollis poczuł, że jego serce znów zaczęło pracować. Miał wrażenie, iż zatrzymało się na pięć minut, teraz jednak wszystkie kończyny znów nabrały barwy i ciepła. Szok minął. Podobnie kolejne wstrząsy gniewu, grozy i samotności. Czuł się jak człowiek, który rankiem wychodzi spod lodowatego prysznica, gotowy zjeść śniadanie i zmierzyć się z nadchodzącym dniem.

– Dzięki, Applegate.

– Nie ma sprawy. Wypchaj się, draniu.

– Hej! – wtrącił Stone.

– Co się stało?! – zawołał Hollis poprzez przestrzeń, Stone bowiem z całej grupy był jego najlepszym przyjacielem.

– Wleciałem w rój meteorów, małych asteroid.

– Meteorów?

– To chyba rój Myrmonidów, który co pięć lat wymija Marsa i kieruje się w stronę Ziemi. Jestem w samym środku. Zupełnie jak w wielkim kalejdoskopie. Widać tu najprzeróżniejsze barwy, kształty, postaci. Boże, jakie to piękne. Metalowe cuda.

Cisza.

– Lecę z nimi – oznajmił Stone. – Unoszą mnie ze sobą. Niech mnie licho. – Roześmiał się.

Hollis wyczuł wzrok, nic jednak nie zobaczył. Wokół widział jedynie wielkie brylanty, szafiry i szmaragdowe mgły, rozrzucone na czarnym aksamicie kosmosu, gdzie głos Boga rozbrzmiewa pośród kryształowych ogni. Obraz Stone'a odlatującego z rojem meteorów, by co pięć lat mijać Marsa i powracać ku Ziemi, krążyć wokół planety przez milion następných stuleci, miał w sobie coś cudownego. Stone i rój Myrmonidów, wieczny, nieskończony, stale zmieniający się niczym obrazki w długiej rurze kalejdoskopu unoszonego dłońmi dziecka ku słońcu.

– Żegnaj, Hollis. – Głos Stone'a był bardzo słaby. – Żegnaj.

– Powodzenia! – krzyknął Hollis poprzez trzydzieści tysięcy mil.

– Nie bądź śmieszny – odparł Stone i umilkł.

Gwiazdy zamknęły się wokół niego.

Teraz wszystkie głosy cichły. Każdy podążał własną trajektorią, część na Marsa, inni w głęboką przestrzeń. A Hollis... Spojrzał w dół. Z całej grupy tylko on jeden zmierzał ku Ziemi.

– Żegnajcie.

– Tylko spokojnie.

– Żegnaj, Hollis. – To był Applegate.

Tak wiele słów. Krótkie pożegnania. Wielki rozproszony umysł zaczął się rozpadać. Jego składniki, współdziałające z taką skutecznością w czasce rakiety mknącej przez przestrzeń, kolejno obumierały. Sens ich wspólnego życia się rozmywał. I tak



jak ginie ciało, gdy mózg przestaje funkcjonować, podobnie duch statku, doświadczenie wspólnych dni i to, co ich łączyło, teraz ginęło. Applegate był jedynie palcem oderwanym od ciała, nie konkurentem, obiektem pogardy. Mózg eksplodował i pozbawione celu bezużyteczne fragmenty posypały się na wszystkie strony. Głosy umilkły. W kosmosie zapadła cisza. Hollis była sam. Spadał.

Wszyscy byli sami. Ich głosy zamarły niczym echa słów Boga, wypowiedzianych i wibrujących w rozgwieżdżonej pustce. Oto kapitan mknący na Księżyc; Stone podążający z rojem meteorów; Stimson i Applegate zmierzający w stronę Plutona; Smith, Turner i Underwood oraz cała reszta – rozrzucone drobiny z kalejdoskopu, które tak długo układały się w rozumne wzorce.

A ja? – pomyślał Hollis. Co mam robić? Czy mógłbym jakoś odpokutować za moje strasznie puste życie? Gdybym tylko zdołał dokonać czegoś dobrego, by zrównoważyć złość, którą zbierałem w sobie przez te wszystkie lata, nie wiedząc nawet, że tkwi we mnie! Ale nie ma tu nikogo poza mną, a jak można samemu czynić dobro? To niemożliwe. Jutro wieczorem wejdę w atmosferę Ziemi.

Splonę, a moje popioły rozsypią się nad kontynentami. Na coś się jednak przydam. Niewiele tego, ale popiół to popiół i użyźnia glebę.

Spadał szybko niczym pocisk, kamyk, żelazny ciężar, obojętny i obiektywny, nie smutny, szczęśliwy czy poruszony, lecz marząc jedynie, by uczynić jeszcze coś dobrego, teraz, gdy wszystko minęło, coś dobrego, o czym wiedziałby wyłącznie on sam.

Kiedy wejdę w atmosferę, splonę jak meteor.

– Ciekawe – rzekł głośno – czy ktoś mnie zobaczy?

\* \* \*

Chłopczyk na wiejskiej drodze uniósł głowę i krzyknął:

– Mamo, mam, popatrz! Spadająca gwiazda!

Na mrocznym niebie Illinois rozbłysła biała iskra.

– Pomyśl jakieś życzenie – odparła matka. – Pomyśl życzenie.

Człowiek Ilustrowany odwrócił się w blasku księżyca. Po chwili  
znow się przekręcił... i znowu... i znowu...

## NA WOZIE

Gdy usłyszeli nowiny, wyszli z restauracji, kawiarni i hoteli i spojrzeli w niebo. Unieśli ciemne dłonie, osłaniając błyskające białkami oczy, otwarli usta. W to gorące południe w promieniu tysięcy mil we wszystkich małych miasteczkach ciemni ludzie stali nad swymi cieniami, spoglądając w niebo.

Krzążąca się w kuchni Hattie Johnson nakryła garnek z gotującą się zupą, wytarła smukłe palce w ścierkę i wolnym krokiem przeszła na tylną werandę.

– Szybciej, mammo!

– Mammo, chodź, spóznisz się!

– No, mammo!

Trzej mali rozkrzyczani murzyńscy chłopcy tańczyli niecierpliwie na zakurzonej podwórku, krzycząc bez ustanku i co chwila oglądając się w stronę domu.

– Już idę – rzekła Hattie, otwierając siatkowe drzwi. – Gdzie usłyszeliście tę plotkę?

– U Jonesa, mammo. Mówią, że nadlatuje rakietą, pierwsza od dwudziestu lat. A w środku jest biały człowiek!

– Co to jest biały człowiek? Nigdy takiego nie widziałem.

– Przekonasz się – odrzekła Hattie. – O tak, przekonasz się.

– Opowiedz nam o nim, mammo. Powiedz, jak to było.

Hattie zmarszczyła brwi.

– Minęło dużo czasu. Byłam wtedy małą dziewczynką. To się działo w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku.

– Opowiedz nam o białym człowieku, mammo!

Matka stanęła wśród nich na podwórku, spoglądając w błękitne czyste marsjańskie niebo, po którym wędrowały małe białe marsjańskie chmury. W oddali marsjańskie wzgórza smażyły się w skwarze.

– Cóż – powiedziała w końcu. – Przede wszystkim mają białe dłonie.

– Białe dłonie! – powtórzyli chłopcy z rozbawieniem, klepiąc się po plecach.

– I białe ręce.

– Białe ręce! – zawołali chłopcy.

– I białe twarze.

– Białe twarze! Naprawdę?

– Takie białe, mamó? – Najmniejszy z chłopców obsypał swą twarz pyłem i kichnął. – Podobne?

– Jeszcze bielsze – odparła z powagą i ponownie zwróciła wzrok ku niebu. W jej oczach krył się niepokój, jakby wyglądała burzowej chmury i martwiła się, że jej nie dostrzeża. – Może lepiej wejdźcie do środka.

– Och, mamó! – Spojrzeli na nią z niedowierzaniem. – Musimy to zobaczyć! Musimy! Przecież nic się nie stanie, prawda?

– Nie wiem. Mam złe przeczucie.

– Chcemy tylko zobaczyć statek i może pobiec do portu i popatrzeć na białego człowieka. Jaki on jest, mamó?

– Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Powoli pokręciła głową.

– Opowiedz nam jeszcze.

– No cóż, biali ludzie żyją na Ziemi, w miejscu, z którego wszyscy przybyliśmy dwadzieścia lat temu. Po prostu odeszliśmy, poleciliśmy na Marsa i tu osiedliśmy. Tutaj zbudowaliśmy nasze miasta i wciąż tu mieszkamy. Teraz jesteśmy Marsjanami, nie ludźmi z Ziemi. A przez cały ten czas nie przyleciał tu żaden biały człowiek. Oto cała historia.

– Czemu nie przylecieli, mamó?

– Bo tuż po tym, jak tu przybyliśmy, na Ziemi wybuchła wojna atomowa. Strasznie wszystko powysadzali. Zapomnieli o nas. Kiedy skończyli walczyć, po latach, nie mieli już żadnych rakiet. Dopiero teraz zbudowali nowe, no i przybywają z wizytą. Dwadzieścia lat później. – Spojrzała tępo na dzieci, po czym ruszyła naprzód. – Zaczekajcie tutaj, skoczę tylko do Elizabeth Brown. Obiecujecie, że nigdzie nie pójdziecie?

– Nie chcemy, ale zostaniemy.

– W porządku zatem. – I odbiegła drogą.

Gdy dotarła do Brownów, ujrzała, jak cała rodzina pakuje się do samochodu.

– Witaj, Hattie! Jedź z nami.

– Dokąd się wybieracie? – wykrztusiła zdyszana.

– Zobaczyć białego człowieka!

– Owszem – dodał z powagą pan Brown, szerokim gestem wskazując wszystkich pasażerów. – Te dzieci nigdy nie widziały białego, a ja niemal zapomniałem, jak wygląda.

– Co zamierzacie zrobić z tym białym człowiekiem? – spytała Hattie.

– Zrobić? Ależ po prostu na niego popatrzeć.

– Na pewno?

– Co jeszcze moglibyśmy zrobić?

– Nie wiem – przyznała Hattie – ale boję się kłopotów.

– Jakich kłopotów?

– No wiecie. – Hattie wyraźnie się zakłopotowała. – Nie zamierzacie chyba go zlinczować?

– Zlinczować? – Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Pan Brown klepnął się w kolano. – Ależ skąd, moje dziecko! Chcemy uścisnąć mu rękę. Nieprawdaż?

– Jasne, jasne!

Z naprzeciwka nadjechał nagle drugi samochód i Hattie wykrzyknęła:

– Willie!

– Co ty tu robisz?! Gdzie dzieci?! – zawołał gniewnie jej mąż, patrząc ponuro na zebranych. – Jedziecie tam jak banda idiotów, żeby obejrzeć, jak ląduje?

– Na to wygląda – zgodził się pan Brown, z uśmiechem kiwając głową.

– Lepiej zabierzcie strzelby – rzucił Willie. – Właśnie jadę do domu po swoją.

– Willie!

– Wsiadaj do wozu, Hattie.

Stanowczym gestem otworzył drzwi, nie spuszczając z niej wzroku, póki nie posłuchała. Bez słowa pożegnania ruszył naprzód, pędząc zakurzoną drogą.

– Willie, nie tak szybko.

– Nie tak szybko? Jeszcze zobaczymy. – Patrzył, jak droga umyka spod kół. – Jakim prawem przylatują tu tak późno? Czemu nie zostawią nas w spokoju? Dlaczego nie powysadzają się w powietrze w starym świecie i nie pozostawiają nas tutaj?

– Willie, to nie po chrześcijańsku.

– Nie czuję się chrześcijaninem. – Z wściekłością zacisnął dłonie na kierownicy. – Jestem zły. Po tych wszystkich latach, po tym, co zrobili naszym: mojej mamie i ojcu, twojej mamie i ojcu, pamiętasz? Pamiętasz, jak powiesili mojego ojca na wzgórzu Knockwood i zastrzelili moją matkę? Pamiętasz? A może zawodzi cię pamięć, tak jak pozostałych?

– Pamiętam – odparła.

– Pamiętasz doktora Phillipsa i pana Burtona, ich wielkie domy, zmywalnię mojej matki i to, jak tato pracował aż do starości, by w podzięce doktor Phillips i pan Burton go powiesili? Cóż – dodał Willie – teraz kto inny jest na wozie. Jeszcze zobaczymy, komu ograniczy się prawa, kogo zlinczuje, kto będzie jeździł z tyłu wagonów i siedział w ostatnich rzędach w teatrze. Poczekaj, a zobaczysz.

– Och, Willie, to brzmi groźnie.

– Wszyscy rozmyślali o tym dniu, wierząc, że nigdy nie nadejdzie. Zastanawiali się, co by było, gdyby na Marsa przybył biały człowiek. Teraz jednak ten dzień nastał i nie możemy przed nim uciec.

– Nie chcesz pozwolić, by biali ludzie tu zamieszkali?

– Ależ nie. – Uśmiechnął się, był to jednak złowrogi uśmiech. Z jego oczu wyglądało szaleństwo. – Mogą tu przybyć, zamieszkać i pracować. Nie ma sprawy. Wystarczy tylko, by osiedli w swej małej dzielnicy, w slumsach, czyścili nam buty, zamiatali śmieci i siadali w ostatnim rzędzie na balkonie. Tylko o to prosimy. A co tydzień powiesimy jednego czy dwóch. Proste.

– To brzmi nieludzko i mi się nie podoba.

– Będiesz musiała przywyknąć. – Gwałtownie zahamował przed domem i wyskoczył z samochodu. – Znajdź moje strzelby i kawał sznura. Załatwimy to jak należy.

– Och, Willie! – jęknęła, nie ruszając się z miejsca, podczas gdy on wbiegł po schodach i trzasnął frontowymi drzwiami.

Po chwili niechętnie poszła za nim. Will miotał się na strychu, przeklinając jak szalenciec, póki nie znalazł trzech, czterech strzelb. Hattie ujrzała w mroku jedynie złowrogi błysk metalu; jej mąż był tak ciemny, że w ogóle go nie widziała. Słyszała tylko przekleństwa. W końcu z klapy w suficie wynurzyły się jego długie nogi otoczone chmurą kurzu. Z ponurą, zaciętą, przepełnioną goryczą twarzą zaczął wyciągać mosiężne naboje, dmuchać w komory strzelby i kolejno je ładować.

– Mogli zostawić nas w spokoju – mamrotał. Jego ręce bezładnie gestykulowały. – Czemu nie zostawili nas w spokoju?

– Willie, Willie.

– I ty też.

Spojrzał na nią wrogo. Nienawiść w jego oczach dotknęła ją do głębi.

Za oknem chłopcy przekomarzali się:

– Białe jak mleko, tak powiedziała. Białe jak mleko.

– Białe jak ten stary kwiatek, widzisz?

– Białe jak kamień, jak kreda w szkole.

Willie wypadł z domu.

– Dzieci, chodźcie do środka. Zamykam was. Nie będziecie oglądać białego człowieka ani o nim rozmawiać. Nic nie zrobicie. Chodźcie już.

– Ależ, tato...

Wepchnął ich do środka, po czym wyniósł na dwór z garażu kubeł farby i szablon oraz wielki zwój grubej, włochatej liny. Ani na moment nie odrywając wzroku od nieba, starannie zawiązał na jej końcu stryczek.

Po chwili znów znaleźli się w samochodzie, pozostawiając za sobą długi tuman kurzu.

– Zwolnij, Willie.

– Nie czas na wolną jazdę – odparł. – Nadeszła pora na pośpiech, więc się śpieszę.

Wszędzie wzdłuż drogi ludzie spoglądali w niebo, wsiadali do samochodów albo już jechali. Z niektórych wozów sterczały

grube lufy niczym teleskopy dostrzegające całe zło kończącego się świata.

Hattie spojrzała na broń.

– Rozmawiałeś z nimi – rzuciła oskarżycielsko.

– Owszem. – Skinął głową. Z gniewną miną obserwował drogę. – Zatrzymałem się w każdym domu i powiedziałem im, co mają robić. Kazałem, żeby przywieźli broń, farbę i sznury. I żeby byli gotowi. No i jesteście. Komitet powitalny, który wręczy przybyszom klucze do miasta. O tak!

Hattie zacisnęła szczupłe czarne dłonie, starając się pozbyć dręczącego ją uczucia przerażenia. Czuła, jak wóz podskakuje i przechyla się na boki, wymijając inne samochody, słyszała głosy krzyczące: „Hej, Willie, spójrz!”; czyjeś ręce unosiły liny i strzelby, wargi uśmiechały się do nich w pędzie.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Willie, naciskając hamulec.

Samochód przystanął w kłębach kurzu. Zapadła cisza. Willie kopniakiem otworzył drzwi i obładowany bronią wysiadł, wlokąc swój bagaż po łące lotniska.

– Myślałeś nad tym, Willie?

– Od dwudziestu lat nie robiłem nic innego. Skończyłem szesnaście, gdy opuściliśmy Ziemię, i cieszyłem się, że wyjeżdżam. Tamten świat nie mógł nam niczego dać. Ani mnie, ani tobie, ani innym. Nigdy nie żałowałem. Tu mieliśmy spokój. Po raz pierwszy naprawdę odetchnęliśmy. A teraz chodź.

Zaczął przepychać się przez tłum, który wyszedł mu na spotkanie.

– Willie, Willie, co zrobimy? – pytali ludzie.

– Masz tu strzelbę – rzekł. – Ty też. I jeszcze jedną. – Rozdając broń, dosłownie wpychał ją ludziom w ręce. – Masz pistolet. A ty dubeltówkę.

Wszyscy tłoczyli się tak blisko siebie, że wyglądali jak jedno wielkie ciało o tysiącu rąk wyciągających się po broń.

– Willie, Willie...

Jego żona stała obok, wysoka, milcząca. Zaciskała pełne wargi, a jej wielkie oczy wzbierały łzami.

– Przynieś farbę – polecił jej Willie.



Posłusznie przytaszczyła galon żółtej farby; w tej właśnie chwili nadjechał tramwaj. Widniał na nim świeżo wymalowany napis: DO ŁĄDOWISKA BIAŁEGO CZŁOWIEKA. Ze środka wysypała się gromada rozgadanych ludzi, którzy pobiegli przez łąkę, potykając się i unosząc wzrok. Kobiety niosły piknikowe kosze, mężczyźni mieli na sobie koszule z krótkimi rękawami i słomkowe kapelusze. Tramwaj stał, pomrukując, zupełnie pusty. Willie wsiadł do środka, postawił puszkę, otworzył, zamieszał farbę, sprawdził pędzel, wyciągnął szablon i wdrapał się na siedzenie.

– Hej tam! – Tuż za nim pojawił się nagle konduktor, pbrzękując drobnymi monetami. – Co ty wyprawiasz? Złaż stamtąd!

– Widzisz, co wyprawiam. Uspokój się.

I Willie zaczął kreślić farbą litery. Najpierw wymalował D, potem L i A, niezwykle dumny ze swojego dzieła. A kiedy skończył, konduktor zmrużył oczy i odczytał połyskujące żółtym kolorem słowa: DLA BIAŁYCH: PRZEDZIAŁ Z TYŁU. Odczytał ponownie. DLA BIAŁYCH: PRZEDZIAŁ Z TYŁU. Konduktor spojrział na Williego i uśmiechnął się szeroko.

– To ci odpowiada? – spytał Willie, zeskakując na ziemię.

– Całkowicie, proszę pana – odparł konduktor.

Hattie przyglądała się z zewnątrz napisowi, przyciskając dłoń do piersi.

Willie wrócił do reszty zebranych. Tłum tymczasem gęstniał, powiększając się o kolejne grupki ludzi wyskakujących z samochodów i tramwajów, przybywających z piskiem z pobliskiego miasta.

Mężczyzna wdrapał się na skrzynkę.

– Wyznamy delegatów, którzy w ciągu godziny pomalują wszystkie tramwaje. Są ochotnicy?

Uniesione ręce.

– Ruszajcie.

Poszli.

– Wyznamy grupę, która oddzieli linią ostatnie dwa rzędy w teatrze przeznaczone dla białych.

Kolejne ręce.

– Idźcie.  
Odbiegli.

Willie rozejrzał się, zlany potem i zdyszany, dumny ze swojej energii; jego dłoń spoczywała na ramieniu żony, która stała obok, wbijając wzrok w ziemię.

– Pomyślmy – rzekł. – A tak, musimy jeszcze dziś przyjąć nowe prawo. Żadnych mieszanych małżeństw!

– Słusznie – odpowiedziały mu liczne głosy.

– Wszyscy pucybuci jeszcze dziś rzucają pracę.

Część mężczyzn natychmiast cisnęła na ziemię szmaty, które w podnieceniu przynieśli ze sobą.

– Musimy określić minimalną płacę.

– Jasne!

– Zapłacimy tym białym najwyżej dziesięć centów za godzinę.

– O tak!

Nagle podbiegł do niego burmistrz.

– Słuchaj, Willie Johnsonie. Złaż z tej skrzynki!

– Burmistrzu, nie możesz mnie do tego zmusić.

– Wywołasz zamieszki, Willie Johnsonie.

– Taki mam zamiar.

– Robisz to samo, czego nienawidziłeś jako dziecko. Nie jesteś lepszy niż część tych białych, o których mówisz.

– My jesteśmy na wozie, burmistrzu, a oni pod wozem – odparł Willie, nie patrząc nawet na swego rozmówcę, lecz na ludzi w dole.

Część z nich uśmiechała się, inni obserwowali go z powątpiewaniem, jeszcze inni byli wyraźnie oszołomieni; niektórzy oddalali się z lękiem.

– Pożałujesz tego – rzekł burmistrz.

– Zorganizujemy wybory i wybierzemy nowego burmistrza – warknął Willie.

I zerknął w stronę miasta, gdzie z każdą minutą pojawiały się świeżo wymalowane szyldy: **OBSŁUGA OGRANICZONA: REZERWUJE SIĘ PRAWO ODMOWY OBSŁUŻENIA KLIENTA.** Uśmiechnął się szeroko i klasnął w dłonie. Boże! Zatrzymywano też tramwaje i malowano tylną część wagonów na biało,

sugerując, dla kogo ma być przeznaczona. Chichoczący mężczyźni najeżdżali kolejne teatry, ograniczając linami sektory, podczas gdy ich żony stały zamyślane na chodnikach, a dzieci zapędzono do domów, by w ukryciu przeczekały tę paskudną chwilę.

– Jesteśmy gotowi?! – huknął Willie Johnson, trzymając w dłoniach sznur zakończony zgrabnym stryczkiem.

– Gotowi! – odkrzyknęła połowa tłumu.

Reszta mamrotała do siebie i ruszała się niczym postaci, które znalazły się w sennym koszmarze, choć wcale nie chciały w nim uczestniczyć.

– Leci! – zawołał jakiś chłopczyk.

Głowy ludzi niczym u marionetek połączonych wspólnym sznurkiem zwróciły się w górę.

Wysoko na niebie, na ogonie pomarańczowego ognia, mknęła rakietka, piękna i wdzięczna. Zatoczyła krąg, po czym opadła w dół. Zebrani westchnęli. Wylądowała, tu i ówdzie podpalając kępki trawy na łące; wkrótce jednak ogień przygasł. Przez chwilę rakietka trwała w ciszy, a potem na oczach milczącego tłumu wielkie drzwi z boku statku uchyliły się z sykiem powietrza, po czym stanęły otworem i wyszedł z nich stary mężczyzna.

– Biały człowiek, biały człowiek, biały człowiek...

Słowa te rozchodziły się wśród wyczekującego tłumu; dzieci szeptem przekazywały je sąsiadom, szturchając ich z podniecenia. Wieść rozlewała się coraz dalej niczym fala, docierając w końcu do miejsca, gdzie kończył się tłum i zaczynały tramwaje stojące w wiecznym słońcu; z ich otwartych okien wydobywał się zapach farby. W końcu szepty ucichły.

Nikt się nie poruszył.

Biały człowiek był wysoki i wyprostowany, lecz jego twarz zdradzała ogromne znużenie. Nie ogolił się rano, a jego oczy były tak stare, jak tylko mogą być oczy żyjącego człowieka. Pozbawione barwy, niemal całkiem zbieleły, jakby to, co oglądały przez minione lata, zupełnie je oślepiło. Ciało miał wychudzone niby krzak w zimie. Jego dłonie drżały; wyglądając na zewnątrz, musiał oprzeć się o burtę statku.

Wyciągnął rękę i uśmiechnął się lekko, natychmiast jednak ją cofnął.

Nikt się nie poruszył.

Powiódł niewidzącym wzrokiem po twarzach i może dostrzegł broń i sznury, poczuł woń farby. Nikt go nie zagadnął. Mężczyzna sam zaczął mówić, bardzo cicho, powoli. Wyraźnie nie spodziewał się odzewu. W jego głosie brzmiało ogromne, przejmujące znużenie.

– Nieważne, kim jestem – rzekł. – I tak byłbym dla was jedynie nazwiskiem. Ja również nie znam waszych nazwisk. Wszystko w swoim czasie. – Urwał, na moment przytknął oczy, po czym ciągnął dalej: – Dwadzieścia lat temu opuściliście Ziemię. To bardzo dawno. Zważywszy, ile się przez ten czas wydarzyło, równie dobrze mogło minąć dwadzieścia stuleci. Po waszym odlocie wybuchła wojna. – Powoli skinął głową. – Tak, wielka wojna. Trzecia wojna. Ciągnęła się bardzo długo. Aż do zeszłego roku. Zbombardowaliśmy wszystkie miasta na świecie. Zniszczyliśmy Nowy Jork, Londyn i Moskwę, Paryż i Szanghaj, Bombaj i Aleksandrię. Zrujnowaliśmy je wszystkie. A kiedy skończyliśmy z wielkimi metropoliami, wzięliśmy się za mniejsze miasta, spuszczając na nie atomowy ogień.

Zaczął wymieniać miasta, dzielnice i ulice. Tłum odpowiadał głośnym pomrukiem.

– Zniszczyliśmy Natchez....

Szmer.

– I Columbus w stanie Georgia...

Znowu szmer.

– Spaliliśmy Nowy Orlean...

Westchnienie.

– I Atlantę...

Jeszcze jedno westchnienie.

– I nic nie zostało z Greenwater w Alabamie.

Willie Johnson szarpnął się gwałtownie i otworzył usta. Hattie widziała, jak w jego ciemnych oczach pojawia się błysk zrozumienia.

– Nic nie zostało – powtórzył starzec. – Spalone pola bawełny.

- Och! – westchnęli wszyscy.
  - Zbombardowane przędzalnie...
  - Och.
  - I fabryki; wszystko jest radioaktywne. Wszystkie drogi, plantacje i jedzenie: radioaktywne. Wszystko.
- Wymieniał kolejne nazwy wsi i miasteczek.
- Tampa.
  - Jestem stamtąd – szepnął ktoś.
  - Fulton.
  - A ja stamtąd – odparł ktoś inny.
  - Memphis.
  - Memphis? Naprawdę spalili Memphis? – Jęk bólu.
  - Memphis wysadzone w powietrze.
  - Czwarta Ulica w Memphis?
  - Cała – odparł starzec.

To ich ruszyło. Po dwudziestu latach wspomnienia powracały. Miasta, miasteczka, drzewa, ceglane budynki, szyldy, kościoły i znajome sklepy: wszystko to ożywało w pamięci stłoczonych ludzi. Każda nazwa poruszała wspomnienia; w tłumie nie znalazłoby się nikogo, kto nie rozmyślał o dawnych czasach. Wszyscy prócz dzieci mieli na to wystarczająco wiele lat.

- Laredo.
- Pamiętam Laredo.
- Nowy Jork.
- Miałem sklepik w Harlemlu.
- Harlem zbombardowany.

Złowrogie słowa. Znajome, zapamiętane miejsca. Trudno im przychodziło wyobrażenie ich sobie w ruinie.

Willie Johnson mamrotał pod nosem:

- Greenwater w stanie Alabama. Tam się urodziłem. Pamiętam. Zniknęło, wszystko zniknęło. Tak twierdził przybysz.

Mężczyzna kontynuował:

- I tak zniszczyliśmy i zrujnowaliśmy wszystko. Niczym głupcy, którymi byliśmy i wciąż jesteśmy, zabiliśmy miliony. Wątpię, by na całym świecie pozostało więcej niż pięćset tysięcy ludzi wszelkich ras i narodowości. Udało nam się ocalić ze zgliszcz

dość metalu, by zbudować tę jedną, jedyną rakietę. Przybywamy na Marsa, żeby prosić was o pomoc.

Zawahał się i rozejrzał, próbując coś wyczytać z ich twarzy.

Hattie Johnson poczuła, jak mięśnie rąk męża napinają się, palce ściskają sznur.

– Byliśmy głupcami – rzekł cicho starzec. – Pozwoliliśmy, żeby ziemską cywilizacja runęła na naszych oczach. Żadnego z miast nie da się ocalić: przez setki lat pozostaną radioaktywne. Z Ziemią już koniec. Jej czas minął. Wy macie rakiety. Od dwudziestu lat nie próbowaliście wrócić na Ziemię. Teraz przybywam, by was poprosić, żebyście znów z nich skorzystali, przylecieli na Ziemię, zabrali ocalałych i sprowadzili ich tu, na Marsa, byście pomogli nam w potrzebie. Byliśmy głupi. Bóg widzi, że przyznajemy się do naszej głupoty i zła. Wszyscy: Chińczycy, Indianie, Rosjanie, Anglicy i Amerykanie – prosimy, byście nas przyjęli. Wasza marsjańska ziemia od niezliczonych stuleci leży odłogiem; starczy jej dla wszystkich. To dobra ziemia – widziałem z góry wasze pola. Będziemy dla was pracować. O tak, zrobimy to. Zasłużyliśmy sobie na najgorsze traktowanie, ale nie odtrącajcie nas. Nie możemy was do niczego zmusić. Jeżeli chcecie, wróćcie na statek i odlećcie, zostawiając was w spokoju. Więcej nie będziemy się narzucać. Lecz jeśli pozwolicie, będziemy dla was pracować, robić to, co kiedyś wy dla nas: sprzątać wasze domy, gotować obiady, czyścić buty i korzyć się w obliczu Boga za to, jak przez wieki traktowaliśmy siebie samych i innych, także was.

Skończył.

Zapadła przejmująca cisza. Tak gęsta, że można było ująć ją w dłonie. Napierająca na tłum niczym ciśnienie towarzyszące nadchodzącej burzy. Długie ręce zebranych zwisały w słońcu niczym ciemne wahadła. Ich oczy obserwowały starca, który nie poruszał się, czekając.

Willie Johnson trzymał w dłoniach sznur. Otaczający go ludzie przyglądali mu się uważnie. Jego żona Hattie czekała, ściskając rękę męża.

Pragnęła rzucić się na trawiącą ich nienawiść, zaatakować ją

i nie ustawać, póki nie znajdzie szczeliny pozwalającej wyjąć kamyczek, kamień, cegłę, a potem część muru, by wraz z nim runęła cała budowla. Wiedziała, że już się chwije, lecz który kamień poruszyć? Jak się do niego dostać? Jak ma do nich dotrzeć, rozpoczynając proces, który zniszczy ich nienawiść?

Spojrzała na stojącego w milczeniu Williego. Znała go, znała jego życie i wiedziała, co go spotkało. I nagle to on stał się kluczowym elementem układanki. Pojęła, że jeśli zdoła go poruszyć, budowla nienawiści w sercach wszystkich runie.

– Proszę pana – powiedziała i wystąpiła naprzód. Nie wiedziała nawet, co rzec. Tłum przyglądał się jej plecami. Czowała na sobie ich spojrzenia. – Proszę pana...

Mężczyzna odwrócił się ze zmęczonym uśmiechem.

– Proszę pana – rzekła – zna pan wzgórze Knockwood w Greenwater w stanie Alabama?

Starzec powiedział coś przez ramię do kogoś ukrytego w statku. Chwilę później podano mu fotograficzną mapę. Mężczyzna rozłożył ją i czekał.

– Zna pan wielki dąb na szczycie tego wzgórza?

Wielki dąb. Tam właśnie zastrzelono ojca Williego i powieszono, by kołysał się w powiewach porannego wiatru.

– Tak.

– Czy wciąż tam jest?

– Nie – odparł starzec. – Został wysadzony. Wzgórza nie ma, dębu też. Widzi pani? – Dotknął zdjęcia.

– Proszę mi to pokazać – rzucił Willie, występując naprzód i sięgając po mapę.

Hattie patrzyła na białego człowieka, jej serce waliło jak młotem.

– Proszę mi opowiedzieć o Greenwater – powiedziała szybko.

– Co chciałaby pani wiedzieć?

– O doktorze Phillipsie. Czy wciąż żyje?

Odnalezienie informacji w szczękającej maszynie w głębi statku trwało chwilę.

– Zabity na wojnie.

– A jego syn?

- Nie żyje.
- Co z ich domem?
- Spalony. Jak wszystkie inne domy.
- A pozostałe wielkie drzewa na wzgórzu Knockwood?
- Wszystkie drzewa spalone.
- Jest pan pewien, że to drzewo także? – wtrącił Willie.
- Tak.

Willie czuł, że napięcie nieco w nim opadło.

- A dom pana i pani Burtonów?
- Nie pozostał żaden dom, żaden człowiek.
- Zna pan zmywalnię pani Johnson, gdzie pracował moja matka?

Gdzie została zabita.

- Także zniszczona. Nic nie zostało. Oto zdjęcia, sami możecie zobaczyć.

Fotografie czekały, mogli je oglądać, podawać sobie, rozmyślać nad nimi. Rakietą była pełna zdjęć i odpowiedzi na pytania dotyczące wszystkich miast, budynków, miejsc.

Willie stał ze sznurem w dłoniach.

Wspominał Ziemię, zieloną Ziemię i zielone miasto, gdzie się urodził i wychował. Myślał o tym mieście, zburzonym, leżącym w gruzach, wysadzonym w powietrze i spalonym; o wszystkich znajomych miejscach, z którymi odeszło ukryte w nich prawdziwe bądź urojone zło; o twardych ludziach, stajniach, kuźniach, sklepach z pamiątkami, kawiarenkach, gorzelniach, mostach nad rzeką, miejscach linczu, zasypanych liśćmi wzgórzach, drogach, krowach, mimozach i jego własnym domu, a także o wielkich rezydencjach z kolumnami stojących nieopodal długiej rzeki, białych kostnicach, dalekich, odległych, skąpanych w jesiennym blasku, w których trzepotały kobiety delikatne niczym ćmy. O tych domostwach i mieszkających w nich zimnych ludziach, siedzących wygodnie ze szklankami wódki w dłoniach i bronią opartą o stopnie werandy, wciągających jesiennie powietrze i dyskutujących o śmierci. Odeszło, wszystko odeszło i nigdy już nie wróci. Cała cywilizacja, rozdarła na strzępy, legła u ich stóp. Nie pozostało nic, czego



można by nienawidzić – nawet pusta mosiężna łuska, kawałek liny, drzewo czy choćby wzgórze. Nic, oprócz obcych ludzi w rakiecie, ludzi, którzy mogą czyścić mu buty, jeździć z tyłu wagonów i siedzieć w ostatnich rzędach w teatrze...

– Nie będziecie musieli tego robić – rzekł Willie Johnson.

Żona zerknęła na jego wielkie dłonie.

Palce Williego rozwarły się.

Sznur wyśliznął się z nich i opadł na ziemię.

Pobiegli ulicami swego miasta, zdzierając nowe, pośpiesznie wymalowane napisy, zamalowując świeże żółte znaki na tramwajach, przecinając sznury na balkonach teatrów, rozładowując broń i chowając liny.

– Nowy początek dla wszystkich – powiedziała Hattie, gdy zmierzali samochodem do domu.

– Tak – odparł w końcu Willie. – Pan pozwolił nam przetrwać, przynajmniej nielicznym z nas. Teraz nasza przyszłość spoczywa w naszych rękach, czas głupoty już minął. Musimy stać się kimś innym. Zrozumiałem to, gdy zaczął mówić. Pojąłem, iż biały człowiek stał się teraz równie samotny jak my kiedyś. Nie ma domu, tak jak my go nie mieliśmy. Wyrównaliśmy rachunki. Możemy zacząć wszystko od nowa, z tego samego poziomu.

Zatrzymał samochód i został w nim, podczas gdy Hattie poszła wypuścić dzieci. Chłopcy natychmiast podbiegli do ojca.

– Widzieliście białego człowieka?! Widzieliście go?! – krzyczeli.

– O tak – odparł Willie, wciąż siedząc za kierownicą. Powoli potarł dłońmi twarz. – Dziś chyba po raz pierwszy naprawdę zobaczyłem białego człowieka – takiego, jaki jest.

## DROGA

Popołudniowy deszcz przyniósł dolinie ochłodę; jego krople zraszały porastającą górskie pola kukurydzę i bębniły o suchą strzechę chaty. Kobieta pracowała niestrudzenie w deszczowym półmroku, mieląc kukurydziane ziarna pomiędzy dwoma krążkami bazaltu. Gdzieś w wilgotnej ciemności płakało dziecko.

Hernando czekał, aż przestanie padać – wówczas znów wyjdzie w pole z drewnianym pługiem. W dole toczyły się brązowe wezbrane wody rzeki. Druga rzeka, betonowa droga, trwała w bezruchu: rozciągała się przed nim lśniąca, pusta. Od godziny nie przejechał nią żaden samochód. Już samo to było bardzo dziwne. Od lat nie zdarzyło się, by minęła godzina i żaden samochód nie zjechało na pobocze, a kierowca nie krzyknąłby: „Hej tam, możemy zrobić panu zdjęcie?”. Szczękające pudełko; moneta w jego dłoni. Jeśli wędrował powoli po polu z gołą głową, wołali czasem: „Och, czy mógłby pan założyć kapelusz?” i machali rękami przystrojonymi w złote drobiazgi wskazujące czas, podające ich imiona albo jedynie połyskujące w słońcu niczym pajęczce oczy. Zawracał wtedy do chaty i zakładał kapelusz.

– Coś nie tak, Hernando? – spytała żona.

– Si. Ta droga. Stało się coś ważnego. Coś ważnego, bo całkiem opustoszała.

Lekkim krokiem oddalił się od chaty; deszcz obmywał jego stopy w butach ze słomy i grubej gumy z opony. Doskonale pamiętał wypadek, któremu je zawdzięczał. Pewnej nocy do ich chaty wpadło gwałtownie koło, rozbijając garnki i płosząc kury. Samochód, do którego należało, potoczył się dalej, aż do zakrętu. Przez moment zamarł na skraju drogi – blask reflektorów odbijał się w wodzie – po czym runął do rzeki. Wciąż tam zresztą był. W pogodny dzień, kiedy rzeka płynęła spokojnie, a muł opadał, można go było dostrzec. Samochód leżał głęboko, lśniąc bogatym metalicznym blaskiem. Potem jednak muł znów się unosił

i samochód zniknął.

Następnego dnia Hernando wykroił sobie podeszwy z grubej gumy.

Teraz dotarł do drogi i stanął na niej, nasłuchując cichych uderzeń kropel o beton.

I nagle jakby na wezwanie zjawiły się samochody. Setki wozów, szeregi ciągnące się na całe mile, pędziły naprzód, mijając go obojętnie. Wielkie, długie czarne samochody, zmierzające na północ, w stronę Stanów, pokonujące zakręty z niebezpieczną prędkością, do wtóru nieustannego ryku i trąbienia. W twarzach stłoczonych w środku ludzi było coś takiego, że Hernando głęboko się zamyślił. Cofnął się, ustępując im miejsca. Zaczął je liczyć, wkrótce jednak go to znudziło. Przejechało już pięćset, tysiąc samochodów, a na twarzach wszystkich ludzi dostrzegał ten sam wyraz. Znikali jednak zbyt szybko, by mógł rozpoznać, co on oznacza.

Wreszcie znów powrócił spokój. Długie, szybkie kabriolety zniknęły. Ostatnie klaksony ucichły w dali.

Droga opustoszała.

Wszystko to przypominało kondukt pogrzebowy, tyle że pełen oszalałych, rwących włosy z głów żałobników, gorączkowo pędzących na północ. Czemu? Hernando pokręcił głową i lekko wytarł dłonie o koszulę.

Nagle zjawił się jeszcze jeden samotny samochód. Było w nim coś bardzo ostatecznego. Stary ford gnał w dół stromej górskiej drogi w zimnym deszczu, otoczony chmurą pary. Jechał najszybciej, jak mógł; Hernando oczekiwał, że w każdej chwili wóz rozleci się na kawałki. Gdy ów starutki ford go dostrzegł, zjechał na pobocze. Zardzewiałą karoserię pokrywała warstwa błota, z chłodnicy dobiegał gniewny bulgot.

– Señor, czy moglibyśmy dostać trochę wody?

Za kierownicą siedział młody mężczyzna – miał może dwadzieścia jeden lat – ubrany w żółty sweter, rozpiętą pod szyją białą koszulę i szare spodnie. Deszcz padał do środka kabrioletu, na głowy mężczyzny i pięciu młodych kobiet, stłoczonych we wnętrzu tak ciasno, że nie mogły się ruszyć. Wszystkie były

bardzo ładne; usiłowały osłonić siebie i kierowcę starymi gazetami. Deszcz jednak przenikał przez papier, mocząc im sukienki. Mokre włosy kierowcy lepiły się do czaszki. Przybysze zdawali się jednak na to nie zważać. Nie skarżyli się. Dziwne. Dotąd zawsze narzekali: na deszcz, upał, porę dnia, zimno, odległości.

– Przyniosę wam wody – odpowiedział Hernando.

– Och, proszę się pośpieszyć! – wykrzyknęła jedna z dziewcząt.

W jej piskliwym głosie dźwięczał strach. Wyraźnie nie kierowała nią niecierpliwość, lecz przerażenie.

Po raz pierwszy w życiu Hernando pobiegł dla turysty; słysząc podobne prośby, zawsze jeszcze zwalniał kroku.

Po chwili wrócił, niosąc pełen wody dekiel. Jego także podarowała im droga. Pewnego popołudnia poszybował nad polem Hernanda, okrągły i błyszczący niczym wyrzucona w górę moneta. Samochód, do którego należał, jechał dalej, nieświadom tego, że zgubił srebrne oko. Wraz z żoną używali dekla do gotowania i mycia; świetnie nadawał się na miskę.

Nalewając wody do bulgoczącej chłodnicy, Hernando zerknął na wstrząśnięte twarze pasażerów.

– Dziękujemy, och, dziękujemy! – powiedziała jedna z dziewcząt. – Nie wie pan, ile to dla nas znaczy.

Hernando uśmiechnął się.

– Przez ostatnią godzinę był tu straszny ruch. I wszyscy zmierzają w jedną stronę. Na północ.

Wcale nie chciał sprawić im przykrości, kiedy jednak znów uniósł wzrok, odkrył, że cała piątka rozpaczliwie płacze. Młody człowiek próbował je pocieszać, kładąc im kolejno dłonie na ramionach i potrząsając łagodnie, one jednak trzymały gazety nad głowami, ich wargi poruszały się, oczy miały zamknięte, a twarze zmieniały kolor, gdy tak szlochały, niektóre cicho, inne zanosząc się łkaniem.

Hernando stał przed nimi z na wpół opróżnionym dekiem w rękach.

– Nie chciałem nikogo urazić, señor – rzekł przepraszająco.

– Nic nie szkodzi – odparł kierowca.

– Czy coś się stało, señor?

– Nie słyszał pan? – Młody człowiek odwrócił się ku niemu. Zaciśnął dłoń na kierownicy, nachylając się naprzód. – Nadeszła!

Nie brzmiało to dobrze. Słyszając to słowo, dziewczęta objęły się i zaczęły jeszcze mocniej płakać, zapominając o gazetach. Deszcz ściekał po ich twarzach, mieszając się ze łzami.

Hernando zeszywniał. Wlał resztę wody do chłodnicy. Spojrzał w niebo, czarne od burzowych chmur. Popatrzył na wezbraną rzekę. Pod stopami czuł szorstki asfalt.

Podszedł do auta z boku. Mężczyzna wsunął mu w dłoń peso.

– Nie. – Hernando oddał mu monetę. – Cieszę się, że mogłem pomóc.

– Dziękujemy, pan jest taki miły – wyszłochąła jedna z dziewcząt. – Och, mamu, tato. Och, tak bardzo chcę już być w domu. Mamusiu, tatusiu.

Towarzyszki przytuliły ją.

– Nic nie słyszałem, señor – rzekł cicho Hernando.

– Wojna! – krzyknął młodzieniec, jakby miał do czynienia z głuchym. – Wojna atomowa nadeszła! To koniec świata!

– Señor, señor – uspokajał go Hernando.

– Bardzo dziękujemy za pomoc. Do widzenia – powiedział młody człowiek.

– Do widzenia – powtórzyły pasażerki, nie dostrzegając go.

Hernando stał i patrzył, jak kierowca wrzuca bieg i samochód toczy się w dół, w głąb doliny. Wreszcie zniknął – ostatni samochód, pełen młodych kobiet unoszących nad głowami trzepoczące gazety.

Przez długi czas Hernando tkwił bez ruchu. Lodowate strugi deszczu spływały po jego policzkach, między palcami, wsiąkały w szorstką tkaninę spodni. Wstrzymywał oddech, spięty, wyczekujący.

Obserwował drogę, ta jednak już się nie poruszyła. Podejrzywał, że długo pozostanie pusta.

Deszcz ustał. Słońce przebiło się przez chmury. Po dziesięciu minutach burza minęła jak zły sen. Hernando poczuł w nozdrzach zapach dżungli. Słyszał szmer rzeki płynącej cicho

w dal. Dżungla była bardzo zielona; wszystko otaczała aura świeżości. Wrócił polem do domu i zabrał pług. Kładąc na nim dłonie, spojrzał w niebo, na którym płonęło gorące słońce.

– Co się stało, Hernando?! – zawołała żona, nie przerywając pracy.

– Nic takiego – odparł.

Ustawił pług w bruzdzie i krzyknął ostro na osła:

– Wiiii-o!

Razem ruszyli naprzód żyznym polem, pod pogodnym niebem, na zaoranej ziemi nad głęboką rzeką.

– Jakiego świata? – rzekł do siebie.

## CZŁOWIEK

Kapitan Hart stanął w drzwiach rakiety.

– Czemu nie przychodzą? – spytał.

– Kto wie? – odparł Martin, jego porucznik. – Ja nie, kapitanie.

– Co to w ogóle za miejsce?

Kapitan zapalił cygaro i odrzucił zapałkę na wielobarwną łąkę. Trawa zaczęła płonąć. Martin pośpiesznie ją deptać ją butem.

– Nie – przerwał mu kapitan Hart – niech się pali. Może wtedy przyjdą zobaczyć, co się dzieje. Tępi ignoranci.

Martin wzruszył ramionami i cofnął stopę znad rozszerzającego się ognia.

Kapitan Hart spojrzał na zegarek.

– Wylądowaliśmy godzinę temu i czy natychmiast zjawił się komitet powitalny wraz z orkiestrą dętą, by uścisnąć nam ręce? Ależ nie! Pokonujemy miliony mil przestrzeni po to, by zacni obywatele jakiegoś głupiego miasta na nieznanym planecie nas ignorowali! – Prychnął wzgardliwie, postukując palcem w zegarek. – Cóż, dam im jeszcze pięć minut, a potem...

– A potem co? – spytał Martin, jak zawsze uprzejmie, obserwując trzęsące się policzki kapitana.

– Jeszcze raz przelecimy nad tym ich przeklętym miastem i śmiertelnie ich wystraszymy. – Głos Harta się uspokoił. – Jak sądzisz, Martin, może nie widzieli naszego lądowania?

– Widzieli. Podnosili głowy, kiedy przelatywaliśmy.

– Czemu więc nie biegną przez pole? Może się ukrywają? Może to tchórze?

Martin potrząsnął głową.

– Nie. Proszę wziąć lornetkę, kapitanie. Sam pan zobaczy. Wszyscy chodzą po ulicach. Nie boją się. Oni... Cóż, wygląda na to, że ich to w ogóle nie obchodzi.

Kapitan Hart uniósł lornetkę do zmęczonych oczu. Martin dostrzegł na jego twarzy kolejne zmarszczki i bruzdy,

świadectwa rozdrażnienia, zmęczenia, niepokoju. Hart wyglądał tak, jakby miał milion lat. W ogóle nie sypiał, niewiele jadał i nieustannie parł naprzód. Teraz jego usta, wciąż zacięte, poruszyły się.

– Naprawdę, Martin, sam nie wiem, czemu się tym zajmujemy. Budujemy rakiety, zadajemy sobie ogromny trud, przebywając przestrzeń, szukając ich – i oto, co dają nam w zamian. Lekceważą nas. Spójrz na tych idiotów krążących po mieście. Czy nie zdają sobie sprawy z wagi wydarzenia? Oto pierwszy pojazd kosmiczny, który dotarł na tę prowincjonalną planetkę. Ile razy zdarza się coś takiego? Czyżby byli aż tak zblazowani?

Martin nie wiedział.

Kapitan Hart zmęczonym gestem oddał mu lornetkę.

– Czemu to robimy, Martin? Czemu podróżujemy w kosmosie? Zawsze w drodze, zawsze poszukując. Nasze wnętrzości stale się zaciskają, nigdy nie mogą odpocząć.

– Może szukamy ciszy i spokoju? Na Ziemi z pewnością nigdy ich nie znajdziemy – podsunął Martin.

– Rzeczywiście, nie. – Kapitan Hart zamyślił się, ogień jego gniewu przygaś. – Już od czasów Darwina, prawda? Odkąd wyrzuciliśmy za burtę wszystko, w co kiedykolwiek wierzyliśmy. Boską moc, te rzeczy. I sądzisz, że to dlatego wyruszamy ku gwiazdom, Martin? Poszukiwać naszych zagubionych dusz? O to ci chodzi? Próbujemy zamienić naszą przeżartą złem planetę na nowy dobry dom?

– Może, kapitanie. Niewątpliwie czegoś szukamy.

Kapitan Hart odchrząknął.

– No cóż, w tej chwili szukamy burmistrza tego miasta. Biegnij tam, powiedz im, że jesteśmy pierwszą wyprawą raketową na Planetę Czterdzieści Trzy w Trzecim Układzie Słonecznym. Kapitan Hart przesyła pozdrowienia i pragnie spotkać się z burmistrzem Gazu!

– Tak jest!

Martin ruszył wolnym krokiem przez łąkę.

– Szybciej! – warknął kapitan.

– Tak jest!



Przeszedł w trucht. Następnie znów zwolnił, uśmiechając się do siebie.

Nim powrócił, kapitan zdążył wypalić dwa cygara. Martin zatrzymał się i uniósł wzrok ku drzwiom rakiety. Drżał i kołysał się, zupełnie jakby nie mógł skupić wzroku ani trzeźwo myśleć.

– I co? – rzucił ostro Hart. – Co się stało? Wyjdą nam na powitanie?

– Nie. – Martinowi kręciło się w głowie, musiał oprzeć się o statek.

– Czemu nie?

– To nieważne. Proszę, kapitanie, daj mi papierosa.

Jego palce na oślep poszukiwały ofiarowanej paczki, cały czas bowiem wpatrywał się w złociste miasto, mrugając oczami. W końcu zapalił papierosa i przez długi czas w milczeniu wciągał dym.

– Powiedz coś! – krzyknął kapitan. – Nie interesuje ich nasza rakietka?

– Co? A, rakietka? – Martin obejrzał swój papieros. – Nie, nie interesuje ich. Zdaje się, że przybyliśmy w nieodpowiedniej chwili.

– Nieodpowiedniej chwili!

Martin starał się zachować cierpliwość.

– Kapitanie, proszę posłuchać. Wczoraj w tym mieście zdarzyło się coś wielkiego, tak wielkiego i ważnego, że w porównaniu z tym my przestajemy się liczyć. Muszę usiąść. – Stracił na chwilę równowagę i siadł ciężko, gwałtownie chwytając powietrze.

Kapitan gniewnie przygryzł cygaro.

– Co się stało?

Martin uniósł głowę. Dym z papierosa snuł się między jego palcami i ulatywał z wiatrem.

– Kapitanie, wczoraj w tym mieście pojawił się niezwykle człowiek. Dobry, błyskotliwy, pełen współczucia i nieskończenie mądry.

Kapitan popatrzył gniewnie na swego porucznika.

– Co to ma wspólnego z nami?

– Trudno mi wyjaśnić, ale to człowiek, na którego czekali

bardzo długo, może nawet milion lat. A wczoraj zjawił się w ich mieście. Dlatego dziś lądowanie naszej rakiety nic dla nich nie znaczy.

Kapitan gwałtownie usiadł na ziemi.

– Kto to był? Chyba nie Ashley? Nie przyleciał tu przed nami i nie skradł mojej sławy?

Chwycił Martina za ramię. Jego zasmucona twarz pobladła.

– Nie Ashley, kapitanie.

– A zatem Burton! Wiedziałem! Burton wyprzedził nas i zrujnował efekt mojego lądowania. Nikomu już nie można ufać.

– To również nie Burton – odparł cicho Martin.

– Były tylko trzy rakiety. – Kapitan zerknął na niego z niedowierzaniem. – My lecieliśmy na przedzie. Ten człowiek, który dotarł tu pierwszy... jak się nazywa?

– On nie ma imienia. Nie potrzebuje go. Zresztą na każdej planecie brzmiałoby ono inaczej.

Kapitan obserwował swojego porucznika twardym, cynicznym wzrokiem.

– I co takiego cudownego zrobił, że nikt nie zwraca uwagi na nasz statek?

– Przede wszystkim – rzekł spokojnie Martin – uleczył chorych i pocieszył biednych. Walczył z hipokryzją i nieczystą polityką. Siedział wśród nich cały dzień, przemawiając.

– Czy to takie wspaniałe?

– Tak, kapitanie.

– Nic nie rozumiem. – Kapitan patrzył wyzywająco na Martina, badając wzrokiem jego twarz i oczy. – Pięś, tak? – rzekł podejrzliwie, cofając się o krok. – Nie rozumiem.

Martin odwrócił się ku miastu.

– Kapitanie, jeżeli pan nie rozumie, nie zdołam tego panu wytłumaczyć.

Dowódca podążył za jego spojrzeniem. Miasto było ciche i piękne, otaczała je aura wielkiego spokoju. Postąpił naprzód, wyciągając cygaro z ust. Mrużąc powieki, spojrzał najpierw na Martina, a potem znowu na złote iglice budynków.

– Nie chcesz chyba powiedzieć... Nie twierdzisz chyba... Ten

człowiek, o którym mówiłeś, to przecież nie...

Martin skinął głową.

– To właśnie chciałem powiedzieć, kapitanie.

Hart stał w milczeniu, bez ruchu. Po chwili wyprostował się.

– Nie wierzę – rzekł w końcu.

W samo południe kapitan Hart wkroczył żwawo do miasta w towarzystwie porucznika Martina i pomocnika dzwigającego sprzęt elektryczny. Od czasu do czasu dowódca wybuchał głośnym śmiechem, podpierał się pod boki i potrząsał głową.

Przywitał ich burmistrz miasta. Martin ustawił trójnóg, przykręcił do niego skrzynkę i włączył akumulatory.

– Pan jest burmistrzem? – Kapitan dźgnął palcem powietrze.

– Owszem – odparł burmistrz.

Delikatna aparatura stała między nimi, kontrolowana i dostrajana przez Martina i jego pomocnika. Skrzynka dokonywała natychmiastowych przekładów ze wszystkich możliwych języków. Słowa rozbrzmiewały ostro w spokojnym miejskim powietrzu.

– To, co się zdarzyło wczoraj – rzekł kapitan – to prawda?

– Tak.

– Macie świadków?

– Owszem.

– Możemy z nimi pomówić?

– Proszę rozmawiać z każdym z nas – rzekł burmistrz. – Wszyscy jesteśmy świadkami.

Odwracając się do Martina, kapitan rzucił półgłosem:

– Zbiorowe halucynacje. – I dodał głośniejszym głosem burmistrza:  
– Jak wyglądał ten człowiek... ten obcy?

– Trudno rzecz – odparł burmistrz, lekko się uśmiechając.

– A to czemu?

– Ludzie mogą mieć w tej materii różne zdania.

– Na razie chciałbym poznać pańską opinię – powiedział kapitan. – Nagrywaj! – warknął przez ramię do Martina.

Porucznik nacisnął przycisk naręcznego rejestratora.

– Cóż – zaczęła burmistrz miasta – był bardzo łagodnym, miłym człowiekiem, obdarzonym ogromną wyrozumiałością

i inteligencją.

– Tak, tak, wiem, wiem. – Kapitan machnął ręką. – Ogólniki. Chcę czegoś dokładniejszego. Jak wyglądał?

– Nie sądzę, by było to ważne.

– To bardzo ważne – oznajmił surowo kapitan. – Chcę znać opis tego przybysza. Jeśli mi go pan nie poda, zdobędę od innych. – I rzucił do Martina: – Jestem pewien, że to był Burton. Zrobił jeden z tych swoich dowcipów.

Martin nie patrzył mu w twarz. Milczał.

Kapitan pstryknął palcami.

– Zdarzyło się coś jeszcze? Uzdrawienie?

– Wiele uzdrowień – odparł burmistrz.

– Mogę się zapoznać z jednym z nich?

– Oczywiście. Ozdrowił mojego syna. – Burmistrz skinął głową w stronę małego chłopczyka, aby wystąpił naprzód. – Miał uschniętą rękę. A proszę na nią spojrzeć.

Słyszac to, kapitan uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Tak, tak. Trudno to nazwać dowodem, nawet pośrednim. Nie widziałem uschniętej ręki chłopca. Widzę tylko zdrową rękę. To żaden dowód. Jaki macie dowód na to, że jego ręka wczoraj była uschnięta, a dzisiaj stała się zdrowa?

– Moje słowo to dostateczny dowód – odparł z prostotą burmistrz.

– Mój poczciwy człowieku! – wykrzyknął kapitan. – Nie oczekujesz chyba, bym uwierzył pogłoskom? O nie!

– Przykro mi.

Na twarzy burmistrza malowało się dziwne połączenie ciekawości i współczucia.

– Macie jakieś podobizny syna sprzed wczorajszego dnia?

Po chwili przyniesiono wielki olejny portret ukazujący chłopca z uschniętą ręką.

– Ależ, człowieku! – Kapitan machnął lekceważąco dłonią. – Każdy może namalować obraz. Obrazy kłamia. Chcę widzieć zdjęcie chłopaka.

Zdjęcia nie było. Ta społeczność nie znała fotografii.

– Cóż. – Kapitan westchnął. Jego twarz wykrzywił lekki grymas.

– Pozwólcie, że pomówię jeszcze z kilkoma obywatelami. To do niczego nie prowadzi. – Wskazał palcem kobietę. – Ty. – Zawahała się. – Tak, ty; podejdz tu – polecił. – Opowiedz mi o tym cudownym człowieku, którego wczoraj widziałas.

Kobieta spojrzała spokojnie na kapitana.

– Stał wśród nas. Była bardzo miły i dobry.

– Jakiego koloru miał oczy?

– Koloru słońca, morza, kwiatów, gór, koloru nocy.

– Wystarczy. – Kapitan z rezygnacją uniósł ręce. – Widzisz, Martin? Zupełnie nic. Jakiś szarlatan pojawia się w mieście, szepcząc słodkie słówka do ich uszu i...

– Niech pan przestanie! – przerwał mu Martin.

Kapitan cofnął się.

– Co takiego?

– Słyszał pan, co powiedziałem. Lubię tych ludzi, wierzę w to, co mówią. Ma pan prawo do własnego zdania, ale proszę zachować je dla siebie.

– Nie możesz tak do mnie mówić! – krzyknął kapitan.

– Mam już dosyć pańskiej wyniosłości – odparł Martin. – Proszę dać spokój tym ludziom. Doświadczyli czegoś dobrego i ciepłego, a pan przybywa, by skalać ich gniazdo, a potem naśmiewać się z niego. Cóż, ja także z nimi rozmawiałem. Wędrowałem po mieście, oglądałem ich twarze i na wszystkich widać coś, czego pan nigdy nie zdobędzie: zwykłą prostą wiarę. Dzięki niej mogliby przenieść góry. Pan tymczasem jest wściekły, że ktoś zepsuł panu wejście, wyprzedził pana i sprawił, że stał się pan nieważny.

– Daję ci pięć sekund, żebyś się uspokoił – rzekł kapitan. – Wszystko rozumiem. Żyjesz w wielkim napięciu, Martin. Miesiące kosmicznych podróży, nostalgia, samotność. A teraz to. Naprawdę ci współczuję, Martin. Puszczę w niepamięć twoją niesubordynację.

– Ale ja nie puszczę pańskiej tyranii. Rezygnuję. Zostaję tutaj.

– Nie możesz tego zrobić.

– Nie mogę? Proszę mnie powstrzymać. Tego właśnie szukałem. Sam nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale to prawda. To jest

świat dla mnie. Proszę zabrać swój brud gdzie indziej i kalać swymi wątpliwościami i metodą naukową inne gniazda! – Martin rozejrzał się. – Ci ludzie coś przeżyli, a pan nie może wbić sobie do głowy, że to naprawdę się zdarzyło, my zaś mieliśmy szczęście, przybywając niemal na czas. Ludzie na Ziemi wciąż mówią o tym człowieku dwadzieścia wieków po tym, jak stąpał po Starym Świecie. Wszyscy pragnęliśmy go ujrzeć i wysłuchać, lecz nigdy nie mieliśmy szansy. A teraz, dziś, minęliśmy się z nim zaledwie o kilka godzin.

Kapitan Hart przyjrzał się policzkom Martina.

– Płaczesz jak dziecko. Przestań.

– Nie obchodzi mnie to.

– Ale mnie tak. Musimy trzymać się razem w kontaktach z tymi tubylcami. Jesteś przemęczony. Jak już mówiłem, wybaczam ci.

– Nie chcę pańskiego przebaczenia.

– Durniu. Nie rozumiesz, że to jedna ze sztuczek Burtona, że oszukał tych ludzi po to, by pod przykrywką religii ustanowić koncerty zajmujące się wydobywaniem ropy i bogactw naturalnych? Jesteś głupcem, Martin. Nieskończonym głupcem! Powinieneś już znać Ziemię. Zrobią wszystko: będą bluźnić, kłamać, oszukiwać, kraść, zabijać, byle tylko osiągnąć to, czego pragną. Cel uświęca środki; Burton to prawdziwy pragmatyk. Znasz go!

Kapitan skrzywił się pogardliwie.

– No dalej, Martin. Przyznaj, że to typowy podstępny plan Burtona. Zwieść tutejszych mieszkańców i wykorzystać ich.

– Nie! – rzucił Martin, rozważając jego słowa.

Kapitan uniósł rękę.

– To Burton. To on. To jego brud i jego przestępcze metody. Trudno jednak nie podziwiać starego gada. Przybywa w glorii, rozdając łagodne słowa i czułe dotknięcia, tu i ówdzie zaś maść leczniczą bądź uzdrawiający promień. To niewątpliwie Burton.

– Nie. – W głosie Martina brzmiało zdumienie. Zakrył oczy. – Nie wierzę w to.

– Nie chcesz wierzyć. – Kapitan Hart nie ustępował. – Przyznaj to, Martin. Przyznaj. To dokładnie scenariusz, jaki mógłby

zrealizować Burton. Przestań śnić na jawie, Martin. Obudź się, już rano. To prawdziwy świat. I my też jesteśmy prawdziwi: paskudni ludzie – a Burton najpaskudniejszy z nas wszystkich.

Martin odwrócił się.

– No już, Martin. – Hart odruchowo poklepał go po plecach. – Rozumiem, że to dla ciebie bolesny wstrząs. Wielki wstyd i tak dalej. Ten Burton to prawdziwy łajdak. No już, uspokój się. Pozwól, że ja się tym zajmę.

Martin odszedł powoli w stronę rakiety.

Kapitan Hart odprowadził go wzrokiem. Następnie, odetchnąwszy głęboko, zwrócił się do kobiety, którą przepytywał:

– No cóż, proszę mi opowiedzieć coś więcej o tym człowieku. Jak już pani mówiła...

\* \* \*

Znacznie później oficerowie z rakiety jedli kolację na rozstawionych na zewnątrz stolikach do gry w karty. Kapitan zajął miejsce obok milczącego Martina, który siedział za stołem i wpatrywał się w posiłek przekrwionymi oczami. Pokrótce przedstawił mu swoje wnioski.

– Rozmawiałem z trzema tuzinami ludzi. Wszyscy powtarzali te same brednie. Jestem pewien, że to robota Burтона. Jutro bądź w przyszłym tygodniu wróci tu, aby podtrzymać ich wiarę w cuda i podpisać kontrakty. Myślę, że zaczekam i zniweczę jego plany.

Martin spojrzał na niego ponuro.

– Zabiję go – rzekł.

– Spokojnie, Martin. Nie denerwuj się, chłopie.

– Zabiję go, przysięgam.

– Podetniemy mu skrzydła. Ale musisz przyznać, że jest cwany.

– Nieetyczny.

– Ale cwany.

– Jest oszustem.

– Musisz obiecać, że nie zrobisz nic gwałtownego. – Kapitan Hart zerknął do rejestratora danych. – Zgodnie z tym, co tu

zapisano, w mieście doszło do trzydziestu uzdrowień. Pewien ślepiec odzyskał wzrok, trędowaty uwolnił się od trądu. Nie ma co, skuteczna bestia z tego Burtona.

Nagle zabrzmiał gong. Chwilę później podbiegł do nich mężczyzna.

– Kapitanie! Meldunek! Statek Burtona ląduje. Podobnie statek Ashleya.

– Widzisz! – Kapitan Hart huknął pięścią w stół. – Oto hieny przybywające na żer. Nie mogą już się doczekać. Zaraz zobaczysz, jak stawię im czoło. Zmuszę ich, by dopuścili mnie do udziału w zyskach. Zmuszę!

Martin sprawiał wrażenie chorego. Bez słowa przyglądał się kapitanowi.

– Interesy, mój drogi chłopcze. Interesy.

Wszyscy spojrzeli w górę. Z nieba opadały ku nim dwie rakiety. Lądując, o mało się nie roztrzaskały.

– Co ci głupcy wyprawiają?! – krzyknął kapitan, zrywając się z krzesła.

Cała grupa pobiegła przez łąki do dymiących statków. Kapitan dotarł tam pierwszy. Drzwi do śluzy statku Burtona otwały się i w ich ramiona runął człowiek.

– Co się stało?! – krzyknął Hart.

Przybysz leżał na ziemi. Nachylili się nad nim i dostrzegli, że jest mocno poparzony. Jego ciało pokrywały rany, strupy i obrzmiałe dymiące tkanki. Spojrzał na nich zapuchniętymi oczami, obrzękły język poruszył się w popękanych ustach.

– Co się stało? – spytał ostro kapitan, szarpiąc jego ramię.

– Kapitanie – wyszeptał umierający mężczyzna. – Czterdzieści osiem godzin temu w sektorze kosmicznym 79 DFS, niedaleko pierwszej planety tego układu, nasz statek i statek Ashleya wpadły w kosmiczną burzę. – Z nozdrzy mężczyzny wyciekał szary płyn, z ust sączyła się strużka krwi. – Zginęli. Cała załoga. Burton nie żyje. Ashley zmarł godzinę temu. Zostało nas tylko trzech.

– Posłuchaj! – wrzasnął Hart. – Nie przylecieliście wcześniej na tę planetę?



Cisza.

– Odpowiedz!

– Nie – odparł umierający. – Burza. Burton zmarł dwa dni temu. Od sześciu miesięcy pierwszy raz gdziekolwiek wylądowaliśmy.

– Na pewno? – Hart trząsał się gwałtownie, ściskając ramię mężczyzny. – Jesteś pewien?

– Pewien, pewien – wymamrotał ranny.

– Burton zmarł dwa dni temu? Na pewno?

– Tak, tak – wyszeptał mężczyzna. Jego głowa bezwładnie opadła. Był martwy.

Kapitan klęczał obok milczącego ciała. Jego twarz wykrzywił mimowolny tik. Pozostali członkowie załogi stali za nim, wbijając wzrok w ziemię. Martin czekał. W końcu kapitan poprosił, by pomóc mu wstać. Stanęli razem, spoglądając na miasto.

– To znaczy...

– To znaczy? – powtórzył Martin.

– Że tylko my tu przybyliśmy – wyszeptał kapitan Hart. – A ten człowiek...

– Co z nim, kapitanie?

Twarz kapitana niczego nie wyrażała. Wyglądał teraz bardzo staro, bardzo szaro, jego oczy zasnuła mgła. Ruszył naprzód po suchej trawie.

– Chodź, Martin. Chodź ze mną. Podtrzymaj mnie, na miłość boską. Boję się, że upadnę. I śpiesz się. Nie wolno nam tracić czasu.

Potykając się, powędrowali w stronę miasta pośród długich, suchych traw poruszanych powiewami wiatru.

\* \* \*

Kilka godzin później siedzieli w audytorium burmistrza. Przez salę przewinęło się tysiąc osób dających świadectwo. Kapitan ze znużoną miną słuchał kolejnych historii. Z twarzy tych, którzy przyszli, aby zdać relację, biło takie światło, że nie mógł znieść ich widoku, a jego dłonie cały czas wędrowały po kolanach i pasie, zdenerwowane, rozdygotane. Gdy opowieści dobiegły końca, kapitan Hart zwrócił się do burmistrza:

- Musicie przecież wiedzieć, dokąd poszedł.
- Nie powiedział nam – odparł burmistrz.
- Na jedną z pobliskich planet? – dopytywał się kapitan.
- Nie wiem.
- Musi pan wiedzieć.
- Widzi go pan? – spytał burmistrz, wskazując ręką tłum.

Kapitan rozejrzał się.

- Nie.

- Więc pewnie odszedł.

- Pewnie, pewnie! Popełniłem straszliwy błąd i chcę go naprawić. Właśnie dotarło do mnie, że to najniezwyklejsze wydarzenie w dziejach. Trafić na coś takiego! Szanse na to, że przybędziemy na tę jedną planetę wśród milionów światów zaledwie dzień po jego przyjsciu, są jak jeden do wielu miliardów. Musi pan wiedzieć, dokąd odszedł.

- Każdy znajduje go po swojemu – odparł łagodnie burmistrz.

- Ukrywacie go. – Twarz kapitana wykrzywił paskudny grymas dawnej zaciętości. Zaczął wstawać.

- Ależ nie – zaprzeczył burmistrz.

- A zatem wie pan, gdzie jest? – Palce kapitana drgnęły na skórzanej kaburze wiszącej u prawego biodra.

- Nie potrafię dokładnie tego określić.

- Radziłbym zacząć mówić. – Hart wyciągnął mały stalowy pistolet.

- W żaden sposób nie zdołam tego panu wytłumaczyć.

- Kłamca!

Burmistrz patrzył na Harta z litością.

- Jest pan bardzo zmęczony – rzekł. – Przebył pan długą drogę i należy do zmęczonego ludu, który od dawna żyje pozbawiony wiary. Tak bardzo pragnie pan uwierzyć, że sam pan sobie szkodzi. Jeśli mnie pan zabije, pogorszy tylko sytuację. W ten sposób nigdy go pan nie znajdzie.

- Dokąd on odszedł? Powiedział ci; ty wiesz. No dalej, gadaj! – Kapitan machnął bronią.

Burmistrz potrząsnął głową.

- Powiedz mi! Powiedz!

Pistolet wystrzelił raz, drugi. Burmistrz upadł ze zranioną ręką. Martin rzucił się naprzód.

– Kapitanie!

Broń obróciła się ku niemu.

– Nie wtrącaj się.

Leżąc na podłodze i podtrzymując zranioną rękę, burmistrz uniósł wzrok.

– Odłóż pistolet. Sam siebie krzywdzisz. Nigdy nie wierzyłeś, a teraz, gdy sądzisz, że wierzysz, zaczynasz ranić ludzi.

– Nie potrzebuję was – odparł Hart, stając nad nim. – Tu minąłem się z nim o jeden dzień, więc polecę na następną planetę. I jeszcze jedną, i jeszcze jedną. W następnym świecie spóźnię się może o pół dnia, potem o ćwierć; potem o dwie godziny, godzinę, pół godziny, minutę. Pewnego dnia jednak go doścignę. Słyszycie?! – Jego głos przeszedł w krzyk, gdy nachylił się nad leżącym na podłodze mężczyzną. Hart chwiał się z wyczerpania. – Chodź, Martin. – Ręka z pistoletem opadła.

– Nie – oznajmił Martin. – Ja tu zostaję.

– Jesteś głupcem. Jeśli chcesz, zostań. Ale ja ruszam w drogę wraz z pozostałymi, tak daleko, jak tylko zdołam.

Burmistrz zerknął na porucznika.

– Nic mi nie będzie. Zostaw mnie. Ktoś opatrzy moje rany.

– Ja tu wrócę – przyrzekł Martin. – Odprowadzę go tylko do rakiety.

W morderczym tempie maszerowali przez miasto. Widać było, z jakim wysiłkiem kapitan prze naprzód, chcąc zademonstrować swą dawną tężyznę. Gdy dotarli do rakiety, klepnął jej bok drżącą ręką, schował broń i spojrzał na porucznika.

– I co, Martin?

Martin popatrzył na niego.

– I co, kapitanie?

Wzrok kapitana powędrował ku niebu.

– Jesteś pewien, że nie polecisz ze mną?

– Jestem, kapitanie.

– Na Boga, to będzie wspaniała przygoda. Wiem, że go znajdę.

– Już pan postanowił, prawda?

Twarz kapitana wykrzywiła się, jego powieki opadły.

– Tak.

– Chciałbym wiedzieć tylko jedno.

– Co takiego?

– Kapitanie, kiedy już go pan znajdzie... jeśli go pan znajdzie, o co go pan poprosi?

– Ależ... – Kapitan zająknął się, otwierając oczy. Jego dłonie zacisnęły się kilka razy. Przez chwilę zastanawiał się, a potem na jego wargi wypłynął dziwny uśmiezek. – Ależ poproszę go o odrobinę ciszy i spokoju. – Dotknął rakiety. – Od dawna, od tak bardzo dawna nie odpoczywałem.

– A nie próbował pan, kapitanie?

– Nie rozumiem.

– Nieważne. Żegnam, kapitanie.

– Do widzenia, panie Martin.

Załoga stała przy wejściu. Z całego grona jedynie trzech mężczyzn leciało z Hartem. Siedmiu oznajmiło, że pragnie zostać na planecie z Martinem.

Dowódca zmierzył ich wzrokiem.

– Głupcy! – zawyrokował.

Kapitan Hart jako ostatni wspiął się do śluzy, zasalutował im, zaśmiał się ironicznie. Trzasnęły drzwi.

Rakieta wzleciała ku górze na kolumnie ognia.

Martin patrzył, jak odlatuje i znika w dali.

Stojący na skraju łąki burmistrz, podtrzymywany przez kilku towarzyszy, przywołał załogę gestem.

– Odszedł – oznajmił Martin, podchodząc do niego.

– Tak, odszedł, biedak – rzekł burmistrz. – I będzie tak wędrował po kolejnych planetach, wciąż poszukując, i zawsze przybędzie o godzinę, pół godziny, dziesięć minut, minutę za późno. Aż wreszcie spóźni się zaledwie o kilka sekund, a kiedy odwiedzi trzysta światów i skończy siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat, będzie spóźnił się już tylko o ułamek sekundy, a potem jeszcze mniejszy ułamek, i wciąż będzie podążał naprzód, sądząc, że znajdzie to, co zostawił tu, na tej planecie, w tym mieście...

Martin nie spuszczał z niego wzroku.

Burmistrz wyciągnął rękę.

– Czyżbyś kiedykolwiek w to wątpił? – Wezwał pozostałych i się odwrócił. – Chodźcie. Nie możemy pozwolić mu czekać.

Razem ruszyli do miasta.

## DŁUGI DESZCZ

Deszcz wciąż padał. Był to wieczny ulewny deszcz, deszcz gorący i parujący, mżawka, oberwanie chmury, ulewa, oślepiające strugi, kałuże do kolan; deszcz, przy którym bladły wszystkie inne deszcze i wspomnienia o nich. Niczym lawina spadał na dżunglę, strzygąc mokrymi nożycami drzewa, miażdżąc trawę, targając krzaki, wybijając dziury w ziemi. Sprawiał, że ludzkie dłonie zmieniały się w pomarszczone małpie łapki; przejrzyste krople lały się z nieba bez przerwy, bez ustanku.

- Jak daleko jeszcze, poruczniku?
- Nie mam pojęcia. Mila, dziesięć mil, tysiąc.
- Nie wiesz?
- Skąd miałbym wiedzieć?
- Nie podoba mi się ten deszcz. Gdybyśmy tylko wiedzieli, jak daleko jest do najbliższej Słonecznej Kopuły, od razu poczułbym się lepiej.
- Z tego miejsca jeszcze godzina czy dwie.
- Naprawdę tak sądzisz, poruczniku?
- Oczywiście.
- A może kłamiesz, żeby nas pocieszyć?
- Kłamię, żeby was pocieszyć. Zamknij się.

Dwaj mężczyźni siedzieli razem w deszczu. Za nimi usadzili się dwaj pozostali, przemoczeni, zmęczeni i przygarbieni – ciężkie bryły nasiąkniętej wodą gliny.

Porucznik uniósł wzrok. Deszcz zdążył już spłukać do białości jego niegdyś brązową twarz. Wymył też barwę z jego oczu, aż stały się białe, podobnie jak zęby i włosy. Cały był biały. Nawet jego mundur zaczął bieleć; miejscami pojawiały się na nim zielonkawe plamy grzybów.

Porucznik czuł ściekający po policzkach deszcz.

- Od ilu milionów lat na Wenus panuje równie piękna pogoda?

– Nie wygłupiaj się – odparł jeden z pozostałej dwójki. – Na Wenus nigdy nie przestaje padać. Leje i leje. Mieszkam tu od dziesięciu lat i nigdy, ani przez moment, przez sekundę, nie przestało padać.

– Zupełnie jakby się żyło pod wodą. – Porucznik wstał i wsunął broń na miejsce. – Cóż, lepiej już ruszajmy. Niedługo znajdziemy Słoneczną Kopułę.

– Albo i nie – wtrącił cynicznie jego towarzysz.

– Za godzinę, może dwie.

– Teraz na pewno mnie okłamujesz, poruczniku.

– Nie, okłamuję samego siebie. W pewnych okolicznościach trzeba kłamać. Nie zniosę tego dłużej.

Wędrowali szlakiem przez dżunglę, co chwila zerkając na kompasy. Otaczający ich świat był pozbawiony kierunków; tylko kompas mógł wskazać drogę. Szare niebo, deszcz, dżungla i ścieżka, i gdzieś daleko za nimi rakietą, którą przylecieli i się rozbili. W rakiecie zaś jeszcze dwóch przyjaciół, martwych, ociekających deszczem.

Maszerowali gęsiego, w milczeniu. W końcu dotarli do rzeki, szerokiej, płaskiej i brązowej, spływającej do ogromnego Jedynego Morza. Miliardy kropel znaczyły jej powierzchnię rozbryzgami.

– W porządku, Simmons.

Porucznik skinął głową i Simmons posłusznie wyjął z plecaka małą paczuszkę, która, napełniona ukrytym związkim chemicznym, zamieniła się w spory ponton. Dowódca sprawnie doglądał ścinania gałęzi i szykowania wiosł. Wkrótce odbili od brzegu, szybko pokonując spokojną zapłakaną rzekę.

Porucznik czuł dotyk chłodnego deszczu na policzkach, szyi i pracujących rytmicznie ramionach. Zimno wciskało się do jego płuc. Deszcz wnikał do uszu, oczu, nogawek spodni.

– Nie spałem zeszłej nocy – rzekł głośno.

– A kto spał? Kto mógłby zasnąć? Kiedy? Jak długo już nie śpimy? Trzydzieści nocy, trzydzieści dni! Kto mógłby spać, kiedy deszcz pada mu na głowę, wali w nią i wali... Oddałbym wszystko za kapelusz. Wszystko, byle tylko osłonić czaszkę. Mam ciągłe

bóle głowy; jest taka obolała i cały czas nie daje mi spokoju.

– Żałuję, że przyjechałem do Chin – wtrącił któryś z towarzyszy.

– Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś nazywał Wenus Chinami.

– Jasne, że to Chiny. Chińska tortura wodna. Pamiętacie? Przywiązują was do ściany i co pół godziny spuszczają na głowę kroplę wody. W końcu wariujecie, czekając na następną kroplę. To właśnie Wenus, tyle że na większą skalę. Nie jesteśmy stworzeni do życia w deszczu. Nie możemy spać ani oddychać; dostajemy obłędu z wilgoci. Gdybyśmy przewidzieli katastrofę, zabralibyśmy wodoodporne mundury i kaski. Najgorsze jest to stałe bębnienie deszczu o głowę. Zupełnie jak ostrzał z wiatrówki. Nie wiem, jak długo to wytrzymam.

– Grunt to dotrzeć do Słonecznej Kopuły. Gość, który ją wymyślił, miał naprawdę świetny pomysł!

Przeprawili się przez rzekę, cały czas rozmyślając o Słonecznej Kopule, czekającym gdzieś w dali i połyskującym w dżdżystej dżungli żółtym domu, okrągłym i jasnym jak słońce. Wysokim na pięć metrów, mającym trzydzieści metrów średnicy, oferującym ciepło, ciszę, gorący posiłek i osłonę przed deszczem. Sercem Słonecznej Kopuły było rzecz jasna słońce – niewielka kula żółtego ognia, unosząca się swobodnie w powietrzu pod dachem budynku. Można było wpatrywać się w nie ze swego miejsca, jednocześnie pałąc, czytając książkę bądź sącząc gorącą czekoladę z piankami; patrzeć w żółte słońce, dokładnie wielkości ziemskiego, gorące i niezmiennie, leniwie spędzać czas i zapomnieć o deszczowym świecie Wenus.

Porucznik odwrócił się i spojrzał na trzech mężczyzn, którzy zaciskając zęby, machali wiosłami. Byli biali jak grzyby, jak on sam; wystarczyło kilka miesięcy, by Wenus wybieliła wszystko. Nawet tutejsza dżungla przypominała biało-czarny rysunkowy koszmar, jak bowiem miała nabrać zieleni bez słońca, w ciągłym deszczu i półmroku? Biała, biała dżungla o jasnych liściach barwy sera, poszyciu z mokrego camemberta i pniach drzew przywodzących na myśl olbrzymie muchomory – wszystko w bieli i czerni. Tak naprawdę rzadko dostrzegali samą ziemię; przez większość czasu widzieli tylko strużki, strumyczki, kałuże,



jeziorka, jeziora, rzeki i w końcu morze.

– Jesteśmy!

Wyskoczyli na brzeg, rozbryzgując wokół fontanny wody. Spuścili powietrze z łodzi i schowali ją w paczce papierosów. Potem zaś, stojąc na skąpanym w deszczu brzegu, próbowali zapalić; dopiero po pięciu minutach, wstrząsani dreszczami, zdołali zmusić odwróconą zapalniczkę do współpracy. Osłaniając papierosy dłońmi, zaciągali się pośpiesznie. Po chwili papierosy w ich ustach zmiękły, a potem nagła mocniejsza fala deszczu porwała je na dobre.

Ruszyli naprzód.

– Chwileczkę! – rzucił porucznik. – Zdawało mi się, że coś widzę.

– Słoneczna Kopuła?

– Nie jestem pewien. Deszcz znów zgęstniał.

Simmons puścił się biegiem.

– Słoneczna Kopuła!

– Simmons, wracaj!

– Słoneczna Kopuła!

Mężczyzna zniknął w deszczu. Pozostali pobiegli za nim.

Znaleźli go na niewielkiej polanie; przystanęli, patrząc na niego i na to, co odkrył.

Rakietę.

Leżała w miejscu, gdzie ją zostawili. Jakimś cudem zatoczyli koło i wrócili do punktu wyjścia. W ustach leżących wśród szczątków statku dwóch martwych mężczyzn wyrosła zielonkawa pleśń. Na ich oczach pleśń zakwitła, płatki odpadły w deszczu i zieleń zniknęła.

– Jakim cudem?

– W pobliżu musi krążyć elektryczna burza. Rozregulowała nam kompas. To jedyne wyjaśnienie.

– Masz rację.

– Co teraz zrobimy?

– Zaczniemy od początku.

– Dobry Boże, nie jesteśmy wcale bliżej celu.

– Spróbujmy zachować spokój, Simmons.

– Spokój, spokój! Ten deszcz doprowadza mnie do szału.

– Jeśli będziemy oszczędni, prowiantu starczy nam jeszcze na dwa dni.

Deszcz tańczył na ich skórze, na mokrych mundurach; wypływał z nosów i uszu, spomiędzy palców, spod kolan. Wyglądali jak wzniesione w dżungli kamienne fontanny, tryskające wodą ze wszystkich porów.

Nagle ich uszu dobiegł ryk i z deszczu wynurzył się potwór.

Potwór wspierał się na tysiącu błękitnych elektrycznych nóg. Zbliżał się szybko, nieuchronnie. Nogi z niewiarygodną mocą uderzały o ziemię, pozostawiając za sobą zwalone zwęglone drzewa. W deszczowym powietrzu unosiła się woń ozonu, miliony kropeł rozbijały na strzępy smugi szarego dymu. Potwór miał pół mili szerokości i milę wysokości; wymacywał sobie drogę niczym ślepy olbrzym. Czasami, przez ułamek sekundy, jego nogi znikwały, a potem w jednej chwili z brzucha monstrem wystrzeliwało tysiąc batów, biało-błękitnych batów katujących dżunglę.

– Elektryczna burza – rzekł jeden z ludzi. – To właśnie ona załatwiła nasze kompasy. I zmierza w tę stronę.

– Wszyscy na ziemię! – polecił porucznik.

– Uciekajcie! – krzyknął Simmons.

– Nie bądź głupi. Padnij. Pioruny trafiają najwyższe punkty. Może uda nam się wyjść z tego cało. Połóżcie się pięćdziesiąt stóp od rakiety. Możliwe, że burza wyładuje się na niej. Padnij!

Mężczyźni padli.

Po chwili zaczęli dopytywać się półgłosem:

– Zbliża się?

– Zbliża.

– Jak daleko?

– Dwieście jardów.

– A teraz?

– Już jest!

Potwór nadszedł i stanął nad nimi. Wyrzucił z siebie dziesięć błękitnych piorunów, które uderzyły w rakiety. Metal zadźwięczał, rozbłyskując niczym miedziany gong. Potwór odpowiedział piętnastoma piorunami, tańczącymi wokół

w idiotycznej pantomimie, obmacującymi dżunglę i nasiąknięty wodą grunt.

- Nie, nie! - Jeden z mężczyzn zerwał się z ziemi.
- Padnij, głupcze! - rzucił porucznik.
- Nie!

Następny tuzin piorunów znowu uderzył w rakiety. Porucznik odwrócił głowę i ujrzał oślepiające błękitne rozbłyski. Widział, jak drzewa pękają i rozsypują się w proch. Potworna ciemna chmura obróciła się niczym czarny dysk nad ich głowami i eksplodowała setką słupów elektryczności.

Mężczyzna biegł niczym uwięziony w wielkiej kolumnowej sali, wymijając filary - a potem pół tuzina słupów opadło jednocześnie i rozległ się odgłos, jaki wydaje mucha, kiedy trafi pomiędzy rozpalone druty pułapki. Porucznik pamiętał go z czasów dzieciństwa na farmie. Wokół rozszedł się swąd palonego ciała.

Porucznik opuścił głowę.

- Nie patrzcie - uprzedził pozostałych.

Bał się, że sam także może uciec.

Burza wystrzeliła kolejną salwę piorunów, a potem odeszła. Pozostał tylko deszcz, który szybko oczyścił powietrze z nieprzyjemnej woni. Po chwili trzej pozostali mężczyźni siedzieli już na ziemi, czekając, by szaleńczo tłukące się w piersiach serca przycichły.

Podeszli do ciała z nadzieją, że może jeszcze zdołają ocalić towarzysza. Nie mogli uwierzyć, że nie da się mu już pomóc. Był to naturalny odruch ludzi, którzy nie akceptują śmierci, póki jej nie dotkną, nie obrócą i nie zdecydują, czy pogrzebać zwłoki, czy też zostawić w dżungli, gdzie w ciągu godziny pokryje je warstwa roślinności.

Ciało wyglądało jak woskowy manekin wrzucony do pieca i wyciągnięty, kiedy wosk spłynął już z grafitowego szkieletu. Tylko zęby pozostały białe; błyszcząły niczym osobliwa bransoleta w zaciśniętej czarnej pięści.

- Nie powinien był uciekać - powiedzieli niemal jednocześnie.

Na ich oczach ciało zaczęło zanikać. To roślinność obejmowała

je w posiadanie. Małe pędy bluszczu, powój, a nawet kwiaty dla umarłych. Tymczasem burza oddalała się na błękitnych błyskawicach. Po chwili zniknęła.

\* \* \*

Przeprawili się przez rzekę, potok, strumień i tuzin innych rzek, potoków i strumieni. Widzieli, jak pojawiają się nowe rzeki, a stare – barwy rtęci, srebra i mleka – zmieniają bieg.

Wreszcie dotarli do morza.

Jedyne Morza. Na Wenus był tylko jeden kontynent, długi na trzy tysiące i szeroki na tysiąc mil. Oblewało go Jedyne Morze, pokrywające całą deszczową planetę. Jedyne Morze muskające łagodnie wyblakły brzeg...

– Tędy. – Porucznik wskazał na południe. – Jestem pewien, że z tamtej strony znajdziemy dwie Słoneczne Kopuły.

– Czemu właściwie nie wybudowali jeszcze setki?

– W sumie jest ich sto dwadzieścia, prawda?

– Sto dwadzieścia sześć według stanu z zeszłego miesiąca. Rok temu na Ziemi próbowali przepchnąć przez Kongres ustawę pozwalającą na wzniesienie jeszcze kilkunastu, ale wiecie, jak to jest. Wołą, by kilku pechowców oszalało w deszczu.

Ruszyli na południe. Porucznik, Simmons i trzeci mężczyzna, Pickard, maszerowali w deszczu, ulewie i mżawce, ulewie i mżawce; w deszczu, który lał się strumieniami, bębnił i szumiał i nie przestawał padać na ziemię, morze i wędrujących ludzi.

Simmons dostrzegł ją pierwszy.

– Jest!

– Co jest?

– Kopuła!

Porucznik zamrugał, aby usunąć wodę z oczu. Uniósł rękę, broniąc się przed bolesnymi ciosami deszczu.

W dali, na skraju dżungli, nad morzem jaśniał żółty blask. Rzeczywiście, była to Słoneczna Kopuła.

Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie.

– Wygląda na to, że miałaś rację.

– Zwykle szczęście.

– Sam widok dodaje mi sił. Ruszajmy! Ostatnich gryzą psy!

Simmons przyspieszył kroku. Pozostali także odruchowo pobiegli, dysząc ze zmęczenia, lecz nie zwalniając tempa.

– Dla mnie wielki dzbanek kawy – wysapał uśmiechnięty Simmons. – I blacha cynamonowych bułeczek. Będę leżeć i kąpać się w słońcu. Gość, który wymyślił Słoneczne Kopuły, powinien dostać medal!

Biegli szybciej. Żółty blask stawał się coraz jaśniejszy.

– Pewnie zanim na to wpadli, mnóstwo ludzi oszalało. A przecież to oczywiste. Zupełnie jasne. – Simmons dysząc, wykrzykiwał słowa w rytm kroków. – Deszcz, deszcz! Lata temu. Znalazłem kumpla. W dżungli. Krążącego bez celu. W deszczu. Kumpel powtarzał: „Za mało wiem, by wejść, więc w deszczu tkwię. Za mało wiem, by wejść, więc w deszczu tkwię. Za mało wiem...”. Bez przerwy. Biedny świr.

– Oszczędź tchu.

Biegli.

Ze śmiechem dotarli do drzwi Kopuły. Simmons otworzył je szarpnięciem.

– Hej! – wrzasnął. – Przynieście kawę i bułeczki!

Nikt nie odpowiedział.

Weszli do środka.

Słoneczna Kopuła była pusta i ciemna. Pośrodku błękitnego sufitu w obłoku gazów nie unosiło się sztuczne żółte słońce. Nikt nie czekał z jedzeniem. We wnętrzu było ciemno jak w grobie, przez tysiąc wybitych niedawno w suficie dziur wlewała się woda. Deszcz wsiąkał w grube dywany i rozbryzgiwał się na ciężkich nowoczesnych meblach i szklanych stołach. Dżungla wtargnęła do środka; mech porastał szafy z książkami i kanapy. Deszcz przeciskał się przez otwory i padał na twarze trzech wędrowców.

Pickard wybuchnął cichym śmiechem.

– Zamknij się!

– Bogowie, co za powitanie! Ani śladu jedzenia, słońca, niczego. Wenusjanie, to ich robota. Oczywiście!

Simmons przytaknął. Po jego twarzy spływał deszcz. Woda

wsiąkała w posrebrzane włosy i białe brwi.

– Od czasu do czasu Wenusjanie wynurzają się z morza i atakują Słoneczne Kopuły. Wiedzą, że jeśli je zniszczą, zniszczą też nas.

– Ale czy Kopuły nie wyposażono w broń?

– Jasne – Simmons przeszedł we względnie suche miejsce – lecz od ostatniego ataku Wenusjan minęło pięć lat. Strażnicy stracili czujność. Wenusjanie ich zaskoczyli.

– Gdzie są ciała?

– Zabrali je z sobą do morza. Słyszałem, że znają uroczą metodę topienia. Śmierć przychodzi po ośmiu godzinach. Naprawdę cudownie.

– Założę się, że nie ma tu nic do zjedzenia. – Pickard znowu wybuchnął gorzkim śmiechem.

Porucznik zmarszczył brwi i skinął głową; Simmons wzruszył ramionami i skierował się do pomieszczenia z boku owalnej sali. Podłogę w kuchni zaścielały nasiąknięte wodą bochenki chleba oraz zwały mięsa pokrytego gęstym zielonym nalotem. Ze studek w suficie kapał deszcz.

– Wspaniale. – Porucznik uniósł wzrok. – Może pozatykamy te dziury i rozgościmy się?

– Bez jedzenia? – prychnął Simmons. – Zauważyłem, że zniszczyli maszynę słoneczną. Mamy tylko jedną szansę. Ruszać do następnej Kopuły. Czy to daleko?

– Nie. Z tego, co pamiętam, zbudowali je dość blisko siebie. Może jeśli tu zaczekamy, znajdzie nas ekipa ratunkowa...

– Zapewne już tu była i odeszła kilka dni temu. Za sześć miesięcy, gdy dostaną pieniądze z Kongresu, wyślą zespoły naprawcze. Raczej nie powinniśmy czekać.

– W porządku zatem. Zjemy resztki prowiantu i ruszamy do następnej Kopuły.

– Gdyby tylko deszcz przestał walić mnie w głowę – westchnął Pickard. – Gdybym pamiętał, jak to jest mieć spokój. – Uniósł ręce i przycisnął do czaszki. – Kiedy byłem w szkole, w ławce za mną siedział pewien osiłek, który wciąż mnie szczypał, co pięć minut, co dzień. Robił to tygodniami, miesiącami. Cały czas miałem obolałe, sinoczarne ramiona i myślałem, że oszaleję od tego

szczypania. Któregoś dnia musiałem naprawdę zwariować; odwróciłem się, złapałem metalową linijkę, której używałem do rysunków technicznych, i o mało nie zabiłem drania. Próbowałem obciąć mu jego wszawą głowę, wydłubać oko. W końcu wyciągnęli mnie z klasy. I cały czas wrzeszczałem: „Czemu nie zostawi mnie w spokoju?! Czemu nie zostawi mnie w spokoju?!”. Bracie! – Rozdygotanymi dłońmi objął głowę, oczy miał zamknięte. – A teraz co mam zrobić? Kogo uderzyć? Komu kazać się odczepić? Dać mi spokój? Ten przeklęty deszcz jest jak szczypanie! Słyszę tylko jego, tylko jego czuję!

– O czwartej po południu powinniśmy już być w drugiej Kopule.

– Kopule? Spójrzcie na tę! A jeśli wszystkie Słoneczne Kopuły na Wenus zostały zniszczone? Co wtedy? Jeśli wszędzie przez dziury w suficie wpada deszcz?

– Musimy zaryzykować.

– Zmęczyło mnie ryzyko. Pragnę tylko dachu nad głową. Chcę być sam.

– Jeszcze tylko osiem godzin. Wytrzymasz?

– Nie bójcie się. Wytrzymam. – Pickard roześmiał się, nie patrząc na nich.

– Zjedzmy – zaproponował Simmons, nie spuszczać z niego wzroku.

\* \* \*

Ruszyli brzegiem, kierując się na południe. Po czterech godzinach musieli skręcić w głąb lądu, by okrążyć rzekę, szeroką na milę i tak bystrą, że nie udało się jej pokonać łodzią. Przeszli sześć mil, do miejsca, w którym tryskała z ziemi niczym krew ze śmiertelnej rany. Skąpani w deszczu maszerowali, by znów wrócić nad morze.

– Muszę się przespać – oznajmił w końcu Pickard i osunął się na ziemię. – Nie spałem od czterech tygodni. Próbowałem, lecz nie mogłem. Zasną tutaj.

Niebo ciemniało. Zapadała noc, a noce na Wenus oznaczały ciemność tak gęstą, że niebezpiecznie było maszerować. Simmons i porucznik także padli na kolana.

– W porządku – powiedział porucznik. – Zobaczymy, czy nam się uda, choć próbowaliśmy już wcześniej. Sam nie wiem. Trudno zapaść w sen w taką pogodę.

Wyciągnęli się wygodnie, podpierając głowy, tak by woda nie wpływała do ust, i zamknęli oczy.

Nagle porucznik poruszył się.

Coś pełzało mu po skórze, obrastało go. Krople napotykały inne krople i łączyły się w spływające po ciele strumyki; w ubraniu korzenie zapuszczały miniaturowe lasy. Czuł, jak bluszcz spowija go niczym dodatkowy strój. Małe kwiatki pęczniały, rozkwitały i opadały, a deszcz wciąż uderzał o jego ciało i głowę. W nocnym blasku – roślinność bowiem świeciła w ciemności – widział swych towarzyszy leżących jak powalone kłody, pokryte aksamitną warstwą trawy i kwiatów. Krople deszczu uderzały go w twarz. Ukrył ją w dłoniach. Krople deszczu atakowały szyję. Odwrócił się na brzuch w błocie, wśród gumowatych roślin. Deszcz zaczął chłostać go po plecach i nogach.

Nagle porucznik zerwał się z ziemi i zaczął strzepywać z siebie wodę. Dotykały go tysiące rąk, a on nie chciał już być dotykany. Nie mógł tego znieść. Potknął się, uderzając o coś. Wiedział, że to Simmons stojący w deszczu, krztuszący się i kichający. A potem Pickard skoczył na równe nogi, miotając się i krzycząc.

– Pickard, stój!

– Niech on przestanie! Niech przestanie! – wrzasnął Pickard.

Uniósł pistolet i wystrzelił z niego sześć razy w nocne niebo. Prochowe rozbłyski ukazały całe armie deszczowych kropeł, zastygłe w ułamku sekundy niczym drobinki w ogromnym nieruchomym bursztynie, jakby huk oszołomił je na moment. Piętnaście miliardów kropeł, piętnaście miliardów łez, piętnaście miliardów ozdób, klejnotów połyskujących na tle białego aksamitu. A potem, gdy światło zgasło, krople czekające na zrobienie zdjęcia, zatrzymane w pędzie, runęły na nich, kłując niczym chmara zimnych zjadliwych owadów.

– Niech on przestanie!

– Pickard!

Nagle Pickard stanął bez ruchu. Gdy porucznik włączył



niewielką lampę i uniósł ją do twarzy tamtego, ujrzał rozszerzone źrenice i otwarte usta. Głowa była odchylona, tak że deszcz rozbryzgiwał się na języku Pickarda, zalewał rozwarłe oczy i bulgotał cicho w nozdrzach.

– Pickard!

Mężczyzna nie odpowiadał. Po prostu stał. Deszczowe bańki pękały w jego pobielających włosach. Z szyi i przegubów spływały okowy deszczowych klejnotów.

– Pickard! Ruszamy. Idziemy stąd. Chodź z nami.

Deszcz wyciekał z uszu Pickarda.

– Słyszysz mnie?

Zupełnie jakby krzyczał w głąb studni.

– Zostaw go – wtrącił Simmons.

– Nie możemy iść bez niego.

– A co, mamy go nieść? – Simmons splunął. – Nic nam po nim.

Wiesz, co teraz zrobi? Będzie tak stał, aż utonie.

– Co?

– Myślałem, że wiesz. Nie znasz tej historii? Będzie tu stał z uniesioną głową, pozwalając, by deszcz wypełnił mu nozdrza i usta. Zacznie oddychać wodą.

– Nie.

– Tak właśnie znaleźli generała Mendta. Siedział na kamieniu z odchyloną głową, płuca miał pełne wody.

Porucznik ponownie uniósł światło do nieruchomej twarzy. Z ust Pickarda dochodziło ciche rżenie. Porucznik wymierzył mu mocny policzek.

– On tego nie czuje – rzekł Simmons. – Kilka dni w deszczu i człowiek nie ma już twarzy, nóg czy rąk.

Porucznik ze zgrozą spojrział na własną dłoń. Nie czuł jej.

– Ale przecież nie możemy go tu zostawić.

– Pokażę ci, co możemy zrobić.

Simmons wystrzelił.

Pickard runął na zalaną deszczem ziemię.

– Nie ruszaj się, poruczniku. Teraz celuję w ciebie. Przemyśl to. Stałby tu tylko, póki w końcu by nie utonął. Tak jest szybciej.

Porucznik zamrugał, spoglądając na trupa.

– Ale ty go zabiłeś.

– Tak, bo w przeciwnym razie on zabiłby nas. Nigdzie byśmy z nim nie doszli. Widziałeś jego twarz. Oszalał.

Po chwili porucznik przytaknął.

– W porządku.

Odeszli w deszcz. Było ciemno. Promienie światła z ich lamp rozjaśniały deszcz zaledwie w promieniu kilku stóp. Po półgodzinie musieli się zatrzymać i przesiedzieć resztę nocy, skręcając się z głodu i czekając na nadejście świtu. Gdy w końcu nastał dzień, był szary i deszczowy, jak zwykle. Znow ruszyli w drogę.

– Źle obliczyliśmy odległość – rzekł Simmons.

– Nie. Jeszcze tylko godzina.

– Mów głośniej. Nie słyszę cię. – Simmons stanął i uśmiechnął się. – Boże – rzekł, unosząc ręce do głowy. – Moje uszy wysiadły. Cały odrętwiałem z tego deszczu.

– Niczego nie słyszysz? – spytał porucznik.

– Co? – Simmons spojrzał na niego pytająco.

– Nic. Chodźmy.

– Ja chyba tu zaczekam. Idź przodem.

– Nie możesz tego zrobić.

– Nie słyszę cię. Idź. Jestem zmęczony. Wątpię, by gdzieś w okolicy była Słoneczna Kopuła. A jeśli nawet, ma pewnie dziury w dachu, tak jak ostatnia. Chyba po prostu tu posiedzę.

– Wstawaj!

– Żegnam, poruczniku.

– Nie możesz się teraz poddać.

– Mam pistolet, który mówi „zostaję”. Nic już mnie nie obchodzi. Jeszcze nie zwariowałem, ale jestem tego bliski. Nie chcę tak skończyć. Gdy tylko zejdziesz mi z oczu, użyję broni.

– Simmons!

– To moje nazwisko. Tyle potrafię odczytać z ruchu warg.

– Simmons.

– Posłuchaj, to tylko kwestia czasu. Umrę albo teraz, albo za kilka godzin. Ciekawe, co będzie, kiedy dotrzesz do następnej Kopuły – jeśli w ogóle tam jest – i ujrzysz deszcz przeciekający

przez dach. Czyż to nie miłe?

Porucznik odczekał chwilę, po czym odszedł w deszczu. Raz odwrócił się i zawołał, lecz Simmons po prostu siedział z pistoletem w dłoniach, czekając, aż się oddali. Potrząsnął tylko głową i gestem popędził towarzysza.

Porucznik nie usłyszał nawet strzału.

Po drodze zaczął jeść kwiaty. Na chwilę oszukał głód. Nie były trujące ani specjalnie odżywcze; w minutę później wszystkie je zwymiotował.

Raz zebrał garść liści i próbował upleść z nich czapkę. Robił to już wcześniej – deszcz błyskawicznie zmywał wszystko z jego głowy. Zerwane rośliny szybko gniły i zamieniały się w szarą masę przeciekającą między palcami.

– Jeszcze tylko pięć minut – powtarzał. – Pięć minut, a potem wejść do morza i się nie zatrzymam. Nie jesteśmy do tego stworzeni. Żaden Ziemianin nie zniesie czegoś takiego. To nerwy, nasze nerwy.

Przedzierał się przez ocean błota i roślin; w końcu dotarł na niewielkie wzgórze.

W dali, pośród szarych otchłani deszczu, ujrzał maleńką żółtą plamkę. Następną Słoneczną Kopułę.

Daleko pomiędzy drzewami wznosił się okrągły żółty budynek. Przez chwilę porucznik stał chwiejnie, wpatrując się weń.

Zaczął biec, nagle jednak zwolnił przerażony. Nie krzyczał. A jeśli to ta sama? Jeśli to martwa Kopuła pozbawiona słońca?

Pośliznął się i upadł. „Leż tu” – rzekł do siebie w myślach. – „To nie ta. Leż. Nie ma po co iść. Pij, ile zechcesz”.

Zdołał jednak dzwignąć się na nogi i pokonać kilka strumieni. Żółte światło stawało się coraz jaśniejsze, a on znów ruszył biegiem; jego stopy miażdżyły szkło i zwierciadła, ręce roztrącały brylanty i kryształy deszczu.

Stał przed żółtymi drzwiami. Nad nimi drukowanymi literami napisano: SŁONECZNA KOPUŁA. Uniósł odrętwiałą dłoń, by ich dotknąć, a potem przekręcił kłamkę i potykając się, wpadł do środka.

Przez chwilę rozglądał się oszołomiony. Za jego plecami strugi

deszczu waliły o ziemię. Przed nim na niskim stole stały srebrny imbryk z parującą czekoladą i pełna filizanka przybrana pianką. Obok na tacy leżały grube kanapki z soczystym kurczakiem, świeżymi pomidorami i zielonym szczypiorkiem. Tuż przed oczami miał wieszak ze wspaniałym, grubym zielonym tureckim ręcznikiem i kubeł na mokre ubranie. Po prawej zapraszała do swego wnętrza niewielka kabina, w której mógł się osuszyć gorącymi podmuchami powietrza. Na krześle powieszono świeży mundur, czekający na zbłąkanego wędrowca. Dalej zaś były kawa w parujących miedzianych urnach i fonograf grający cicho spokojną melodię, a także książki oprawne w czerwoną i brązową skórę. Obok nich ujrzał kanapę, miękką, głęboką kanapę, na której można się wyciągnąć nago, by chłonąć jaskrawe promienie rozsiewane hojnie przez najważniejszą rzecz w długim pomieszczeniu.

Zamknął oczy. Widział zmierzających ku niemu innych ludzi, nic jednak nie mówił. Odczekał moment, po czym otworzył oczy i spojrział. Woda ściekająca z munduru utworzyła kałużę wokół jego stóp. Czuł, jak wysycha i znika z włosów, twarzy, piersi, rąk i nóg.

Patrzył w słońce.

Wisiało pośrodku pomieszczenia, nie wydawało z siebie żadnych dźwięków. W całej kopule panowała cisza. Drzwi zamknęły się i deszcz pozostał już tylko wspomnieniem obolałego ciała. Słońce unosiło się wysoko na błękitnym niebie sufitu: ciepłe, gorące, żółte i piękne.

Ruszył ku niemu, zdzierając po drodze ubranie.

## RAKIECIARZ

Elektryczne świetliki unosiły się nad ciemnymi włosami matki, oświetlając jej drogę. Stała w drzwiach sypialni, patrząc, jak mijam ją w cichym korytarzu.

– Tym razem pomożesz mi go zatrzymać, prawda? – spytała.

– Chyba tak – rzekłem.

– Proszę. – Świetliki tworzyły na jej białej twarzy ruchome jasne punkciki. – Tym razem nie może już odlecieć.

– W porządku – odparłem, przystając. – Ale to i tak na nic się nie zda.

Odeszła; stado świetlików na elektrycznej uwięzi śmignęło za nią niczym zbłąkany gwiazdozbiór, wskazujący, jak należy poruszać się w ciemnościach. Z daleka usłyszałem jej słaby głos:

– I tak musimy spróbować.

Inne świetliki towarzyszyły mi w drodze do pokoju; gdy ciężar mojego ciała przerwał obwód w łóżku, robaczki zgasty. Była północ, a matka i ja czekaliśmy, rozdzieleni ścianą ciemności. Łóżko zaczęło kołysać mnie do snu i śpiewać. Dotknąłem przełącznika. Śpiew i kołysanie ustały. Nie chciałem spać. Z całą pewnością nie chciałem spać.

Ta noc nie różniła się od tysięcy innych. Budziliśmy się w mroku, czując nagłe ogrzanie chłodnego powietrza i ognisty wiatr, widząc ściany na moment rozbłyskujące jaskrawym światłem. I wówczas wiedzieliśmy, że nad domem przelatuje rakietka – jego rakietka – a dęby kołyszą się, targane podmuchem. Leżałem wówczas z szeroko otwartymi oczami, dysząc, a matka czekała w swoim pokoju. Jej głos dobiegał mnie z głośnika domowego radia.

– Czujesz?

– To on – odpowiadałem. – Z całą pewnością.

To był statek mojego ojca przelatujący nad małym miasteczkiem, gdzie nigdy nie lądowały rakiety. A my leżeliśmy

rozbudzeni przez następne dwie godziny, myśląc: „Teraz tato ląduje w Springfield, idzie po płycie, podpisuje dokumenty, teraz jest w helikopterze, przelatuje nad rzeką, nad wzgórzami, siada na niewielkim lotnisku w Green Village...”. I tak upływała nam noc, gdy leżeliśmy w oddzielnych zimnych łózkach, matka i ja, nasłuchując. „Teraz idzie Bell Street. Zawsze chodzi pieszo. Nigdy nie bierze taksówki. Teraz przecina park, skręca w Oakhurst i...”.

Podniosłem głowę z poduszki. Na drugim końcu ulicy rozległy się kroki. Z każdą chwilą zbliżały się ku nam, szybkie, rytmiczne. Skręcały do naszego domu, dudniły na schodach, a my uśmiechaliśmy się w zimnych ciemnościach, matka i ja, słysząc, jak drzwi frontowe otwierają się, poznając pana, witają go krótko i zatrząskują się z powrotem.

Trzy godziny później przekręciłem cicho mosiężną gałkę w drzwiach ich pokoju. Wstrzymując oddech, aby nie stracić równowagi w mroku równie rozległym jak przestrzeń między planetami, wyciągnąłem rękę i chwyciłem niewielką czarną walizeczkę stojącą w nogach łoża śpiących rodziców. Potem pobiegłem bezszelestnie do swojego pokoju, myśląc: „On mi nie powie, nie chce, żebym wiedział”.

Z otwartej walizeczki wypłynął jego czarny mundur, mroczny obłok usiany migoczącymi w dali gwiazdami. Zmiałem czarny materiał w ciepłych dłoniach; czułem zapach planet Mars – woń żelaza i Wenus – zapach zielonego bluszczu, a także Merkurego – wyraźny swąd ognia i siarki. Poczułem też zapach mlecznego Księżyca i twardość gwiazd. Wepchnąłem mundur do wirówki, którą zbudowałem na zajęciach robót praktycznych. Uruchomiłem ją. Wkrótce wewnątrz zaczął się unosić drobnutki pył. Wsunąłem go pod mikroskop. I kiedy rodzice spali, nieświadomi niczego, a dom także zdawał się pogrążony we śnie, z wyłączonymi automatycznymi piekarzami, służącymi i sprzątaczkami, wpatrywałem się w lśniące drobinki pyłu z meteorów, ogonów komet i gleby z odległego Jowisza, połyskujące niczym maleńkie światy, które wciągały mnie ku sobie, miliard mil w kosmos, ze wspaniałym przyśpieszeniem.

O świcie, wyczerpany podróżą, lękając się odkrycia, odniosłem

mundur w walizeczce do ich sypialni.

A potem zasnąłem. Obudził mnie klakson wozu pralniczego, który zatrzymał się na podwórku. Zabrali ze sobą mundur w walizeczce. Dobrze, że nie czekałem – za godzinę będzie już czysty, pozbawiony wszelkich śladów przebytej drogi.

I znów zasnąłem z małym flakonikiem pyłu w kieszeni piżamy, tuż nad bijącym sercem.

\* \* \*

Kiedy zszedłem na dół, tato siedział już przy stole, chrupiąc grzankę.

– Dobrze spałeś, Doug? – spytał, jakby był tu cały czas, a nie wrócił właśnie po trzech miesiącach nieobecności.

– W porządku – odparłem.

– Grzankę?

Nacisnął guzik i stół śniadaniowy wyrzucił z siebie cztery złocistobrazowe tosty.

Pamiętam, jak tego popołudnia ojciec zawzięcie kopał w ogrodzie, niczym zwierzę szukające łupu. Jego długie ciemne ręce poruszały się zręcznie, sadząc, pikując, pieląc, przycinając, wiążąc; śniada twarz spoglądała w ziemię, oczy śledziły każdy ruch, nigdy nie wznosząc się ku niebu, nie patrząc na mnie ani nawet na matkę, chyba że klękaliśmy obok niego, a wilgoć z ziemi wsiąkała w nasze spodnie. Zanurzaliśmy ręce w czarnym błocie, nie patrząc na jasny szalony nieboskłon. Wówczas zerkał na boki, na matkę bądź na mnie, mrugał do nas i wracał do pracy, pochylony, zwrócony plecami do nieba.

\* \* \*

Wieczorem siedzieliśmy na werandzie na mechanicznej huśtawce, która kołysała nas, muskała łagodnymi powiewami wiatru i śpiewała. Było lato, świecił księżyc i trzymaliśmy w dłoniach zimne szklanki lemoniady. Ojciec czytał stereogazety wsunięte w specjalną czapkę, którą zakładało się na głowę, a ona odwracała miniaturowe stronicę przed powiększającą soczewką, gdy czytający mrugnął szybko trzy razy. Palił papierosy

i opowiadał o swoim dzieciństwie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku. Po jakimś czasie obrócił się ku mnie.

– Czemu nie grasz z chłopakami w piłkę, Doug? – spytał jak zawsze.

Nie odpowiedziałem. Wyręczyła mnie mama.

– Gra wieczorami, kiedy cię nie ma.

Tato spojrział na mnie, a potem po raz pierwszy tego dnia uniósł wzrok ku niebu. Matka zawsze obserwowała go, gdy spoglądał w gwiazdy. Pierwszego dnia i nocy po powrocie nie czynił tego zbyt często. Przypomniałem sobie, jak szalał w ogrodzie, niemal wbijając ogorzałą twarz w ziemię. Lecz drugiego wieczoru nieco dłużej patrzył w nocny firmament. Mama nie obawiała się nieba za dnia, lecz wyraźnie pragnęła zgasić gwiazdy. Czasami zdawało mi się, że zaraz sięgnie do wyłącznika, nigdy jednak nie mogła go znaleźć. Trzeciego wieczoru tato do późna siedział na werandzie, a kiedy mieliśmy iść do łóżka, mama wołała go, zupełnie jak mnie, gdy czasami zostałem zbyt długo na dworze. Potem słyszałem, jak z westchnieniem zatrząskiwiał elektroniczny zamek. Następnego ranka przy śniadaniu, kiedy smarował masłem grzanekę, zerkałem w dół i widziałem małą czarną walizeczkę u jego stóp. Byliśmy sami; mama nie wstawiała tak wcześnie.

– Cóż, do zobaczenia, Doug – mówił i ściskaliśmy sobie dłonie.

– Za jakieś trzy miesiące?

– Tak.

I odchodził ulicą. Nigdy nie wzywał helikoptera czy wozu, nie jechał autobusem – po prostu szedł, niosąc pod pachą ukryty w walizce mundur. Nie chciał, by ktoś sądził, że przechwała się tym, iż jest rakieciarem.

Godzinę później matka wstawiała na śniadanie – jedną suchą grzanekę.

Dziś jednak był pierwszy wieczór, dobry wieczór, i ojciec rzadko patrzył w gwiazdy.

– Chodźmy do telelunaparku – zaproponowałem.

– Jasne – odparł ojciec.



Matka uśmiechnęła się do mnie.

Popędziliśmy helikopterem do miasta i poprowadziliśmy tatę przed tysiącem eksponatów, byle tylko jego twarz i głowa zostały tu, z nami, byle nie patrzył nigdzie indziej. A kiedy tak śmiałyśmy się z zabawnych rzeczy i z powagą oglądaliśmy poważne, pomyślałem: Mój ojciec lata na Saturna, Neptuna i Plutona, ale nigdy nie przywozi mi prezentów. Inni chłopcy, których ojcowie pracują w kosmosie, dostają kawałki rudy z Kallisto, czarne odłamki meteorów, próbki błękitnego piasku. Ja jednak muszę sam zadbać o swoją kolekcję, wymieniając się z kolegami. W ten sposób zdobyłem zapewniające mój pokój kamienie z Marsa i piaski z Merkurego. Ojciec nigdy nie wspominał o nich nawet słowem.

Pamiętam, że czasami przywoził coś dla matki. Kiedyś zasadził na podwórku marsjańskie słoneczniki, kiedy jednak nie było go już miesiąc, a kwiaty urosły, pewnego dnia mama wybiegła i wszystkie je ścięła.

Gdy przystanęliśmy przed kolejnym trójwymiarowym eksponatem, bez namysłu zadałem tacie to samo pytanie, co zawsze.

– Jak tam jest, w kosmosie?

Matka spojrzała na mnie z lękiem. Za późno.

Przez pół minuty ojciec stał bez ruchu, szukając odpowiedzi. W końcu wzruszył ramionami.

– To najlepsza rzecz w najlepszym ze światów – rzekł, po czym natychmiast się poprawił. – W sumie nic wielkiego. Rutyna. Nie spodobałoby ci się. – Spojrzał na mnie z obawą.

– Ale ty zawsze tam wracasz.

– Przyzwyczajenie.

– Gdzie teraz lecisz?

– Jeszcze się nie zdecydowałem. Przemyszę to.

Zawsze to przemysliwał. W owych czasach piloci rakiet byli bardzo poszukiwani, toteż mógł przebierać w ofertach pracy. Trzeciego wieczoru w domu widać było, jak poszukuje w gwiazdach.

– Chodźcie – powiedziała mama. – Czas wracać.

Gdy dotarliśmy do domu, wciąż było wcześnie. Chciałem, by tato założył mundur. Nie powinienem był prosić – matka nie była zadowolona – ale nie mogłem się powstrzymać. Stale go naciskałem, a on zawsze odmawiał. Nigdy nie widziałem go w mundurze. W końcu jednak rzekł: „No dobrze”.

Czekaliśmy w salonie, podczas gdy winda powietrzna uniosła go na piętro. Matka spojrzała na mnie z wyrzutem, jakby nie mogła uwierzyć, że własny syn jej to zrobił. Odwróciłem wzrok.

– Przepraszam – mruknąłem.

– Nie ułatwiasz sprawy – odparła. – Ani trochę.

Chwilę później rozległ się szepot windy.

– No, jestem – powiedział cicho tato.

Ujrzeliśmy go w mundurze. Był cały czarny, lśniący, ze srebrnymi guzikami i srebrzystymi podkuciami obcasów czarnych wysokich butów. Wyglądało to tak, jakby ktoś wykroił ręce, nogi i ciało z czarnego obłoku, przez który słabo przeświecają małe gwiazdki. Mundur opinał figurę ciasno niczym rękawiczka smukłą dłoń. Pachniał chłodnym powietrzem, metalem i przestrzenią; ogniem i czasem.

Ojciec stał na środku pokoju, uśmiechając się z zakłopotaniem.

– Obróć się – poleciła matka. Jej oczy spoglądały na niego i poprzez niego, w dal.

Gdy go nie było, nigdy o nim nie wspominała. Mówiła tylko o pogodzie, stanie mojej szyi i potrzebie przywrócenia jej dawnej czystości albo o tym, że źle sypia. Kiedyś wspomniała, że noce są zbyt jasne.

– Ale w tym tygodniu księżyc jest w nowiu – zauważyłem.

– Są jeszcze gwiazdy – odparła.

Poszedłem do sklepu i kupiłem jej ciemniejsze zielone rolety. Nocą, leżąc w łóżku, słyszałem, jak zaciąga je starannie z przeciągłym szelestem.

Kiedyś próbowałem skosić trawnik.

– Nie. – Mama stanęła w drzwiach. – Odstaw kosiarkę.

Przez trzy miesiące trawa rosła bez przeszkód. Tato skosił ją, kiedy wrócił.

Nie pozwalała mi też robić innych rzeczy: naprawić

elektrycznego automatu śniadaniowego czy mechanicznego czytnika książek. Zachowywała wszystko dla niego, jakby oszczędzała na święta. A potem widziałem, jak tato wymachuje młotkiem bądź śrubokrętem, uśmiechając się przy pracy, a matka obserwuje go szczęśliwa.

Nie, nigdy nie wspominała o nim, gdy go nie było. A co do taty, ani razu nie próbował skontaktować się z nami poprzez miliony mil. Kiedyś rzekł:

– Gdybym do was zadzwonił, zapragnąłbym być z wami. To by mnie unieszczęśliwiło.

Innym razem tato zagadnął mnie:

– Czasami twoja matka traktuje mnie jak powietrze – jakbym był niewidzialny.

Rzeczywiście, widziałem, jak to robiła. Patrzyła gdzieś za niego, nad jego ramieniem, albo lekko odwracała wzrok, tak by spoglądać na jego ręce, brodę, lecz nigdy w oczy. A kiedy już w nie spojrzała, jej własne oczy wydawały się zamglone jak u zasypiającego zwierzęcia. Przytakiwała w stosownych momentach i uśmiechała się, lecz zawsze pół sekundy za późno.

– Nie ma mnie przy niej – powiedział tato.

Czasami jednak był przy niej, a ona przy nim. Wówczas trzymali się za ręce, spacerowali po okolicy albo wybierali się na przejażdżki, a włosy mamy fruwały jak u małej dziewczynki. Wyłączała wtedy wszystkie mechaniczne urządzenia w kuchni, piekła mu niewiarygodne ciasta, torty i ciasteczka, i patrzyła głęboko w oczy, a jej uśmiech był prawdziwy i szczerzy. Lecz pod koniec takiego dnia, gdy on wciąż był przy niej, zawsze płakała, a tato stał bezradnie, rozglądając się wokół, jakby w poszukiwaniu odpowiedzi. Nigdy jednak jej nie znalazł.

Teraz odwrócił się powoli w mundurze, demonstrując go nam.

– Obróć się jeszcze raz – poprosiła mama.

\* \* \*

Następnego ranka tato wpadł do domu z naręczem biletów. Różowych do Kalifornii, błękitnych do Meksyku.

– Chodźcie! – rzucił. – Kupimy jednorazowe ubrania i kiedy się

zabrudzą, spalimy je. Polecimy południową rakieta do Los Angeles, o drugiej helikopterem do Santa Barbara, o dziewiątej samolotem do Ensenady, tam zanocujemy!

Polecieliśmy więc do Kalifornii i przez półtora dnia krążyliśmy po wybrzeżu Pacyfiku, aby w końcu wieczorem osiąść na plażach Malibu, gdzie upiekliśmy kiełbaski. Tato stale nasłuchiwał, śpiewał, oglądał wszystko wokół, chłonąc każdy obraz, jakby świat był ogromną wirówką, która w jednej chwili może odrzucić go na bok.

Ostatniego popołudnia w Malibu mama wróciła do hotelu. Przez długi czas leżeliśmy z tatą na piasku, w gorących promieniach słońca.

– Ach – westchnął wreszcie. – To jest życie. – Oczy miał półprzymknięte; leżał na wznak, chłonąc słońce. – Brakowało mi tego – rzekł.

Niedopowiedziany koniec zdania brzmiał oczywiście „w rakiecie”. On jednak nigdy nie mówił o rakiecie, nie wspominał jej ani rzeczy niedostępnych w przestrzeni. W rakiecie nie ma słonego wiatru, błękitnego nieba, złocistego słońca czy potraw mamy. W rakiecie nie można porozmawiać z czternastoletnim synem.

– Posłuchajmy – rzekł w końcu.

Wiedziałem, że teraz zaczniemy rozmawiać jak zawsze bite trzy godziny. Przez całe popołudnie mamrotaliśmy leniwie w słońcu o moich stopniach, o tym, jak wysoko skaczą, jak szybko pływam.

Za każdym razem tato przytakiwał, uśmiechał się i poklepywał mnie z aprobatą. Rozmawialiśmy nie o rakietach czy kosmosie, lecz o Meksyku, do którego wybraliśmy się kiedyś starożytnym samochodem, i o motylach schwytych w południe w ciepłej meksykańskiej dżungli. Setki motyli rozbijały się nam na masce i ginęły, trzepocząc błękitnymi i szkarłatnymi skrzydełkami; takie piękne, takie smutne. Mówiliśmy o takich rzeczach zamiast o tym, o czym naprawdę chciałem porozmawiać. A on słuchał. Zawsze to robił, jakby starał się napełnić głowę wszelkimi możliwymi dźwiękami. Słuchał wiatru, szumu oceanu i mojego głosu z niestąbną uwagą i skupieniem, które zdawało się

niemal pomijając fizyczny aspekt ciał, koncentrując się wyłącznie na dźwiękach. Zamykał oczy i słuchał. Wciąż widzę, jak wsłuchuje się w silnik kosiarki, prowadząc ją ręcznie, zamiast użyć pilota; jak wacha ściętą trawę, która tryska na niego zielonym deszczem z dyszy wylotowej.

– Doug – rzekł około piątej po południu, kiedy zebraliśmy już ręczniki i wędrowaliśmy plażą przy wodzie. – Chcę, żebyś coś mi obiecał.

– Co?

– Nie będziesz rakieciarzem.

Przystanąłem.

– Mówię poważnie. Bo kiedy się tam znajdziesz, będziesz chciał być tutaj, a kiedy będziesz tutaj, będziesz chciał tam wrócić. Nie zaczynaj. Nie pozwól się wciągnąć...

– Ale...

– Nie wiesz, jak to jest. Za każdym razem, gdy tam krążę, przyrzekam sobie, że jeśli wrócę na Ziemię, zostanę. Nigdy więcej nie polecę w kosmos. Ale lecę i chyba zawsze będę latał.

– Od dawna o tym rozmyślałem... – zacząłem.

Nie usłyszał mnie.

– Próbuję tu zostać. Zeszłej soboty, kiedy wróciłem, tak bardzo próbowałem.

Przypomniałem sobie, jak harował w ogrodzie zlany potem, wszystkie te podróże, rozrywki i dźwięki, i pojąłem, iż robił to, aby przekonać samego siebie, że morze i miasta, ziemia i rodzina to jedyne, co naprawdę się liczy. Ale wiedziałem, gdzie znajdę go dziś wieczór: na werandzie, wpatzonego w roziskrzony klejnoty Oriona.

– Przyrzeknij mi, że nie będziesz taki jak ja.

Zawahałem się.

– Dobrze – rzekłem.

Uścisnął moją rękę.

– Grzeczny chłopak.

\* \* \*

Kolacja tego wieczoru była naprawdę wspaniała. Mam biegała

po kuchni z garściami cynamonu i mąki, pobrzękując garnkami i patelniami. A teraz ujrzeliśmy na stole parującego indyka z przybraniem, sosem żurawinowym, groszkiem i ciastem z dyni.

– W połowie sierpnia? – spytał tato ze zdumieniem.

– Nie będzie cię tu na Święto Dziękczynienia.

– Rzeczywiście.

Zaczął wachać. Unosił pokrywki kolejnych półmisek, pozwalając, by pachnąca para owiewała jego ogorzałą twarz. Za każdym razem głośno wzdychał. Patrzył na pokój i własne ręce, zerkał na obrazki na ścianach, krzesła, stół, mnie i mamę. W końcu odchrząknął. Widziałem, że podjął decyzję.

– Lilly.

– Tak? – Mama spojrzała na niego z drugiej strony stołu, zastawionego niczym cudowna srebrna pułapka, wspaniały dół z sosem. Miała nadzieję, że jej mąż, tak jak kiedyś dzikie zwierzęta chwytane w potrzask, złapie się w końcu i zostanie na zawsze, bezpieczny za kratą z indyczych kostek. Jej oczy lśniły.

– Lilly – powtórzył ojciec.

„No dalej!” – krzyknąłem w myślach. – „Powiedz to, szybko. Powiedz, że tym razem zostaniesz na dobre i nigdy już nie odejdziesz. Powiedz”.

W tym momencie pokojem wstrząsnął łoskot przelatującego helikoptera; szyba w oknie zadrżała z krystalicznym dźwiękiem. Tato zerknął za okno.

Na niebie świeciły błękitne wieczorne gwiazdy. Na wschodzie zapłonęła czerwona planeta Mars.

Tato wpatrywał się w nią długą chwilę. Potem sięgnął po omacku w moją stronę.

– Mogę prosić o groszek? – rzekł.

– Przepraszam – wtrąciła mama. – Pójdę po chleb.

Wstała i pobiegła do kuchni.

– Ale na stole jest chleb – zauważyłem.

Tato, nie patrząc na mnie, zaczął jeść.

\* \* \*

Tej nocy nie mogłem zasnąć. O pierwszej zszedłem na dół.

Księżyc lśnił jak lód na dachach sąsiednich domów, rosa na trawie migotała niczym łacha śniegu. Stałem w drzwiach w piżamie, czując na twarzy powiew ciepłego nocnego wiatru. I nagle zorientowałem się, że tato siedzi na mechanicznej huśtawce, łagodnie się kołysząc. Widziałem jego profil; patrzył, jak gwiazdy krążą na niebie. Jego oczy błyszcząły niczym szary kryształ, w każdym z nich jaśniał maleńki księżyc.

Wyszedłem i usiadłem obok niego.

Przez chwilę kołysaliśmy się w milczeniu.

W końcu spytałem:

– Na ile sposobów można zginąć w przestrzeni?

– Na milion.

– Wymień kilka.

– Zderzenie z meteorem. Z rakiety ulatuje powietrze. Kometa porywa cię z sobą. Wstrząs mózgu. Uduszenie. Wybuch. Siła odśrodkowa. Za silne przyśpieszenie. Za słabe. Gorąco, zimno, słońce, księżyc, gwiazdy, planety, asteroidy, promieniowanie...

– A co z pogrzebem?

– Nigdy nie znajdują ciała.

– Co się z nim dzieje? Gdzie jest?

– Miliardy mil stąd. Wędrownne groby, tak je nazywają. Stajesz się meteorem bądź planetoidą krążącą na wieki w przestrzeni.

Milczałem.

– Jedno trzeba przyznać – dodał po chwili. – W kosmosie to idzie szybko. No wiesz, śmierć. Nie przeciąga się. Najczęściej człowiek w ogóle nic nie wie. Umiera i już.

Poszliśmy do łóżek.

\* \* \*

Nadszedł ranek.

Tato stał na progu, słuchając śpiewu żółtego kanarka zamkniętego w złotej klatce.

– Postanowiłem – rzekł. – Następnym razem, kiedy wrócę, zostanę na dobre.

– Tato! – wykrzyknąłem.

– Powiedz to matce, kiedy wstanie.

– Mówisz serio?!

Przytaknął z powagą.

– Do zobaczenia za trzy miesiące.

I odszedł ulicą, niosąc pod pachą mundur w sekretnej walizeczce. Pogwizdując, rozglądał się po wysokich zielonych drzewach; mijając krzak śnieguliczki, zerwał parę jagód i podrzucając je, odszedł, zniknął w półmroku wczesnego ranka...

\* \* \*

Kilka godzin później spytałem mamę o parę rzeczy.

– Tato mówił, że czasami zachowujesz się tak, jakbyś go nie widziała.

Wówczas cichym głosem wyjaśniła mi wszystko.

– Kiedy dziesięć lat temu wyruszył w kosmos, powiedziałam sobie: „On nie żyje”. Więc myślę o nim jak o martwym, a kiedy wraca trzy, cztery razy w roku, to wcale nie jest on, jedynie miłe wspomnienie, sen. Jeśli wspomnienie czy sen odejdzie, to nie będzie aż tak bolało, toteż przez większość czasu myślę o nim jak o zmarłym...

– Ale czasem...

– Czasem nie mogę się powstrzymać. Piękę ciasta, traktuję go, jakby był żywy, i wtedy boli. Nie, lepiej myśleć, że nie było go tu od dziesięciu lat i że nigdy już go nie zobaczę. Wówczas ból słabnie.

– Czy mówił, że następnym razem zostanie?

Powoli potrząsnęła głową.

– Nie. On nie żyje. Jestem tego pewna.

– Zatem wróci – odparłem.

– Dziesięć lat temu pomyślałam: „Co będzie, jeśli zginie na Wenus? Wtedy nigdy nie będziemy mogli jej oglądać. A jeżeli umrze na Marsie? Wówczas widząc czerwoną gwiazdę na niebie, będziemy uciekać do domu, zatrzaskując za sobą drzwi. Gdyby zginął na Jowiszu, Saturnie, Neptunie, nocami, gdy planety płonęłyby szczególnie jasno, nie chcielibyśmy oglądać gwiazd”.

– Chyba nie – przytaknąłem.



\* \* \*

Następnego dnia otrzymaliśmy wiadomość.

Posłaniec podał mi ją; stojąc na werandzie, odczytałem krótki list. Zachodziło słońce. Mama stała w drzwiach za moimi plecami. Patrzyła, jak składam kartkę i chowam do kieszeni.

– Mamo... – zacząłem.

– Nie mów mi czegoś, co już wiem – ucięła.

Nie płakała.

No cóż, to nie Mars, Wenus, Jowisz czy Saturn go zabił. Nie będziemy musieli o nim myśleć, gdy Jowisz, Saturn czy Mars zapłonie na wieczornym niebie.

Bynajmniej.

Jego statek spadł na słońce.

A słońce jest wielkie, ogniste i bezlitosne. Zawsze tkwi na niebie, nie można od niego uciec.

Toteż przez długi czas po śmierci ojca moja matka przesypiała całe dnie i niemal nie wychodziła z domu. Śniadania jadaliśmy o północy, lunch o trzeciej nad ranem, kolacje w chłodnym półmroku o szóstej. Chodziliśmy na nocne seanse i kładliśmy się spać o świcie.

I przez długi czas jeśli już wychodziliśmy na spacer za dnia, to tylko wtedy, gdy padał deszcz, a na niebie nie było słońca.

## OGNISTE BALONY

Nad pograżonymi w letnim wieczornym mroku trawnikami zapłonął ogień. Migotliwy blask padł na twarze wujów i ciotek. W lśniących brązowych oczach kuzynów na werandzie odbiły się wzlatujące w niebo rakiety; na odległą suchą łąkę posypały się z trzaskiem zimne zwęglone patyki.

Wielce czcigodny ojciec Joseph Daniel Peregrine otworzył oczy. Co za sen! Ognista zabawa z kuzynami w starym domu dziadka w Ohio, jakże wiele lat temu!

Leżał, nasłuchując wielkiej pustki kościoła i dźwięków dobiegających z sąsiednich cel, w których spoczywali inni księża. Czy tej nocy, w wigilię startu rakiety „Krucyfiks”, ich także nawiedzały wspomnienia czwartego lipca? Tak, czuł się zupełnie jak w magiczny ranek Święta Niepodległości, kiedy czekał na pierwszy huk, a potem wypadał na lśniący od rosy chodnik z naręczem głośnych ognistych cudów.

Oto oni, synowie Kościoła, o świcie dnia, w którym pomkną na Marsa, pozostawiając za sobą ślad kadzidła w aksamitnej katedrze kosmosu.

– Czy w ogóle powinniśmy lecieć? – szepnął do siebie ojciec Peregrine. – Czy nie należy najpierw wykorzenić własnych grzechów tu, na Ziemi? Może uciekamy przed swoim życiem?

Wstał; jego korpulentne ciało, odżywione truskawkami, stekami i mlekiem, poruszało się ciężko.

– A może to lenistwo? – zastanawiał się głośno. – Czyżbym bał się podróży?

Wszedł pod kłujący zimny prysznic.

– Ale zabiorę cię na Marsa, ciało – rzekł, zwracając się do samego siebie. – Stare grzechy zostawię tutaj i ruszę na Marsa.

Znaleźć nowe? Cóż za pociągająca myśl! Grzechy, o których nikt nie słyszał. On sam napisał zresztą niewielką książkę: *Problem grzechu na innych światach*; jego kościelni bracia zignorowali ją

jako nie dość poważną.

Zaledwie zeszłego wieczoru, paląc ostatnie cygaro, rozmawiali o tym z ojcem Stone'em.

– Na Marsie grzech może wydawać się cnotą. Będziemy musieli wystrzegać się cnotliwych uczynków, które później mogą zostać uznane za grzechy. – Ojciec Peregrine uśmiechnął się promiennie. – Jakież to ekscytujące! Minęły stulecia od czasów, gdy praca misjonarza niosła ze sobą powiew prawdziwej przygody!

– Zawsze rozpoznam grzech – odparł twardo ojciec Stone – nawet na Marsie.

– Och, my, księża, szcycimy się tym, że jesteśmy jak papierek lakmusowy zmieniający barwę w obecności grzechu – odparował ojciec Peregrine. – Co jednak, jeśli marsjańska chemia w ogóle odbierze nam kolor? Przyznasz, że jeżeli na Marsie istnieją nowe zmysły, pojawia się możliwość grzechów, których nie da się rozpoznać.

– Jeśli czyn popełniono bez złych intencji, nie jest on grzechem i nie podlega karze. Tak uczy Pan – odparł ojciec Stone.

– Na Ziemi owszem, ale założmy, że grzech marsjański telepatycznie powiadamia o swym złu podświadomość, pozostawiając świadomy umysł czystym, nieskalanym. Co wówczas?

– Jakże mogłyby być te nowe grzechy?

Ojciec Peregrine nachylił się ciężko.

– Samotny Adam nie grzeszył. Dodaj Ewę, a dodasz też pokusę. Dołącz drugiego mężczyznę i umożliwisz cudzołóstwo. Dodając drugą płęć bądź ludzi, dodajesz też grzechy. Gdyby ludzie nie mieli rąk, nie mogliby dusić innych. Ta podgrupa grzechów – morderstwa – znikłaby. Dodając ręce, dodajesz też możliwość nowego rodzaju przemocy. Ameby nie grzeszą, bo rozmnażają się przez podział. Nie pożądają żon bliźniego swego ani nie zabijają się nawzajem. Wyposaż ameby w płęć, dołóż im ręce i nogi, a otrzymasz morderstwo i cudzołóstwo. Dodając i odejmując kończyny, dodajesz też bądź odejmujesz potencjalne zło. A jeśli na Marsie mamy pięć nowych zmysłów, narządy, niewidoczne

kończyny, których nie potrafimy sobie wyobrazić – czyż nie mogą też istnieć nowe grzechy?

Ojciec Stone westchnął głęboko.

– Mam wrażenie, że takie rozważania cię cieszą.

– Działają ożywczo na umysł, ojcze. Nic więcej.

– W myślach zawsze czymś żonglujesz: lusterkami, pochodniami, talerzami.

– Bo czasami wydaje mi się, że Kościół przypomina arenę cyrkową, w której kurtyna podnosi się, ukazując ludzi: nieruchome, pobielone tlenkiem cynku i talkiem posągi mające przedstawiać abstrakcyjne piękno. Są urocze, lecz ja mam nadzieję, że zawsze pozostanie między nimi dość miejsca, bym mógł swobodnie biegać. A ty, ojcze Stone, co sądzisz?

Ojciec Stone wstał.

– Sądzę, że powinniśmy już się kłaść. Za kilka godzin wyruszamy na poszukiwanie twoich nowych grzechów.

\* \* \*

Rakieta czekała na odpalenie.

Był chłodny ranek, gdy ojcowie porzucili swe modlitwy i księgi i ruszyli przez miasto ku oszronionym polom – wielu wspaniałych księży z Nowego Jorku, Chicago, Los Angeles. Kościół posyłał swoich najlepszych ludzi. Maszerując naprzód, ojciec Peregrine przypomniał sobie słowa biskupa.

– Ojcze Peregrine, będziesz kierował misją przy pomocy ojca Stone'a. I choć to ja wybrałem cię na to stanowisko, w zasadzie nie umiem wyjaśnić, co mną kierowało. Powiem tylko, iż kilka osób przeczytało twoją broszurkę o grzechu na innych planetach. Jesteś człowiekiem elastycznym, a Mars przypomina wielką szafę, w której nie sprzątno od tysiącleci. Miast bibelotów gromadziły się w niej śmieci. Mars jest dwukrotnie starszy od Ziemi. Ma zatem dwa razy więcej sobotnich wieczorów, pijatyk i biesiadników, gapiących się na nagie kobiety niczym na białe foki. Gdy otworzymy drzwi owej szafy, jej zawartość wysypie się na nas. Potrzebujemy kogoś zręcznego i elastycznego – kogoś o giętkim umyśle. Bardziej dogmatyczny ksiądz mógłby się

załamać. Uważam, że ty, ojcze, okażesz się odporny. Dostajesz tę pracę.

Biskup i ojcowie uklękli. Po wygłoszeniu błogosławieństwa rakiety pokropiono święconą wodą.

Wstając, biskup zwrócił się do zebranych:

– Wiem, że pójdziecie z Bogiem, aby przygotować Marsjan na przyjęcie Jego prawdy. Życzę wam pomyślnej, rozważnej podróży.

Ustawieni w szeregu przeszli obok biskupa, cała dwudziestka, i szeleszcząc sutannami, kolejno ściskali jego łagodne dłonie, po czym wchodzili do oczyszczonego pocisku.

– Zastanawiam się – rzekł w ostatniej chwili ojciec Peregrine – co będzie, jeśli Mars jest piekłem czekającym tylko na nasze przybycie, by eksplodować siarką i ogniem.

– Boże, miej nas w Swojej opiece! – mruknął ojciec Stone.

Rakieta ruszyła.

\* \* \*

Wyjście z przestrzeni było jak opuszczenie najpiękniejszej z katedr; dotknięcie Marsa – jak zejście na najzwyklejszy chodnik przed kościołem pięć minut po tym, gdy naprawdę poznało się własną miłość do Boga.

Ojcowie wyszli ostrożnie z dymiącej rakiety i uklękli na marsjańskim piasku. Ojciec Peregrine wygłosił dziękczynną modlitwę.

– Panie, dziękujemy Ci za tę podróż przez Twoje komnaty. Teraz, kiedy dotarliśmy do nowej krainy, musimy spojrzeć na nią nowymi oczyma. Słuchać będziemy nowych dźwięków, potrzebujemy więc nowych uszu. Poznamy też nowe grzechy, prosimy Cię zatem o dar mocniejszych, czystszych serc. Amen.

Wstali.

Mars otaczał ich jak morze, po którego dnie dreptali w przebraniach podmorskich biologów, szukając życia. Oto królestwo ukrytego grzechu. Jakże muszą uważać, by w nowym żywiole utrzymać równowagę, szare pióra na wietrze, lękając się, że grzechem może tu być sam marsz, oddychanie czy nawet

zwykły post!

Na spotkanie wyszedł im burmistrz Pierwszego Miasta, który przyjął ich z otwartymi ramionami.

– Co mogę dla ciebie zrobić, ojcze Peregrine?

– Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o Marsjanach, albowiem tylko jeśli ich poznamy, zdołamy inteligentnie zaprojektować nasz kościół. Czy mają trzy metry wzrostu? Zamontujemy większe drzwi. Czy ich skóra jest błękitna, czerwona, zielona? Musimy to wiedzieć, aby umieszczone na witrażach postacie miały właściwą barwę. Czy są ciężcy? Zbudujemy dla nich solidniejsze siedziska.

– Ojcze – rzekł burmistrz – wątpię, abyś musiał przejmować się Marsjanami. Dzielą się na dwie rasy. Jedna z nich niemal zupełnie wymarła. Kilku jeszcze gdzieś się ukrywa. A druga? Cóż, to nie są ludzie.

– Ach tak? – Serce ojca Peregrine’a szybciej zabiło.

– To okrągłe, błyszczące kule światła, ojcze, żyjące na wzgórzach. Któż potrafi orzec, czy to ludzie, czy zwierzęta? Słyszałem jednak, że ich zachowanie zdradza inteligencję. – Burmistrz wzruszył ramionami. – Oczywiście to nie ludzie, więc chyba nie zechcecie ...

– Przeciwnie – wtrącił szybko ojciec Peregrine. – Mówi pan, że są inteligentne?

– Wśród ludzi krąży pewna historia. Poszukiwacz złóż złamał nogę na tych wzgórzach i umarłby tam, wówczas jednak z nieba spłynęły ku niemu błękitne kule. Gdy się ocknął, leżał na drodze, nie wiedząc, jak się tam znalazł.

– Pijany – domyślił się ojciec Stone.

– Tak brzmi owa historia – odparł burmistrz. – Ojcze Peregrine, biorąc pod uwagę fakt, że większość Marsjan nie żyje i że pozostały po nich jedynie te błękitne kule, sądzę, iż wasze miejsce jest w Pierwszym Mieście. Mars się otwiera. To teraz pogranicze, jak kiedyś Zachód czy Alaska na Ziemi. Wciąż przybywają nowi ludzie. W Pierwszym Mieście pracuje na czarno parę tysięcy irlandzkich mechaników, górników i robotników. Wszyscy potrzebują zbawienia, bo towarzyszy im zbyt wiele

nieczystych kobiet, a pod ręką mają za dużo tysiącletniego marsjańskiego wina...

Ojciec Peregrine wpatrywał się w łagodne błękitne wzgórze.

Jego towarzysz odchrząknął znacząco.

- Ojczy?

Tamten jakby go nie słyszał.

- Kule błękitnego ognia?

- Tak, ojczy.

- Ach! - westchnął ojciec Peregrine.

- Niebieskie balony. - Ojciec Stone potrząsnął głową. - Istny cyrk!

Ojciec Peregrine poczuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Ujrzał małe pograniczne miasto, pełne surowych, świeżych grzechów - oraz wzgórze, odwieczne wzgórze, w których kryły się grzechy najstarsze, a przecież (przynajmniej dla niego) zupełnie nowe.

- Panie burmistrzu, czy pańscy irlandzcy robotnicy mogą smażyć się w piekle jeszcze jeden dzień?

- Osobiście podleję ich świeżym sosem.

Ojciec Peregrine skinął głową w kierunku wzgórz.

- Tam pójdziemy.

Odpowiedział mu szmer księży.

- To takie proste: osiąść w mieście. Wolę myśleć, że gdyby zjawił się tu nasz Pan, a ludzie powiedzieliby mu: „Oto ubita ścieżka”, On odparłby: „Wskażcie mi ciernie. Sam wydepczę nową ścieżkę”.

- Ale ...

- Ojczy Stone, pomyśl, jakie brzemie musielibyśmy dźwigać, gdybyśmy minęli grzeszników, nie wyciągając do nich ręki.

- Ale kule ognia!

- Przypuszczam, że kiedy na świecie zjawił się pierwszy człowiek, w oczach zwierząt także wyglądał dziwnie. A przecież mimo swej brzydoty miał duszę. Póki nie przekonamy się, że jest inaczej, załóżmy, iż owe ogniste kule również ją mają.

- W porządku - zgodził się burmistrz - ale wkrótce wróćcie do miasta?

– Zobaczymy. Najpierw śniadanie. Potem, ojciec Stone, pójdziemy we dwóch na wzgórze. Nie chcę wystraszyć tych ognistych Marsjan, przybывая w towarzystwie maszyn czy tłumów. To co, zjemy?

Ojcowie w milczeniu siedli do śniadania.

\* \* \*

O zmierzchu ojcowie Peregrine i Stone dotarli wysoko na wzgórze. W końcu zatrzymali się i przysiedli na skałach, napawając się chwilą odpoczynku i oczekiwania. Marsjanie jak dotąd się nie pojawili i obaj księża czuli lekki zawód.

– Zastanawiam się... – Ojciec Peregrine otarł spoconą twarz. – Jak sądzisz, gdybyśmy zawołali „halo!”, odpowiedzieliby?

– Ojciec Peregrine, czy ty nigdy nie bywasz poważny?

– Naśladuję tylko naszego dobrego Pana. Och, proszę, nie gorsz się tak. Nasz Pan nie jest poważny. W istocie trudno orzec, czym właściwie jest poza miłością, a miłość ma przecież wiele wspólnego z humorem. Nie da się kogoś kochać, jeśli się go nie znosi, nieprawdaż? A żeby stale kogoś znosić, trzeba móc się z niego śmiać. Mam rację? My wszyscy jesteśmy tylko śmiesznymi stworzonkami, brodzącymi w wielkiej misie lepkiej słodyczy. Bóg kocha nas jeszcze bardziej, bo Go bawimy.

– Nigdy nie sądziłem, że Bóg ma poczucie humoru.

– Stwórca dziobaka, wielbłąda, strusia i człowieka? Daj spokój!

Ojciec Peregrine wybuchnął śmiechem. I w tym momencie zza pograżonych w półmroku wzgórz wyłonił się Marsjanie, lśniąca niczym lampy przewodnie. Ojciec Stone pierwszy ich dostrzegł.

– Spójrz!

Ojciec Peregrine odwrócił się. Śmiech zamarł mu na ustach.

Okrągłe błękitne kule ognia wisały w powietrzu pomiędzy migotliwymi gwiazdami, wyraźnie drząc.

– Potwory! – Ojciec Stone zerwał się z miejsca, lecz ojciec Peregrine złapał go za rękę.

– Zaczekaj.

– Trzeba było iść do miasta!

– Ależ nie, popatrz! – błagał ojciec Peregrine.



- Boję się.
- Nie bój się, to dzieło Boże.
- Raczej diabelskie!
- Już dobrze, cicho.

Ojciec Peregrine uspokoił go łagodnie i obaj przykucnęli, unosząc głowy. Miękkie błękitne światło oblało ich twarze, gdy ogniste kule powoli się zbliżyły.

Ojciec Peregrine zadrżał i znów wspomniał wieczory Dnia Niepodległości. Czuł się jak dziecko w noc czwartego lipca, gdy niebo pęka nad głowami, eksplodując gwiazdnym pyłem i ognistym hukiem. Łoskot wstrząsa oknami domów niczym lodem na tysiącach płytkich kałuż. Ciotki, wujowie, kuzyni, krzyczący „ach!” w zadziwieniu nad dziełem niebiańskich cudotwórców. Barwy letniego nieba. I Ogniste Balony podpalane ręką rozpieszczającego wnuków dziadka, przytrzymywane w mocarnych czułych dłoniach. Och, jakież cudowne wspomnienie! Uroczyste Ogniste Balony świecące łagodnym blaskiem, ciepłe kawałki bibułki, wydęte niczym owadzie skrzydła leżące w pudełkach jak skulone osy, by wreszcie, po całym dniu huku i radości, opuścić pudełkowe domy, delikatnie rozwinięte, niebieskie, czerwone, białe, patriotyczne – Ogniste Balony! Oczyma duszy ujrzał niewyraźne twarze drogich krewnych, już dawno spoczywających w ziemi pod płaszczem z mchu. Patrzył, jak dziadek zapala małą świeczkę, pozwalając, by ciepłe powietrze nappełniło balon, pulchny i lśniący w jego dłoniach, świetliste zjawisko, które trzymał w rękach, nie chcąc go zbyt szybko wypuścić. Albowiem uwolniony balon odpływał, unosząc z sobą kolejny rok życia, kolejny wieczór czwartego lipca, jeszcze jeden okruszek piękna. A potem Ogniste Balony wzlatywały w górę, coraz wyżej i wyżej, ku ciepłym letnim konstelacjom, a czerwono-biało-niebieskie oczy śledziły je w milczeniu ze wszystkich werand. Na głębokiej prowincji stanu Illinois Ogniste Balony odpływały ponad nocnymi rzekami i uśpionymi domami w dal, znikając na zawsze...

Do oczu ojca Peregrine'a napłynęły łzy. Nad nim unosili się

Marsjanie – nie jeden, lecz tysiąc szepczących Ognistych Balonów. Miał wrażenie, jakby u jego boku stał od dawna nieżyjący dziadek i patrzył wraz z nim wprost w piękno.

W istocie jednak był to ojciec Stone.

– Chodźmy stąd, proszę, ojcze!

– Muszę z nimi pomówić.

Ojciec Peregrine pobiegł naprzód, nie wiedząc, co powiedzieć – cóż bowiem w przeszłości mawiał do Ognistych Balonów, poza powtarzanymi w duchu słowami: „Jesteście piękne, jesteście piękne!”; w tej chwili zaś to nie wystarczyło. Mógł jedynie podnieść ciężkie ręce i krzyknąć, tak jak często pragnął zawołać za ulatującymi magicznymi Ognistymi Balonami:

– Halo!

Lecz kule ognia milczały. Płonęły tylko w mroku niczym odbicia w ciemnym lustrze. Zdawały się niezmiennie, zwiewne, cudowne, wieczne.

– Przychodzimy z Bogiem – rzekł ojciec Peregrine, zwracając się do nieba.

– To głupota, szaleństwo! – krzyknął ojciec Stone. – W imię Boże, ojcze Peregrine, stój!

Nagle świetliste kule odleciały na wzgórze. Po chwili zniknęły.

Ojciec Peregrine zawołał ponownie i echo jego ostatniego krzyku wstrząsnęło skałami. Odwróciwszy się, ujrzał tuman kurzu; pył na moment zastygł w powietrzu, a potem z grzotem kamiennych kół zбочem runęła lawina.

– Patrz, co zrobiłeś! – krzyknął ojciec Stone.

Ojciec Peregrine patrzył zafascynowany, a zaraz potem przerażony. Odwrócił się, wiedząc, że zdążą przebiec zaledwie kilka kroków, nim kamienie zmiażdżą ich i pogrzebią. Miał tylko czas szepnąć: „O Boże!”, gdy dosięgła go lawina.

– Ojcze!

Oddzielono ich od kamieni niczym ziarna od plew. Wokół zamigotała błękitna poświata, zimne gwiazdy zatoczyły krąg na niebie, rozległ się ryk i nagle stali już na półce dwieście stóp dalej, spoglądając w miejsce, w którym ich ciała winny leżeć pogrzebane pod tonami skał.

Niebieskie światło zgasło.

Dwaj księża przywarli do siebie.

– Co się stało?

– Błękitne ognie nas podniosły.

– Odbiegliśmy, to wszystko.

– Nie, kule nas ocaliły.

– Nie mogły!

– Ale to zrobiły.

Niebo było puste. Mieli wrażenie, jakby właśnie przestał dzwonić potężny dzwon. Wciąż jeszcze czuli wibracje.

– Uciekajmy stąd. Przez ciebie zginiemy.

– Od wielu lat nie boję się śmierci, ojciec Stone.

– Niczego nie udowodniliśmy. Twoje błękitne światełka uciekły po pierwszym krzyku. Nic tu po nas.

– Nie. – Ojca Peregrine'a przepełniał zachwyt. – Jakimś cudem nas ocaliły. To dowodzi, że mają duszę.

– Wiemy tylko, iż być może nas uratowały. Panowało zamieszanie. Mogliśmy jednak sami uciec.

– To nie są zwierzęta, ojciec Stone. Zwierzęta nie ratują nikomu życia, zwłaszcza obcym. Jest w nich litość i współczucie. Może jutro dowiemy się więcej.

– Dowiemy? Jak? – Ojca Stone'a ogarnęło ogromne zmęczenie. – Mamy latać za nimi helikopterami, odczytując Biblię? – spytał oburzony. – To nie są ludzie, nie mają oczu, uszu ani takich jak nasze ciała.

– Ale coś w nich wyczuwam – odparł ojciec Peregrine. – Wiem, że czeka nas wielkie objawienie. Uratowały nas. One myślą. Miały wybór: dać nam żyć albo pozwolić umrzeć. To dowodzi istnienia wolnej woli.

Ojciec Stone z gniewną miną zaczął rozpalać ognisko, krztusząc się szarym dymem.

– Osobiście otworzę klasztor dla gęsi i monastyr dla świętych świń. Zbuduję też pod mikroskopem miniaturową apsydę, aby pantofelki mogły uczestniczyć w mszy, przesuwając rząskami paciorki różańca.

– Och, ojciec Stone!

– Przepraszam. – Ojciec Stone zamrugał zaczerwienionymi oczami. – Ale to zupełnie jakby błogosławić krokodyla tuż przed tym, nim nas pożre. Ryzykujesz całą naszą misję. Powinniśmy już być w Pierwszym Mieście, kość spieczoną wódką gardła i zmywać perfumy z męskich dłoni.

– Nie potrafisz rozpoznać ludzkiego pierwiastka w nieludzkim?

– Wolałbym zająć się nieludzką stroną człowieka.

– A jeśli udowodnię, że te istoty grzeszą, znają grzech, wiedzą, co to moralność, mają wolną wolę i rozum?

– Musiałbyś dysponować bardzo przekonującymi dowodami.

Noc niosła ze sobą chłód. Patrzyli w ogień, oddając się najdzikszyemu myślowi i posilając ciastkami i jagodami. Wkrótce opatulili się i legli na ziemi skąpanej w zimnym blasku gwiazd. Układając się wygodniej, ojciec Stone, od dłuższego czasu szukający czegoś, co mogłoby wzbudzić wątpliwości w sercu ojca Peregrine'a, spojrzął w dogasający różowy żar.

– Mars nie miał swego Adama i Ewy – rzekł – ani grzechu pierworodnego. Może Marsjanie żyją w stanie łaski uświęcającej? Wówczas będziemy mogli wrócić do miasta i zająć się Ziemią.

Ojciec Peregrine zanotował w pamięci, by odmówić krótką modlitwę za ojca Stone'a; to wściekłość kierowała jego mściwymi słowami.

– Tak, ojciec Stone, lecz Marsjanie zabili kilku naszych osadników, a to grzech. Musiał tu zatem istnieć grzech pierworodny, marsjański Adam i Ewa. Znajdziemy ich. Niestety, niezależnie od swej zewnętrznej powłoki ludzie są zawsze skłonni do grzechu.

Ojciec Stone udawał, że śpi.

\* \* \*

Ojciec Peregrine nie zamknął oczu.

Nie mogli przecież pozwolić, by Marsjanie poszli do piekła! A może winni zawrzeć kompromis ze swoim sumieniem i wrócić do tutejszych nowych osad, kipiących od grzesznych żołądków i kobiet o roziskrzonych oczach i białych ciałach ślimaków,

baraszkujących w łózkach z samotnymi robotnikami? Czyż nie tam jest miejsce księży? Może wycieczka na wzgórze to jedynie jego osobisty kaprys? Czy naprawdę myślał o Kościele Bożym, czy też jedynie zaspokajał własną, chłonną jak gąbka ciekawość? Te niebieskie kule ogni świętego Antoniego – jakże jasno płonęły w jego myślach! Cóż za wspaniałe wyzwanie: dostrzec pod obcą maską człowieka, ludzką istotę w nieludzkiej powłoce. Czyż nie czułyby dumy, gdyby mógł powiedzieć – nawet samemu sobie – że nawrócił ogromny stół, pełen toczących się ognistych kul bilardowych?! Oto prawdziwy grzech pychy! Wart pokuty! Lecz przecież w imię miłości robi się wiele grzesznych rzeczy, a on tak bardzo kochał Boga i był tak szczęśliwy; pragnął tylko, by to szczęście wszystkim innym się udzieliło.

Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał przed zaśnięciem, były błękitne ognie. Powróciły niczym hufiec ognistych aniołów, kołyszących go do snu bezdźwięczną pieśnią.

\* \* \*

Kiedy ojciec Peregrine ocknął się wczesnym rankiem, błękitne krągłe zjawy wciąż wisiły na niebie.

Ojciec Stone spał cicho jak kamień. Tymczasem ojciec Peregrine patrzył na Marsjan szybujących w powietrzu i go obserwujących. Byli ludźmi – on to wiedział. Musiał jednak udowodnić swoje przeczucia. W przeciwnym razie surowy biskup o suchym uśmiechu uprzejmie każe mu ustąpić. Jak jednak ma dowieść człowieczeństwa istot kryjących się pod sklepieniem niebieskim? Jak sprowadzić je ku sobie i zdobyć odpowiedzi na dziesiątki dręczących go pytań?

Uratowali nas przed lawiną.

Ojciec Peregrine wstał, przeszedł między głazami i zaczął się wspinać na najbliższe wzgórze. Po chwili dotarł do skraju urwiska. Tuż przed nim skała opadała stromo dwustustopową ścianą. Dyszał ciężko, zmęczony szybką wspinaczką w mroźnym powietrzu.

– Jeśli stąd spadnę, z pewnością zginę.

Rzucił w dół kamyczek. Chwilę później usłyszał cichy stukot.

– Pan nigdy by mi nie wybaczył.

Cisnął kolejny kamyk.

– Ale przecież gdybym zrobił to z miłości, to nie byłoby samobójstwo?

Uniósł wzrok ku błękitnym kulom.

– Najpierw jednak spróbuję jeszcze raz.

Zawołał:

– Halo, halo!

Odpowiedział mu chór ech, lecz błękitne ognie nawet nie drgnęły.

Przemawiał do niech przez pięć minut. Gdy umilkł, zerknął w dół; ojciec Stone wciąż leżał na ziemi w ich małym obozie, pogrążony w wyniosłym śnie.

– Muszę mieć dowód. – Ojciec Peregrine podszedł do skraju przepaści. – Jestem już stary. Nie boję się. Z pewnością Pan zrozumie, że robię to dla niego.

Odetchnął głęboko. Całe życie przemknęło mu przed oczami i pomyślał: Czy za chwilę zginę? Lękam się, iż zanadto kocham życie. Lecz inne rzeczy kocham jeszcze bardziej.

Z tą myślą postąpił krok naprzód, w przepaść.

Runął w dół.

– Głupcze! – krzyknął, obracając się w powietrzu – myliłeś się!

Kamienie pędziły ku niemu. Oczyma duszy ujrzał swe strzaskane ciało, z którego uleciało życie.

– Czemu to zrobiłem?

Znał jednak odpowiedź i ułamek sekundy później nagle się uspokoił. Wiatr owiewał go z rykiem; skały pędziły na spotkanie.

A potem wokół zawirowały gwiazdy, zamigotały błękitne ogniki. Ojciec Peregrine zawisł w powietrzu, otoczony błękitem. Chwilę później łagodnie osiadł na skałach. Tkwiał tam bez ruchu, żywy, obmacując własne ciało i spoglądając na błękitne światła, które natychmiast się przed nim cofnęły.

– Uratowaliście mnie – szepnęła. – Nie pozwoliliście mi umrzeć. Wiedzieliście, że źle postępuję.

Podbiegł do ojca Stone'a, który wciąż leżał pogrążony we śnie.

– Ojczy, ojczy, zbudź się! – Potrząsnął nim. – Ojczy! One mnie

uratowały!

– Kto cię uratował?

Ojciec Stone zamrugał i usiadł na posłaniu. Jego towarzysz opowiedział mu o wszystkim.

– To tylko sen, koszmary sen. Idź spać – rzucił z irytacją ojciec Stone. – Ty i te twoje cyrkowe balony.

– Ale ja nie spałem!

– Już cicho, ojciec, uspokój się, już dobrze.

– Nie wierzysz mi? Masz pistolet? Świetnie. Daj mi go.

– Co zamierzasz zrobić?

Ojciec Stone podał mu mały pistolet, który zabrali ze sobą dla obrony przed wężami i innymi podobnie nieprzewidywalnymi stworzeniami.

Ojciec Peregrine chwycił broń.

– Udowodnię ci!

Wycelował we własną rękę i wystrzelił.

– Nie!

Nagle migotanie światła i na ich oczach pocisk zatrzymał się w powietrzu o cal od otwartej dłoni. Przez chwilę wisiał tam, otoczony błękitną poświatą. Potem z sykiem upadł w pył.

Ojciec Peregrine wystrzelił trzykrotnie – w rękę, w nogę, w korpus. Trzy pociski zawisły w powietrzu, migocząc, po czym jak martwe owady opadły im do stóp.

– Widzisz? – Ojciec Peregrine wypuścił z ręki pistolet, który leżał obok kul. – One wiedzą. Rozumieją. Nie są zwierzętami. Myślą, osądzają, znają nakazy moralne. Jakie zwierzę ocaliłoby mnie przed samym sobą? Żadne. Wyłącznie inny człowiek, ojciec. Czy teraz wierzysz?

Ojciec Stone spoglądał w niebo na błękitne ogniki. Potem w milczeniu ukląkł na jedno kolano, zebrał ciepłe pociski i przytrzymał je w dłoni.

Za ich plecami wschodziło słońce.

– Chyba powinniśmy wrócić do pozostałych. Opowiedzieć im o wszystkim i sprowadzić tutaj – rzekł ojciec Peregrine.

Nim słońce zdążyło wynurzyć się zza horyzontu, oni maszerowali już ku rakiecie.

\* \* \*

Ojciec Peregrine nakreślił na tablicy krąg.

– Oto Chrystus, Syn Boży.

Udał, że nie słyszy, jak pozostali ojcowie gwałtownie się zachłystują.

– Oto Chrystus w całej swej chwale – ciągnął.

– Wygląda zupełnie jak zadanie z geometrii – zauważył ojciec Stone.

– To dobre porównanie, bo mamy tu do czynienia z symbolami. Musicie przyznać, że Chrystus nie przestaje być Chrystusem, nawet jeśli przedstawiamy go jako kółko bądź kwadrat. Od wieków krzyż symbolizuje jego miłość i mękę. Zatem kółko to stanie się marsjańskim Chrystusem, w ten sposób sprowadzimy Go na Marsa.

Ojcowie poruszyli się niespokojnie i spojrzeli po sobie.

– Ty, bracie Mathiasie, sporządzisz szklaną replikę tego koła, kulę wypełnioną jasnym ogniem. Ustawimy ją na ołtarzu.

– Tania magiczna sztuczka – mruknął ojciec Stone.

Ojciec Peregrine nie tracił cierpliwości, wręcz przeciwnie.

– Dajemy im Boga pod postacią, którą mogą zrozumieć. Gdyby Chrystus przyszedł do nas na Ziemi jako ośmiornica, czy przyjęlibyśmy Go równie chętnie? – Rozłożył ręce. – Czy zatem nasz Pan uciekł się do taniej magicznej sztuczki, posyłając nam Chrystusa w postaci Jezusa, człowieka? Kiedy już pobłogosławimy tutejszy kościół, poświęcimy ołtarz i ten symbol, sądzicie, że Chrystus nie zechce nawiedzić tej powłoki? W głębi serc wiecie, że nie odmówi.

– Ale to ciało bezdusznego zwierzęcia! – zaprotestował brat Mathias.

– Rozmawialiśmy o tym dziś rano, po naszym powrocie. Te istoty uratowały nas przed lawiną. Zrozumiały, że nie wolno podnosić ręki na samego siebie, i zapobiegły temu kilkakrotnie. Musimy zatem wznieść kościół na wzgórzach, zamieszkać wśród nich, poznać ich obce, niezwykle grzechy i pomóc odnaleźć Boga.

Ojców wyraźnie nie zachwyciła ta perspektywa.



– Czy to dlatego, że wydają się nam tacy dziwni? – zastanawiał się na głos ojciec Peregrine. – Czymże jednak jest postać? Jedyne powłoką dla płonącej duszy, którą Bóg obdarzył nas wszystkich. Jeśli jutro odkryję, że lwy morskie posiadały nagle wolną wolę, rozum, odkryły pojęcie grzechu, poznały sens istnienia, połączyły sprawiedliwość z litością, a życie z miłością, zbuduję im podmorską katedrę. A jeśli Bóg sprawi cud i zechce, by jutro wróble zyskały nieśmiertelne dusze, wypełnię kościół helem i ruszę za nimi, bo wszystkie dusze, niezależnie od cielesnej powłoki, jeśli tylko obdarzone są wolną wolą i świadomością grzechu, będą się smażyć w piekle, chyba że ktoś udzieli im sakramentów. Nie pozwolę też, by marsjańska kula trafiła do piekła, albowiem jest ona kulą tylko w moich oczach. Gdy je zamknę, stanie przede mną jako rozum, miłość, dusza – nie wolno temu zaprzeczyć.

– Ale żeby stawiać na ołtarze szklaną kulę? – zaprotestował ojciec Stone.

– Przypomnijcie sobie Chińczyków – odparł z niewzruszonym spokojem ojciec Peregrine. – Jakiemu Chrystusowi oddają cześć chińscy chrześcijanie? Orientalnemu. Oczywiście wszyscy widzieliście chińskie obrazy z życia Chrystusa. W co jest ubrany? We wschodnią szatę. Co go otacza? Chińskie krajobrazy, pełne bambusów, zamglonych gór i poskręcanych drzew. Jego oczy są skośne, twarz trójkątna. Każdy kraj, każda rasa dodaje coś od siebie postaci naszego Pana. Przypomnijcie sobie Madonnę z Gwadelupy, do której modli się cały Meksyk. Jaką ma skórę? Zauważyliście jej barwę – ciemną jak u jej wyznawców? Czy to bluźnierstwo? Ależ nie! Logika nakazuje, by ludzie przyjmowali Boga niezależnie od koloru skóry. Często zastanawiałem się, czemu nasi misjonarze tak dobrze sobie radzą w Afryce, choć przynoszą ze sobą śnieżnobiałego Chrystusa. Może to dlatego, że biel – także skóry albinosa – jest dla murzyńskich szczepów świętością. Czy jednak z czasem tamtejszy Chrystus także nie pociemnieje? Postać nie ma znaczenia. Liczy się treść. Nie możemy oczekiwać, iż Marsjanie zaakceptują obce kształty, przyniesiemy im więc Chrystusa na ich obraz i podobieństwo.

– Dostrzegam jednak błąd w twoim rozumowaniu, ojciec – wtrącił ojciec Stone. – Czy Marsjanie nie posądzą nas o hipokryzję? Muszą zdawać sobie sprawę, że nie oddajemy czci kulistemu Chrystusowi, lecz człowiekowi z głową, rękami i nogami. Jak wyjaśnimy im tę różnicę?

– Demonstrując, że tak naprawdę nie istnieje. Chrystus wypełnia każdą powłokę. Ciało czy kula, on wciąż tam jest; niezależnie od postaci wszyscy czcimy to samo. Co więcej, my także musimy wierzyć w ową kulę, którą podarujemy Marsjanom. Musimy wierzyć w postać niemającą dla nas żadnego znaczenia. Ta kula będzie Chrystusem. Nie wolno nam zapomnieć, że my sami i postać naszego ziemskiego Chrystusa wydawać się im będziemy bezsensowni i śmieszni. – Ojciec Peregrine odłożył kredę. – A teraz ruszajmy na wzgórze i zbudujmy nasz kościół.

Ojcowie zaczęli pakować sprzęt.

\* \* \*

Kościół nie był w istocie kościołem, lecz kawałkiem terenu oczyszczonym z kamieni, płaskim wierzchołkiem jednej z niższych gór, wyrównanym i wygładzonym, z ołtarzem, na którym brat Mathias ustawił sporządzoną przez siebie ognistą kulę. Po sześciu dniach pracy „kościół” był gotowy.

– A co z tym? – Ojciec Stone postukał palcem w żelazny dzwon, który przynieśli ze sobą. – Jakie znaczenie ma dla nich dzwon?

– Przypuszczam, że zabrałem go dla nas – przyznał ojciec Peregrine. – Potrzebujemy kilku znajomych rzeczy. Ten kościół tak mało przypomina nasze świątynie. Czujemy się tu dziwnie, nawet ja, bo to coś nowego: nawracanie istot z innego świata. Czasami mam wrażenie, że jestem aktorem grającym w absurdalnej sztuce. Wówczas modłę się do Boga, by dał mi siłę.

– Wielu ojców jest niezadowolonych. Niektóry żartują z tego wszystkiego.

– Wiem. Właśnie dla nich zawiesimy dzwon na niewielkiej wieży.

– A organy?

- Zagramy na nich jutro, podczas pierwszej mszy.
- Ale Marsjanie ...
- Wiem, lecz znów wracamy do tego samego: pocujemy się lepiej, słuchając naszej muzyki. Może później odkryjemy ich melodie.

\* \* \*

W niedzielny poranek wstali wcześniej, krążąc na mrozie niczym blade widma. Na ich sutannach osiadł szron. Pokryci lodowymi dzwonekami, strzepywali z siebie fontanny srebrzystej wody.

- Ciekawe, czy tu, na Marsie, też jest dziś niedziela? - zastanawiał się głośno ojciec Peregrine, lecz dostrzegłszy grymas wykrzywiający twarz ojca Stone'a, dodał szybko: - Może mamy dziś wtorek albo czwartek, kto wie? Nieważne; to tylko gadanina. Dla nas jest niedziela. Chodźcie.

Ojcowie przeszli na otwartą przestrzeń „kościół” i uklękli, dygocząc z zimna.

Ojciec Peregrine odmówił krótką modlitwę i położył zgrabiące palce na klawiszach organów. Muzyka wleciała w niebo niczym stadko pięknych ptaków. Dotykał klawiszy jak człowiek przesuający dłońmi pośród chaszczki zdziczałego ogrodu, z każdym gestem tworząc kolejną okoliczność.

Muzyka ukołysała powietrze. Niosła ze sobą woń poranka. Szybowała ku górą, strącając z nich cząstki minerałów - zwiewny, pylisty deszcz.

Ojcowie czekali.

- Cóż, ojciec Peregrine - ojciec Stone uniósł wzrok ku pustemu niebu, na którym wschodziło czerwone rozżarzone słońce nie widząc naszych przyjaciół.

- Spróbuję jeszcze raz. - Czoło ojca Peregrine'a służyło potem.

Posłuszny nakazom wielkiego architekta Bacha, zaczął kłaść kamień na cudownym kamieniu, wznosząc muzyczną katedrę tak ogromną, że jej najdalsze prezbiteria sięgały Niniwy, najdalsze kopuły stały po lewicy świętego Piotra. Kiedy skończył, muzyka

nie runęła w gruzy: jej fragmenty, zamienione w białe obłoki, uleciały ku innym krainom.

Niebo wciąż było puste.

– Oni przyjdą! – powiedział ojciec Peregrine, choć po raz pierwszy poczuł w sercu narastającą panikę. – Módlmy się, poprośmy, aby przybyli. Umieją czytać w myślach, zjawią się.

Ojcowie znów uklękli pośród szeptów i szelestów. Zaczęli się modlić.

I wówczas ze wschodu, spomiędzy lodowych gór, o siódmej rano w niedzielny poranek – a może wedle marsjańskiej rachuby czwartkowy bądź poniedziałkowy – przypłynęły miękkie ogniste kule. Przez chwilę zawisły w powietrzu, po czym opadły, zapełniając miejsca pomiędzy drżącymi księżmi.

– Dziękuję ci, dziękuję, Panie.

Ojciec Peregrine mocno zacisnął powieki i zagrał, a kiedy skończył, odwrócił się, spoglądając na cudowne zgromadzenie.

Wówczas jego umysłu dotknął głos, który przemówił:

– Przybyliśmy do was na chwilę.

– Możecie zostać – odparł ojciec Peregrine.

– Tylko na chwilę – rzekł cicho głos. – Przybywamy, aby wyjaśnić wam pewne rzeczy. Powinniśmy byli zrobić to wcześniej, mieliśmy jednak nadzieję, że jeśli się nie zjawimy, odejdziecie.

Ojciec Peregrine zaczął coś mówić, lecz głos go uciszył.

– Jesteśmy najstarsi – oświadczył, rozbłyskując w jego myślach niczym błękitna zwiewna flara i płonąc w komorze czaszki. – Jesteśmy starymi mieszkańcami Marsa, którzy opuścili marmurowe miasta i udali się na wzgórza, porzucając życie doczesne. Bardzo dawno temu staliśmy się istotami, którymi jesteśmy teraz. Kiedyś byliśmy ludźmi; mieliśmy ciała, nogi i ręce, tak jak wy. Legenda głosi, że jeden z nas, dobry człowiek, odkrył sposób wyzwolenia ludzkiej duszy i umysłu, uwolnienia jej od dolegliwości cielesnych, melancholii, śmierci i kalectwa, złych humorów i starości. Wówczas przybraliśmy postać błyskawicy, błękitnego ognia, i na zawsze zamieszkaliśmy pośród wiatrów, niebios i wzgórz. Ni pyszni, ni skromni, ani bogaci, ani

biedni, nie znając obojętności ani litości, żyliśmy z dala od tych, których porzuciliśmy, innych mieszkańców tego świata, i z czasem zapomnieliśmy, jak staliśmy się wolni. Nigdy nie umrzemy, nie zrobimy nikomu krzywdy. Odrzuciliśmy grzechy ciała, żyjąc w stanie łaski Bożej. Nie pożądamy rzeczy bliźniego swego, nie mamy majątków, nie kradniemy, nie zabijamy, nie znamy żądz ani nienawiści. Jesteśmy szczęśliwi. Nie możemy się rozmnażać, nie jemy, nie pijemy, nie prowadzimy wojen. Odrzuciwszy nasze ciała, uwolniliśmy się od doznań zmysłowych, dziecinnych uczuć i grzechów. Wyrośliśmy z grzechu, ojciec Peregrine. Nasz grzech spłonął jak jesienne liście, zniknął niczym zabrudzone śniegi okrutnej zimy, zwiądnął jak namiętne kwiaty czerwono-złotej wiosny, minął niczym zdyszane noce upalnego lata. Nasze życie nie zna zmian pór roku. Żyjemy w bogactwie myśli.

Ojciec Peregrine stał bez ruchu. Głos dotknął go tak mocno, że niemal pozbawił zmysłów, niosąc ze sobą ognistą rozkosz.

– Dziękujemy wam za to, że zbudowaliście to miejsce, my jednak nie potrzebujemy go, bo każdy z nas sam jest świątynią, nie trzeba mu miejsca oczyszczenia. Wybaczcie, że nie przybyliśmy wcześniej, żyjemy jednak w samotności i od dziesięciu tysięcy lat z nikim nie rozmawiamy, nie wtrącamy się też w życie tej planety. Myślisz teraz, że jesteśmy jak lilie polne: nie pracujemy i nie przedziemy. Masz rację. Proponujemy zatem, abyście zabrali części tej świątyni do swych własnych nowych miast i tam oczyszczali innych. Zapewniamy bowiem, że my jesteśmy szczęśliwi i żyjemy w pokoju.

Ojcowie klęczeli w błękitnym blasku. Ojciec Peregrine także osunął się na ziemię. Płakali, nie zważając na to, iż marnują czas; zupełnie ich to nie obchodziło.

Błękitne kule z cichym pomrukiem zaczęły wlatywać w powietrze, unoszone zimnym powiewem.

– Czy mogę... – zawołał ojciec Peregrine, zamykając oczy – czy mogę przyjść tu jeszcze kiedyś, uczyć się od was?!

Błękitne ognie rozbłysły. Powietrze zadrżało.

Tak. Kiedyś możesz tu wrócić. Kiedyś.

Potem Ogniste Balony odleciały i zniknęły, a on klęczał jak dziecko z twarzą moką od łez, krzycząc do siebie: „Wracajcie, wracajcie!”. W dawno minionym miasteczku w Ohio lada moment dziadek może go podnieść i zanieść na górę do sypialni...

\* \* \*

O zachodzie słońca zesli ze wzgórz. Oglądając się przez ramię, ojciec Peregrine ujrzał płonące na niebie błękitne ognie. „Nie – pomyślał – nie mogliśmy zbudować dla was kościoła. Wy sami jesteście Piękem. Jakiż kościół mógłby konkurować z fajerwerkami czystej duszy?”.

Ojciec Stone maszerował w milczeniu obok niego. W końcu odezwał się:

– Tak, jak ja to widzę, na każdej planecie jest Prawda, odłamek Wielkiej Prawdy. Pewnego dnia wszystkie połączą się ze sobą niczym kawałki układanki. To było wstrząsające przeżycie. Nigdy więcej nie będę wątpił, ojcze Peregrine. Tutejsza Prawda bowiem jest równie prawdziwa jak nasza na Ziemi. Są sobie równe. A kiedy wyruszymy ku innym światom, będziemy powiększać sumę Prawd, póki pewnego dnia nie objawi się nam Wielka Całość, jak świt nowego dnia.

– W twoich ustach to wiele znaczy, ojcze Stone.

– W pewnym sensie żałuję teraz, że wracamy do miasta, by zająć się naszymi braćmi. Te błękitne światła ... Kiedy osiadły wokół nas, i ten głos ... – Ojciec Stone zadrżał.

Ojciec Peregrine wyciągnął rękę i ujął jego dłoń. Przez chwilę szli razem w ciszy.

– I wiesz? – rzekł w końcu ojciec Stone, patrząc na brata Mathiasa, który kroczył przed nimi, trzymając czule w ramionach szklaną kulę, ową szklaną kulę z zamkniętym w środku wiecznym błękitnym światłem. – Wiesz, ojcze Peregrine, ta kula ...

– Tak?

– To On. To jednak On.

Ojciec Peregrine uśmiechnął się i razem wyszli spomiędzy wzgórz, zmierzając ku nowemu miastu.

## OSTATNIA NOC PRZED KOŃCEM ŚWIATA

– Co byś zrobiła, gdybyś wiedziała, że dziś jest ostatnia noc przed końcem świata?

– Co bym zrobiła? Mówisz serio?

– Tak, serio.

– Nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym.

Nalał jej kawy. Nieco dalej w blasku zielonych lamp dwie dziewczynki ustawiały klocki na dywanie salonu. W wieczornym powietrzu unosił się czysty, wyraźny zapach świeżo zaparzonej kawy.

– To lepiej zacznij się zastanawiać – rzekł.

– Nie mówisz poważnie!

Przytaknął.

– Wojna?

Potrząsnął głową.

– Nie bomba wodorowa ani atomowa?

– Nie.

– Broń biologiczna?

– Nic z tych rzeczy. – Powoli zamieszał w kubku. – Powiedzmy raczej: zwykłe zamknięcie książki.

– Chyba nie rozumiem.

– Tak naprawdę ja też nie. To tylko przeczucie. Czasami mnie przeraża, a czasem nie czuję lęku, jedynie spokój. – Zerknął na dziewczynki. Ich złote włosy połyskiwały w świetle lamp. – Nie wspominałem ci wcześniej. Po raz pierwszy zdarzyło się to cztery dni temu.

– Co?

– Sen. Śniło mi się, że wszystko się kończy. Jakiś głos powiedział, że to koniec. Że tu, na Ziemi, wszystko dobiega kresu. Następnego dnia nie myślałem o tym, potem jednak poszedłem do biura i po południu przytapałem Stana Willisa, jak wyglądał przez okno. „Grosik za twoje myśli, Stan” – rzuciłem, a on na to:

„Zeszłej nocy miałem sen...”. I zanim zdążył go opowiedzieć, wiedziałem, czego dotyczył. Sam mogłem mu go streścić, ale on to zrobił, a ja słuchałem.

– To był ten sam sen?

– Identyczny. Powiedziałem Stanowi, że też o tym śniłem. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Prawdę mówiąc, odprężył się. Potem, ot tak sobie, zaczęliśmy krążyć po biurze. Niczego nie planowaliśmy, nie powiedzieliśmy nawet „przejdźmy się”. Po prostu poszliśmy i wszędzie widzieliśmy ludzi wbijających wzrok w biurka, we własne ręce, wyglądających przez okna. Rozmawiałem z kilkoma. Stan też.

– I wszyscy śnili?

– Wszyscy. Ten sam sen. Bez najmniejszej różnicy.

– Wierzysz w niego?

– Tak. Nigdy nie miałem większej pewności.

– Zatem kiedy się skończy? No wiesz, świat.

– Dla nas jeszcze tej nocy; gdy noc zacznie okrążyć Ziemię, przyniesie ze sobą koniec. Wszystko potrwa dwadzieścia cztery godziny.

Dłuższą chwilę siedzieli bez ruchu, nie tykając kawy. Potem powoli podnieśli filiżanki i zaczęli pić, patrząc sobie w oczy.

– Czym zawiniliśmy? – spytała.

– To nie kwestia winy. Po prostu się nie udało. Zauważyłem, że nawet się nie zdziwiłaś. Czemu?

– Mam swój powód – odparła.

– Ten sam, co wszyscy w biurze?

Przytaknęła.

– Nie chciałam nic mówić. To było zeszłej nocy. A dziś kobiety z sąsiedztwa rozmawiały o tym między sobą. One też śniły. Sądziłam, że to zwykły zbieg okoliczności. – Podniosła wieczorną gazetę. – Nic tu nie piszą.

– Wszyscy wiedzą, więc nie ma potrzeby.

Wyciągnął się w fotelu, obserwując ją.

– Boisz się?

– Nie. Zawsze myślałam, że będę czuła strach, ale nie.

– A gdzie instynkt samozachowawczy, o którym tak wiele



gadają?

– Nie wiem. Kiedy człowiek stwierdza, że coś jest logiczne, nie denerwuje się. A to jest logiczne. Nasze życie mogło doprowadzić tylko do jednego.

– Nie byliśmy przecież tacy źli.

– Nie. Ani specjalnie dobrzy. Przypuszczam, że w tym właśnie rzecz. Nie zajmowaliśmy się niczym ważnym poza sobą, podczas gdy wielka część świata robiła różne straszne rzeczy.

Dziewczynki śmiały się w salonie.

– Zawsze sądziłam, że gdy nadejdzie ta chwila, ludzie będą krzyczeć na ulicach.

– Chyba nie. Nie krzyczy się w obliczu prawdziwego końca. Wiesz, nie będzie mi brakować niczego poza tobą i dziewczynkami. Nigdy nie lubiłem miasta, mojej pracy czy innych rzeczy, poza waszą trójką. Może zatęsknię także za zmianą pogody, szklanką wody z lodem w upale albo nawet za snem? Jak możemy siedzieć i rozmawiać w takiej chwili?

– Bo nie pozostało nam nic innego.

– To prawda. Gdyby było coś jeszcze do zrobienia, zrobilibyśmy to. Przypuszczam, że po raz pierwszy w dziejach świata wszyscy dokładnie wiedzą, co spotka ich tej nocy.

– Ciekawe, co będą robili przez następnych kilka godzin?

– Pójdą do kina, posłuchają radia, pooglądają telewizję, pograją w karty, położą dzieci do łóżek i sami pójną spać – jak zwykle.

– W pewnym sensie możemy być z tego dumni – jak zwykle.

Chwilę siedzieli bez ruchu, potem nalał sobie kolejną filiżankę kawy.

– Jak sądzisz, dlaczego właśnie dzisiaj?

– Dlatego.

– Czemu nie innej nocy, wiek, pięć wieków temu, dziesięć?

– Może dlatego, że nigdy dotąd w dziejach nie było dziewiętnastego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. A teraz nadszedł i jest; bo ta data znaczy więcej niż wszelkie inne daty. Bo przyszedł rok, w którym rzeczy mają się tak, jak się mają, na całym świecie. I dlatego świat musi się skończyć.

– Po obu stronach oceanu wystartowały już bombowce, które nigdy nie wylądują.

– To także jeden z powodów.

– Cóż – rzekł, wstając. – Co teraz? Pozmywamy naczynia?

Pozmywali naczynia i ustawili je wyjątkowo starannie. O ósmej trzydzieści położyli dziewczynki, pocałowali je na dobranoc i zapalili słabe lampki obok ich łóżek, pozostawiając uchylone drzwi.

– Ciekawe – rzekł mąż, wychodząc z sypialni i oglądając się przez ramię. Krótką chwilę stał bez ruchu z fajką w dłoni.

– Co?

– Czy zamkną drzwi, czy zostawią je niedomknięte, wpuszczając do środka trochę światła.

– Zastanawiam się, czy dzieci wiedzą.

– Nie, oczywiście, że nie.

Przeczytali gazety, rozmawiali, jakiś czas słuchali dochodzącej z radia muzyki, a potem usiedli razem przy kominku, patrząc na żarzące się węgle, podczas gdy zegar wybijał dziesiątą trzydzieści, jedenastą, w pół do dwunastej. Myśleli o wszystkich ludziach na świecie spędzających ten wieczór na swój własny wyjątkowy sposób.

– No cóż – powiedział w końcu mąż.

Długą chwilę całował żonę.

– Dobrze nam było ze sobą.

– Chcesz popłakać? – spytał.

– Chyba nie.

Przeszli przez dom, gasząc wszystkie światła. W końcu dotarli do pogrążonej w chłodnym nocnym mroku sypialni, rozebrali się i odrzucili kołdrę.

– Miło położyć się w czystej pościeli.

– Jestem zmęczona.

– Wszyscy jesteśmy.

Weszli do łóżka i położyli się.

– Chwileczkę – rzuciła.

Usłyszał, jak wstaje i idzie do kuchni. Chwilę później wróciła.

– Zostawiłam odkręcony kran – wyjaśniła.

Jej słowa zabrzmiały tak zabawnie, że musiał się roześmiać.

Ona zawtórowała mu, wiedząc, co tak bardzo go rozśmieszyło w jej postępowaniu. Po jakimś czasie przestali się śmiać i legli w zimnym nocnym łóżku, kurczowo trzymając się za ręce i tuląc do siebie.

- Dobrej nocy - powiedział po chwili.

- Dobrej nocy - odparła.

## WYGNAŃCY

Ich oczy były jak ogień, a z ust tryskały płomienie oddechu, gdy wiedźmy pochylały się nad kotłem, badając jego zawartość zatłuszczonym patykiem i kościstym palcem.

*Rychłóż się zejdzem znów przy blasku  
Błyskawic i piorunów trzasku?<sup>6</sup>*

Tańczyły jak pijane na brzegu pustego morza. Ich bluźniercze języki raniły powietrze, złowieszcze kocie oczy płonęły.

*Wkoło kotła, wrzućmy doń  
Zbójczych jadów pełną dłoń...  
Dalej! zwawo! Hasa! Hej!  
Buchaj, ogniu! Kotle, wrzej!*

Przystanąły, rozglądając się wokoło.

– Gdzie kryształ? Gdzie szpilki?

– Tu!

– Dobrze!

– Czy żółty wosk zgęstniał?

– Tak.

– Wlejcie go do żelaznej formy!

– Figurka gotowa? – Wosk ściekał z ich zielonych dłoni, lepki jak melasa.

– Przebijcie szpilką serce!

– Kryształ, kryształ; weźcie go z woreczka z tarotem i odkurzcie. Spójrzcie!

Nachyliły się nad kryształem, ich twarze zbiełały.

„Patrzcie, patrzcie, patrzcie...”.

---

<sup>6</sup> Ten i następane cytaty z Makbeta Williama Szekspira w przekładzie Józefa Paszkowskiego (przyp. tłum.).

Rakieta pokonywała przestrzeń między planetą Ziemią a Marsem. Na jej pokładzie umierali ludzie.

Kapitan ze znużeniem uniósł głowę.

– Będziemy musieli podać mu morfinę.

– Ale, kapitanie...

– Sam widzisz, w jakim jest stanie.

Kapitan uniósł wełniany koc. Skrępowany mężczyzna leżący pod przeпоconym prześcieradłem poruszył się i jęknął. W powietrzu unosiła się gorzka woń siarczanych piorunów.

– Widziałem, widziałem! – Mężczyzna otworzył oczy i spojrzał w bulaj, za którym widać był jedynie czarną przestrzeń, wirujące gwiazdy, odległą Ziemię i planetę Mars, wielką i czerwoną. – Widziałem go: nietoperza, ogromnego stwora, nietoperza o twarzy człowieka, siedzącego za oknem. Rozpostarte skrzydła trzepotały i trzepotały, trzepotały i trzepotały...

– Puls? – spytał kapitan.

Pielęgniarz zmierzył.

– Sto trzydzieści.

– Nie wytrzyma długo. Podać mu morfinę. Chodź, Smith.

Odeszli. Nagle między płytkami podłogi pojawiły się kości i białe wrzeszczące czaszki. Kapitan nie śmiał spojrzeć w dół.

– Czy jest tu Perse? – spytał, ignorując krzyki i unosząc właz.

Chirurg w białym fartuchu cofnął się, porzucając zwłoki.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Jak zginął Perse?

– Nie wiemy, kapitanie. To nie serce, mózg ani wstrząs. Po prostu umarł.

Kapitan pomacał przegub lekarza, którego ręka zmieniła się w syczącego węża i go ugryzła. Dowódca nawet się nie skrzywił.

– Uważaj na siebie. Też masz przyśpieszone tętno.

Lekarz przytaknął.

– Perse narzekał na bóle, ukłucia, tak je opisywał, w przegubach i nogach. Mówił, że czuje się tak, jakby był z wosku i zaczynał topnieć. Upadł. Pomogłem mu wstać. Krzyczał jak dziecko. Mówił, że ma w sercu srebrną szpilkę. I umarł. Leży tutaj. Jeśli pan chce, możemy powtórzyć sekcję. Pod względem fizycznym

wszystko z nim w porządku.

– Niemożliwe! Musiał na coś umrzeć.

Kapitan podszedł do okna. Pachniał mentolem, jodyną i zielonym mydłem, którego używał do mycia wypielęgnowanych, wymanikiurowanych dłoni. Białe zęby miały idealnie skorygowany zgryz, uszy były wyszorowane do różowości, podobnie policzki. Barwa munduru przywodziła na myśl świeżą sól, wysokie buty były jak połyskujące w dole czarne zwierciadła. Z jego sztywnych, krótko przyciętych włosów unosiła się ostra woń alkoholu. Nawet jego oddech był świeży, rześki i czysty. Nigdzie nie znalazłbyś ani jednej plamki. Kapitan był niczym nowiutki instrument, naostrzony i gotowy, wciąż gorący po wyjęciu ze sterylizatora.

Towarzyszający mu mężczyźni bardzo go przypominali. Zdawało się, że z ich pleców powinny sterczeć obracające się powoli wielkie mosiężne kluczyki. Wszyscy przywodzili na myśl kosztowne, utalentowane, dobrze naoliwione zabawki, zręczne i posłuszne. Kapitan patrzył, jak Mars rośnie przed nimi.

– Za godzinę wylądujemy na tym przeklętym pustkowiu. Smith, widziałeś jakieś nietoperze? Miałeś koszmary?

– Tak. Zaczęły się miesiąc przed tym, nim rakieta wystartowała z Nowego Jorku. Białe szczury gryzy mnie w szyję, piły krew. Nikomu o tym nie wspominałem. Bałem się, że nie pozwoli mi pan uczestniczyć w wyprawie.

– Nieważne. – Kapitan westchnął. – Mnie także dręczą sny. Przez pięćdziesiąt lat nigdy nie śniłem, aż do tygodnia przed startem z Ziemi. Odtąd co noc śni mi się, że jestem białym wilkiem osaczonym na zaśnieżonym wzgórzu, postrzelonym srebrną kulą, pogrzebanym z sercem przebitym kołkiem. – Skinął głową, wskazując Marsa. – Jak sądzisz, Smith, czy oni wiedzą, że nadlatujemy?

– Kapitanie, nie mamy pewności, czy na Marsie istnieje życie.

– Nie mamy? Zaczęli nas straszyć osiem tygodni temu, jeszcze przed startem. Zabili Perse'a i Reynoldsa. Wczoraj sprawili, że Grenville ośleplł. Jak? Nie wiem. Nietoperze, szpilki, sny, ludzie mrący bez powodu. W innych czasach nazwałbym to czarami, ale

mamy rok dwa tysiące dwudziesty, Smith. Jesteśmy rozsądnymi ludźmi. To wszystko nie może się dziać – ale się dzieje. Kimkolwiek są, razem z ich szpilkami i nietoperzami, próbują nas wszystkich wykończyć. – Odwrócił się gwałtownie. – Smith, przynieś książki z mojej szafki. Chcę je mieć, gdy wylądujemy.

Po chwili na podłodze wznosił się stos z dwustu tomów.

– Dziękuję, Smith. Zerknąłeś na nie? Myślisz, że oszalałem? Może. Mam dziwne przeczucia. W ostatniej chwili kazałem dostarczyć te książki z muzeum historycznego. To przez moje sny. Przez dwadzieścia nocy padałem pod ciosami noża i siekiery. Byłem wrzeszczącym nietoperzem przyszpilonym do stołu sekcyjnego, istotą gnijącą pod ziemią w czarnej skrzyni. Co za paskudne sny. Cała załoga śniła o czarach i wilkołakach, o wampirach i zjawach, rzeczach, o których nigdy nie słyszeli. A dlaczego? Bo sto lat wcześniej prawo nakazało zniszczyć książki opowiadające o podobnych okropnościach. Nikomu nie wolno mieć w posiadaniu tych ponurych tomiszczy. Książki, które tu widzisz, to ostatnie egzemplarze, zachowane ze względów historycznych w zamkniętych skarbcach muzeów.

Smith nachylił się i zaczął czytać zakurzone tytuły:

– *Opowieści niesamowite* Edgara Allana Poego. *Dracula* Brama Stokera. *Frankenstein* Mary Shelley. *W kleszczach lęku* Henry’ego Jamesa. *Legenda o śpiącej dolinie* Washingtona Irvinga. *Córka Rappaciniego* Nathaniela Hawthorne’a. *Przy moście nad Sowim Potokiem* Ambrose’a Bierce’a. *Alicja w Krainie Czarów* Lewisa Carrolla. *Wierzyby Algernona* Blackwooda. *Czarnoksiężnik ze Szmaragdowego Grodu* L. Franka Bauma. *Widmo nad Innsmouth* H.P. Lovecrafta. I więcej! Książki Waltera de la Mare, Wakefielda, Harveya, Wellsa, Asquitha, Huxleya – samych zakazanych autorów. Wszystkie spalone w tym samym roku, kiedy zakazano obchodów Halloween i świąt Bożego Narodzenia. Ale, kapitanie, po co nam one tutaj, w rakiecie?

– Nie wiem. – Dowódca westchnął. – Jeszcze nie wiem.

\* \* \*

Trzy wiedźmy uniosły kryształ, w którym zamigotał obraz kapitana. W szkle zadźwięczał jego cichutki głosik:

– Nie wiem. – Dowódca westchnął. – Jeszcze nie wiem.

Wiedźmy popatrzyły po sobie płonącymi czerwonym blaskiem oczami.

– Mamy niewiele czasu – rzekł jedna. – Lepiej ostrzeźmy Ich w mieście.

– Powinni wiedzieć o ksiązkach. To nie wygląda dobrze. Ten ich kapitan!

– Za godzinę rakieta wyląduje.

Trzy wiedźmy zadrżały i uniosły wzrok ku Szmaragdowemu Grodowi na brzegu suchego marsjańskiego morza. W najwyższym oknie pałacu drobny mężczyzna odsunął właśnie krwistoczerwoną storę. Spoglądał na pustkowie, gdzie trzy czarownice podsycaly ogień pod kotłem i wylewały воск. Za nimi, w mroku marsjańskiej nocy, zapłonęło dziesięć tysięcy innych błękitnych ogni, roztaczających wokół siebie miękkie jak skrzydła ćmy obłoki woni lauru i kadziła, czarnego tytoniowego dymu i świerkowej żywicy, cynamonu i sproszkowanych kości. Mężczyzna zaczął liczyć gniewne magiczne ognie. Potem na oczach trzech czarownic odwrócił się. Szkarłatna zasłona opadła; odległe okno zamrugało niczym złe żółte oko.

\* \* \*

Pan Edgar Allan Poe stał w oknie wieży, w jego oddechu czuć było alkohol.

– Przyjaciółki Hekate mają dzisiejszej nocy wiele zajęć – rzekł, patrząc na odległe wiedźmy.

– Widziałem dziś na brzegu Willa Szekspira – odparł głos zza jego pleców. – Podburzał je. Sama armia Szekspira ustawiona na brzegu idzie w tysiące: trzy wiedźmy, Oberon, ojciec Hamleta, Puk, wszyscy co do jednego. Tysiące! Dobry Boże, prawdziwe morze ludzi.

– Poczciwy William.

Poe odwrócił się. Wypuszczona z ręki zasłona opadła. Przez moment stał bez ruchu, wodząc wzrokiem po surowej kamiennej komnacie, czarnym drewnianym stole, płomieniu świecy i drugim mężczyźnie w pokoju, panu Ambrose Bierce'ie,



siedzącemu wygodnie w fotelu. Bierce zapalał zapałki i patrzył, jak płoną, pogwizdując pod nosem. Od czasu do czasu śmiał się do własnych myśli.

– Musimy uprzedzić pana Dickensa – oznajmił Poe. – Zbyt długo to odkładaliśmy. Teraz to już kwestia godzin. Pójdzie pan ze mną, panie Bierce?

Bierce uniósł rozbawiony wzrok.

– Zastanawiałem się, co się z nami stanie.

– Jeśli nie zdołamy zabić ludzi z rakiety, przerazić ich, będziemy musieli stąd odejść. Przeniesiemy się na Jowisza. A kiedy przylecą i tam, przeskoczmy na Saturna. A gdy przybędą na Saturna, przeniesiemy się na Urana, Neptuna, a potem na Plutona...

– A dalej?

Twarz pana Poego zdradzała znużenie. Jego oczy żarzyły się niczym gasnące węgle, w głosie dźwięczał smutek i nuta szaleństwa, ręce gestykulowały bezsensownie, włosy opadały niedbale na zdumiewająco białe czoło. Przypominał szatana walczącego o mroczną straconą sprawę; generała po przegranej inwazji. Pod jedwabistymi czarnymi wąsami wydymał zadziwione usta. Był tak drobny, że jego czoło, wielkie i lśniące, zdawało się samodzielnie unosić w mroku.

– Zdolność do szybkiego podróżowania daje nam przewagę – rzekł. – Zawsze pozostaje nadzieja, że po kolejnej wojnie atomowej ich świat się rozpadnie i powrócą mroczne wieki, a wraz z nimi przesady. Wówczas moglibyśmy wrócić na Ziemię, wszyscy, jednej nocy. – Czarne oczy pana Poego spoglądały melancholijnie spod lśniącego czoła. Uniósł wzrok ku sufitowi. – A zatem przybywają, by zrujnować także ten świat? Niczego nie zostawią w spokoju.

– Czy wataha wilków zatrzymuje się przed zabiciem ofiary i pożarciem jej wnętrzności? To powinna być niezła wojna. Siadę z boku, zapisując wyniki. Tylu a tylu Ziemiaków ugotowanych w oleju, tyle spalonych rękopisów znalezionych w butelce. Tylu Ziemiaków przebitych szpilkami, tyle Szkarłatnych Śmierci uciekających przed baterią strzykawek!

Poe zachwiał się, lekko podchmielony winem.

– W czym zawiniliśmy? Bądź z nami, Bierce, na Boga. Czy mieliśmy uczciwy proces przed ławą krytyków literackich? Nie. Sterylne chirurgiczne szczypcy wyłowiły nasze książki i cisnęły je do ognistych zbiorników, gdzie zginęły, zamordowane przez roje śmiercionośnych bakterii. Niech ich piekło pochłonie!

– Nasza sytuacja mnie bawi – odparł Bierce.

Nagle przerwał im histeryczny wrzask dobiegający ze schodów wieży.

– Panie Poe! Panie Bierce!

– Tak, tak, idziemy.

Poe i Bierce pośpieszyli na spotkanie zdyszanego mężczyzny, który opierał się o kamienny mur.

– Słyszeliście wieści?! – zawołał, wymachując rękami niczym człowiek balansujący na szczycie urwiska. – Wylądują za godzinę. Przywożą z sobą książki, stare książki. Tak powiedziały wiedźmy. Co jeszcze robicie w wieży? Czemu nie działacie?

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, Blackwood – odparł Poe.

– Jesteś w tym nowy. Chodź z nami. Idziemy do pana Dickensa, aby...

– ...zastanowić się nad naszym losem, naszym ponurym losem – dodał pan Bierce, porozumiewawczo mrugając.

\* \* \*

Wędrowali dźwięczącymi echem gardzielami zamku, pokonując kolejne mroczne zielone poziomy, w dół ku zaduchowi i zgniliznie, pająkom i zwiewnym sieciom.

– Nie martwcie się – rzekł Poe. Jego czoło niczym wielka biała lampa wskazywało im drogę. – Wezwałem dziś znad martwego morza wszystkich, waszych przyjaciół i moich, Blackwoodzie, Bierce'ie. Są tutaj zwierzęta, stare kobiety i wysocy mężczyźni o ostrych białych zębach. Pułapki czekają; studnie i wahadła, a nawet Szkarłatna Śmierć. – Zaśmiał się cicho. – O tak, nawet Szkarłatna Śmierć. Nigdy nie sądziłem, że nadejdzie chwila, gdy pojawi się Szkarłatna Śmierć, ale oni prosili się o nią i ją dostaną!

– Ale czy mamy dość sił? – zastanawiał się Blackwood.

– Co oznacza siła? Oni przynajmniej nie będą gotowi na spotkanie z nami. Nie mają wyobraźni. Ci czyści młodzi piloci w antyseptycznej bieliźnie i szklanych hełmach na głowach, wyznawcy nowej religii! Noszą na szyjach na złotych łańcuszkach skalpele, na głowach diademy z mikroskopów. W poświęconych palcach trzymają parujące kadzielnice: w rzeczywistości płoną w nich antybiotyki wykorzeniające przesady. Nazwiska Poe, Hawthorne, Blackwood – w ich czystych ustach to największe bluźnierstwo.

Opuściwszy zamek, maszerowali przez wodę, górskie jezioro, które wcale nie było jeziorem i rozwiewało się w mgiełkę niczym senny koszmar. Powietrze wypełniały trzepotanie skrzydeł i niespokojne szmery, podmuchy wiatru i ciemność. W mroku rozbrzmiewały głosy, dziwne postacie chwiałały się przy ogniskach. Pan Poe popatrzył na migoczące w blasku ognia szpilki, które sprowadzały ból, cierpienie i zło w serca woskowych kukiełek i glinianych lalek. Z bulgoczących kotłów wzlatywały syczące obłoki pary pachnącej dzikim czosnkiem, kajeńskim pieprzem i szafranem.

– Nie przestawajcie! – rzucił Poe. – Niedługo wrócę.

Na całym wybrzeżu czarne postacie pojawiały się i znikwały, błądły i rozwiewały się w postaci czarnego dymu na niebie. Ze szczytów wież w górach dobiegał dźwięk dzwonów. Smoliste kruki towarzyszyły metalicznym nutom i wraz z nimi rozpadały się w popiół.

\* \* \*

Poe i Bierce przecięli samotne wrzosowisko i zagłębili się w płytką dolinę. Nagle znaleźli się na brukowanej ulicy; wokół ziębnięci ludzie tupali dla rozgrzewki; wśród mgły jarzyły się okna biur i sklepów, w których płonęły świece i kołysały się świąteczne indyki. W oddali grupka opatulonych po uszy chłopców śpiewała kolędę, z ich ust wznosiły się obłoczki pary. Ogłuszające kuranty wielkiego zegara stale oddzwaniały północ. Z piekarni wybiegły dzieci, niosąc w umorusanych dłoniach dymiące potrawy na tacach i srebrnych półmiskach.

Doszli do domu z szyldem SCROOGE, MARLEY I DICKENS i Poe zastukał ostro kołatką z obliczem Marleya. Kiedy drzwi uchyliły się na kilka cali, ze środka wypłynęła nagła fala muzyki, niemal zmuszając do tańca. Za plecami mężczyzny unoszącego ku nim twarz ze starannie przystrzyżoną bródką i wąsami dostrzegli pana Fezziwiga klaszczącego w dłonie i panią Fezziwig, chodzący uśmiech, tańczącą i zderzającą się z innymi biesiadnikami. Skrzypki zawodziły, a wybuchy śmiechu okrążały stół niczym brzęk kryształowego żyrandola kołysanego powiewami wiatru. Na wielkim blacie ustawiono mięsiwa, indyki, ostrokrzew, gęsinę, paszteciki, prosiaki, wieńce z kiełbas, jabłek i pomarańczy, a wokół siedzieli Bob Cratchit i mała Doritt, mały Tim i pan Fagin we własnej osobie, a także mężczyzna, który wyglądał jak niestrawiony kawał wołowiny, plama musztardy, okruch sera, kawałek niedogotowanego ziemniaka – ktoś inny, jeśli nie pan Marley, w komplecie z łańcuchami. Tymczasem wino lało się strumieniami, a brązowe indyki oszałamiająco pachniały.

– Czego chcecie? – spytał ostro pan Charles Dickens.

– Przyszliśmy raz jeszcze cię prosić, Charles. Potrzebujemy twojej pomocy – odparł Poe.

– Pomocy? Sądzicie, że pomogę wam w walce z poczciwymi ludźmi przybywającymi rakieta? Zresztą i tak nie należę do waszego grona. Moje książki spalono przez pomyłkę. Nie piszę o nadnaturalnych mocach, nie zajmuję się grozą i strachem jak ty, Poe, ty, Bierce, czy pozostali. Nie mam z wami nic wspólnego, spece od okropności.

– Umiesz przekonująco przemawiać – nalegał Poe. – Mógłbyś wyjść im na spotkanie i uspokoić ich, rozwiać podejrzenia. A wówczas my zajęlibyśmy się resztą.

Pan Dickens spojrział znacząco na fałdy czarnej peleryny skrywające dłonie Poego. Uśmiechnięty Poe wyciągnął spomiędzy nich czarnego kota.

– Dla jednego z naszych gości.

– A dla pozostałych?

Poe uśmiechnął się ponownie, wyraźnie zadowolony.

– Przedwczesny pogrzeb?

– Ponury z pana człowiek, panie Poe.

– To tylko przerażenie i gniew. Jestem bogiem, panie Dickens, podobnie jak pan, jak my wszyscy, a nasze dzieła – ludzie, jeśli tak chce ich pan nazwać – są nie tylko w niebezpieczeństwie, lecz zostały wygnane i spalone, podarte i ocenzurowane, zniszczone, unicestwione. Światy, które stworzyliśmy, obracają się w ruinę. Nawet bogowie muszą walczyć!

– Czyżby? – Pan Dickens przekrzywił głowę. Nie mógł się doczekać powrotu na przyjęcie. – Może wyjaśni pan, skąd się tu wzięliśmy? Jak tu przybyliśmy?

– Wojna rodzi wojnę, zniszczenie – zniszczenie. Sto lat temu na Ziemi, w roku dwa tysiące dwudziestym, zdelegalizowano nasze książki. Cóż za potworny pomysł: zniszczyć nasze dzieła literackie! To nas wezwało – skąd? Z krainy śmierci? Z otchłani? Nie lubię abstrakcyjnych koncepcji. Nie wiem. Wiem tylko, że nasze światy i stworzenia wezwały nas, a my próbowaliśmy je ocalić. Jedyną zaś rzeczą, którą mogliśmy zrobić, było odejść tu, na Marsa. I czekać – z nadzieją, że Ziemia zbuntuje się przeciw naukowcom i ich wątpliwościom. Teraz jednak przybywają, aby usunąć stąd nas i nasze mroczne istoty; wszystkich alchemików, czarownice, wampiry, wilkołaki. Wszystkich, którzy uciekali przez kosmos, w miarę jak nauka ogarniała kolejne kraje na Ziemi, nie pozostawiając im innego wyjścia poza wygnaniem. Musi nam pan pomóc. Potrafi pan przemawiać. Potrzebujemy pana.

– Powtarzam, nie jestem jednym z was. Nie zgadzam się z panem ani z pozostałymi! – zawołał gniewnie Dickens. – Ja nie zabawiałem się wiedźmami, wampirami i upiorami o północy.

– *A Opowieść wigilijna?*

– To śmieszne. Jedna historia. Owszem, napisałem jeszcze kilka historii o duchach, ale co z tego? W moich najważniejszych dziełach ich nie znajdziecie.

– Pomyłkowo czy nie, dołączyli pana do nas. Zniszczyli pańskie książki – pańskie światy. Musi pan ich nienawidzić, panie Dickens.

– Przyznaję, że to głupcy i prostacy, lecz nic ponad to. Do widzenia.

– Proszę przynajmniej posłać z nami pana Marleya.

– Nie!

Drzwi zatrzasnęły się. Gdy Poe odwrócił głowę, na zamarzniętej ulicy pojawił się wielki dylizans, którego woźnica wygrywał wesołą melodię na trąbce. Ze środka wysypała się grupka rumianych, roześmianych i rozśpiewanych członków klubu Pickwicka, którzy zaczęli dobijać się do drzwi, krzycząc donośnie; „Wesołych Świąt”, póki nie wpuścił ich gruby chłopczyk.

\* \* \*

Pan Poe maszerował pośpiesznie pogrążonym w mroku brzegiem suchego morza. Co chwila przystawał wśród ognia i dymu, wykrzykując rozkazy, sprawdzając bulgoczące w kotłach trucizny i nakreślone kredą pentagramy.

– Dobrze – powtarzał i biegł dalej. – Świetnie! – krzyczał i znów ruszał naprzód.

Po drodze dołączali do niego inni. Wkrótce u jego boku biegli pan Coppard i pan Machen. Przemykali wśród pełnych nienawiści węży, rozwścieczonych demonów, ognistych brązowych smoków, plujących jadem żmij i dygoczących wiedźm, pośród kolców, cierni, ostów i wszelkiej zbieraniny śmieci, pozostawionych przez opadające morze wyobraźni, porzuconych na melancholijnym brzegu, wijących się i syczących w strugach piany.

Nagle pan Machen przystanął, usiadł jak dziecko na chłodnym piasku i zaczął szlochać. Próbowali go uspokoić, on jednak nie słuchał.

– Właśnie przyszło mi do głowy – rzekł. – Co się z nami stanie w dniu, gdy zniszczą ostatnie egzemplarze naszych książek?

Powietrze zawirowało.

– Nawet o tym nie mów!

– Musimy – zawodził pan Machen. – Już teraz, gdy rakieta zniża się do lądowania, pan, panie Poe; pan, Coppardzie, pan, Bierce, wszyscy zaczynacie blednąć. Rozwiewacie się niczym drzewny dym. Wasze twarze topnieją...

– Śmierć, to prawdziwa śmierć dla nas wszystkich!

– Istniejemy dzięki łasce Ziemi. Jeśli dziś wieczór wydadzą edykt nakazujący zniszczyć resztkę naszych dzieł, zgaśniemy niczym zdmuchnięta świeca.

– Zastanawiam się, kim jestem? – rozmyślał głośno Coppard. – W jakim ziemskim umyśle dziś istnieję? W afrykańskiej chacie? Poprzez pustelnika czytającego moje książki? Czy pozostał tylko on, samotny płomyk na wietrze czasu i nauki, migotliwy ognik, podtrzymujący me życie na wygnaniu? Czy to on? A może jakiś chłopiec na zagraconym strychu znalazł mnie w ostatniej chwili? Zeszłej nocy czułem się słabo, tak bardzo słabo, aż do szpiku kości. Nie tylko bowiem ciało jest ciałem, dusza także bywa cielesna i owo ciało duszy bolało mnie wczoraj nieznośnie. Miałem wrażenie, że jestem jak gasnąca świeca. Nagle jednak rozbłysnąłem, wzmocniony nowym światłem. Może to dziecko, kichające od kurzu na pożółkłym ziemskim poddaszu, raz jeszcze znalazło zaczytaną, poplamioną książkę – moją książkę, przedłużając moje istnienie.

Drzwi małej chatki na brzegu rozwarły się szeroko. Wyszedł z nich niski, chudy mężczyzna o obwisłej skórze i nie zwracając uwagi na pozostałych, usiadł, wbijając wzrok w zaciśnięte pięści.

– Jego naprawdę mi szkoda – szepnął Blackwood. – Spójrzcie na niego, umiera. Kiedyś był prawdziwszy niż my wszyscy, a przecież my żyliśmy naprawdę. Tamci wzięli szkielet myśli i odziali go w stulecia różowego ciała, śnieżnobiałej brody, czerwonego aksamitnego stroju i czarnych butów. Stworzyli mu renifery, dzwonki, ostrokrzew. I po wiekach tworzenia w końcu utopili w kadzi lizolu.

Mężczyźni milczeli.

– Jak strasznie musi być na Ziemi – zastanawiał się na głos Poe – bez świąt Bożego Narodzenia. Nie ma gorących kasztanów, choinek, ozdóbek, bębnow i świec; niczego. Jedynie śnieg i wiatr i samotni, racjonalni ludzie.

Wszyscy spojrzeli na drobnego, chudego człowieka o zjeżonej brodzie, odzianego w wyblakłe czerwone aksamity.

– Słyszeliście jego historię?

– Wyobrażam ją sobie. Psychiatra o lśniących oczach, sprytny socjolog, pełen urazy pedagog z pianą na ustach, antyseptyczni rodzice...

– Ciężka strata dla świątecznych handlarzy – wtrącił Bierce – którzy, jeśli dobrze pamiętam, pod koniec zaczęli wywieszać wianki i śpiewać kolędy jeszcze przed Halloween. Gdyby nie ich pech, w tym roku zaczęliby już pewnie w sierpniu.

Nagle Bierce urwał i z westchnieniem runął na twarz. Zdążył jedynie powiedzieć: „Ciekawe”. A potem na ich przerażonych oczach jego ciało spłonęło, zamieniając się w błękitny pył i zwęglone kości. Wiatr uniósł w powietrze czarne strzępy popiołów.

– Bierce, Bierce!

– Odszedł.

– Zniszczyli jego ostatnią książkę. Ktoś na Ziemi musiał ją spalić.

– Niech spoczywa w pokoju, nic po nim nie zostało. Wszyscy bowiem jesteśmy tylko książkami, a kiedy ich zabraknie, my także znikniemy.

Niebo nad nimi rozdarł ogłuszający grzmot.

Krzyknęli ze strachu i unieśli wzrok. A tam, otoczona oślepiającym obłokiem ognia, jaśniała rakietka. Latarnie otaczające mężczyzn na brzegu zakołysały się, rozległ się pisk i bulgot, którym towarzyszył odór warzonych zakłęk. Dynie z płonącymi oczami wleciały w zimne powietrze, chude palce zacisnęły się w pięści; zwiędłe usta wiedźmy rozwarły się w okrzyku:

*Statku, statku, łam się, toń!*

*Statku, statku, płoń, płoń!*

*Huk, trzask, pył, prask!*

*Kocia sierść, mumii dłoń!*

– Czas odejść – mruknął Blackwood. – Na Jowisza, na Saturna, na Plutona.

– Mielibyśmy uciec?! – krzyknął Poe na wietrze. – Nigdy!

– Jestem stary i zmęczony.



Poe spojrzął w twarz starca i mu uwierzył. Wdrapał się na wielki głaz i odwrócił ku dziesięciu tysiącom szarych cieni, zielonych świateł i żółtych oczu płonących w powiewach wiatru.

– Mikstury! – krzyknął.

Wokół rozeszła się woń palonych gorzkich migdałów, piżma, kminku, kosaćca i cykuty.

Rakieta opadała ku powierzchni planety – spokojnie, niewzruszenie, do wtóru wrzasku potępionych dusz. Poe powitał ją z furją. Gwałtownie uniósł ręce i natychmiast odpowiedziała mu symfoniczna orkiestra gorąca, zapachu i nienawiści. Nietoperze wzleciały w niebo niczym czarne kawałki drewna, wystrzelone pociski płonących serc wybuchały w krwawych fajerwerkach. Rakieta opadała, w dół, w dół, bezlitosna niczym wahadło. A Poe wrzeszczał gniewnie, kuląc się z każdym ruchem rakiety, ze świstem przecinającej powietrze. Martwe morze zdawało się studnią, w której czekali uwięzieni na ostatni cios przerażającej maszyny, lśniącego topora. Byli jak rozbitkowie zasypani przez lawinę.

– Węże! – huknął Poe.

I w stronę rakiety wystrzeliły zwoje zielonych gadzich serpentyn. Ona jednak wciąż opadała w blasku ognia, aż wreszcie legła na piasku milę od nich, dysząc ze zmęczenia i wyrzucając z siebie czerwone pióropusze.

– Dalej! – zawył Poe. – Plany się zmieniły! Mamy tylko jedną szansę! Biegnijcie! Na nich! Zaduście ich własnymi ciałami! Zabijcie ich!

Zupełnie jakby rozkazał wzburzonemu morzu opuścić swoje leże, oderwać się od pierwotnego dna. Wiry i potężne fontanny ognia wezbrały i pomknęły niczym wicher, deszcz czy nagie błyskawice po piaskach, pustymi ujściami rzek, z krzykiem i szlochem, gwizdząc i zawodząc, migocząc i ciemniejąc; płynęły ku rakiecie, która leżała w najdalszej dolinie niczym lśniąca metalowa zgaszona pochodnia. Zupełnie jakby ktoś przewrócił ogromny okopcony kocioł rozżarzonej lawy. Ognieści ludzie i warczące zwierzęta pędzili naprzód, połykając suche mile.

– Zabić ich! – wrzasnął Poe, rzucając się do biegu.

\* \* \*

Załoga rakiety wyskoczyła ze statku, unosząc broń. Przez chwilę krążyli wokół, wężąc jak ogary. Niczego nie zobaczyli. Odprężyli się.

Ostatni wyszedł kapitan, rzucając kilka ostrych rozkazów. Natychmiast zebrano drewno i je podpalono. Suche drwa błyskawicznie się zajęły. Kapitan wezwał swoich ludzi i kazał im ustawić się w półkregu.

– Oto nowy świat – rzekł, zmuszając się do zachowania spokoju, choć od czasu do czasu zerkał nerwowo przez ramię na suche morze. – Stary świat pozostał za nami. Nowy początek. Jego symbolem będzie jeszcze głębsze oddanie sprawie nauki i postępu. – Skinieniem głowy dał znak porucznikowi. – Książki.

W blasku ognia załśniły wytarte złocone tytuły: *Wierzby*, *Outsider*, *Marzyciel*, *Doktor Jekyll i pan Hyde*, *W krainie czarnoksiężnika Oza*, *Pellucidar*, *Ląd, o którym zapomniał czas*, *Sen nocy letniej* oraz potworne nazwiska Machena i Edgara Allana Poego, Cabella i Dunsany'ego, Blackwooda i Lewisa Carrolla; nazwiska, stare nazwiska, nazwiska pełne zła.

– Nowy świat. W tym oto gościć palimy resztki starego.

Kapitan zaczął wydzierać stronicę z książek. Kolejno wrzucał je do ognia.

Krzyk!

Mężczyźni odskoczyli, próbując przebić wzrokiem krąg ognia, aby zobaczyć skraj pustego, wzbierającego morza.

Kolejny krzyk! Wysokie zawroźwienie, skowyt umierającego smoka, rozpaczliwe miotanie się brązowego wieloryba pozostającego na dnie, gdy wody olbrzymiego oceanu wsiąkają w piach wzdłuż kamieni.

Przypominało to dźwięk powietrza wypełniającego próżnię pozostającą w miejscu, w którym przed sekundą coś było.

Kapitan starannie pozbył się ostatniej książki, wrzucając ją w płomień.

Powietrze przestało drzeć.

Cisza!

Przybysze nachylili się, wytężając uszy.

– Kapitanie, słyszał pan?

– Nie.

– Zupełnie jak fala na dnie morza. Wydawało mi się, że coś widzę. O tam. Czarną falę. Potężną. Biegnącą ku nam.

– Pomyliłeś się.

– Tam, kapitanie!

– Co?

– Widzi pan? Tam! Miasto! Daleko. Zielone miasto nad jeziorem. Pęka na dwoje. Wali się!

Mrużąc oczy, mężczyźni ruszyli naprzód. Pośród nich stał drżący Smith. Przytknął dłoń do czoła, jakby próbował odnaleźć zapomnianą myśl.

– Pamiętam. Tak, teraz pamiętam. Dawno temu. Kiedy byłem dzieckiem. Czytałem książkę. Opowieść. Oz, tak się nazywała. Oz. Szmaragdowy gród Oza...

– Oz? Nigdy o nim nie słyszałem.

– Tak, Oz. Przed sekundą widziałem go, zupełnie jak w książce. Widziałem, jak się wali.

– Smith?

– Tak, kapitanie?

– Jutro zgłosicie się na psychoanalizę.

– Tak jest.

Krótki salut.

– Ostrożnie.

Unosząc broń, mężczyźni ruszyli na palcach, aby opuścić krąg sterylnych świateł statku. Powiedli wzrokiem po rozległym morzu i niskich wzgórzach.

– Ależ – szepnął zawiedziony Smith – tu nikogo nie ma. Ani żywej duszy.

Wiatr ze skowytem zasypał im buty piaskiem.

## ANI WIECZÓR, ANI PORANEK

W ciągu dwóch godzin wypalił paczkę papierosów.

- Jak daleko w przestrzeni jesteście?
- Miliard mil.
- Miliard mil skąd? – spytał Hitchcock.
- To zależy – odparł Clemens. On nie palił. – Można by rzec: miliard mil od domu.
- Więc to powiedz.
- Dom. Ziemia. Nowy Jork, Chicago. Tam, skąd pochodzisz.
- Nie pamiętam – odrzekł Hitchcock. – Nawet nie wierzę, że istnieje jakaś Ziemia. A ty?
- Owszem. Śniłem o niej dziś rano.
- W kosmosie nie ma poranków.
- Zatem w nocy.
- Tu zawsze jest noc – oznajmił cicho Hitchcock. – Którą dokładnie noc masz na myśli?
- Zamknij się – rzucił Clemens z irytacją. – Daj mi skończyć.

Hitchcock zapalił kolejnego papierosa. Jego ręka nie drżała, lecz wyglądała tak, jakby wewnątrz opalanej skóry wstrząsał nią dreszcz – mały dreszcz w każdej dłoni i potężny niewidoczny dreszcz w ciele. Obaj mężczyźni siedzieli na poziomie obserwacyjnym, spoglądając w gwiazdy. Oczy Clemensa błyszczały, lecz wzrok Hitchcocka nie skupiał się na niczym. Mężczyzna patrzył w nicość zdumiony.

- Obudziłem się o piątej – oznajmił, jakby mówił do swej prawej dłoni – i usłyszałem, jak krzyczę: „Gdzie jestem?! Gdzie jestem?!”. Odpowiedź brzmiała: „Nigdzie”. Spytałem więc: „Gdzie byłem?” i rzekłem: „Na Ziemi”. „Co to jest Ziemia?” – zastanawiałem się. „Miejsce, gdzie się urodziłem”. Ale to nic. Gorzej niż nic. Nie wierzę w nic, czego nie mogę ujrzeć, dotknąć, usłyszeć. Nie widzę Ziemi, czemu zatem miałbym w nią wierzyć? Nie wierzyć jest znacznie bezpieczniej.

– Ziemia jest tam. – Clemens z uśmiechem wskazał ręką. – Ten świetlny punkcik.

– To nie Ziemia, tylko nasze słońce. Stąd nie widać Ziemi.

– Ja ją widzę. Mam dobrą pamięć.

– To nie to samo, głupcze. – Nagle w głosie Hitchcocka zabrzmiała gniewna nuta. – Chodzi mi o prawdziwe widzenie. Kiedy jestem w Bostonie, Nowy Jork nie istnieje. Kiedy jestem w Nowym Jorku, nie ma Bostonu. Gdy nie widzę kogoś przez cały dzień, jest martwy. A kiedy pojawia się na ulicy, mój Boże, zmartwychwstanie! Jego widok tak mnie cieszy, że niemal tańczę z radości. Przynajmniej kiedyś. Teraz już nie tańczę. Po prostu patrzę. A kiedy człowiek odchodzi, znów umiera.

Clemens roześmiał się.

– Twój umysł funkcjonuje po prostu na prymitywnym poziomie. Nie potrafisz niczego zatrzymać. Brak ci wyobraźni, mój stary. Musisz się nauczyć zachowywać rzeczy przy sobie.

– Ale po co mam zachowywać coś, co mi się nie przyda? – Oczy Hitchcocka, szeroko otwarte, nadal spoglądały w przestrzeń. – Jestem praktyczny. Skoro nie mogę chodzić po Ziemi, miałbym chodzić po wspomnieniach? To boli. Mój ojciec mówił kiedyś, że wspomnienia są jak jeżozwierze. Do diabła z nimi! Trzymaj się od nich z daleka. Tylko cię unieszczęśliwią, zniszczą twoją pracę. Doprowadzą do płaczu.

– Właśnie w tej chwili spaceruję po Ziemi. – Clemens zmrużył oczy i wydmuchnął dym.

– Kopiesz jeżozwierze. Wkrótce stracisz apetyt i nie będziesz wiedział dlaczego – odparł Hitchcock martwym głosem. – A to dlatego, że bolą cię nogi naszpikowane kolcami. Do diabła z tym! Jeśli nie mogę czegoś przełknąć, uszczypnąć, uderzyć, położyć się na tym, to niech spłonie w słońcu! Dla Ziemi jestem martwy, ona dla mnie także. Dziś wieczór w Nowym Jorku nikt po mnie nie płacze. Won z Nowym Jorkiem. Tu nie ma żadnych pór roku. Zima i lato odeszły. Tak samo wiosna i jesień. Nie mamy wieczora ani ranka, tylko przestrzeń, przestrzeń. W tej chwili istniejesz tylko ty, ja i ta rakieta. A stuprocentową pewność mam tylko w stosunku do mojej osoby. To wszystko.

Clemens puścił jego słowa mimo uszu.

– W tej chwili wrzucam dziesiątkę do automatu – oznajmił z uśmiechem, odtwarzając wszystkie gesty – i dzwonię do mojej dziewczyny w Evanston. Halo, Barbara?

Rakieta szybowwała w przestrzeni.

\* \* \*

Gong na lunch odezwał się o trzynastej zero pięć. Mężczyźni przybiegli bezszelestnie w gumowych kapciach i usiedli przy nakrytym stole.

Clemens nie był głodny.

– A co, nie mówiłem? – rzucił Hitchcock. – Ty i twoje przekłete jeżozwierze. Zostaw je w spokoju, taka jest moja rada. Spójrz na mnie. Wsuwam jak najęty. – Mówił to wszystko bezdzwięcznym, beznamiętnym, nieludzkim głosem. – Patrz.

Włożył do ust wielki kęs ciasta i obmacał językiem. Spojrzał na ciasto na talerzu, badając jego fakturę. Pchnął widelcem, przesunął palcem po uchwycie. Zmiażdżył cytrynowy krem, patrząc, jak wypływa spomiędzy metalowych zębów. Potem dotknął butelki mleka i nasłuchując, włął do szklanki pół kwarty. Spojrzał na mleko, jakby chciał sprawić, by stało się jeszcze bielsze – i wypił tak szybko, że nie zdążył nawet poczuć smaku. W kilka minut zjadł cały lunch, gorączkowo przetykając kęsy. A teraz rozglądał się, jakby w nadziei, że znajdzie coś jeszcze. Na próżno. Wyrzwał przez okno rakiety.

– One też nie są prawdziwe – oznajmił.

– Co? – spytał Clemens.

– Gwiazdy. Czy ktoś kiedykolwiek którejś dotknął? Jasne, widzę je, ale co komu po tym, że widzi rzeczy odległe o miliony, miliardy mil? Skoro coś jest tak dalekie, nie ma sensu zwracać sobie tym głowy.

– Czemu wyruszyłeś na tę wyprawę? – spytał nagle Clemens.

Hitchcock zajrzał do swej zdumiewająco pustej szklanki, zacisnął wokół niej palce, potem rozluźnił i znów zacisnął.

– Nie wiem. – Przesunął językiem po szklanej krawędzi. – Po prostu musiałem, to wszystko. Skąd wiadomo, czemu cokolwiek

robimy?

– Podobała ci się idea podróży kosmicznych? Wypraw w odległe miejsca?

– Nie wiem. Tak. Nie. Nie chodziło o dotarcie do celu, ale o bycie w drodze. – Po raz pierwszy Hitchcock spróbował skupić na czymś wzrok, jednakże obiekt jego zainteresowania był tak mglisty i odległy, że oczy nie potrafiły się przystosować, choć bardzo się starał. – Przede wszystkim pociągała mnie przestrzeń. Tak wiele przestrzeni. Podobała mi się idea nicości w górze, nicości w dole i mnóstwa nicości pomiędzy. Oraz mnie zawieszono pośrodku tej nicości.

– Nigdy nie słyszałem, by ktoś to ujął w ten sposób.

– Właśnie ująłem. Mam nadzieję, że słuchałeś.

Hitchcock wyjął papierosy, zapalił jednego i zaczął na zmianę wciągać i wypuszczać dym.

– Jak wyglądało twoje dzieciństwo? – spytał Clemens.

– Nigdy nie byłem młody. Tamten ja już dawno nie żyje. Oto kolejne kolce. Nie życzę ich sobie w moim ciele, piękne dzięki. Zawsze uważałem, że każdego dnia umieramy, każdy dzień to kolejna trumna, starannie ponumerowana, i nigdy nie należy cofać się i unosić wieka, ponieważ za życia umieramy tysiące razy, pozostawiając mnóstwo trupów, każdego z nich martwego na inny sposób, każdego ze straszną, okropną miną. Każdy dzień to inny ty, ktoś, kogo nie znasz, nie rozumiesz, nie pragniesz zrozumieć.

– W ten sposób odcinasz się od korzeni.

– Czemu miałbym się identyfikować z młodszym Hitchcockiem? Był głupcem, pozwalał się popychać i wykorzystywać. Miał ojca nicponia i ucieszył się, kiedy umarła matka, bo wcale nie była lepsza. Miałbym wrócić do tamtego dnia i raz jeszcze spojrzeć mu w oczy, napawając się tą chwilą? Był głupcem.

– Wszyscy jesteśmy głupcami – odparł Clemens – przez cały czas. Tyle że każdego dnia innymi. Myślmy sobie: „Dziś już nie jestem głupcem, czegoś się nauczyłem. Wczoraj byłem głupi, ale nie dziś rano”. Ale jutro odkryjemy, że owszem, dziś też byliśmy durniami. Myślę, że aby dorosnąć i pogodzić się ze światem,

musimy zaakceptować fakt, iż nie jesteśmy doskonali.

– Nie chcę pamiętać niedoskonałych rzeczy – uciął Hitchcock. – Nie mogę przecież uścisnąć dłoni młodszego siebie. Gdzie on jest? Znajdziesz go dla mnie? Nie żyje, do diabła z nim! Nie będę kształtował swojego jutra na podstawie błędów popełnionych wczoraj.

– Nic nie rozumiesz.

– A więc mnie oświeć. – Hitchcock wciąż siedział przy stole, wyglądając przez bulaj. Pozostali członkowie załogi spoglądali na niego znacząco. – Czy meteory istnieją? – spytał.

– Dobrze wiesz, że tak.

– Na naszych radarach owszem, jako świetlne pasma w przestrzeni. Nie, nie wierzę w nic, co nie istnieje i nie działa w mojej obecności. Czasami – skinieniem głowy wskazał mężczyźni kończących posiłek – czasami nie wierzę w nic i nikogo oprócz mnie. – Wyprostował się. – Czy statek ma wyższe piętro?

– Tak.

– Muszę je zobaczyć. Natychmiast.

– Nie podniecaj się.

– Poczekaj tutaj. Zaraz wrócę.

Hitchcock pośpiesznie wyszedł. Pozostali siedzieli przy stole, wolno skubiąc jedzenie. Minęła chwila. Jeden z mężczyźni uniósł głowę.

– Jak długo to już trwa? No wiecie, z Hitchcockiem.

– Zaczęło się dzisiaj.

– Wczoraj też zachowywał się dziwnie.

– Owszem, ale dziś jest gorzej.

– Ktoś powiadomił psychiatrę?

– Myśleliśmy, że się otrząśnie. Za pierwszym razem w kosmosie każdemu trochę odbija. Ja też przez to przeszedłem. Człowiek zaczyna filozofować, potem wpada w panikę. Poci się, wątpi w swoje pochodzenie, nie wierzy w Ziemię, upija się, budzi z kacem i tyle.

– Ale Hitchcock się nie upił – zauważył ktoś. – A szkoda.

– Jakim cudem udało mu się przejść przez komisję?

– Tak jak nam wszystkim. Potrzebują ludzi. Większość



śmiertelnie boi się kosmosu, toteż komisja przepuszcza wiele przypadków granicznych.

– Ale Hitchcock nie jest na granicy – wtrącił ktoś inny. – Już dawno ją przekroczył.

Odczekali pięć minut. Hitchcock nie wrócił.

W końcu Clemens wstał i wspiął się po kręconych schodach na wyższy pokład. Hitchcock tam był; czule dotykał ściany.

– Jest tutaj – rzekł.

– Oczywiście.

– Bałem się, że może jej nie być. – Zerknął na Clemensa. – A ty żyjesz.

– I to od dawna.

– Nie. Żyjesz jedynie teraz, w tym momencie, kiedy jesteś ze mną. Jeszcze chwilę temu nie istniałeś.

– Dla mnie istniałem.

– To nieważne. Nie było cię ze mną – upierał się Hitchcock. – Tylko to się liczy. Czy na dole jest załoga?

– Tak.

– Możesz to udowodnić?

– Posłuchaj, Hitchcock. Lepiej idź do doktora Edwardsa. Chyba potrzebny ci przegląd.

– Nie, nic mi nie jest. Zresztą kim jest ten doktor? Możesz udowodnić, że przebywa na statku?

– Mogę. Wystarczy go zawołać.

– Nie. Stojąc tutaj, w tym momencie, nie potrafisz udowodnić, że tu jest, prawda?

– Nie ruszając się z miejsca? Nie.

– Widzisz? Nie masz żadnych dowodów umysłowych. A tego właśnie pragnę: dowodów umysłowych, które mógłbym poczuć. Nie chcę dowodów fizycznych, namacalnych, które trzeba za sobą ciągać. Pragnę dowodów stale noszonych w umyśle, zawsze obecnych dotykiem, barwą, zapachem. Ale ich nie da się zdobyć. Po to, by w coś uwierzyć, trzeba nosić to coś ze sobą. Nie można nosić w kieszeni Ziemi czy nawet człowieka. Chciałbym to mieć, bo wówczas mógłbym uwierzyć. Jakież to żałosne: musieć zadawać sobie tyle trudu, przynosić coś paskudnie cielesnego, by

udowodnić jego istnienie. Nienawidzę rzeczy materialnych, bo zawsze można je porzucić i tym samym przestać w nie wierzyć.

– Takie są zasady.

– Chcę je zmienić. Czyż nie byłoby pięknie, gdybyśmy mogli udowadniać istnienie rzeczy, posługując się samym umysłem, i zawsze mieć pewność, że są tam, gdzie powinny? Chciałbym wiedzieć, jak wygląda miejsce, w którym mnie nie ma. Chciałbym być pewien.

– To niemożliwe.

– Wiesz – rzucił Hitchcock – pierwszy raz wpadłem na pomysł lotu w kosmos jakieś pięć lat temu. Mniej więcej w tym czasie straciłem pracę. Wiedziałeś, że chciałem zostać pisarzem? O tak, byłem jednym z tych ludzi, którzy zawsze mówią o pisaniu, ale rzadko wcielają słowa w czyn. Miałem zbyt gwałtowny temperament, toteż straciłem dobrą posadę, porzuciłem pracę w wydawnictwie. Nie mogłem znaleźć pracy – a dalej już poszło. Potem umarła moja żona. Sam widzisz: nic nie stoi w miejscu, nie można ufać rzeczom materialnym. Musiałem oddać syna pod opiekę ciotce; wszystko szło jak najgorzej. Wreszcie pewnego dnia opublikowano opowiadanie podpisane moim nazwiskiem. Ale to nie byłem ja.

– Nie rozumiem.

Na bladej twarzy Hitchcocka perlił się pot.

– Mogę tylko powiedzieć, że spojrzałem na stronę z moim nazwiskiem pod tytułem. Joseph Hitchcock. Ale to był jakiś inny człowiek. Nie potrafiłem udowodnić – naprawdę rozstrzygająco udowodnić – że chodzi o mnie. Opowiadanie wyglądało znajomo – wiedziałem, że je napisałem – lecz nazwisko na papierze wciąż nie należało do mnie. To był tylko symbol. Obce słowo. I wtedy uświadomiłem sobie, że nawet gdybym odniósł sukces jako pisarz, nic by to dla mnie nie znaczyło, bo nie potrafiłbym utożsamić się z tym nazwiskiem. Wszystko obchodziłoby mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Toteż przestałem pisać. Zresztą i tak nigdy nie byłem pewien, czy opowiadania leżące kilka dni później na biurku wyszły naprawdę spod mojej ręki, choć pamiętałem, jak je pisałem. Zawsze istniała luka dowodu, luka

pomiędzy robieniem a zrobieniem. Skończone dzieło staje się martwe i nie stanowi dowodu, bo nie jest działaniem. Tylko działanie się liczy. A kawałki papieru to pozostałości zakończonych, niewidocznych działań. Dowody zniknęły, pozostało jedynie wspomnienie, ja zaś nie ufałem swojej pamięci. Czy potrafiłbym udowodnić, że napisałem te opowiadania? Nie. Czy zdołałby to zrobić jakikolwiek autor? Naprawdę udowodnić czynem? Nie. Z całą pewnością nie. Chyba że ktoś sądzi z nim w pokoju, gdy autor będzie pisał, a i wtedy może przecież odtwarzać tekst z pamięci. Kiedy wykonamy pracę, dowód znika, pozostaje wspomnienie. Wówczas to zacząłem dostrzegać luki we wszystkim. Wątpiłem, czy byłem żonaty, czy miałem dziecko, nawet pracę. Wątpiłem, czy urodziłem się w Illinois jako dziecko pijaka i prostytutki. Niczego nie potrafiłem udowodnić. Owszem, ludzie mówili: „Jesteś tym i tym, taki i taki”, ale to nic nie znaczyło.

– Nie powinieneś myśleć o takich rzeczach – wtrącił Clemens.

– Nie umiem o nich nie myśleć. Wszystkie te luki, puste miejsca. Wtedy właśnie zainteresowałem się gwiazdami. Sądziłem, że spodoba mi się pobyt w rakiecie, w przestrzeni, w nicości, lot w nicość, zaledwie odrobiną czegoś namacalnego, cienkiej skorupki metalu, unoszącej mnie coraz dalej od rzeczy pełnych luk, których istnienia nie umiem udowodnić. Zrozumiałem, że szczęście znajdę w kosmosie. Gdy dotrę na Aldebarana II, zgłoszę się do kolejnej pięcioletniej podróży z powrotem na Ziemię, i będę tak krążył tam i z powrotem przez resztę życia.

– Rozmawiałeś o tym z psychiatrą?

– Żeby próbował zacementować luki, wypełnić otchłanie hałasem, ciepłą wodą, słowami, dotykiem dłoni? Nie, dziękuję. – Hitchcock urwał. – Pogarsza mi się, prawda? Tak też sądziłem. Dziś rano, kiedy się zbudziłem, pomyślałem, że jest ze mną gorzej. A może lepiej? – Znów urwał i przekrzywiając głowę, spojrzął na Clemensa. – Jesteś tam? Naprawdę tam jesteś? No dalej, udowodnij.

Clemens klepnął go mocno w ramię.

– O tak. – Hitchcock roztarł uderzone miejsce, wpatrując się

w nie z namysłem. – Byłeś tam. Przez krótki ułamek sekundy. Ale zastanawiam się, czy teraz wciąż jesteś.

– Zobaczymy się później – rzucił Clemens, zamierzając poszukać lekarza. Odszedł.

Odezwał się gong. Jeden, drugi, trzeci. Statek zakołysał się jak pod ciosem potężnej ręki. Rozległ się odgłos ssania, dźwięk włączonego odkurzacza. Clemens usłyszał krzyki i poczuł, jak powietrze rzednie. Wicher z sykiem omiółł mu uszy, w nosie i płucach czuł pustkę. Potknął się i w tym momencie syk ucichł.

Usłyszał, jak ktoś krzyczy.

– Meteor!

Drugi głos odparł:

– Załatane.

Rzeczywiście. Awaryjny pajak, biegający po zewnętrznym panczeru statku, natychmiast przyłożył gorącą łątę na otwór w metalu i mocno ją zaspawał.

W dali ktoś mówił coraz głośniej i głośniej, w końcu zaczął krzyczeć. Clemens biegł korytarzem ku źródłu świeżego, gęstego powietrza. Skręciwszy przy grodzi, ujrzał dopiero co załatany otwór w stalowej ścianie i odłamki meteorytu rozsypane po pomieszczeniu niczym fragmenty zabawki. Widział kapitana i członków załogi, a także leżącego na podłodze mężczyznę. To był Hitchcock. Oczy miał zamknięte i płakał.

– Próbował mnie zabić – powtarzał raz po raz. – Próbował mnie zabić.

– Podnieście go z ziemi.

– Nie mógł tego zrobić – mówił Hitchcock. – Nie tak powinno być. Takie rzeczy nie mogą się zdarzać. Przyleciał tu po mnie. Czemu to zrobił?

– Już dobrze, dobrze, Hitchcock – uspokajał go kapitan.

Lekarz bandażował niewielkie skaleczenia na ramieniu mężczyzny. Hitchcock uniósł pobladłą twarz i dostrzegł stojącego obok Clemensa.

– Próbował mnie zabić – rzekł.

– Wiem – odparł Clemens.

\* \* \*

Minęło siedemnaście godzin. Statek wędrował w przestrzeni.

Clemens przekroczył próg i się zatrzymał. W środku byli psychiatra i kapitan. Hitchcock siedział na podłodze, ciasno oplatając rękami przyciśnięte do piersi kolana.

- Hitchcock - rzekł kapitan.

Żadnej odpowiedzi.

- Hitchcock, posłuchaj. - Do dowódcy dołączył psychiatra.

Obaj odwrócili się do Clemensa.

- Jest pan jego przyjacielem?

- Tak.

- Chce pan nam pomóc?

- Jeśli zdołam.

- To ten przeklęty meteor - wyjaśnił kapitan. - Gdyby nie on, mogłoby do tego nie dojść.

- Wcześniej czy później i tak by się stało - nie zgodził się lekarz, po czym dodał rzekł do Clemensa: - Mógłby pan z nim pomówić?

Clemens podszedł cicho do Hitchcocka, kucnął i zaczęła delikatnie potrząsać jego ramieniem.

- Hej, Hitchcock!

Cisza.

- Hej, to ja, Clemens. Posłuchaj, jestem tutaj.

Lekko klepnął nieruchome ramię. Zaczął łagodnie masować zeszywniały kark i tył nachylonej głowy. Zerknął na psychiatrę, który westchnął cicho. Kapitan wzruszył ramionami.

- Terapia wstrząsowa, doktorze?

Psychiatra przytaknął.

- Zaczniemy za godzinę.

Tak, pomyślał Clemens, terapia wstrząsowa. Puście mu tuzin płyt jazzowych, zamachajcie przed nosem flakonem świeżego chlorofilu i mlecza, wepchnijcie pod stopy trawę, rozpylcie Chanel w powietrzu, obetnijcie mu włosy, skróćcie paznokcie, sprowadźcie kobietę, krzyczcie, wrzeszczcie i tupcie, przysmażcie go prądem, zapełnijcie lukę i otchłań. Ale gdzie są wasze dowody? Nie możecie mu stale wszystkiego udowadniać. Nie da się zabawiać dziecka grzechotką i trąbką co noc przez

kolejnych trzydzieści lat. Kiedyś trzeba przestać. A kiedy to zrobicie, on znów odejdzie, jeśli w ogóle zwróci na was uwagę.

– Hitchcock! – krzyknął najgłośniejszym głosem, jak umiał, gorączkowo, jakby sam leciał w przepaść. – To ja! Twój kumpel! Hej!

Clemens odwrócił się i wyszedł z cichego pokoju.

\* \* \*

Dwanaście godzin później odezwał się kolejny alarm.

Gdy biegająca ucichła, kapitan wyjaśnił:

– Hitchcock ocknął się na jakąś minutę. Był sam. Założył kosmiczny skafander i otworzył śluzę. A potem wyszedł w przestrzeń. Sam.

Clemens zamrugał i wyjrzał przez ogromne szklane okno, za którym widniały tylko rozmazane gwiazdy i odległa czerń.

– I został tam?

– Tak. Milion mil za nami. Nigdy go nie znajdziemy. Zorientowałem się, że opuścił statek, gdy usłyszeliśmy w sterowni jego radio. Gadał do siebie.

– Co mówił?

– Coś w tym stylu: „Nie ma już żadnej rakiety. Nigdy jej nie było. Żadnych ludzi. Ani jednego człowieka we wszechświecie. Nigdy ich nie było. Żadnych roślin, gwiazd”. To właśnie mówił. A potem zaczął mamrotać coś o rękach, stopach, nogach. „Nie mam już dłoni” – rzekł. – „Nigdy ich nie miałem. Ani stóp. Nigdy nie miałem stóp. Nie mogę tego udowodnić. Ani ciała. Nigdy nie miałem ciała. Ust. Twarzy. Głowy. Niczego. Tylko przestrzeń. Pustkę. Lukę”.

Mężczyźni odwrócili się w milczeniu, spoglądając przez tafle szkła w odległe zimne gwiazdy.

Kosmos, pomyślał Clemens. Przestrzeń, którą Hitchcock tak bardzo kochał, nicość na górze, nicość na dole, mnóstwo pustki pomiędzy i Hitchcock lecący pośrodku niczego, w drodze do czasu, który nie jest ani wieczorem, ani porankiem...

## LIS W LESIE

Pierwszej nocy powitały ich fajerwerki. Może powinni się ich bać, bo przywodziły na myśl inne, straszniejsze rzeczy, lecz były takie piękne – rakiety wzlatujące w pradawne niebo Meksyku i roztrzaskujące gwiazdy na tysiące błękitno-białych odłamków. Wszystko było takie dobre, takie słodkie. Powietrze łączyło w sobie wonie śmierci i życia, deszczu i gorącego pyłu, kadzidła z kościoła i metalicznego zapachu trąbek; ustawiona na podeście orkiestra intonowała właśnie gorące rytmy La Palomy. Drzwi kościoła stały otworem; zdawało się, że z październikowego nieba spadł olbrzymi żółty gwiazdozbiór i legł na murach budynku, dysząc ogniem. To miliony świec migotały wewnątrz. Nowe i lepsze fajerwerki śmigały naprzód niczym komety wędrujące po linach nad zimną kostką placu, odbijały się od ceglanych ścian i pędziły po drutach, aby rozbić się o mur wysokiej wieży, na której szczycie widać było nagie stopy chłopców podskakujące i kopiające, gdy ich właściciele z całych sił pociągali za sznury olbrzymich dzwonów. Po placu krążył płonący byk, ganiając roześmianych mężczyzn i krzyczące dzieci.

– Mamy rok tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy. – William Travis, stojący z żoną nieco z boku żółtego kłębowiska ludzi, uśmiechnął się. – To dobry rok.

Byk popędził w ich stronę. Oboje uskoczyli i odbiegli, ścigani przez ogniste kule, zostawiając za sobą muzykę i tłumy, kościół i orkiestrę; biegli pod gwiazdami, trzymając się za ręce i głośno zaśmiewając. Byk niesiony na ramionach rozpędzonego Meksykanina z łatwością ich minął – był jedynie rusztowaniem z bambusa i cuchnącego siarką prochu.

– Nigdy w życiu tak dobrze się nie bawiłam. – Susan Travis przystanęła, nie mogąc złapać tchu.

– Zdumiewające – odparł William.

– Potrwa jeszcze, prawda?

– Całą noc.

– Nie, nasza wycieczka.

Zmarszczył brwi, poklepując kieszeń na piersi.

– Mam dość czeków podróжных; starczy do końca życia. Zabaw się, zapomnij. Nigdy nas nie znajdą.

– Nigdy?

– Nigdy.

Teraz ktoś zaczął wystrzeliwać ogromne kapiszony, ciskając je z wyniosłej dzwonnicy kościoła wprost w kłęby dymu. Tłum w dole rozstał się przed zagrożeniem; kapiszony eksplodowały jeden po drugim między roztańczonymi stopami i uciekającymi ciałami. W powietrzu wisiał smakowity zapach piekących się tortilli. W kafejkach mężczyźni siedzieli przy stołach, wyglądając na dwór; ich brązowe dłonie dzierżyły kufle piwa.

Byk nie żył. Płonący w bambusowych rurkach ogień przygasł, pochłonawszy cały zapas paliwa. Robotnik zrzucił z ramion brzemię. Mali chłopcy zbili się w grupkę, dotykając wspaniałego łba z papier-mâché, prawdziwych rogów.

– Obejrzyjmy byka – zaproponował William.

Mijając wejście do kafejki, Susan dostrzegła mężczyznę, który w skupieniu im się przyglądał. Biały mężczyzna w białym garniturze, niebieskim krawacie i błękitnej koszuli, człowiek o wąskiej, spieczonej słońcem twarzy. Włosy miał jasne i proste, oczy niebieskie; obserwował ich uważnie.

Nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby nie stojące przed nim butelki: krągła butla crème de menthe, przejrzysta wermutu, flaszka koniaku i siedem innych butelek mocnych alkoholi. Nieskazitelnie odziany nieznajomy stale unosił do ust jeden z dziesięciu pełnych kieliszków i pociągał łyk, nie odrywając wzroku od ulicy; mrużąc oczy, rozkoszował się smakiem. W wolnej ręce tliło się cienkie hawańskie cygaro, na krześle obok stało dwadzieścia kartonów tureckich papierosów, sześć pudełek cygar i butelki wody kolońskiej.

– Bill – szepnęła Susan.

– Spokojnie – odparł. – To nikt ważny.

– Widziałam go dziś rano na placu.



– Nie oglądaj się, idź dalej. Obejrzyj papierowego byka. No już, zadawaj pytania.

– Myślisz, że to jeden z Tropicieli?

– Nie zdołaliby nas znaleźć!

– A może?

– Jaki piękny byk! – rzucił William, zwracając się do właściciela kukły.

– Nie zdołaliby wyśledzić nas dwieście lat w przeszłość?

– Uważaj, na miłość boską – ostrzegł William.

Susan zachwiała się. Mąż zacisnął miazdzącą dłoń na jej łokciu i odprowadził ją na bok.

– Tylko nie zemdlej. – Uśmiechnął się dla zachowania pozorów.

– Wszystko będzie dobrze. Wejdźmy do tej kafejki. Niech patrzy, jak pijemy. Jeśli jest tym, za kogo go uważamy, nie będzie nas podejrzewał.

– Nie mogłabym.

– Musimy. Chodź. I wtedy powiedziałem do Davida: „To śmieszne”. – Ostatnie zdanie wypowiedział głośno, wspinając się po stopniach kawiarni.

Oto przybyliśmy, pomyślała Susan. Ale kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy? Czego się boimy?. „Zacznij od początku” – upomniwała samą siebie, desperacko walcząc ze strachem. Pod stopami czuła ceglaną podłogę.

Nazywam się Ann Kristen, mój mąż ma na imię Roger. Urodziliśmy się w roku dwa tysiące sto pięćdziesiątym piątym i żyliśmy w złym świecie. Świecie przypominającym wielki czarny okręt, odbijający od brzegu rozsądku i cywilizacji do wtóru ponurej czarnej syreny, uwożący ze sobą dwa miliardy ludzi bez względu na ich pragnienia. Jego pasażerów czekała tylko śmierć, upadek z krawędzi ziemi i morza w radioaktywną otchłań ognia i obłędu.

Weszli do kawiarni.

Mężczyzna nadal im się przyglądał.

Zadzwoił telefon. Jego dźwięk zaskoczył Susan. Przypomniwała sobie pewien pogodny kwietniowy poranek za dwieście lat, gdy także zadzwonił telefon, a ona go odebrała.

– Ann, tu Rene. Słyszałaś? No wiesz, o firmie Podróże w Czasie. Wycieczki do Rzymu dwa tysiące lat przed Chrystusem, do Napoleona pod Waterloo. Gdzie i kiedy zechcesz.

– Żartujesz, Rene.

– Nie. Clinton Smith wyjechał dziś rano do Filadelfii w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku. Firma załatwia wszystko. Owszem, to kosztuje, ale pomyśl – na własne oczy ujrzeć płonący Rzym, Kubilaj-chana, Mojżesza i Morze Czerwone. Przypuszczam, że w poczcie znajdziesz już reklamówkę.

Otworzyła pocztę pneumatyczną i rzeczywiście ujrzała na metalowej folii ulotkę:

**RZYM I BORGIOWIE!**

**BRACIA WRIGHT II KITTY HAWK!**

Firma Podróże w Czasie zapewnia ci kostium i miejsce w tłumie w dniu zabójstwa Lincolna bądź Cezara. Gwarantowana nauka wszelkich języków, pozwalających poruszać się swobodnie w każdej cywilizacji dowolnej epoki – łaciny, greki, staroamerykańskiego. Wybierz się na wakacje nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie!

– Razem z Tomem wyruszamy jutro do roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego – dzwięczał w słuchawce podniecony głos Rene. – Zgodnie z umową Tom ma pożegłować z Kolumbem. Czyż to nie zdumiewające?

– Tak – mruknęła oszołomiona Ann. – A co na to rząd?

– Policja ma oko na firmę. Boją się, że ludzie mogą unikać poboru, uciekając i kryjąc się w przeszłości. Wszyscy muszą zostawić zabezpieczenie: dom i cały majątek. Ostatecznie mamy wojnę.

– O tak, wojnę. Wojnę...

Stojąc tak z telefonem w ręku, pomyślała: Oto szansa, o którą od tylu lat modliliśmy się z mężem. Nie podoba nam się świat roku dwa tysiące sto pięćdziesiątego piątego. Chcemy uciec od jego pracy w fabryce bomb, od mojej posady w laboratorium broni biologicznej. Może wreszcie nadarza się sposobność, by umknąć

w przeszłość, do dzikiego kraju, w czasy, gdzie nigdy nas nie znajdą i skąd nie zdołają sprowadzić z powrotem, aby spalić nasze książki, cenzurować myśli, więzić umysły w okowach strachu, komenderować, wrzeszczeć przez radio...

\* \* \*

Byli w Meksyku w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym. Dobrym pracownikom Państwa Przyszłości zezwalano na wakacje w przeszłości, by mogli odzyskać siły. W ten sposób wraz z mężem wybrała się do roku tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego. Wynajęli pokój w Nowym Jorku, odwiedzali teatry i Statuę Wolności, która w owych czasach wciąż stała przy brzegu, wyniosła i zielona. A trzeciego dnia zmienili ubrania, nazwiska i uciekli do Meksyku.

– To musi być on – szepnęła Susan, patrząc na nieznanego przy stoliku. – Te papierosy, cygara, alkohol. To go zdradza. Pamiętasz nasz pierwszy dzień w przeszłości?

Miesiąc temu, pierwszego wieczoru w Nowym Jorku, oni także popijali najróżniejsze dziwne drinki, napawali się osobliwymi potrawami, perfumami, papierosami dziesiątków rzadkich gatunków. W przyszłości, całkowicie oddanej wojnie, wszystko to stanowiło prawdziwy rarytas. Zrobili z siebie durniów, wpadając do kolejnych sklepów, barów i trafik, by wreszcie wrócić do pokoju w hotelu i się pochorować.

A teraz ów nieznanomy robił dokładnie to samo. Tylko przybysze z przyszłości, rozpaczliwie spragnieni drinków i papierosów, zdolni byli do podobnej ekstrawagancji.

Susan i William usiedli i zamówili po drinku.

Obcy uważnie oglądał ich stroje, włosy, biżuterię, sposób poruszania się i siadania.

– Spokojnie – szepnął William. – Udawaj, że całe życie ubierasz się w takim stylu.

– Nie powinniśmy byli próbować ucieczki.

– Mój Boże! – William westchnął. – On tu idzie. Pozwól, że ja będę mówił.

Nieznanomy uklonił się; uklonowi towarzyszył cichutki stuk

obcasów. Susan zeszywniała na ów wojskowy dźwięk, równie jednoznaczny jak złowieszcze nocne pukanie do drzwi.

– Pan Roger Kristen, prawda? – spytał przybysz. – Siadając, nie podciągnął pan nogawek.

William opuścił wzrok ku dłoniom leżącym na kolanach. Serce Susan tłuło się w piersi.

– Z kimś mnie pan pomylił – rzekł szybko William. – Nie nazywam się Kristel.

– Kristen – poprawił go tamten.

– Jestem William Travis i nie pojmuję, co pana obchodzi moje nogawki.

– Przepraszam. – Nieznajomy przysunął sobie krzesło. – Powiedzmy po prostu, iż sądziłem, że pana rozpoznaję, ponieważ siadając, nie podciągnął pan nogawek spodni. Wszyscy to robią. W przeciwnym razie wypychają się im kolana. Znalazłem się daleko od domu, panie... Travis i łaknę towarzystwa. Nazywam się Simms.

– Panie Simms, rozumiemy, że doskwiera panu samotność, ale jesteśmy już zmęczeni. Jutro wyjeżdżamy do Acapulco.

– Urocze miasto. Właśnie stamtąd wracam. Szukałem przyjaciół. Wiem, że gdzieś tam są. Wkrótce ich znajdę. Czy pani źle się czuje?

– Dobranoc, panie Simms.

Ruszyli ku drzwiom. William trzymał mocno rękę Susan. Nie obejrzeni się, nawet gdy pan Simms zawołał za nimi:

– Jeszcze jedno! – Urwał, po czym powoli wymówił słowa: – Rok dwa tysiące pięćdziesiąty piąty.

Susan zamknęła oczy, czując, jak ziemia kołysze się jej pod stopami. Nie zwolniła jednak kroku, wychodząc na rozpalony plac.

\* \* \*

Zamknęli drzwi pokoju na klucz. Dopiero wówczas, stojąc w ciemności, wybuchnęła płaczem. Pokój wirował wokół nich. W dali eksplodowały fajerwerki; słyszeli dochodzące z placu śmiechy.

– Co za tupet! – powiedział William. – Siedział tam i oglądał nas jak zwierzęta w zoo, paląc cholerne papierosy i popijając drinki. Powinienem był go zabić! – Jego głos wzniósł się histerycznie. – Miał nawet czelność przedstawić się prawdziwym nazwiskiem. Szeff Tropicieli. I ten numer z nogawkami. Boże, siadając, powinienem był je podciągnąć. W tych czasach to odruch. Fakt, że tego nie zrobiłem, wyróżnił mnie spośród innych i zwrócił jego uwagę. Oto człowiek, który nigdy nie nosił spodni, ktoś przywykły do przyszłościowych mundurów i bryczesów. To ja nas zdradziłem!

– Nie, to mój chód – te wysokie obcasy. Nasze fryzury, zbyt nowe, zbyt świeże. Wciąż nie czujemy się tu swobodnie.

Zapalił światło.

– On nadal poddaje nas próbom. Nie jest do końca pewien, zatem nie możemy przed nim uciekać. Wówczas zyskałby pewność. Bez pośpiechu wyjedziemy do Acapulco.

– Może jest pewien i po prostu igra z nami?

– Wcale bym się nie zdziwił. Ma cały czas tego świata i jeśli chce, może zwlekać do woli, a i tak sprowadzi nas do przyszłości sześćdziesiąt sekund po odejściu. Może całymi dniami utrzymywać nas w niepewności, naśmiewając się w duchu.

Susan usiadła na stole, ocierając łzy. W nozdrzach czuła starą woń węgla drzewnego i kadzidła.

– Nie urządzają chyba sceny, prawda?

– Nie odważą się. Aby wsadzić nas do maszyny czasu i odesłać, będą musieli złapać nas samych.

– Oto więc rozwiązanie – rzekła. – Odtąd nigdy nie będziemy sami. Zaczniemy trzymać się tłumów, nawiążemy miliony przyjaźni. Będziemy krążyć po targowiskach, sypiać w ratuszach, płacić szefom policji, aby nas strzegli, póki nie wymyślimy sposobu zabicia Simmsa, a wówczas uciekniemy i znajdziemy nowe przebrania. Może zaczniemy udawać Meksykanów?

Za zamkniętymi drzwiami rozległy się kroki.

Pośpiesznie zgasił światło i rozebrali się w milczeniu. Kroki odeszły. Gdzieś w pobliżu trzasnęły drzwi.

Susan stanęła przy oknie i wyjrzała na pogrążony w mroku plac.

– Tamten budynek to kościół?  
– Tak.  
– Często zastanawiałam się, jak wygląda kościół. Od tylu lat nikt ich nie widział. Moglibyśmy jutro go zwiedzić?

– Oczywiście. Chodź do łóżka.

Leżeli cicho w ciemności.

Pół godziny później zadzwonił telefon. Susan podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Króliki mogą ukryć się w lesie – rzekł głos – ale lis zawsze je znajdzie.

Powoli odłożyła słuchawkę i położyła się sztywno, czując nagły chłód.

Na zewnątrz, w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym, jakiś człowiek zaczął grać na gitarze kolejno trzy różne melodie.

\* \* \*

W nocy wyciągnęła rękę i niemal dotknęła roku dwa tysiące sto pięćdziesiątego piątego. Czuła, jak palce przesuwają się ponad chłodną otchłanią czasu, muskając pofalowaną powierzchnię, słyszała uporczywy tupot maszerujących stóp, milion orkiestr wygrywało milion wojskowych melodii; ujrzała pięćdziesiąt tysięcy rzędów kultur bakteryjnych w sterylnych szklanych probówkach, jej palce sięgały ku nim; była w pracy, w wielkiej fabryce przyszłości, wśród probówek trądu, dżumy, tyfusu, gruźlicy, a potem wszystko wybuchło. Patrzyła, jak jej ręka płonie i zamienia się w pomarszczoną śliwkę, jak odskakuje, odrzucona falą dźwięku tak potężną, że uniosła cały świat; wszystkie budynki runęły w gruzy, a ludzie wykrwawili się na śmierć. Wielkie wulkany, maszyny, wiatry, lawiny osunęły się w otchłań ciszy, a ona obudziła się, szlochając, w łóżku, w Meksyku, odległa o wiele lat...

Wczesnym rankiem, oszołomieni po zaledwie godzinie snu – tyle tylko udało im się przespać – ocknęli się, słysząc dobiegający z ulicy głośny ryk silników. Susan wyrzała z żelaznego balkonu i zobaczyła niewielką grupkę, osiem osób wyskakujących właśnie

z ciężarówki i samochodów ozdobionych czerwonymi literami. Za nimi podążała gromada Meksykanów.

– *Que pasa?!* – zawołała do małego chłopca.

Chłopiec w odpowiedzi coś odkrzyknął.

Susan odwróciła się do męża.

– To amerykańscy filmowcy. Kręcą tutaj.

– Interesujące. – William właśnie brał prysznic. – Przyjrzyjmy się im. Myślę, że nie powinniśmy dziś odjeżdżać. Spróbujemy przechytryć Simmsa. Popatrzymy, jak kręcą film. Słyszałem, że wizyta na prymitywnym planie to naprawdę coś. Na chwilę uwolnijmy się od naszych kłopotów.

Naszych kłopotów. Przez chwilę, stojąc w jasnym słońcu, Susan zapomniała, że gdzieś w hotelu czyha męzczyzna palący tysiąc papierosów. Widząc ośmioro hałaśliwych i szczęśliwych Amerykanów na dole, pragnęła zawołać: „Ratujcie mnie, ukryjcie, pomóżcie! Zafarbujcie mi oczy i włosy, odziejcie w dziwaczny strój. Potrzebuję pomocy. Jestem z roku dwa tysiące sto pięćdziesiątego piętego!”.

Lecz głos uwiązał jej w gardle. Funkcjonariusze Podróży w Czasie nie byli głupcami. Przed rozpoczęciem wycieczki umieszczali w mózgu psychologiczną blokadę. Nie pozwalała ona zdradzić nikomu prawdziwej daty i miejsca urodzenia ani ujawnić mieszkańcom przeszłości żadnych informacji z przyszłości. Przeszłość i przyszłość musiały być przed sobą nawzajem chronione. Tylko ludzie z psychologiczną blokadą mogli swobodnie podróżować przez wieki. Przyszłość trzeba było chronić przed wszelkimi zmianami, jakie mogłoby wywołać przybysze z innych czasów. Nawet gdyby pragnęła z całego serca, nie mogłaby powiedzieć owym szczęśliwym ludziom na placu, kim jest i w jakiej znalazła się sytuacji.

– Śniadanie? – spytał William.

Posiłki podawano w ogromnej jadalni – jajka na szynce dla wszystkich. W lokalu roiło się od turystów. Nagle do środka wmaszerowali filmowcy: cała ósemka – sześciu mężczyzn i dwie kobiety. Z chichotem zaczęli szurać krzesłami. Susan siedziała niedaleko, pławiąc się w ciepłe i bezpieczeństwie, jakie

zapewniali. Nie przejęła się nawet, gdy pan Simms zszedł głównymi schodami, w wielkim skupieniu paląc tureckiego papierosa. Skinął im głową z daleka i Susan odparła tym samym, z uśmiechem, bo tu, na oczach ośmiorga filmowców i dwudziestu innych turystów, nie mógł im nic zrobić.

– Ci aktorzy – zagadnął William. – Może mógłbym wynająć dwoje, twierdząc, że to żart, przebrać ich w nasze ubrania i kazać odjechać naszym samochodem w chwili, gdy Simms znajdzie się w miejscu, z którego nie będzie widział twarzy. Gdyby dwoje udających nas ludzi zdołało odciągnąć go na kilka godzin, zdążylibyśmy dotrzeć do Meksyku. Tam mógłby szukać nas latami.

– Hej!

Nad ich stołem nachylił się tłusty mężczyzna; jego oddech śmierdział wódką.

– Amerykańscy turyści! – zawołał. – Mam tak dosyć oglądania Meksykanów, że mógłbym państwa ucałować. – Uścisnął im ręce. – Dalej, zjedzcie z nami! W kompanii zawsze raźniej. Zwłaszcza gdy jesteśmy nieszczęśliwi. Ja jestem pan Nieszczęśliwy, to panna Ponura oraz państwo Nie-Znosimy-Meksyku! Wszyscy go nie znosimy. Przyjechaliśmy na wstępne zdjęcia do bezsensownego filmu. Jutro zjawi się reszta ekipy. Nazywam się Joe Melton. Jestem reżyserem. Co za koszmarny kraj! Kondukty pogrzebowe na ulicach, ludzie wciąż umierają. No dalej, chodźcie. Dołączcie do zabawy!

Susan i William zaśmiali się w głos.

– Jestem zabawny? – spytał swe najbliższe otoczenie pan Melton.

– Cudowny! – Susan podeszła do niego.

Pan Simms patrzył na nich wściekłym wzrokiem.

– Państwo Travis?! – zawołał. – Sądziłem, że dziś rano zjemy śniadanie we trójkę.

– Przykro mi – odparł William.

– Usiądź z nami, brachu – rzucił pan Melton. – Każdy ich przyjaciel jest także moim przyjacielem.

Filmowcy rozmawiali głośno, a kiedy tak gadali, pan Simms



odezwał się półgłosem:

– Mam nadzieję, że dobrze spaliście.

– A pan?

– Nie przywykłem do materaców sprężynowych – odparł cierpko. – Istnieją jednak sposoby rekompensaty. Pół nocy nie spałem, próbując nowych papierosów i potraw. To fascynujące. Starożytne nałogi niosą ze sobą całą gamę nowych doznań.

– Nie wiemy, o czym pan mówi – wtrąciła Susan.

– Wciąż ta gra. – Simms rozeźmiał się. – Nic wam to nie da. Podobnie jak strategia trzymania się tłumów. Wkrótce złapię was samych. Jestem nieskończenie cierpliwy.

– Hej! – wtrącił pan Melton. Jego twarz poczerwieniała. – Czy ten gość się wam narzuca?

– Wszystko w porządku.

– Powiedzcie jedno słowo, a stłukę mu tyłek. – Melton odwrócił się z powrotem i zaczął wrzeszczeć na swych towarzyszy. Pod osłoną chóralnych śmiechów pan Simms podjął wątek.

– Przejdźmy do rzeczy. Wytropienie was zabrało mi miesiąc, a upewnienie się cały wczorajszy dzień. Jeśli wróćcie ze mną cicho i spokojnie, może zdołam załatwić wam uchylenie kary – o ile zgodzi się pan znów pracować nad bombą superwodorową.

– Facet gada o nauce przy śniadaniu – zauważył pan Melton, nastawiając ucha.

– Przemyślcie to – ciągnął niewzruszony Simms. – Nie zdołacie uciec. Jeśli mnie zabijecie, przyjdą inni.

– Nie wiemy, o czym pan mówi.

– Przestańcie – rzucił pan Simms z irytacją. – Ruszcie głową. Wiecie, że nie możemy pozwolić na tę ucieczkę. Inni ludzie z roku dwa tysiące sto pięćdziesiątego piątego mogliby wpaść na ten sam pomysł. A my potrzebujemy ludzi.

– Żeby walczyli na wojnie – rzekł po chwili William.

– Bill!

– W porządku, Susan. Teraz gramy według jego zasad. Nie możemy uciec.

– Wspaniale – stwierdził Simms. – Okazaliście się naprawdę romantyczni i nierozsądni. Próbować uciec od obowiązków!

- Raczej od grozy.
- Bzdura. To tylko wojna.
- O czym wy mówicie? – wtrącił pan Melton.

Susan chciała mu odpowiedzieć, lecz mogła się posługiwać tylko ogólnikami. Blokada psychologiczna w umyśle nie pozwalała na nic więcej poza ogólnikami, takimi, jakimi przerzucali się obecnie Simms i William.

- Tylko wojna – powtórzył William. – Pół świata zginęło od bomb z trądem!

- Mimo wszystko – zauważył Simms – mieszkańcy przyszłości nie są zachwyceni tym, że ukrywacie się na tropikalnej wyspie, podczas gdy oni lecą w przepaść wprost do piekła. Śmierć kocha śmierć, nie życie. Umierający wolą wiedzieć, że inni zginą wraz z nimi. To miła świadomość: wiedzieć, że nie jest się samemu w piecu, w grobie. Ja zaś jestem strażnikiem ich zbiorowej niechęci wobec was.

- Spójrzcie na strażnika niechęci! – zawołał pan Melton, zwracając się do kompanów.

- Im dłużej każecie mi czekać, tym trudniejsze to dla was będzie. Panie Travis, potrzebujemy pana w zespole do prac nad bombą. Jeśli wrócicie teraz, nie będzie żadnych tortur. Jeżeli później, zmusimy pana do pracy, a kiedy skończy pan bombę, wypróbujemy na was parę nowych, skomplikowanych narzędzi.

- Mam propozycję – odrzekł William. – Wrócę z panem, jeśli moja żona zostanie tu żywa, bezpieczna, z daleka od wojny.

Pan Simms zastanowił się przez chwilę.

- W porządku. Spotkajmy się za dziesięć minut na placu. Proszę podjechać własnym wozem. Pojedziemy razem w opuszczone miejsce na wsi. Stamtąd zabierze nas maszyna podróżna.

- Bill! – Susan zacisnęła palce na jego ręce.

- Żadnych dyskusji. – Zerknął na nią. – Klamka zapadła. – I zwracając się do Simmsa, dodał: – Jeszcze jedno. Zeszłej nocy mógł pan się włamać do naszego pokoju i porwać nas. Czemu pan tego nie zrobił?

- Powiedzmy, że świetnie się bawiłem – odparł niewyraźnie pan Simms, paląc cygaro. – Nie chciałem jeszcze opuszczać tej

cudownej atmosfery, tego słońca. Nie znoszę końca wakacji. Żałuję, że muszę porzucić wino i papierosy. Naprawdę żałuję. A zatem na placu, za dziesięć minut. Pańska żona będzie chroniona. Może tu zostać, jak długo zechce. Pożegnajcie się.

– Idzie pan ważniak! – wrzasnął pan Melton za odchodzącym mężczyzną. Odwrócił się i spojrzał na Susan. – Hej, ktoś tu płacze. Nie powinno się płakać przy śniadaniu.

\* \* \*

Kwadrans po dziewiątej Susan stała na balkonie ich pokoju i spoglądała w dół, na plac. Pan Simms już tam był. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na delikatnej ławce z brązu. Odgryzł właśnie końcówkę cygara i ostrożnie je zapalił.

Susan usłyszała szum silnika. Daleko w górze samochód Williama wynurzył się z garażu i ruszył brukowaną ulicą w dół.

Samochód nabierał szybkości. Trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt mil na godzinę. Spod kół uciekały mu kury.

Pan Simms zdjął białą panamę, otarł różowe czoło, z powrotem nałożył kapelusz – i wówczas ujrzał samochód.

Wóz pędził sześćdziesiąt mil na godzinę, kierując się wprost na plac.

– William! – krzyknęła Susan.

Samochód z ogłuszającym łomotem rąbnął w niski krawężnik; podskoczył, przemknął po ozdobnej kostce wprost ku ławce, na której pan Simms upuściwszy cygaro, wymachiwał z wrzaskiem rękami. Wóz uderzył w niego; wyrzucone w powietrze ciało poszybowało i w groteskowej pozie runęło na jezdnię.

Samochód zatrzymał się po drugiej stronie placu, jedno koło miał złamane. Ludzie zaczęli biec.

Susan weszła do środka i zamknęła drzwi balkonowe.

\* \* \*

O dwunastej w południe opuścili ratusz i z pobludłymi twarzami zaczęli schodzić po schodach.

– *Adios, señor* – rzucił za nimi burmistrz. – *Señora*.

Po chwili stanęli na placu. Gapie pokazywali palcami plamy

krwi.

– Będą jeszcze czegoś chcieli? – spytała Susan.

– Nie, powtórzyliśmy wszystko kilka razy. To był wypadek. Straciłem panowanie nad samochodem. Płakałem przy nich. Bóg jeden wie, że musiałem jakoś rozładować napięcie. Zresztą miałem ochotę popłakać. Nie chciałem go zabić. Przez całe życie nie życzyłem nikomu śmierci.

– Nie ukarzą cię?

– Wspominali o tym, ale nie. Przegadałem ich. Teraz mi wierzą. To był wypadek. Koniec.

– Dokąd pojedziemy? Do Meksyku? Uruapan?

– Samochód jest w warsztacie. Ma być gotowy na czwartą po południu. Gdy tylko go odbiorę, wynosimy się stąd w diabły.

– Będą nas śledzić? Czy Simms pracował sam?

– Nie wiem. Przynajmniej nieco ich wyprzedzamy.

Gdy dotarli do hotelu, filmowcy właśnie z niego wychodzili. Pan Melton pośpieszył ku nim.

– Hej, słyszałem, co się stało. Okropność. Wszystko w porządku? Powinniście przestać o tym myśleć. Będziemy kręcić pierwsze ujęcia. Może chcecie popatrzeć? No dalej, to wam dobrze zrobi.

Poszli.

Stali na brukowanej ulicy, patrząc, jak tamci rozstawiają kamery. Susan powiodła wzrokiem wzdłuż opadającej w dół ulicy oraz drugiej, wiodącej do Acapulco, nad morze, obok piramid, ruin i małych ceglanych miasteczek o żółtych, niebieskich, fioletowych ścianach porośniętych ognistoczerwoną bugenwillą i pomyślała: Pojedziemy tą drogą, zawsze podróżując w tłumie, odwiedzając targowiska i hotele, przekupując policję, by czuwała w pobliżu, za zamkniętymi na podwójne zamki drzwiami; zawsze w tłumie, nigdy sami, zawsze w obawie, że następna mijana osoba może okazać się Simmsem. Niepewni, czy zdołaliśmy oszukać i zgubić Tropicieli. A tamci będą na nas czekać w przyszłości, wypatrując chwili, gdy zostaniemy sprowadzeni z powrotem; czekać, by ich bomby nas spaliły, a choroby przeżarły do kości, by policja kazała nam warować, siadać, aportować i skakać przez obręcz. I będziemy tak uciekać

i do końca życia nie zatrzymamy się ani nie zaśniemy.

Wokół zebrał się tłum gapiów. Susan obserwowała ludzi i ulice.

– Widzisz kogoś podejrzanego?

– Nie. Która godzina?

– Trzecia. Już niedługo będę mógł odebrać samochód.

Próbne zdjęcia zakończyły się o trzeciej czterdzieści pięć.

Wszyscy wrócili do hotelu, niezobowiązująco gawędząc. Po drodze William wpadł do garażu.

– Wóz będzie gotowy o szóstej – rzekł ze zmartwioną miną.

– Ale nie później?

– Nie martw się, będzie czekał.

W hotelowym foyer rozglądali się, szukając wzrokiem innych ludzi podróżujących samotnie, ludzi przypominających pana Simmsa, przybyszów o świeżo ostrzyżonych włosach, pachnących zbyt mocno wodą kolońską i dymem z papierosów. Jednakże w holu było pusto. Już na schodach pan Melton odwrócił się ku nim.

– Mamy za sobą długi, ciężki dzień. Kto chciałby się trochę odprężyć? Co wy na to? Martini? Piwo?

– Może jedno.

Cała grupa wcisnęła się do pokoju pana Meltona i zaczęła pić.

– Pilnuj czasu – polecił William.

Czas, gdyby tylko mieli czas. Susan pragnęła jedynie przesiedzieć na placu cały długi, ciepły październikowy dzień, pozbawiona wszelkich trosk, czując na twarzy i rękach promienie słońca, uśmiechając się do siebie. Chciała spać w meksykańskim słońcu; spać głęboko, spokojnie, przez wiele długich dni...

Pan Melton otworzył szampana.

– Zdrowie pięknej pani, dość pięknej, by wystąpić w filmie – rzekł, unosząc kieliszek w stronę Susan. – Może nawet zrobię ci próbne zdjęcia.

Zaśmiała się.

– Mówię poważnie. Jesteś bardzo miła. Mógłbym zrobić z ciebie gwiazdę filmową.

– I zabrać mnie do Hollywood?

– Jasne. Byle dalej od Meksyku.

Susan zerknęła na Williama, który uniósł brwi i kiwnął głową. To by oznaczało zmianę otoczenia, ubrań, może też nazwiska; no i podróżowaliby w towarzystwie ośmiorga ludzi, znakomitej ochrony przed zakusami przyszłości.

– Brzmi cudownie – rzekła.

Była już lekko podchmielona. Popołudnie upływało niepostrzeżenie; zabawa rozkręcała się z każdą chwilą. Po raz pierwszy od wielu lat czuła się bezpieczna, pełna życia i naprawdę szczęśliwa.

– W jakim filmie mogłaby wystąpić moja żona? – spytał William, napełniając swój kieliszek.

Melton otaksował Susan wzrokiem. Reszta biesiadników ucichła.

– Chciałbym nakręcić thriller – oświadczył. – Historię męża i żony, ludzi takich jak wy.

– Mów dalej.

– Może historię wojenną – ciągnął dalej reżyser, oglądając pod słońce swój kieliszek.

Susan i William czekali.

– Opowieść o małżeństwie mieszkającym w małym domku przy cichej uliczce w roku, powiedzmy, dwa tysiące sto pięćdziesiątym piątym. Ludzie ci na własnej skórze doświadczają koszmaru wojny, bomb superwodorowych, cenzury, śmierci, zatem – oto najważniejsze – uciekają w przeszłość, ścigani przez człowieka, którego uważają za złego, lecz który w istocie próbuje jedynie uświadomić im ich obowiązki.

William upuścił kieliszek.

– Nasi bohaterowie – ciągnął pan Melton – szukają schronienia w towarzystwie filmowców, których darzą zaufaniem. Bezpieczeństwo w grupie, rozumiecie.

Susan poczuła, że osuwa się na krzesło. Wszyscy patrzyli na reżysera, który pociągnął łyk wina.

– Doskonały trunek. Cóż, mężczyzna i kobieta najwyraźniej nie zdają sobie sprawy z tego, jak bardzo ważni są dla przyszłości; zwłaszcza on odgrywa kluczową rolę w produkcji nowego

metal do bomb. Toteż poszukiwacze – nazwijmy ich Tropicielami – nie szczędzą wysiłków ani pieniędzy, byle tylko ich znaleźć, schwycić i zabrać do domu. Aby to zrobić, muszą przechwycić zbiegów w pokoju hotelowym, gdzie nikt ich nie zobaczy. Strategia. Tropiciele pracują samotnie albo w ośmioosobowych grupach. Któryś podstęp zawsze zadziała. Nie sądzisz, że byłby z tego świetny film, Susan? A ty, Bill? – Wysączył resztę wina.

Susan siedziała bez ruchu, patrząc tępo przed siebie.

– Może drinka? – zaproponował pan Melton.

William wyrwał z kieszeni pistolet i wystrzelił trzy razy. Jeden z mężczyzn upadł, pozostali rzucili się naprzód. Susan krzyknęła. Ktoś zakrył jej usta dłonią. Teraz pistolet leżał na podłodze, a William wyrywał się przytrzymującym go mężczyznom.

– Proszę – powiedział pan Melton. Ani na moment nie ruszył się z miejsca. Palce miał poplamione krwią. – Nie pogarszajmy sytuacji.

Ktoś zaczął dobijać się do drzwi.

– Wpuście mnie!

– To kierownik – rzucił cierpko pan Melton. – Dalej, ruszamy.

– Otwierać! Wzywam policję!

Susan i William spojrzeli szybko po sobie, a potem na drzwi.

– Kierownik chce wejść – powiedział pan Melton. – Szybko!

Jego ludzie przynieśli kamerę, z której wystrzeliło błękitne światło, natychmiast zalewając całe pomieszczenie. Wszyscy obecni znikali kolejno w jego blasku.

– Szybko!

Tuż przed zniknięciem Susan spojrzała za okno i ujrzała zieloną krainę, fioletowe, żółte, błękitne i szkarłatne ściany, kocie łby spływające w dół niczym rzeka, mężczyznę na osiołku, jadącego na wzgórze, chłopca pijącego oranżadę – poczuła w ustach słodki lepki smak – mężczyznę stojącego w chłodnym cieniu drzewa z gitarą w dłoniach – pod palcami wyczuła struny – a w oddali morze, błękitne, łagodne morze. Fale zalały ją i porwały.

A potem zniknęła.

Jej mąż także.

Drzwi rozwarły się z trzaskiem i do środka wpadł kierownik z obsługą. Pokój był pusty.

– Ale przecież oni tu byli. Widziałem, jak wchodzili, a teraz ani śladu! – krzyknął kierownik. – Okna są zakratowane. Nie mogli tędy uciec.

Późnym popołudniem wezwano księdza. Pracownicy hotelu ponownie otworzyli pokój i wywietrzyli go, a kapłan pokropił kąty święconą wodą i pobłogosławił.

– A co z tym? – spytała posługaczka, wskazując szafę.

W środku stało sześćdziesiąt siedem butelek chartreuse, koniaku, crème de cacao, absyntu, wermutu, tequili, sto sześć kartonów tureckich papierosów i sto dziewięćdziesiąt osiem złotych pudełek pięćdziesięciocentowych kubańskich cygar...



## PRZYBYSZ

Saul Williams ocknął się w ciszy poranka. Ze znużeniem wyjrzał z namiotu, zastanawiając się, ile mil dzieli go od Ziemi. Miliony, ale co mógł na to poradzić? Jego płuca wypełniała krwawa rdza. Cały czas kasłał.

Tego ranka Saul wstał o siódmej. Był wysokim, szczupłym mężczyzną, dodatkowo wychudzonym z powodu choroby. Na Marsie panował spokój; snu cichego dna martwego morza nie zakłócał nawet najłżejszy powiew wiatru. Słońce świeciło czystym, chłodnym blaskiem na pustym niebie. Saul umył twarz i zjadł śniadanie.

A potem znów tak bardzo zapragnął wrócić na Ziemię, znaleźć się w Nowym Jorku. Czasami, gdy usiadł, przyjmując właściwą pozę, i unióśł ręce pod pewnym kątem, udawało mu się. Niemal czuł w nozdrzach woń Nowego Jorku. Zazwyczaj jednak okazywało się to niemożliwe.

Później tego ranka Saul próbował umrzeć. Położył się na piasku i kazał sercu przestać bić. Ono jednak nadal biło. Wyobraził sobie, jak skacze w przepaść albo podcina sobie żyły, i roześmiał się – wiedział, że brak mu odwagi.

Może jeśli zacisnę powieki i skoncentruję się, zdołam zasnąć i nigdy się nie obudzę, pomyślał. Spróbował. Godzinę później ocknął się z ustami pełnymi krwi. Wstał i wypluł ją, litując się nad samym sobą. Krwawa rdza wypełniała usta i nos, wypływała z uszu, spod paznokci i zabijała dopiero po roku. Jedynym wyjściem było wepchnąć chorego do rakiety i wystrzelić na Marsa. Na Ziemi nie znano żadnego lekarstwa. Pozostając tam, zaraziłby i zabił innych. I tak znalazł się tutaj, samotny, dręczony nieustannymi krwotokami.

Nagle jego oczy zwężyły się. W oddali, obok ruin starożytnego miasta, ujrzał leżące na brudnym kocu człowieka.

Gdy Saul podszedł do niego, mężczyzna słabo się poruszył.

– Witaj, Saul – rzekł.

– Kolejny ranek – odparł. – Chryste, jaki jestem samotny.

– To przekleństwo zardzewiałych.

Mężczyzna na kocu był bardzo blady, zdawało się, że dotknięty, rozwieje się w powietrzu.

– Boże – westchnął Saul. – Gdybyśmy przynajmniej mogli porozmawiać. Czemu intelektualiści nigdy nie zarażają się krwawą rdzą i nie przybywają tutaj?

– To spisek wymierzony w ciebie, Saul – odparł tamten, zamykając oczy, zbyt zmęczony, by podtrzymywać opadające powieki. – Kiedyś miałem dość sił, by być intelektualistą. Teraz nawet myślenie jest ciężkim zadaniem.

– Gdybyśmy tylko mogli porozmawiać – mruknął Saul Williams.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Przyjdź jutro. Może zbiorę dość sił, by pomówić o Arystotelesie. Spróbuję. Naprawdę. – Otworzył jedno oko. – Pamiętasz? Sześć miesięcy temu, kiedy miałem dobry dzień, rozmawialiśmy o Arystotelesie.

– Pamiętam – odparł nieuważnie Saul, patrząc w dal na suche morze. – Szkoda, że nie jestem tak chory jak ty. Wtedy nie pociągałyby mnie intelektualne rozrywki i mógłbym odpocząć.

– Za jakieś sześć miesięcy pogorszy ci się, bez obaw – powiedział umierający. – Wówczas obchodzić cię będzie tylko sen, jak najwięcej snu. Sen zastąpi ci kobietę. Zawsze będziesz do niego wracał, bo jest czysty, dobry i wierny i życzliwie cię traktuje. Będziesz się budził tylko po to, aby móc znów zapaść w sen. To miła myśl. – Głos mężczyzny zniżył się do słabego szeptu. Stopniowo i ten umilkł, zastąpiony lekkim miarowym oddechem.

Saul odszedł.

Na brzegu martwego morza leżały skulone ciała uspiomych ludzi, niczym garstka pustych butelek wyrzuconych przez dawno wyschnięte fale. Pierwszy, drugi, trzeci – śpiący samotnie. Większość z nich w gorszym od niego stanie, każdy z własnym zapasem żywności, oddalający się od reszty, w miarę jak więzy społeczne słabły, zastępowane coraz dłuższymi okresami snu.

Z początku spędzili razem kilka wieczorów przy ognisku. Rozmawiali wyłącznie o Ziemi. Był to jedyny interesujący ich temat. O Ziemi i o tym, jak płyną wody w wiejskich potokach, jak smakuje domowy placek z truskawkami i jak wygląda Nowy Jork rano, z pokładu promu z New Jersey, owiewanego słonymi podmuchami wiatru.

Pragnę Ziemi, pomyślał Saul. Pragnę jej tak mocno, że aż boli. Chcę czegoś, czego już nigdy nie będę mógł mieć. Oni wszyscy tego pragną i to pragnienie ich rani. Chcę Ziemi. Bardziej niż jedzenia czy kobiet. Choroba na zawsze rozdziela nas z kobietami, przestajemy za nimi tęsknić. Ale za Ziemią nie. To tęsknota umysłu, nie słabego ciała.

Na niebie coś metalicznie błysnęło.

Saul uniósł wzrok.

Kolejny błysk metalu.

W minutę później na dnie morza wylądowała rakieta. Otworzył się właz i wyszedł z niego mężczyzna dźwigający bagaże. Towarzyszyło mu dwóch innych w ochronnych kombinezonach przeciwskażeniowych; wynosili skrzynie prowiantu i rozbijali namiot.

Po kolejnej minucie rakieta wzbiła się w niebo. Wygnaniec pozostał sam.

Saul ruszył biegiem. Nie biegał od tygodni i odkrył, jak bardzo go to męczy, ale nie zwolnił kroku.

– Halo, witam!

Młody człowiek zmierzył go pytającym wzrokiem.

– Witam. A więc to jest Mars. Nazywam się Leonard Mark.

– A ja Saul Williams.

Uścisnęli sobie dłonie. Leonard Mark był bardzo młody, liczył sobie najwyżej osiemnaście lat; miał jasne włosy, różową twarz i błękitne oczy. Mimo choroby pozostał świeży i zadbany.

– Jak wygląda Nowy Jork? – spytał Saul.

– Tak – odparł Leonard Mark i spojrzał na niego.

Na środku pustyni wyrósł Nowy Jork, kamienna dżungla wypełniona marcowym wiatrem. Neony eksplodowały feerią elektrycznych barw. Żółte taksówki pomykały w mroku nocy.

Zwodzone mosty przepuszczały zdążające do mrocznej przystani holowniki. Kurtyny podnosiły się, odsłaniając rozgwieżdżone musicale.

Saul gwałtownie ukrył twarz w dłoniach.

– Chwileczkę! – krzyknął. – Co się ze mną dzieje? Co to? Chyba wariuję!

Gałęzie drzew w Central Parku pokryły się młodymi zielonymi liśćmi. Saul wędrował ścieżką, wdychając zapach wiosny.

– Przestań, przestań, głupcze! – krzyknął do samego siebie, przyciskając dłonie do czoła. – To niemożliwe.

– Ależ możliwe – wtrącił Leonard Mark.

Nowy Jork zniknął i powrócił Mars. Saul stał na pustym dnie wyschłego morza, wpatrując się tępo w przybysza.

– To ty – rzekł, wyciągając rękę. – Ty to zrobiłeś swoim umysłem.

– Owszem – potwierdził Leonard Mark.

Milcząc, stali naprzeciw siebie. W końcu Saul dygocząc z podniecenia, pochwycił dłoń współwygnańca i zaczął nią gwałtownie potrząsać.

– Jakże się cieszę, że tu jesteś. Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo się cieszę.

\* \* \*

Siedzieli, popijając z blaszanych kubków mocną aromatyczną kawę.

Było południe. Przegadali cały poranek.

– A te twoje zdolności? – spytał Saul znad kubka, nie spuszczać wzroku z młodego Leonarda Marka.

– Mam je od urodzenia – odparł, uparczywie wpatrując się w naczynie. – Moja matka była w Londynie podczas wybuchu w pięćdziesiątym siódmym. Urodziłem się dziesięć miesięcy później. Nie wiem, jak można określić moje zdolności, to jakby połączenie telepatii i przekazu myślowego. Przedtem występowałem, podróżowałem po całym świecie. Leonard Mark, myślowy cudotwórca – tak pisano o mnie na billboardach. Nieźle mi się powodziło. Większość ludzi uważała mnie za szarlatana,

podobnie jak innych artystów. Tylko ja wiedziałem, że moje zdolności są prawdziwe. Wolałem jednak, by nikt się nie zorientował. Dzięki temu czułem się bezpieczniej. Oczywiście kilkoro najbliższych przyjaciół wiedziało. A teraz, kiedy jestem na Marsie, mój talent z pewnością mi się przyda.

– Śmiertelnie mnie wystraszyłeś. – Saul zaciskał palce na kubku.  
– Kiedy Nowy Jork ot tak wynurzył się z ziemi, pomyślałem, że zwariowałem.

– To rodzaj hipnozy, wpływający na wszystkie organy zmysłów jednocześnie – oczy, uszy, nos, usta, skórę. A w tej chwili czego najbardziej pragniesz?

Saul odstawił kawę, próbując powstrzymać drżenie rąk. Obliznął wargi.

– Chciałbym być w potoku w Mellin Town w stanie Illinois. Kąpałem się w nim jako dziecko. Chciałbym być całkiem nagi i pływać.

Leonard Mark lekko poruszył głową.

Saul z zamkniętymi oczami osunął się na piasek.

Leonard Mark ze spokojem mu się przyglądał.

Saul leżał na ziemi. Od czasu do czasu jego dłonie poruszały się, drgały z podniecenia. Usta gwałtownie się otwały, z gardła wydobywały się niezrozumiałe dźwięki.

Saul zaczął wykonywać powolne ruchy rękami, w przód i w tył, w przód i w tył. Oddychał głośno, przechylając głowę na bok, a jego ręce poruszały się w ciepłym powietrzu, trącąc żółty piasek. Ciało powoli się odwracało.

Leonard Mark w ciszy dopił kawę. Ani na moment nie spuszczał wzroku z leżącego na dnie martwego morza Saula.

– W porządku – rzekł w końcu.

Saul usiadł, pocierając twarz.

– Widziałem potok – rzekł po chwili. – Biegłem wzdłuż brzegu. Po drodze zdjąłem ubranie – dodał zdyszany, z pełnym niedowierzaniem uśmiechem. – Skoczyłem do niego i zacząłem pływać.

– Cieszę się – odparł Leonard Mark.

– Proszę. – Saul sięgnął do kieszeni i wyjął ostatni czekoladowy

baton. – To dla ciebie.

– Co to? – Leonard Mark spojrział na podarunek. – Czekolada? Bzdura, nie robię tego dla zapłaty; po prostu chcę ci sprawić przyjemność. Schowaj to, zanim zamienię go w grzechotnika, który cię ukąsi.

– Dziękuję, dziękuję! – Saul ukrył czekoladkę. – Nie wiesz nawet, jaka wspaniała była woda. – Podniósł dzbanek. – Jeszcze kawy?

Nalewając gorący płyn, na moment zamknął oczy.

Mam tu Sokratesa, pomyślał. Sokratesa i Platona, Nietzschego i Schopenhauera. Ten człowiek jest geniuszem rozmowy i ma niewiarygodny talent! Czekają nas długie dni i chłodne noce rozmów. To będzie niezły rok. Naprawdę niezły.

– Co się stało?

– Nic. – Saul rozmyślał gorączkowo, oszołomiony.

Będziemy w Grecji. W Atenach. W Rzymie, jeśli zechcemy studiować pisma rzymskich autorów. Staniemy na Partenonie i Akropolu, nie tylko w rozmowie, ale naprawdę. Ten człowiek może tego dokonać. Ma taką moc. Gdy będziemy rozmawiać o sztukach Racine'a, może stworzyć dla mnie scenę i aktorów. Boże, to lepsze nawet niż moje dawne życie. Lepiej być tu, na Marsie, i chorować, dysponując takimi możliwościami, niż żyć w zdrowiu na Ziemi! Ilu ludzi oglądało na własne oczy grecki dramat, odgrywany w greckim teatrze w trzydziestym pierwszym roku przed naszą erą?

A jeśli poproszę szczerze i uprzejmie, czy człowiek ten nie zechce przybrać postaci Schopenhauera, Darwina, Bergsona i innych myślicieli z dowolnej epoki? Czemu nie? Mógłbym rozmawiać z Nietzschem, samym Platonem!

Istniał tylko jeden problem. Myśl ta uderzyła Saula jak młotem.

Pozostali. Inni chorzy żyjący wokół martwego morza.

W dali dostrzegł wędrujące ku nim sylwetki. Widzieli, jak rakieta błyska na niebie, ląduje, pozostawia pasażera. Teraz maszerowali tu wolno, boleśnie, aby powitać nowego przybysza.

Saul poczuł nagły chłód.

– Posłuchaj, Mark – rzekł. – Chyba powinniśmy ruszać w góry.

– Czemu?

- Widzisz tamtych ludzi? Niektórzy z nich to szaleńcy.
- Naprawdę?
- Tak.
- Izolacja doprowadziła ich do obłądu?
- Właśnie. Lepiej już ruszajmy.
- Nie wyglądają na niebezpiecznych. Poruszają się powoli.
- Zdziwiłbyś się.

Mark spojrzał na Saula.

- Ty drżysz. Dlaczego?

- Nie ma czasu na dyskusje. - Saul zerwał się z miejsca. - Chodź. Nie rozumiesz, co się stanie, gdy odkryją twój talent? Będą o ciebie walczyć, zabijać się nawzajem, żeby tylko posiąść cię na własność. Mogą nawet ciebie zabić.

- Ale ja do nikogo nie należę. Nawet do ciebie.

Saul wzdrygnął się.

- W ogóle o tym nie pomyślałem.

- Naprawdę? - Mark roześmiał się.

- Nie mamy czasu na kłótnie. - Saul zamrugał gwałtownie. Jego policzki płonęły. - Chodź!

- Nie chcę. Będę tu siedział, póki nie zjawią się tamci. Jesteś nieco zbyt zaborczy. Moje życie należy do mnie.

W głowie Saula pojawiły się brzydkie myśli. Jego twarz wykrzywił paskudny grymas.

- Słyszałeś, co powiedziałem.

- Jak szybko z przyjaciela zmieniłeś się we wroga - zauważył Mark.

Saul zamachnął się i uderzył. Był to zręczny, szybki cios, spadający znienacka.

Mark uskokczył ze śmiechem.

- Nie ma mowy.

Znaleźli się pośrodku Times Square. Wokół nich z rykiem pędziły samochody, w gorącym błękitnym powietrzu wyrastały wieżowce.

- To kłamstwo! - krzyknął Saul, chwiejąc się pod naporem nagłej wizji. - Na miłość boską, Mark, przestań! Oni tu idą! Zginiesz!

Mark usiadł na chodniku, zaśmiewając się ze swego dowcipu.

– Niech sobie przychodzą. Potrafię oszukać ich wszystkich.

Nowy Jork rozpraszał uwagę Saula. Po to zresztą tu był – po tak wielu miesiącach rozstania miał przyciągać jego myśli. Zamiast atakować Marka, mógł jedynie stać, chłonąc wszelkimi zmysłami obcą, a przecież znajomą scenerię.

Zamknął oczy.

– Nie! – I runął naprzód, pociągając Marka ze sobą. W jego uszach trąbiły klaksony, wtórował im ostry pisk hamulców. Saul rąbnął Marka w podbródek.

Cisza.

Mark leżał na dnie morza.

Unosząc w ramionach nieprzytomnego mężczyznę, Saul zaczął biec ciężkim krokiem.

Nowy Jork zniknął. Pozostała tylko rozległa, milcząca pustka martwego morza. Pozostali zbliżali się do niego. Bez wahania skierował się na wzgórze, dźwigając w rękach cenny łup, Nowy Jork, zieloną wieś, świeżość wiosny i starych przyjaciół. Raz upadł, ale dźwignął się z ziemi. Nie przestawał biec.

\* \* \*

Jaskinię wypełniał mrok. Wiatr wpadał do niej i uciekał, szarpiąc płomieniem małego ogniska, rozsypując popioły.

Mark otworzył oczy. Był związany sznurami. Stał oparty o suchą ścianę jaskini, twarzą do ognia.

Saul włożył do ogniska kolejny patyk, od czasu do czasu zerkając nerwowo na wejście do jaskini.

– Jesteś głupcem.

Saul wzdrygnął się.

– O tak – ciągnął Mark – jesteś głupcem. Oni nas znajdą, nawet gdyby musieli ścigać cię przez pół roku. Widzieli z dala Nowy Jork i nas pośrodku. Z pewnością ciekawość nie pozwoli im przerwać pościgu.

– Zatem cię przeniosę – odparł Saul, patrząc w ogień.

– A oni pójdą za tobą.

– Zamknij się!



- Czy wypada mówić takim tonem do żony? - rzucił Mark z uśmiechem.

- Słyszałeś, co powiedziałem!

- Cóż za cudowna para: twoja chciwość i moje zdolności umysłowe. Co mam ci pokazać? Może jeszcze kilka scenek z dzieciństwa?

Saul poczuł, jak jego czoło pokrywa się potem. Nie wiedział, czy tamten żartuje, czy też mówi serio.

- Tak - rzekł.

- W porządku - odparł Mark. - Patrz.

Ze skał trysnęły płomienie, woń siarki paliła płuca. Wokół eksplodowały kadzie smoły, wstrząsy kołysały jaskinią. Saul zgiął się w ataku mdłości, krztusząc się i kaszłając, poparzony, poraniony przez piekło!

Które nagle zniknęło. Jaskinia powróciła.

Mark zaśmiewał się głośno.

Saul stanął nad nim.

- To ty - rzekł zimno.

- A czego oczekiwałeś? Związany, porwany, połączony intelektualnymi więzami z człowiekiem oszalałym z samotności - sądzisz, że to mi się podoba?

- Rozwiążę cię, jeśli obiecasz, że nie uciekniesz.

- Nie mogę tego obiecać. Jestem wolnym człowiekiem, nie należę do nikogo.

Saul ukląkł przed nim.

- Ale musisz należeć, rozumiesz? Nie mogę cię wypuścić.

- Mój dobry człowieku, im częściej powtarzasz takie rzeczy, tym bardziej oddalamy się od siebie. Gdybyś miał dość rozsądku i od początku postępował inteligentnie, zostalibyśmy przyjaciółmi. Chętnie świadczyłbym ci drobne hipnotyczne przysługi. W końcu dla mnie to żaden problem, raczej zabawa. Ale ty schrzaniłeś sprawę. Chciałeś mieć mnie na własność. Bałeś się, że inni ci mnie odbiorą. Jak bardzo się myliłeś. Mam dość mocy, by zadowolić wszystkich. Mogłeś dzielić się mną z innymi niczym wspólną kuchnią. Czułbym się jak Bóg pośród dzieci. Obdarzałbym was swoją łaską w zamian za drobne ofiary,

smaczne kąski.

– Przepraszam – zawołał Saul – ale za dobrze znam tych ludzi!

– A ty niby jesteś inny? Bynajmniej. Idź i zobacz, czy nie nadchodzą. Chyba coś słyszałem.

Saul pobiegł. Stojąc w wejściu jaskini, osłonił oczy i spojrzał w spowitą ciemnością dolinę. W mroku poruszały się niewyraźne sylwetki. Czy to tylko wiatr kołyszący kępami roślin? Wstrząsnęły nim dreszcze, mocne, bolesne dreszcze.

– Nic nie widzę. – Zawrócił i ujrzał pustą jaskinię.

– Mark!

Mark zniknął.

Została tylko jaskinia pełna głazów, kamieni, kamyczków. Pośrodku migotał samotny ogień. Wiatr wzdychał wśród skał, a Saul stał obok oszołomiony, otępiały.

– Mark! Mark! Wracaj!

Jego więzień uwolnił się z pęt i podstępnie wmówiwszy mu, że słyszał nadchodzących ludzi, uciekł. Ale dokąd?

Jaskinia była głęboka, lecz kończyła się ślełą ścianą. Mark nie mógł przemknąć się obok niego i zniknąć w ciemnościach. A zatem jak?

Saul okrążył ognisko. Dobywszy noża, zbliżył się do wielkiego głazu wspartego o skalną ścianę. Z uśmiechem postukał w niego lekko, a potem cofnął rękę, szykując się do zadania ciosu.

– Stój! – krzyknął Mark.

Głaz zniknął. Mark wciąż tam był.

Saul zatrzymał rękę z nożem. Blask ognia odbijał się w jego policzkach. W oczach płonął obłęd.

– Nie udało się – szepnął. Wyciągnął ręce, objął palcami szyję Marka i zaczął je zaciskać.

Mark milczał; poruszył się tylko niespokojnie, a w jego pełnych ironii oczach Saul wyczytał to, co już sam wiedział.

„Jeśli mnie zabijesz, co stanie się z twoimi marzeniami? Jeśli mnie zabijesz, skąd weźmiesz strumienie i pstrągi? Zabij mnie, a zabijesz Platona, Arystotelesa, Einsteina, nas wszystkich. No dalej, uduś mnie. Rzucam ci wyzwanie”.

Saula puścił gardło więźnia.

U wrót jaskini poruszyły się cienie.

Obaj mężczyźni odwrócili głowy.

Pozostali już tam byli. Pięciu mężczyzn, zdyszanych i obdartych, czekało na skraju kręgu światła.

– Dobry wieczór! – zawołał Mark ze śmiechem. – Ależ wejdźcie, wejdźcie, panowie.

\* \* \*

O świcie wciąż się zaciekle kłócili. Mark siedział pośród wściekłych ludzi, rozcierając uwolnione z pęt przeguby. Stworzył dla nich wykładaną mahoniową boazerią salę konferencyjną i stół z marmurowym blatem, przy którym zasiedli – rozczochrani, brodaci, cuchnący, spoceni, chciwi mężczyźni, nie spuszczejący wzroku ze swego skarbu.

– Możemy to rozwiązać bardzo prosto – rzekł wreszcie Mark. – Wyznaczę każdemu z was godziny i dni odwiedzin. Wszystkich będę traktował jednakowo. Stanę się wspólną własnością i zachowam wolność. To uczciwy układ. A co do Saula, czeka go okres próbny. Kiedy udowodni, że potrafi zachowywać się jak cywilizowany człowiek, wyznaczę mu parę terminów. Do tego czasu nie chcę go widzieć.

Pozostali wygnańcy szeroko się uśmiechnęli.

– Przepraszam – rzekł Saul. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Teraz znów jestem sobą.

– Zobaczymy – odparł Mark. – Dajmy sobie miesiąc wolnego.

Saul zamilkł. Siedział, wbijając wzrok w podłogę jaskini.

– Tak więc – zaczął Mark – poniedziałek to twój dzień, Smith. Smith przytaknął.

– We wtorek przyjmę Petera na godzinę bądź dwie.

Peter skinął głową.

– We środy załatwię Johnsona, Holtzmana i Jima.

Ostatnia trójka wymieniła spojrzenia.

– Przez resztę tygodnia macie zostawić mnie w spokoju, słyszycie? – ciągnął Mark. – Jeśli nie będziecie zachowywać się właściwie, w ogóle odmówię współpracy.

– A może zmusimy cię do współpracy? – rzekł Johnson,

spoglądając mu prosto w oczy. – Posłuchajcie, nas jest pięciu, a on jeden. Możemy zmusić go do wszystkiego. Działając razem, zapewnimy sobie wspaniałe życie.

– Nie bądźcie durkami – ostrzegł pozostałych Mark.

– Nie przerywaj – rzucił Johnson. – On mówi nam, co będzie robił. A może my mu powiemy? W końcu jesteśmy od niego więksi. Grozi, że nie będzie współpracował? Niech no tylko wbiję mu drzazgę pod paznokieć albo przypalę palce stalowym pilnikiem, a zobaczymy, czy nie zgodzi się współpracować. Czemu nie mielibyśmy mieć widowisk co wieczór?

– Nie słuchajcie go – wtrącił Mark. – To wariat. Nie można mu ufać. Wiecie chyba, co zrobi? Rozwieje wasze podejrzenia, a potem kolejno zaskoczy was i pozabija. O tak, zabije was wszystkich po to, by zostać sam na sam ze mną. To jego metody.

Słuchający zamrugali i spojrzeli najpierw na Marka, potem na Johnsona.

– Prawdę mówiąc – zauważył Mark – żaden z was nie może pozostałym ufać. Ta narada nie ma sensu. W chwili gdy jeden z was obróci się plecami, ktoś z pozostałej czwórki spróbuje go zamordować. Śmiem twierdzić, że pod koniec tygodnia wszyscy będziecie martwi bądź umierający.

W mahoniowej sali powiał zimny wiatr. Iluzja zniknęła, powróciła jaskinia. Mark znużył się swym żartem. Marmurowy stół rozpląnął się z pluskiem i wyparował.

Mężczyźni przyglądali się sobie podejrzliwie płonącymi zwierzęcymi oczami. Mark powiedział prawdę. Widzieli, jak w dniach, które dopiero nadejdą, zaskakują się nawzajem i zabijają, aż w końcu zostanie tylko jeden szczęściarz, który będzie mógł w spokoju cieszyć się siedzącym wśród nich intelektualnym skarbem.

Saul obserwował ich, czuł smutek i niepokój. Kiedy raz popełniło się błąd, trudno przyznać się do niego i zacząć od początku. Oni wszyscy się mylili. Już dawno zgubili drogę, a teraz zupełnie zbłądzili.

– A co gorsza – rzekł w końcu Mark – jeden z was ma pistolet. Wszyscy pozostali są uzbrojeni w noże, lecz wiem, że jeden

ukrywa broń.

Mężczyźni zerwali się z miejsc.

– Szukajcie! – krzyknął Mark. – Szukajcie tego, kto ma pistolet, albo wszyscy zginiecie!

Posłuchali. Zaczęli szaleńczo się miotać, nie wiedząc, kogo przeszukać pierwszego. Ich ręce chwyciły na oślep, wrzeszczeli, a Mark obserwował ich z pogardą.

Wtem Johnson sięgnął za pazuchę.

– W porządku – rzekł. – Równie dobrze możemy załatwić to od razu. Najpierw ty, Smith.

Strzelił Smithowi prosto w pierś. Tamten runął na ziemię. Pozostali wrzasnęli i rzucili się do ucieczki. Johnson jeszcze dwa razy wycelował i wystrzelił.

– Przestań! – krzyknął Mark.

Wokół nich ze skał, jaskini i nieba wyrósł Nowy Jork. Słońce połyskiwało na ścianach wieżowców, zwodzony most drżał, holowniki dobijały do brzegu. Zielona dama spoglądała znad zatoki, dzierżąc w dłoni pochodnię.

– Patrzcie, głupcy! – rzucił Mark.

Central Park rozkwitł gwiazdozbiorami wiosennych kwiatów. Nagle zalała ich fala zapachu świeżo skoszonej trawy.

Osołomieni widokiem Nowego Jorku mężczyźni chwiali się na nogach. Johnson wystrzelił trzykrotnie. Saul skoczył naprzód, zderzył się z nim, powalił go na ziemię, wyrwał mu z dłoni pistolet. Broń huknęła.

Mężczyźni zamarli.

Saul leżał na Johnsonie, przyciskając go do ziemi. Przestali walczyć.

Zapadła straszliwa cisza. Na ich oczach Nowy Jork zaczął tonąć w morzu. Ogromne budynki z sykiem, bulgotem i szumem, z trzaskiem rozdzieranego metalu i starości pochyliły się, wygięły, zadrżały i runęły w gruzy.

Mark stał pośród nich. A potem tak jak te wieżowce bez słowa osunął się na ziemię. W jego piersi ział czerwony otwór.

Saul leżał, patrząc na swych towarzyszy i ciało Leonarda.

Po chwili wstał, trzymając w dłoni pistolet.

Johnson nie ruszał się – bał się nawet drgnąć.

Wszyscy zamknęli oczy i otworzyli je ponownie w nadziei, że w ten sposób zdołają ożywić leżącego przed nimi człowieka.

W jaskini panował chłód.

Saul spoglądał obojętnie na trzymaną w dłoni broń, potem uniósł rękę i cisnął pistolet w dolinę. Nie patrzył, gdzie leci.

Wpatrywali się w trupa, jakby nie mogli uwierzyć w to, co zaszło.

Saul schylił się i ujął bezwładną rękę.

– Leonardzie? – rzekł cicho. – Leonardzie? – Potrząsnął nią. – Leonardzie!

Leonard Mark nie poruszył się. Oczy miał zamknięte, jego pierś przestała wznosić się i opadać. Zaczynał stygnąć.

Saul wyprostował się.

– Zabiliśmy go – rzekł, nie patrząc na pozostałych. Do jego ust napłynęła gorzka ciecz. – Zabiliśmy jedyne go człowieka, którego chcieliśmy utrzymać przy życiu. – Uniósł do oczu trzęsącą się dłoń.

Pozostali czekali w milczeniu.

– Przynieście łopatę. Pochowajcie go. – Saul odwrócił się. – Nie chcę was więcej znać.

Ktoś poszedł na poszukiwanie łopaty.

\* \* \*

Saul był tak słaby, że nie mógł się ruszyć. Jego nogi wrosły w ziemię, zapuszczając głęboko korzenie samotności, strachu i nocnego zimna. Ogień niemal już zgasł; ciemność rozjaśniał jedynie blask bliźniaczych księżyców wiszących nad błękitnymi górami.

Tuż obok rozległ się odgłos kopania.

– I tak go nie potrzebujemy – powiedział ktoś podniesionym głosem.

Odgłosy kopania nie cichły. Saul powoli odszedł, oparł się o pień ciemnego drzewa i wolno osunął na piasek, splatając dłonie na kolanach.

Spać, pomyślał. Teraz wszyscy pójdziemy spać. Przynajmniej

tyle nam zostało. Możemy spać i próbować śnić o Nowym Jorku.

Przymknął zmęczone powieki. W jego nosie, drżących ustach i oczach zbierała się krew.

– Jak on to robił? – spytał zmęczonym głosem. Głowa opadła mu na piersi. – Jak sprowadził tu Nowy Jork i sprawił, że mogliśmy spacerować po jego ulicach? Spróbujmy. To nie powinno być takie trudne. Myśl, myśl o Nowym Jorku – szepnął, pograżając się we śnie. – O Nowym Jorku i Central Parku, a potem wiośnie w Illinois, kwiatach jabłoni, zielonej trawie.

Nie udało się. To nie było to samo. Nowy Jork odszedł i w żaden sposób nie zdoła sprowadzić go z powrotem. Co rano będzie wstawał i wędrował po dnie martwego morza, po całym Marsie, szukając Nowego Jorku, i nigdy go nie znajdzie. Aż w końcu legnie na ziemi, zbyt zmęczony, by iść dalej, próbując odszukać Nowy Jork w swoim umyśle. Na próżno.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał przed snem, był zgrzyt metalu o piasek; łopata wznosiła się i opadała, kopiąc dół, do którego z ogłuszającym hukiem stali runął Nowy Jork wraz ze swą złościstą mgiełką, zapachami, barwami i dźwiękami. Runął i został pogrzebany.

Saul całą noc płakał przez sen.

## BETONIARKA

Słuchał głosów starych wiedźm, suchych jak szelest trawy za otwartym oknem.

Ettilu, ty tchórze, Ettilu, dezterterze, Ettilu, który nie chcesz walczyć we wspaniałej wojnie, jaką Mars wypowie Ziemi.

– Mówcie dalej, wiedźmy! – krzyknął.

Głosy opadły, szmerząc niczym woda w długich kanałach pod marsjańskim niebem.

– Ettilu, ojczyzna syna, który musi dorastać w cieniu tej potwornej świadomości – mówiły stare, pomarszczone kobiety. Przebiegłe oczy błysnęły, gdy czarownice nachyliły głowy, łagodnie stukając się czołami. – Co za wstyd!

Po drugiej stronie pokoju płakała jego żona. Krople łez, zimne, niezliczone, padały niczym deszcz na posadzkę.

– Och, Ettilu, jak możesz tak myśleć?

Ettil odłożył metalową książkę, która cały ranek wyśpiewywała mu historię ukrytą w cienkich złotych uzwojeniach.

– Próbowałem ci wyjaśnić – rzekł. – Inwazja Marsa na Ziemię nie ma sensu. Zostaniemy zgniecieni w proch.

Z zewnątrz dobiegały huki, ogłuszający łoskot, ryk trąb, grzmot bębnowy, krzyki, tupot niezliczonych stóp, łopot proporców, melodie pieśni. Kamiennymi ulicami maszerowała armia z bronią na ramionach. Za nią pomykały dzieci. Stare kobiety wymachiwały brudnymi chorągwiemi.

– Zostanę na Marsie i poczytam książkę – oznajmił Ettil.

Ktoś zapukał brutalnie do drzwi. Tylla otworzyła i do środka wpadł jego teść.

– Co ja słyszę? Mój zięć zdrajcą?

– Tak, ojczyzna.

– Nie walczysz w marsjańskiej armii?

– Nie, ojczyzna.

– Bogowie! – Twarz starca poczerwieniała. – Niech zaraza



spadnie na twoje imię! Zostaniesz rozstrzelany.

– Rozstrzelaj mnie więc i miejmy to już z głowy.

– Kto słyszał o Marsjaninie nieuczestniczącym w inwazji? Kto?

– Nikt. Przyznaję, że to zupełnie niewiarygodne.

– Niewiarygodne – powtórzyły niskie głosy wiedzmy za oknem.

– Ojczy, mógłbyś spróbować go przekonać? – poprosiła Tylla.

– Przekonywać stos łajna?! – krzyknął ze wzdrganiem ojciec. Jego oczy płonęły. Podszedł i stanął nad Ettilem. – Jest piękny dzień, grają orkiestry, kobiety płaczą, dzieci brykają, wszystko idzie jak należy, mężczyźni maszerują, a ty siedzisz tutaj? Co za wstyd!

– Wstyd! – zaszlochały odległe głosy w żywo płocie.

– Wynos się do diabła z mojego domu z całą swoją szaloną gadaniną! – wybuchnął Ettil. – Zabierz swoje medale i bębny i wynocha!

Pchnął teścia w kierunku krzyczącej żony, w tym momencie jednak drzwi otwarły się szeroko i do środka wmaszerował wojskowy patrol. Czyjś głos zawołał:

– Ettil Vrye?!

– Tak.

– Jesteś aresztowany!

– Żegnaj, moja droga żono. Wyruszam na wojnę z tymi głupcami! – zawołał Ettil, wleczony za próg przez ludzi w brązowej sieci.

– Żegnaj, żegnaj – powtórzyły miasteczkowe wiedzmy i zniknęły.

\* \* \*

Cela była schludna i czysta. Pozbawiony książki Ettil zaczął się denerwować. Ścisnął kraty, patrząc, jak rakiety wystrzeliwują w nocne niebo. Zimne niezliczone gwiazdy zdawały się rozbiegać za każdym razem, gdy statek między nie wtargnął.

– Głupcy – szeptał Ettil. – Głupcy!

Drzwi celi otwarły się. Do środka wmaszerował mężczyzna, prowadząc niewielki pojazd pełen stosów, rzędów, piramid książek. Za nim Ettil dostrzegł ponurą postać, wojskowego rządce.

– Etilu Vrye, chcemy wiedzieć, czemu miałeś u siebie w domu te ziemskie książki? Wszystkie te egzemplarze *Cudownych historii, Fantastycznych opowieści, Świata przygód*. Wyjaśnij. – Mężczyzna chwycił mocno przegub Etila.

Ten jednak uwolnił się.

– Jeśli chcecie mnie rozstrzelać, proszę bardzo. To właśnie ta ziemska literatura jest powodem, dla którego nie chcę uczestniczyć w inwazji. To przez nią poniesiecie klęskę.

– Jak to? – Rządca skrzywił się, patrząc ze wzgardą na pożółkłe książki.

– Podnieś jedną z nich – rzekł Etil. – Którąkolwiek. Dziewięć na dziesięć opowiadań drukowanych w latach tysiąc dziewięćset dwadzieścia dziewięć, trzydzieści do lat pięćdziesiątych według kalendarza ziemskiego traktuje o Marsjanach, z powodzeniem najeżdżających Ziemię.

– Ach tak. – Rządca uśmiechnął się, z aprobatą kiwając głową.

– A potem – dodał Etil – o ich klęsce.

– To zdrada! Posiadanie takiej literatury jest zdradą stanu!

– Niech ci będzie. Pozwól jednak najpierw wyciągnąć kilka wniosków. Do porażki każdej inwazji niezmiennie przyczynia się młody człowiek, zazwyczaj szczupły, zazwyczaj pochodzenia irlandzkiego, zazwyczaj samotny, noszący imię Mick albo Rick, albo Jick, albo Bannon. On właśnie niszczy Marsjan.

– Chyba w to nie wierzysz?

– Nie, nie wierzę, że Ziemianie są do tego zdolni. Zrozum jednak, rządco, że dla nich to tradycja. Pokolenia dzieci karmiły się właśnie takimi opowieściami, chłonęły je. Cała ich literatura opowiada o pokonanych najeźdźcach. Możesz powiedzieć to samo o literaturze marsjańskiej?

– No cóż...

– Nie.

– Chyba nie.

– Wiesz, że nie. Nigdy nie pisywaliśmy podobnie fantastycznych opowieści. Teraz podnosimy głowy, atakujemy. I wszyscy zginiemy.

– Nadal nie pojmuję twojego toku rozumowania. Co to ma

wspólnego z opowiadaniem?

– Morale. Bardzo ważna rzecz. Ziemianie wiedzą, że nie mogą przegrać; ta świadomość jest niczym krew krążąca w żyłach. Nie mogą przegrać. Odeprą każdą inwazję, nieważne, jak świetnie zorganizowaną. Młodzieńcze lektury podobnych historii obdarzyły ich wiarą, której nie potrafimy dorównać. Jesteśmy niepewni. Wiemy, że może nam się nie udać. Mimo łoskotu werbli i grzmienia trąb nasze morale jest niskie.

– Nie będę tego słuchał! – zawołał rządcą. – To zdrada. Za dziesięć minut wszystkie książki zostaną spalone, a ty razem z nimi. Masz jeszcze wybór, Etilu Vrye. Dołącz do Legionu Wojennego albo spłoń.

– To wybór między śmiercią a śmiercią. Wolę spłonąć.

– Do mnie!

Wywleczono go na dziedziniec. Tam ujrzał, jak ogień pochłania jego starannie gromadzoną kolekcję lektur. Przygotowano do tego celu specjalny zbiornik wypełniony pięcioma stopami oleju, który z ogłuszającym hukiem podpalamo. Za minutę zostanie do niego wepchnięty.

Po drugiej stronie dziedzińca dostrzegł ukrytą w cieniu postać syna. Stał samotnie z boku, w jego wielkich złotych oczach lśnił smutek i strach. Nie wyciągał ręki; milczał. Patrzył tylko na ojca jak na umierające zwierzątko, bezrozumną istotę błagającą o pomoc.

Etil spojrział na płonący olej. Poczł, jak szorstkie ręce chwytają go, rozbierają i popychają naprzód ku rozpalonemu kręgowi śmierci. Dopiero wtedy przełknął ślinę i zawołał:

– Stójcie!

Twarz rządcy, jaśniejąca w pomarańczowym blasku płomieni, zbliżyła się ku niemu w rozedrganym powietrzu.

– O co chodzi?

– Dołączę do Legionu Wojennego – oznajmił Etil.

– Doskonale. Puśćcie go.

Ręce zniknęły.

Odwracając się, ujrzał syna stojącego po drugiej stronie dziedzińca. Chłopiec nie uśmiechał się, czekał. Na niebie kolejna

rakieta z brązu śmignęła między gwiazdy, otoczona ognistą poświatą.

\* \* \*

– A teraz pożegnajmy się z naszymi niezłomnymi wojownikami  
– rzucił rządca.

Orkiestra zagrzmiała. Wiatr porwał słońcą mżawkę łez, obmywając nią łagodnie spocone twarze żołnierzy. Dzieci brykały. W całym tym chaosie Etil dojrzał płaczącą z dumy żonę i stojącego u jej boku z poważną miną syna.

Pomaszerowali na statek roześmiani, z dumnymi minami. Wpięli się w pajęczę sieci – cały wyczekujący statek zappełnił się sieciami, w których wisieli odprężeni, rozleniwieni ludzie. Przeżuwając kęsy jedzenia, czekali. Wielki właz zatrzasnął się z hukiem. Syknął zawór.

– Ruszamy na Ziemię, ku zniszczeniu – szepnął Etil.

– Co? – spytał ktoś.

– Ku wspaniałemu zwycięstwu. – Etil skrzywił się boleśnie.

Rakieta podskoczyła.

Kosmos, pomyślał. Z łoskotem pokonujemy czarne otchłanie i różowe światła przestrzeni, zamknięci w mosiężnym kotle. Oto rakieta wystrzelona uroczyście w niebo, by wzniecić ogień lęku w oczach patrzących na nią Ziemiaków. Jak to jest – znaleźć się tak daleko od domu, żony, dziecka, tu i teraz?

Próbował analizować swoje lęki. Czuł się tak, jakby przywiązał do Marsa swe najważniejsze, najtajniejsze wewnętrzne narządy, a potem odskoczył o milion mil. Jego serce wciąż przebywało na Marsie, nadal pompując krew. Mózg był na Marsie; myśli tliły się w zwojach niczym płomień porzuconej pochodni. Uśpiony żołądek został na Marsie, wciąż próbując strawić ostatni obiad. Płuca nadal wciągały w siebie chłodne, błękitne, upajające powietrze Marsa – miękkie, złożone miechy, krzyczące z bólu, część ciała tęskniąca za resztą.

A ty tymczasem jesteś tutaj: automat pozbawiony trybów i zwojów, puste ciało poddane sekcji, z którego władze pozostawiły wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, na dnie

suchego morza, rozrzucone po ciemnych wzgórzach. Jesteś jak pusta butelka, pozbawiony ognia chłód. Zostały ci tylko ręce mogące zadawać śmierć Ziemianom. Stałeś się parą rąk, pomyślał obojętnie.

Oto leżysz w olbrzymiej sieci. Otaczają cię inni – oni jednak są cali, mają serca i ciała. Co do ciebie natomiast, wszystko, co w tobie żyło, pozostało w domu i wędruje po dnie suchego morza, owiewane wieczornym wiatrem. Ta część tutaj, zimna gliniana istota, już jest martwa.

– Przygotować się do ataku!

– Gotowi, gotowi, gotowi!

– Już!

– Z sieci, szybko!

Etil poruszył się. Ruszyły się także jego dwie zimne ręce.

Jakże szybko to poszło, pomyślał. Rok temu na Marsa dotarła ziemską rakietą. Nasi naukowcy dzięki niezwykłym zdolnościom telepatycznym skopiowali ją, nasi robotnicy pracujący w niewiarygodnie potężnych fabrykach wyprodukowali setki jej replik. Od tamtego czasu żaden inny ziemski statek nie przybył na Marsa, a jednak wszyscy doskonale znamy ich język. Poznaliśmy ich kulturę, logikę. I wkrótce zapłacimy cenę za nasz geniusz...

– Broń gotowa!

– Tak jest.

– Cel!

– Odległość w milach?

– Dziesięć tysięcy.

– Do ataku!

Zapadła cisza, słyhać było tylko brzęczenie, jakby setki owadów kryły się w ścianach rakiety i śpiewały o maleńkich cewkach, przekładniach i zębatkach. Mężczyźni czekali, ich pobudzone gruczoły wydzielały pot pod pachami, na czole, pod szeroko otwartymi jasnymi oczami.

– Cześć! Gotowi!

Etil resztkami sił, czubkami palców trzymał się rzeczywistości, próbując nie popaść w obłąd.

Cisza, cisza, cisza. Czekanie.

Tiiiiiiii!

– Co to?

– Ziemskie radio!

– Podłączcie ich.

– Próbują nawiązać kontakt. Wywołują nas.

– Włączyć.

Iiiiiiiii!

– Są! Słuchajcie!

– Wzywamy marsjańską flotę inwazyjną.

Brzęczenie owadów przycichło, pozwalając ostremu ziemskiemu głosowi uderzyć z całą siłą w słuchających ludzi.

– Tu Ziemia. Mówi William Sommers, przewodniczący Stowarzyszenia Zjednoczonych Producentów Amerykańskich.

Etil przywarł do swego stanowiska z zamkniętymi oczami.

– Witajcie na Ziemi.

– Co?! – ryknęli ludzie w rakiecie. – Co on powiedział?

– Tak, witajcie na Ziemi!

– To podstęp.

Etil zadrzał. Otworzył oczy, patrząc w oszołomieniu w pustkę, w której dźwięczał niewidoczny głos dobiegający z głośnika w suficie.

– Witajcie! Witajcie na zielonej przemysłowej Ziemi – oznajmił przyjazny głos. – Przyjmujemy was z otwartymi ramionami. Niechaj krwawa inwazja zamieni się w przyjaźń, która przetrwa do końca Czasu.

– To podstęp!

– Cii, słuchajcie.

– Wiele lat temu my, Ziemianie, odrzuciliśmy wojnę, zniszczyliśmy bomby atomowe. Nie jesteśmy gotowi do walki, pozostaje nam więc was powitać. Planeta należy do was. Prosimy tylko o łaskę ze strony łagodnych, litościwych najeźdźców.

– To nie może być prawda – szepnął ktoś.

– Z pewnością coś knują.

– Ładujcie i witajcie – rzekł pan William Sommers z Ziemi. – Przybywajcie, gdziekolwiek zechcecie. Ziemia należy do was.

Wszyscy jesteście braćmi.

Ettil wybuchnął śmiechem. Jego towarzysze odwrócili się gwałtownie, patrząc na niego zdumionymi oczami.

– Oszalał!

Nie przestał się śmiać, póki go nie ogłuszyli.

\* \* \*

Krepy, otyły mężczyzna, stojący pośrodku rozpalonego asfaltowego lądowiska w Green Town w stanie Kalifornia, wyciągnął z kieszeni czystą białą chusteczkę i otarł nią spocone czoło. Mrużąc osłepione słońcem oczy, spojrzął ze wzniesionego z desek podwyższenia na pięćdziesiąt tysięcy ludzi zgromadzonych za kordonem policjantów. Wszyscy patrzyli w niebo.

– Tam są!

Westchnienie.

– Nie, to tylko mewy.

Pomruk zawodu.

– Zaczynam myśleć, że lepiej byłoby wypowiedzieć im wojnę – szepnął burmistrz. – Wtedy moglibyśmy wrócić do domu.

– Ciii – upomniała go żona.

– Tam! – ryknął tłum.

Spoza słońca wyleciały marsjańskie rakiety.

– Wszyscy gotowi? – Burmistrz nerwowo się rozejrzył.

– Tak – powiedziała Miss Kalifornii tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt pięć.

– Tak – dodała Miss Ameryki tysiąc dziewięćset czterdzieści, którą wezwano w ostatniej chwili na zastępstwo. Miss Ameryki tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt sześć leżała chora w domu.

– Tak jest – oznajmił Mistrzowski Hodowca Grapefruitów z doliny San Fernando za rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty szósty.

– Orkiestra?

Muzycy unieśli trąby niczym przyszykowaną do zadania ciosu broń.

– Gotowi!

Rakiety wylądowały.

– Już!

Orkiestra zagrała dziesięć razy *Przybywamy do Kalifornii*.

Od południa do pierwszej burmistrz wygłaszał mowę, potrząsając rękami w stronę milczących, pełnych obaw rakiety.

O pierwszej piętnaście włączy statków otworzy się.

Orkiestra zagrała trzy razy *O, złoty stan*.

Ettil i pięćdziesięciu innych Marsjan wyskoczyło z rakiety, unosząc broń.

Burmistrz pobiegł ku nim, trzymając w dłoniach klucze do Ziemi.

Orkiestra zagrała *Święty Mikołaj z nami jest*, tyle że chór sprowadzony specjalnie z Long Beach zaśpiewał inne słowa, coś jak „Marsjanie drodzy z nami są”.

Nie widząc wokół żadnej broni, Marsjanie odprężyli się, wciąż jednak trzymali swoją w gotowości. Od wpół do drugiej do drugiej piętnaście burmistrz wygłaszał to samo przemówienie na użytek Marsjan.

O drugiej trzydzieści Miss Ameryka tysiąc dziewięćset czterdzieści zaproponowała, że ucałuje wszystkich Marsjan, jeśli ustawią się w kolejce.

Dziesięć sekund po drugiej trzydzieści orkiestra zagrała *Co u was słychać?*, aby pokryć zmieszanie wywołane propozycją Miss Ameryki.

O drugiej trzydzieści pięć Mistrzowski Hodowca Grapefruitów ofiarował Marsjanom dwutonową ciężarówkę rzeczonych owoców.

O drugiej trzydzieści siedem burmistrz wręczył im darmowe bilety do kin *Elite* i *Majestic*, dołączając do nich kolejną przemowę, która potrwała do trzeciej.

Orkiestra zagrała, a pięćdziesiąt tysięcy ludzi zaśpiewało *Sto lat*.

O czwartej ceremonia dobiegła końca.

Ettil z dwoma towarzyszami usiedli w cieniu rakiety.

– A zatem tak wygląda Ziemia.

– Uważam, że powinniśmy ich wszystkich wybić – oznajmił jeden z Marsjan. – Nie ufam tym szczerom. Są przebiegli. Czemu



nas tak traktują? – Uniósł pudełko, którego zawartość zaszeleściła. – Co oni właściwie mi dali? Mówili, że to jakaś próbka. – Odczytał etykietę: – BLIX, nowe płatki mydlane.

Tłum ruszył naprzód, mieszając się z Marsjanami niczym zwiedzający w parku. Wszędzie wokół słychać było szmer rozmów. To Ziemianie dotykali raket, zadając niezliczone pytania.

Ettila ogarnął chłód. Trząśnięcie się coraz mocniej.

– Nie czujecie? – szepnął. – Tego napięcia, ukrytego zła? Coś nas tu spotka. Mają jakiś plan, podstępny i okropny. Wkrótce coś nam zrobią; ja to wiem.

– Powtarzam, zabijmy ich wszystkich!

– Jak można zabić ludzi, którzy mówią do nas „stary” i „druhu”?

– spytał inny Marsjanin.

Ettil potrząsnął głową.

– Oni są szczerzy, a jednak czuję się tak, jakbyśmy trafili do ogromnego zbiornika z kwasem, który nas powoli zżera. Boję się.

– Posłał myśli między tłum. – Tak, mają naprawdę przyjazne intencje, witajcie-bracia-bądźcie-pozdrowieni (to jedno z ich określeń). Otacza nas zbieranina zwykłych ludzi, kochających jednakowo psy, koty i Marsjan. A przecież... a przecież...

Orkiestra zagrała *Dajcie no beczułkę*. Pojawiło się darmowe piwo sponsorowane przez browar Hagenback z Fresno w Kalifornii.

I zaczęły się mdłości.

Z ust przybyszów tryskały fontanny wymiocin. Powietrze wypełniły jęki bólu.

Dławiąc się, Ettil usiadł pod sykomorą.

– To spisek, spisek, okropny spisek! – wyjącał, trzymając się za brzuch.

– Co jadłeś? – spytał rządcą, stając nad nim.

– Coś zwanego popcornem.

– I?

– Długi kawałek mięsa w bułce, żółty zmrożony płyn z wielkiej kadzi, rodzaj ryby i coś, co nazywają pastrami.

Wokół słychać było jęki marsjańskich najeźdźców.

– Zabić podstępne gadziny! – zawołał słabo ktoś z nich.

– Spokojnie – rzucił rządca. – To tylko gościnność. Po prostu trochę przesadzili. No dalej, wstawać. Idziemy do miasta. Musimy rozmieścić wokół posterunki, by upewnić się, że wszystko idzie zgodnie z planem. Nasze statki lądują w innych miastach. Mamy zadanie do wykonania.

Marsjanie dźwignęli się z ziemi i stali bez ruchu, patrząc tępo przed siebie.

– Naprzód marsz!

Raz, dwa, trzy, cztery! Raz, dwa, trzy, cztery!...

\* \* \*

Białe sklepiki w miasteczku drzemały w zabójczym upale. Zewsząd promieniowało gorąco – ze słupów z betonu, metalu, markiz, dachów, papy, ze wszystkiego.

Na asfalcie zadźwięczały kroki Marsjan.

– Ostrożnie – szepnął rządca.

Mijali salon piękności.

Ze środka dobiegł ukradkowy chichot.

– Spójrzcie!

W oknie na moment mignęła miedzianowłosa głowa. W dziurce od klucza zabłysło błękitne oko i mrugnęło do nich.

– To spisek – szepnął Ettl. – Spisek, mówię wam.

W letnim powietrzu poruszonym podmuchami z wirujących wentylatorów rozeszła się woń perfum. Kobiety kryły się pod elektrycznymi stożkami niczym podmorskie istoty w jaskiniach. Włosy miały poskręcane w szalone spirale, ich szkliste oczy połyskiwały przebiegle, chytrze, zwierzęco; usta miały pociągnięte odbłaskową czerwienią. Nad ich głowami kręciły się wiatraki, perfumowany wiatr poruszał nieruchomym powietrzem, wnikając między zielone drzewa, pełzając pośród zdumionych Marsjan.

– Na miłość boską! – krzyknął Ettl, tracąc panowanie nad sobą.

– Wracajmy do raket, do domu! One nas dostaną, te potworne istoty. Widzicie? Złowieszcze podmorskie stworzenia, kobiety w chłodnych jamach ze sztucznej skały!

– Zamknij się!

Spójrzcie na nie, pomyślał, na ich zielone sukienki trzepoczące wokół smukłych nóg niczym zimne skrzela. Zaczął krzyczeć.

– Niech ktoś go uciszy!

– Rzucają się na nas, poprzedzone gradem bombonierek i ilustrowanych magazynów, wrzeszcząc tłustymi czerwonymi ustami! Zasypią nas banałem, zniszczą naszą wrażliwość. Spójrzcie na nie! Siedzą na krzesłach elektrycznych, a ich głosy mruczą, nucą, szemrzą. Ośmielicie się tam wejść?

– Czemu nie? – spytali inni Marsjanie.

– Upięka was, ufarbuja, zmienia! Rozłupią was, ugniotą, póki nie zmienią w mężów, ludzi pracy zarabiających pieniądze, aby one mogły tu przychodzić i pożerać swe okropne czekoladki. Sądzicie, że potraficie je kontrolować?

– Tak, na bogów.

W dali rozległ się wysoki, piskliwy kobiecy głos:

– Czyż ten środkowy nie jest uroczy?

– Marsjanie nie są wcale tacy źli. To tylko mężczyźni – odparł inny, cichnąc w dali.

– Hej, wy tam! Ju-huu! Marsjanie! Hej!

Ettil z krzykiem rzucił się do ucieczki.

\* \* \*

Siedział w parku, wciąż dygocząc na wspomnienie niedawnych wydarzeń. Patrząc w ciemne nocne niebo, czuł się tak bardzo oddalony od domu, taki samotny. Nawet teraz, tkwiąc wśród nieruchomych drzew, widział w dali marsjańskich wojowników spacerujących po ulicach z ziemskimi kobietami u boku i znikających w widmowej ciemności pałaców emocji; dochodziły stamtąd upiorne odgłosy wydawane przez białe obrazy poruszające się na szarych ekranach. Siedzące obok Marsjan drobne krętowłose kobiety przeżuwały kawałki galaretowatej gumy, a tymczasem inne kawałki tkwiły pod fotelami, skamieniałe, z uwiecznionymi na zawsze śladami małych, kocich kobiecych ząbków. Oto jaskinia wiatrów – kino.

– Witaj.

Ze zgrozą uniósł głowę.

Obok niego na ławce usiadła kobieta, leniwie żując gumę.

– Nie uciekaj, ja nie gryzę – rzekła.

– Ach tak – odparł.

– Chciałbyś pójść do kina?

– Nie.

– Daj spokój. Wszyscy inni poszli.

– Nie – powtórzył. – Czy w waszym świecie nie znacie innych zajęć?

– Innych? A to nie wystarczy? – Jej błękitne oczy rozszerzyły się.

– Co według ciebie mam robić? Siedzieć w domu? Czytać książki? Cha, cha, to ci dopiero!

Ettil przyglądał jej się przez chwilę, by w końcu zadać pytanie:

– Robisz czasem coś jeszcze?

– Jeżdżę samochodem. Masz samochód? Powinieneś kupić sobie nowy kabriolet podler 6, są naprawdę super. Żadna dziewczyna nie odmówi gościowi w podlerze 6 – oznajmiła, mrugając. – Założę się, że masz mnóstwo forsy – no wiesz, przybywasz z Marsa i w ogóle – i że gdybyś naprawdę chciał, mógłbyś sobie kupić podlera 6 i wszędzie nim jeździć.

– Na przykład do kina?

– A co w tym złego?

– Nic, zupełnie nic.

– Wiesz, kogo mi przypominasz? – rzuciła. – Komunistę! O tak, a taka gadanina może wpędzić cię w kłopoty. Nasz stary system znakomicie się sprawdza. Jesteśmy dla was dobrzy, pozwoliliśmy wam dokonać inwazji i nawet nie ruszyliśmy was małym palcem, prawda?

– To właśnie usiłuję zrozumieć – rzekł Ettil. – Czemu nas przyjęliście?

– Bo mamy wielkie serca, oto dlaczego. Zapamiętaj sobie: wielkie serca.

Odeszła, szukając kogo innego.

Zebrawszy się na odwagę, Ettil zaczął pisać list do żony, starannie przesuwając piórem po rozłożonej na kolanie kartce.

„Droga Tylo...”.

Znów jednak mu przerwano. Niska staruszka o bladej, okrągłej, pomarszczonej dziecinnej twarzy potrząsnęła mu przed nosem tamburynem, zmuszając go do podniesienia wzroku.

– Bracie! – zawołała; jej oczy płonęły. – Czy zostałeś zbawiony od złego?

– Grozi mi jakieś niebezpieczeństwo?

Ettil zerwał się z miejsca, upuszczając pióro.

– Straszliwe niebezpieczeństwo! – zaintonowała, potrząsając tamburynem. – Zaiste, bracie, potrzeba ci zbawienia.

– Skłonny jestem się zgodzić – rzekł, dygocząc.

– Wiele dusz już ocaliliśmy. Osobiście pomogłam trzem ludziom z Marsa. Czyż to nie miłe? – Uśmiechnęła się do niego.

– Chyba tak.

Była podejrzliwa. Nachyliła się do niego i szepnęła konspiracyjnie:

– Bracie, czy zostałeś ochrzczony?

– Nie wiem – odszepnął.

– Nie wiesz?! – krzyknęła, unosząc dramatycznie rękę z tamburynem.

– To coś jak szczepienie? – spytał.

– Bracie, żyjesz w okropnym grzechu. To pewnie wina ignorancji i wychowania. Założę się, że szkoły na Marsie są okropne – w ogóle nie uczą prawdy, jedynie wymyślonych kłamstw. Bracie, jeśli pragniesz szczęścia, musisz dać się ochrzcić.

– Czy dzięki temu będę szczęśliwy nawet w tym świecie? – zapytał.

– Nie wymagaj, by wszystko podać ci na tacy. Zamiast uczyty, powinieneś zadowolić się nawet pospolitym groszkiem, bo istnieje jeszcze inny świat, do którego wszyscy trafimy: świat lepszy niż ten.

– Znam go – rzekł.

– To kraina spokoju.

– Tak.

– Ciszy – dodała.

– Tak.

– Mlekiem i miodem płynąca.  
– Ależ tak! – potwierdził.  
– I rozbrzmiewająca śmiechem jej mieszkańców.  
– Widzę go.  
– Lepszy świat – rzekła.  
– Znacznie lepszy – odparł. – O tak, Mars to wspaniała planeta.  
– Drogi panie – kobieta zeszywniała i o mało nie uderzyła go w twarz tamburynem – żartujesz sobie ze mnie?  
– Ależ nie. – Patrzył na nią zakłopotany i ogłupiały. – Sądziłem, że mówiłaś o...  
– Nie o paskudnym starym Marsie, to na pewno! Właśnie tacy jak ty będą się smażyć latami, cierpieć, znosić czarne wrzody i tortury...  
– Przyznaję, że Ziemia nie jest zbyt przyjemnym miejscem. Doskonale ją opisałaś.  
– Znowu drwisz! – krzyknęła gniewnie.  
– Nie, nie, proszę. To moja ignorancja.  
– Cóż – rzekła – jesteś poganinem, a poganie nie znają przyzwoitości. Oto ulotka. Przyjdź jutro wieczór pod ten adres. Zostaniesz ochrzczony i będziesz szczęśliwy. Krzyczymy, tupiemy i przemawiamy różnymi głosami. Jeśli więc chcesz posłuchać naszej słynnej orkiestry dętej, musisz przyjść. Przydziesz, prawda?  
– Spróbuję – odparł z wahaniem.  
Kobieta odeszła ulicą, uderzając w tamburyn i śpiewając pełnym głosem:  
– Jestem szczęśliwa, tak bardzo szczęśliwa!  
Oszołomiony Ettl wrócił do pisania listu.  
„Droga Tyllu: i pomyśleć, że w swojej naiwności wyobrażałem sobie, iż Ziemianie na atak odpowiedzą kontratakiem, bronią i bombami. Nie, nie, jakże się myliłem. Rick, Mick, Jick czy Bannon – sprytni młodzieńcy ratujący światy – nie istnieją.  
Zamiast nich są tu jasnowłose roboty o różowych gumowych ciałach, prawdziwe, a jednak dziwnie nierzeczywiste; żywe, lecz jednocześnie reagujące jak automaty, całe życie spędzające w jaskiniach. Mają ogromne pośladki, ich oczy od nieustannego

wpatrywania się w ekrany straciły zdolność ruchu. Jedyne mięśnie, jakie mają, mięśnie szczęk, rozwijają się od ciągłego życia gumy.

Ale nie tylko one są problemem, moja droga Tylo, lecz cała cywilizacja, do której wrzucono nas niczym garść nasion do wielkiej betoniarki. Nikt z nas nie przetrwa. Zginiemy nie od pocisków, lecz od przyjaznych dłoni. Nie zniszczą nas rakiety, lecz automobile...”.

Ktoś krzyknął. Rozległ się jeden huk, potem następny. Cisza.

Ettil zerwał się z miejsca. Nieco dalej na ulicy zderżyły się dwa samochody, jeden pełen Marsjan, drugi ludzi. Ettil wrócił do pisania listu.

„Droga, najdroższa Tylo, jeśli pozwolisz, przytoczę kilka danych statystycznych. Jedynie na tym kontynencie, w Ameryce, co roku ginie czterdzieści pięć tysięcy ludzi, dosłownie zmiażdżonych przez automobile. Zamieniają się w czerwoną krwawą galaretę naszpikowaną białymi kośćmi, nagłymi, pełnymi grozy, śmiesznymi myślami uwięzionymi w niezmiennej mazi. Samochody zgniatane niczym puszki sardynek – pełne sosu i ciszy.

Rozrzucone po autostradach krwawe łajno, nad którym krążą bzykające zielone letnie muchy. Twarze, które w wyniku nagłego hamowania zmieniają się w halloweenowe maski. Halloween to jedno z ich świąt. Mam wrażenie, że tego dnia oddają cześć automobilom – w każdym razie ma to coś wspólnego ze śmiercią.

Wyglądasz przez okno i widzisz dwoje ludzi, którzy nigdy wcześniej się nie spotkali. Teraz leżą na sobie jak przyjaciele, martwi. Oczyma duszy widzę naszą armię: zmiażdżoną, uwięzioną w pułapkach kin przez wiedźmy i gumę do żucia. Jutro spróbuję uciec na Marsa, zanim będzie za późno.

Gdzieś na Ziemi jest Człowiek z Dźwignią. Kiedy za nią pociągnie, uratuje świat. Tyle że obecnie stracił pracę, jego przekładnię pokrywa kurz, a on sam gra w bezika.

Kobiety tego złego świata zalewają nas banalnymi sentymentami, pomyłonymi romansami i ostatnimi wyskokami, zanim wytwórcy gliceryny odbiorą ich zużyte ciała. Dobranoc,

Tylko. Życz mi szczęścia, bo zapewne zginę, próbując ucieczki. Ucałowania dla dziecka”.

Płacząc cicho, złożył list. Musi pamiętać, by wysłać go później z raketowego portu.

Wolno wyszedł z parku. Co właściwie mógł zrobić? Uciec? Ale jak? Wrócić w nocy na posterunek, bez niczyjej pomocy ukrąść jedną z raket i odlecieć na Marsa? Czy to możliwe? Potrząsnął głową. Czuł się okropnie zagubiony.

Jednego tylko był pewien: jeśli tu zostanie, wkrótce stanie się zakładnikiem rzeczy, które brzęczą, prychają i syczą, wyrzucając z siebie smród bądź spaliny. Za sześć miesięcy jego majątek powiększy się o duży różowy pokazowy wrzód, astronomiczne ciśnienie krwi, krótkowzroczność niemal równą ślepotcie i koszmary głębokie jak ocean, otchłań o niewiarygodnie długich sennych wnętrzościach, przez które każdej nocy będzie musiał przebijać się siłą. Nie, nie.

Spojrzał na znękaną twarz Ziemiań śmigających obok w swych mechanicznych śmiercionośnych pudełkach. Wkrótce – o tak, już niedługo – wynajdą auto wyposażone w sześć srebrnych uchwytów.

– Hej tam!

Dźwięk klaksonu. Wielki, długi samochód, czarny i złowieszczy jak karawan, przyhamował przy krawężniku. Z jego okna wychylił się mężczyzna.

– Jesteś Marsjaninem?

– Tak.

– Właśnie kogoś takiego szukałem. Wskakuj, szybko. To twoja życiowa szansa. No dalej, zabiorę cię do miłej knajpy, gdzie możemy spokojnie pogadać. Chodź już, nie stój tak.

Etil jak zahipnotyzowany otworzył drzwiczki samochodu i wsiadł do środka.

Odjechali.

\* \* \*

– Na co masz ochotę, E.V.? Może manhattan? Kelner, dwa manhattany. W porządku, E.V., ja stawiam. Ja i wielkie studio.



Nawet nie sięgaj po portfel. Miło mi cię spotkać, E.V. Nazywam się R.R. Van Plank. Może o mnie słyssałeś? Nie? Cóż, dawaj grabę.

Ettil czuł, jak tamten masuje i wypuszcza jego dłoń. Siedzieli w ciemnej, wypełnionej muzyką norze, wokół krążyli kelnerzy. Przed nimi na blacie pojawiły się dwa drinki. Wszystko działo się zbyt szybko. Teraz Van Plank, splatając ręce na piersi, uważnie przyglądał się swemu marsjańskiemu odkryciu.

- Oto, czego od ciebie chcę, E.V. To najgenialniejszy pomysł mojego życia. Nie mam pojęcia, skąd się wziął, po prostu przebłysk. Siedziałem wieczorem w domu i nagle pomyślałem: Boże, co to będzie za film! Inwazja z Marsa na Ziemię. Co zatem muszę zrobić? Muszę znaleźć konsultanta. Wskoczyłem więc do samochodu i znalazłem ciebie. Pij! Za twoje zdrowie i naszą przyszłość. Skoal!

- Ale... - zaczął Ettlil.

- Tak, wiem, będziesz chciał pieniędzy. Mamy mnóstwo forsy. Poza tym mogę ci pożyczyć mały czarny notesik pełen kociaków.

- Nie przepadam za większością waszych ziemskich zwierząt i...

- Niezły z ciebie numer, naprawdę. Posłuchaj, jak to sobie wymyśliłem. - Podniecony, nachylił się nad stolikiem. - Najpierw krótkie ujęcie Marsjan na wielkiej naradzie, no wiesz, dudniące bębny, ostra marsjańska popijawa. W tle ogromne srebrne miasta...

- Ale marsjańskie miasta nie są...

- Trzeba nam koloru, mały. Koloru! Tatuś się tym zajmie. W każdym razie wszyscy ci Marsjanie tańczą wokół ogniska.

- My nie tańczymy wokół ognisk...

- W tym filmie będzie ognisko i taniec - oznajmił Van Plank, przymykając oczy, dumny ze swej stanowczości. Z rozmarzeniem skinął głową, nadając kształt myślom. - Potem mamy piękną marsjańską kobietę, wysoką blondynkę.

- Marsjańskie kobiety są ciemnowłose...

- Posłuchaj, nie zawsze mogę cię zadowolić, E.V. A przy okazji, synu, powinienesz zmienić imię. Jak cię nazywają?

- Ettlil.

- To kobiece imię. Nadam ci lepsze. Będę ci mówił Joe.

W porządku, Joe. Jak już mówiłem, nasze Marsjanki będą blondynkami, ponieważ... no, po prostu ponieważ. W przeciwnym razie tatuś nie będzie szczęśliwy. Masz jakieś sugestie?

– Sądziłem, że ...

– I musimy też nakręcić bardzo wzruszającą scenę, w której marsjańska kobieta ratuje cały statek Marsjan przed śmiercią, kiedy trafia go meteor czy coś w tym stylu. To będzie prawdziwa bomba! Wiesz, cieszę się, że cię znalazłem, Joe. Wierz mi, dobrze u nas zarobisz.

Nagle Etil mocno chwycił przegub swego rozmówcy.

– Jedną chwileczkę. Chcę cię o coś zapytać.

– Jasne, Joe. Strzelaj.

– Czemu jesteście dla nas tacy mili? Najeżdżamy waszą planetę, a wy witacie nas wszystkich jak własne zbłąkane dzieci. Dlaczego?

– Z was, Marsjan, to prawdziwe niewiniątka, co? Jesteś niezłym naiwniakiem. Od razu to dostrzegłem. Spójrz na to w ten sposób, Mac. Wszyscy jesteśmy przeciętniakami, prawda? – Machnął gwałtownie drobną opaloną dłonią, ozdobioną pierścieniem ze szmaragdem. – Jesteśmy pospolici, zgadza się? I tu, na Ziemi, szcycimy się tym. Nadszedł wiek zwykłego człowieka, Bill. Jesteśmy dumni ze swej małości. Billy, znalazłeś się na planecie pełnej Saroyanów, o tak, jesteśmy jedną wielką szczęśliwą rodziną przyjaznych Saroyanów, w której wszyscy się kochają. Rozumiemy was, Marsjan, Joe, i wiemy, czemu najechaliście Ziemię. Wiemy, jak samotni czuliście się na swojej małej, zimnej planecie, jak zazdrościliście nam naszych miast...

– Nasza cywilizacja jest znacznie starsza niż wasza...

– Proszę, Joe, nie rób mi przykrości i nie przerywaj. Pozwól, że skończę moją teorię; wtedy będziesz mógł gadać, ile zechcesz. Jak już mówiłem, byliście samotni tam w górze, toteż przylecieliście, aby obejrzeć nasze miasta i nasze kobiety, a my chętnie was powitaliśmy, bo jesteście naszymi braćmi, zwykłymi ludźmi, tak jak my wszyscy. No a przy okazji, Roscoe, na waszej inwazji można trochę zarobić. Na przykład ten film, który pragnę

nakręcić, powinien spokojnie zgarnąć miliard dolarów. Za tydzień wypuszczamy na rynek specjalną marsjańską lalkę, trzydzieści dolców sztuka. To prawdziwa kopalnia złota. Mam też kontrakt na marsjańską grę po piątku. Trzeba działać z rozmachem.

– Rozumiem – rzekł Etil, lekko się cofając.

– Otwiera się przed nami cały nowy rynek. Pomyśl o tych wszystkich depilatorach, gumach do żucia i pastach do butów, które możemy wam sprzedać!

– Chwileczkę. Jeszcze jedno pytanie.

– Wal.

– Jak masz na imię? Co oznaczają inicjały R.R.?

– Richarda Roberta.

– Czy może czasami, przy jakichś okazjach, nie nazywają cię Rick?

– Jak zgadłeś, Mac? Rick, jasne.

Etil westchnął i wybuchnął śmiechem. Wyciągnął rękę.

– Więc ty jesteś Rick? Rick! Ty jesteś Rick!

– Co w tym śmiesznego, mój chłopcze? Powiedz tatusiowi.

– Nie zrozumiałbyś, to taki nasz dowcip. Cha, cha! – Łzy ściekały po jego policzkach i wpływały do otwartych ust. Raz po raz tłukł pięścią w stół. – Więc ty jesteś Rick! Cóż za zabawna niespodzianka! Ani śladu muskułów, wydatnej szczęki, broni; tylko wypchany portfel, pierścień ze szmaragdem i wielgachny brzuch.

– Hej, uważaj, co mówisz! Może nie jestem Apollem, ale...

– Dawaj grabę, Rick. Bardzo chciałem cię poznać. Ty jesteś człowiekiem, który podbija Marsa za pomocą mieszadełek do koktajli, wkładek korekcyjnych, żetonów do pokera, pejczy, skórzanych butów, czapek w kratkę i drinków rumowych.

– Jestem tylko zwykłym biznesmenem. – Van Plank z udawaną skromnością spuścił wzrok. – Robię, co do mnie należy, i wykrawam dla siebie drobną część zysków. Ale jak już mówiłem, Mort, zastanawiałem się nad rynkami Marsa. Można tam sprzedawać gry dla dzieciaków, komiksy z Dickiem Tracy – wszystko jest dla was nowe. Planeta, która nigdy nie słyszała

o kreskówkach, prawda? Prawda! Zrzućmy na głowy Marsjan całą kupę towarów. Będą się o nie bili, mój mały, bili! Kto by nie walczył o perfumy, sukienki z Paryża i stroje robocze? A także ładne nowe buty...

– My nie nosimy butów.

– Co my tu mamy? – R.R. spojrział w sufit. – Planetę pełną obdartusów? Joe, posłuchaj, załatwimy to. Zawstydzimy wszystkich tak, że zaczną je nosić. Potem sprzedamy im pastę.

– Ach tak.

Mężczyzna klepnął Etila w ramię.

– To co, umowa stoi? Zostaniesz asystentem reżysera mojego filmu? Z początku dostaniesz dwie stówy tygodniowo, potem dojdiesz do pięciu. Co ty na to?

– Niedobrze mi – odparł Etil. Wypił manhattana i właśnie zaczął sinieć.

– Cholera, przepraszam, nie wiedziałem, że ci zaszkodzi. Wyjdźmy na powietrze.

Na dworze Etil poczuł się lepiej.

– A zatem dlatego Ziemia nas przyjęła?

– To jasne, synu. Ziemianie pójda na każdy układ, byle tylko zarobić parę groszy. Klient zawsze ma rację. Bez urazy. Oto moja wizytówka. Bądź jutro w studio w Hollywood o dziewiątej. Zaprowadzą cię do twojego biura. Ja przyjadę o jedenastej; wtedy się spotkamy. Pamiętaj, żeby być w pracy na dziewiątą. To święta zasada.

– Czemu?

– Gallagher, dziwak z ciebie, ale i tak cię Kocham. Dobranoc. Powodzenia w inwazji.

Samochód odjechał.

Etil popatrzył za nim pełnym niedowierzania spojrzeniem. Potem rozcierając dłonią czoło, powoli ruszył ulicą w stronę portu raketowego.

– I co teraz? – spytał głośno samego siebie.

Milczące rakiety leżały na ziemi, połyskując w promieniach księżycy. Z miasta dobiegały dalekie odgłosy zabaw. W obozie szpitalnym lekarze zajmowali się ostrym przypadkiem złamania

nerwowego: młodym Marsjaninem, który, sądząc z jego krzyków, widział zbyt dużo, wypił zbyt dużo, słyszał za wiele piosenek dobiegających z czerwono-żółtych skrzynek w barach i musiał uciekać wokół stołów przed potężną, słoniową kobietą. Cały czas mamrotał pod nosem:

– Duszę się... zgnieciony, uwięziony.

Szlochycy ucichły. Etil wynurzył się z cienia i ruszył szeroką aleją ku statkom. Już z daleka widział wartowników pogrążonych w pijackim śnie. Nasłuchiwał: z ogromnego miasta dobiegały słabe odgłosy samochodów, muzyki i syren. Wyobraził też sobie inne dźwięki: podstępny szum mieszarek przygotowujących słoń, który ma utuczyć wojowników, rozłeniwić ich, osłabić im pamięć; narkotyczne głosy kinowych komór, wabiące Marsjan i sprawiające, że pogrążali się szybko we śnie, w którym pozostaną przez całe życie niczym lunatycy.

Ilu Marsjan umrze za rok na marskość wątroby, niewydolność nerek, nadciśnienie, popełniając samobójstwa?

Stanął pośrodku pustej drogi. Dwie przecznice dalej dostrzegł pędzący w jego stronę samochód.

Miał wybór. Mógł zostać tutaj, przyjąć posadę w studiu, zgłaszać się co rano jako doradca na planie filmowym i z czasem zacząć zgadzać się z producentem, że istotnie, na Marsie dochodziło do masakr; tak, ich kobiety to wysokie blondynki; owszem, odbywano tańce plemienne i składano ofiary; tak, tak, tak. Albo mógł podejść do rakiety i samotnie wrócić na Marsa.

– Ale co będzie za rok? – spytał.

Nocny klub Niebieski Kanał, filia na Marsie. Starożytne Miasto, kasyno wybudowane wewnątrz, tak, wewnątrz prawdziwego marsjańskiego starożytnego miasta! Neony, kupony wyścigowe walające się w starych ruinach, pikniki na grobach przodków – i więcej, znacznie więcej...

Ale jeszcze nie teraz. Już za kilka dni może być w domu. Tylla będzie czekała z synem i spędzą razem kilka ostatnich lat spokojnego życia. Będzie siedział z żoną na wietrznym brzegu kanału, czytając pocziwe książki, sącząc lekkie, zacne wina, rozmawiając i wykorzystując krótki czas, jaki pozostał im do

chwili, gdy z nieba spadnie szaleństwo neonów.

A potem mogliby z Tyllą przenieść się w Błękitne Góry i żyć w ukryciu jeszcze rok czy dwa, póki nie zjawią się turyści unoszący aparaty fotograficzne i powtarzający: „Jak tu spokojnie!”.

Wiedział dokładnie, co powie Tylli.

– Wojna jest straszna, lecz pokój może być prawdziwym koszmarem.

Stał pośrodku szerokiej drogi.

Odwróciwszy się, bez zdziwienia ujrzał pędzący ku niemu samochód pełen wrzeszczących dzieciaków. Chłopcy i dziewczęta, żadne z nich nie starsze niż szesnaście lat, prowadzili kabriolet zygzakiem po szerokiej alei. Zobaczył, jak pokazują go palcami, wrzeszcząc. Usłyszał głośny ryk silnika. Samochód pędził z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę.

Etil zaczął biec.

Tak, tak, pomyślał ze znużeniem, gdy samochód niemal go już doścignął, jakież to dziwne, jakie smutne. Brzmi zupełnie jak... betoniarka.

## MARIONETKI S.A.

Dochodziła dziesiąta wieczór, gdy nieśpiesznie wyszli na ulicę, cicho rozmawiając. Obaj mieli około trzydziestu pięciu lat; obaj byli trzeźwi.

- Ale czemu tak wcześniej? - spytał Smith.

- Temu - odparł Braling.

- Pierwszy raz od lat udało ci się urwać wieczorem i wracasz do domu o dziesiątej?

- To pewnie nerwy.

- Zastanawiam się, jak to wytrzymujesz. Od dziesięciu lat usiłuję cię wyciągnąć na spokojnego drinka, a teraz, kiedy w końcu się udało, uparłeś się wcześniej wracać.

- Nie mogę przeciągać struny.

- Co zrobiłeś? Wsypałeś żonie do kawy środek nasenny?

- Nie, to by było nieetyczne. Wkrótce sam się przekonasz.

Skręcili za róg.

- Szczerze mówiąc, Braling, masz do niej niezwykłą cierpliwość. Wiem, choć zaprzeczasz, że małżeństwo od początku ci się nie układało.

- Tego bym nie powiedział.

- Wśród znajomych krążą pogłoski o tym, jak cię wrobiła. Wtedy, w siedemdziesiątym dziewiątym, kiedy wybierałeś się do Rio...

- Cudowne Rio. Nic nie wyszło z moich planów.

- Podarła na sobie ubranie, potargała włosy i zagroziła, że jeśli się z nią nie ożenisz, wezwie policję.

- Zrozum, Smith, zawsze była nerwowa.

- To więcej niż niesprawiedliwe. Nie kochałeś jej. Powiedziałeś jej to zresztą otwarcie, prawda?

- O ile pamiętam, byłem w tej kwestii dość stanowczy.

- Ale i tak się z nią ożeniłeś.

- Musiałem myśleć o karierze, a także o moich rodzicach. Coś

takiego by ich zabiło.

– I minęło już dziesięć lat.

– Owszem. – Szare oczy Bralinga nie zmieniły wyrazu. – Teraz jednak wszystko się zmieni. Wygląda na to, że moje marzenia w końcu się spełnią. Spójrz.

Wyciągnął z kieszeni długi błękitny bilet.

– Ależ to bilet do Rio na czwartkową raketę!

– Tak. W końcu się tam wybieram.

– To cudownie! Zasługujesz na tę wycieczkę. Ale czy ona nie będzie protestować? Nie narobi zamieszania?

Braling uśmiechnął się nerwowo.

– Nie zorientuje się, że wyjechałem. Wrócę za miesiąc i nikt nie będzie o niczym wiedział. Oprócz ciebie.

Smith westchnął.

– Chciałbym pojechać z tobą.

– Biedny Smith. Twoje małżeństwo także okazało się nieudane.

– Niezupełnie. Problem w tym, że moja żona przesadza. No wiesz, po dziesięciu latach nie oczekuje się raczej, że kobieta będzie co wieczór dwie godziny siedziała ci na kolanach, dzwoniła do pracy dziesięć razy dziennie i szczebiotała jak słodka dziewczynka. Mam wrażenie, że od miesiąca jeszcze jej się pogorszyło. Zastanawiam się, czy nie jest może nieco ograniczona umysłowo.

– Och, Smith, jak zawsze konserwatywny. No, jesteśmy. I co? Chciałbyś poznać mój sekret? Dowiedzieć się, jak się zdołałem wymknąć dziś wieczór?

– Naprawdę mi powiesz?

– Spójrz tam.

Obaj unieśli głowy, przenikając wzrokiem ciemność.

W oknie na piętrze podniesiono roletę. Liczący sobie około trzydziestu pięciu lat mężczyzna o skroniach muśniętych siwizną, smutnych szarych oczach i małym, cienkim wąsiku spojrział na nich z góry.

– Ależ to ty!

– Ciii, nie tak głośno. – Braling pomachał ręką.

Mężczyzna w oknie odpowiedział tym samym i zniknął.



– Chyba oszalałem – rzekł Smith.

– Zaczekaj jeszcze chwilkę.

Drzwi mieszkania otworzyły się i wysoki, szczupły mężczyzna z wąsikami i smutnymi oczami wyszedł im na spotkanie.

– Witaj, Braling – rzekł.

– Witaj, Braling – odparł Braling.

Byli identyczni.

Smith gapił się na nich obu.

– To twój brat bliźniak? Nie wiedziałem, że...

– Nie, nie – przerwał mu Braling. – Nachył się, przytknij ucho do piersi Bralinga Dwa.

Smith zawahał się, po czym posłuchał, opierając głowę o twarde żebra.

Cyk-cyk-cyk-cyk-cyk-cyk-cyk-cyk-cyk.

– Nie, to niemożliwe!

– A jednak.

– Daj mi jeszcze posłuchać.

Cyk-cyk-cyk-cyk-cyk-cyk-cyk-cyk-cyk.

Smith odskoczył, trzepocząc powiekami. Wstrząśnięty wyciągnął rękę i dotknął ciepłych dłoni i policzków istoty.

– Skąd go wzięłeś?

– Czyż to nie wspaniałe osiągnięcie?

– Niewiarygodne. Skąd?

– Bralingu Dwa, daj mu wizytówkę.

Braling Dwa z godną magika zręcznością wydobył biały bilet wizytowy.

Marionetki S.A.

Zduplikuj siebie bądź przyjaciół; nowe modele plastikowych humanoidów; gwarantowane i niezniszczalne, od 7600 dolarów do 15000 za model de luxe.

– Nie! – rzekł Smith.

– Tak – odpowiedział Braling.

– Naturalnie – dodał Braling Dwa.

– Jak długo to trwa?

– Mam go od miesiąca. Trzymam go w piwnicy, w skrzyni z narzędziami. Moja żona nigdy tam nie schodzi, a jedyny klucz do skrzyni stale noszę przy sobie. Dziś oznajmiłem, że chcę się przejść, kupić cygaro. Zszedłem do piwnicy, wyjąłem Bralinga Dwa ze skrzyni i posłałem go na górę, aby posiedział z żoną, podczas gdy ja spotkam się z tobą.

– Cudownie! Nawet pachnie jak ty: Bond Street i Melachrinos!

– Może to sofistyka, ale uważam, że postępuję zgodnie z etyką. Ostatecznie moja żona najbardziej na świecie pragnie mnie. Ta marionetka jest mną do najdrobniejszego szczegółu. Cały wieczór siedziałem w domu. Będę z nią przez następny miesiąc. Tymczasem inny dżentelmen wybierze się do Rio po dziesięciu latach oczekiwania. Kiedy wrócę, Braling Dwa trafi z powrotem do skrzyni.

Smith parę minut przetrwał słowa przyjaciela.

– Czy starczy mu mocy na cały miesiąc? – spytał w końcu.

– Jeśli trzeba, to i na pół roku. Został skonstruowany tak, by robić wszystko: jeść, spać, pocić się, jak każe natura. Zaopiekujesz się moją żoną, prawda, Bralingu Dwa?

– Twoja żona jest dość miła – odparł Braling Dwa. – Nawet ją polubiłem.

Smith zaczął drzeć.

– Od jak dawna działa ta firma Marionetki S.A.?

– W tajemnicy od dwóch lat.

– Czy mógłbym... to znaczy czy istnieje możliwość... – Smith złapał przyjaciela za łokieć. – Czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie mogę zdobyć takiego robota, marionetkę? Podasz mi adres?

– Bardzo proszę.

Smith wziął wizytówkę i zaczął obracać ją w palcach.

– Dziękuję – rzekł. – Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Chwila oddechu, noc czy dwie w miesiącu. Moja żona tak bardzo mnie kocha, że nie potrafi znieść nawet godzinnego rozstania. Oczywiście ja też ją kocham, ale pamiętasz ten stary wierszyk: „W zbyt lekkich objęciach miłość szybko minie, zbyt ciasno trzymana, jeszcze szybciej ginie”. Chcę tylko, by nieco rozluźniła uchwyt.

– I tak masz szczęście, że żona cię kocha. Mój problem to nienawiść. Niełatwo sobie z nią poradzić.

– Och, Nettie za mną szaleje. Wolałbym jednak, aby z nieco mniejszym zapalem okazywała mi uczucie.

– Powodzenia, Smith. Wpadnij z wizytą, kiedy będę w Rio. Moja żona uznałaby to za dziwne, gdybyś przestał się odzywać. Masz traktować Bralinga Dwa jakby był mną.

– Jasne. Do widzenia. I dziękuję.

Smith ruszył z uśmiechem ulicą.

Braling i Braling Dwa odwrócili się i weszli do przedsionka.

Stojąc na przystanku autobusowym, Smith cicho pogwizdywał, obracając w palcach białą wizytówkę.

Klienci muszą zobowiązać się do zachowania sekretu, choć bowiem w Kongresie złożono projekt ustawy legalizującej Marionetki S.A., na razie używanie ich traktowane jest jako oszustwo.

– No, no – mruknął Smith.

Konieczne jest sporządzenie odlewu ciała klienta i sprawdzenie w barwnym rejestrze koloru jego oczu, warg, włosów, skóry i tak dalej. Okres oczekiwania na gotowy model wynosi dwa miesiące.

Nie tak długo, pomyślał Smith. Przez dwa miesiące moje żebra będą mogły odpocząć od stałych miażdżących uścisków. Przez dwa miesiące moja nieustannie gładzona dłoń będzie mogła się wygoić. Przez dwa miesiące pozbędę się opuchlizny z warg. Nie chciałbym wyjść na niewdzięcznika, ale... Spojrzał na drugą stronę wizytówki.

Marionetki S.A. działają od dwóch lat. W tym czasie zyskały wielu zadowolonych klientów. Nasze motto brzmi: „Nie pociągamy za żadne sznurki”. Adres: South Wesley Drive 43.

Autobus zajechał na jego przystanek; Smith wysiadł i nucąc pod nosem, wbiegł po schodach, myśląc: Mamy z Nettie na wspólnym koncie piętnaście tysięcy. Podejmę po cichu osiem, powiem, że to z powodu interesów. Marionetka najpewniej z nawiązką zwróci mi tę sumę. Nettie nie musi o niczym wiedzieć. Otworzył drzwi i po minucie znalazł się w sypialni. Nettie leżała w łóżku: wielkie białe ciało pogrążone w słodkim śnie.

– Moja droga Nettie. – Na widok jej niewinnej twarzy jaśniejącej w półmroku poczuł gwałtowne wyrzuty sumienia. – Gdybyś nie spała, zasypałabyś mnie pocałunkami, szczebiocąc do ucha. Naprawdę, czuję się jak przestępca. Jesteś taką dobrą, kochającą żoną. Czasami trudno mi uwierzyć, że wybrałaś mnie, nie Buda Chapmana, który kiedyś ci się podobał. Mam wrażenie, że przez ostatni miesiąc kochałaś mnie mocniej niż kiedykolwiek.

Łzy napłynęły mu do oczu. Nagle zapragnął ją pocałować, wyznać miłość, podrzeć wizytówkę i zapomnieć o wszystkim. Kiedy jednak postąpił krok naprzód, ręka zapiekła go, a żebra zatrzeszczały. Z bólem w oczach przystanął. Szybkimi krokami pokonał korytarz i przemierzył ciemne pokoje. Nucąc, otworzył stojące w bibliotece biurko w kształcie nerki i wyciągnął książeczkę czekową.

– Tylko osiem tysięcy dolarów – rzekł. – Ani centa więcej.

Nagle zamarł.

– Chwileczkę! – Gorączkowo sprawdził zapisy. – Co się dzieje? Brakuje dziesięciu tysięcy dolarów! – Skoczył na równe nogi. – Zostało tylko pięć tysięcy! Co Nettie zrobiła z pieniędzmi? Wydała na stroje, kapelusze, perfumy? Nie, już wiem! Kupiła ten domek nad Hudsonem, o którym gadała od miesiący. I nawet nie spytała mnie o zdanie!

Kipiąc z oburzenia, wpadł do sypialni. Co ona sobie myślała, beztrudno wydając ich wspólne pieniądze? Schylił się nad nią.

– Nettie! – krzyknął. – Nettie, obudź się!

Nawet nie drgnęła.

– Co zrobiłaś z moimi pieniędzmi?! – ryknął.

Leżąc się poruszyła. Światło z ulicy zatańczyło na jej pięknych policzkach.

Coś z nią było nie tak. Serce Smitha gwałtownie zabiło. Zaschło mu w ustach, zadrżał. Nagle kolana się pod nim ugięły.

– Nettie, Nettie! – krzyknął. – Co zrobiłaś z moimi pieniędzmi?!

Zamiast samotności i grozy poczuł wściekłość i zawód. Chcąc nie chcąc bowiem, nachylał się nad nią coraz niżej, póki jego rozgorączkowane ucho nie spoczęło nieodwołalnie na krągłej różowej piersi.

– Nettie! – krzyknął.

Cyk-cyk-cyk-cyk-cyk-cyk-cyk-cyk-cyk-cyk-cyk.

\* \* \*

Kiedy Smith odszedł w noc, Braling i Braling Dwa zamknęli za sobą drzwi mieszkania.

– Cieszę się, że on też będzie szczęśliwy – rzekł Braling.

– Tak – odparł z roztargnieniem Braling Dwa.

– No cóż, B-Dwa, wracasz do skrzyni w piwnicy.

Braling ujął swojego sobowtóra za łokieć i poprowadził go schodami w dół.

– O tym właśnie chciałem z tobą pomówić – oznajmił Braling Dwa. – O piwnicy. Nie lubię jej. Nie podoba mi się ta skrzynia.

– Spróbuję wyszykować ci coś innego.

– Marionetki mają się ruszać, a nie tkwić w miejscu. Co byś powiedział, gdybyś przez większość czasu musiał leżeć w skrzyni?

– No cóż...

– Nie spodobałoby ci się to. Ja wciąż działam. Nie da się mnie wyłączyć. Jestem żywą istotą, mam uczucia.

– Jeszcze tylko kilka dni. Wkrótce wyjadę do Rio, a ty nie będziesz musiał tkwić w skrzyni. Zamieszkasz na górze.

Braling Dwa z irytacją machnął ręką.

– A kiedy wrócisz z wakacji, ja znów powędruję do skrzyni.

– W sklepie z marionetkami nie uprzedzali mnie, że dostanę trudny egzemplarz – rzekł Braling.

– Wciąż niewiele o nas wiesz. Jeszcze jesteśmy nowi. I mamy uczucia. Okropnie drażni mnie myśl, że wyjedziesz sobie i będziesz się prażył w słońcu w Rio, a nas zostawisz na lodzie.

– Ależ ja całe życie marzyłem o tej wycieczce – powiedział cicho Braling.

Zmrużył oczy i ujrzał morze, góry i żółte plaże. Szum fal działał kojąco. Słońce pieściło obnażone ramiona, wino także wspaniale smakowało.

– Ja nigdy nie pojedę do Rio – oznajmił jego towarzysz. – Pomyślałeś o tym?

– Nie, ja...

– I jeszcze jedno. Twoja żona.

– Co z nią? – Braling zaczął powoli cofać się w stronę drzwi.

– Bardzo ją polubiłem.

– Cieszę się, że podoba ci się twoja praca. – Braling nerwowo obliznął wargi.

– Ty chyba nie rozumiesz. Myślę, że się w niej zakochałem.

Braling postąpił kolejny krok i zamarł.

– Co takiego?

– I myślałem sobie – ciągnął Braling Dwa – jak pięknie jest teraz w Rio i że ja nigdy tego nie zobaczę. Myślałem też o twojej żonie i... sądzę, że moglibyśmy być bardzo szczęśliwi.

– T-to miło. – Braling od niechcenia znów ruszył w stronę drzwi od piwnicy. – Zechcesz chwileczkę zaczekać? Muszę zadzwonić.

– Do kogo? – Braling Dwa zmarszczył brwi.

– Do nikogo ważnego.

– Do Marionetek S.A.? Powiedzieć, żeby mnie zabrali?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. – Próbował pobiec do drzwi.

Twarde jak metal palce zacisnęły się na jego ręce.

– Nie uciekaj.

– Puszczaj!

– Nie.

– Moja żona cię do tego namówiła?

– Nie.

– Domyśliła się? Rozmawiała z tobą? Czy ona wie? O to chodzi?! – zaczął krzyczeć. Jego usta natychmiast zasłoniła ręka.

– Nigdy się nie dowiesz. – Braling Dwa lekko się uśmiechnął. – Nigdy.

Braling wciąż walczył.

- Musiała zgadnąć! Musiała na ciebie wpłynąć!
- Zamierzam wsadzić cię do skrzyni, zamknąć ją i wyrzucić klucz – oznajmił Braling Dwa. – Później kupię jeszcze jeden bilet do Rio dla twojej żony.
- Zaraz, zaraz, zaczekaj chwilę. Nie działaj pochopnie. Porozmawiajmy.
- Żegnaj, Braling.
- Braling zeszywniał.
- Co to znaczy „żegnaj”?

\* \* \*

W dziesięć minut później pani Braling obudziła się i dotknęła dłonią policzka. Ktoś właśnie ją pocałował. Zadrżała, unosząc wzrok.

- Ależ... nie robiłeś tego od lat – mruknęła.
- Spróbujemy coś na to poradzić – odparł ktoś.

## MIASTO

Miasto czekało dwadzieścia tysięcy lat.

Planeta wędrowała w przestrzeni, kwiaty na polach rozkwitały i więdły, a miasto wciąż czekało. Rzeki planety wezbrały, opadły i zamieniły się w pył. Miasto czekało. Wiatry, niegdyś młode i szalone, uspokoiły się i ucichły, chmury na niebie, dawniej rozdierane na strzępy, obecnie szybowwały leniwie, białe, nietknięte. Miasto czekało.

Wraz z miastem czekały okna, czarne obsydianowe ściany, wysokie wieże, pozbawione proporców iglice, puste ulice i nietknięte klamki. Żaden strzępek papieru ani odcisk palca nie kaził jego idealnej czystości. Miasto czekało, a planeta krążyła w kosmosie, posłuszna swej orbicie wokół błękitno-białego słońca. Pory roku przemijały, lód zastępował ogień, ogień lód, pola zieleńły się, łąki żółkły.

Pewnego letniego popołudnia roku dwudziestotysięcznego czekanie dobiegło końca.

Na niebie pojawiła się rakietka.

Przemknęła nad miastem, skręciła, zawróciła i wylądowała na łupkowej łące pięćdziesiąt metrów od muru z obsydianu.

Na trawie zadźwięczały ciężkie kroki, w powietrzu rozeszły się ludzkie głosy dochodzące z wnętrza rakiety i z zewnątrz.

– Gotowi?

– W porządku, ludzie. Ostrożnie. Idziemy do miasta. Jensen, ty i Hutchinson pójdziecie naprzód. Miejcie oko na wszystko.

Miasto otwarło sekretne nozdrza w czarnych murach. Ssawki ukryte głęboko w ciele miasta wciągały w siebie powietrzne burze poprzez tunele, gęste filtry, kolektory pyłu, aż do misternych drżących zwojów i sieci, połyskujących srebrzystym blaskiem. Raz po raz potężne miechy wciągały kolejne porcje powietrza i znów zapachy łąki owiewały ciepłym wiatrem wnętrza miasta.



„Woń ognia, zapach meteorytu, rozgrzany metal. Statek przybył z innej planety. Zapach mosiądzu, ciężka woń spalonego prochu, siarki i raketowej smoły”.

Te informacje zapisano na taśmach, które wskoczyły w odpowiednie szczeliny; żółte trybiki przeniosły je do następnych maszyn.

Klik-klik-czak-czak.

Kalkulator ożył z odgłosem metronomu. Pięciu, sześciu, siedmiu, ośmiu, dziewięciu. Dziewięciu ludzi! Maszyna pisząca błyskawicznie wydrukowała wiadomość na taśmie, która przesunęła się i zniknęła.

Klik-klik-czak-czak.

Miasto czekało na ciche kroki gumowych butów.

Wielkie nozdrza ponownie się rozszerzyły.

Zapach masła. Przybysze nieśli ze sobą wonie, które rozeszły się w powietrzu miasta i dotarły do olbrzymiego Nosa, gdzie zostały rozdzielone na wspomnienia mleka, sera, lodów, masła, wyziewów przemysłu mleczarskiego.

Klik-klik.

- Ostrożnie, ludzie.
- Jones, wyciągnij broń. Nie bądź głupi.
- Po co? Miasto jest martwe.
- Nie mamy pewności.

Na dźwięk wywrzaskiwanych rozkazów ocknęły się Uszy. Po wiekach słuchania wiatrów przemykających zwiewnie po mieście, opadających z drzew liści i trawy rosnącej cicho w porze topnienia śniegów Uszy automatycznie naoliwiły się i napięły – wielkie bębny, na których bicie serc najeźdźców odbijało się miarowym echem, delikatnym niczym szelest skrzydeł gza. Uszy słuchały, a Nos wciągał kolejne potężne porcje zapachów.

Wystraszeni mężczyźni zaczęli się pocić; pod ich pachami zbierały się stawy wilgoci, dłonie dzierzące broń spływały potem.

Nos mieszał i przesiewał powietrze niczym konieser napawający się wonią starego wina.

Czik-czik-klak-klik.

Informacje spływały, wirując na równoległych taśmach. Pot – chlorki: tyle i tyle procent; siarczany: tyle i tyle; mocznik, amoniak – tutaj; kreatynina, cukier, kwas mlekowy – tam!

Odezwały się dzwonki i wyskoczyły kolejne wyniki.

Nos z szumem wypuścił sprawdzane powietrze. Wielkie Uszy nasłuchiwały.

– Myślę, że powinniśmy wracać do rakiety, kapitanie.

– Ja tu wydaję rozkazy, panie Smith.

– Tak jest.

– Hej tam! Patrol! Widzicie coś?

– Nic, kapitanie. Wygląda na to, że miasto od dawna jest wymarłe.

– Słyszysz, Smith? Nie ma się czego bać.

– To mi się nie podoba. Nie wiem dlaczego. Miał pan kiedyś wrażenie, że widział już jakieś miejsce? To miasto wydaje mi się aż nazbyt znajome.

– Bzdura. Ten układ planetarny dzielą od Ziemi miliardy mil. Z pewnością nie odwiedzaliśmy go wcześniej. Tylko nasza rakieta ma zasięg liczony w latach świetlnych.

– Nadal mi się tu nie podoba, kapitanie. Uważam, że powinniśmy stąd odejść.

Kroki ucichły. W nieruchomym powietrzu słuchać było tylko szmer oddechu intruza.

Ucho nasłuchiwało ze zdwojoną siłą. Wirniki wirowały, płyny połyskiwały, spływając małymi strużkami poprzez dysze i zawory. Wzór i mikstura – najpierw jedno, potem drugie. Chwilę później w odpowiedzi na wezwanie Nosa i Ucha z olbrzymich otworów w murach miasta uleciały obłoki świeżej pary, owiewając najeźdźców.

– Czujesz to, Smith? Ach, zielona trawa! Wąchałeś kiedyś milszy zapach? Na Boga, mógłbym tak stać i wąchać godzinami.

Strumienie niewidocznego chlorofilu omiały stojących mężczyzn.

– Ach!

Kroki zabrzmiały z nową siłą.

– Mocna rzecz, prawda, Smith? Chodź.

Napięcie Ucha i Nosa zmałało o jedną miliardową. Kontrposunięcie powiodło się. Pionki szły naprzód zgodnie z planem.

\* \* \*

Teraz z mgły i oparów wyłoniły się chmurne Oczy miasta.

- Kapitanie, okna!
- Co z nimi?
- Okna tamtego domu! Widziałem, jak się poruszyły!
- Nic nie widzę.
- Rozjaśniły się. Zmieniły kolor z ciemnego na jasny.
- Według mnie wyglądają zupełnie zwyczajnie.

Zamazane obrazy nabrały ostrości. W mechanicznych wąwozach miasta naoliwione przekładnie poruszyły się, koła zamachowe opadły w zbiorniki zielonego oleju. Ramy okienne drgnęły. Okna zabłysły.

Ulicą w dole maszerowało dwóch przybyszów: patrol. Za nimi w bezpiecznej odległości kolejnych siedmiu. Mundury mieli białe, twarze różowe, jakby ktoś wymierzył im właśnie policzek, oczy niebieskie. Szli wyprostowani na tylnych nogach, niosąc przed sobą metalową broń. Ich stopy okrywały buty. Byli samcami, mieli oczy, uczy, usta, nosy.

Okna zadrżały. Zwężyły się i poszerzyły niepostrzeżenie niczym źrenice niezliczonych oczu.

- Mówię panu, kapitanie, to okna!
- Ruszaj!
- Wracam, kapitanie!
- Co takiego?
- Wracam do rakiety.
- Panie Smith!
- Nie dam się złapać w pułapkę.
- Boisz się pustego miasta?

Pozostali zaśmiali się z zakłopotaniem.

- No dalej, drwijcie ze mnie!

Ulica wyłożona była kamieniami, każdy długi na sześć cali, szeroki na trzy. Niedostrzegalnym ruchem opadła w dół, ważąc

intruzów.

W maszynowej piwnicy czerwona różdżka dotknęła kolejnych liczb: 178 funtów... 210, 154, 201, 198. Dane o wadze każdego z mężczyzn zostały zarejestrowane i pomknęły w mechaniczną ciemność.

Miasto w pełni ocknęło się ze snu!

Otwory wentylacyjne wciągały i wydychały powietrze: zapach tytoniu z ust najeźdźców, woń zielonego mydła z ich dłoni; nawet ich gałki oczne leciutko pachniały. Miasto wyczuło ów zapach i informacja ta, ujęta w liczby, pomknęła w dół, by połączyć się z innymi. Kryształowe okna lśniły, Ucho coraz mocniej napinało swój bęben – wszystkie zmysły miasta roily się niczym płatki niewidzialnego śniegu, obliczając ilość potu i ukryte słabe uderzenia serc mężczyzn, nasłuchując, obserwując, kosztując.

Ulice bowiem były niczym języki – po każdym kroku smak obcasów mężczyzn spływał kamiennymi porami, by zostać poddany analizie papierka lakmusowego. Te subtelnie zgromadzone dane chemiczne dodawano do rosnących zasobów wiedzy, czekających na ostateczne obliczenia pośród wirujących kół i szemrzających szprych.

Kroki. Bieg.

– Smith! Wracaj!

– Nie, do diabła!

– Łapcie go!

Głośny tupot.

Pora na ostatnią próbę. Miasto, po wysłuchaniu, obejrzeniu, skosztowaniu, poczuciu, zważeniu i zrównoważeniu, musi wykonać ostatnie zadanie.

Na ulicy znienacka rozwarła się pułapka. Niepostrzeżenie dla pozostałych biegnący z tyłu kapitan zniknął.

Zawieszony za stopy, czując ostrze przecinające gardło i kolejne otwierające pierś, kapitan umarł, pozbawiony wnętrzości, obnażony na stole w celi ukrytej pod ulicą. Wielkie kryształowe mikroskopy wpatrywały się w czerwone zwoje mięśni; bezcielesne palce obmacywały wciąż bijące serce. Odcięte fałdy

skóry zostały przyszpilone do blatu i manipulatory zaczęły przestawiać części ciała niczym ciekawski szachista przesuwający czerwone pionki i figury.

W górze ulicą biegli ludzie. Smith biegł, tamci krzyczeli. Smith krzyczał, a niżej w niezwykłym pomieszczeniu krew spływała do kapsulek, była poddawana wstrząsom, odwirowywana, rozsmarowywana na szkiełkach wsuwanych pod kolejne mikroskopy. Maszyny dokonywały obliczeń, mierzyły temperaturę, rozcinały serce na siedemnaście przekrojów, fachowo rozkrawały na płaty wątrobę i nerki, wybierały z czaszki przewiercony mózg, wyciągały z ciała nerwy niczym przepalone druty z tablicy rozdzielczej, badały elastyczność mięśni, a w elektrycznych podziemiach miasta umysł dodawał kolejne wyniki, aż w końcu osiągnął ostateczną sumę i cała maszyneria zamarła w potwornej ciszy.

Suma.

To są ludzie. Ludzie z odległego świata, z pewnej planety, wyposażeni w pewien typ oczu i uszu, chodzący na nogach w szczególny sposób, noszący ze sobą broń, myślący i walczący. Mają określone serca i wszystkie narządy odpowiadające pradawnym zapisom.

W górze mężczyźni biegli ku rakiecie.

Smith biegł.

Suma.

To nasi wrogowie. To ci, na których powrót czekamy dwadzieścia tysięcy lat. Oto ludzie, na których mamy się zemścić. Wszystko się sumuje. To ludzie z planety zwanej Ziemią, którzy dwadzieścia tysięcy lat temu wypowiedzieli Taollanom wojnę, zniewolili nas, zrujnowali i wyniszczyli potworną epidemią. A potem przenieśli się do innej galaktyki, aby umknąć chorobie, która doszczętnie splądrowała nasz świat. Zapomnieli już o tamtej wojnie i o tamtych czasach, zapomnieli o nas, ale my wciąż pamiętamy. Oto nasi wrogowie. To pewne. Nasze czekanie dobiegło końca.

– Smith, wracaj!

Szybko. Wokół czerwonego stołu, na którym leżało rozciągnięte

puste ciało kapitana, zakrzętnęły się nowe mechaniczne ręce. W wilgotnym wnętrzu umieszczono narządy z miedzi, mosiądzu, srebra, aluminium, gumy i jedwabiu; pająki snuły złote sieci wkłuwane pod skórę; dołożono też serce, a w czaszce zamontowano platynowy mózg, w którym z cichym pomrukiem przeskakiwały błękitne iskierki. Z mózgu poprowadzono przez całe ciało do rąk i nóg druty. Po chwili rany mocno zeszyto, nacięcia wywoskowano, szramy na szyi, gardle i czaszce zagojono. Idealne, świeże, nowe ciało.

Kapitan usiadł i wyciągnął ręce.

– Stój!

Nagle pojawił się na ulicy, podniósł pistolet i wystrzelił.

Smith runął na ziemię z kulą w sercu.

Pozostali mężczyźni gwałtownie się odwrócili.

Kapitan podbiegł do nich.

– Co za głupiec! Żeby bać się miasta!

Spojrzeli na leżące u ich stóp ciało Smitha.

Potem unieśli wzrok na kapitana, ich oczy rozszerzyły się i zwężyły.

– Posłuchajcie mnie – rzekł kapitan. – Mam wam coś ważnego do powiedzenia.

Teraz miasto, które wcześniej zważyło ich, skosztowało, obwąchało, korzystając ze wszystkich swych zdolności prócz jednej, miało użyć ostatniej mocy: zdolności mowy. Nie przemawiało z gniewem i wrogością potężnych murów i wież, z siłą brukowanych ulic i maszynowych fortec. Odezwało się cichym głosem jednego mężczyzny.

– Nie jestem już waszym kapitanem – rzekł. – Ani człowiekiem.

Jego towarzysze nieco się cofnęli.

– Jestem miastem – oznajmił i uśmiechnął się. – Od dwustu stuleci czekam na powrót synów synów najstarszych synów.

– Kapitanie!

– Dajcie mi skończyć. Kto zbudował mnie, miasto? Lud, który już dawno umarł. Stara rasa, która tu kiedyś żyła. Lud pozostawiony przez Ziemiaków na pastwę straszliwej zarazy, odmiany trądu, na którą nie było lekarstwa. Ludzie należący do tamtej starej rasy,

marząc o dniu, kiedy Ziemianie powrócą, wzniesli to miasto, nadając mu nazwę, która brzmi Zemsta, na planecie Ciemność, nad brzegiem Morza Wieków, u stóp Gór Umarłych; wszystko to bardzo poetyczne. Miasto miało się stać maszyną testującą, papierkiem lakmusowym, anteną badającą wszystkich przyszłych kosmicznych podróżników. W ciągu dwudziestu tysięcy lat wylądowały tu zaledwie dwie rakiety. Jedna z odległej galaktyki zwanej Ennt; pasażerowie owego statku zostali zbadani, zważeni, wykluczeni i wypuszczeni nietknięci. Podobnie goście przybywający drugim statkiem. Ale dziś wreszcie wy przybyliście! Dokonamy zemsty do ostatniego szczegółu. Ten lud nie żyje od dwustu wieków, pozostawił jednak miasto, które ma was powitać.

– Kapitanie, chyba źle się pan czuje. Może powinien pan wrócić na statek.

Miasto zadrżało.

Chodniki rozwarły się i mężczyźni z krzykiem runęli do środka. Lecąc, ujrzeli wyskakujące im na spotkanie lśniące ostrza.

Czas mijał.

– Smith? – rozległ się głos.

– Jestem!

– Jones?

– Tutaj!

– Hutchinson, Springer?

– Jesteśmy!

Stali przy drzwiach rakiety.

– Natychmiast wracamy na Ziemię.

– Tak jest!

Nacięcia na ich szyjach były niewidoczne, podobnie jak ukryte mosiężne serca, srebrne narządy i misterne złociste siatki nerwów. Z ich głów dobiegał słaby elektryczny szum.

– Szybko!

Dziewięciu mężczyzn pośpiesznie wniosło do rakiety złote bomby pełne chorobotwórczych zarazków.

– Mają zostać zrzucone na Ziemię.

– Tak jest!

Właz opadł z hukiem, rakieta skoczyła w niebo.

Po chwili grzmot umilkł. Miasto leżało spokojnie pośród letnich łąk. Jego szklane Oczy zaszyły mgiełką, Ucho rozluźniło się, wielkie Nozdrza wywietrzników przestały wciągać powietrze, ulice nie ważyły już ani nie mierzyły, a ukryte maszyny zamarły w zbiornikach oleju.

Na niebie rakieta coraz bardziej malała.

Miasto rozkoszowało się luksusem śmierci.



## GODZINA ZERO

Będzie naprawdę wesoło! Co za zabawa!

Od lat nic tak ich nie poruszyło. Dzieci śmigały tam i z powrotem po zielonych trawnikach, nawołując się nawzajem, trzymając się za ręce, biegając w kółko, wspinając się na drzewa, wybuchając śmiechem. Nad ich głowami przelatywały rakiety, metalowe żuki aut, szepcząc, pomykały ulicami, ale dzieci dalej się bawiły. Co za radość, zabawa, szalona przyjemność, przepychanki i donośne okrzyki!

Mink wpadła do domu jak burza, zgrzana i umorusana. Jak na swoje siedem lat była bardzo głośna, silna i zdecydowana. Jej matka, pani Morris, patrzyła z roztargnieniem, jak córka grzechocze garnkami i sztućcami, wrzucając je do worka.

- Na Boga, Mink, co się dzieje?
- Super zabawa - wykrztusiła poróżwiała Mink.
- Stań i odetchnij głęboko - poleciła matka.
- Nie, nic mi nie jest - wydyszała dziewczynka. - Mogę to zabrać, mamó?
- Tylko ich nie powgniataj - przykazała pani Morris.
- Dziękuję, dziękuję! - zawołała Mink i hop, zniknęła z kuchni jak rakietka.

Pani Morris odprowadziła wzrokiem biegnące dziecko.

- W co właściwie się bawicie?
  - W inwazję! - zawołała Mink.
- Trzasnęły drzwi.

Na całej ulicy dzieci wносиły na podwórka noże, widelce, pogrzebaczki, stare rury od piecyków i otwieracze do konserw.

Ciekawe, że w tym zamieszaniu i krzątaniu uczestniczyły tylko młodsze dzieci. Starsze, od dziesięciu lat wzwyż, pogardliwie zadzierały nosy i z wyniosłymi minami maszerowały na własne wyprawy bądź też grały w spokojniejszą wersję chowanego.

Tymczasem rodzice przybywali i odjeżdżali chromowymi

żukami. Robotnicy naprawiali próżniowe windy w domach, dostrajali migoczące telewizory, obtłukiwali młotkami uparte dystrybutory żywności. Cywilizacja dorosłych żyła własnym życiem, przechodząc obok zajętych sobą dzieci, zazdroszcząc im ognistej energii, z rozbawieniem tolerując wybryki i w sekrecie marząc, by móc do nich dołączyć.

– To i to, i tamto – mówiła Mink, instruując grupkę maluchów trzymających w dłoniach łyżki i klucze francuskie. – Zróbcie to i przynieście tamto tutaj. Nie! Tutaj, głupku! Właśnie. A teraz cofnij się. Ja to zrobię. – Przygryzając język, z namysłem przystąpiła do pracy. – O tak. Widzicie?

– Rany! – krzyknęły dzieci.

W tym momencie podbiegł do nich dwunastoletni Joseph Connors.

– Odejdź – rzuciła natychmiast Mink.

– Też chcę się pobawić – powiedział Joseph.

– Nie możesz – ucięła Mink.

– Czemu?

– Tylko byś się wyśmiewał.

– Słowo, że nie.

– Nie. Dobrze cię znamy. Idź sobie albo cię skopiemy!

Obok przemknął inny dwunastolatek na motorowych wrotkach.

– Hej, Joe, chodź. Zostaw te maluchy.

Joseph wyraźnie nie miał ochoty.

– Chcę się pobawić – powtórzył.

– Jesteś stary – oświadczyła stanowczo Mink.

– Nie aż tak stary – rzekł rozsądnie Joe.

– Tylko byś się śmiał i zepsuł całą inwazję.

Chłopiec na motorowych wrotkach prychnął pogardliwie.

– Chodź, Joe. Niech się bawią w te swoje wróżki. Świry!

Joseph powoli odszedł, cały czas oglądając się przez ramię.

Mink znów zaczęła się krzątać. Ze zgromadzonych drobiazgów zbudowała dziwny aparat; wyznaczyła jedną z dziewczynek, by robiła notatki, i tamta natychmiast zaczęła bazgrać ołówkiem w zeszyte – powoli, z wysiłkiem. Ich głosy wznosiły się i opadały w ciepłym słońcu.

Wokół nich mrucało miasto. Wzdłuż ulic rosły szpalery zdrowych zielonych drzew. Tylko wiatr wywoływał zamieszanie w mieście, w całym kraju, na całym kontynencie. W tysiącach innych miast także były drzewa, dzieci i alejki, biznesmeni w cichych biurach, nagrywający na taśmy swe głosy albo oglądający telewizję. Rakiety wisiały w powietrzu niczym igły do cerowania na błękitnej tkaninie nieba. Na całym świecie zadufani w sobie, nawykli do pokoju ludzie bez lęku patrzyli w przyszłość, pewni, że nie czekają ich żadne przykre niespodzianki. Wszyscy mieszkańcy Ziemi tworzyli wspólny front, zjednoczone narody zgodnie zarządzały doskonałą bronią. W końcu osiągnięto piękną równowagę sił. Wśród ludzi nie było zdrajców, nikt nie czuł się nieszczęśliwy czy niezadowolony; pokój miał trwałe podstawy. Słońce oświetlało połowę globu, a drzewa drzemały w ciepłym powietrzu.

Matka Mink wyjrzała z okna na piętrze.

Dzieci. Zerknęła na nie, kręcąc głową. Cóż, wkrótce czeka je solidna kolacja i spokojny sen, a w poniedziałek pójdą do szkoły. Niech Bóg ma w opiece te małe, pełne wigoru istotki. Nadstawiła ucha.

Mink przemawiała z zapałem, zwracając się do kogoś obok krzaku róż – ale tam nikogo nie było.

Dziwne te dzieci. I ta dziewczynka, jak jej tam? Anna? Anna notowała coś na papierze. Najpierw Mink zadawała krzakowi róż pytanie, a potem odkrzykiwała Annie odpowiedź.

– Trójkąt – oznajmiła Mink.

– Co to jest trój... – spytała z trudem Annie – kąt?

– Nieważne – ucięła Mink.

– Jak to się pisze?

– T-r-ó-j... – zaczęła literować Mink, po czym warknęła: – Napisz to sama! – Natychmiast wyrecytowała następne słowo: – Wiązka.

– Jeszcze nie zapisałam trój... kąta.

– To się pośpiesz! – krzyknęła Mink.

Jej matka wychyliła się z okna.

– K-ą-t – przeliterowała.

– Och, dziękuję, pani Morris! – zawołała Anna.

– Bardzo proszę. – Matka Mink cofnęła się ze śmiechem i zaczęła odkurzać korytarz magnetycznym odkurzaczem.

W rozświetlonym powietrzu unosiły się dziecięce głosy.

– Wiązka – powtórzyła Anna.

– Cztery-dziewięć-siedem-A-i-B-i-X – oznajmiła Mink poważnym głosem. – Widelec i sznurek i sześ... sześ... sześciokąt! Podczas lunchu Mink duszkiem wypłała szklankę mleka i śmignęła do drzwi. Matka plasnęła dłonią w stół.

– Siadaj z powrotem! – poleciła. – Zaraz podam zupę.

Wcisnęła czerwony guzik pomocnika kuchennego i w dziesięć sekund później coś ciężkiego wylądowało na gumowej tacce. Pani Morris uchyliła drzwiczki, wyjęła aluminiowymi szczypcami puszkę, otworzyła ją pstryknięciem i przelała gorącą zupę na talerz.

Tymczasem Mink niecierpliwie się wierciła.

– Pośpiesz się, mammo! To kwestia życia i śmierci! Ojejku...

– W twoim wieku byłam taka sama. Zawsze życie i śmierć.

Wiem, wiem.

Mink zaczęła pośpiesznie siorbać zupę.

– Zwolnij – upomniała ją mama.

– Nie mogę – odparła dziewczynka. – Drill na mnie czeka.

– Kto to jest Drill? Co za osobliwe imię.

– Nie znasz go.

– Nowy chłopiec w sąsiedztwie?

– O tak, jest nowy. – Mink zabrała się do drugiego talerza zupy.

– Który to Drill? – dopytywała się matka.

– Kręci się w pobliżu – powiedziała wymijająco dziewczynka. – Śmiałybyś się. Wszyscy się z niego wyśmiewają.

– Czy Drill jest nieśmiały?

– Tak. Nie. W pewnym sensie. O rany, mammo, muszę już iść, jeśli chcemy mieć dziś inwazję!

– A kto dokonuje inwazji?

– Marsjanie na Ziemię. No, może nie Marsjanie. Oni są... nie wiem. Stamtąd. – Wskazała łyżką sufit.

– I stąd – dodała mama, dotykając rozpalonego czoła dziewczynki.

- Śmiejesz się! - zaprotestowała Mink. - Zabijesz Drilla i wszystkich.

- Nie chciałam - odparła mama. - Drill to Marsjanin?

- Nie. On jest... no... może z Jowisza albo z Saturna, albo z Wenus. W każdym razie ciężko mu szło.

- Wyobrażam sobie.

Pani Morris uniosła dłoń do ust, aby ukryć uśmiech.

- Nie mogli wymyślić, jak mają zaatakować Ziemię.

- Jesteśmy niezwycciezeni - oznajmiła mama z udawaną powagą.

- Właśnie tego słowa Drill użył. Niezwy... Tak właśnie powiedział, mamó.

- No, no, Drill to mądry chłopczyk. Takie długie słowa.

- Nie mogli wymyślić, jak zaatakować, mamó. Drill mówi... mówi, że aby zwyciężyć, trzeba znaleźć nowy sposób zaskoczenia wroga. Wtedy się wygrywa. I mówi też, że trzeba mieć pomoc.

- Piątą kolumnę - rzuciła domyślnie mama.

- Właśnie. Dokładnie to powiedział Drill. A oni nie umieli znaleźć sposobu zaskoczenia Ziemi ani zdobycia pomocy.

- Nic dziwnego. Jesteśmy okropnie silni.

Mama roześmiała się, sprzątając ze stołu.

Mink siedziała bez ruchu, wbijając wzrok w blat, jakby widziała to, co mówi.

- Póki pewnego dnia - szepnęła dramatycznie - nie pomyśleli o dzieciach.

- No, no - mruknęła wesoło matka.

- I o tym, że dorośli są zawsze tak zajęci, że nigdy nie zaglądną pod krzaki róż ani na trawniki.

- Chyba że szukają grzybów albo ślimaków.

- I wspominał coś jeszcze o wymach.

- Wymach?

- Wymarach.

- Wymiarach?

- I to czterech! I coś o dzieciach młodszych niż dziewięć lat i o wyobraźni. Zabawnie się go słucha.

Pani Morris poczuła zmęczenie.

- Cóż, to musi być świetna zabawa. Robi się późno, nie każ

Drillowi czekać. I lepiej już idź, jeśli chcesz dokonać inwazji przed kąpielą.

– A muszę się kąpać? – jęknęła Mink.

– Owszem. Czemu dzieci nienawidzą wody? Niezależnie od czasów, w jakich żyjemy, nie znoszą, żeby myć im uszy.

– Drill mówi, że nie będę się musiała kąpać – oznajmiła Mink.

– Naprawdę?

– Powtarza to wszystkim dzieciakom. Koniec z kąpielami. I będziemy mogli siedzieć do dziesiątej i oglądać w soboty dwa programy telewizyjne zamiast jednego.

– Pan Drill powinien uważać na to, co mówi. Zadzwoń do jego matki i...

Mink przystanąła w drzwiach.

– Mamy problem z chłopakami, takimi jak Pete Britz i Dale Jerrick. Zaczynają dorastać. Wyśmiewają się, są gorsi niż rodzice. W żaden sposób nie chcą uwierzyć w Drilla. Okropnie zadzierają nosa, bo są starsi. A przecież powinni wiedzieć. Jeszcze parę lat temu byli mali. Ich najbardziej nie znoszę. Ich pierwszych zabijemy.

– A twojego ojca i mnie ostatnich?

– Drill mówi, że jesteście niebezpieczni. Wiesz, dlaczego? Bo nie wierzycie w Marsjan. Oni pozwolą nam rządzić światem. No, nie tylko nam, ale także dzieciakom z następnej przecznicy. Może zostaną królową? – Otworzyła drzwi. – Mamo?

– Tak?

– Co to jest log-gika?

– Logika? Cóż, kochanie, logika to świadomość, co jest prawdziwe, a co nie.

– On o niej wspominał – mruknęła Mink. – A łatwo... łatwowierny? – Wymówienie tego słowa zajęło jej niemal minutę.

– Cóż, to znaczy... – Matka śmiejąc się cicho, spuściła wzrok. – To znaczy być dzieckiem, kochanie.

– Dzięki za lunch! – Mink wybiegła, lecz po sekundzie z powrotem wsunęła głowę do środka. – Mamo, dopilnuję, żeby cię nie bolało, naprawdę.

- Dziękuję - odparła matka.

Łup! To trzasnęły drzwi.

O czwartej zabrzączał audiowizor. Pani Morris przerzuciła przełącznik.

- Witaj, Helen - powitała przyjaciółkę.

- Witaj, Mary. Co słyszać w Nowym Jorku?

- Wszystko w porządku. A w Scranton? Wyglądasz na zmęczoną.

- Ty też. Dzieci. Płaczą się pod nogami - odparła Helen.

Pani Morris westchnęła.

- Moja Mink także. Ta superinwazja.

- Wasze dzieci też się w to bawią? - zaśmiała się Helen.

- O Boże, tak. Jutro przerzucą się na geometryczne kulki i motorowe klasy. Czy my też byliśmy takie okropne w dzieciństwie, w czterdziestym ósmym?

- Jeszcze gorsze. Japońcy i hitlerowcy. Nie mam pojęcia, jak moi rodzice ze mną wytrzymywali. Byłam okropnym łobuziakiem.

- Rodzice uczą się wyłączać.

Milczenie.

- Co się stało, Mary? - spytała Helen.

Pani Morris na wpół przymknęła oczy, powoli, z namysłem oblizywała dolną wargę.

- Hę? - otrząsnęła się nagle. - Och, to nic. Po prostu myślałam. Wyłączyłam się i w ogóle. Nieważne. Na czym skończyłyśmy?

- Mój mały Tim ma bzika na punkcie chłopaka imieniem... Drill, tak się chyba nazywa.

- To pewnie nowe hasło. Mink też go lubi.

- Nie sądziłam, że ta zabawa dotrze aż do Nowego Jorku. Pewnie to dzięki szeptanej reklamie. Rozmawiałam z Josephine. Twierdzi, że jej dzieciaki - w Bostonie! - szaleją na punkcie tej nowej zabawy. Wkrótce ogarnie cały kraj.

W tym momencie Mink wbiegła truchtem do kuchni i wychyliła szklankę wody. Pani Morris odwróciła się do niej.

- Jak wam idzie?

- Prawie skończyliśmy - odparła Mink.

- Świetnie - mruknęła pani Morris. - Co to?

- Jojo – wyjaśniła dziewczynka. – Patrz.  
Posłała jojo w dół po sznurku. Dotarliśmy do końca... zniknęło.
- Widzisz? – rzuciła Mink. – Super. – Kręcąc palcem, sprawiła, że jojo ponownie się pojawiło i pomknęło w górę po sznurku.
- Zrób to jeszcze raz – poprosiła matka.
- Nie mogę. Godzina zero o piątej. Cześć! – Mink wyszła, wymachując jojo.
- Na ekranie audiowizora Helen zaśmiała się cicho.
- Tim przyniósł dziś rano do domu jedno z tych jojo, ale kiedy się zainteresowałam, powiedział, że mi go nie pokaże, a gdy sama spróbowałam, nic z tego nie wyszło.
- Nie jesteśmy łatwowierne.
- Co takiego?
- Nieważne. Coś mi przyszło do głowy. Czym mogę ci służyć, Helen?
- Chciałam cię prosić o przepis na czarno-białe ciasto...

\* \* \*

Godziny upływały sennie. Dzień przygasał. Słońce obniżało się wolno na spokojnym błękitnym niebie. Na zielonych trawnikach wydłużały się cienie. Wciąż było słycać śmiech i podniecone okrzyki. Jedna dziewczynka odbiegła z płaczem. Pani Morris wyszła przed dom.

- Mink, czy to Peggy Ann płakała?
- Mink nachylała się nad czymś obok krzaka róż.
- Tak. Okropnie tchórzy. Nie pozwalamy jej się bawić. Robi się już za stara. Chyba nagle dorosła.
- I dlatego płakała? Bzdura. Odpowiadaj uprzejmie, młoda damo, albo natychmiast wrócisz do domu.
- Mink obróciła się, wystraszona i wyraźnie zirytowana.
- Nie mogę teraz odejść. Już prawie czas. Będę grzeczna, przepraszam.
- Uderzyłaś Peggy Ann?
- Nie, naprawdę. Spytaj ją sama. To było coś... Po prostu stchórzyła.
- Pierścień dzieci zacisnął się wokół Mink, która, krzywiąc się,



ogłądała swoje dzieło zbudowane z łyżek i ułożonych w dziwny kwadrat młotków i rur.

– Tutaj i tam – mamrotała pod nosem.

– Coś nie tak? – spytała pani Morris.

– Drill utknął w połowie drogi. Byłoby łatwiej, gdybyśmy zdołali go wyciągnąć. Wtedy wszyscy inni przyszliby za nim.

– Mogę pomóc?

– Nie, mammo, dzięki. Załatwię to.

– W porządku. Za pół godziny zawołam cię na kąpiel. Zmęczyło mnie oglądanie waszych zabaw.

Wróciła do domu i usiadła w elektrycznym fotelu relaksującym, sącząc piwo. Fotel masował jej plecy. Dzieci, dzieci. Miłość i nienawiść, ręka w rękę. Czasami dzieci kochają rodziców, potem nagle ich nienawidzą – w jednym ułamku sekundy. Dziwne dzieci – czy kiedykolwiek zapomniały lub wybaczały lania i ostre słowa poleceń? Ciekawe. Jak można zapomnieć i wybaczyć tym, którzy cię przerastają, wysokim, niemądrym dyktatorom?

Mijał czas. Nad ulicą zapadła wyczekująca, niezwykła cisza, pogłębiająca się z każdą chwilą.

Piąta po południu. Gdzieś w domu zaśpiewał cicho zegar:

– Piąta godzina, piąta godzina. Czas odpoczynku. Piąta godzina.

– I znów umilkł.

Godzina zero.

Pani Morris zachichotała. Godzina zero.

W tym momencie na podjeździe zabrzączał żuk pana Morrisa. Pani Morris uśmiechnęła się. Pan Morris wysiadł z wozu, zamknął go i pozdrowił zaferowaną Mink. Córka kompletnie go zignorowała. Mężczyzna przez moment obserwował dzieci, po czym wybuchnął śmiechem i wspiął się po frontowych stopniach.

– Witaj, kochanie.

– Witaj, Henry.

Wyprostowała się na brzeżku fotela, nasłuchując. Dzieci były cicho. Zbyt cicho. Jej mąż opróżnił fajkę i nabił nowym tytoniem.

– Świetny dzień. W takie dni czuję, że naprawdę żyję.

Bzzzzzzzz.

– Co to? – spytał Henry.

– Nie wiem. – Nagle wstała. Zamierzała coś powiedzieć, lecz w ostatniej sekundzie zmieniła zdanie. Śmieszne, to tylko nerwy.

– Dzieciaki nie mają tam niczego niebezpiecznego? – spytała.

– Niczego poza rurami i młotkami. Czemu pytasz?

– Nic elektrycznego?

– Ależ nie – zapewnił ją Henry. – Sprawdziłem.

Przeszła do kuchni. Bzyczenie nadal trwało.

– Mimo wszystko lepiej każ im kończyć. Jest już po piątej. Powiedz im... – jej oczy rozszerzyły się i zwęziły – powiedz, żeby odłożyli inwazję do jutra. – Zaśmiała się nerwowo.

Bzyczenie stawało się coraz głośniejsze.

– Co oni knują? Chyba pójdę i sam sprawdzę.

Wybuch!

Dom zadrżał z głuchym łoskotem. Na innych podwórkach wzdłuż ulicy nastąpiły kolejne eksplozje.

– Tu, na górę! – krzyknęła odruchowo pani Morris, zapominając o rozsądku.

Może dostrzegła coś kącikiem oka; może wyczuła nowy zapach, usłyszała nowy dźwięk? Nie miała czasu, aby kłócić się z Henrym i przekonywać go. Niech myśli, że oszalała. Tak, oszalała! Wrzeszcząc, popędziła po schodach. On pobiegł za nią, by zobaczyć, co zamierza.

– Na strychu! – krzyknęła. – Stamtąd dobiega odgłos. – Była to jedynie kiepska wymówka, mająca na czas ściągnąć go na strych. O Boże, byle tylko zdążyli!

Rozległ się kolejny wybuch. Dzieci krzyknęły z radości, jakby oglądały pokaz sztucznych ogni.

– To nie na strychu – krzyknął Henry – tylko na zewnątrz!

– Nie, nie! – Dysząc, gwałtownie chwytając powietrze, majstrowała przy drzwiach. – Pokażę ci, Henry! Pokażę!

Oboje wpadli na strych. Natychmiast zatrzasnęła drzwi, przekręciła klucz, wyjęła go i cisnęła w najdalszy zagracony kąt. Zachowywała się jak obłąkana. Wszystko się z niej ulało. Podświadome podejrzenia i lęki, narastające w sekrecie przez całe popołudnie i fermentujące w głowie. Wszystkie małe objawienia, informacje i przeczucia, które dręczyły ją cały dzień,

a które logika kazała wcześniej odrzucić, ocenzurować, teraz eksplodowały w jej mózgu i wstrząsnęły nią do głębi.

– Dzięki Bogu! – wyszlochała wsparta o drzwi. – Do wieczora jesteśmy bezpieczni. Może uda nam się wymknąć, może zdołamy uciec.

Henry także wybuchnął, lecz z innych przyczyn.

– Oszalałaś? Czemu wyrzuciłaś klucz? Do diabła, kochanie!

– Tak, oszalałam, jeśli ma ci to pomóc, ale zostań tu ze mną.

– Nie wiem, jak u licha miałbym się stąd wydostać!

– Cicho. Usłyszają nas. O Boże, i tak wkrótce nas znajdą.

W dole odezwał się głos Mink. Mąż zamarł. Z dworu dochodziło donośne buczenie i brzęczenie, krzyki i chichoty. Na dole audiotelewizor dzwonił uporczywie, alarmująco. „Czy to Helen? – pomyślała pani Morris. – I czy chce mnie uprzedzić o tym, o czym myślę?”.

W domu zadźwięczały kroki. Ciężkie kroki.

– Kto tam jest? – spytał gniewnie Henry. – Kto wałęsa się po domu?

Ciężkie stopy. Dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt. Pięćdziesiąt osób stłoczonych na parterze. Brzęk, chichoty dzieci.

– Tędy! – krzyknęła w dole Mink.

– Kto jest na dole?! – ryknął Henry. – Kto tam?!

– Ciiii. O nienienienienienienie! – zaprotestowała słabo żona, obejmując go. – Proszę, bądź cicho. Może sobie pójść.

– Mamo?! – zawołała Mink. – Tato? – Chwila ciszy. – Gdzie jesteście?

Ciężkie kroki, ciężkie, tak ciężkie, na schodach. Mink wskazywała drogę.

– Mamo? – Wahanie. – Tato? – Chwila oczekiwania, cisza.

Pomruk. Kroki zmierzające w stronę strychu. Mink pierwsza.

Państwo Morrisowie stali razem w ciszy, gwałtownie dygocząc. Z jakiejś przyczyny elektryczne brzęczenie, niesamowite zimne światło rozbłyskujące nagle w szparze pod drzwiami, osobliwy zapach i obca nuta zapachu w głosie Mink wstrząsnęły także Henrym Morrisem.

– Mamo! Tato!

Kroki. Cichy pomruk. Stopiony zamek ustąpił. Drzwi się otwały. Mink zajrzała do środka, za jej plecami dostrzegli wysokie błękitne cienie.

– A kuku! – powiedziała.

## RAKIETA

Wiele razy Fiorello Bodoni budził się w nocy, słysząc wizg raket na ciemnym niebie. Wychodził wtedy na paluszkach z łóżka, pewien, że żona wciąż śni, i wymykał się na świeże powietrze. Przez kilka chwil uwalniał się od starych zapachów jedzenia, którymi przesiąknął mały domek nad rzeką. Jego serce szybowało samotnie w milczącym kosmosie, w ślad za raketami.

Tej nocy stał półnagi w ciemności, patrząc na szemrzące w powietrzu ogniste fontanny. Rakiety wyruszały w długą drogę na Marsa, Saturna i Wenus!

– A niech mnie, jeśli to nie Bodoni.

Bodoni wzdrygnął się.

Na brzegu milczącej rzeki przysiadł na skrzynce po mleku stary człowiek, który także obserwował przelatujące w ciszy rakiety.

– A, to ty, Bramante.

– Przychodzisz tu co noc, Bodoni?

– Odetchnąć świeżym powietrzem.

– Ach tak? Osobiście wolę rakiety. Byłem jeszcze chłopcem, kiedy zaczęły się loty. Osiemdziesiąt lat temu, a dotąd w żadnej nie byłem.

– Ja kiedyś polecę – oświadczył Bodoni.

– Głupiś! – huknął Bramante. – Nigdy ci się nie uda. Żyjemy w świecie bogaczy. – Potrząsnął posiwiałą głową. – Kiedy byłem młody, wszędzie wokół widniały ogniste litery: ŚWIAT PRZYSZŁOŚCI! Nauka, wygody, nowe wynalazki dla każdego! Ha! Osiemdziesiąt lat. Przyszłość stała się już teraźniejszością. I co, latamy raketami? Nie. Mieszkamy w ruderach, jak nasi przodkowie.

– Może moi synowie... – zaczął Bodoni.

– Nie, ani ich synowie! – krzyknął starzec. – To bogatych stać na marzenia i rakiety.

Bodoni zawahał się.

– Staruszk, zaoszczędziłem trzy tysiące dolarów. Zajęło mi to sześć lat. Chciałem zainwestować w nowe maszyny. Ale od miesiąca budzę się co noc, słyszę rakiety, rozmyślam. I dziś podjąłem decyzję. Jedno z nas poleci na Marsa! – Jego ciemne oczy lśniły.

– Idiota! – warknął Bramante. – Jak dokonasz wyboru? Kto poleci? Jeśli ty, żona cię znieawidzi, bo w przestrzeni znajdziesz się nieco bliżej Boga. Myślisz, że kiedy po latach będziesz opowiadał jej o swojej zdumiewającej podróży, nie poczuje gorczy?

– Nie!

– Tak! A dzieci? Czy przez całe życie mają wspominać tatę, który poleciał na Marsa, podczas gdy oni zostali w domu? Jaką przyszłość im zgotujesz? Do śmierci będą myśleli o rakiecie. Będą budzili się w nocy. Pragnienie lotu ich zniszczy, tak jak zaczyna niszczyć ciebie. Będą woleli umrzeć niż tak żyć. Ostrzegam cię, nie otwieraj przed nimi tych perspektyw. Pozwól, by pogodzili się z biedą, zwrócili oczy na własne ręce i twoją składnicę złomu, a nie w górę, ku gwiazdom.

– Ale...

– A gdyby to twoja żona poleciała? Jak byś się czuł, wiedząc, że ona widziała to wszystko, a ty nie? Stałaby się niemal świętością, aż w końcu zapragnąłbyś wepchnąć ją do rzeki. Nie, Bodoni, kup nową zgniatarkę, której potrzebujesz, wrzuc do niej swoje marzenia i rozwal na miazgę.

Stary człowiek umilkł i zapatrzył się w rzekę, w której tonęły obrazy płonących na niebie rakiet.

– Dobranoc – rzekł Bodoni.

– Śpij dobrze – odparł tamten.

\* \* \*

Gdy grzanka wyskoczyła ze srebrzystego pudełka, Bodoni o mało nie krzyknął. W ogóle nie spał tej nocy. Leżąc pośród niespokojnych dzieci i wyniosłej żony, Bodoni przewracał się z boku na bok, patrząc w nicość. Bramante miał rację. Lepiej zainwestować pieniądze. Po co oszczędzać, skoro tylko jedna

osoba z rodziny może polecieć rakieta, frustrując pozostałych?

– Fiorello, zjedz grzanke – upomniała go żona Maria.

– Drapie mnie w gardle – odparł Bodoni.

Do kuchni wbiegły dzieci, trzech chłopców walczących o rakieta zabawke i dwie dziewczynki niosące w objęciach lalki przedstawiające mieszkańców Marsa, Wenus i Neptuna – zielone manekiny o trzech żółtych oczach i dwunastu palcach.

– Widziałem wenusjańską rakieta! – zawołał Paolo.

– Właśnie wystartowała, szuuuu! – syknął Antonello.

– Dzieci! – krzyknął Bodoni, zatykając dłońmi uszy.

Cała rodzina spojrziała na niego ze zdumieniem. Rzadko krzyczał.

Bodoni wstał.

– Posłuchajcie wszyscy – oznajmił. – Mam dość pieniędzy, by jedno z nas mogło polecieć marsjańską rakieta.

Odpowiedzią był chóralny wrzask.

– Rozumiecie? – spytał. – Tylko jedno. Kto?

– Ja, ja, ja! – przekrzykiwały się dzieci.

– Ty – powiedziała Maria.

– Ty – odparł Bodoni, patrząc na nią.

Wszyscy umilkli.

Dzieci zastanowiły się przez chwila.

– Niech Lorenzo leci, jest najstarszy.

– Albo Miriamne, jest dziewczynką!

– Pomyśl, co mógłbyś zobaczyć – szepnęła żona Bodoniego. Jej oczy miały jednak dziwny wyraz. Głos lekko drżał. – Meteory jak ryby. Wszechświat. Księżyc. Ten, kto poleci, powinien umieć opowiadać, żeby zrelacjonować wszystko po powrocie. Ty umiesz opowiadać.

– Bzdura. Ty też – zaoponował.

Wszyscy zadrżeli.

– Proszę – powiedział Bodoni z nieszczęśliwą miną. Wziął miotłę i odłamał kilka różeg różnej długości. – Najkrótsza wygrywa. – Uniósł zaciśniętą pięść. – Wybierajcie.

Z powagą zaczęli ciągnąć gałazki.

– Długa.

- Długa.

Następna.

- Długa.

Dzieci skończyły. W kuchni zapadła cisza.

Pozostały dwie gałązki. Serce Bodoniego ścisnęło się boleśnie.

- Teraz ty - szepnął. - Maria.

Pociągnęła.

- Krótka - oznajmiła.

- Ach - westchnął Lorenzo ni to smutnym, ni radosnym głosem.

- Mama leci na Marsa.

Bodoni spróbował się uśmiechnąć.

- Gratulacje. Jeszcze dziś kupię ci bilet.

- Zaczekaj, Fiorello...

- Możesz lecieć w przyszłym tygodniu - mruknął.

Ujrzała smutne oczy dzieci, ich uśmiechy pod dużymi prostymi nosami. Powoli oddała gałązkę mężowi.

- Nie mogę lecieć na Marsa.

- Ale czemu?

- Z powodu nowego dziecka.

- Co?!

Unikała jego wzroku.

- Nie powinnam podróżować w moim stanie.

Ujął ją za łokieć.

- To prawda?

- Ciągnijmy jeszcze raz. Od początku.

- Czemu wcześniej nic nie powiedziałaś? - dopytywał się z niedowierzaniem.

- Zapomniałam.

- Maria, Maria - szepnął, gładząc ją po policzku. Powoli odwrócił się do dzieci. - Ciągniemy jeszcze raz.

Paolo natychmiast wybrał krótką różgę.

- Lecę na Marsa! - Zatańczył z radości. - Dziękuję, tato!

- Ekstra, Paolo! - krzyknęły pozostałe dzieci.

Z twarzy Paola zniknął uśmiech. Chłopiec przyjrzał się uważnie rodzicom, braciom i siostram.

- Ale chyba mogę lecieć?



- Tak.

- I kiedy wrócę, nadal będziecie mnie lubić?

- Oczywiście.

Długą chwilę przyglądał się bezcennej gałązce trzymanej w drżących palcach. W końcu potrząsnął głową i ją odrzucił.

- Zapomniałem. Zaraz zaczyna się szkoła. Nie mogę lecieć. Ciągnijcie jeszcze raz.

Ale nikt nie chciał znów losować. Całą rodzinę ogarnął smutek.

- Żadne z nas nie poleci – rzekł Lorenzo.

- Tak będzie najlepiej – mruknęła Maria.

- Bramante miał rację – szepnął Bodoni.

\* \* \*

Z żołądkiem pełnym skwaśniałego jedzenia Fiorello Bodoni zabrał się do pracy na złomowisku; rozdzierał metal, topił go i wylewał w nadające się do powtórnego użytku sztabki. Jego sprzęt powoli się rozpadał; szalona konkurencja sprawiła, że od dwudziestu lat balansował na skraju biedy. To był paskudny poranek.

Po południu na terenie składnicy pojawił się mężczyzna.

- Hej, Bodoni! – zawołał do właściciela siedzącego na zgniatarce. – Mam dla ciebie okazję.

- Co to jest, panie Mathews? – spytał bez entuzjazmu Bodoni.

- Rakietą. Co się stało? Nie chcesz jej?

- Tak. Chcę. – Gwałtownie chwycił mężczyznę za rękę i zamarł oszołomiony.

- Oczywiście – dodał Mathews – to tylko makieta. No wiesz, kiedy planują konstrukcję rakiety, najpierw budują model w skali jeden do jednego, z aluminium. Jeśli ją przetopisz, możesz trochę zarobić. Sprzedam ci ją za dwa tysiące.

Bodoni powoli opuścił rękę.

- Nie mam pieniędzy.

- Przykro mi. Chciałem ci pomóc. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, mówiłeś, że wszyscy cię przelicytowują. Pomyślałem, że podrzucę ci ją po cichu. No cóż...

- Potrzebuję nowego sprzętu. Oszczędzałem na niego.

– Rozumiem.

– Nawet gdybym kupił tę raketę, nie mógłbym jej przetopić. Mój piec do aluminium zepsuł się w zeszłym tygodniu.

– Jasne.

– Gdybym kupił raketę, na nic by mi się nie przydała.

– Wiem.

Bodoni zamknął oczy, po czym otworzył je i spojrzał wprost na pana Mathewsa.

– Ale jestem głupcem. Wyjmę pieniądze z banku i dam je panu.

– Skoro jednak nie możesz przetopić rakiety...

– Proszę ją dostarczyć – uciął Bodoni.

– W porządku, skoro tak twierdzisz. Dziś wieczór?

– Dziś wieczór – odparł Bodoni – mi odpowiada. Tak, chciałbym wieczorem dostać tę raketę.

\* \* \*

Na niebie świecił księżyc. Rakietą stała pośrodku złomowiska, biała, ogromna. Skrywała w sobie biel księżyca i błękit gwiazd. Bodoni pokochał ją od pierwszego spojrzenia. Pragnął ją pogłodzić, przytulić się do niej, przycisnąć policzków do metalu, opowiedzieć jej o wszystkich sekretnych pragnieniach.

– Jesteś moja. – Uniósł wzrok. – Nawet jeśli już nigdy się nie poruszysz, nie wyplujesz z siebie ognia i będziesz tu tkwiła i rdzewiała przez następnych pięćdziesiąt lat, jesteś moja.

Rakietą pachniała czasem i przestrzenią. Zupełnie jakby wszedł do wnętrza zegarka. Była wykończona ze szwajcarską precyzją; miał ochotę przyczepić ją do dewizki i nosić w kieszeni.

– Może nawet zanocuję tu dzisiaj? – szepnął podniecony Bodoni. Usiadł w fotelu pilota.

Dotknął dźwigni.

Zamruczał cicho, zamykając oczy.

Pomruk stawał się głośniejszy, coraz głośniejszy, aż przeszedł w oszałamiający pisk; dźwięk wibrował w nim i zmuszał do pochylecia się naprzód, ciągnął go w górę wraz ze statkiem. Metal krzyczał, a dłonie Bodoniego tańczyły na konsoli. Dźwięki wokół narastały, coraz mocniejsze, aż w końcu stały się niczym

ogień, siła, moc, która wznosiła go i popychała, grożąc rozdarciem ciała na dwoje. Sapnął; znów zaczął mrużyć i nie przestawał, bo ów dźwięk nie mógł umilknąć, mógł tylko trwać dalej, a on wciąż zamykał oczy. Jego serce tłukło się niczym oszalałe.

– Start! – krzyknął.

Pierwszy wstrząs! Grzmot!

– Księżyc! – zawołał, rozpaczliwie zaciskając powieki. – Meteory! – Milczący pęd wulkanicznego blasku. – Mars! O Boże, Mars!

Opadł bezwładnie na fotel, zdyszany, wyczerpany. Dygoczące ręce wypuściły przyrządy, głowa odchyliła się do tyłu. Siedział tak długą chwilę, oddychając głośno, a jego serce stopniowo zwalniało.

Powoli, bardzo powoli otworzył oczy.

Wciąż otaczało go złomowisko.

Bodoni nie poruszył się. Wpatrywał się w stosy metalu, ani na moment nie odrywając od nich wzroku. A potem skoczył z miejsca i kopnął dźwignię.

– Niech cię diabli! Wystartuj!

Statek milczał.

– Ja ci pokażę! – wrzasnął Bodoni.

Potyając się, wybiegł w noc i uruchomił mocarny silnik straszliwej zgniatarki, ruszając ku rakiecie. Potężne ciężary uniosły się w księżycowe niebo. Wzniósł drżące dłonie, sięgając do przełącznika zwalniającego ciężary, aby zmiażdżyć, rozedrzeć to bezczelne, złudne marzenie, bezsensowny sen, za który zapłacił swymi pieniędzmi; statek, który nie chciał się ruszyć, nie słuchał rozkazów.

– Ja cię nauczę! – krzyknął.

Lecz jego dłoń nie opadła na przełącznik.

Rakieta srebrzyła się w blasku księżyca, a za nią, przecnicę dalej, dostrzegł żółte światła swojego domu, ciepło płonące w mroku, usłyszał rodzinne radio grające odległą melodię. Siedział tak pół godziny, rozmyślając o rakiecie i domowych światłach. Jego oczy zwięzały się i rozszerzały. W końcu zeskoczył

ze zgniatarki i ruszył naprzód. Idąc, zaczął się śmiać, a kiedy dotarł do tylnych drzwi domu, odetchnął głęboko i zawołał:

– Maria, Maria, zacznij się pakować. Lecimy na Marsa!

\* \* \*

– Och!

– Ach!

– Nie wierzę!

– Uwierzysz.

Dzieci kręciły się po placu pod błyszczącą rakieta, nie śmiać jej dotknąć, przekrzykując się nawzajem.

Maria spojrzała na męża.

– Co ty zrobiłeś? Wydałeś na to nasze pieniądze? Ona nigdy nie polec.

– Polec – odparł, patrząc na statek.

– Rakiety kosztują miliony. Masz miliony?

– Polec – powtórzył stanowczo. – A teraz idźcie do domu, wszyscy. Muszę tu popracować, załatwić kilka telefonów. Jutro wyruszamy. Nie mówcie nikomu, słyszycie? To sekret.

Dzieci, potykając się, porzuciły rakieta. Widział ich małe, rozgorączkowane twarze przylepione do odległych szyb.

Maria wciąż stała w miejscu.

– Zrujnowałeś nas – oznajmiła. – Wydałeś nasze pieniądze na... to coś. Choć powinieneś kupić sprzęt.

– Zobaczysz – rzekł.

Bez słowa odwróciła się.

– Boże, dopomóż – szepnęła i wzięła się do pracy.

\* \* \*

Przez całą noc na złomowisko przybywały ciężarówki, dostarczano kolejne przesyłki. Bodoni z uśmiechem doszczętnie opróżnił swoje konto. Zaatakował rakieta palnikiem i skrawarką, tu dodając, tam odejmując, łącząc, traktując statek ognistą magią i obrzucając skrytymi obelgami. W pustej maszynowni zamontował dziewięć starych silników samochodowych. Następnie zaspawał drzwi, aby nikt nie dostrzegł jego tajnego

dzieła. O świcie wkroczył do kuchni.

– Maria – oznajmił – chciałbym zjeść śniadanie.

Nie odezwała się do niego.

\* \* \*

O wchodzie słońca zawołał dzieci.

– Jesteśmy gotowi! Chodźcie!

W domu panowała cisza.

– Zamknęłam je w łazience – oznajmił Maria.

– Co to ma znaczyć? – rzucił ostro.

– Zginiecie w tej rakiecie – rzekła. – Jaka raketę mogłeś kupić za dwa tysiące dolarów? Złą!

– Posłuchaj, Maria...

– Ona wybuchnie. Zresztą nie jesteś pilotem.

– Mimo to potrafię kierować tym statkiem. Naprawiłem go.

– Oszalałeś.

– Gdzie jest klucz do łazienki?

– Mam go tutaj.

Wyciągnął rękę.

– Daj mi.

Posłuchała.

– Zabijesz ich wszystkich.

– Nie.

– Owszem. Ja to czuję.

– Nie polecisz z nami?

– Zostanę tutaj – oznajmiła.

– Wkrótce zrozumiesz, przekonasz się – rzekł, uśmiechając się do niej. Przekreślił klucz w drzwiach łazienki. – Chodźcie, dzieci. Idźcie za mną.

– Do widzenia, do widzenia, mamo!

Kobieta została w kuchennym oknie. Milcząca, wyprostowana, odprowadzała ich wzrokiem.

Przy drzwiach rakiety ojciec przystanął.

– Dzieci, nie będzie nas tydzień. Potem musicie wracać do szkoły, a ja do pracy. – Po kolei uściskał im dłonie. – Posłuchajcie. Ta rakietka jest bardzo stara, polecą jeszcze tylko jeden raz. Nigdy

więcej. To będzie wyprawa waszego życia. Miejcie oczy szeroko otwarte.

– Tak, tato.

– Słuchajcie, nadstawiajcie uszu. Wciągajcie w nozdrza woń rakiety. Czujcie. Pamiętajcie. Żebyście po powrocie mogli opowiadać o tym do końca życia.

– Tak, tato.

Statek był cichy niczym zatrzymany zegar. Śluza z sykiem zamknęła się za nimi. Ojciec zapiął wszystkie dzieci w gumowych hamakach niczym maleńkie mumie.

– Gotowi?! – zawołał.

– Gotowi! – odparły chórem.

– Startujemy!

Pchnął dziesięć przełączników. Rakieta zagrzmiała i skoczyła. Dzieci krzycząc, zatańczyły w hamakach.

– Oto Księżyc!

Księżyc przepłynął obok. Meteory roztrzaskiwały się niczym fajerwerki. Czas upływał zwiewnymi gazowymi serpentynami. Dzieci krzyczały. Kilka godzin później, uwolnione z hamaków, wyglądały przez bulaje.

– O, Ziemia!

– Mars!

Wskaźniki zegarów wirowały, rakieta zrzucała kolejne różowe płatki ognia. W końcu dziecięce powieki opadły i cała piątka zawisała w kokonach hamaków niczym pijane ćmy.

– Doskonale – szepnęła do siebie Bodoni.

Na palcach wyszedł ze sterowni i długą chwilę stał przy drzwiach śluzy, ogarnięty nagłym lękiem.

Nacisnął przycisk. Właz otwarł się szeroko i Bodoni wyszedł na zewnątrz. W przestrzeń? W czarne niczym atrament królestwo meteorów i gazowych płomieni? W niezliczone mile pustki i nieskończone wymiary?

Nie. Bodoni uśmiechnął się.

Wokół dygoczącej rakiety rozciągało się złomowisko.

Oto niezmieniona, rdzewiejąca, zamknięta na kłódkę furta, mały milczący domek nad rzeką, oświetlone kuchenne okno

i sama rzeka, wpadająca niezmiennie do tego samego morza. A pośrodku placu biło źródło magicznych snów: drżąca, mrużąca rakieta, która podskakiwała z rykiem, podrzucając przypiętymi bezpiecznie dziećmi niczym muchami w pajęczej sieci.

Maria stała w kuchennym oknie.

Pomachał do niej z uśmiechem.

Nie widział, czy odpowiedziała tym samym. Możliwe, że uniosła rękę i lekko się uśmiechnęła.

Wschodziło słońce.

Bodoni pośpiesznie wrócił do rakiety. Cisza. Dzieci wciąż spały. Odetchnął z ulgą. Zapinając się w hamaku, zamknął oczy i pomodlił się w duchu. Oby tylko przez następnych sześć dni nic nie zakłóciło iluzji. Niech kosmos przepływa za oknami, a czerwony Mars rozbłyśnie pod statkiem w otoczeniu swych księżyców; i niech na barwnym filmie nie pojawi się żadna skaza. Niech pozostanie trójwymiarowy; niech ukryte lusterka i ekrany kształtujące złudzenie działają bez zarzutu. Niechaj czas upływa spokojnie, bez żadnych trosk.

Obudził się.

Niedaleko rakiety w przestrzeni unosił się czerwony Mars.

– Tato! – Dzieci podskakiwały niecierpliwie w hamakach.

I Bodoni zobaczył czerwonego Marsa; ujrzał, że jest dobry, że nie ma na nim żadnej skazy, i ucieszył się.

O zmierzchu siódmego dnia rakieta przestała dygotać.

– Jesteśmy w domu – oznajmił Bodoni.

Wyskoczyli z otwartych drzwi rakiety i przeszli przez złomowisko. Ich twarze promieniały, krew szybciej krążyła w żyłach.

– Mam dla was wszystkich jajka na szynce – oznajmiła Maria, stając w drzwiach kuchni.

– Mamo, mam, powinnaś była polecieć, zobaczyć to, zobaczyć Marsa, mam, i meteory, i wszystko!

– Tak – zgodziła się.

Wieczorem dzieci zebrały się przed Bodonim.

– Chcieliśmy ci podziękować, tato.

- To nic takiego.
- Zawsze będziemy to pamiętać, tato. Nigdy nie zapomnimy.

\* \* \*

Późną nocą Bodoni otworzył oczy. Wyczuł, że żona leży obok, obserwując go. Długi czas nie poruszyła się, a potem nagle ucałowała go w policzki i czoło.

- Co się stało?
  - Jesteś najlepszym ojcem na świecie – szepnęła.
  - Czemu?
  - Teraz to widzę – rzekła. – Rozumiem.
- Odsunęła się i zamknęła oczy, ściskając jego dłoń.
- Czy to piękna podróż? – spytała.
  - Tak – odparł.
  - Może – rzekła z wahaniem – może którejs nocy zabrałbyś mnie na krótką wycieczkę, jak sądzisz?
  - Może zabrałbym, na bardzo krótką.
  - Dziękuję – powiedziała. – Dobranoc.
  - Dobranoc – odparł Fiorello Bodoni.



## EPILOG

Dochodziła północ. Księżyc świecił wysoko na niebie. Człowiek Ilustrowany leżał bez ruchu. Zobaczyłem wszystko, co było do obejrzenia. Historie zostały opowiedziane i dobiegły końca.

Pozostało tylko puste miejsce na jego plecach, kłębowisko barw i linii. Teraz na moich oczach mętna płatanina poczęła się zmieniać, powoli przybierając kształty. Wreszcie uformowała się w twarz, twarz, która spoglądała na mnie z pokrytego kolorami ciała, twarz o znajomym nosie, ustach i oczach.

Była bardzo niewyraźna. Dostrzegłem tylko zarys Ilustracji, ale to wystarczyło, żebym zerwał się z miejsca. Stałem w blasku księżyca, lękając się, że wiatr albo gwiazdy mogą się poruszyć i przebudzić potworną galerię u mych stóp. On jednak spał dalej.

Obrazek na jego plecach przedstawiał Człowieka Ilustrowanego we własnej osobie, zaciskającego ręce wokół mojej szyi, duszącego mnie. Nie czekałem, by nabrał szczegółów, aby stał się wyraźnym, ostrym wizerunkiem.

Odbiegłem drogą pod księżycem, nie oglądając się za siebie. Gdzieś w dali leżało ciemne, uśpione miasteczko. Wiedziałem, że dotrę do niego na długo przed świtem.

# **Złociste jabłka słońca i inne opowiadania**

*Książkę tę, z miłością,  
dedykuję Nevie,  
córcie Gladioli  
Dobrej Czarownicy Południa.*

*...Zrywać, nim się czas dokończy,  
Srebrne jabłka księżycowe  
I złociste jabłka słońca.*

W.B. Yeats  
(przeł. Ewa Życieńska)

## SYRENA

Pośród zimnych wód, z dala od lądu czekaliśmy co noc na nadejście mgły. A kiedy nieuchronnie nadchodziła, oliwiliśmy mosiężną maszynę i rozpaliliśmy latarnię w kamiennej wieży. McDunn i ja, czując się jak dwa ptaki na szarym niebie, posyłałymi światło w dal – czerwone, potem białe i znów czerwone, by wypatrywało samotnych statków. A jeśli na nich nawet nie ujrzeli światła, zawsze pozostawał nasz Głos, donośny niski zew syreny przeciwmgielnej, wibrujący pośród strzępów mgły i płoszący mewy, które wzlatywały niczym talia wyrzuconych w powietrze kart. Dźwięk sprawiał, że fale wypiętrzały się i pieniały.

– To samotne życie, ale już do niego przywykłeś, prawda? – spytał McDunn.

– Owszem – odparłem. – Dzięki Bogu nieżył z ciebie gawędziarz.

– Cóż, jutro twoja kolej zejść na ląd – oznajmił z uśmiechem – tańczyć z pannami i popijać dżin.

– O czym rozmyślasz, McDunn, kiedy zostawiam cię tu samego?

– O tajemnicach morza.

McDunn zapalił fajkę. Był kwadrans po siódmej w zimny listopadowy wieczór, ogrzewanie działało, światło wymachiwało ogonem w dwieście różnych stron, a syrena przeciwmgielna buczała w wysokim gardle wieży. W promieniu stu mil na wybrzeżu nie było żadnego miasta, tylko droga przecinająca samotną, martwą krainę, wiodąca aż do morza, nieliczne samochody, dwie mile zimnej toni aż do naszej skały, i rzadko pojawiające się statki.

– Tajemnice morza – powtórzył z namysłem. – Wiesz, że ocean to największy płatek śniegu na świecie? Przelewa się i wzbiera, przybierając tysiące kształtów i kolorów, nigdy jednakowych. Dziwne. Pewnej nocy wiele lat temu siedziałem tu sam, gdy nagle wszystkie ryby wypłynęły na powierzchnię. Coś zmusiło je, by tu

podpłynęły i trzepotały w zatoce, zapatrzone w światło na wieży, zmieniające barwy, czerwone, białe, czerwone, białe, padające na nie tak, że widziałem ich oczy. Zrobiło mi się zimno: wyglądały jak ogromny pawi ogon pławiący się w wodzie aż do północy. A potem bez jednego dźwięku zanurkowały i cały milion ryb zniknął bez śladu. Myślę, że może na swój własny sposób przebyły tak wiele mil, by oddać cześć. Dziwne. Ale pomyśl, jak musiała wyglądać dla nich ta wieża, wznosząca się siedemdziesiąt stóp nad powierzchnię wód, boskie światło błyskające ku nim i ogłaszające swe istnienie głosem potwora. Te ryby nigdy tu nie wróciły, ale nie sądzisz, że przez chwilę zdawało im się, iż znalazły się w obecności Boga?

Wstrząsnął mną dreszcz. Wyjrzałem na długi, szary trawnik morza, ciągnący się donikąd i znikający w nicości.

– Och, morze jest pełne dziwów. – McDunn nerwowo pyknął kilka razy z fajki i zamrugnął. Cały dzień sprawiał wrażenie niespokojnego i nie wyjaśnił, z jakiego powodu. – Mimo wszystkich naszych maszyn i tak zwanych łodzi podwodnych minie jeszcze dziesięć tysięcy stuleci, nim postawimy stopę na prawdziwym dnie zatopionych krain, w magicznych królestwach, i poznamy prawdziwą grozę. Pomyśl tylko, tam w dole wciąż mają rok trzystutysięczny przed Chrystusem. Podczas gdy my paradowaliśmy do wtóru trąb i werbli, odrąbując sobie kawałki państw i głowy, oni żyli pod zimnym morzem na głębokości dwunastu mil w czasie tak starym jak ogon komety.

– Tak, to stary świat.

– Chodź, coś ci opowiem. Zachowałem tę historię specjalnie na dzisiaj.

Wspięliśmy się nieśpiesznie po osiemdziesięciu stopniach, gawędząc po drodze. Na szczycie McDunn zgasił światło w pomieszczeniu, by nie odbijało się od szyb. Wielkie oko latarni mrucało, obracając się gładko w naoliwionym łożysku. Syrena przeciwmgielna wyła miarowo co piętnaście sekund.

– Brzmi jak zwierzę, prawda? – McDunn pokiwał głową. – Wielkie samotne zwierzę, krzyczące w nocy. Siedzące tu na skraju dziesięciu miliardów lat i nawołujące w głębinę: „Tu

jestem, tu jestem, tu jestem!”. A głębiny odpowiadają, o tak. Spędziłeś tu już trzy miesiące, Johnny, więc lepiej cię przygotuję. Mniej więcej o tej porze roku – dodał, wbijając wzrok w mgłę – coś przychodzi odwiedzić latarnię.

– Ławice ryb, jak ta, o której mówiłeś?

– Nie, to coś innego. Odkładałem tę rozmowę, bo mógłbyś pomyśleć, że mi odbiło. Ale nie mogłem tego dłużej odwlekać, bo zaznaczyłem w kalendarzu w zeszłym roku i przybędzie dzisiejszej nocy. Nie będę wchodził w szczegóły, sam musisz to zobaczyć, po prostu usiądź. Jutro, jeśli chcesz, możesz spakować torbę i popłynąć motorówką na brzeg, tam wsiąść w samochód parkujący przy pomoście na przylądku i pojechać do miasteczka w głębi łądu i nigdy już nie gasić świateł. Nie będę cię winił ani namawiał do zmiany decyzji. To się powtarza od trzech lat i dopiero dziś mam przy sobie kogoś, kto mógłby to potwierdzić. Zaczekaj i patrz.

Minęło pół godziny, a my wymieniliśmy tylko kilka uwag szeptem. Kiedy zmęczyło mnie czekanie, McDunn zaczął opisywać mi swoje przemyślenia. Miał pewną teorię dotyczącą syreny przeciwmgielnej.

– Pewnego dnia wiele lat temu jakiś człowiek wędrował zimnym mrocznym brzegiem morza, zatrzymał się, nasłuchując dźwięków oceanu, i rzekł:

– Potrzebujemy głosu, by nawoływał ponad wodami i ostrzegał statki. Zbuduję taki, zbuduję głos, który pomieści w sobie wszystkie czasy i wszystkie mgły, jakie kiedykolwiek istniały. Głos niczym puste miejsce w łożu obok nas i pusty dom, kiedy otwieramy drzwi, jak drzewa jesienią, pozbawione liści. Dźwięk niczym ptaki odlatujące na południe pośród krzyków. Dźwięk jak listopadowy wiatr i morze na twardym, zimnym brzegu. Stworzę dźwięk tak samotny, że nikt nie zdoła puścić go mimo uszu, a każdy, kto go usłyszy, zapłacze w głębi duszy. Wszystkim, do których dotrze w ich odległych miastach, paleniska wydadzą się cieplejsze, a bycie w domu cudowniejsze niż kiedykolwiek. Stworzę dźwięk i aparat i nazwę go syreną przeciwmgielną, a każdy, kto go usłyszy, pozna, co to smutek wieczności i ulotność

życia.

Syrena zawyła.

– Wymyśliłem tę historię – dodał cicho McDunn – by spróbować wyjaśnić, dlaczego ten stwór co roku wraca do latarni. Myślę, że wzywa go syrena przeciwmgielna, a on przychodzi.

– Ale...

– Szszsz – syknął McDunn. – Patrz!

Skinieniem głowy wskazał głębinę.

Coś płynęło w stronę latarni morskiej.

Noc, jak już wspominałem, była zimna, wysoka wieża także. Światło błyskało i gasło, a syrena nawoływała raz po raz pośród falujących mgieł. Nie dało się sięgnąć daleko wzrokiem i niewiele widziałem, ale głębokie morze poruszało się samo z siebie dokoła nocnej ziemi, płaskiej i milczącej, barwy szarego błota, a my siedzieliśmy sami, dwóch mężczyzn w wysokiej wieży. Z początku w oddali pojawiła się zmarszczka, potem fala wznosząca się, bulgocząca, spieniona. Potem zaś z powierzchni zimnego morza wyłoniła się głowa, wielka głowa, ciemna, o olbrzymich oczach, a za nią szyja. A dalej – nie ciało – lecz wciąż szyja i szyja! Głowa wznosiła się pełne czterdzieści stóp nad poziom wody na smukłej i pięknej, ciemnej szyi. Dopiero wtedy spod powierzchni wychynęło ciało, niczym maleńka wysepka czarnego koralu, muszli i raków, ociekająca wodą. Dostrzegłem machnięcie ogona. W sumie od głowy po jego czubek oceniałem, że potwór ma około dziewięćdziesięciu, może stu stóp.

Nie wiem, co wtedy powiedziałem. Coś na pewno.

– Spokojnie, chłopcze, spokojnie – wyszeptał McDunn.

– To niemożliwe! – zaprotestowałem.

– Nie, Johnny, to my jesteśmy niemożliwi. To coś jest takie samo jak zawsze przez ostatnie dziesięć milionów lat. Ono się nie zmieniło. To my i ład się zmieniliśmy, staliśmy się niemożliwością. My!

Stwór płynął powoli z wielkim, mrocznym majestatem, poprzez lodowate wody w dali. Mgła wzbierała i opadała wokół niego, czasem na chwilę przesłaniając jego kształty. W jednym z oczu potwora odbiło się i rozblęsnęło nasze potężne światło, czerwone,

białe, czerwone, białe. Wyglądało jak dysk, unoszony wysoko i wysyłający wiadomość w prymitywnym szyfrze. Stwór był równie milczący jak mgła, przez którą płynął.

– To jakiś dinozaur!

Przykucnąłem, przytrzymując się poręczy.

– Owszem, jedyny w swoim rodzaju.

– Ale przecież one wymarły!

– Nie, tylko ukryły się w głębinach. Głęboko, w najgłębszej głębi. Pomyśl, Johnny, czy to słowo, prawdziwe słowo, nie mówi aż nazbyt wiele: Głębiny. Mieści w sobie cały chłód, ciemność i głębokość tego świata.

– Co teraz zrobimy?

– Zrobimy? Mamy swoją pracę, nie możemy odejść. Poza tym tu jesteśmy bezpieczniejsi niż w jakiejkolwiek łodzi próbującej dopłynąć na ląd. Ten stwór jest wielki jak niszczyciel i niemal równie szybki.

– Ale tutaj? Czemu przy pływa akurat tutaj?

Po chwili uzyskałem odpowiedź.

Syrena przeciwmgielna zawyła.

A potwór odpowiedział.

Ponad milionem lat wody i mgły rozległ się krzyk, krzyk tak pełen bólu i samotny, że wstrząsnął do głębi moim ciałem i umysłem. Potwór krzyknął do wieży, syrena zawyła, potwór znów ryknął, syrena zawyła. Potwór otworzył wielką zębatą paszczę i dźwięk, który dobył się z niej, był jak dźwięk samej syreny, samotny, ogromny i odległy. Dźwięk izolacji, monotonii morza, mroźnej nocy, odosobnienia. To był ów dźwięk.

– I co? – wyszeptał McDunn. – Czy teraz wiesz już, czemu tu przy pływa?

Przytaknąłem.

– Przez cały rok, Johnny, ten biedny potwór leży gdzieś daleko, tysiąc mil w głąb morza, dwadzieścia mil pod nim, i czeka. Może od miliona lat, jedyny samotny stwór. Pomyśl tylko: milion lat czekania. Czy ty zdołałbyś czekać tak długo? Może jest ostatni ze swego gatunku. Przypuszczam, że tak to właśnie wygląda. Nagle pojawili się ludzie z lądu i pięć lat temu zbudowali tę latarnię.



Zamontowali na niej syrenę przeciwmgielną i uruchamiali ją raz po raz, posyłając dźwięki w stronę miejsca, gdzie zagrzebałeś się we śnie i morskich wspomnieniach świata, w którym żyły tysiące takich jak ty, lecz teraz zostałeś sam, zupełnie sam na świecie, nie stworzonym już dla ciebie. Świecie, w którym musisz się ukrywać.

Jednakże odgłos syreny pojawia się i znika, pojawia i znika, a ty budzisz się na błotnistym dnie głębin, twoje oczy otwierają się niczym soczewki dwustopowych kamer i poruszasz się powoli, jakże powoli, bo na barkach ciąży ci ogrom oceanu. Ale zew syreny roznosi się ponad tysiącem mil wody, słaby i znajomy, a palenisko w twoim brzuchu ożywa i powoli, stopniowo zaczynasz się unosić. Zaspokajasz swój głód wielkimi kęsami dorsza i ławicami małych rybek, rzekami meduz, i wypływasz powoli przez kolejne jesienne miesiące, przez wrzesień, gdy zaczynają się mgły, przez październik pełniejszy mgieł, gdy syrena wciąż cię przyzywa, aż wreszcie pod koniec listopada, po powolnym wyrównaniu ciśnień, kilka stóp co godzinę, jesteś tuż pod powierzchnią i wciąż żyjesz. Musisz poruszać się stopniowo, bo gdybyś wypłynął natychmiast, eksplodowałbyś. Potrzebujesz zatem całych trzech miesięcy, żeby osiągnąć powierzchnię, a potem kilku dni, aby dopłynąć przez zimne wody do latarni. I oto jesteś tu nocą, Johnny, największy potwór w dziejach stworzenia, a latarnia wzywa cię, unosi wystającą nad wodę szyję długą niczym twoja szyja i ciało niczym twoje ciało, a co najważniejsze, głos niczym twój głos. Teraz rozumiesz, Johnny? Rozumiesz?

Syrena przeciwmgielna zawyła.

A potwór odpowiedział.

I ujrzałem je wszystkie, poznałem je wszystkie – milion lat samotnego czekania, by ktoś powrócił, ktoś, kto nigdy nie wraca. Milion lat samotności na dnie morza, obłąd spędzonego tam czasu, podczas gdy z nieba znikwały latające gady, bagna na kontynentach wysychały, leniwce i tygrysy szablatozębne przeżyły swój rozkwit i zatoneły w smolnych jamach, a ludzie niczym białe mrówki wyroili się na wzgórza.

Syrena przeciwmgielna zawyła.

– W zeszłym roku – oznajmił McDunn – stwór całą noc pływał dokoła i dokoła, dokoła i dokoła. Nie zbliżał się zbyt. Powiedziałbym, że był zdziwiony. Może się bał i trochę rozgniewał po tym, jak przebył tak długą drogę. Następnego dnia jednak niespodziewanie mgła się podniosła i wyszło słońce, a niebo było błękitne jak na obrazku. Potwór odpłynął od ciepła i ciszy i już nie wrócił. Przypuszczam, że przez cały ten rok rozmyślał gdzieś, analizując to wszystko na wszelkie sposoby.

Potwora dzieliło od nas zaledwie sto jardów; krzyczeli na siebie na zmianę z syreną. Gdy odbijało się w nich światło, jego oczy były jak ogień i lód, ogień i lód.

– Oto życie – ciągnął McDunn. – Ktoś zawsze czeka na kogoś, kto nigdy nie wróci. Zawsze ktoś kocha coś bardziej, niż to coś jego, i po jakimś czasie pragniesz zniszczyć to coś, by nie mogło już dłużej cię ranić.

Potwór pędził wprost na latarnię.

Syrena przeciwmgielna wyła.

– Zobaczmy, co się stanie – rzekł McDunn.

I wyłączył syrenę.

Następna minuta ciszy była tak przejmująca, że słyszeliśmy własne serca walące gwałtownie w oszklonym pomieszczeniu na wieży. Słyszeliśmy powolne, naoliwione obroty latarni.

Potwór zatrzymał się i zamarł, jego wielkie świetliste oczy zamrugwały, paszcza otworzyła się szeroko. Wydał z siebie grzmiący odgłos przypominający wulkan, zaczął kołysać głową w tę i w tę, jakby szukając dźwięku, który rozplynął się we mgle. Przyjrzał się latarni, znów zagrzmiał, a potem jego oczy zapłonęły. Uniósł się wyżej, młóćąc wodę, i runął wprost na wieżę z oczami pełnymi cierpienia i wściekłości.

– McDunn! – krzyknąłem. – Włącz syrenę!

McDunn zaczął majstrować przy włączniku. W chwili gdy ją uruchomił, potwór już się podnosił – dostrzegłem gigantyczne łapy, rybią skórę połyskującą błoniasto pomiędzy palcowatymi wyrostkami. Zaatakował wieżę, wielkie oko z prawej strony udreżonej głowy zalśniło przede mną niczym kocioł, w który

mógłbym runąć z krzykiem. Latarnia zadygotała, syrena krzyknęła, potwór także. Chwycił wieżę i zaczął gryźć szkło, które pękło, zasypując nas odłamkami.

McDunn chwycił mnie za rękę.

– Na dół!

Latarnia kołysała się, dygotała i zaczęła się walić, syrena i potwór ryczeli. Popędziliśmy schodami, potykając się i omal z nich nie spadając.

– Szybko!

Dotarliśmy na dół w chwili, gdy z góry zaczął się sypać gruz. Zanurkowaliśmy pod schody do niewielkiej kamiennej piwnicy, kamienie padały dokoła z tysiącami łoskotów. Syrena przeciwmgielna umilkła nagle, potwór zderzył się z wieżą, która runęła. Uklękliśmy razem, McDunn i ja, ściskając się mocno, a nasz świat eksplodował.

A potem wszystko się skończyło i pozostały tylko ciemność i szum morza na surowych kamieniach.

A także jeszcze jeden dźwięk.

– Słuchaj – mruknął cicho McDunn. – Słuchaj.

Odczekaliśmy chwilę i wtedy usłyszałem: najpierw potężny odgłos zasysanego powietrza, a potem lament, oszołomienie, samotność wielkiego potwora, opadającą na nas, nad nas, a mdlący smród jego ciała wypełnił powietrze o grubość kamienia od piwnicy. Potwór zachłystywał się i płakał. Wieża zniknęła. Światło zniknęło. Coś, co nawoływało go poprzez milion lat, zniknęło. A on otwierał paszczę i wydawał ogłuszające dźwięki, dźwięki syreny przeciwmgielnej, raz po raz, i znowu. A statki na morzu, nie widząc światła, nie widząc niczego, lecz przepływając w dali i nasłuchując w ciemności, z pewnością myślały: oto on, samotny dźwięk, syrena z Samotnej Zatoki. Wszystko w porządku, opłynęliśmy przylądek.

I tak to trwało przez resztę nocy.

\* \* \*

Następnego popołudnia słońce płonęło na niebie, złote i gorące, gdy ratownicy przybyli, by wykopać nas z zasypanej piwnicy.

– Po prostu się rozpadła i tyle – oznajmił ponuro pan McDunn. – Parę razy uderzyły w nas mocne fale i się zawaliła. – Uszczypnął mnie w rękę.

Nie było już czego oglądać, ocean był spokojny, niebo błękitne. Pozostał tylko potężny smród alg i zielonej mazi, pokrywającej zawalone kamienie i przybrzeżne skały. Wokół brzęczały stada much, pusty ocean lizał brzegi.

Rok później wybudowali nową latarnię, do tego czasu jednak znalazłem pracę w niewielkim miasteczku, a także żonę i porządny, niewielki, ciepły dom, który jaśniał żółcią w jesienne noce, za zamkniętymi drzwiami, a z komina wypływał dym. Co do McDunna, został panem nowej latarni, wzniesionej zgodnie z jego zaleceniami ze zbrojonego stali i betonu.

– Na wszelki wypadek – wyjaśnił.

Nowa latarnia była gotowa w listopadzie. Podjechałem tam samotnie pewnego późnego wieczoru, zaparkowałem i wyjrzałem na szare wody, nasłuchując nowej syreny, która wyła, raz, dwa, trzy, cztery razy na minutę, zupełnie sama.

A potwór?

Nigdy już nie wrócił.

– Odszedł – wyjaśnił McDunn. – Wrócił w głębiny. Zrozumiał, że na tym świecie niczego nie można kochać za mocno. Odpłynął w najgłębsze głębiny, by zaczekać kolejny milion lat. Och, biedactwo! Czeka tam i czeka, a tymczasem człowiek krąży i odchodzi na tej żalostnej planetce. A on czeka i czeka.

Siedziałem w wozie, nasłuchując. Nie widziałem latarni ani światła w Samotnej Zatoce, słyszałem tylko syrenę, syrenę, syrenę. Brzmiała jak głos potwora.

Siedziałem tam i żałowałem, że nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

## KWIETNIOWA CZAROWNICA

Cecy fruwała w powietrzu nad dolinami, pod gwiazdami, nad rzeką, stawem, drogą, niewidzialna jak młody wiosenny wietrzyk, świeża jak oddech koniczyny wlatujący znad pól o zmierzchu. Fruwała. Szybowała w synogarlicach, miękkich jak białe sobole, przystawała w drzewach i żyła w kwiatach, odpadając w płatkach po każdym powiewie wiatru. Przycupnęła w jadownicy zielonej żabce, chłodnej jak mięta nad lśniącym stawem. Dreptała w pokrytym rzepami psie i szczekała, nasłuchując echa odbijającego się od ścian odległych stodół. Żyła w młodych kwietniowych trawach, w słodkich, czystych kroplach wypływających z piżmowej ziemi.

To wiosna, pomyślała Cecy. Dziś w nocy będę w każdej żywej istocie tego świata.

Tu przycupnęła w świerszczach na drogach ze smoły, ówdzie migotała w rosie osiadającej na żelaznej bramie. Jej giętki, bystry umysł, umiejący przystosować się do wszystkiego, płynął unoszony wiatrami Illinois tego szczególnego wieczoru jej życia, gdy miała zaledwie siedemnaście lat.

– Chcę się zakochać – oznajmiła.

Powiedziała to przy kolacji. Rodzice spojrzeli na nią okrągłymi oczami i wyprostowali się na swych krzesłach.

– Cierpliwości – brzmiała ich rada. – Pamiętaj, że jesteś wyjątkowa, cała nasza rodzina jest niezwykła i wyjątkowa. Nie możemy się mieszać ze zwykłymi ludźmi ani ich poślubić, bo wówczas stracilibyśmy magiczne moce. Nie chciałybyś chyba utracić zdolności „podróżowania” dzięki magii, prawda? Zatem bądź ostrożna, bądź ostrożna!

Jednakże Cecy w swoim pokoju na piętrze musnęła perfumami szyję i przeciągnęła się na wielkim łożu, drżąc z obawą. A tymczasem nad ziemią Illinois wschodził księżyc barwy mleka, zamieniając rzeki w śmietankę, a drogi w platynę.

– Tak – westchnęła. – Należę do bardzo osobliwej rodziny. Przesypiamy dnie, a nocami fruujemy niczym czarne latawce niesione z wiatrem. Jeśli chcemy, możemy przespać zimę w kretach, w ciepłej ziemi. Mogę żyć we wszystkim, w czym tylko zechcę: w kamyku, krokusie bądź modliszce. Mogę opuścić swoje zwyczajne kościste ciało i posłać umysł daleko w poszukiwaniu przygody. Już!

Wiatr porwał ją nad pola i łąki.

Ujrzała ciepłe wiosenne światła domków i farm połyskujące barwami zmięzchu.

Jeśli sama nie mogę się zakochać, bo jestem nieładna i dziwna, to zakocham się poprzez kogoś innego, pomyślała. Przed domem na farmie w wiosenną noc ciemnowłosa dziewczyna, najwyżej dziewiętnastoletnia, zaczerpnęła wody z głębokiej kamiennej studni. Śpiewała.

Cecy wpadła do studni – samotny zielony listek. Leżała w miękkim mchu, patrząc w górę w chłodny mrok. A potem przeskoczyła do trzepoczącej niewidocznej ameby. W kroplę wody! I wreszcie, znalazłszy się w zimnym kubku, poczuła, jak unosi się do ciepłych ust dziewczyny. Rozległ się cichy odgłos picia.

Cecy wyjrzała na świat oczami dziewczyny.

Wtargnęła w ciemnowłosą głowę, patrząc lśniącymi oczami na dłonie podciągające sznur. Słuchała zgrabnymi jak muszelki uszami świata nieznanym. Delikatnymi nozdrzami czuła bicie tego wyjątkowego serca. Obcy język poruszał się, śpiewając.

Czy ona wie, że tu jestem? – pomyślała Cecy.

Dziewczyna zachłysnęła się głośno, spojrzała w dal na mroczną łąkę.

– Kto tu jest?

Nikt nie odpowiedział.

– To tylko wiatr – wyszeptała Cecy.

– To tylko wiatr.

Dziewczyna zaśmiała się z siebie, lecz jednocześnie zadrzała.

To było dobre ciało, ciało tej dziewczyny. Kości z najlepszej smukłej materii pokrywało krągłe ciało, umysł przypominał różę

herbacianą wiszącą w ciemności. Usta smakowały cydrem i winem, jędrne wargi spoczywały na jakże białych zębach, a brwi na widok świata unosiły się eleganckim łukiem. Włosy opadały na mlecznobiałą szyję, miękkie i gęste. Delikatna siateczka małych zamkniętych porów pokrywała skórę, zadarty nos wznosił się do księżycy, a policzki płonęły niczym niewielkie ogniska. Ciało przepływało zgrabnie i gładko jak piórko z jednego ruchu w następny i wydawało się, że zawsze śpiewa pod nosem. Przebywanie w tym ciele, tej głowie, było jak rozkoszowanie się ogniem paleniska, życie w mruczeniu śpiącego kota, przeciąganie się w ciepłych wodach strumienia płynących nocą do morza.

Spodoba mi się tutaj, pomyślała Cecy.

– Co? – spytała dziewczyna, jakby usłyszała czyjś głos.

– Jak się nazywasz? – zapytała ostrożnie Cecy.

– Ann Leary. – Dziewczyna wzdrygnęła się. – Dlaczego właściwie powiedziałam to na głos?

– Ann. Ann – wyszeptała Cecy. – Ann, zakochasz się.

Jakby w odpowiedzi z drogi dobiegł głośny ryk, brzęczenie i turkot kół na żwirze. Wysoki mężczyzna podjechał bryczką, dzierżąc wysoko lejce w ogromnych dłoniach, jego uśmiech rozświetlił całe podwórze.

– Ann!

– To ty, Tomie?

– A któż by inny?

Przybysz zeskokczył z kozła i przywiązał lejce do płotu.

– Nie odzywam się do ciebie! – Ann obróciła się szybko, chlupiąc wodą z trzymanego w dłoni cebrzyka.

– Nie! – krzyknęła Cecy.

Ann zamarła. Patrzyła na wzgórza i pierwsze gwiazdy wiosny. Wpatrywała się w mężczyznę imieniem Tom. Cecy kazała jej upuścić cebrzyk.

– Zobacz, co zrobiłaś!

Tom podbiegł do niej.

– Zobacz, co zrobiłam przez ciebie!

Ze śmiechem wytarł jej buty chustką do nosa.

- Idź sobie!

Kopnęła jego dłonie, on jednak znów się zaśmiał i, patrząc na niego z wysokości wielu mil, Cecy ujrzała obrót jego głowy, rozmiar czaszki, szeroko rozdęte nozdrza, błysk oka, rozpiętość barów i twardą siłę dłoni delikatnie operujących chusteczką. Przyglądając się z tajnego strychu tej uroczej głowy, Cecy szarpnęła ukryty miedziany drut brzuchomowcy i urocze usta otwarły się szeroko.

- Dziękuję!

- Ach, zatem jesteś jednak wychowana?

Zapach skóry na jego dłoniach, zapach konia wznoszący się z ubrania ku wrażliwym nozdrzom - i Cecy, jakże daleka nad nocnymi i ukwieconymi łąkami, poruszyła się w łóżku, jakby nawiedził ją nowy sen.

- Nie przy tobie! - warknęła Ann.

- Cii, mów spokojnie - upomniała Cecy. Przesunęła palce Ann ku głowie Toma. Ann cofnęła je gwałtownie.

- Chyba oszalałam!

- Owszem - przytaknął uśmiechnięty i oszołomiony. - A zatem zamierzałaś mnie dotknąć?

- Nie wiem. Och, idź sobie! - Jej policzki płonęły niczym różowe węgielki.

- To dlaczego ty nie uciekniesz? Ja cię nie powstrzymuję. - Tom się podniósł. - Czyżbyś zmieniła zdanie? Pójdiesz dziś ze mną na tańce? To wyjątkowy dzień, później wyjaśnię dlaczego.

- Nie - odparła Ann.

- Tak! - zawołała Cecy. - Nigdy nie tańczyłam, a chcę tańczyć. Nigdy nie nosiłam długiej, szeleszczącej sukni. Chcę tego. Chcę tańczyć całą noc. Do dziś nie przebywałam w tańczącej kobiecie: ojciec i matka nigdy na to nie zezwolili. Psy, koty, szarańczę, liście, wszystko inne na tym świecie zdążyłam już poznać, ale nigdy kobiety wiosną, nigdy w taką noc. Och, proszę, musimy iść na te tańce!

Rozcapierzyła tę myśl niczym palce dłoni w nowej rękawicze.

- Tak - odparła Ann Leary. - Pójdę. Nie wiem dlaczego, ale pójdę dziś z tobą na tańce, Tomie.



– A teraz do środka, szybko! – krzyknęła Cecy. – Musisz się umyć, uprzedzić rodzinę, przygotować suknię. Idź do siebie, łap się za żelazko!

– Matko – zawołała Ann. – Zmieniłam zdanie!

\* \* \*

Bryczka odjechała drogą galopem, pokoje domu ożyły, woda wrzała nastawiona na kąpiel, piecyk węglowy rozgrzewał żelazko mające odprasować suknię, matka biegła dokoła z wachlarzem szpilek w ustach.

– Co cię naszło, Ann? Przecież nie lubisz Toma!

– To prawda. – Ann zatrzymała się nagle pośród gorączkowego chaosu.

Ale jest wiosna! – pomyślała Cecy.

– Jest wiosna – oznajmiła Ann.

I to piękna noc na tańce, pomyślała Cecy.

– ...na tańce – wymamrotała Ann Leary.

A potem siedziała już w wannie, a mydło pieniało się na jej białych foczych ramionach, wijąc niewielkie gniazdka pod pachami, a ciepłe piersi uginały się w dłoniach. Cecy poruszała wargami, sprawiając, że się uśmiechnęły, zmuszając ją do działania. Wiedziała, że nie może pozwolić na ani chwilę przerwy czy wahania, inaczej cała pantomima mogłaby runąć w gruzy! Ann Leary musi wciąż działać, coś robić, nie przestawać. Tu się myć, ówdzie namydlić, teraz wyjść! Wytrzeć ręcznikiem! A teraz perfumy i puder!

– Ty! – Ann dostrzegła swoje odbicie w lustrze, w bieli i różu lilii i goździków. – Kim ty dziś jesteś?

– Jestem dziewczyną, siedemnastką. – Cecy wyjrzała z jej fiołkowych oczu. – Nie widzisz mnie. Wiesz, że tu jestem?

Ann Leary pokręciła głową.

– Bez dwóch zdań opętała mi ciało kwietniowa czarownica.

– Blisko, bardzo blisko! – Cecy roześmiała się. – A teraz dalej, ubieraj się!

Rozkoszne uczucie miękkiej tkaniny naciąganej na zgrabne ciało! A potem „witaj!” z zewnątrz.

– Ann, Tom wrócił!

– Powiedz, żeby zaczekał. – Ann nagle usiadła. – Powiedz, że nie pójdę na tańce.

– Co takiego? – rzuciła od wejścia matka.

Cecy z powrotem skupiła uwagę: cóż za fatalna chwila odprężenia, jeden moment, gdy opuściła ciało Ann, bo usłyszała odległy tętent końskich kopyt i skrzypienie bryczki jadącej przez wiosenną krainę zalaną promieniami księżyca. Przez sekundę pomyślała: pójdę, znajdę Toma, posiedzę w jego głowie i zobaczę, jak to jest być mężczyzną, dwudziestodwulatkiem, w taką noc.

Ruszyła zatem szybko nad wrzosowiskiem, teraz jednak niczym ptak do klatki przyfrunęła z powrotem i trzepocząc skrzydłami, osiadła w głowie Ann Leary.

– Ann!

– Powiedz, żeby sobie poszedł!

– Ann!

Cecy usadowiła się wygodnie i rozpostarła myśli.

Ale Ann zagryzła już wędzidło.

– Nie, nie cierpię go!

Nie powinnam była odchodzić nawet na chwilę. Cecy wiała swój umysł w dłonie młodej dziewczyny, w jej serce, głowę, ostrożnie, delikatnie.

Wstań! – poleciła.

Ann wstała.

Włóż płaszc.

Ann włożyła płaszc.

A teraz marsz!

Nie! – pomyślała Ann Leary.

Marsz!

– Ann – upomniała matka – nie każ Tomowi czekać kolejnej minuty. Wychodź już i bez kaprysów. Co cię napadło?

– Nic, matko. Dobranoc. Wrócimy późno.

Ann i Cecy wybiegły razem w wiosenny wieczór.

\* \* \*

Sala pełna łagodnie tańczących gołębi, szeleszczących cichymi,

długimi piórami. Sala pełna paw, sala pełna tęczy oczu i świateł. A pośrodku tego wszystkiego, dokoła i dokoła, tańczyła Ann Leary.

- Och, co za piękny wieczór – rzekła Cecy.
- Och, co za piękny wieczór – powiedziała Ann.
- Dziwna jesteś – mruknął Tom.

Muzyka porywała ich w mrok, w głąb rzek pieśni, unosili się, podskakiwali, tonęli razem, wypływali, by chwycić powietrze, zachłystywali się głośno, przywierali do siebie niczym para tonących, a potem znów wirowali w ruchach wachlarza, w szepciach i westchnieniach, do wtóru „Pięknego Ohio”.

Cecy nuciła. Wargi Ann rozchyliły się i spomiędzy nich wypłynęła muzyka.

- Tak, jestem dziwna – powiedziała Cecy.
- Jesteś jak nie ta sama – uznał Tom.
- Tak, nie dzisiaj.
- Nie jesteś Ann Leary, którą znałem.
- Zupełnie nie, zupełnie nie – wyszeptała Cecy z odległości wielu mil.
- Nie, zupełnie nie – wypowiedziały poruszające się usta.
- Mam takie niezwykle uczucie.
- Co do czego?
- Co do ciebie. – Objął ją, unosząc w tańcu, i wbił wzrok w jaśniejącą twarz, jakby czegoś szukał. – Twoje oczy – dodał. – Nie potrafię tego zrozumieć.
- Czy ty mnie widzisz? – spytała Cecy.
- Część z ciebie to Ann, a część nie. – Tom obrócił ją ostrożnie, minę miał niespokojną.
- Tak.
- Dlaczego przyszłaś tu ze mną?
- Nie chciałam przyjść – oznajmiła Ann.
- No to czemu?
- Coś mnie zmusiło.
- Co?
- Nie wiem. – W głosie Ann pobrzmiwała lekka nutka hysterii.
- Już dobrze, spokojnie, cicho – wyszeptała Cecy. – Cicho, nic się

nie dzieje, dokoła, dokoła.

Szeptali pośród szelestów, wznosili się i opadali w mrocznej sali, a muzyka poruszała ich i obracała.

– Ale jednak przyszedł na tańce – stwierdził Tom.

– Owszem – odparła Ceca.

– Chodź. – Uniósł ją lekko w tańcu przez otwarte drzwi, prowadząc cicho coraz dalej od sali, muzyki i ludzi.

Razem wspięli się i usiedli w bryczce.

– Ann – powiedział, drżąc, i ujął jej dłonie. – Ann. – Ale wciąż wymawiał to imię, jakby nie należało do niej, cały czas zerkał w jej bladą twarz, a teraz oczy znów miała otwarte. – Kiedyś cię kochałem, wiesz o tym – dodał.

– Wiem.

– Ale zawsze byłeś płocha, a ja nie chciałem, byś mnie zraniła.

– I dobrze, jesteśmy jeszcze młodzi – odparła Ann.

– Nie, chciałam powiedzieć, że mi przykro – oznajmiła Ceca.

– O czym ty mówisz? – Tom wypuścił jej dłoń i zeszytniał.

Noc była ciepła, rozedrgany zapach ziemi wznosił się aż ku miejscu, w którym siedzieli, a świeże drzewa szeleściły trzepoczącymi listkami; brzmiało to, jakby oddychały.

– Nie wiem – mruknęła Ann.

– Ale ja wiem – wtrąciła Ceca. – Jesteś wysoki i najprzystojniejszy z mężczyzn na tym świecie. To dobry wieczór, to wieczór, który zapamiętam na zawsze, bo jestem z tobą. – Wyciągnęła obcą, zimną dłoń i odszukała jego niechętną rękę, przyciągając ku sobie, rozgrzewając, ściskając bardzo mocno.

– Ale... – Tom zamrugał. – Dziś jesteś to tutaj, to tam. W jednej chwili mówisz tak, w drugiej siak. Chciałem cię zabrać na tańce przez pamięć dawnych czasów. Kiedy cię zaprosiłem, nie myślałem o niczym więcej. A potem, gdy staliśmy przy studni, pojąłem, że coś się w tobie zmieniło, naprawdę się zmieniło. Byłaś inna. Było w tobie coś nowego, miękkiego, coś... – Przez chwilę szukał słowa. – Nie wiem, nie potrafię tego wyrazić. To, jak wyglądałaś. Brzmienie twego głosu. I wiem, że znów cię pokochałem.

– Nie – odparła Cecy. – To mnie. Mnie.

– I boję się zakochania w tobie – dodał. – Bo znów mnie zranisz.

– Możliwe – odparła Ann.

Nie, nie, ja cię kocham, całym sercem! – pomyślała Cecy. – Ann, powiedz mu to, powiedz dla mnie. Powiedz, że go kochasz całym sercem.

Ann milczała.

Tom cicho przysunął się bliżej i uniósł jej twarz.

– Wyjeżdżam. Dostałem pracę sto mil stąd. Będziesz za mną tęsknić?

– Tak – odparły Ann i Cecy.

– Czy zatem mogę cię pocałować na pożegnanie!

– Tak – rzekła Cecy, nim ktokolwiek inny zdążył odpowiedzieć.

Przycisnął wargi do owych obcych ust, ucałował obce usta, cały drżąc.

Ann siedziała niczym biały posąg.

– Ann! – rzuciła Cecy. – Rusz rękami, obejmij go.

Siedziała w blasku księżyca niczym lalka wyrzeźbiona z drewna.

On znów ucałował jej usta.

– Ja też cię kocham – wyszeptła Cecy. – Jestem tu, to mnie ujrzałeś w jej oczach, to ja, i kocham cię tak, jak ona nigdy nie pokocha.

Odsunął się, wyglądał jak człowiek, który przebiegł bardzo długi dystans. Siedział obok niej.

– Nie wiem, co się dzieje. Przez chwilę...

– Tak? – spytała Cecy.

– Przez chwilę wydawało mi się... – Przycisnął dłoń do oczu. – Nieważne. Odwieźć cię do domu?

– Proszę – rzuciła Ann Leary.

Tom zacmokał na konia, ze znużeniem potrząsnął lejcam i bryczka ruszyła. Jechali pośród skrzypów, turkotów i poruszeń zalanej księżycowym światłem bryczki, a obok nich przepływały lśniące łąki i słodkie pola koniczyny.

A Cecy, spoglądając na pola i łąki, pomyślała: byłoby warto, warto byłoby poświęcić wszystko, byle z nim być od tej nocy. I znów usłyszała słabe głosy swych rodziców: „Bądź ostrożna, nie

chciałabyś przecież stracić swych magicznych nocy, prawda, poślubiona zwykłemu śmiertelnikowi? Bądź ostrożna, nie chciałabyś tego”.

Tak, tak – pomyślała Cecy. – Nawet z tego bym zrezygnowała, tu i teraz, gdyby tylko mnie zechciał. Nie musiałabym wędrować wiosennymi nocami, nie musiałabym żyć w ptakach, psach, kotach i lisach, byleby tylko z nim być. Tylko z nim. Tylko z nim.

Droga przepływała pod nimi, szepcząc.

– Tom – zagadnęła w końcu Ann.

– Co? – Patrzył zimno na drogę, konia, drzewa, niebo, gwiazdy.

– Jeśli w przyszłości, w następnych latach, kiedykolwiek trafisz do Green Town w stanie Illinois, kilka mil stąd, zrobisz coś dla mnie?

– Może.

– Zechcesz odwiedzić tam moją przyjaciółkę? – spytała niechętnie, niezręcznie Ann Leary.

– Czemu?

– To dobra przyjaciółka, opowiadałam jej o tobie. Dam ci jej adres. Jedną chwilkę. – Gdy powóz zatrzymał się przy jej farmie, z niewielkiej torebki wyciągnęła ołówek i kawałek papieru i zaczęła pisać w blasku księżycy, przyciskając kartkę do kolana.

– O, proszę. Dasz radę przeczytać?

Zerknął na kartkę i przytaknął oszołomiony.

– Cecy Elliott, Willow Street 12, Green Town, Illinois – odczytał głośno.

– Odwiedzisz ją kiedyś? – poprosiła Ann.

– Kiedyś.

– Obiecujesz?

– Co to ma wspólnego z nami?! – zawołał gwałtownie. – Po co mi jakieś nazwiska i papierki? – Zgniół kartkę w małą kulkę i wcisnął do kieszeni płaszcza.

– Och, proszę, obiecaj! – błagała Cecy.

– ...Obiecaj... – dodała Ann.

– Już dobrze, dobrze. Daj mi spokój! – huknął.

Jestem zmęczona – pomyślała Cecy. – Nie mogę zostać. Muszę wracać do domu, słabnę. Mam ledwie dość mocy, by pozostawać

poza ciałem tylko kilka godzin i podróżować, podróżować. Ale nim odejdę...

– Nim odejdę... – rzekła Ann.

Pocałowała Toma w usta.

– To ja cię całuję – powiedziała Cecy.

Tom odsunął ją, spojrzał na Ann Leary i wniknął wzrokiem głęboko do jej wnętrza. Nic nie powiedział, lecz jego twarz zaczęła się powoli odprężać, bardzo powoli, zmarszczki i bruzdy znikwały, twardo zaciśnięte usta złagodniały i znów spojrzał głęboko w rozświetloną księżycem, trzymaną przed sobą twarz.

A potem zsadził ją z kozła i bez słowa pożegnania odjechał szybko drogą.

Cecy zwolniła uścisk.

Ann Leary krzyknęła i jak uwolniona z więzienia popędziła rozsrebrzoną ścieżką do swego domu, zatrzaskując głośno drzwi.

Cecy została jeszcze chwilę. Oczami świerszcza ujrzała nocny, wiosenny świat, oczami żaby posiedziała samotną chwilę nad stawem, oczami nocnego ptaka spojrzała w dół z wysokiego smaganego księżycem wiązu i zobaczyła, jak w dwóch domach gasną światła. W jednym bliżej, w drugim milę dalej. Pomyślała o sobie i swojej rodzinie, a także dziwnej mocy i tym, że nikt z rodziny nigdy nie mógłby poślubić żadnego z ludzi na tym ogromnym świecie poza wzgórzami.

– Tom? – Jej słabnący umysł pofrunął w nocnym ptaku pod drzewami, nad szerokimi polami dzikiej gorczycy. – Czy wciąż masz tę kartkę, Tomie? Czy odwiedzisz mnie kiedyś, któregoś roku? Czy przyjdiesz do mnie? I czy wówczas mnie poznasz? Czy spojrzysz mi w twarz i przypomnisz sobie, kiedy widziałeś mnie ostatnio, i zrozumiesz, że mnie kochasz, tak jak ja Kocham Ciebie, całym sercem, po wsze czasy?

Zatrzymała się w chłodnym nocnym powietrzu, milion mil od miast i ludzi, nad farmami, kontynentami, rzekami i wzgórzami.

– Tom? – rzuciła miękko.

Tom spał. Był środek nocy, ubrania odwiesił na oparcia krzesel bądź złożył starannie u stóp łóżka. A w jednej milczącej, uniesionej dłoni, na białej poduszce, tuż przy głowie, tkwiła

zapisana karteczka papieru. Wolno, bardzo wolno, ułamek cała za ułamkiem palce zacisnęły się mocno. I nie poruszył się nawet ani nie zauważył, kiedy kos słabo, cudownie uderzył cicho w czyste, księżycowe kryształy szyb, a potem, trzepocząc skrzydłami, odleciał na wschód ponad uśpioną ziemią.



## GŁUSZA

„W końcu nadeszły dobre czasy...”.

Zmierzchało. Janice i Leonora pakowały się spokojnie w swoim letnim domu, śpiewając piosenki, podjadając to i owo i w razie konieczności obejmując się mocno. Nigdy jednak nie zerkały za okno, gdzie gęstniała noc i wschodziły jasne i zimne gwiazdy.

– Słuchaj! – rzuciła Janice.

Ich uszu dobiegł dźwięk przypominający parowiec płynący po rzece, ale to była rakieta na niebie. A dalej – grające banjo? Nie, tylko nocne świerszcze, w tym roku 2003. Dziesięć tysięcy dźwięków szemrało w mieście, oddychało na dworze. Janice słuchała z pochyloną głową.

Dawno, dawno temu, w 1849, ta sama ulica oddychała głosami brzuchomówców, kaznodziejów, przepowiadaczy przyszłości, błaznów, uczonych, hazardzistów zebranych w tymże samym Independence w stanie Missouri. Czekali tam, aż upała zapiece wilgotną ziemię, a wielkie fale traw wyrosną dość gęste i mocne, by utrzymać ciężar ich wozów, ich koni, ich najprzeróżniejszych przyszłości i ich marzeń.

*W końcu nadeszły dobre czasy,  
ruszamy na Marsa, a żywo,  
pięć tysięcy kobiet na niebie  
to niezłe wiosenne żniwo!*

– To stara piosenka z Wyoming – mruknęła Leonora. – Wystarczy zmienić słowa i pasuje do dwa tysiące trzeciego.

Janice uniosła pudełeczko pigułek żywnościowych, szacując w głowie, ile w sumie rzeczy wieziono na owych wyniosłych wozach o wysokich osiach. Na każdego mężczyznę, na każdą kobietę przypadały niewiarygodne tony. Szynki, połcie boczku, cukier, sól, mąka, suszone owoce, suchary, kwasek cytrynowy,

woda, imbir, pieprz – lista tak wielka jak ten kraj! A przecież dziś pigułki mieszczące się w naręcznym zegarku wystarczyły, by wykarmić cię nie tylko podczas jazdy z Fort Laramie do Hangtown, ale poprzez całą międzygwiazdną głuszę.

Janice otworzyła szeroko drzwi szafy i omal nie krzyknęła. Wyjrzały na nią ciemność, noc i wszystkie przestrzenie pomiędzy gwiazdami.

Wiele lat temu wydarzyły się dwie rzeczy: siostra zamknęła ją wrzeszczącą w szafie, a potem na przyjęciu, bawiąc się w chowanego, ona sama przebiegła przez kuchnię w głąb długiego, ciemnego korytarza. Ale to nie był korytarz. To była nieoświetlona klatka schodowa, wszechogarniająca czerń. Janice, biegnąc, nagle znalazła się w pustce. Rozpaczliwie przebierała nogami, krzyknęła i upadła. Spadła w noc, czerń, do piwnicy. Upadek trwał bardzo długo, jedno uderzenie serca, a wtedy w szafie, dawno, dawno temu, dusiła się bez światła, bez przyjaciół i nikt nie słyszał jej krzyków. Z dala od wszystkiego, zamknęła w ciemności. Spadająca w ciemność. Z wraskiem!

Dwa wspomnienia.

Teraz, przy otwartej szafie, gdy ciemność wisiała przed nią niczym aksamitny całun, czekając, aż ją pogładzi drżącą ręką, gdy mrok oddychał jak czarna pantera, patrząc na nią zgaszonymi oczami, owe dwa wspomnienia ożyły nagle. Przestrzeń i spadanie. Przestrzeń i zamknięcie i krzyki. Wraz z Leonorą pracowały w równym tempie, pakując i uważając, by nie wyrzeć przez okna na przerażającą Drogę Mleczną i ogrom pustki – tylko po to, by jakże znajoma szafa z zamkniętą w niej prywatną nocą przypomniawszy w końcu o celu ich podróży.

Oto jak będzie tam, w górze, gdy zaczną sunąć ku gwiazdom, nocą, w wielkiej, ohydnej czarnej szafie, do wtóru krzyków, których nikt nie usłyszy. Wieczne spadanie pośród chmur meteorów i bezbożnych komet. W dół szybu windy, w dół węglowego zsypu rodem z najgorszych koszmarów, wiodącego w nicość.

Krzyknęła. Z jej ust nie wyrwał się żaden dźwięk. Krzyk zderzył się ze sobą w piersi i głowie. Krzyknęła i zatrzasnęła drzwi szafy!

Oparła się o nie! Czują, jak ciemność oddycha i łomocze w drzwi, i przytrzymywała je mocno, a do oczu napływały jej łzy. Stała tam bardzo długo, aż w końcu rozdygotane ciało uspokoiło się i patrzyła na krzątającą się Leonorę. Dzięki temu zignorowana histeria odpływała coraz dalej i dalej, aż w końcu minęła. Zegarek na jej ręku tykał, wydając czyste dźwięki normalności.

\* \* \*

– Sześćdziesiąt milionów mil. – W końcu podeszła do okna jak do głębokiej studni. – Nie mogę uwierzyć, że dziś wieczór mężczyźni na Marsie budują miasta i czekają na nas.

– Musisz tylko wierzyć, że jutro zdążymy na naszą rakietę.

W pokoju Janice uniosła białą suknię niczym ducha.

– To dziwne, dziwne. Wziąć ślub w innym świecie.

– Chodźmy do łóżka.

– Nie! O północy będzie połączenie. Nie zdołałabym zasnąć, wciąż bym rozmyślała, jak powiedzieć Willowi, że zdecydowałam się polecieć rakieta marsjańską. Och, Leonoro, pomyśl tylko, mój głos w telefonie świetlnym pokona sześćdziesiąt milionów mil, wędrując do niego. Tak szybko zmieniałam zdanie: boję się!

– Nasza ostatnia noc na Ziemi.

Teraz naprawdę to zrozumiały i pogodziły się z tym. Wreszcie dotarła do nich ta świadomość: wyjeżdżają i może już nigdy nie wrócą. Opuszczają miasto Independence w stanie Missouri na kontynencie północnoamerykańskim, otoczone przez jeden ocean, zwany Atlantykiem, i drugi, Pacyfik, i żadnej z tych rzeczy nie mogą zamknąć w swych walizkach. Cofnęły się przed tą ostateczną wiedzą, teraz jednak znów się pojawiła. A one patrzyły w oszołomieniu.

– Nasze dzieci nie będą Amerykanami ani w ogóle Ziemianami. Wszyscy będziemy Marsjanami, do końca naszego życia.

– Ja nie chcę lecieć! – krzyknęła nagle Janice.

Panika uwięziła ją w miejscu.

– Boję się! Przestrzeni, ciemności, rakiety, meteorów! Zostawiłabym wszystko! Czemu miałabym tam lecieć?

Leonora ujęła ją za ramiona i przyciągnęła do siebie, kołysząc.

– To nowy świat. Zupełnie jak w dawnych czasach, najpierw mężczyźni, kobiety za nimi.

– Czemu, czemu miałabym tam lecieć? Powiedz mi.

– Ponieważ – rzekła w końcu cicho Leonora, sadzając ją na łóżku – tam jest Will.

Dobrze było usłyszeć jego imię. Janice umilkła.

– Ci mężczyźni strasznie wszystko utrudniają – powiedziała Leonora. – Kiedyś, gdy kobieta przebiegła dwieście mil dla mężczyzny, to było coś. Potem zrobili z tego tysiąc mil. A teraz oddalają się od nas o cały wszechświat. Ale to nas nie powstrzyma, prawda?

– Boję się, że w rakiecie zachowam się jak głupia.

– To będę głupia z tobą. – Leonora wstała. – A teraz przejdźmy się po mieście i obejrzymy wszystko po raz ostatni.

Janice wyjrzała przez okno.

– Jutro w nocy to wszystko będzie tutaj, ale my nie. Ludzie obudzą się, zjedzą śniadanie, będą pracować, spać, znów się budzić, ale my już tego nie zobaczymy, a oni nigdy za nami nie zatęsknią.

Leonora i Janice zaczęły krążyć po pokoju, jakby nie mogły znaleźć drzwi.

– No chodź.

Otworzyły je, zgasiły światło, przekroczyły próg i zamknęły drzwi za sobą.

\* \* \*

Niebo migotało od przylotów i przelotów. Olbrzymie eksplozje ruchu, donośne gwizdy i świsty, szalejące śnieżyce. Helikoptery, białe płatki opadające cicho. Z zachodu i wschodu, północy i południa, kobiety przybywały i przybywały. Na całym nocnym niebie widać było helikopterową zamieć, hotele pękały w szwach, w prywatnych domach urządzano noclegi, na łąkach i pastwiskach wyrosły miasta namiotów, niczym dziwaczne, brzydkie kwiaty, a dziś w nocy miasto i okolice rozgrzewało coś więcej niż lato. Rozgrzewały je różowe twarze kobiet i ogorzałe od słońca twarze nowych mężczyzn wpatrzonych w niebo. Za

wzgórzami rakiety wypróbowywały swój ogień i dźwięk niczym olbrzymie organy, których klawisze naciśnięto równocześnie. I ich ryk wstrząsał wszystkimi kryształowymi oknami i ukrytymi kośćmi, czuło się go w szczęce, w palcach u nóg i rąk: nieustanne drżenie.

Leonora i Janice usiadły w sklepiku pośród nieznanych kobiet.

– Moje panie, wyglądacie uroczo, ale też bardzo smutno – zauważył sprzedawca.

– Dwa koktajle czekoladowe. – Leonora uśmiechnęła się za nie obie, jakby Janice zabrakło głosu.

Wpatrywały się w napój niczym w rzadki okaz w muzeum. Na Marsie przez wiele lat trudno będzie dostać koktajl.

Janice pogrzebała w torebce, z wahaniem wyjęła kopertę i położyła na marmurowej ladzie.

– To od Willa, do mnie. Przyszło raketową pocztą dwa dni temu. To przez ten list podjęłam decyzję i postanowiłam lecieć. Nie mówiłam ci. Chcę, żebyś go teraz obejrzała. No dalej, czytaj.

Leonora wyjęła list z koperty i przeczytała głośno.

*Moja droga Janice: to będzie nasz dom, jeśli zdecydujesz się przyjechać na Marsa. Will.*

Leonora znów postukała w kopertę i na ladę wypadło z niej kolorowe, połyskujące zdjęcie. Przedstawiało dom: ciemny, omszały, stary, karmelowobrazowy przytulny dom, otoczony czerwonymi kwiatami i chłodnymi, zielonymi paprociami. Ganek porastał nieprzystojnie włośchaty bluszcz.

– Ależ Janice!

– Co?

– To przecież wasz dom, tu, na Ziemi, przy Em Street!

– Nie. Przyjrzyj się uważniej.

I znów spojrzały razem i po obu stronach przytulnie ciemnego domu i za nim ujrzały krajobraz nieprzynależny do Ziemi. Grunt miał dziwnie fioletową barwę, trawa była bladoczerwona, a niebo lśniło niczym szary diament. Z boku rosło dziwaczne, powykręcane drzewo, wyglądało jak staruszka, która w siwe

włosy wplotła kryształki.

– To dom, który zbudował dla mnie Will – wyjaśniła Janice. – Na Marsie. Jego widok mi pomaga. Przez cały wczorajszy dzień, gdy tylko nadarzała się okazja, gdy byłam sama i wpadałam w panikę, wyciągałam to zdjęcie i patrzyłam na nie.

Obie wbiły wzrok w ciemny, wygodny dom, sześćdziesiąt milionów mil od nich. Znajomy, a jednocześnie obcy, stary, lecz nowy. W prawym oknie salonu jaśniało żółte światło.

– Stary, dobry Will. – Leonora pokiwała głową. – Doskonale wie, co robi.

Dopiły koktajle. Na zewnątrz wielki ciepły tłum nieznajomych przechodził obok, a z letniego nieba padał miarowo „śnieg”.

\* \* \*

Kupiły wiele niemądrych drobiazgów, żeby wziąć je ze sobą: torebki cytrynowych landrynek, kolorowe kobiece pisma, kruche flakoniki perfum, a potem przeszły przez miasto i wypożyczyły dwa zapinane na pasy kaftany, które nie uznawały grawitacji. Naśladując ćmy, dotknęły delikatnych kontroltek i poczuły, jak ze szmerem unoszą się nad miastem, niczym białe płatki kwiatów.

– Dokądkolwiek – powiedziała Leonora. – Wszystko jedno dokąd.

Pozwoliły nieść się wiatrowi: pozwoliły, by poniósł je przez noc letnich jabłoni i ciepłych przygotowań, ponad uroczym miastem, domami z dzieciństwa i innych czasów, ponad szkołami i alejkami, strumieniami i łąkami, i farmami tak znajomymi, że każde ziarno pszenicy lśniło niczym złota moneta. Mknęły jak liście uciekające przed groźbą ognistego wiatru, pośród ostrzegawczych szmerów i huku letnich błyskawic, między falującymi wzgórzami. Oglądały mlecznobiałe drogi, nad którymi nie tak dawno szybowały w rozświetlonych promieniach księżycy helikopterach, pośród wirów dźwięku, opadając spiralą ku lądowisku obok rześkich nocnych strumieni, z młodymi mężczyznami, którzy już odeszli.

Szybowały we wszechogarniającym westchnieniu nad miastem, już odległym mimo niewielkiej przestrzeni między nimi a ziemią;

miastem pozostającym w tyle, w czarnej rzece i napływającym wielką falą światła i kolorów, nietykalnym niczym sen, odmalowanym w ich oczach farbą nostalgii, paniką pamięci, która tworzy wspomnienia, nim minie jeszcze chwila.

Unoszone bezszelestnie, wirując, ukradkiem zerkały na setki twarzy najbliższych przyjaciół, których tu zostawiały, oświetlone blaskiem lamp ludzi zamknięte w ramach okien, jak się zdawało przepływających obok w powiewach wiatru, niesione tchnieniem czasu. Nie było drzewa, którego by nie obejrzały w poszukiwaniu dawnych miłosnych wyznań, wrytych i wytartych w korze, ani chodnika, nad którym nie przemykałyby niczym nad polami iskrzącego się jak mika śniegu. Po raz pierwszy pojęły, że ich miasto jest piękne pięknem samotnych światła i starożytnych cegieł, i obie poczuły, jak oczy robią im się okrągłe od oglądania tego piękna, uczyły, którą same dla siebie wydały. Szybowały na wieczornej karuzeli, a ich uszy wychwytywały dobiegające tu i tam strzępy muzyki, głosy i mamrotania z domów nawiedzonych bielą telewizorów.

Dwie kobiety przemykały niczym igły zszywające drzewa swoimi perfumami. Ich oczy były zbyt pełne, a jednak zapisywały każdy szczegół, każdy cień, każdy samotny dąb i wiąz, każdy przejeżdżający samochód na wąskich, krętych uliczkach w dole. Aż w końcu nie tylko ich oczy się wypełniły, ale także głowy i wreszcie serca.

Czuję się, jakbym nie żyła, pomyślała Janice, i trafiła na cmentarz w wiosenną noc, gdy wszystko żyje prócz mnie, wszyscy poruszają się gotowi żyć dalej beze mnie. Tak samo czułam się każdej wiosny, gdy miałam szesnaście lat i mijałam cmentarz. Opłakiwałam ich, bo oni nie żyli, a ja owszem, i wydawało mi się to niesprawiedliwe w nocie tak łagodnej jak ta. Byłam winna życia. A teraz, tutaj, dzisiaj, czuję, że zabrali mnie z cmentarza i wypuścili do miasta jeszcze jeden raz, bym przekonała się, jak to jest być żywym, być miastem i ludźmi, nim znów zatrzasną za mną czarne drzwi.

Lekko, o jakże lekko, niczym dwa papierowe lampiony na wietrze, kobiety płynęły nad swoim życiem i przeszłością, nad

łąkami, gdzie jarzyły się miasta namiotów, i szosami, po których aż do świtu miały się toczyć ciężarówki z zapasami. Długi czas wisały nad tym wszystkim.

Zegar na budynku sądu wybił trzy kwadranse po jedenastej, kiedy opadły niczym pajęczce sieci z gwiazd, lądując na zalanym promieniami księżyca chodniku przed starym domem Janice. Miasto spało. Dom Janice czekał na nie, by przyszły poszukać własnego snu, którego tam nie było.

– Czy to my tutaj? – spytała Janice. – Janice Smith i Leonora Holmes w roku dwa tysiące trzecim?

– Tak.

Janice oblizała wargi i wyprostowała się.

– Chciałabym, żeby był jakiś inny rok.

– Tysiąc czterysta dziewięćdziesiąty drugi? Tysiąc sześćset dwunasty? – Leonora westchnęła, a wiatr wśród drzew westchnął wraz z nią, oddalając się. – Zawsze jest Dzień Kolumba albo Dzień Skąły Plymouth i niech mnie, jeśli wiem, co my, kobiety, możemy na to poradzić.

– Być starymi pannami.

– Albo zrobić to, co my.

Otworzyły drzwi ciepłego nocnego domu, odgłosy miasta powoli konały w ich uszach. Kiedy zamknęły drzwi za sobą, zadzwieczał telefon.

– Rozmowa! – wykrzyknęła Janice, puszczając się biegiem.

Leonora weszła do sypialni za nią i ujrzała, że Janice trzyma już słuchawkę przy uchu i powtarza:

– Halo, halo?

A operator w odległym mieście szykował olbrzymią aparaturę, która połączy dwa światy. Dwie kobiety czekały, jedna siedząca i blada, druga stojąca, lecz równie blada, pochylona nad nią.

Nastała długa cisza, pełna gwiazd i czasu, pełna wyczekiwania niczym ostatnie trzy lata dla nich wszystkich. Aż w końcu nadeszła ta chwila i tym razem to Janice mogła zatelefonować poprzez miliony milionów mil, meteorów i komet, uciekających od żółtego słońca, które mogłoby zagotować bądź wypalić jej słowa, odparować ich sens. Jednakże jej głos przebił wszystko



niczym srebrna igła, szwami rozmowy poprzez wielką noc, odbijając się echem od księżyców Marsa. Aż w końcu odnalazł drogę do mężczyzny w pokoju w mieście na innym świecie, pięć minut radiowych dalej. Oto jak brzmiała jej wiadomość:

– Halo, Will, tu Janice! – Przełknęła ślinę. – Mówią, że nie mam zbyt wiele czasu. Góra minutę.

Zamknęła oczy.

– Chcę mówić powoli, ale oni każą to zrobić szybko i załatwić sprawę. Chciałam więc powiedzieć: podjęłam decyzję. Przylecę tam. Jutro odlecę rakieta, mimo wszystko przybędę tam, do ciebie. I cię kocham. Mam nadzieję, że mnie słyszysz. Kocham cię. Minęło tyle czasu...

Jej głos powędrował do owego niewidzialnego świata. Teraz, kiedy przekazała już wiadomość, wypowiedziała słowa, pragnęła je cofnąć, ocenzurować, poprzestawiać, by zdanie zabrzmiało łatwiej, ładniej, by lepiej tłumaczyło jej duszę. Słowa jednak zawisły już pomiędzy planetami i gdyby jakieś kosmiczne promieniowanie oświetliło je, gdyby zapłonęły tam pośród zwiewnych cudów, jej miłość rozświetliłaby tuzin światów i zaskoczyła nocną stronę Ziemi, wywołując przedwczesny świt. Teraz słowa nie należały już do niej, należały do kosmosu, należały do nikogo, póki nie dotrą na miejsce, podróżując z prędkością stu osiemdziesięciu sześciu tysięcy mil na sekundę, aż do celu.

Co on odpowie? Co powie w tej minucie czasu? – zastanawiała się. Zaczęła majstrować przy zegarku na ręce, przekręcać go, a słuchawka telefonu świetlnego przy uchu potrzaskiwała, kosmos mówił do niej elektrycznymi tańcami i piosnkami, słyszalnymi zorzami.

– Czy odpowiedział? – wyszeptała Leonora.

– Ciii. – Janice schyliła się jakby targaty nią mdłości.

I wtedy przez otchłań zabrzmiał jego głos.

– Słyszę go! – zawołała Janice.

– Co on mówi?

Głos nawoływał z Marsa, unosząc się przez miejsca nieznające wschodów ani zachodów słońca, w których zawsze panuje noc,

a słońce lśni pośród czerni. I gdzieś pomiędzy Marsem a Ziemią cała wiadomość zaginęła, być może w fali elektrycznego ciężenia wzbudzonej przez meteor albo interferencji deszczu srebrnych asteroid. Tak czy inaczej, drobne słowa, nieważne słowa wiadomości odpłynęły i gdy głos zabrzmiał, wypowiedział tylko jedno słowo.

– ...Kocham.

A potem znów zapadła bezkresna noc i dźwięk obracających się gwiazd i słońc, szepczących do siebie, a także jej serca, niczym innego świata w kosmosie, wypełniający słuchawki.

– Słyszałaś go? – spytała Leonora.

Janice zdołała tylko skinąć głową.

– I co powiedział, co powiedział?! – wykrzyknęła Leonora.

Ale Janice nie potrafiła powiedzieć nikomu: to było zbyt piękne, zbyt dobre. Siedziała, słuchając tego jednego słowa, raz po raz odtwarzanego w pamięci. Siedziała zasłuchana, nie czując nawet, jak Leonora odbiera jej telefon i odwiesza na miejsce.

\* \* \*

A potem leżały w łóżku przy zgaszonych światłach, a nocny wiatr niósł przez pokoje zapach długiej podróży w ciemności, wśród gwiazd, a ich głosy rozmawiały o jutrze i kolejnych dniach, które w ogóle nie będą dniami, ale nocodniami bezczasowego czasu; a potem ucichły, rozplływając się we śnie bądź rozmyślaniach na jawie, i Janice leżała samotnie w swym łóżku.

Czy tak to wyglądało sto lat temu, zastanawiała się, gdy w noc przed wyjazdem kobiety leżały gotowe do snu bądź niegotowe, w małych miasteczkach na wschodzie, i słuchały odgłosów kopyt w nocy i skrzypienia wozów gotowych do drogi, i wołów rozmyślających pod drzewami, i płaczu dzieci, które zbyt wcześnie poznały samotność? Wszystkich tych dźwięków, przyjazdów i odjazdów w głębokie lasy i pola, kowali pracujących we własnych rozpalonych piekłach aż do nocy? A także zapachu boczków i szynek gotowych do podróży, ciężaru wozów niczym statków wyładowanych dobrami i wodą w drewnianych beczułkach, które będą przechylać się i chlupać

na preriach, i kurcząt histerycznie gdaczących w swych podwieszonych pod wozami skrzyniach, i psów pędzących naprzód w głąsę i wracających z lękiem, z odbitą w oczach pustką? Czy tak zatem wyglądało to dawno temu? Na skraju przepaści, na krawędzi urwiska pośród gwiazd? W ich czasach woń bawołów, w naszych zapach rakiety? Czy tak właśnie było?

I kiedy sen przejął od niej stery marzeń, zdecydowała, że tak, rzeczywiście zdecydowanie, kategorycznie, nieodwracalnie tak. Tak właśnie zawsze było i jest. I zawsze będzie.

## OWOCE NA DNIE MISY

William Acton podniósł się. Zegar na kominku wybił północ.

William spojrział na swoje palce, potem na otaczający go duży pokój i na leżącego na podłodze mężczyznę. William Acton, którego opuszki uderzały w klawisze maszyny do pisania, kochały się, przyrządzały smażone jajka na szynce na wczesne śniadanie, teraz tymi samymi dziesięcioma poznaczonymi zawijasami palcami dokonał morderstwa.

Nigdy nie uważał się za rzeźbiarza, a przecież w tej chwili, patrząc w dół pomiędzy dłońmi na ciało na lśniącej drewnianej posadzce, zrozumiał, że dzięki rzeźbiarskiemu ściskaniu, przekręcaniu i przerabianiu ludzkiej gliny chwycił tego człowieka, niejakiego Donalda Huxleya, i odmienił jego fizjonomię, sam kształt jego ciała.

Jednym mocnym ruchem palców zgasił surowy błysk w oczach Huxleya, zastępując go mętną ślepotą zimnego oka tkwiącego w oczodole. Wargi, zawsze różowe i zmysłowe, rozchylały się, ukazując końskie zęby, żółte siekacze, kły pokryte plamami z nikotyny, trzonowce w złotych koronach. Nos, także różowy, obecnie stał się błądy, odbarwiony i pokryty plamami, podobnie uszy. Dłonie Huxleya leżące na podłodze otwarły się, po raz pierwszy w życiu błagając, zamiast żądać.

Owszem, widać w tym było wyraźną koncepcję artystyczną. Ogólnie rzecz biorąc, zmiana bardzo posłużyła Huxleyowi. Śmierć sprawiła, że łatwiej można się było z nim dogadać: teraz dało się do niego mówić, a on musiał słuchać.

William Acton spojrział na własne palce.

Stało się. Już tego nie odwróci. Czy ktokolwiek usłyszał? Wytężył słuch. Z zewnątrz dobiegał zwykły szum późnowieczornego ruchu samochodowego. Nie zakłócały go trzaski drzwi, wyważanie skrzydła z framugi, głosy domagające się wpuszczenia. Morderstwo, rzeźbiarska zmiana gliny z ciepłej

na zimną, już się dokonało i nikt o tym nie wiedział.

Co teraz? Zegar oznajmił północ. Wszystkie odruchy nakazywały mu puścić się do historycznej ucieczki w stronę drzwi, biegiem, byle dalej, biegiem, i nigdy nie wracać, wsiąść do pociągu, wezwać taksówkę, iść, biec, spacerować, truchtać i jak najszybciej się stąd wynieść!

Unióśł dłonie do oczu. Zawisły tam, unosząc się w powietrzu i obracając.

Przekręcił je powoli, z rozmysłem, sprawiały wrażenie ulotnych, lekkich jak piórka. Dlaczego tak się im przyglądam? – zdumiał się w duchu. Czy kryją w sobie coś niezwykle interesującego, tak bardzo, że po udanym zaduszeniu powinien przystanąć i obejrzeć je, zawijas po zawijasie?

To były zwykłe dłonie, nie grube, nie chude, nie długie, nie krótkie, nie włochate, nie nagie, nie wymanikiurowane, a przecież nie brudne, nie miękkie, choć nie pokryte odciskami, nie pomarszczone, mimo że nie gładkie i wcale nie mordercze – a przecież nie niewinne. Przyglądał im się, jakby nagle odkrył nowy cud.

Tak naprawdę nie interesowały go nawet dłonie jako takie ani palce jako takie. W otępiełej, beczasowej chwili, po dokonanym pełnym przemocy czynie, zafascynowały go wyłącznie koniuszki palców.

Zegar tykał na kominku.

William ukląkł obok ciała Huxleya, wyjął mu z kieszeni chusteczkę i zaczął metodycznie szorować szyję tamtego. Tarł i masował skórę, z gorączkową energią wytarł też twarz i kark. Potem wstał. Przyjrzał się szyi. Spojrzał na wyfroterowaną podłogę. Powoli pochylił się i kilka razy przesunął po niej chusteczką. Skrzywił się i zaczął wycierać posadzkę, z początku dookoła głowy trupa, później przy jego rękach. Następnie wypolerował ją wszędzie dookoła, szorował podłogę w promieniu metra od ciała ze wszystkich stron, następnie dwóch metrów od ciała ze wszystkich stron i trzech metrów od ciała ze wszystkich stron. A potem... Znieruchomiał.

\* \* \*

I w tym momencie ujrzał cały dom, korytarze wyłożone lustrami, rzeźbione drzwi, wspaniałe meble i tak wyraźnie, jakby ktoś odtwarzał to słowo po słowie, usłyszał, jak Huxley rozmawia z nim dokładnie tak, jak rozmawiali godzinę wcześniej.

Palec na dzwonku Huxleya. Otwierające się drzwi.

– Och. – Huxley sapnął wstrząśnięty. – To ty, Acton.

– Gdzie moja żona, Huxley?

– Naprawdę myślisz, że ci powiem? Nie stój tak, ty idioto. Jeżeli chcesz poważnie pogadać, wejdź do środka. Tymi drzwiami. Tam. Do biblioteki.

Acton dotknął drzwi biblioteki.

– Drinka?

– Przyda mi się. Nie wierzę, że Lily odeszła, że...

– Mam tam butelkę burgunda, Acton. Zechcesz przynieść ją z barku?

Tak. Przynieś. Złap. Dotknij. Zrobił to.

– Mam tu sporo ciekawych pierwszych wydań, Acton. Pomocaj tę opravę. Poczuj ją.

– Nie przyszedłem oglądać twoich książek.

Dotykał książek i stołu w bibliotece, a także butelki burgunda i kieliszków.

Teraz, przykucnięty na podłodze obok zimnego trupa Huxleya, z chusteczką do polerowania w palcach, nieruchomy, przyglądał się domowi, ścianom, meblom dookoła. Oczy mu się rozszerzyły, z ust pociekła ślina. Oszołomiło go to, co zrozumiał i co ujrzał. Zamknął oczy, opuścił głowę, zmiął chusteczkę między dłońmi, zwijając ją, zagryzając zębami wargę, ciągnąc ją do wewnątrz.

Odciski palców były wszędzie, wszędzie!

– Zechcesz przynieść burgunda, Acton, co? Butelkę burgunda, co? Twoimi palcami, co? Jestem okropnie zmęczony. Rozumiesz?

Para rękawiczek.

Zanim zrobi jeszcze cokolwiek, nim wyczyści kolejny obszar, musi znaleźć parę rękawiczek, inaczej nieintencjonalnie po wyczyszczeniu powierzchni może ponownie zostawić na niej ślad swojej tożsamości.

Wetknął ręce do kieszeni, a potem ruszył przez dom do stojaka na parasole w przedpokoju i wieszaka na kapelusze. Płaszcz Huxleya. Wywrócił kieszenie.

Ani śladu rękawiczek.

Znów z rękami w kieszeniach pomaszerował na górę, poruszając się z kontrolowaną szybkością, nie dając się ponieść gorączce, bez szaleństw. Z początku popełnił błąd, nie wkładając rękawiczek (ale też ostatecznie nie planował morderstwa, a jego podświadomość, która być może wiedziała o zbrodni, nim jeszcze stała się ona rzeczywistością, nie podsunęła nawet sugestii, że mógłby ich potrzebować przed końcem tej nocy), teraz zatem musiał zapłacić wysiłkiem za ten grzech zaniechania. Gdzieś w tym domu musi być co najmniej jedna para rękawiczek. Należało się śpieszyć; istniała spora szansa, że ktoś może odwiedzić Huxleya nawet o tej porze. Bogaci przyjaciele wpadali na drinka i wypadali ze śmiechem, krzycząc, przychodząc i odchodząc bez słowa powitania czy pożegnania. Ma czas najwyżej do szóstej rano – wtedy przyjaciele Huxleya mieli go odebrać i razem ruszyć w podróż na lotnisko, a stamtąd do Mexico City.

Acton zaczął się szybciej krzątać na górze, otwierał szuflady, posługując się chusteczką jak bibułą. Przegrzebał siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt szuflad w sześciu pokojach, zostawiając je z – jakby tu rzec? – wywieszonymi językami, i biegł do następnych. Czuł się nagi, niezdolny czeokolwiek zrobić, póki nie znajdzie rękawiczek. Mógłby wyszorować cały dom tą chusteczką, czyszcząc każdą możliwą powierzchnię, na której mogły pozostać odciski palców, do połysku, a potem przypadkiem wpaść na ścianę i przypieczętować własny los jednym mikroskopijnym symbolem pełnym zawijasów! To byłoby jak przyłożenie pieczęci aprobaty do morderstwa – oto jak by to wyglądało! Jak owe woskowe pieczęcie z dawnych czasów, gdy ludzie szeleścili papirusami, kreślili litery inkaustem, posypywali wszystko piaskiem, by wysuszyć atrament, a następnie odciskali sygnety w rozgrzanej szkarłatnej lace na dole. I tak właśnie by było, gdyby zostawił na miejscu zbrodni jeden, choćby jeden odcisk

palca! Jego aprobata wobec morderstwa nie sięgała tak daleko, by je opieczętowywać.

Więcej szuflad! Bądź cicho, bądź ostrożny, bądź uważny, upominał się w duchu.

Na dnie osiemdziesiątej siódmej szuflady znalazł rękawiczki.

– O mój Boże, mój Boże! – Z ciężkim westchnieniem oparł się o biurczko. Przymierzył rękawiczki, uniósł je, dumnie rozprostował palce, zapiął. Były miękkie, szare, grube, niezniszczalne. Teraz może wyczyniać dłońmi najróżniejsze sztuczki i nie zostawić żadnych śladów. Potarł kciukiem nos, przeglądając się w lustrze w sypialni, ssąc wargi.

\* \* \*

– Nie! – krzyknął Huxley.

Cóż to był za złowrogi plan.

Huxley upadł na ziemię – z rozmysłem! Och, co za paskudnie sprytny gość! Runął na drewnianą podłogę, ten nasz Huxley, a Acton za nim. Zaczęli turlać się, siłować, drapać posadzkę, zostawiając na niej dziesiątki, setki odcisków rozgorączkowanych palców! Huxley wyśliznął się o parę stóp, Acton popełzył za nim, oplótł mu dłońmi szyję i zaczął naciskać, aż w końcu wypłynęło z niego życie niczym pasta z tubki!

Teraz, już w rękawiczkach, William Acton wrócił do pokoju, ukląkł na podłodze i zaczął starannie wycierać każdy szaleńczo oznakowany kawałeczek, cal za cal, cal za cal, polerował i polerował, aż w końcu mógł niemal ujrzeć w deskach swą skupioną, spoconą twarz. Potem podszedł do stołu, wyszorował nogę, solidny korpus, gałki i blat. Dotarł do miski woskowych owoców, wytarł srebrny filigran, powyciągał owoce i przetarł je do czysta, pozostawiając nietknięte te na samym dnie miski.

– Jestem pewien, że ich nie dotykałem – powiedział.

Po wyszorowaniu stołu zatrzymał się przy ramie obrazu nad nim.

– Jestem pewien, że tego nie dotykałem – powtórzył.

Stał przez chwilę, wpatrując się w nią.

Popatrzył na wszystkie drzwi w pokoju. Z których dziś



korzystał? Nie pamiętał. Zatem musi wyszorować wszystkie. Zaczął od gałek, wypolerował do połysku, a potem, woląc nie ryzykować, starannie powycierał drzwi od góry do samego dołu. Następnie zaczął podchodzić do kolejnych mebli i wycierać poręcze krzesel.

– To krzesło, na którym siedzisz, Acton, to stary Ludwik XIV. Pomacaj tę tkaninę – rzekł Huxley.

– Nie przyszedłem tu rozmawiać o meblach, Huxley. Przychodzę w sprawie Lily.

– Daj spokój, przecież tak naprawdę ci na niej nie zależy, a ona cię nie kocha. Powiedziała mi, że jutro wyjedzie ze mną do Mexico City.

– Ty i twoje pieniądze, i te cholerne meble!

– To ładne meble, Acton. Bądź miłym gościem i pomacaj je.

Z tkaniny także można zdjąć odciski.

– Huxley! – William Acton wbił wzrok w ciało. – Czy domyślałeś się, że cię zabiję? Czy podświadomie podejrzewałeś, tak jak moja podświadomość podejrzewała, że to zrobię? I czy podświadomość kazała ci zmusić mnie, bym ganiał po całym domu, dotykając, przenosząc, macając, muskając książki, naczynia, drzwi krzesła? Czy byłeś aż tak sprytny i aż taki wredny?

Przetarł krzesła na sucho zwiniętą chusteczką, potem przypomniał sobie o ciele. Jego nie umył na sucho. Podeszedł do niego, obrócił w jedną i w drugą stronę, polerując każdą powierzchnię. Wyczyścił nawet buty i nie policzył sobie ani centa.

A kiedy polerował buty, jego twarzą wstrząsnął nerwowy tik. Po chwili Acton wstał i podeszedł do stołu.

Wyciągnął i wyczyścił woskowe owoce na dnie misy.

– Lepiej – szepnął i wrócił do ciała.

Gdy jednak przykucnął nad nim, zadrgała mu powieka, szczęka przesunęła się z boku na bok. Przez chwilę zastanawiał się, po czym wstał i wrócił do stołu.

Wypolerował ramę obrazu.

Robiąc to, nagle odkrył...

Ścianę.

– To – powiedział – już głupota.

– Och! – krzyknął Huxley, zmagając się z nim. Pchnął Actona podczas walki.

Ten upadł, wstał, dotknął ściany i znów pobiegł w stronę Huxleya. Udusił go. Huxley umarł.

Acton odwrócił się stanowczo od ściany, zdecydowanie nie dając się ponieść nerwom. Surowe słowa i działania rozmywały się w jego umyśle. Ukrył je, zerknął na cztery ściany.

– To śmieszne – rzucił.

Kątem oka dostrzegł coś na jednej z nich.

– Odmawiam poświęcania temu uwagi – oświadczył głośno, by zająć czymś myśli. – Do następnego pokoju. Będę metodyczny. Zobaczmy, byliśmy najpierw w holu, w bibliotece, w tym pokoju, w jadalni i w kuchni.

Na ścianie za nim pozostała plama. A może nie?

Odwrócił się gniewnie.

– No dobra, dobra, tylko żeby mieć pewność. – Podeszedł tam i nie znalazł żadnej plamy. – A nie, mała, jasne, tutaj. – Potarł ją chusteczką. – Zresztą to i tak nie odcisk palca.

Skończył, a jego dłoń w rękawiczce oparła się o ścianę. Przyjrzał się jej i temu, jak przesuwiała się w prawo i w lewo, jak opadała do stóp i wznosiła się nad głowę.

– Nie – mruknął cicho. Powiódł wzrokiem w górę, w dół, na boki i na ukos i powtórzył. – To już za wiele. Ile metrów kwadratowych? Mam to gdzieś – rzucił, ale choć oczy tego nie dostrzegały, palce w rękawiczkach poruszały się we własnym rytmie, pocierając lekko ścianę.

Przyjrzał się własnej dłoni i tapecie, potem obejrzał się przez ramię do sąsiedniego pokoju.

– Muszę tam pójść i wyczyścić podstawowe ślady – powiedział do siebie, ale jego dłoń pozostała, jakby chciała pochwycić ścianę albo podtrzymać jego samego. Twarz mu stężała.

Bez słowa zaczął szorować ścianę, w górę i w dół, w tył i w przód, w górę i w dół, tak wysoko, jak zdołał sięgnąć, i tak nisko, jak dał radę się schylić.

– To śmieszne, o mój Boże, śmieszne!

Ale musisz mieć pewność, upierały się myśli.

– Tak, trzeba mieć pewność – odparł.

Skończył z jedną ścianą, a potem...

Podszedł do drugiej.

– Która to godzina?

Spojrzał na zegar. Minęła godzina, było pięć po pierwszej.

Zadźwięczał dzwonek u drzwi.

Acton zamarł, wbijając w nie wzrok, na zmianę w drzwi, w zegar, w drzwi, w zegar.

Ktoś zastukał głośno.

Minęła długa chwila. Acton wstrzymywał oddech. Bez nowego powietrza w płucach zaczął się kołysać, słabnąć, w ciszy panującej w głowie huczały mu bezszelestne zimne fale rozbijające się na wielkich skałach.

– Hej, tam w środku! – usłyszał pijany głos. – Wiem, że tam jesteś, Huxley! Otwieraj, do diabła! Tu Billy-Boy, pijany jak zajac, Huxley, stary druhu. Pijany jak dwa zajace.

– Idź sobie – wyszeptał bezdźwięcznie Acton.

– Huxley, wiem, że tam jesteś! Słyszę twój oddech!

– Tak, jestem tutaj – wyszeptał Acton, czując, jak leży wyciągnięty, niezgrabnie rozrzucony na podłodze. Niezgrabny, zimny i milczący. Tak.

– Do diabła! – Głos rozpląnął się we mgle. Szurające kroki oddaliły się od drzwi. – Do diabła!

Acton stał jeszcze długą chwilę, czując czerwone serce bijące wewnątrz zamkniętych oczu w środku głowy. Gdy w końcu uniósł powieki, spojrzał na wyszorowaną ścianę prosto przed sobą i w końcu znalazł w sobie dość odwagi, by przemówić.

– Głupota – mruknął. – Na ścianie nic nie zostało. Nie dotknę jej. Muszę się śpieszyć. Muszę śpieszyć. Czas, czas. Zostało tylko kilka godzin, nim wpadną tu jego durni koledzy!

Odwrócił się.

Kącikiem oczu ujrzał drobnutki sieci. Kiedy stał odwrócony plecami, maleńkie pajęczki wypełzły z boazerii i zaczęły delikatnie snuć swe kruche, malutkie, na wpół niewidoczne

pajęczyny. Nie na ścianie po lewej, którą umył już do czysta, lecz na trzech jeszcze nietkniętych. Za każdym razem, gdy patrzył wprost na nie, pająki umykały z powrotem między deski tylko po to, by znów zacząć prząść, kiedy się wycofał.

– Te ściany są w porządku – upierał się, półkrzycząc. – Nie dotknę ich!

Podszedł do biurka, przy którym siedział wcześniej Huxley. Otworzył szufladę, wyciągnął to, czego szukał. Małe szkło powiększające, którego Huxley używał czasem do czytania. Acton zabrał je i nerwowo podszedł do ściany.

Odciski palców.

– Ale te nie są moje! – Zaśmiał się niepewnie. – Ja ich tu nie zostawiłem, jestem pewien, że nie! To pewnie służący, lokaj, może pokojówka!

Na ścianie było ich pełno.

– Spójrz na ten tutaj – dodał – długi i zwężony. Kobięcy, założę się, że tak.

– Założyłbyś się?

– Jasne!

– Jesteś pewien?

– Tak!

– Kategorycznie?

– No tak.

– Absolutnie?

– Tak, niech cię szlag, tak!

– Może i tak lepiej go wytrzyj.

– Proszę, na Boga!

– Precz stąd, przeklęta plamo, co, Acton?

– I ten, o tu – zadrwił Acton. – To odcisk jakiegoś grubasa.

– Czy aby na pewno?

– Tylko znów nie zaczynaj – warknął i wytarł go chusteczką. Ściągnął rękawiczkę, unosząc drżącą dłoń do ostrego światła.

– Popatrz na to, idioto. Widzisz układ zawijasów, widzisz?

– To niczego nie dowodzi!

– Tak, jasne.

Z wściekłością zaczął trzeć ścianę, w górę i w dół, w tył

i w przód, dłońmi w rękawiczkach, spocony, sapiąc, przeklinając, pochylając się i podnosząc, z coraz bardziej poczerwieniałą twarzą.

Ściągnął płaszcz i powiesił na krześle.

– Druga godzina – oznajmił, kończąc ze ścianą, i zerknął gniewnie na zegar.

Podszedł do misy, wyciągnął woskowe owoce, wypolerował te na dnie i ułożył z powrotem. Wyczyścił ramę obrazu.

Zerknął na żyrandol.

Palce u boków drgnęły nerwowo.

Jego usta otworzyły się, język przejechał po wargach, Acton znów spojrzał na żyrandol, odwrócił wzrok, popatrzył z powrotem, potem na ciało Huxleya i znów na kryształowy żyrandol, ozdobiony długimi perełkami tęczowego szkła.

Wziął krzesło, podstawił pod żyrandol, wsparł jedną stopę na siedzeniu, zdjął, po czym cisnął gwałtownie krzesłem w kąt, śmiejąc się głośno. A potem wybiegł z pokoju, zostawiając jedną ścianę nietkniętą.

W jadalni podszedł do stołu.

– Chcę ci pokazać moje gregoriańskie sztuczce, Acton – oznajmił Huxley. Och, ten swobodny, hipnotyczny głos!

– Nie mam czasu – uciął Acton. – Przyszedłem zobaczyć się z Lily.

– Bzdura, spójrz na te srebra, te misterne zdobienia.

Acton przystanął nad stołem, na którym leżały pudła sztucców. Ponownie usłyszał głos Huxleya, przypomniał sobie wszystkie dotknięcia i gesty.

Teraz wytarł widelce i łyżki, ściągnął wszystkie plakietki i specjalne ceramiczne talerze ze ściany...

– Oto urocza ceramika Gertrude i Otto Natzlerów, Acton. Znasz może ich prace?

– Faktycznie, urocza.

– Podnieś ją. Obróć w rękach, zobacz, jak cienka jest misa, ręcznie robiona na kole garncarskim, cieniutka jak skorupka jajka. Niewiarygodne. I ta niesamowita wulkaniczna glazura. Pomacaj ją. No dalej, mnie nie wadzi.

POMACAJ JĄ. NO DALEJ. PODNIEŚ!

Acton zaszlochał głośno. Cisnął naczyniem o ścianę; pękło z trzaskiem, rozbryzgując się deszczem odłamków na podłodze.

Sekundę później już klęczał. Wiedział, że musi znaleźć każdy kawałek, każdy odłamek. Głupcze, głupcze, głupcze! – krzyczał do siebie, kręcąc głową, zamykając i otwierając oczy, i pochylał się pod stołem. Znajdź każdy kawałek, idioto, żadnego nie możesz tu zostawić. Durniu, durniu! Pozbierał je, czy są wszystkie? Przyjrzał się odłamkom ułożonym na stole, potem znów zajrzał pod stół, pod krzesła, pod biureczka, w blasku zapałki znalazł jeszcze jeden, a potem zaczął polerować każdy fragmencik, niczym drogocenny klejnot. Ułożył je wszystkie w starannym rzędzie na lśniącym, wypolerowanym stole.

– Uroczy okaz ceramiki, Acton. No dalej, dotknij go.

Wyciągnął obrus, wytarł go, wytarł też krzesła, stoły, klamki, szyby w oknach, parapety, zasłony, podłogę, znalazł kuchnię i zdyszany, oddychając chrapliwie, ściągnął kamizelkę, poprawił rękawiczki i zaczął czyścić lśniący chrom.

– Chcę ci pokazać mój dom, Acton – oznajmił Huxley. – Chodź za mną...

Szorował wszystkie utensylia, srebrne krany, misy sałatkowe, bo do tej pory zapomniał już, czego dotykał, a czego nie. Wraz z Huxleyem zostali chwilę tu w kuchni – Huxley szczylił się jej urządzeniem, ukrywając zdenerwowanie wobec potencjalnego zabójcy. Może chciał znaleźć się blisko noży, na wypadek gdyby ich potrzebował? Stali tu, dotykając tego, tamtego, owego – nie zdoła w żaden sposób przypomnieć sobie czego, ilu rzeczy, jak wielu – a potem skończył z kuchnią i przeszedł korytarzem do pokoju, w którym leżał Huxley.

Krzyknął.

Zapomniał umyć czwartą ścianę! A pod jego nieobecność pajęczki wyłoniły się z niej i wyroily na te czyste, znów je brudząc. Na suficie od żyrandola aż po kąty podłogi milion maleńkich spiralnych sieci wydeło się pod wpływem jego krzyku. Maleńkie, maciupieńkie sieci, nie większe od, ironio, jego palców!

I kiedy tak patrzył, sieci zasnuwały ramę obrazu, misę

z owocami, ciało, podłogę. Odciski ścisnęły nóż do papieru, wyciągały szuflady, dotykały blatu stołu, dotykały, dotykały, dotykały, dotykały, wszystkiego, wszędzie.

Zaczął szaleńczo szorować podłogę. Przeturlał ciało, płacząc nad nim, i umył je, potem wstał, przeszedł przez pokój i wypolerował owoce na dnie misy. Następnie podstawił krzesło pod żyrandol, wspiął się na nie i wyczyścił każdy maleńki wiszący odłamek ognia, potrząsając nim jak kryształowym tamburynem, aż w końcu rozkołysał się w powietrzu niczym dzwon. Potem zeskoczył z krzesła i przytrzymując się klamek, wspiął się na inne meble. Przecierał ściany coraz wyżej i wyżej. Pobiegł do kuchni, złapał szczotkę i zmiotł pajęczyny z sufitu; wypolerował owoce na dnie misy, umył ciało, klamki, sztucce, znalazł poręcz w holu i podążył wzdłuż niej na górę.

Trzecia godzina! Wszędzie wokół tykały zegary, ostro, mechanicznie, nagłaco. Na dole było dwanaście pokoi, na górze osiem – zaczął obliczać kolejne metry przestrzeni i potrzebny czas. Sto krzeseł, sześć kanap, dwadzieścia siedem stołów, sześć aparatów radiowych, a także pod nimi, na nich, za nimi. Odsuwał meble od ścian i, szlochając, wycierał do czysta z zebranego przez lata starego kurzu. Potykając się, podążał wzdłuż poręczy na górę, obmacując, wycierając, szorując, polerując, bo gdyby zostawił choć jeden mały odcisk, ten rozmnożyłby się, tworząc milion kolejnych. I musiał powtarzać to raz po raz, a wybiła już czwarta! – a ręce bolały go, oczy zapuchły, patrząc przed siebie, poruszał się powoli na nie swoich nogach, opuszczając głowę, machając rękami, trąc, ścierając, szorując, sypialnia za sypialnią, szafa za szafą...

Znaleźli go o wpół do siódmej tego ranka.

Na strychu.

Cały dom był wysprzątnięty do połysku, wazony świeciły niczym szklane gwiazdy, krzesła połyskiwały, brązy, mosiądze i miedzie mieniły się światłem, podłogi lśniły, poręcze jaśniały.

Wszystko połyskiwało, wszystko błyszczało, wszystko się świeciło!

Znaleźli go na strychu. Polerował właśnie stare skrzynie, stare

ramy, stare krzesła, stare powozy-zabawki, pozytywki, wazony, sztuce, konie na biegunach i zakurzone monety z czasów wojny domowej. Wysprzątał już połowę strychu, kiedy policjant podszedł do niego z bronią.

- Gotowe!

Po drodze na dwór Acton wypolerował klamkę drzwi frontowych chusteczką i zatrzasnął je tryumfalnie!



## MACHINA LATAJĄCA

W roku pańskim 400 cesarz Yuan rezydował wraz z dworem nieopodal Wielkiego Muru Chińskiego, a kraina zieleniała od deszczu, szykując się do żniw. W cesarstwie panował spokój, a mieszkańcy nie byli ani zbyt szczęśliwi, ani nazbyt smutni.

Wczesnym rankiem pierwszego dnia pierwszego tygodnia drugiego miesiąca nowego roku cesarz Yuan sęczył herbatę i wachlował się w powiewach ciepłego wietrzyka, gdy zjawił się służący, pędząc po szkarłatnych i błękitnych ogrodowych płytkach.

– Och, cesarzu, cesarzu! – krzyczał. – Cud!

– Owszem – odparł cesarz – dziś rano powietrze istotnie jest bardzo słodkie.

– Nie, nie, cud! – Służący skłonił się szybko.

– A smak herbaty koi mi usta. To z pewnością cud.

– Nie, nie, Wasza Wysokość.

– Niech zatem zgadnę: słońce wzeszło i nastał nowy dzień. Albo też morze jest błękitne, to niewątpliwie najwspanialszy z cudów.

– Wasza Wysokość, człowiek lata!

– Co takiego? – Dłoń dzierzżąca wachlarz zamarła.

– Widziałem go w powietrzu, człowieka ze skrzydłami. Usłyszałem głos nawołujący z nieba. A kiedy uniosłem głowę, ujrzałem go, smoka na niebie z człowiekiem w paszczy, smoka z papieru i bambusa barwy słońca i trawy.

– Jest jeszcze wcześniej – rzekł cesarz. – Dopiero co ocknąłeś się ze snu.

– Jest wcześniej, ale widziałem to, co widziałem! Chodź, panie, a także to ujrzysz.

– Usiądź tu ze mną – polecił cesarz – i napij się herbaty. Jeśli to prawda, dziwne musiało być to przeżycie, ujrzeć latającego człowieka. Musisz mieć czas, by to przemyśleć, tak jak ja potrzebuję czasu, by przygotować się na owo dziwowisko.

Napili się herbaty.

– Proszę – rzekł w końcu sługa. – Bo już go nie będzie.

Cesarz wstał z namysłem.

– Teraz możesz mi pokazać, co widziałeś.

Razem ruszyli w głąb ogrodu przez trawiastą łąkę, niski mostek, gaj pełen wysokich drzew, na niewielkie wzgórze.

– Tam! – zawołał sługa.

Cesarz spojrział w niebo.

I ujrzał na nim śmiejącego się człowieka, tak wysoko, że ledwie słyszeli ów śmiech. Człowiek ten był odziany w jasne papiery i trzciny, tworzące skrzydła i przepiękny ogon, i szybował dokoła niczym największy ptak we wszechświecie ptaków, młody smok w krainie pradawnych smoków.

Człowiek spojrział na nich z wysoka, niesiony chłodnym wiatrem poranka.

– Ja latam, latam!

Sługa pomachał do niego.

– Tak, tak!

Cesarz Yuan nawet nie drgnął. Zamiast tego spojrział na Wielki Mur Chiński, nabierający kształtów spoza opadającej zasłony mgły na zielonych wzgórzach, wspaniałego kamiennego węża, który wije się majestatycznie w poprzek całego kraju. Ów cudowny mur chronił ich od niepamiętnych czasów przed hordami nieprzyjaciół i przez niepoliczone lata utrzymywał pokój w cesarstwie. Ujrzał też miasto przycupnięte nad rzeką, gościniec i wzgórze, budzące się do życia.

– Powiedz mi – rzekł do sługi – czy ktoś jeszcze widział tego latającego człowieka?

– Tylko ja, Wasza Cesarska Wysokość – odparł sługa, machając ręką i uśmiechając się ku niebu.

Cesarz jeszcze chwilę przyglądał się niebiosom.

– Zawołaj go do mnie.

– Hej, chodź tu, chodź tu! Cesarz chce się z tobą widzieć! – huknął sługa, przykładając dłonie do rozkrzyczanych ust.

Cesarz rozglądał się na wszystkie strony, podczas gdy latający człowiek szybował w dół niesiony porannym wiatrem. Dostrzegł

zapatrzonego w niebo rolnika, wcześniej pracującego w polu, i zapamiętał, gdzie stoi.

Latający człowiek wylądował do wtóru papierowego szelestu i skrzypienia bambusowych tyczek. Podszedł z dumą do cesarza, poruszając się niezgrabnie w uprzęży, i w końcu skłonił się nisko przed starym władcą.

– Coś ty uczynił? – spytał ostro cesarz.

– Frunąłem po niebie, Wasza Dostojność – odparł człowiek.

– Coś ty uczynił? – powtórzył cesarz.

– Właśnie powiedziałem! – zawołał lotnik.

– Niczego mi nie powiedziałaś.

Cesarz wyciągnął chudą rękę, dotykając delikatnego papieru i ptasiej stępkę aparatu. Machina pachniała chłodem, wiatrem.

– Czyż nie jest piękna, Wasza Dostojność?

– Tak, zbyt piękna.

– Jedyna na całym świecie! – Mężczyzna się uśmiechnął. – A ja ją wynalazłem.

– Jedyna na całym świecie?

– Przysięgam!

– Kto jeszcze o tym wie?

– Nikt. Nawet moja żona, która sądziła, że oszalałem od słońca. Myślała, że buduję latawiec. Wstałem w nocy i podszedłem do odległego urwiska, a kiedy powiał poranny wietrzyk i wstało słońce, zebrałem się na odwagę, Wasza Dostojność, i skoczyłem w przepaść. Poleciałem! Ale żona o tym nie wie.

– I dobrze dla niej – odparł cesarz. – Chodźcie ze mną.

Ruszyli z powrotem do wielkiego pałacu. Słońce wisiało już na niebie, powietrze pachniało świeżą trawą. Cesarz, sługa i lotnik przystanęli w rozległym ogrodzie.

Cesarz klasnął w dłonie.

– Hej, strażę!

Strażnicy przybiegli szybko.

– Pochwyćcie tego człowieka.

Strażnicy ujęli lotnika.

– Wezwijcie kata – polecił cesarz.

– Cóż to?! – wykrzyknął tamten oszołomiony. – Co takiego

zrobiłem?

Rozpłakał się, piękny papierowy aparat zaszeleścił.

– Oto człęk, który zbudował pewną maszynę – oznajmił cesarz – a jednak pyta nas, cóż takiego stworzył. Sam bowiem nie wie. Wystarczy fakt, iż stworzył, nie wiedząc, co uczynił ani co może zdziałać jego dzieło.

Kat przybiegł pędem, ściskając w dłoni ostry srebrny topór. Stał gotów, prężąc nagie, muskularne ramiona, jego twarz osłaniała uśmiechnięta błogo biała maska.

– Jedną chwilę – polecił cesarz.

Odwrócił się do pobliskiego stołu, na którym stała machina stworzona przez niego samego. Cesarz zdjął z szyi maleńki złoty kluczyk, wsunął go w miniaturową, delikatną maszynę i ją nakręcił. A potem uruchomił.

Maszyna była ogrodem z metalu i klejnotów; po uruchomieniu ptaki śpiewały na maleńkich metalowych drzewach, wilki wędrowały w miniaturowych lasach, a maleńcy ludzie wybiegali na słońce i uciekali z miejsca oświetlonego słońcem, wachlując się miniaturowymi wachlarzami, słuchając malutkich, szmaragdowych ptaków i stając przy niewiarygodnie małych szemrzących fontannach.

– Czyż to nie jest piękne? – spytał cesarz. – Gdybyś mnie spytał, co takiego zrobiłem, potrafiłbym odpowiedzieć w pełni. Sprawilem, że ptaki śpiewają, sprawilem, że lasy szepczą, sprawilem, że ludzie wędrują po tych lasach, radując się liśćmi, cieniem i pieśniami. Oto co uczynilem.

– Ależ cesarzu – błagał lotnik na kolanach, po twarzy płynęły mu strugi łez. – Ja przecież zrobiłem coś podobnego! Odnalazłem piękno, wzleciałem z porannym wiatrem, spojrzałem w dół na uśpione domy i ogrody, czułem zapach morza, a nawet je widziałem poza wzgórzami, z wysoka. I szybowałem jak ptak. Och, nie potrafię wyrazić, jak pięknie jest tam w górze, na niebie, w otoczeniu wiatru, który unosi mnie niczym piórko, niczym wachlarz. I ten zapach nieba o poranku! To, jak swobodny się czułem! To jest piękne, cesarzu, to też jest piękne!

– Tak – odrzekł ze smutkiem cesarz. – Wiem, że tak musi być

w istocie, czułem bowiem, jak moje serce szybuje z tobą w powietrzu, i zastanawiałem się: jak tam jest? Jakie to uczucie? Jak wyglądają z wysoka odległe stawy? Mój dom i sługi? Jak mrówki? A dalekie miasta wciąż pogrążone we śnie?

– Zatem oszczędź mnie!

– Bywają jednak chwile – podjął cesarz z jeszcze większym smutkiem – kiedy musimy utracić nieco piękna, by zatrzymać to, które już mamy. Ciebie samego się nie lękam, obawiam się jednak innego człowieka.

– Jakiego człowieka?

– Innego, który, widząc cię, zbuduje podobną maszynę z barwnych papierów i bambusa. Ale tamten człowiek będzie miał złą twarz i złe serce i piękno przeminie. To jego właśnie się lękam.

– Czemu? Czemu?

– Któż mógłby rzec, że któregoś dnia podobny człowiek w podobnym aparacie z papieru i trzciny nie wzleci w niebo i nie zasypie ciężkimi głazami Wielkiego Muru Chińskiego? – spytał cesarz.

Nikt nie odpowiedział, nikt nawet nie drgnął.

– Ściąć mu głowę – rozkazał władca.

Kat zamachnęła się srebrnym toporem.

– Spalcie ten latawiec i ciało wynalazcy. Ich prochy pogrzebcie razem.

Słudzy rzucili się wypełnić rozkaz.

Cesarz odwrócił się do swego sługi, który widział latającego nieszczęśnika.

– Trzymaj język za zębami. To był tylko sen, pełen smutku i piękna. A co do rolnika na odległym polu, który także go widział: znajdź go i zapłać, by uważał to za zwykłą wizję. Jeśli kiedykolwiek któryś z was szepnie choć słowo, ty i on zginiecie w ciągu godziny.

– Jesteś miłosierny, o cesarzu.

– Nie, nie miłosierny. – Za murem ogrodu ujrzał strażników palących piękną maszynę z papieru i tyczek, pachnącą porannym wiatrem. Widział ciemny dym wzbijający się w niebo. – Nie, tylko

bardzo oszołomiony i załęczniony. – Zobaczył, jak strażnicy kopią niewielki dół, by pogrzebać popioły. – Czymże jest życie jednego człowieka wobec żywotów miliona innych? Muszę pocieszać się tą myślą.

Raz jeszcze zdjął kluczyk z łańcuszka wiszącego na szyi i ponownie nakręcił piękny miniaturowy ogród. Stał tam, patrząc ponad krainą na Wielki Mur, spokojne miasto, zielone pola, rzeki i strumienie. Westchnął. Maszyneria napędzająca maleńki ogród wystartowała, ożywiając go: mali ludzie spacerowali po lasach, maleńkie zwierzęta w pięknych, lśniących futrach biegły przez rozświeczone łąki, a pośród maleńkich drzew trzepotały małe rozśpiewane ptaki w jaskrawym błękicie i żółci, fruwiąc, fruwiąc, fruwiąc po miniaturowym niebie.

– Och. – Cesarz zamknął oczy. – Spójrzcie na ptaki, spójrzcie na ptaki!

## MORDERCA

Muzyka wędrowała wraz z nim białymi korytarzami. Minął drzwi gabinetu: walc z „Wesołej wdówki”. Kolejne drzwi: „Popołudnie fauna”. Trzecie: „Kiss Me Again”. Skręcił w prostopadły korytarz: „Taniec z szablami” zasypał go lawiną talerzy, bębnow, garnków, rondli, noży, widelców, grzmotów i blaszanych piorunów. Wszystko spłynęło, gdy pośpiesznym krokiem pokonał przedpokój, gdzie zasiadała sekretarka przyjemnie ogłuszona przez „Piątą symfonię” Beethovena. Zakołysał się przed jej oczami, jakby poruszał ręką. Nie zauważyła go.

Jego naręczne radio zabrzęczało.

– Tak?

– Tu Lee, tato. Nie zapomnij o mojej tygodniówce.

– Tak. Synu, dobrze. Jestem zajęty.

– Po prostu nie chciałem, żebyś zapomniał, tato – odparło radio naręczne.

„Romeo i Julia” Czajkowskiego wyroili się wokół głosu, porywając go w głąb długich korytarzy.

Psychiatra maszerował przez ul pełen biur, krzyżujące się chmury motywów Strawińskiego kopulującego z Bachem, Haydna próbującego bez powodzenia wyprzeć Rachmaninowa, Schuberta zabitego przez Duke’a Ellingtona. Pozdrowiał skinieniem głowy nucące sekretarki i gwizdzących lekarzy dopiero co zaczynających poranną zmianę. W swoim gabinecie sprawdził parę dokumentów ze stenotypistką, która śpiewała pod nosem, po czym zadzwonił do kapitana policji na górze. Kilka minut później zamrugało czerwone światelko i z sufitu odezwał się głos.

– Więzień doprowadzony do sali rozmów numer dziewięć.

Psychiatra otworzył drzwi sali, przekroczył próg, usłyszał, jak zatrząskują się za jego plecami.

– Idź sobie – rzekł z uśmiechem więzień.

Lekarzem wstrząsnął ów uśmiech, bardzo promienny, słoneczny, przyjemny i ciepły, z tych, które sprawiają, że w pokoju robi się jaśniej. Błękitne oczy lśniły pogodnie nad tym pokazem zuchwałej sztuki dentystycznej.

– Jestem po to, by panu pomóc – oznajmił psychiatra, marszcząc brwi.

Coś było nie tak z pomieszczeniem. Zawahał się w chwili przekroczenia progu i rozejrzał szybko. Więzień wybuchnął śmiechem.

– Jeśli zastanawia się pan, czemu jest tu tak cicho, to właśnie skopałem radio na śmierć.

Gwałtowny, pomyślał lekarz.

Więzień jakby odczytał jego myśl, bo uśmiechnął się i uniósł dłoń w życzliwym geście.

– Nie, tylko wobec maszyn, które robią „bla bla bla”.

Odłamki lamp i przewodów radiowych walały się na szarej wykładzinie. Nie zważając na nie, czując na sobie uśmiech niczym grzejącą lampę, psychiatra usiadł naprzeciw pacjenta w niezwykłej ciszy, która przypominała mu tę przed nadciągającą burzą.

– Pan jest Albertem Brockiem, który nazywa sam siebie mordercą?

Brock przytaknął z pogodną miną.

– Nim zaczniemy... – Poruszając się bardzo szybko i bezszelestnie, zdjął naręczne radio z przegubu doktora, chwycił je w zęby niczym orzech, ścisnął, zazgrzytał, usłyszał trzask, po czym oddał wstrząśniętemu psychiatrze, jakby zrobił mu przysługę. – Tak lepiej.

Lekarz przyglądał się zniszczonemu urządzeniu.

– Pański rachunek za zniszczone sprzęty mocno już urósł.

– Mam to gdzieś. – Pacjent uśmiechnął się. – Jak mawia stara piosenka, nie dbam o to, co mnie spotka – zanuć!

– Może zaczniemy? – zaproponował psychiatra.

– Świetnie. Pierwszą ofiarą, czy raczej jedną z pierwszych, był mój telefon. Morderstwo z premedytacją. Wepchnąłem go do



młynka na odpadki w zlewie! Zablokował go w połowie kęsa, biedactwo zadusiło się na śmierć. Potem zastrzeliłem telewizor!

- Mmm? - mruknął psychiatra.

- Wypaliłem sześć razy w kineskop. Pękał z przepięknym brzękiem, jak upuszczony żyrandol.

- Zgrabny opis.

- Dziękuję. Zawsze marzyłem o tym, że kiedyś zostanę pisarzem.

- Może opowie mi pan, kiedy pierwszy raz zaczął nienawidzić telefonu.

- W dzieciństwie okropnie się go bałem. Mój wuj nazywał go maszyną duchów. Głosy bez ciał. Śmiertelnie mnie to przerażało. Później nigdy nie czułem się z nim swobodnie, odnosiłem wrażenie, że telefon to bezosobowe narzędzie i jeśli ma ochotę, przepuszcza przez swe przewody naszą osobowość. Jeżeli tego nie chce, po prostu wysysa ją z nas. Aż w końcu drugą stroną wychodzi głos niczym zimna ryba, czysta stal, miedź, plastik, bez cienia ciepła czy autentyczności. Przez telefon łatwo powiedzieć coś nie tak, telefon zmienia znaczenie naszych słów i ani się obejrzymy, już mamy wroga. Do tego, rzecz jasna, telefon jest tak wygodnym urządzeniem: tkwi tu i domaga się, byśmy zadzwonili do kogoś, kto wcale nie ma ochoty na rozmowę. Przyjaciele wciąż do mnie wydzwaniali i wydzwaniali, w ogóle nie miałem czasu dla siebie. Jeśli nie telewizor, radio czy gramofon, to film w kinie na rogu czy inny wyświetlany wraz z reklamami na niskim pułapie cumulusów. Z nieba nie pada już deszcz, padają mydliny, a jeśli nie były to reklamy z niebiańskich chmur, to muzyka firmy Mozzek w każdej restauracji; muzyka i reklamy w autobusach, którymi jeździłem do pracy. A jeśli nie muzyka, to wewnątrzbiurowe interkomy i największy chodzący koszmar, naręczne radio, przez które co pięć minut dzwoniли do mnie przyjaciele i żona. Co takiego w tych „wygodnych urządzeniach” sprawia, że są tak kusząco wygodne? Przeciętny człowiek myśli: skoro tu jestem, mam czas, a na moim przegubie tkwi naręczne radio, czemu by nie dryndnąć do starego Joego, co? „Halo, halo!”. Uwielbiam moich przyjaciół, moją żonę i całą ludzkość, ale gdy

w jednej chwili żona dzwoni, pytając: „Gdzie jesteś teraz, kochanie?”, a potem przyjaciel: „Mam świetny nieprzyzwoity dowcip, muszę ci go powtórzyć, jeden facet...”. A potem nieznajomy wykrzykujący: „Tu ankieter »Tylko Faktów«, jaką gumę żuje pan w tej chwili?”. No, doprawdy!

– Jak się pan czuł przez ostatni tydzień?

– Jakby ktoś podpalił mi lont, jakbym znalazł się nad przepaścią. Tego popołudnia zrobiłem to, co zrobiłem w biurze.

– Czyli?

– Wlałem papierowy kubek wody do systemu łączności wewnętrznej.

Psychiatra zanotował coś szybko.

– I doszło do zwarcia?

– Przepięknego! Czwarty lipca w miniaturze. Mój Boże, stenografistki biegały dokoła takie zagubione! Cóż za zamęt!

– Przez chwilę poczuł się pan lepiej, co?

– Świetnie! Potem, w południe wpadłem na pomysł, żeby rozdeptać moje radio naręczne na chodniku. Piskliwy głos wrzeszczał właśnie na mnie: „Tu biuro badania opinii publicznej numer 9, co zjadł pan na lunch?”, kiedy skopałem radio i rozwaliłem na strzępy.

– I poczuł się pan jeszcze lepiej, tak?

– Spodobało mi się! – Brock zatarł dłonie. – Czemu by nie zapoczątkować samotnej rewolucji, uwolnić człowieka od pewnych „wygód”? „Wygód dla kogo?!” – wykrzyknąłem. Wygodnych dla przyjaciół: „Hej, Al, pomyślałem, że zadzwonię do ciebie z szatni w Green Hills, właśnie wygrałem, posyłając piłkę do dołka jednym strzałem! Jednym strzałem, Al! Co za piękny dzień! Teraz popijam sobie whisky, pomyślałem, że chciałbyś to wiedzieć, Al!”. Wygodnych dla mego biura, bo kiedy jestem w terenie, zawsze mają ze mną kontakt przez radio. Kontakt! Cóż za oślizgłe słowo. O tak, kontaktują się ze mną, jak w sportach kontaktowych! Chwytają w swe łapska, maltretują, nacierają i tłuką głosami na falach UKF. Nie możesz opuścić wozu, nie meldując się. „Czy zajrzałeś do męskiej toalety na stacji benzynowej?”. „No dobra, Brock, dodaj trochę gazu”. „Brock,

czemu to trwa tak długo?”. „Przepraszam”. „Następnym razem lepiej się postaraj, Brock”. „Tak jest, proszę pana”. I wie pan, co zrobiłem, doktorze? Kupiłem pudełko francuskich lodów czekoladowych i wepchnąłem je łyżeczką do samochodowego nadajnika radiowego.

– Czy istniał jakiś konkretny powód, dla którego wybrał pan akurat francuskie lody czekoladowe, żeby nakarmić nimi nadajnik?

Brock zastanowił się chwilę, wargi wygięły mu się w uśmiechu.

– To mój ulubiony smak.

– Ach tak – mruknął doktor.

– Pomyślałem: do diabła, to co dobre dla mnie, jest też dobre dla nadajnika.

– A jak wpadł pan na pomysł, żeby wepchnąć do nadajnika akurat lody?

– Dzień był gorący.

Lekarz zawahał się.

– Co było dalej?

– Dalej była cisza. Boże, jaka piękna. Wcześniej radio samochodowe głądziło cały dzień: „Brock, jedź tu, Brock, jedź tam, Brock, zgłoś się, Brock, odmelduj się, w porządku, Brock, przerwa na lunch, Brock, koniec lunchu, Brock, Brock, Brock, Brock”. Ta cisza była jak lody w moich uszach.

– Chyba bardzo pan lubi lody.

– Po prostu jeździłem w kółko, rozkoszując się ciszą. Jest jak wielka bela najmiększej, najdelikatniejszej flaneli świata. Cisza. Cała godzina ciszy. Siedziałem w wozie z uśmiechem, wymacując uszami tę flanelę. Czuję się pijany wolnością.

– Proszę mówić dalej.

– Wtedy wpadłem na pomysł, by użyć przenośnego aparatu do diatermii. Wypożyczyłem go i zabrałem do autobusu, którym wracałem tego wieczoru do domu. Wokół siedzieli zmęczeni podróżni ze swymi radiami naręcznymi, rozmawiali z żonami, mówiąc: „Teraz jestem na Czterdziestej Trzeciej, teraz na Czterdziestej Czwartej, teraz na Czterdziestej Dziewiątej, teraz skręcam w Sześćdziesiątą Pierwszą”. Jeden z mężów przeklinał

głośno i wołał: „Wyjdź już z tego baru, do diabła! Wracaj do domu i nastaw obiad, jestem na Siedemdziesiątej!“. A radio komunikacji miejskiej grało „Opowieści lasku wiedeńskiego”. Kanarek opiewał trelami pierwszej klasy pszenne płatki śniadaniowe. I wtedy włączyłem mój aparat. Szum! Interferencje! Wszystkie żony odcięte od mężów skarżących się na ciężki dzień w pracy. Mężowie odcięci od żon, które właśnie widziały, jak ich dzieci wybijają szybę. Lasek wiedeński zrąbany, kanarek przeżuty. Cisza! Straszliwa, nieoczekiwana cisza. Pasażerowie nagle stanęli wobec konieczności rozmów ze sobą nawzajem. Panika! Czysta, zwierzęca panika!

– Policja pana aresztowała?

– Autobus musiał się zatrzymać; ostatecznie coś zakłócało muzykę, mężowie i żony stracili kontakt z rzeczywistością. Pandemonium, rozruchy, chaos. Wiewiórki świergoczące w swoich klatkach! Przybyła grupa specjalna, namierzyła mnie natychmiast i błyskawicznie udzieliła nagany, ukarała grzywną i odesłała do domu bez aparatu do diatermii.

– Panie Brock, czy mógłbym coś zasugerować? Wydaje mi się, że cały schemat pańskiego postępowania nie jest zbyt... praktyczny. Skoro nie lubi pan muzyki w komunikacji miejskiej, biurowego radia czy nadajników samochodowych, dlaczego nie wstąpi pan do bractwa zwalczania radia, nie roześle petycji, nie uzyska rozstrzygnięć prawnych i konstytucyjnych? Ostatecznie żyjemy w demokracji.

– A ja – odparł Brock – jestem w najlepszym razie mniejszością. Wstąpiłem do bractw, pikietowałem, rozdawałem petycje, zwracałem się do sądów. Rok za rokiem protestowałem. A wszyscy się śmiali. Wszyscy inni uwielbiali radia w autobusach i reklamy. To ja nie pasowałem.

– Zatem powinien pan to przyjąć jak przystało dobremu żołnierzowi, nie sądzi pan? Większość rządu.

– Tyle że posunęli się za daleko. Skoro odrobina muzyki i „pozostawania w kontakcie” była urocza, uznali, że jej mnóstwo stanie się dziesięć razy bardziej urocze. Wpadłem w szal! Kiedy wróciłem do domu, zastałem żonę w hysterii. Dlaczego? Bo przez

pół dnia nie miała ze mną kontaktu. Pamięta pan, że zatańczyłem na swoim naręcznym radiu. Tej nocy zacząłem planować morderstwo mojego domu.

– Na pewno chce pan, żebym tak to właśnie zapisał?

– To semantycznie poprawne. Chciałem go zabić na śmierć. To jeden z tych domów, które gadają, śpiewają, nucą, informują o pogodzie, czytają poezje, cytują powieści, puszczają dżingle, mruczą kołysanki, gdy kładziemy się do łóżka. Dom, który krzyczy do nas pod prysznicem operą i uczy we śnie hiszpańskiego. Jedna z tych rozględzonych jaskiń, w których najróżniejsze elektroniczne wyrocznie sprawiają, że czujemy się nieco tylko więksi od naparstka, gdzie kuchenki mówią: „Jestem ciastem z morelami i już się upiekłem” albo: „Jestem doskonałą pieczenią, polej mnie sosem!” i inne dziecinne bzdury. Są tam łóżka, które kołyszą nas do snu i budzą potrząsaniem. To dom ledwie tolerujący ludzi, mówię panu. Drzwi frontowe warczą: „Ma pan błoto na stopach!”. A elektroniczny pies-odkurzacz węszy za nami, wędrując z pokoju do pokoju, wchłaniając każdy paznokcieć czy odrobinę popiołu. Chryste Panie, powiadam, Chryste Panie.

– Ciszej – zaproponował psychiatra.

– Pamięta pan tę piosenkę Gilberta i Sullivana – „Zapisałem to na liście, nie zapomnę oczywiście”? Przez całą noc tworzyłem listę pretensji. Następnego ranka kupiłem pistolet. Świadomie ubłociłem stopy, stanąłem przy drzwiach frontowych. Wrzasnęły: „Brudne stopy, błoto na nogach! Proszę je wytrzeć! Czysta podłoga!”, a ja strzeliłem cholerstwu prosto w dziurkę od klucza. Pobiegłem do kuchni, gdzie kuchenka zawodziła właśnie: „Przewróć mnie!”. Załatwiłem ją na śmierć w trakcie smażenia mechanicznego omletu. Och, jakże skwierczała i jęczała: „Mam zwarcie!”. A potem telefon zadzwierczał niczym zepsuty bachor i wcisnąłem go do zlewomłynka. Muszę tu podkreślić, że nie mam absolutnie nic przeciwko zlewomłynkowi, był tylko niewinną ofiarą, żal mi go, to praktyczne urządzenie, nigdy nie odezwało się ani słowem, przez większość czasu mruczało niczym senny lew i pochłaniało wszystkie nasze resztki. Każę je

odremontować. Potem poszedłem i zastrzeliłem telewizor, tę podstępłą bestię, Meduzę, która co wieczór zamienia miliard ludzi w kamień zapatrzony ślepo przed siebie, tę syrenę wabiącą śpiewem i przyrzekającą tak wiele, a dającą tak mało. A my wciąż do niej wracamy i wracamy, pełni nadziei, i czekamy, aż w końcu: „Bang!”. Moja żona wypadła na dwór, gulgotząc jak bezgłowy indyk. Zjawiła się policja i oto jestem.

Usiadł rozpromieniony i zapalił papierosa.

– A czy zdawał pan sobie sprawę, popełniając te przestępstwa, że radio naręczne, nadajnik, telefon, radio w autobusie, interkomy biurowe, wszystkie zostały albo wypożyczone, albo stanowiły cudzą własność?

– Zrobiłbym to ponownie, Boże dopomóż.

Psychiatra siedział tam, skąpany w blasku błęgiego uśmiechu pacjenta.

– Nie życzy pan sobie dalszej pomocy Biura Zdrowia Psychicznego? Jest pan gotów ponieść konsekwencje?

– To załedwie początek – oznajmił pan Brock. – Jestem awangardą nielicznego ruchu zmęczonego hałasem, wykorzystywaniem, komenderowaniem i wrzaskami, muzyką w każdej chwili, nieustannym kontaktem z czyimś głosem. Zrób to, zrób tamto, szybko, szybko, teraz tutaj, teraz tam. Zobacz pan, zaczyna się bunt. Moje nazwisko przejdzie do historii!

– Mmm. – Psychiatra najwyraźniej zastanawiał się nad czymś.

– Oczywiście trzeba będzie czasu. Z początku wszystko to było fascynujące. Sam pomysł tych rzeczy, ich zastosowanie praktyczne, wyglądał wspaniale. To były niemal zabawki, którymi mogliśmy się bawić, ale ludzie zanedbali się wciągnęli, posunęli za daleko i dali się uwięzić we wzorcach zachowań społecznych, z których nie mogą się wyrwać, nie mogą nawet przyznać, że w nich tkwią. Zaczęli zatem racjonalizować swoje nerwy jako coś obcego. Współczesne czasy, mawiali. Warunki, powtarzali. Drażliwi, mówili. Ale proszę zapamiętać moje słowa, nasiono padło już na żyzny grunt. Mówili o mnie wszędzie, na całym świecie, w telewizji, radiu, filmach. Oto największa ironia. To było pięć dni temu. Wie o mnie miliard ludzi. Proszę

sprawdzać kolumny finansowe: lada dzień, może dzisiaj, proszę szukać nagłego pikowania, gwałtownego wzrostu sprzedaży francuskich lodów czekoladowych!

– Rozumiem – mruknął psychiatra.

– Czy teraz mogę wrócić do mojej przytulnej, prywatnej celi, gdzie spędzę w ciszy i spokoju sześć miesięcy?

– Tak – rzekł cicho psychiatra.

– Niech się pan o mnie nie martwi – poprosił pan Brock, wstając z miejsca. – Będę tak sobie siedział bardzo długo, wpychając w uszy rozkoszną belę miękkiego, cichego materiału.

– Mm – przytaknął psychiatra, kierując się do drzwi.

– Czółko! – rzucił pan Brock.

– Tak – odparł lekarz.

Wystukał kod na ukrytym przycisku, drzwi otwały się, przekroczył próg, drzwi zamknęły się za nim. Już sam zagłębił się w labirynt gabinetów i korytarzy. Pierwszym dwudziestu metrom wędrówki towarzyszył „Chiński tamburyn”, potem „Tzigane”, potem „Passacaglia i fuga w coś tam-moll” Bacha, „Tiger Rag”, „Love Is Like a Cigarette”. Wyjął z kieszeni zepsute naręczne radio niczym martwą modliszkę. Skręcił do swego gabinetu. Zadzźwięczał dzwonek, z sufitu dobiegł głos.

– Doktorze?

– Właśnie skończyłem z Brockiem – odparł psychiatra.

– Diagnoza?

– Wydaje się kompletnie zdezorientowany, ale wesoły i towarzyski. Odmawia przyjęcia do wiadomości rzeczywistej sytuacji własnego otoczenia i jakiegokolwiek współpracy.

– Prognoza?

– Bezterminowa. Niech cieszy się swoim kawałkiem niewidzialnej tkaniny.

Zadzźwięczały trzy telefony. Duplikat radia naręcznego w szufladzie biurka zadzźwięczał niczym ranny pasikonik, interkom zamrugał różową lampką i zaczął szczęk, szczęk, szczękać. Trzy telefony dzwoniły dalej, szuflada bzyczała, muzyka wlewała się przez otwarte drzwi. Psychiatra, nucąc cicho, założył na przegub nowe naręczne radio, pstryknięciem

włączył interkom, rozmawiał chwilę. Odebrał jeden telefon, porozmawiał. Odebrał drugi telefon, porozmawiał. Odebrał trzeci telefon, porozmawiał. Dotknął przycisku radia naręcznego, porozmawiał spokojnie i cicho, z twarzą pogodną i nieobecną, pośrodku muzyki i błyskających światełek, dzwoniących telefonów, jego dłoni poruszających się, radia brzęczącego, gadaniny w interkomie i głosów przemawiających z sufitu. I tak upływała reszta tego chłodnego, klimatyzowanego, długiego popołudnia: telefon, radio naręczne, interkom, telefon, radio naręczne, interkom, telefon, radio naręczne, interkom, telefon, radio naręczne, interkom, telefon, radio naręczne, interkom, telefon, radio naręczne...



## ZŁOTY LATAWIEC, SREBRNY WIATR

- W kształcie świni?! - wykrzyknął mandaryn.

- W kształcie świni - potwierdził posłaniec i odbiegł.

- Och, cóż za okropny dzień tego okropnego roku! - zawołał mandaryn. - Miasto Kwan-Si za wzgórzem w czasach mojego dzieciństwa było bardzo małe. Teraz urosło tak wielkie, że w końcu budują mur.

- Ale dlaczego mur dwie mile stąd mógłby w ciągu jednej godziny zasmucić i rozzłościć mego ogromnej dobroci ojca? - spytała cicho jego córka.

- Wzniesli swój mur - wyjaśnił mandaryn - w kształcie świni! Nie rozumiesz? Nasz własny miejski mur ma kształt pomarańczy. Ta świnia nas pożre, łapczywie!

- Ach.

Oboje usiedli zamyśleni.

Życie przepełniały symbole i omeny. Wszędzie czaiły się demony, śmierć pływała w ławym oku, obrót skrzydła mewy oznaczał deszcz, wachlarz trzymany w ten sposób, krzywizna dachu, i owszem, nawet miejski mur miał ogromne znaczenie. Podróżni i turyści, karawany, muzycy, artyści przybywający do tych dwóch miast i bezstronnie osądzający znaki powiedzą:

- To miasto ma kształt pomarańczy? Nie! Wolę odwiedzić miasto w kształcie świni, gdzie będzie mi się wiodło, gdzie będę mógł jeść wszystko, utyc, gdzie dopiszą mi szczęście i fortuna!

Mandaryn zapłakał.

- Wszystko stracone! Te symbole i znaki przerażają. Nasze miasto czekają mroczne czasy.

- Zatem - odparła córka - wezwij kamieniarzy i budowniczych świątyni. Szepnę zza jedwabnego parawanu, a ty powtórzysz moje słowa.

Stary mężczyzna klasnął z rozpaczą w dłonie.

- Hola, kamieniarze! Hola, budowniczo wie miast i pałaców!

\* \* \*

Mężowie, którzy znali się na marmurze i granicie, onyksie i kwarcu, przybyli szybko. Mandaryn wezwał ich do siebie, niespokojny; sam także czekał na szept zza jedwabnego parawanu za tronem. I w końcu go usłyszał.

– Wezwałem was tutaj – rozległ się szept.

– Wezwałem was tutaj – powtórzył głośno mandaryn – bo nasze miasto ma kształt pomarańczy, a ohydne miasto Kwan-Si przybrało dziś kształt żarłocznej świni..

Słyszając to, kamieniarze jęknęli i zapłakali, śmierć zagrzecotała laską na dziedzińcu zewnętrznym, bieda wydała z siebie dźwięk niczym mokry kaszel w cieniu komnaty.

– Tak zatem – ciągnął szept i powtarzał mandaryn – wy, budowniczo murów, musicie chwycić w dłonie swe kielnie i kamienie i zmienić kształt naszego miasta!

Architekci i murarze jęknęli, sam mandaryn jęknął, słyszając własne słowa. Szept szeptał dalej, mandaryn podjął:

– Przebudujecie nasze mury tak, by stały się pałąką, która pobije świnię i przepędzi ją!

Kamieniarze zerwali się z krzykiem; nawet mandaryn, zachwycony słowami padającymi z własnych ust, zaklaskał i wstał z tronu.

– Szybko! – zawołał. – Do pracy!

Kiedy mężczyźni odeszli, uśmiechnięty mandaryn, kipiący radością, z wielką miłością odwrócił się do jedwabnego parawanu.

– Cóрко – wyszeptał. – Obejmę cię.

Nikt nie odpowiedział. Mandaryn okrążył parawan i odkrył, że zniknęła.

Cóż za skromność, pomyślał; wymknęła się i zostawiła mnie samego z tryumfem, jakbym to ja go odniósł.

Wieści szybko rozeszły się po mieście i wszyscy wychwalali mandaryna. Wszyscy dźwigali kamienie do murów, wystrzelono fajerwerki, demony śmierci i biedy umknęły, gdy mieszkańcy wzięli się do pracy. Pod koniec miesiąca mur uległ zmianie –

teraz był potężną maczugą, która mogła odpędzić daleko świnie, dziki, a nawet lwy. Mandaryn przesyiał każdą noc niczym szczęśliwy lis.

– Chciałbym ujrzeć minę mandaryna Kwan-Si, gdy dowie się, co zaszło. Cóż za pandemonium i histeria; najpewniej rzuci się ze szczytu góry! Jeszcze trochę wina, o córko, która myślisz jak syn.

\* \* \*

Radość jednak okazała się niczym zimowy kwiat: szybko zwiędła. Tego samego popołudnia do sali tronowej wpadł posłaniec.

– Och, mandarynie, zaraza, wczesna żałość, lawiny, szarańcza, plaga i zatruta woda ze studni!

Mandaryn zadrżał.

– Miasto Kwan-Si – ciągnął posłaniec – zbudowane na kształt świni, które to zwierzę przepędziliśmy, zmieniając nasze mury w wielką pałkę, zamieniło nasze zwycięstwo w zimowe popioły. Przebudowali swoje miejskie mury, tworząc wielkie ognisko, w którym spłonął nasz kij!

Serce mandaryna zaciążyło w piersi niczym jesienny owoc na starożytnym drzewie.

– O bogowie! Podróżni nami wzgardzą, kupcy, odczytawszy symbole, odwrócą się od kija, który jakże łatwo można zniszczyć, do ognia, który pochłania wszystko!

– Nie – rozległ się szept, lekki jak płatek śniegu, zza jedwabnego parawanu.

– Nie – powtórzył zaskoczony mandaryn.

– Powiedz moim kamieniarzom – ciągnął szept spadającą kroplą deszczu – by przebudowali nasze mury na kształt lśniącego jeziora.

Mandaryn wypowiedział to głośno i poczuł ciepło w sercu.

– Tym właśnie jeziorem – zakończyli szept i stary człowiek – ugasimy ogień i pozbędziemy się go na zawsze!

Miasto wybuchem radości powitało kolejny ratunek ze strony wspaniałego cesarza pomysłów. Wszyscy pobiegli na mury i przebudowali je według nowej wizji, śpiewając, nie tak głośno

jak wcześniej, bo byli zmęczeni, i nie tak szybko, ponieważ pierwsza przebudowa zabrała im miesiąc, musieli zaniedbać swoje interesy i zbiory, przez co stali się nieco słabsi i biedniejsi.

A potem nastąpiła seria straszliwych i cudownych dni, nadchodzących jeden po drugim niczym kolejne złowieszcze pudełka.

– Och, cesarzu! – krzyczał posłaniec. – Kwan-Si przebudowało swe mury na podobieństwo ust, które wypiją całe nasze jezioro!

– Zatem – odparł cesarz, stojąc bardzo blisko jedwabnego parawanu – zamieńcie nasze mury w igłę, która zaszyje ich usta.

– Cesarzu! – huknął posłaniec. – Zamienili swe mury w miecz, aby złamać naszą igłę!

Roztrzęsiony cesarz przytrzymał się parawanu z jedwabiu.

– Zatem przenieście kamienie, tworząc pochwę, która ukryje ów miecz!

– Litości. – Posłaniec zapłakał następnego ranka. – Pracowali całą noc i ich mury mają kształt błyskawicy, która wybuchnie i zniszczy tę pochwę!

Choroba rozeszła się po mieście niczym stado wściekłych psów. Zamykano sklepy, mieszkańcy, od niekończących się miesięcy harujący wyłącznie przy przebudowie murów, przypominali śmierć we własnej osobie, grzechocząc na wietrze białymi kośćmi niczym muzycznym instrumentem. Ulicami przechodziły konduktory pogrzebowe, choć był środek lata, czas zbiorów i żniw. Mandaryn zachorował tak ciężko, że kazał postawić swe łożo tuż obok jedwabnego parawanu i leżał tam nieszczęśliwy, wydając kolejne architektoniczne rozkazy. Głos zza parawanu brzmiał też słabo i cicho, jak wiatr pod powałą.

– Kwan-Si to orzeł, zatem nasze mury muszą stać się siecią na tego orła. Wznieśli słońce, by wypalić naszą sieć, my zatem wzniesiemy księżyc, aby zaćmić ich słońce!

Jak zardzewiała maszyna miasto zamarło w biegu.

W końcu szepł zza parawanu wykrzyknął.

– Na wszystkich bogów, poślijcie po Kwan-Si!

Ostatniego dnia lata czterech wygłodniałych pachołków wniosło do sali tronowej mandaryna Kwan-Si, ciężko chorego

i wychudzonego. Dwaj mandaryni usiedli wsparci na poduszkach naprzeciw siebie, ich oddechy trzepotały w ustach niczym zimowe wiatry. Głos rzekł:

- Zakończmy to!

Obaj mężczyźni przytaknęli.

- To nie może trwać dalej - podjął słaby głos. - Nasi ludzie zajmują się wyłącznie przebudową miast na inne kształty - co dzień, co godzinę. Nie mają czasu polować, łowić ryb, kochać się, być dobrymi dla swych przodków i dzieci swoich przodków.

- Przyznaję, to prawda - rzekli mandaryni miast Klatki, Księżycy, Włóczni, Ognia, Miecza, Tego, Tamtego i Owego.

- Wynieście nas na słońce - polecił głos.

Starych mężczyzn wyniesiono na słońce na szczyt niewielkiego wzgórza. Kilkoro bardzo wychudzonych dzieci puszczało na letnim wietrze smocze latawce we wszystkich barwach słońca, żab i trawy, barwach morza, monet i pszenicy.

Córka pierwszego mandaryna stanęła przy jego łożu.

- Spójrzcie - rzekła.

- To tylko latawce - odparli dwaj starcy.

- Lecz czymże jest latawiec na ziemi? - spytała. - Niczym. Czego potrzebuje, by go podtrzymać, sprawić, aby stał się piękny i do głębi duchowy?

- Oczywiście wiatru - odrzekli tamci.

- A czego potrzebują niebo i wiatr, by to one stały się piękne?

- Latawca, rzecz jasna: wielu latawców, by przełamać monotonię, jednolitość nieba. Barwnych latawców w locie!

- Zatem - podjęła córka mandaryna - ty, Kwan-Si, po raz ostatni przebuduj swe miasto na podobieństwo ni mniej, ni więcej, tylko wiatru. A my przebudujemy nasze, by stało się złotym latawcem. Wiatr doda urody latawcowi i wydzwignie go na cudowne wyżyny, a latawiec przełamie monotonię trwania wiatru, nada mu sens i cel. Jeden bez drugiego jest niczym, razem staną się pięknem, współpracą, długim, bogatym życiem.

Na te słowa obaj mandaryni uradowali się tak bardzo, że po raz pierwszy od wielu dni zechcieli się posilić, a gdy na moment odzyskali siły, objęli się, obsypując się nawzajem pochwałami.

Nazwali też córkę mandaryna chłopcem, mężem, kamiennym filarem, wojownikiem, prawdziwym, niezapomnianym synem. Niemal natychmiast rozstali się, śpiesząc do swych miast, nawołując i śpiewając słabo, lecz radośnie.

I z czasem miasta ich zasłynęły jako Miasto Złotego Latawca i Miasto Srebrnego Wiatru. Ludzie zbierali żniwa, doglądali interesów, znów nabrali ciała, a choroba umknęła jak spłoszony szakal. A każdej nocy roku mieszkańcy Miasta Latawca słyszeli szum dobrego wiatru, który ich podtrzymuje. A ci w Mieście Wiatru słyszeli śpiew latawca, który szeptał, wzlatując i dodając im urody.

– Niechaj i tak będzie – rzekł mandaryn przed jedwabnym parawanem.

## ZOBACZYMY SIĘ NIGDY

Ktoś zapukał lekko do kuchennych drzwi, a kiedy pani O'Brian je otworzyła, na tylnej werandzie ujrzała swego najlepszego lokatora, pana Ramireza, i dwóch policjantów, którzy ustawili się po jego obu stronach. Pan Ramirez po prostu tam stał, skulony w sobie i malutki.

– Ależ panie Ramirez! – rzuciła pani O'Brian.

Pan Ramirez wyglądał na oszołomionego. Najwyraźniej nie mógł znaleźć stosownych słów, by się wytłumaczyć.

Przybył do pensjonatu pani O'Brian ponad dwa lata wcześniej i odtąd w nim mieszkał. Autobusem przyjechał z Mexico City do San Diego, a stamtąd do Los Angeles. Tu znalazł czysty pokój ze lśniącem niebieskim linoleum, obrazkami i kalendarzami na kwiecistych ścianach i panią O'Brian, gospodynię surową, lecz życzliwą. W czasie wojny pracował w fabryce samolotów, robił części do maszyn, które odlatywały gdzieś daleko. Nawet teraz, po wojnie, nadal zachował tę posadę. Od początku zarabiał dużo pieniędzy, część oszczędzał, upijał się tylko raz w tygodniu – pani O'Brian uważała osobiście, że każdy dobry robotnik zasłużył sobie na taki przywilej, bez cienia wątpliwości i bez żadnych reprimend.

W kuchni pani O'Brian w piecyku dochodziły placki. Wkrótce nabiorą cery takiej jak pana Ramireza – brązowej, lśniącej i chrupkiej, ze szparkami przepuszczającymi powietrze, niemal takimi jak szparki ciemnych oczu pana Ramireza. Kuchnia pachniała zachęcająco, policjanci pochyliли się skuszeni zapachem. Pan Ramirez wbił wzrok w stopy, jakby to one przyniosły go w samo serce kłopotów.

– Co się stało, panie Ramirez? – spytała pani O'Brian.

Gdy pan Ramirez uniósł wzrok, za jej plecami ujrzał długi stół, nakryty czystym białym obrusem i zastawiony półmiskiem, chłodnymi lśnięcymi szklankami, dzbankiem wody z kostkami

lodu pływającymi w środku, misą świeżej sałatki ziemniaczanej i drugą, pełną bananów i pomarańczy pokrojonych w kostkę i posłodzonych. Przy stole zasiadały dzieci pani O'Brian – jej trzech dorośli synowie, którzy jedli i przekomarzali się, oraz dwie młodsze córki, zapatrzone w policjantów.

– Mieszkam tu trzydzieści miesięcy – oznajmił cicho pan Ramirez, przyglądając się pulchnym dłoniom pani O'Brian.

– To o sześć miesięcy za długo – dodał jeden z policjantów. – Miał tylko czasową wizę. W końcu mogliśmy się nim zająć.

Wkrótce po przyjeździe pan Ramirez kupił do swego pokoiku radio; wieczorami włączał je bardzo głośno i napawał się dźwiękami. Kupił też zegarek na rękę i nim również się cieszył. Tyle razy wieczorem spacerował po cichych ulicach, oglądał jaskrawe stroje na wystawach i kupował parę sztuk, oglądał biżuterię i kupował dla swych nielicznych przyjaciółek. Przez jakiś czas chodził też do kina, pięć razy w tygodniu. Potem jeździł także tramwajami – czasem całą noc – chłonąc woń elektryczności, a spojrzenie jego ciemnych oczu przesuwano się po reklamach. Czuł koła wibrujące pod nim. Patrzył na przepływające obok małe uśpione domy i wielkie hotele. Poza tym bywał w dużych restauracjach, gdzie jadał wielodaniowe posiłki, oraz w operze i teatrze. Kupił również samochód, który później – gdy zapomniał za niego zapłacić – dealer odebrał z gniewem, odjeżdżając sprzed pensjonatu.

– Przychodzę zatem – podjął pan Ramirez – by powiedzieć, że muszę zrezygnować z pokoju, pani O'Brian. Przychodzę po swój bagaż i ubrania, a potem pójdę z tymi panami.

– Z powrotem do Meksyku?

– Tak. Do Lagos. To niewielkie miasteczko na północ od Mexico City.

– Przykro mi, panie Ramirez.

– Już się spakowałem – oświadczył ochryple pan Ramirez, mrugając szybko, i bezradnie uniósł przed siebie dłoń.

Policjanci go nie dotykali. Nie było takiej potrzeby.

– Oto klucz, pani O'Brian – dodał. – Zabrałem już torbę.

Pani O'Brian dopiero teraz zauważyła walizkę stojącą obok



niego na werandzie.

Pan Ramirez raz jeszcze przyjrzał się wielkiej kuchni, lśniącem srebrnym sztućcom, młodym jedzącym ludziom i błyszczącej, nawoskowanej podłodze. Potem odwrócił się i długą chwilę wpatrywał się w drzwi apartamentu obok, wznoszącego się na dwa piętra w górę, wysokiego i pięknego. Przyglądał się balkonom, schodom przeciwpożarowym, schodkom na werandy, sznurom z praniem łopoczącym na wietrze.

– Dobry był z pana lokator – oznajmiła pani O'Brian.

– Dziękuję, dziękuję, pani O'Brian – odrzekł cicho.

Zamknął oczy.

Pani O'Brian stała tak, przytrzymując półotwarte drzwi. Jeden z jej synów powiedział za plecami, że obiad jej wystygnie, ale ona pokręciła tylko głową i odwróciła się z powrotem do pana Ramireza. Przypomniała sobie, jak kiedyś odwiedzała meksykańskie miasta przygraniczne – upalne dni, niezliczone świerszcze skaczące w powietrze, spadające, leżące na ziemi martwe i kruche, jak małe cygaretki na wystawach. Kanały, którymi woda z rzeki dopływała na farmy, drogi gruntowe, wypalony krajobraz. Wspominała milczące miasta, ciepłe piwo, serwowane co dzień zawiesziste, pikantne potrawy. Przypomniała sobie powolne konie pociągowe i spragnione króliki na drodze. Wspominała żelazne góry i zakurzone doliny, a także plaże nad oceanem, ciągnące się setki mil, gdzie nic nie zakłócało ciszy oprócz szumu fal – żadne silniki, budynki, nic.

– Naprawdę mi przykro, panie Ramirez – dodała.

– Ja nie chcę wracać, pani O'Brian – rzucił słabo. – Podoba mi się tutaj. Chcę tu zostać. Pracowałem, mam pieniądze, dobrze wyglądam, prawda? I nie chcę wracać!

– Przykro mi, panie Ramirez – odparła. – Żałuję, że nic nie mogę zrobić.

– Pani O'Brian! – zawołał nagle, a spod powiek wylały mu się łzy. Wyciągnął rękę i gorączkowo chwycił jej dłoń, potrząsając nią, wykręcając, kurczowo uczepony. – Pani O'Brian, zobaczymy się nigdy, zobaczymy się nigdy!

Słyszając to, policjanci uśmiechnęli się, ale pan Ramirez tego nie

zauważył i wkrótce uśmiechy zniknęły z ich twarzy.

– Żegnam, pani O'Brian. Była pani dla mnie dobra. Och, żegnam, pani O'Brian, zobaczymy się nigdy!

Policjanci zaczęli, aż pan Ramirez odwrócił się, dźwignie walizkę i odejdzie. Potem ruszyli za nim, uchylając czapek przed panią O'Brian. Patrzyła, jak schodzą po stopniach werandy, potem cicho zamknęła drzwi i powoli wróciła na swe krzesło przy stole, wysunęła je i usiadła. Uniosła błyszczący nóż i widelec i ponownie zaczęła kroić stek.

– Pośpiesz się, mamó – rzekł jeden z synów. – Zaraz wystygnie.

Pani O'Brian odgryzła kęs i przeżuwała go bardzo długo, powoli, wbijając wzrok w zamknięte drzwi. Odłożyła widelec i nóż.

– Co się stało, mamó? – spytał syn.

– Właśnie sobie uświadomiłam – odpowiedziała i przycisnęła dłoń do twarzy – że już nigdy nie zobaczę pana Ramireza.

## HAFT

Późnym popołudniem ciemną werandę wypełniały błyski igieł, niczym trzepotanie chmary srebrzystych insektów w promieniu światła. Usta trzech kobiet wykrzywiały się nad robótką, ich ciała odchylały się, a potem niepostrzeżenie przesuwały naprzód, tak że fotele bujane kołysały się, mrużąc. Każda z kobiet wbijała wzrok we własne dłonie, jakby nagle znalazło się w nich jej bijące serce.

- Która to godzina?
- Za dziesięć piąta.
- Za minutę muszę wstać i wyłuskać groszek na obiad.
- Ale... - zaczęła jedna z nich.
- A tak, zapomniałam. Jakież to niemądre z mojej strony...

Pierwsza kobieta zawahała się, odłożyła haft i igłę i zajrzała przez otwarte drzwi werandy, poprzez ciepłe wnętrza cichego domu do milczącej kuchni. Tam, na stole, bardziej jako symbol domowego życia niż cokolwiek, co zdarzyło jej się oglądać, leżała sterta świeżo umytego groszku w eleganckich, odpornych mundurkach, czekającego, by jej palce sprowadziły go na ten świat.

- Idź, wyłuskaj go, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej - wtrąciła druga kobieta.

- Nie - rzekła pierwsza. - Nie zrobię tego. Po prostu nie.

Trzecia kobieta westchnęła. Haftowała różę, listek, stokrotkę na zielonym polu. Igła do haftu unosiła się i znikiała.

Druga kobieta pracowała nad najdrobniejszym, najdelikatniejszym wzorem z nich wszystkich, zręcznie nakłuwając, znajdując cel i powracając szybką igłą w niezliczonych nawrotach. Jej bystre, czarne oczy śledziły każdy ruch. Kwiat, mężczyzna, droga, słońce, dom: pod jej palcami rozrastała się scena, miniaturowe piękno, doskonałe w każdym nicianym szczególe.

– Wydaje się, że w chwilach takich jak ta zawsze powracamy do własnych rąk – powiedziała, a pozostałe przytaknęły dość mocno, by ich fotele znów się zakołysały.

– Uważam – dodała pierwsza – że nasze dusze kryją się w dłoniach. To nimi bowiem robimy wszystko na tym świecie. Czasem myślę, że za mało ich używamy; z całą pewnością nie używamy mózgów.

Przyjrzały się z większą uwagą temu, co robiły ich ręce.

– Tak – oznajmiła trzecia. – Kiedy patrzę wstecz na swoje życie, mam wrażenie, że mniej pamiętam twarze, a bardziej ręce i to, co zrobiły.

Zaczęły wspominać pokrywki, które uniosły, drzwi, które otwierały i zamykały, kwiaty, które zbierały, obiady, które gotowały, a wszystko powolnymi bądź zręcznymi palcami, tak jak to miały w zwyczaju. Spoglądając wstecz, widziały gorączkowe trzepotanie dłoni jak we śnie magika, drzwi otwierające się na oścież, odkręcane krany, roztańczone miotły, karczone dzieci. Ruchy różowych dłoni stanowiły jedyne źródło dźwięku; reszta pozostawała pozbawionym głosu snem.

– Nie będziemy już przyrządzać kolacji dziś wieczór, jutro czy pojutrze – powiedziała trzecia kobieta.

– Ani otwierać czy zamykać okien.

– Ani dorzucać węgla do pieca w piwnicy, gdy nadejdzie zima.

– Nie będzie gazet, z których można by wyciąć artykuły.

I nagle wszystkie się rozplakały. Łzy spływały miękko po twarzach, wsiąkając w tkaninę, na której manipulowały palce.

– To w niczym nie pomoże – oznajmiła w końcu pierwsza, przyciskając grzbiet kciuka do obu dolnych powiek. Przyjrzała się palcowi: był mokry.

– Zobaczcie, co właśnie zrobiłam! – zawołała z irytacją druga.

Pozostałe pochyliły się i zerknęły. Druga kobieta wyciągnęła robótkę. Oto cała wyszyta scena, idealna, prócz tego, że choć haftowane żółte słońce świeciło nad haftowanym zielonym polem, a haftowana brązowa droga skręcała ku haftowanemu różowemu domowi, to mężczyzna stojący na drodze miał coś nie tak z twarzą.

– Będę musiała wypruć praktycznie cały wzór, żeby to naprawić  
– dodała druga kobieta.

– Co za szkoda.

Wszystkie wpatrywały się z uwagą w piękną scenę z jedną skazą.

Druga kobieta zaczęła wyskubywać nitki, błyskając zręcznie małymi nożyczkami. Wzór znikał, nic za nicia, a ona ciągnęła i wypruwała niemal brutalnie. Twarz mężczyzny zniknęła. Kobieta nadal chwyciła nitki.

– Co ty wyprawiasz? – spytała towarzyszka.

Pochyliły się i ujrzały, co zrobiła.

Mężczyzna zniknął z drogi. Całkiem go usunęła.

Obie bez słowa wróciły do własnej pracy.

– Która to godzina? – spytała któraś.

– Za pięć piąta.

– To się ma wydarzyć o piątej?

– Tak.

– I nie są pewni, czy kiedy się wydarzy, cokolwiek się stanie?

– Nie, nie są pewni.

– Dlaczego nie powstrzymaliśmy ich, nim zaszli tak daleko, nim tak bardzo nie urosła?

– Jest dwakroć większa niż poprzednie, nie, dziesięć razy, może tysiąc.

– Nie przypomina pierwszej ani tuzina późniejszych, ta jest inna. Nikt nie wie, co może zrobić, gdy nadejdzie pora.

Czekały na werandzie, chłonąc zapach róż i skoszonej trawy.

– A teraz która godzina?

– Za minutę piąta.

Igły błyskały srebrnym ogniem, pływały niczym maleńka ławica metalowych rybek w ciemniejącym letnim powietrzu.

Daleko rozległ się brzęk komara, potem coś jak ciche werble. Trzy kobiety przekrzywiły głowy, nasłuchując.

– Niczego nie usłyszymy, prawda?

– Mówią, że nie.

– Może to czysta głupota. Może po piątej wszystko będzie trwać dalej, a my wyłuskamy groszek, otworzymy drzwi, zamieszkamy

zupy, umyjemy statki, przyrządzimy luncha, obierzemy pomarańcze...

– I Boże, jak bardzo będziemy się śmiały z tego, że przeraził nas zwykły stary eksperyment!

Przez moment uśmiechały się do siebie. – Jest piąta.

Na te słowa umilkły i zajęły się robótką. Ich palce śmigały, twarze zwrócone w dół obserwowały każdy ruch, tworzyły gorączkowe wzory na tkaninie, gdzie rozkwiatały bzy, trawa, drzewa, domy, rzeki. Nic nie mówiły, ale w cichym powietrzu słychać było ich oddechy.

Minęło trzydzieści sekund.

W końcu druga kobieta westchnęła i zaczęła się rozluźniać.

– Chyba faktycznie pójdę i wyłuskam groszek na kolację – oznajmiła. – I...

Ale nie miała czasu nawet unieść głowy. Gdzieś na skraju pola widzenia zobaczyła, jak świat jaśnieje i zajmuje się ogniem. Wciąż pochylała głowę, bo wiedziała co to. Nie patrzyła, ani ona, ani pozostałe, i w ostatnich ułamkach sekund ich palce fruwały, a one nie zerkały, by sprawdzić, co się dzieje z otaczającą je ziemią, miastem, tym domem, nawet tą werandą. Wpatrywały się tylko we wzory tworzone przez własne rozmigotane dłonie.

Druga kobieta patrzyła na znikający haftowany kwiat. Próbowwała wyszyć go ponownie, ale zniknął, a po nim droga i żdźbła trawy. Patrzyła, jak ogień w zwolnionym tempie osiąga haftowanego domu i zdziera zeń dach, a potem zrywa każdy niciany liść z małego zielonego drzewa na tamborku, i widziała, jak słońce rozpada się na wzorze. A potem ogień ogarnął ruchomy czubek igły, która wciąż błyskała; kobieta patrzyła, jak przebiega po jej palcach, rękach i ciele, rozplatając nić jej istnienia tak starannie, że widziała go w jego diabelskim pięknie, jak wypruwa wzór z materiału. Nie dowiedziała się nigdy, co robił z pozostałymi kobietami, meblami czy wiązem na podwórku, teraz bowiem – tak, teraz! – wyskubywał biały haft jej ciała, różową nić policzków, aż w końcu odnalazł serce, miękką czerwoną różę wyszytą ogniem i zaczął wypalać świeże haftowane delikatne płatki, jeden za drugim...

## WIELKI MECZ CZARNYCH Z BIAŁYMI

Ludzie wypełniający trybuny za siatką czekali. My, dzieci ociekające wodą z jeziora, przebiegliśmy z krzykiem pomiędzy białymi domkami obok hotelu turystycznego i usiedliśmy, zostawiając na ławach ślady mokrych kąpielówek. Upalne słońce prażyło przez gałęzie wysokich dębów otaczających boisko do bejsbola. Nasi ojcowie i matki w golfowych pumpach i lekkich letnich sukienkach upominali nas i kazali siedzieć spokojnie.

Wyczekując zerkaliśmy w stronę hotelu i tylnych drzwi olbrzymiej kuchni. Kilka ciemnoskórych kobiet ruszyło przez pokryty plamami słonecznego światła obszar pomiędzy nimi i po dziesięciu minutach najdalsza lewa część trybun pociemniała od ich świeżo wymytych twarzy i odsłoniętych rąk. Po tylu latach za każdym razem, kiedy powracam pamięcią do tamtego dnia, wciąż słyszę ich głosy – kiedy rozmawiały, dźwięki rozchodzące się w ciepłym powietrzu przypominały miękkie gruchanie gołębi.

Wszystkich ogarnęło rozbawienie, śmiechy wbijały się w czyste błękitne niebo nad stanem Wisconsin, i wtedy drzwi kuchenne otwały się szeroko i wybiegli z nich – wysocy i mali, ciemni i bardzo jaśni, odziani w uniformy murzyńscy kelnerzy, dozorczy, podkuchenni, przewoźnicy, kucharze, pomywacze, sprzedawcy lodów, ogrodnicy, pracownicy pól golfowych. Biegli w podskokach, ukazując piękne białe zęby, dumni z nowych uniformów w czerwone paski. Ich lśniąca buty unosiły się i opadały na zieloną trawę, gdy okrążyli łukiem ławy i w leniwym tempie wysypali się na boisko, po drodze nawołując i pozdrawiając wszystkich i wszystko.

My, dzieci, piszczeliśmy głośno. Był tam Długi Johnson, przystrzygacz trawników i Cavanaugh, sprzedawca lodów i napojów, a także Kusy Smith i Pete Brown i Jiff Miller!

A wśród nich Wielki Poe! My, dzieciaki, zaczęliśmy klaskać i krzyzczeć!

To Wielki Poe, jakże wysoki, co wieczór sprzedawał popcorn z maszyny w galantym pawilonie tanecznym za hotelem, na brzegu jeziora. Co wieczór kupowałem popcorn od Wielkiego Poego, a on hojnie oblewał go stopionym masłem.

– Wielki Poe! Wielki Poe! – wrzeszczałem, tupiąc głośno, a on obejrzał się na mnie, rozciągnął wargi, odsłaniając zęby, pomachał, krzyknął i zaśmiał się.

Mama obejrzała się w prawo, w lewo, z powrotem na nas, niespokojnymi oczami i szturchnęła mnie w łokieć.

– Ciszej – upomniała. – Ciszej.

– Jezuniu – mruknęła pani siedząca obok mojej matki i powachlowała się złożoną gazetą. – To ci dopiero dzień dla kolorowej służby, prawda? Jedyny dzień w roku, gdy mogą sobie poszaleć. Przez całe lato wyczekują wielkiego meczu czarnych z białymi. Ale to jeszcze nic, widzieliście ich Cakewalk Jamboree?

– Mamy nawet bilety – odparła matka. – Na dziś w pawilonie. Kosztowały dolara za sztukę. Według mnie całkiem drogo.

– Ale myślę sobie – rzekła kobieta – że raz w roku warto trochę wydać. A widok ich tańców to naprawdę coś. Mają naturalne wycucie...

– Rytmu – dokończyła matka.

– Zgadza się – odparła tamta pani. – Rytmu, dokładnie to. Jezuniu, trzeba było widzieć kolorowe pokojówki w hotelu. Od miesiąca kupują satynę na metry w wielkim sklepie w Madison i każdą wolną chwilę ślęczą roześmiane nad szyciem. I te pióra, które kupiły do swych kapeluszy! Musztardowe, bordowe, błękitne, fioletowe. To ci będzie widok!

– Wietrzyli też fraki – dodałem. – Sam widziałem. Cały tydzień wisały na sznurach za fotelem.

– Patrzcie, jak brykają – mruknęła matka. – Można by pomyśleć, że zamierzają wygrać z naszymi mężczyznami.

Ciemnoskórzy mężczyźni biegali tam i nazad, pokrzykując – wysoko, śpiewnie, i nisko, przeciągle. Nawet na środku boiska widać było błysk ich zębów, uniesione nagie czarne ręce kołysały się i opadały, klepiąc boki, gdy podskakiwali w upojonej radości w górę i w dół, niczym króliki.



Wielki Poe zebrał naręcze kijów, zarzucił na wielkie bycze ramię i pomaszerował wzdłuż linii pierwszej bazy, odchylając głowę, szeroko uśmiechnięty. W otwartych ustach poruszał się język, gdy Poe śpiewał:

*...będę tańcował w butach jak ten pan,  
Gdy bluesa Jelly Roll zagrają nam.  
Jutro wieczorem Dark Town Strutters' Ball!*

Jego kolana podnosiły się i opadały, a ręce wymachiwały kijami niczym pałeczkami dyrygenta. Z ław po lewej dobiegła fala oklasków i łagodnych śmiechów; tam właśnie siedziały wszystkie młode, rozfalowane, kolorowe dziewczyny o lśniących ciemnych oczach. Ich szybkie ruchy były pełne wdzięku i płynne, być może dzięki mocnym barwom. Śmiech brzmiał jak świergot nieśmiałych ptaków; machały do Wielkiego Poego, a jedna z nich piskliwym głosem zawołała:

– Och, Wielki Poe! Och, Wielki Poe!

Biały sektor dołączył uprzejmię do oklasków, gdy Wielki Poe dokończył paradę.

– Hej, Wielki Poe! – zawołałem ponownie.

– Przestań, Douglas! – upomniała ostro matka.

Teraz pomiędzy drzewami pojawiła się drużyna białych w swoich kostiumach. Powitał ich ogłuszający grzmot, krzyki i wstający widzowie na naszej trybunie. Biali mężczyźni przebiegli przez zieloną murawę, błyskając bielą.

– Och, tam, spójrz, wujek George! – rzuciła matka. – No proszę, czyż nie wygląda ładnie?

I faktycznie, zobaczyłem mojego wujka George'a, biegnącego truchtem w kostiumie, który nie do końca pasował, bo wujek ma brzuch i obwisłe policzki i podbródek, które opierają się o każdy kołnierzyk. Teraz śpieszył naprzód, starając się oddychać i uśmiechać jednocześnie, i unosił przy tym wysoko grube, krótkie nogi.

– Wszyscy wyglądają tak ładnie – dodała z entuzjazmem matka.

Siedziałem tam, przyglądając się im w ruchu. Matka siedziała

obok mnie i chyba także porównywała i oceniała, bo to, co ujrzała, zdumiało ją i zaniepokoiło. Jakże łatwo biegli ciemnoskórzy, niczym pokazywane w afrykańskich filmach antylopy i jelenie w zwolnionym tempie, istoty ze snów. Wybiegli jak piękne, brązowe, lśniące zwierzęta, które, same nie wiedząc, że są żywe, jednak żyją. A kiedy biegli i wyrzucali naprzód długie, leniwe, ponadczasowe nogi, wymachując mocnymi, potężnymi rękami o rozluźnionych palcach, i uśmiechali się do owiewającego ich wiatru, ich miny nie mówiły: „Patrzcie, jak biegnę, patrzcie jak biegnę!”. Nie, wcale nie. Ich rozmarzone twarze powiadały: „O Panie, jak miło jest biec. Widzicie, jak ziemia ugina się miękko pode mną? Raju, tak świetnie się czuję. Moje mięśnie poruszają się jak oliwa na kościach, bieganie to największa przyjemność na świecie”. I biegli, a ich bieg nie miał żadnego celu, poza radością i życiem.

Biali mężczyźni wysilali się, biegnąc, tak jak wysilali się przy wszystkim. Wstydziliśmy się za nich, bo żyli zbyt mocno, w niewłaściwy sposób. Zawsze zerkali kątem oka, sprawdzając, czy ich oglądamy. Murzynów nie obchodziło, czy patrzyliśmy, czy też nie, po prostu żyli, poruszali się. Byli tak pewni gry, że nie musieli już o niej myśleć.

– Doprawdy, nasi mężczyźni świetnie wyglądają – powtórzyła matka bez cienia zapału.

Widziała przecież, porównała drużyny, w głębi ducha musiała dostrzec, jak luźno, swobodnie kolorowi kołyszają się w swoich kostiumach i jak niepewnie i nerwowo biali tkwią wciśnięci, wpasowani i zapięci w swoje.

I chyba wtedy pojawiło się napięcie.

Chyba wszyscy widzieli, co się dzieje, widzieli, że biali mężczyźni wyglądają jak senatorzy w letnich strojach, i podziwiali nieświadomy wdzięk kolorowych. A potem, jak zawsze w takich przypadkach, podziw ów zamienił się w zawiść, zazdrość, irytację, z której zrodziły się następujące rozmowy:

– To mój mąż, Tom, na trzeciej bazie. Dlaczego nie unosi stóp? Po prostu tam stoi.

– To nieważne, zupełnie nieważne. Podniesie je, kiedy nadejdzie

pora.

- Weźmy na przykład mojego Henry'ego. Może i nie jest aktywny cały czas, ale w sytuacji kryzysowej lepiej uważajcie. Chciałabym jednak, żeby pomachał czy coś. O, tam stoi. Halo, Henry!

- Spójrzcie na tego Jimmiego Cosnera, jak tańczy!

Spojrzałem. Biały mężczyzna średniego wzrostu, o piegowatej twarzy i rudych włosach, błaznował na boisku. Właśnie balansował kijem na czole. Z białych trybun dobiegły śmiechy, brzmiały jednak tak, jakby ludzie śmiali się zażenowani takim zachowaniem.

- Piłka w grze! - oznajmił sędzia.

Rzucono monetą, kolorowi mieli uderzać pierwsi.

- Do diaska - mruknęła matka.

Kolorowi mężczyźni radośnie zbiegli z boiska.

Wielki Poe pierwszy podszedł na metę. Powitałem go wiwatami. Jedną ręką podniósł kij niczym wykałaczkę, ruszył do bazy i oparł go na potężnym ramieniu, uśmiechając się ponad błyszczącym drewnem w stronę trybun, na których siedziały kolorowe kobiety w nowych kwiecisto-kremowych sukienkach, falujących wokół nóg, które zwisały między ławami niczym świeże korzenie imbiru. Misternie pozawijane włosy opadały im na uszy. Wielki Poe szczególnie często zerkał na drobną, chudziutką jak kurcze kostki Katherine, swoją dziewczynę. To ona co ranka słała łóżka w hotelu i domkach, to ona stukała do waszych drzwi niczym ptaszek i uprzejmie pytała, czy skończyliście już śnić, bo jeśli tak, to sprzątnie wszystkie stare koszmary i przyniesie nową partię. Tylko proszę, używajcie ich pojedynczo, piękne dzięki. Wielki Poe, patrząc na nią, pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć, że tam jest. Potem odwrócił się, jedną ręką przytrzymując kij. Prawą zwiesił swobodnie u boku i czekał na próbne rzuty. Przemknęły obok, wyplute wprost z otwartej paszczy rękawicy łapacza, i poleciały z powrotem. Sędzia sapnął. Następnym rzut zaczynał mecz.

Wielki Poe przepuścił pierwszą piłkę.

- Steee-rajk! - oznajmił sędzia.

Wielki Poe mrugnął z uśmiechem do białych widzów.

Bum!

– Steee-rajk dwa! – zawołał sędzia.

Piłka nadleciała po raz trzeci.

I nagle Wielki Poe zamienił się w naoliwioną, wymachującą maszynę: zwisająca ręka uniosła się, chwytając koniec kija, ten wyprysnął naprzód, trafił w piłkę – trzask! Piłka wystrzeliła w niebo, lecąc ku pofalowanej linii dębów, ku jezioru, po którym sunęła bezszelestnie biała żaglówka. Tłum ryknął, a ja najgłośniej! Zobaczyłem wuja George’a, biegł na swych krótkich nóżkach w wełnianych pończochach, z każdą chwilą robiąc się coraz mniejszy i mniejszy.

Wielki Poe stał przez chwilę, obserwując piłkę. Potem zaczął biec: lekkim krokiem okrążył bazy, po drodze do domowej z trzeciej pomachał do kolorowych dziewczyn, naturalnie i radośnie, a one odmachwały, stając na ławkach i piszcząc.

Dziesięć minut później, gdy wszystkie bazy były zajęte i zaliczono kolejne punkty, a Wielki Poe znów stanął na mecie, matka odwróciła się do mnie.

– Ci ludzie zupełnie się z nikim nie liczą.

– Ale to przecież mecz! – odparłem. – Tylko dwa razy uderzali.

– Ale wynik to siedem do zera – zaprotestowała matka.

– Zaczekajcie, aż nasi mężczyźni zaczną uderzać – wtrąciła siedząca obok kobieta, odpędzając muchę bladą, błękitno żyłkowaną dłonią. – Ci Murzyni za bardzo się rządzą.

– Steee-rajk dwa! – rzucił sędzia po kolejnym zamachu Wielkiego Poego.

– Przez cały ostatni tydzień w hotelu – ciągnęła kobieta obok matki, wpatrując się niewzruszenie w Wielkiego Poego – służba hotelowa była po prostu okropna. Pokojówki zajmowały się tylko ich zabawą, Cakewalk Jamboree, a kiedy prosiliśmy o wodę z lodem, potrzebowały pół godziny, by ją przynieść, bo były tak zajęte szyciem.

– Pierwsza piłka! – zawołał sędzia.

Kobieta wydeła wargi.

– Ucieszę się, kiedy ten tydzień już się skończy, tylko tyle

powiem.

– Druga piłka! – rzekł sędzia do Wielkiego Poego.

– Zamierzają go tak przepuścić? – spytała mnie matka. – Oszaleli? – I zwracając się do kobiety obok, dodała: – Zgadza się, cały tydzień zachowywali się dziwnie. Zeszłego wieczoru musiałam dwa razy upomnieć Wielkiego Poego, żeby polał mi popcorn dodatkowym masłem. Może próbował oszczędzać czy coś takiego?

– Trzecia piłka! – rzucił sędzia.

Pani siedząca obok mojej matki krzyknęła nagle i zaczęła wachlować się wściekle gazetą.

– Jezuniu, właśnie coś mi przyszło do głowy. Czyż nie byłoby okropnie, gdyby wygrali ten mecz? Bo wie pani, że mogą. Mogą to zrobić.

Moja matka spojrzała na jezioro, na drzewa, na swoje dłonie.

– Nie wiem, dlaczego wuj George musiał dziś grać. Robi tylko z siebie głupca. Douglas, pobiegnij do niego i powiedz, żeby w tej chwili odpuścił. To mu zaszkodzi na serce.

– Aut! – krzyknął sędzia do Wielkiego Poego.

– Ach – westchnęły trybuny.

Nastąpiła zmiana stron, Wielki Poe delikatnie odłożył kij i ruszył wzdłuż linii bazowej. Biali zbiegli się z boiska, z czerwonymi twarzami i rozdrażnieni, z wielkimi wyspami potu pod pachami. Wielki Poe obejrzał się na mnie. Mrugnąłem. On odmrugnął. I wtedy zrozumiałem, że nie jest taki głupi.

Celowo nie trafił w piłkę.

Długi Johnson miał rzucać dla drużyny kolorowych.

Podbiegł na miejsce i zaczął rozprostowywać i zginać palce, by je rozluźnić.

Pierwszym pałkarzem białych był niejaki Kodimer, cały rok sprzedający garnitury w Chicago.

Długi Johnson posyłał piłki nad bazą ze zmęczoną, niewymuszoną, kontrolowaną celnością.

Pan Kodimer machał kijem. Pan Kodimer uderzał. W końcu pan Kodimer posłał piłkę wzdłuż linii trzeciobazowej.

– Aut przy pierwszej bazie – rzucił sędzia, Irlandczyk

nazwiskiem Mahoney.

Drugi do kija podszedł młody Szwed, Moberg. Posłał wysoką piłkę na środek pola, tam złapał ją drobny, pulchny Murzyn, który nie wyglądał na grubasa, bo poruszał się jak gładka, krągła kulka rtęci.

Trzeci był kierowca ciężarówki z Milwaukee, uderzył mocno wprost na środkowe pole. To był dobry strzał, tyle że próbował zanadto go wydłużyć. Kiedy podbiegł do drugiej bazy, czekał już tam Emancipated Smith z białą kulką w ciemnej dłoni.

Moja matka głośno parsknęła, opadając na ławkę.

– No, doprawdy!

– Robi się coraz goręcej – oznajmiła pani siedząca tuż przy jej łokciu. – Chyba niedługo wybiorę się na spacer nad jezioro. Zbyt dziś gorąco, by siedzieć i oglądać jakiś głupi mecz. Może pójdzie pani ze mną? – zaproponowała matce.

I tak to trwało przez pięć inningów.

Jedenaście do zera i Wielki Poe trzy razy specjalnie nie trafił w piłkę. Podczas ostatniej połowy piątego inningu Jimmie Cosner znów odbijał dla naszej drużyny. Próbował całe popołudnie, błaznując, udzielając instrukcji, mówiąc wszystkim, gdzie dokładnie zamierza posłać tę petardę, kiedy w końcu będzie miał okazję. Teraz pomaszerował w stronę mety rozkołysanym krokiem, pewien siebie, piejąc radośnie. Zważył sześć kijów w chudych dłoniach, oglądając je krytycznie lśniąco zielonymi oczkami. Wybrał jeden, odrzucił pozostałe, podbiegł do bazy, wycinając w boisku swoimi korkami małe wysepki świeżej, zielonej trawy. Naciągnął mocniej czapeczkę na przykurzone rude włosy.

– Patrzcie tylko! – zawołał głośno do pań. – Zaraz pokażę tym czarnym chłopakom. Ju-huu!

Długi Johnson zakołysał się powoli. Przypominał węża na gałęzi drzewa, który odwija się z niej i nagle śmiga ku ofierze. W jednej chwili jego dłoń znalazła się przed nim, otwarta niczym czarne szczęki, pusta, a biała piłka ze świstem przemknęła nad bazą, tnąc powietrze jak brzytwa.

– Stee-rajk!

Jimie Cosner opuścił kij i stał tam, patrząc gniewnie na sędziego. Długi czas milczał. Potem splunął z rozmysłem pod stopy łapacza, znów chwycił żółty kij z klonowego drewna i zamachnął się tak, że słońce zamigotało na krawędzi, tworząc nerwową aureolę. Wzdrygnął się i oparł kij o chude ramię, jego usta otwały się i zamknęły, ukrywając długie, pożółkłe od nikotyny zęby.

Klap! – zadźwięczała rękawica łapacza.

Cosner odwrócił się gwałtownie.

Łapacz niczym czarny magik otworzył naoliwioną rękawicę, błyskając białymi zębami. Na środku spoczywała piłka połyskująca bielą jak kwiat.

– Steee-rajk dwa! – rzucił sędzia z daleka w upale.

Jimie Cosner położył kij na bazie i podparł się pod boki piegowatymi rękami.

– Chcesz mi powiedzieć, że to był strajk?

– Tak powiedziałem – odparł sędzia. – Podnieś kij.

– Chyba po to, żeby walnąć cię nim w głowę – warknął ostro Cosner.

– Grasz czy schodzisz z boiska?

Jimie Cosner kilka razy poruszył wargami, zbierając dość śliny, by splunąć, po czym gniewnie przełknął i zamiast tego zaklął gorzko pod nosem. Sięgnął po kij i oparł go jak muszkiet na ramieniu.

I nadleciała piłka!

Z początku mała, tuż przed nim stała się wielka. Trach! Ekspłodowała, odskakując od żółtego kija. Wirując, pomknęła w górę, w górę, Jimie wystartował do pierwszej bazy. Piłka zawahała się, jakby tam na niebie zaczęła myśleć o sile ciężenia. Na brzeg jeziora napłynęła fala i załamała się. Tłum ryknął, Jimie biegł, piłka podjęła decyzję i opadła. Tuż pod nią znalazł się zręczny, gibki, lekko śniady gracz, był dokładnie pod nią. Ale upuścił ją, piłka poturlała się po trawie, została przechwycona i ciśnięta ku pierwszej bazie.

Jimie zrozumiał, że go wyautują, skoczył zatem stopami naprzód, na bazę.

Wszyscy widzieli, jak jego korki wbijają się w kostkę Wielkiego Poego. Wszyscy zobaczyli czerwoną krew. Wszyscy usłyszeli krzyk, wrzask, dostrzegli wielką chmurę pyłu.

– Jestem bezpieczny! – zaprotestował Jimmy dwie minuty później.

Wielki Poe siedział na ziemi, cała drużyna czarnych zebrała się wokół niego. Doktor pochylał się, naciskał jego kostkę, mamrocząc:

– Mmm... – I: – Nieładnie to wygląda. Proszę.

Posmarował ranę lekarstwem i okręcił białym bandażem.

Sędzia obdarzył Cosnera zimnym spojrzeniem wodnistych oczu.

– Schodzisz.

– A w życiu! – odparł Cosner i stał tak na pierwszej bazie, wydymając policzki i kołysząc po bokach piegowatymi rękami. – Jestem bezpieczny. Zostaję tu, na Boga! Żaden czarnuch mnie nie wyautuje.

– Nie – odparł sędzia – biały cię wyautował. Ja. Schodź.

– Upuścił piłkę! Sprawdź zasady, jestem bezpieczny!

Sędzia i Cosner stali naprzeciw siebie, miażdżąc się wzrokiem.

Wielki Poe uniósł głowę znad opatrywanej, zapuchniętej kostki, jego głos zabrzmiał nisko i łagodnie. Zmierzył spokojnym spojrzeniem Jimmiego Cosnera.

– Tak, jest bezpieczny, panie sędzio. Proszę go zostawić. Jest bezpieczny.

Stałem tuż obok i wszystko słyszałem: wraz z innymi dziećmiakami wybiegliśmy na boisko, żeby przyjrzeć się bliżej. Matka wciąż mnie wołała, żebym wracał na trybunę.

– Tak, jest bezpieczny – powtórzył Wielki Poe.

Wszyscy kolorowi krzyknęli głośno.

– Co z tobą, czarnuchu? Dostałeś w głowę?

– Słyszeliście – odparł cicho Wielki Poe i popatrzył na opatrującego go doktora. – Jest bezpieczny, dajcie mu zostać.

Sędzia zaklął.

– Już dobrze, dobrze. Jest bezpieczny.

Odszedł szybko, unosząc ramiona pod bardzo czerwonym karkiem.



Ktoś pomógł Wielkiemu Poemu wstać.

– Lepiej, żebyś nie chodził – ostrzegł doktor.

– Mogę chodzić – wyszeptał ostrożnie Wielki Poe.

– Lepiej nie graj.

– Mogę grać – powiedział łagodnie Wielki Poe pewnym siebie tonem, kręcąc głową; pod białymi oczami wysychały mokre ślady łez. – Dobrze zagram. – Nie patrzył na nic w szczególności. – Bardzo dobrze zagram.

Wszyscy kolorowi popatrzyli po sobie, na Wielkiego Poego, na Jimmiego Cosnera, na niebo, jezioro, tłum. Odeszli cicho, zajmując swoje miejsca. Wielki Poe stał, ledwie tykając ziemi ranną stopą, balansując. Doktor nie ustępował, ale Wielki Poe go odprawił.

– Pałkarz! – zawołał sędzia.

Znów zasiedliśmy na trybunach. Matka uszczypnęła mnie w nogę i spytała, dlaczego nie potrafię usiedzieć w spokoju. Zrobiło się ciepłej, trzy czy cztery kolejne fale polizały brzeg, panie za siatką wachlowały spocone twarze, mężczyźni wiercili się lekko na drewnianych siedziskach i unosili gazety nad zmarszczone czoła, obserwując Wielkiego Poego stojącego na pierwszej bazie niczym sekwoja. Jimmie Cosner czekał obok, w cieniu tego ciemnego drzewa.

Młody Moberg przyszedł odbijać dla naszej strony.

– No dalej, Szwedzie, dalej Szwedzie! – rozległ się krzyk, samotny krzyk, jakby zaszuszonego ptaka, który przysiadł pośrodku oślepiająco zielonej murawy.

To krzyczał Jimmie Cosner. Trybuny spojrzały na niego. Ciemne głowy obróciły się na cielesnych łożyskach na boisku, czarne twarze skierowały się ku niemu, mierząc go wzrokiem, oceniając chude, nerwowo zgarbione plecy. Nagle stał się centrum wszechświata.

– No dalej, Szwedzie! Pokażmy tym czarniawym! – Cosner zaśmiał się i urwał. Wokół panowała absolutna cisza, słyhać było tylko wiatr przenikający między wysokimi, rozmigotanymi drzewami. – No dalej, Szwedzie, zalicz punkcik tą starą piłką!

Na wzgórku miotacza Długi Johnson przekrzywił głowę. Powoli,

z rozmysłem przyjrzał się Cosnerowi. Wymienił spojrzenia z Wielkim Poem, Jimmie Cosner dostrzegł to, zamknął się i głośno przełknął ślinę.

Długi Johnson nie śpieszył się z zamachem.

Cosner zeskoczył z bazy.

Długi Johnson zatrzymał uniesioną rękę.

Cosner poślizgiem wrócił na miejsce, ucałował dłoń i przyklepał pocałunek w samym środku bazy. Potem uniósł głowę i obdarzył wszystkich uśmiechem.

I znów miotacz uniósł długą rękę na zawiasach, czule oplótł palcami skórzany pocisk, zamachnął się i... Cosner tanecznym krokiem zbiegł z pierwszej bazy. Zaczął podskakiwać w górę i w dół jak małpa. Miotacz z pozoru nie patrzył na niego, lecz jego oczy obserwowały go w sekrecie, przebiegłe, rozbawione. A potem nagłym ruchem głowy miotacz wypłoszył Cosnera z powrotem na bazę. Cosner stanął tam i zagwizdał szyderczo.

Kiedy Długi Johnson zamachnął się do rzutu po raz trzeci, Cosner zdążył zbiec z bazy i popędzić w stronę drugiej.

Łuup, szast, świsnęła ręka miotacza. Bum, odpowiedziała rękawica Wielkiego Poego, gdy złapał piłkę na pierwszej bazie.

Wszystko jakby zamarło. Tylko na sekundę.

Słońce na niebie, jezioro i pływające po nim łodzie, trybuny, miotacz na swym miejscu stojący z wyciągniętą, opuszczoną ręką po rzucie, Wielki Poe ściskający piłkę w potężnej, czarnej dłoni, gracze z boiska, którzy kucali, obserwując całą scenę, i wreszcie Jimmie Cosner, który biegł, wzbijając w powietrze chmury kurzu, i stanowił jedyny ruchomy element całego letniego świata.

Wielki Poe pochylił się, ustawił przodem do drugiej bazy, uniósł wysoko potężną prawą rękę i cisnął białą piłką prosto wzdłuż linii, trafiając Jimmiego Cosnera w głowę.

W następnej sekundzie coś jakby przełamało zakłęcie.

Jimmie Cosner leżał bez ruchu na parzącej trawie. Ludzie wykpieli z trybun. Słychać było przekleństwa, krzyki kobiet, łoskot drewna, gdy mężczyźni pędzili po drewnianych schodach trybun. Drużyna kolorowych uciekła z boiska. Jimmie Cosner wciąż tam leżał. Wielki Poe z twarzą bez wyrazu, kuśtykając,

zszedł z pola gry. Odpychał białych niczym klamerki do bielizny, gdy próbowali go powstrzymać. Po prostu ich podnosił i odrzucał na boki.

– Chodź, Douglassie! – zapiszczała mama, łapiąc mnie. – Wracajmy do domu! Oni mogą mieć brzytwy! Och!

\* \* \*

Tego wieczoru po popołudniowych wydarzeniach, które o mało nie doprowadziły do rozruchów, moja rodzina została w domu i czytała kolorowe pisma. We wszystkich domkach wokół nas paliło się światło. Wszyscy byli w domu. W dali słyszałem muzykę. Wymknąłem się tylnymi drzwiami w dojrzałą, letnią nocną ciemność i pobiegłem w stronę pawilonu tanecznego. Wszystkie światła płonęły, grała muzyka.

Ale przy stołach brakowało białych ludzi. Nikt nie przyszedł na Jamboree.

Zjawili się tylko kolorowi, kobiety w jaskrawoczerwonych i niebieskich satynowych sukniach, siatkowych pończochach i miękkich rękawiczkach, z piórami barwy wina przy kapeluszach. Mężczyźni w połyskliwych smokingach. Muzyka wzbierała i opadała, zalewając parkiet. A tam roześmiani, unoszący wysoko w powietrze nogi w wyczyszczonych do połysku butach, tańczyli Długi Johnson i Cavanaugh, i Jiff Miller, i Pete Brown, i kuśtykający Wielki Poe z Katherine, jego dziewczyną. A także wszyscy inni przystrzygacze trawników, przewoźnicy, dozorczy i pokojówki.

Dookoła pawilonu panowała gęsta ciemność, gwiazdy świeciły na czarnym niebie, a ja stałem na zewnątrz, przyciskając nos do szyby, i bardzo długo obserwowałem wszystko w milczeniu.

Poszedłem do łóżka, nie mówiąc nikomu, co zobaczyłem.

Po prostu leżałem w ciemności, czując coraz słabszy zapach jabłek.

Nocne jezioro szumiało cicho, a ja słuchałem odległej, słabej i cudownej muzyki. Tuż przed snem jeszcze raz zabrzmiała ostatnia zwrotka.

*...będę tańcował w butach jak ten pan,  
Gdy bluesa Jelly Roll zagrają nam.  
Jutro wieczorem Dark Town Strutters' Ball!*

## CAŁY, WIELKI, SZEROKI ŚWIAT

To był dzień, gdy warto wstać z łóżka, warto odciągnąć zasłony i szeroko otworzyć okna. To był dzień, gdy serce rośnie z każdym haustem ciepłego górskiego powietrza.

Cora usiadła na łóżku. Czuła się jak młoda dziewczyna w pomarszczonej starej sukience.

Było jeszcze wcześniej, słońce ledwie wyłoniło się zza horyzontu, ale ptaki ćwierkały już na sosnach, a dziesięć miliardów czerwonych mrówek wyroiło się z brązowych pagórków przy drzwiach domku. Mąż Cory, Tom, spał jak niedźwiedź zakopany w zaspę pościeli obok niej. Czy moje serce go obudzi? – pomyślała.

I wtedy przypomniała sobie, czemu ten dzień jest taki wyjątkowy.

– Benjy przyjeżdża!

Wyobraziła sobie, jak przybywa z daleka, pędząc przez zielone łąki, brodząc w strumieniach, którymi wiosna odziana w chłodne barwy mchu i czystej wody mknie ku morzu. Ujrzała jego ciężkie buty wzbijające kurz i kamyki na kamienistych drogach i ścieżkach. Zobaczyła jego piegowatą twarz, skąpaną w blasku słońca, spoglądającą w radosnym upojeniu w dół długiego ciała na odległe ręce wymachujące w przód i w tył.

Pośpiesz się, Benjy! – pomyślała, szybko otwierając okno. Wiatr uniósł jej włosy niczym szarą pajęczynę wokół zmarzniętych uszu. Teraz Benjy jest przy żelaznym moście, teraz na Meadow Pike. Teraz przy ścieżce nad strumieniem, teraz na polu Chesleya.

Gdzieś w tych górach Missouri wędrował Benjy. Cora zamrugnęła. Przez te dziwne wzgórza jechali dwa razy do roku z Tomem wozem zaprzężonym w konie do miasteczka, a trzydzieści lat temu chciała pobiec przez nie dalej, bez końca, powiedziała: „Och, Tomie, jedźmy tak i jedźmy, póki nie dotrzemy do morza”, ale Tom spojrzął na nią, jakby dała mu

w twarz, a potem zawrócił wóz i pojechał do domu, przemawiając wyłącznie do kłaczy. I jeśli ludzie faktycznie mieszkali na wybrzeżach, na które morze wdiera się co dnia niczym burza, raz głośniej, raz ciszej, ona mogła to sobie tylko wyobrażać. I jeśli istniały gdzieś tam miasta, w których co wieczór neony rozkwiwały różowym lodem, zieloną miętą i czerwonymi fajerwerkami, też mogła to tylko sobie wyobrażać. Jej horyzont, północ, południe, wschód i zachód, stanowiła ta dolina i nigdy nie dotarła nigdzie indziej.

Ale teraz, dzisiaj, pomyślała, Benjy przybędzie z tamtego świata: widział go, słyszał, czuł jego zapach i opowie mi o nim. No i potrafi pisać. Spojrzała na swe dłonie. Spędzi tu cały miesiąc i nauczy mnie, a wtedy będę mogła pisać do tego świata i sprowadzić go tu, do skrzynki pocztowej, którą każę dziś Tomowi dla mnie zrobić.

– Wstawaj, Tom! Słyszysz?

Wyciągnęła rękę, by rozkopać zaspę śpiącego śniegu.

\* \* \*

O dziewiątej rano w dolinie było pełno pasikoników, śmigających w górę, w błękitne, sosnowe powietrze. Na niebie snuła się smuga dymu.

Cora, śpiewając do garnków i rondli i polerując je, oglądała swą pomarszczoną twarz powleczoneą brązem i jaśniejącą w miedzianych dnach. Tom marudził nad śniadaniem z kaszki kukurydzianej, wydając z siebie odgłosy zaspanego niedźwiedzia, a jej śpiewy trzepotały wokół niego niczym ptak w klatce.

– Ktoś jest dziś bardzo szczęśliwy – rzucił obcy głos.

Cora zamieniła się w posąg. Kątem oka ujrzała cień padający do środka.

– Pani Brabbam? – spytała, zwracając się do swojej ścierki do szorowania.

– Zgadza się, to ja.

I faktycznie, stała przed nią Szanowna Wdowa, jej sukienka w kratkę ciągnęła się po rozgrzanej ziemi. W kurzej dłoni trzymała listy.

– Dzień dobry, właśnie sprawdzałam skrzynkę. Dostałam bardzo piękny list od mojego wuja George’a ze Springfield. – Pani Brabbam przygwoździła Corę wzrokiem niczym srebrną igłą. – Od jak dawna nie dostałaś listu od swojego wujka, moja panno?

– Moi wszyscy wujowie nie żyją. – To nie sama Cora, lecz jej język skłamał. Wiedziała, że gdy nadejdzie czas, jej język będzie też musiał przystąpić do komunii i wyznać ziemskie grzechy.

– Bardzo miło jest dostawać pocztę. – Pani Brabbam powachlowała się listami niczym kartami w rześkim porannym powietrzu.

Jak zawsze obracała nóż w ranie. Od ilu lat, pomyślała Cora, to się ciągnie? Pani Brabbam i jej uśmiechnięte oczy, głośna gadanina, jak to dostała pocztę, sugestie, że nikt inny w promieniu wielu mil nie umie czytać? Zagryzła wargi i omal nie cisnęła rondlem, ale odstawiła go ze śmiechem.

– Zapomniałam pani powiedzieć! Przyjeżdża mój siostrzeniec Benjy; jego rodzicom nie wiedzie się najlepiej, więc spędzi tu lato. Nauczy mnie pisać. A Tom buduje nam skrzynkę pocztową, prawda, Tomie?

Pani Brabbam mocno zacisnęła dłonie na listach.

– Doprawdy pięknie! Ty to masz szczęście.

I nagle w drzwiach pozostała pustka. Pani Brabbam odeszła.

Ale Cora ruszyła za nią. Przez ułamek sekundy dostrzegła, jak coś przeskakuje przez płot na podwórku w dole, coś jakby strach na wróble, coś jak błysk czystego słońca, coś jak pstrąg skaczący w górę strumienia. Ujrzała wielką machającą dłoń i ptaki wzlatujące w panice z rajskej jabłoni.

Pobiegła szybko ścieżką, a świat uciekał przed nią.

– Benjy!

Wpadli na siebie jak partnerzy z sobotniej potańcówki, splekli ramiona, zderzyli się i zawirowali w walcu, wykrzykując radośnie.

– Benjy!

Zerknęła mu szybko za ucho.

Tak, tkwił tam żółty ołówek.

– Benjy, witaj!

– Ależ ciociu! – Wyciągnął ręce i przytrzymał ją, patrząc uważnie. – Ależ ty płaczesz!

\* \* \*

– Oto mój siostrzeniec – oznajmiła Cora.

Tom skrzywił się znad łyżki pełnej kaszki kukurydzianej.

– Wielce mi miło. – Benjy uśmiechnął się.

Cora trzymała go mocno pod ramię, żeby nie zniknął. Czuła się słabo, chciała usiąść, wstać, pobiec, ale pozwalała tylko sercu bić bardzo szybko i w nieoczekiwanych chwilach wybuchała śmiechem. Teraz w jednym mgnieniu oka odległe kraje zbliżyły się do niej; oto wysoki chłopiec, rozświetlający pomieszczenie niczym sosnowe łączywo, chłopiec, który widział miasta i morza, bywał w miejscach, gdzie jego rodzicom lepiej się wiodło.

– Benjy, mam na śniadanie groszek, kukurydzę, boczek, kaszkę, zupę i fasolę.

– Wstrzymaj konie! – zaprotestował Tom.

– Zamilcz, Tomie, chłopak przeszedł bardzo długą drogę i strasznie wychudł. – Odwróciła się do chłopca. – Benjy, opowiedz mi o sobie. Chodziłeś do szkoły, prawda?

Benjy kopniakiem zrzucił buty. Jedną bosą stopą nakreślił słowo w popiele paleniska.

Tom wykrzywił się.

– Co to znaczy?

– To znaczy – odparł Benjy – C i O i R i A. Cora.

– Moje imię, Tomie, popatrz! Och, Benjy, jak dobrze, że naprawdę umiesz pisać, dziecko. Kiedyś, dawno temu, odwiedził nas pewien kuzyn. Twierdził, że umie pisać w przód, w tył i do góry nogami. Tuczylśmy go zatem, a on pisał listy, ale nigdy nie dostaliśmy odpowiedzi. Okazało się, że znał akurat dość liter, by wysłać listy do biura niedoreczonych przesyłek. Zmiłuj się Panie, Tom sprzął tego chłopca za dwa miesiące solidnych posiłków i pogonił go drogą kawałkiem sztachety.

Zaśmiali się nerwowo.

– Piszę bardzo dobrze – oznajmił z powagą chłopak.

– I właśnie to chcieliśmy usłyszeć. – Podsunęła mu kawałek



ciasta z jagodami. – Jedz.

O wpół do jedenastej, gdy słońce wzniosło się już wysoko, obejrawszy, jak Benjy pochłania kopiałe talerze jedzenia, Tom z ponurą miną wymaszerował z domku, mocno naciągając czapkę na uszy.

– Idę i na Boga, wyrąbię pół lasu! – rzucił gniewnie.

Nikt jednak go nie usłyszał. Cora siedziała zafascynowana. Wbijając wzrok w ołówkę za porośniętym brzoskwińskim meszkiem uchem Benjy’ego, widziała, jak gładzi go od niechcienia, leniwie, obojętnie. O, nie tak lekko, Benjy, pomyślała. Traktuj go jak wiosenne jajeczko drozda. Chciała dotknąć ołówka, ale od lat nie miała żadnego w palcach, bo sprawiał, że czuła się głupia, potem wpadała w złość, a wreszcie ogarniał ją smutek. Jej dłoń drgnęła lekko na kolanach.

– Masz może papier? – spytał Benjy.

– O Boże, nie pomyślałam o tym – jęknęła i ściany w pokoju pociemniały. – Co teraz zrobimy?

– Dobrze się składa, że przywiozłem trochę ze sobą. – Wyciągnął z niewielkiej torby duży notatnik. – Chcesz napisać do kogoś list?

Uśmiechnęła się z szaleńczą radością.

– Pragnę napisać list do... do...

Mina jej zrzędała. Rozejrzała się, szukając wzrokiem kogoś w dali. Spojrzała na górę w promieniach porannego słońca, usłyszała szum morza na żółtym brzegu, tysiąc mil dalej. Ptaki leciały na północ nad doliną, w drodze do niezliczonych miast, obojętnych na jej pragnienia.

– Benjy, aż do tej chwili w ogóle nie przyszło mi to do głowy. Nie znam nikogo na tym całym wielkim świecie, nikogo oprócz mojej ciotki. A gdybym napisała do niej, poczułaby się okropnie, sto mil stąd, bo musiałaby znaleźć kogoś, kto przeczytałby jej list. Nosi swą dumę jak fiszbinowy gorset, przez następne dziesięć lat denerwowałyby się, patrząc na list leżący na kominku. Nie, do niej na pewno nie. – Wzrok Cory oderwał się od wzgórz i niewidocznego oceanu. – Zatem do kogo, gdzie? Do kogokolwiek. Po prostu muszę dostać jakieś listy.

– Chwileczkę. – Benjy wyłowił z kieszeni kurtki groszowe pismo, miało czerwoną okładkę, na której rozebrana pani z krzykiem cofała się przed zielonym potworem. – Tu mamy mnóstwo adresów.

Razem zaczęli obracać stronicę.

– Co to? – Cora postukała palcem w reklamę.

– OTO TWÓJ DARMOWY WYKRES MASY MIĘŚNIOWEJ SIŁA PLUS. Przyślij nazwisko i adres – odczytał Benjy – pod adres Mieszk. M-3, by otrzymać Darmową Mapę Zdrowia!

– A ten tutaj?

– DETEKTYWI PRZEPROWADZAJĄ DYSKRETNE ŚLEDZTWA. DARMOWE SZCZEGÓŁY, NAPISZ, SZKOŁA DETEKTYWISTYCZNA G.D.M.

– Wszystko za darmo. Cóż, Benjy... – Spojrzała na ołówek w jego dłoni.

Benjy przysunął bliżej krzesło. Patrzyła, jak obraca go w palcach, układając wygodniej, jak lekko przygryza język, jak mruży oczy. Wstrzymała oddech. Pochyliła się. Także zmrużyła oczy i zacmokała.

Teraz, teraz Benjy uniósł ołówek, polizał i przytknął do papieru. Zaczyna się, pomyślała Cora.

Pierwsze słowa. Kształtowały się powoli na niewiarygodnym papierze.

*Do wielce szacownej firmy Siła Plus.*

*Szanowni państwo, [napisał].*

\* \* \*

Ranek minął z wiatrem, ranek spłynął w dół strumienia, ranek odleciał z krukami, a słońce paliło dach domku. Cora nie odwróciła się, słysząc szuranie stóp w rozpalonych, wypełnionych słońcem drzwiach. To był Tom, a przecież go nie było, istniała tylko seria zapelnionych kartek, szepczący ołówek i dłoń Benjy'ego, kreśląca starannie kaligraficzne litery. Cora obracała głowę z każdym o, z każdym l, z każdym małym wzgórkim m, każda maleńka kropka sprawiała, że kołysała

głową niczym kura, każdemu przekreślonemu t towarzyszyło cmoknięcie języka o górną wargę.

– Już południe. Jestem głodny – oznajmił Tom tuż zza jej pleców.

Ale Cora zamieniła się w posąg. Obserwowała ołówkę tak, jak czasem oglądamy ślimaka pozostawiającego niezwykle ślad na płaskich kamieniach wczesnym rankiem.

– Już południe! – zawołał ponownie Tom.

Cora oszołomiona uniosła wzrok.

– No proszę, a zdaje się, że ledwie chwilę temu napisaliśmy do Filadelfijskiej Kompanii Kolekcjonerów Monet, prawda, Benjy? – Cora uśmiechnęła się stanowczo zbyt promiennie jak na pięćdziesięciopięciolatkę. – Czy, czekając na obiad, Tomie, mógłbyś zbudować skrzynkę na listy? Większą niż u pani Brabbam, proszę?

– Zbiję ci pudełko na buty.

– Tomie Gibbsie. – Wstała z uśmiechem, który mówił: „Lepiej uciekaj, lepiej bierz się do pracy, lepiej zrób to!”. – Chcę mieć dużą, ładną skrzynkę na listy, całą białą, żeby Benjy mógł namalować na niej nasze nazwisko czarnymi literami. Nie życzę sobie pudełka na buty na mój pierwszy prawdziwy list.

I tak też się stało.

Na ukończonej skrzynce Benjy wypisał dużymi literami: PANI CORA GIBBS, podczas gdy Tom stał za nim z nadąsaną miną.

– Co tu jest napisane?

– PAN TOM GIBBS – oznajmił cicho Benjy, wciąż malując.

Tom mrugał dłuższą chwilę, przyglądając się literom.

– Nadal jestem głodny – rzekł w końcu. – Niech ktoś rozpali ogień.

\* \* \*

Nie mieli znaczków. Cora śmiertelnie zbladła. Zmusiła Toma, by zaprzągnął konia i pojechał do Green Fork, żeby kupić kilka czerwonych, zielony i dziesięć różowych znaczków, na których wydrukowano podobiznę szacownego dżentelmena. Cora jednak zabrała się także, by mieć pewność, że Tom nie ciśnie pierwszych listów do strumienia. Gdy zajechali pod dom, pierwsze, co zrobiła

z jaśniejącą twarzą, to zajrzała do nowej skrzynki na listy.

– Oszalałaś? – spytał Tom.

– Nie zaszkodzi sprawdzić.

Tego popołudnia odwiedziła skrzynkę sześć razy. Za siódmym ze środka wyskoczył świstak. Tom stał w drzwiach, zaśmiewając się i klepiąc w kolana. Gdy Cora wygoniła go z domu, wciąż się śmiała.

A potem stanęła w oknie, patrząc w dół na swoją skrzynkę na listy, dokładnie naprzeciw skrzynki pani Brabbam. Dziesięć lat temu pani wdowa ustawiła swą skrzynkę dokładnie pod nosem Cory, choć z łatwością mogła ją postawić bliżej własnego domu. Dawało jej to jednak pretekst, by co dzień, płynąc ścieżką niczym rzeka ze zbocza, do wtóru donośnego kasłania i szelestów otwierać skrzynkę, od czasu do czasu upewniając się zerknięciem, że Cora patrzy. Cora zawsze patrzyła. Przyłapaną udawała, że podlewa kwiaty z pustej konewki albo zbiera grzyby poza sezonem.

\* \* \*

Następnego ranka zerwała się z łóżka, nim jeszcze słońce rozgrzało grządkę truskawek, a wiatr zakołysał sosnami.

Kiedy wróciła po sprawdzeniu skrzynki, Benjy siedział na swojej pryczy.

– Za wcześnie – oznajmił. – Listonosz jeszcze nie podjechał.

– Podjechał?

– W tak dalekie miejsca przyjeżdżają samochodami.

– Och.

Cora usiadła.

– Źle się czujesz, ciociu Coro?

– Nie, nie. – Zamrugęła. – Tylko nie pamiętam, by przez ostatnie dwadzieścia lat przejeżdżała tędy pocztowa furgonetka. Właśnie to do mnie dotarło. Przez cały ten czas ani razu nie widziałam listonosza.

– Może zjawia się, kiedy cię nie ma?

– Wstaję razem z mgłą, chodzę spać z kurami. Oczywiście nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale... – Odwróciła się,

by wyrzeć przez okno na dom pani Brabbam. – Benjy, zaczynam mieć dziwne przeczucie.

Wymaszerowała z domku wysypaną piaskiem ścieżką, Benjy dreptał za nią. Razem przecięli wąską drogę i dotarli do skrzynki pani Brabbam. Na polach i wzgórzach zalegała cisza, było tak wcześnie, że człowiek miał ochotę szeptać.

– Nie łam prawa, ciociu Coro!

– Ciii, zobacz. – Otworzyła skrzynkę i wsunęła do środka dłoń, jak ktoś grzebiący w norze susła. – I proszę, i proszę. – Wysypała mu do wyciągniętych dłoni kilka listów.

– Ale te już są otwarte. Otworzyłaś je, ciociu Coro?

– Dziecko, nigdy ich nawet nie tknęłam. – Minę miała oszołomioną. – Pierwszy raz w życiu pozwoliłam, by choćby mój cień musnął tę skrzynkę.

Benjy zaczął obracać w palcach listy, przekrzywiając głowę.

– Ależ ciociu Coro, te listy mają dziesięć lat!

– Co takiego? – Cora chwyciła je.

– Ciociu Coro, ta pani od lat co dzień dostaje tę samą pocztę. Nie są nawet zaadresowane do pani Brabbam, tylko do jakiejś kobiety nazwiskiem Ortega w Green Fork.

– Ortega, sprzedawczyni z meksykańskiego sklepu! Tyle lat – szepnęła Cora, wpatrując się w trzymane w dłoniach wytarte koperty. – Tyle lat.

Spojrzeli na dom pani Brabbam, wciąż śpiący w ten chłodny cichy ranek.

– Och, ta przebiegła kobieta! Robiła tyle zamieszania z listami, żebym poczuła się taka mała. A ona, nadęta, stąpała dumnie, czytając pocztę.

Drzwi frontowe pani Brabbam otwarły się.

– Odłóż je, ciociu Coro!

Cora bez trudu zdążyła zatrzasnąć skrzynkę.

Pani Brabbam przepłynęła powoli ścieżką, przystając tu i tam, by w ciszy przyjrzeć się otwierającym się polnym kwiatom.

– Dzień dobry – rzuciła słodko.

– Pani Brabbam, to mój siostrzeniec Benjy.

– Jak miło.

Pani Brabbam obróciła się demonstracyjnie, machnęła dramatycznie białymi jak mąka rękami, postukała w skrzynkę, jakby chciała potrząsnąć listami w środku, uniosła drzwiczki i wyciągnęła koperty, zasłaniając je plecami. Udała, że coś robi, i obróciła się się radosna, mrugając porozumiewawczo.

– Cudownie! Spójrz na ten list od kochanego wuja George’a!

– Jakież to miłe! – odparła Cora.

\* \* \*

A potem nadeszły kolejne wstrzymujące oddech letnie dni wyczekiwania. Motyle śmigły w powietrzu, pomarańczowe i błękitne, kwiaty wokół domku kiwały głowami, a popołudnia wypełniał ostry, miarowy odgłos ołówka Benjy’ego skrobiącego o papier. Benjy miał zawsze usta pełne jedzenia, a Tom zawsze wracał, tupiąc głośno, i odkrywał, że lunch bądź obiad jest spóźniony, zimny, taki i taki albo w ogóle niegotowy.

Benjy operował ołówkiem, rozkosznie rozcapierzając kościstą dłoń, czule kreśląc każdą samogłoskę i spółgłoskę, a Cora pochylała się tuż nad nim, wymyślając słowa, tocząc je na języku, zachwycona za każdym razem, gdy patrzyła, jak wylewają się na papier. Nie uczyła się jednak pisać.

– Patrzenie, jak piszesz, Benjy, jest takie przyjemne. Jutro zacznę się uczyć. A teraz kolejny list!

Razem przerobili reklamy środków na astmę, pasów przepuklinowych i magii, dołączyli do różokrzyżowców, a przynajmniej zamówili darmową Zapieczętowaną Księgę, pełną Wiedzy skazanej na zatracenie, Sekretów z ukrytych starożytnych świątyń i pogrzebanych sanktuariów. Znaleźli też darmowe paczuszki nasion Wielkich Słoneczników i coś na ZGAGĘ. W jasny letni poranek dotarli do strony 127 „Kwartalnika Morderczych Historii”, gdy...

– Słuchaj! – rzuciła Cora.

Słuchali.

– Samochód – mruknął Benjy.

I przez błękitne wzgórza, pośród wysokich, ognistych, zielonych sosen zakurzoną drogą, mila za milą, zbliżał się odgłos

samochodu, jadącego bliżej i bliżej, aż w końcu, pokonawszy zakręt, pojawił się z grzmotem, i w tym momencie Cora biegiem wypadła za drzwi. I gdy pędziła naprzód, usłyszała, zobaczyła i poczuła wiele rzeczy. Po pierwsze, kątem oka zauważyła panią Brabbam sunącą ścieżką z naprzeciwka. Na widok jaskrawozielonego samochodu wjeżdżającego na zbrocze pani Brabbam zamarła, a potem rozległ się świst srebrnego gwizdka i stary człowiek z samochodu wychylił się tuż przed przybyciem Cory, pytając ją:

– Pani Gibbs?

– Tak! – zawołała.

– Poczta dla pani – oznajmił i wyciągnął ku niej rękę.

Zaczęła już sięgać, potem jednak cofnęła dłoń, przypomniawszy coś sobie.

– Och – rzekła – proszę, czy byłby pan łaskaw włożyć ją, proszę... do mojej skrzynki?

Stary człowiek zmrużył oczy, spojrzął na nią, na skrzynkę i z powrotem na nią i wybuchnął śmiechem.

– Ależ proszę – powiedział i dokładnie to zrobił: wsunął pocztę do skrzynki.

Pani Brabbam stała w miejscu bez ruchu, jej oczy miały szalony wyraz.

– Jakaś poczta dla pani Brabbam? – spytała Cora.

– To wszystko. – I samochód odjechał drogą w kłębie kurzu.

Pani Brabbam stała tam, splatając dłonie, a potem, nie zaglądając do własnej skrzynki, odwróciła się. Szeleszcząc, odeszła szybko ścieżką i zniknęła im z oczu.

Cora dwa razy okrążyła swoją skrzynkę, długi czas jej nie dotykała.

– Benjy, dostałam jakieś listy!

Ostrożnie sięgnęła do środka, wyciągnęła je i obróciła w palcach, potem bez słowa wcisnęła mu w dłonie.

– Przeczytaj mi je. Czy z przodu jest moje nazwisko?

– Tak. – Ze stosowną starannością otworzył pierwszą kopertę i zaczął czytać głośno w ten letni poranek. – „Droga pani Gibbs...”.

Urwał i pozwoił jej rozkoszować się tym, gdy tak stała

z półprzymkniętymi powiekami, wymawiając bezdźwięcznie te słowa. Powtórzył je dla większego efektu artystycznego, a potem podjął lekturę.

– „W załączeniu przesyłamy pani naszą darmową broszurę z Międzykontynentalnej Szkoły Korespondencyjnej, informującą ze szczegółami, w jaki sposób pani także może wykupić nasz korespondencyjny kurs inżynierii sanitarnej...”

– Benjy, Benjy, tak się cieszę! Zacznij jeszcze raz!

– „Droga pani Gibbs” – odczytał.

\* \* \*

Potem skrzynka nigdy już nie była pusta. Świat napłynął falą, napierając na nią, wszystkie miejsca, których nigdy nie widziała, nie słyszała o nich, nie odwiedziła. Broszury biur podróży, przepisy na ciasta korzenne, a nawet list od starszego dżentelmena, który szukał „pani po pięćdziesiątce, miłego usposobienia, niezamężnej, w celu matrymonialnym”.

Benjy odpisał: „Mam już męża, ale dziękuję za miłe i życzliwe zainteresowanie. Szczerze oddana Cora Gibbs”.

A listy napływały nadal, spoza wzgórz: katalogi kolekcjonerów monet, powieści za grosik, magiczne numery, wykresy reumatyczne, próbki proszku przeciw pchłom. Świat wypełniał jej skrzynkę na listy i nagle nie była już sama, oderwana od ludzi. Jeśli ktoś napisał do Cory standardowy list na temat Odkrycia Tajemnic Starożytnych Majów, równie dobrze mógł otrzymać w następnym tygodniu trzy listy od Cory, zamieniające ich oficjalne spotkanie w ciepłą znajomość. Po jednym, wyjątkowo ciężkim dniu pisania, Benjy musiał namoczyć rękę w soli gorzkiej.

Pod koniec trzeciego tygodnia pani Brabbam nie podchodziła już do swojej skrzynki. Nie wychodziła nawet frontowymi drzwiami, by odetchnąć świeżym powietrzem, Cora bowiem zawsze czuwała w oknie i, wychylona, z uśmiechem czekała na listonosza.

Stanowczo za szybko lato dobiegło końca, czy przynajmniej ta część lata, która liczyła się najbardziej: odwiedziny Benjy’ego. Na



stole leżała jego czerwona chustka na szyję, kanapki, świeżo zapakowane i pachnące cebulą, obwiązane miętowym sznurkiem, by przyjemnie pachnieć. Na podłodze czekały świeżo wyczyszczone buty, które miał wsunąć na nogi, a na krześle z ołówkiem, niegdyś długim i żółtym, obecnie zaledwie ogryzkiem, siedział Benjy. Cora ujęła go za podbródek i odchyliła mu głowę, jakby sprawdzała letnią dynię nieznaney odmiany.

– Benjy, jestem ci winna przeprosiny. Chyba ani razu przez ten cały czas nie spojrzałam ci w twarz. Mam wrażenie, że znam każdą kurczawkę, każdy zadziór, każdy odcisk i zmarszczkę twoich dłoni, ale twarz mogłabym minąć w tłumie i nie rozpoznać.

– To niezbyt ciekawa twarz – odparł nieśmiało Benjy.

– Ale tę dłoń rozpoznałabym spośród miliona – dodała Cora. – Gdyby tysiąc osób uściśnieło mi rękę w ciemnym pokoju, też bym powiedziała: ta to ręka Benjy’ego. – Uśmiechnęła się cicho i podeszła do otwartych drzwi. – Tak sobie pomyślałam... – Spojrzała na odległy domek. – Od tygodni nie widziałam pani Brabbam i czuję się winna. Dałam się ponieść dumie i zgrzeszyłam wobec niej bardziej niż ona wobec mnie. Pozbawiłam jej życie sensu. To było paskudne i wredne i się wstydzę. – Znów spojrzała w górę ku owemu milczącemu, odległemu domowi. – Benjy, zrobisz dla mnie coś jeszcze?

– Tak, ciociu.

– Napisz list dla pani Brabbam.

– Ciociu?

– Tak, napisz do jednej z tych firm, prosząc o darmową rozpiskę, próbkę, cokolwiek, i podpisz nazwiskiem pani Brabbam.

– Dobrze – rzucił Benjy.

– Dzięki temu za tydzień bądź miesiąc listonosz przyjedzie tu i zagwizdże, a ja powiem, żeby podszedł do jej drzwi, by poczuła się wyjątkowa, i by dostarczył list. I dopilnuję, żeby być przed domem, widzieć wszystko, ale tak, żeby pani Brabbam też widziała, że to widzę. Pomacham do niej listami, a ona swoimi do mnie i wszyscy się uśmiechną.

– Dobrze, ciociu – odparł Benjy.

Napisał trzy listy, starannie polizał koperty i wcisnął do

kieszeni.

– Wyślę je, kiedy dotrę do St Louis.

– To było przemile lato – rzekła.

– Na pewno.

– Ale, Benjy, nie nauczyłam się pisać, prawda? Tak zależało mi na listach, kazałam pisać ci do późna, byliśmy tacy zajęci, wysyłając nalepki, odbierając próbki, że nie było czasu na naukę, a to oznacza...

Wiedział, co to oznacza. Uścisnął jej dłoń, stanęli razem w drzwiach ich domku.

– Dziękuję – powiedziała. – Za wszystko.

A potem puścił się biegiem, biegł tak aż do płotu otaczającego łąkę, przeskoczył go bez trudu i gdy widziała go po raz ostatni, pędził dalej, wymachując wyjątkowymi listami, w głąb wielkiego świata poza wzgórzami.

\* \* \*

Listy przychodziły jeszcze jakieś pół roku po odejściu Benjy'ego. Zielone auto listonosza zjawiało się na drodze, słychać było ostry, oszroniony krzyk „dzień dobry” albo gwizdek, gdy mężczyzna wkładał do pięknej skrzynki dwie czy trzy różowe bądź błękitne koperty.

Nadszedł też ów wyjątkowy dzień, kiedy pani Brabbam dostała swój pierwszy prawdziwy list.

Potem listy przychodziły mniej więcej raz na tydzień, później miesiąc, aż w końcu listonosz już się nie witał, nie słychać było silnika samochodu nadjeżdżającego samotną górską drogą. Do skrzynki wprowadził się najpierw pajak, później wiewiórka.

A Cora, dopóki listy wciąż przychodziły, ścisnęła je w oszołomionych dłoniach, wpatrując się w nie w milczeniu, aż w końcu napięcie mięśni twarzy wyciskało z jej oczu okrągłe, przejrzyste, lśniące krople wody. Unosiła niebieską kopertę.

– Od kogo to?

– Nie wiem – odpowiadał Tom.

– Co piszą? – zawodziła.

– Nie wiem – powtarzał Tom.

– Co się dzieje na szerokim świecie? Och, nigdy już się nie dowiem, teraz już się nie dowiem. A ten list i ten, i ten! – Wywracała całe sterty listów, które przysły od dnia rozstania z Benjym. – Cały ten świat, wszyscy ludzie, wszystko, co się tam dzieje, a ja nic nie wiem. Cały świat i ludzie czekają, by dowiedzieć się, co u nas słychać, a my nie piszemy, oni nie odpisują!

I w końcu nadszedł dzień, kiedy wiatr wywrócił skrzynkę. Odtąd co dzień rano Cora stawiała w otwartych drzwiach domku, powoli czesząc szczotką siwe włosy i bez słowa wpatrując się we wzgórze. I przez te wszystkie lata ani razu nie minęła wywróconej skrzynki nie zatrzymała się bez celu, by pogrzebać w środku i wyciągnąć rękę z niczym, nim odeszła na pole.

## ELEKTROWNIA

Konie zatrzymały się łagodnie i mężczyzna i jego żona spojrzeli w dół, w głąb suchej, piaszczystej doliny. Kobieta siedziała w siodle oszołomiona; nie odzywała się od kilku godzin, nie znajdowała żadnych słów, by przemówić. Tkwiła uwieczona gdzieś pomiędzy napierającym na nią gorącym, mrocznym niebem Arizony, zasnutym burzowymi chmurami, i twardym nieustępliwym granitem smaganych wiatrem gór. Kilka kropel zimnego deszczu spadło na jej roztrzęsione ręce.

Ze znużeniem obejrzała się na męża. Swobodnie dosiadał swojego przykurzonego wierzchowca, stanowczo, lecz łagodnie trzymał wodze. Zamknęła oczy i pomyślała o swym życiu, przez wszystkie pogodne lata aż do dziś. Chciała roześmiać się do własnego odbicia w lustrze, ale nawet tego nie mogła zrobić, bo nie chciała zachować się jak wariatka. Może jednak nie oszalała, może to tylko przytłaczająca presja złej pogody czy też telegram, który dziś rano odebrali od konnego posłańca. A może długa podróż do miasta.

Wciąż musieli przeprawić się przez cały pusty świat, a ona bardzo zmarzła.

– To ja jestem kobietą, która nigdy nie miała potrzebować religii – rzekła cicho, nie otwierając oczu.

– Co takiego? – Berty, jej mąż, obejrzał się szybko.

– Nic – szepnęła, kręcąc głową.

Przez wszystkie te lata, o jakże była pewna, że nigdy, przenigdy nie będzie potrzebowała kościoła. Słyszała, jak dobrzy ludzie wciąż tylko gadają i gadają o religii, woskowanych ławkach, bukietach kalii w wielkich kubkach z brązu i ogromnych kościelnych dzwonach, na których pastor grał jak kołatka. Słuchała zarówno tych krzyczących, jak i szepczących gorączkowo, i wszyscy brzmiali tak samo. Jej kręgosłup po prostu nie pasował do ławy kościelnej.

– Nigdy tak naprawdę nie miałam powodu, by usiąść w kościele  
– wyjaśniała ludziom.

Nie podchodziła przy tym do całej kwestii zapalczywie, gorąco; po prostu chodziła swoimi drogami, żyła, poruszała dłońmi gładkimi jak kamyki i małymi jak kamyki. Praca wypolerowała paznokcie owych dłoni lakierem, którego nie da się kupić w buteleczce. Od dotykania dzieci stały się miękkie, od wychowania dzieci umiarkowanie surowe, a od kochania męża łagodne.

A teraz śmierć sprawiła, że całe drżały.

– Tutaj – rzucił mąż.

I w obłoku pyłu konie ruszyły w dół traktu, do miejsca, gdzie nad suchym korytem potoku stał niezwykle ceglany budynek. Budowla była pełna wysokich zielonych okien, błękitnych maszyn, czerwonych kafli i drutów. Druty rozbiegały się ze słupów wysokiego napięcia w najdalsze strony pustyni. W milczeniu powędrowała wzdłuż nich wzrokiem i wciąż zatopiona w myślach zwróciła spojrzenie ku osobliwym, zielonym jak burza oknom i gęłom barwy żaru.

Nigdy nie wsunęła zakładki do Biblii, by zaznaczyć istotny wiersz, bo choć jej życie na pustyni było życiem z granitu, słońca i wód odparowujących z ciała, nigdy nic jej nie zagrażało. Wszystko zawsze się układało, nim pojawiła się konieczność bezsennych świtów i bruzd na czole. W jakiś sposób najgorsze, najbardziej toksyczne wydarzenia życia omijały ją, śmierć stanowiła jedynie odległy pomruk grzmotu poza najdalszym pasmem górskim.

Od czasu, gdy przybyła na zachód, dwadzieścia lat umknęło wraz z toczącymi się po piasku ostami. Przywdziała złotą obrączkę tego samotnego trapera i przyjęła pustynię jako trzeciego, nieodłącznego partnera w ich życiu. Żadne z ich czwórki dzieci nigdy ciężko nie zachorowało, nigdy nie znalazło się blisko śmierci. Nigdy nie musiała uklęknąć, poza chwilami, gdy szorowała i tak już porządnie wyszorowaną podłogę.

Teraz to wszystko się skończyło. Teraz jechali do odległego miasta, bo otrzymali prosty kawałek żółtego papieru

z informacją, że jej matka jest umierająca.

A ona nie potrafiła sobie tego wyobrazić – nieważne, jak bardzo kręciła głową, by się rozejrzeć, kręciła myślami, by wejrzeć w siebie. Nigdzie nie znalazła szczebli, których mogłaby się uchwycić, wiodących w górę bądź w dół, a jej umysł, niczym kompas pozostawiony w nagłej piaskowej burzy, wyzwolił się z okowów niegdyś jasnych kierunków, pozbawiony wszelkich punktów odniesienia, tak że igła wirowała bez celu, dokoła i dokoła. Nawet podtrzymujące ją ramiona Berty'ego nie wystarczyły. To było jak koniec dobrej sztuki i początek drugiej, pełnej zła. Ktoś, kogo kochała, miał umrzeć. To niemożliwe!

– Muszę się zatrzymać – oznajmiła, nie ufając własnemu głosowi, toteż z rozmysłem sprawiła, by zabrzmiała w nim irytacja skrywająca lęk.

Berty wiedział, że nie ma w zwyczaju się denerwować, toteż irytacja nie przeniosła się na niego, nie wypełniła go. Był niczym zamknięty dzban, którego zawartość pozostaje niezmienna. Deszcz na zewnątrz nie poruszył napoju w środku. Pociągnął wodze wierzchowca, podjechał do żony i delikatnie ujął jej dłoń.

– Jasne – rzekł. Mrużąc oczy, przyjrzał się wschodniemu horyzontowi. – Widzę zbierające się czarne chmury. Zaczekamy trochę, może padać, a nie chciałbym, żeby nas złapał deszcz.

Teraz rozdrażniła ją własna irytacja i jedna z nich zaczęła się żywić drugą, a ona nic nie mogła na to poradzić. Zamiast jednak przemówić, ryzykując ponowne rozpoczęcie cyklu, pochyliła się ciężko i zaczęła szlochać, pozwalając, by mąż prowadził konia, aż w końcu zatrzymał się, tupiąc cicho, obok budynku z czerwonej cegły.

Zsunęła się niczym pakunek wprost w jego ramiona, a on przytrzymał ją, gdy wtuliła twarz w jego ramię, a potem postawił na ziemi.

– Nie wygląda na to, by byli tu jacyś ludzie – zauważył. Zawołał: – Hej tam! – i przyjrzał się tabliczce na drzwiach: Uwaga, niebezpieczeństwo. Biuro Energii Elektrycznej.

W powietrzu roznosiło się głośne owadzie brzęczenie, wyśpiewujące bzyzczącą melodię bez końca; to lekko się wznosiło,

to odrobinę opadało, ale utrzymywało ten sam ton. Jak u kobiety mrużącej przez zaciśnięte wargi, gdy przyrządza posiłek ciepłym wieczorem nad gorącą kuchnią. W środku nie widzieli żadnego ruchu: było tam tylko gigantyczne brzęczenie, taki dźwięk mogłoby wydawać rozedrgane letnie powietrze, wznoszące się znad rozgrzanych podkładów kolejowych w upalny letni dzień, gdy wokół zalega roztrzępotana cisza, i widząc, jak powietrze wiruje i faluje, spodziewamy się towarzyszącego temu procesowi dźwięku, lecz słyszymy jedynie napięcie własnych bębenków usznych i ogłuszającą ciszę.

Brzęczenie przenikało ją od pięt poprzez średnio szczupłe nogi, aż do ciała. Sięgnęło do serca i dotknęło go, podobnie jak czynił to często widok Berty'ego siedzącego na górnej poprzeczce corralu. A potem przeniknęło do jej głowy i najmniejszych zakamarków czaszki i wzbudziło pieśń, tak jak kiedyś czyniły to piosenki miłosne i dobre książki.

Brzęczenie było wszędzie. Wyrastało z ziemi tak samo jak kaktusy, stanowiło naturalną część powietrza, jak upał.

– Co to jest? – spytała dziwnie oszołomiona, przyglądając się budynkowi.

– Nie wiem zbyt wiele, tyle tylko, że to elektrownia. – Berty sprawdził drzwi. – Otwarte – stwierdził zdumiony. – Chciałbym, żeby ktoś tu był.

Drzwi otwarły się szeroko i zalało ich głośniejsze pulsujące brzęczenie, niczym podmuch powietrza.

Weszli razem do środka rozśpiewanej, dostojnej budowli. Mocno trzymała się męża, ściskając jego ramię.

To było mroczne, podmorskie miejsce, gładkie, czyste i lśniące, jakby coś nieznanego stale przechodziło tędy i przechodziło, i nigdy nie zostawało, ale trwało w ciągłym ruchu i ruchu, niewidoczne, wiecznie niespokojne. Gdy zagłębili się w półmrok, po obu stronach ujrzeli coś, co z początku wyglądało na ludzi stojących w milczeniu w podwójnym rzędzie. Okazało się jednak, że to okrągłe, muszlowate maszyny, z których dobiegało brzęczenie. Z każdej czarnej, szarej i zielonej maszyny wysuwały się złote przewody i jaskrawozielone druty, były tam też srebrne,

metalowe kieszenie ze szkarłatnymi tabliczkami i białymi literami oraz dziura podobna do balii, w której coś wirowało, jakby płukało niewidoczne materiały z niewidzialną szybkością. Wirówka pędziła tak szybko, że trwała w bezruchu, olbrzymie, miedziane węże zwisały z pogrążonego w mroku sklepienia, pionowe rury rozchodziły się siecią z cementowej podłogi do ognistej, ceglastej ściany. A wszystko było czyste niczym zielonkawa błyskawica i podobnie pachniało. Wokół rozbrzmiewały chrupiące trzaski, suche szelesty jakby papieru. Iskry błękitnego ognia błyskały, przeskakiwały, płonęły, syczały w miejscach, gdzie druty łączyły się z porcelanowymi cewkami i izolatorami z zielonego szkła.

Na zewnątrz, w prawdziwym świecie, zaczęło padać.

Nie chciała zostawać w tym miejscu, to nie było miejsce dla nikogo, tutejsi ludzie nie byli ludźmi, tylko ciemnymi maszynami i wypełniała je muzyka, niczym organy wygrywające stałą, niską i wysoką nutę. Jednakże deszcz zalał wszystkie okna i Berty powiedział:

– Wygląda na to, że to potrwa, może będziemy musieli tu zanocować. I tak jest późno. Lepiej przyniosę rzeczy.

Nie odpowiedziała. Chciała jechać dalej. Jechać dalej, ale do czego i dokąd – tak naprawdę sama nie wiedziała. Jednakże w mieście przynajmniej będzie mogła chwycić w dłoń pieniądze, kupić bilety i ścisnąć je mocno w palcach, i uchwycić się pociągu, który ruszy pędem do wtóru wielkiego hałasu, i wysiąść z niego, setki mil dalej skoczyć na kolejnego konia albo do samochodu, by w końcu stanąć u boku martwej bądź żywej matki. Wszystko zależało od czasu i oddechu. Miała odwiedzić po drodze wiele miejsc, lecz żadne z nich nie zaoferuje jej niczego prócz ziemi dla stóp, powietrza dla nozdrzy i stawy dla odrętwiałych ust. A rzeczy te były gorsze niż nic. Po co w ogóle jechać do matki, mówić słowa, czynić gesty? – zastanawiała się w duchu. Po co to wszystko?

Podłoga pod nią była czysta niczym zestalona rzeka. Gdy ruszyła po niej naprzód, jej stopy wzbudziły echa, potrzebujące tam i z powrotem, niczym słabe, ciche wystrzały, dźwięczące



w całej sali. Każde wypowiedziane słowo wracało, jak z granitowej jaskini.

Za plecami usłyszała Berty'ego rozstawiającego sprzęt. Rozłożył dwa szare koce, na nich ustawił niewielki zestaw puszek z prowiantem.

\* \* \*

Zapadła noc, deszcz wciąż spływał strumieniami po wysokich, powleczonych zielonym szkliwem oknach, tworząc jedwabne wzory, które rozlewały się i łączyły w cienkie, przejrzyste zasłony. Od czasu do czasu grzmiało i dźwięk piorunów opadał na nich lawiną zimnego deszczu i wiatru smagającego piasek i kamień.

Jej głowa spoczywała na złożonej tkaninie. Nieważne, jak się wierciła, brzęczenie olbrzymiej elektrowni przenikało przez materiał wprost do czaszki. Przesunęła się, zamknęła oczy, znów się poruszyła, ale ów dźwięk trwał i trwał. W końcu usiadła, przyglądała koc, znów się położyła.

Ale brzęczenie wciąż tam było.

Wiedziała, nie patrząc, dzięki jakiemuś ukrytemu zmysłowi, że jej mąż także nie śpi. Nie pamiętała, by kiedyś tego nie wiedziała. Jakaś subtelna różnica w jego oddechu czy raczej nieobecność dźwięków, oprócz cichych odgłosów po długich, starannie odmierzonych przerwach. Wiedziała wtedy, że patrzy na nią w deszczowej ciemności, martwi się o nią, uważa, by nie oddychać zbyt głośno.

Odwróciła się w ciemności.

- Berty?

- Tak?

- Ja też nie śpię - rzekła.

- Wiem - odparł.

Leżeli, ona bardzo prosto, bardzo sztywno, on półskulony, jak rozluźniona dłoń wgięta do wewnątrz. Podążyła wzrokiem wzdłuż tej ciemnej, gładkiej krzywizny i nagle przepełnił ją niepojęty zachwyty.

- Berty - zagadnęła i na długą chwilę zawiesiła głos. - Jak... Jak

ty to robisz?

Odczekał chwilę.

- Co masz na myśli?

- Jak odpoczywasz?

Umilkła. Zabrzmiało to bardzo źle, niemal jak oskarżenie, ale nie, zupełnie nie o to jej chodziło. Wiedziała, że Berty to mężczyzna, który troszczy się o wszystko, który widzi w ciemności i który nie jest wcale zarozumiały, nie pyszni się swymi zdolnościami. Teraz martwił się o nią i o jej matkę, o jej życie bądź śmierć. Ale czynił to na swój własny sposób, który wydawał się obojętny i nieodpowiedzialny. Choć zupełnie taki nie był. Ukrywał swą troskę głęboko, gdzie spoczywała tuż obok wiary, wiary, która ją akceptowała, witała, nie walczyła z nią. Coś w nim pochwyliło ów smutek, oswoiło się z nim, poznało każdy jego szczegół, a dopiero potem przekazało wiadomość całej reszcie czekającego ciała. Ciało skrywało wiarę niczym labirynt, a smutek, który się w nim znalazł, zabłądził i zniknął, nim dotarł do miejsca, w którym mógłby go zranić. Czasami wiara ta budziła w niej bezrozumny gniew, z którego otrząsała się szybko, wiedząc, że nie ma sensu krytykować czegoś tkwiącego tak głęboko jak pestka w brzoskwini.

- Dlaczego nigdy się od ciebie nie zaraziłam? - spytała w końcu.

Zaśmiała się cicho, łagodnie.

- Zaraziłaś? Czym?

- Wszystkim innym owszem, wstrząsnęłaś mną całą na inne sposoby, nie znałam niczego, to ty wszystkiego mnie nauczyłaś. - Nie potrafiła tego wytłumaczyć. Ich życie było niczym ciepła krew przepływająca spokojnie przez tkanki w obie strony.

- Wszystkim prócz religii - podjęła. - Nią nigdy mnie nie zaraziłaś.

- Bo nie jest zaraźliwa - odparł. - Pewnego dnia po prostu się rozluźnisz i odkryjesz ją.

Rozluźnię, pomyślała. Rozluźnię co? Ciało. Ale jak rozluźnić umysł? Jej palce poruszyły się spazmatycznie, wzrok wędrował od niechcienia po rozległym wnętrzu elektrowni. Maszyny wznosiły się nad nią: ciemne sylwetki, po których pełgały drobne

iskierki, a brzęczenie-brzęczenie-brzęczenie pełzało po rękach i nogach.

Senna. Zmęczona. Przysnęła. Jej powieki opadły, uniosły się, opadły, uniosły. Brzęczenie wypełniło jej szpik, jakby maleńkie kolibry wyroiły się w ciełe i głowie.

Podążyła wzrokiem wzdłuż na wpół widocznych rur, aż ku sklepieniu, ujrzała maszyny i usłyszała niewidzialne wirowanie. Nagle, mimo senności, stała się bardzo czujna, jej spojrzenie pomknęło ku górze, a potem w dół i w dal, a brzękonucenie maszyn rozbrzmiewało coraz głośniejsze i głośniejsze i jej wzrok wędrował, ciało rozluźniało się; i na wysokich, zielonych oknach ujrzała cienie drutów wysokiego napięcia odbiegających w deszczową noc.

Teraz brzęczenie było w niej, jej wzrok przeskakiwał, czuła, jak coś gwałtownie ciągnie ją w górę. Miała wrażenie, że porwało ją wirujące dynamo, dokoła, dokoła i dalej, dalej, w serce niewidzialnego rozedrgania, gdzie została rzucona na pożarcie, przyjęta przez tysiąc miedzianych drutów i w jednej chwili wystrzelona ponad ziemię.

Znalazła się wszędzie jednocześnie!

Pędząc wzdłuż sieci wyniosłych monstrualnych wież, sycząc między wysokimi słupami, na których niewielkie szklane gałki przysiadły niczym krystalicznie zielone ptaki trzymające w nieprzewodzących dziobach druty, rozgałęziając się na cztery strony świata i osiem podstron, znajdując miasteczka, osady, miasta, pędząc na farmy, rancza, do hacjend, opadała łagodnie, niby pajęczyna o wielu włóknach, na tysiąc mil kwadratowych pustyni!

Ziemia nagle stała się czymś więcej niż tylko wieloma odrębnymi rzeczami, czymś więcej niż domy, skały, betonowe drogi, koń tu i tam, człowiek w płytkim, przygniecionym głazem rowie, ukłucie kaktusa, miasto obdarzone własnym światłem, otoczone nocą, milion osobnych rzeczy. Nagle wszystko połączyło się w jeden wzór, zamknięty i przytrzymywany wewnątrz pulsującej sieci elektrycznej.

Wlewała się w mgnieniu oka do pokojów, w których życie

rozkwitało, poczuwszy od klapsa wymierzonego w gołe plecy niemowlęcia, do sal, gdzie życie opuszczało ciała jak blask gasnący w żarówce elektrycznej – jarzące się włókienko, ciemniejące coraz bardziej, by w końcu stracić swą barwę. Była we wszystkich miastach, wszystkich domach, wszystkich pomieszczeniach, pozostawiając wzory światła na setkach mil ziemi; słyszała i widziała wszystko, już nie samotna, lecz jedna z tysięcy ludzi, każdego z głową pełną własnych przekonań i własnej wiary.

Jej ciało leżało jak pozbawiona życia trzcina, blade i drżące. Umysł natomiast mknął przed siebie w zmianach napięcia elektrycznego, poprzez olbrzymią sieć dorzecza elektrowni.

Wszystko się równoważyło. W jednym pomieszczeniu ujrzała gasnące życie, w drugim, milę dalej, kieliszki z winem wzniesione za zdrowie noworodka, rozdawane cygara, uśmiechy, uściski dłoni, śmiech. Widziała białe, wychudzone twarze ludzi na białych łóżach śmierci i słyszała, jak rozumieją i przyjmują ową śmierć. Widziała ich gesty, odbierała uczucia i pojęła, że oni także są samotni wewnątrz siebie, w żaden sposób nie mogą wyruszyć w świat, by ujrzeć ową równowagę, widzieć ją tak jak ona teraz.

Przełknęła ślinę, jej powieki zatrzepotały, gardło zapiekło pod rozcapierzonymi palcami.

Nie była sama.

Dynamo zakręciło nią i cisnęło z siłą odśrodkową wzdłuż tysięcy lin do miliona szklanych kapsułek przykręconych do sufitów, pogrążonych w świetle pociągnięciem sznura, przekręceniem gałki, pstryknięciem włącznika.

Światło mogło znaleźć się w każdym pomieszczeniu, wystarczyło tylko dotknąć włącznika. Nim rozbłysło, we wszystkich pokojach panowała ciemność. I oto była we wszystkich z nich jednocześnie. I nie sama. Jej rozpacz stanowiła zaledwie cząstkę olbrzymiej rozpacz, jej strach ledwie drobinę niezliczonych innych. A owa rozpacz stanowiła tylko połowę uczucia, bo istniała też druga połowa: dzieci zrodzone, otucha w kształcie noworodka, strawa w rozgrzanym ciele, kolory dla oczu, dźwięki w przebudzonym uchu i polne wiosenne kwiaty dla

nosa.

Gdy tylko światło gasło, życie pstrykało nowym wyłącznikiem i znów oświetlało pokoje.

Była z ludźmi imieniem Clark i imieniem Gray, i z Shawami, i Martinami, i Hanfordami, Fentonami, Drake'ami, Shattuckami, Hubbellami i Smithami. Samotność wcale nie jest samotnością, chyba że w umyśle. Do naszej głowy można wejrzeć przez najróżniejsze otwory. Cóż za dziwna, niemądra perspektywa, ale faktycznie, przecież otwory istnieją, te, przez które wyglądamy, by stwierdzić, że są tu świat i ludzie, równie znękani i niespokojni jak my sami, a także otwory do słyszenia, jeden do głośnego wyrażenia rozpaczy i pozbycia się jej, otwory do poznania zmian pór roku dzięki zapachom letniego ziarna, zimowego lodu czy jesiennych ognisk. Istniały po to, by ich używać, aby nikt nie był sam. Samotność jest jak zamknięcie oczu, wiara to po prostu ich otwarcie.

Sieć światel padła na cały świat, jaki znała od dwudziestu lat, a ona sama tkwiła w każdej linii, lśniła, pulsowała, jarzyła się, opatulona w wielką, miękką materię zarzuconą na świat, pokrywającą każdą milę niczym puszysty, ciepły, rozbrzęczany koc. Była wszędzie.

W elektrowni turbiny wirowały i brzęczały, iskry elektryczności niczym małe wotywnie świece przeskakiwały i zbierały się na wygiętych łokciach przewodów elektrycznych i szkła. Maszyny stały jak święci i chóry anielskie w aureolach to żółtych, to czerwonych, to zielonych, a ich połączone głosy napierały na pustkę pod dachem i odbijały się echem nieskończonych hymnów i zaśpiewów. Na zewnątrz wiatr wrzeszczał na ceglane ściany i zalewał deszczem szyby okien; ona leżała w środku na niewielkiej poduszce i nagle rozpląkała się.

Sama nie wiedziała, czy płacze ze zrozumienia, pogodzenia, radości, może rezygnacji? Śpiew brzmiał i brzmiał, coraz wyższy i wyższy, a ona była wszędzie. Wyciągnęła rękę, chwyciła dłoń męża, który wciąż nie spał, wbijając wzrok w sklepienie. Może on też rozbiegł się wszędzie w mgnieniu oka, wzdłuż sieci światel i mocy, ale też zawsze był we wszystkich miejscach jednocześnie,

uważał się za cząstkę większej całości i pozostawał spokojny, zrównoważony. Dla niej jedność była czymś nowym i wstrząsającym. Poczwała, jak obejmuje ją nagle, i wtuliła twarz w jego ramię, leżała tak bardzo długo, a owo brzęczenie wznosiło się coraz wyżej, i płakała swobodnie, boleśnie, tuż przy nim...

\* \* \*

Rankiem powitało ich czyste pustynne niebo. Wyszli cicho z elektrowni, osiodłali konie, przypięli do siodła cały sprzęt i dosiedli wierzchowców.

Usadowiła się wygodnie i siedziała tak pod błękitnym niebem. Powoli poczuła własne plecy – były proste – spojrzała na swe obce dłonie dzierżące wodze – dłonie, które przestały drżeć. Widziała odległe góry: żadna z nich się nie rozmywała, nie traciła koloru, wszystkie były twardym kamieniem dotykającym kamienia, kamieniem dotykającym piasku, piaskiem dotykającym polnych kwiatów, polnym kwiatem dotykającym nieba, w jednym niezmiennym ciągu odrębnych, określonych cząstek.

– Wio! – zawołał Berty i konie ruszyły powoli naprzód, oddalając się od ceglanego budynku w rześkim, słodkim porannym powietrzu.

Jechała zgrabnie i fachowo, w niej także, niczym pestka w brzoskwini, krył się spokój. Kiedy zwolnili na wzniesieniu, zawołała do męża.

– Berty!

– Tak?

– Czy moglibyśmy...

– Czy moglibyśmy... co? – zapytał, nie dosłyszawszy po raz pierwszy.

– Czy moglibyśmy przyjechać tu jeszcze kiedyś? – Skinieniem głowy wskazała elektrownię. – Za jakiś czas? W jakąś niedzielę?

Spojrzał na nią i powoli kiwnął głową.

– Pewnie tak. Tak. Jasne. Tak myślę.

I gdy wjechali do miasta, ona także nuciła, nuciła dziwną, cichą melodię, a on oglądał się i słuchał dźwięku, którego można oczekiwać od rozgrzanych słońcem podkładów kolejowych

w upalny letni dzień, gdy powietrze wznosi się nad nimi rozedrganymi, rozmigotanymi pasmami. Dźwięku na jednym tonie, jednej nucie, dźwięku, który odrobinę wznosi się, a potem opada, brzęczenia, brzęczenia, stałego, spokojnego i cudownego dla ucha.

## EN LA NOCHE

Pani Navarrez jęczała całą noc i jęki te wypełniały kamienicę niczym światło zapalone we wszystkich pokojach, tak by nikt nie mógł zasnąć. Całą noc zgrzytała zębami w białą poduszkę, załamywała chude ręce i łkała: „Mój Joe!”. W końcu o trzeciej nad ranem mieszkańcy kamienicy, pojąwszy z rezygnacją, że nigdy nie zamknie swej pomalowanej na czerwono jadaczki, wstali, spoceni i brudni, i ubrali się, by pojechać tramwajem do centrum, do całonocnego kina. Tam Roy Rogers ścigał złych ludzi przez zasłonę zastałego dymu i wygłaszał dialogi do wtóru cichego pochrapywania dobiegającego z ciemnej widowni.

O świcie pani Navarrez wciąż łkała i krzyczała.

Za dnia nie było jeszcze tak źle. Wówczas zmasowany chór niemowląt płaczących tu i tam w domu uzupełniał jej szlochy, tak że powstawała niemal harmonia. Wtórował im też miarowy łoskot pralek na ganku kamienicy i kobiety w szenilowych szlafrokach, stojące na zalanych, mokrych deskach i wymieniające z szybkością karabinu swe meksykańskie plotki. Od czasu do czasu jednak ponad piskliwe głosy, pranie i dzieci przebijała się pani Navarrez, niczym radio rozkręcone na pełny regulator.

– Mój Joe, och, mój biedny Joe! – krzyczała.

Teraz, o zmierzchu mężczyźni wrócili do domu, niosąc pod pachami pot ciężkiej pracy. Półdrzemiąc w chłodnych wannach w pogrążonej w kuchennej krzątaninie kamienicy, przeklinali i zatykali uszy.

– Czy ona jeszcze nie przestała? – wściekali się bezradnie, jeden z nich kopnął nawet jej drzwi. – Zamknij się, kobieto!

Ale słysząc to, pani Navarrez tylko wrzasnęła głośniej.

– Och, ach! Joe, Joe!

– Dziś zjemy na mieście! – oznajmili żonom mężczyźni.

I w całym domu utensylia kuchenne powędrowały na półki,



a drzwi zatrzęsnęły się, gdy mężczyźni pośpiesznie wyprowadzili uperfumowane kobiety korytarzami, trzymając je za blade łokcie.

Pan Villanazul otworzył swe stare, obłazące z farby drzwi o północy, zamknął piwne oczy i stał przez chwilę, kołysząc się lekko. Jego żona Tina przystanęła obok niego wraz z trzema synami i dwiema córkami, jedną tuloną w ramionach.

– O Boże – wyszeptał pan Villanazul. – Słodki Jezu, zstąp z krzyża i ucisz tę kobietę. – Weszli do pogrążonego w mroku niewielkiego pokoju i spojrzeli na błękitny płomyk świecy migoczący pod samotnym krucyfiksem. Pan Villanazul filozoficznie pokręcił głową. – Wciąż wisi na krzyżu.

Leżeli w łózkach niczym przypalające się mięso na grillu, letnia noc podlewała ich własnymi sosami, dom płonął krzykami chorej kobiety.

– Duszę się!

Pan Villanazul przebiegł przez kamienicę na dół do drzwi frontowych. Za nim dreptała żona. Zostawili dzieci, które dysponowały wielkim i cudownym talentem przesypania wszystkiego.

Werandę wypełniały niewyraźne sylwetki, tuzin milczących mężczyzn przykucniętych z papierosami dymiącymi i jarzącymi się w śniadych palcach. Kobiety w szenilowych szlafrokach unosiły twarze do tego, co pozostało z nocnego letniego wietrzyku. Poruszały się jak istoty ze snu, jak manekiny wystawowe, przesuwane sztywno na rolkach i drutach. Oczy miały zapuchnięte, języki także.

– Chodźmy do jej pokoju i uduśmy ją – zaproponował jeden z mężczyzn.

– Nie, tak nie wolno. Wyrzucmy ją przez okno.

Wszyscy roześmieli się ze znużeniem.

Pan Villanazul stał, patrząc z oszołomieniem na swych sąsiadów. Żona poruszyła się ociężale obok niego.

– Można by sądzić, że Joe to jedyny mężczyzna na świecie, który wstąpił do wojska – rzucił ktoś z irytacją. – Pani Navarrez, pach! Ten jej Joe, jej mąż, będzie obierał kartofle. To najbezpieczniejszy człowiek w całej piechocie!

- Trzeba coś zrobić - przemówił pan Villanazul twardym tonem, który zaskoczył jego samego.

Wszyscy obejrżeli się na niego.

- Nie wytrzymamy kolejnej takiej nocy - podjął bez ogródek.

- Im bardziej walimy w jej drzwi, tym głośniejszy krzyczy - wyjaśnił pan Gomez.

- Dziś wieczór zajrzała ksiądz - dodała pani Gutierrez. - W desperacji posłaliśmy po niego, ale pani Navarrez nawet jego nie wpuściła za próg, nie zważając na błagania. W końcu ksiądz sobie poszedł. Wezwaliśmy funkcjonariusza Gilvie, który też na nią nakrzyczał. Ale myślicie, że posłuchała?

- Musimy zatem spróbować czegoś innego - zastanawiał się na głos pan Villanazul. - Ktoś musi okazać jej... współczucie.

- A jest jakiś inny sposób? - spytał pan Gomez.

- Gdyby tylko... - oznajmił po chwili zastanowienia pan Villanazul. - Gdyby tylko był wśród nas jakiś samotny mężczyzna.

Rzucił te słowa niczym zimny kamień do głębokiej studni, pozwolił, by woda chlusnęła, a zmarszczki rozeszły się po tafli.

Wszyscy westchnęli.

Zupełnie jakby znów zerwał się letni nocny wietrzyk. Mężczyźni wyprostowali się odrobinę, kobiety się ożywiły.

- Ale - odparł pan Gomez, z powrotem kuląc ramiona - wszyscy jesteście żonaci, nie ma nikogo samotnego.

- Och - mruknęli chórem i znów zagłębili się w rozpalonym, pustym korycie rzeczonym nocy, milcząc pośród smużek dymu.

- Zatem - odparował pan Villanazul, unosząc ramiona i zaciskając wargi - to musi być jeden z nas!

I znów powiał nocny wiatr, omiatając zaskoczonych mieszkańców.

- Nie czas na samolubne skrupuły! - oznajmił pan Villanazul. - Jeden z nas musi to zrobić, inaczej będziemy smażyć się w piekle przez kolejną noc.

Teraz ludzie na werandzie odstąpili od niego, spoglądając ze zdumieniem.

- Oczywiście pan sam to zrobi, panie Villanazul? - chcieli

wiedzieć.

Zesztywniał, papierosomal nie wypadł mu spomiędzy palców.

– Och, ale ja... – zaprotestował.

– Pan – odparli. – Tak?

Gorączkowo zamachał rękami.

– Mam żonę i pięcioro dzieci, jedno to jeszcze maleństwo!

– Ale nikt z nas nie jest kawalerem, a to był pański pomysł i musi pan mieć odwagę, by trwać przy własnych przekonaniach, panie Villanazul! – odparowali wszyscy.

Umilkł śmiertelnie przerażony. Błyskając oczami, obejrzał się szybko na żonę.

Stała tam, kołysząc się ze zmęczenia w nocnym powietrzu i próbując go zobaczyć.

– Jestem taka zmęczona – poskarżyła się.

– Tino – odparł.

– Umrę, jeśli się nie prześpię.

– Och, ale Tino...

– Umrę i będzie mnóstwo kwiatów, i pogrzebią mnie, jeśli nie odpocznę – wymamrotała.

– Wygląda bardzo źle – dodali wszyscy.

Pan Villanazul wahał się jeszcze tylko chwilę. Dotknął rozpalonych, rozluźnionych palców żony, musnął ustami jej gorący policzek.

A potem bez słowa zszedł z werandy.

Słyszeli jego kroki na nieoświetlonych schodach domu, wspinające się coraz wyżej i wyżej, aż na drugie piętro, gdzie pani Navarrez zawodziła i krzyczała.

Czekali na werandzie.

Mężczyźni zapalili nowe papierosy i pstryknięciem odrzucili zapałki, rozmawiając jak wiatr. Kobiety wędrowały pomiędzy nimi, a wszystkie kolejno podchodziły i zagadywały panią Villanazul, która stała oparta o poręcz, pod jej znużonymi oczami rysowała się siatka zmarszczek.

– Teraz – szepnął cicho jeden z mężczyzn. – Pan Villanazul dotarł na szczyt domu.

Zebrani ucichli.

- Teraz - syknął tamten scenicznym szeptem - pan Villanazul puka do jej drzwi, puk, puk.

Wszyscy nasłuchiwali, wstrzymując oddech.

Z daleka dobiegło ciche stukanie.

- Teraz pani Navarrez, zaskoczona przybyciem intruza, na nowo wybucha płaczem.

Z góry dobiegł krzyk.

- Teraz - wyobrażał sobie mężczyzna przykucnięty delikatnie, kiwając dłonią w powietrzu. - Pan Villanazul błaga i prosi, bardzo cicho zwracając się do zamkniętych drzwi.

Ludzie na werandzie nieśmiało unieśli brody, próbując przeniknąć wzrokiem trzy piętra drewna i tynku. Czekali.

Krzyki ucichły.

- Teraz pan Villanazul przemawia cicho, błaga, szepcze, obiecuje! - wykrzyknął tamten.

Krzyki przerodziły się w szlochanie, szlochanie w jęk, aż w końcu wszystko ucichło i zostały tylko oddechy, walenie serc i słuchanie.

Po jakichś dwóch minutach stania w pocie i czekania wszyscy na werandzie usłyszeli odległy szczęk zamka, skrzypienie otwieranych drzwi i sekundę później szmer ich zamknięcia.

W domu zapadła cisza.

Cisza zamieszkała we wszystkich pokojach niczym zgaszone światło. Cisza przepływała jak chłodne wino ciasnymi korytarzami. Cisza wypływała przez szeroko otwarte okna, jak chłodne tchnienie z piwnicy. Wszyscy stali tam i wdychali ów chłód.

- Ach - westchnęli.

Mężczyźni wyrzucili papierosy i na paluszkach wrócili do milczącej kamienicy. Kobiety podreptały za nimi, wkrótce na werandzie zrobiło się pusto. Odpływali chłodnymi korytarzami pełnymi ciszy.

Pani Villanazul w oszołomionym stuporze otworzyła drzwi.

- Musimy kupić panu Villanazulowi bukiet - wyszeptał ktoś.

- Jutro zapalę za niego świeczkę.

Drzwi się zamknęły.

Pani Villanazul leżała w świeżo zasłanym łóżku. Cóż za troskliwy człowiek, pomyślała we śnie z zamkniętymi oczami. I właśnie za takie rzeczy go kocham.

Cisza była niczym chłodna dłoń gładząca ją do snu.

## SŁOŃCE I CIEŃ

Aparat szczęknął jak owad. Był jak niebieski, metaliczny, wielki, tłusty chrząszcz, trzymany w jakże cennych i czule badawczych dłoniach mężczyzny. Pomrukiwał w błyskach słońca.

– Hsst, Ricardo, odejdz!

– Ty tam, na dole! – zawołał Ricardo przez okno.

– Ricardo, przestań!

Odwrócił się do żony.

– Nie każ mi przestać, im każ przestać. Zejdz na dół i im powiedz. A może się boisz?

– Nikomu nie robią krzywdy – wyjaśniła cierpliwie jego żona.

Strząsnął z siebie jej dłoń i wychylił się przez okno, patrząc w głąb alejki.

– Ty tam! – zawołał.

Mężczyzna z czarnym aparatem zerknął w górę, po czym z powrotem skupił swą maszynę na kobiecie w białych jak sól spodniach plażowych, białym staniku i zielonej, kraciastej chuście. Opierała się o popękany tynk budynku. Zza jej pleców uśmiechał się ciemnoskóry chłopczyk, unosząc palce do buzi.

– Tomas! – ryknął Ricardo i odwrócił się do żony. – Błogosławiony Jezu, Tomas jest na ulicy. Mój własny syn się tam śmieje.

Wypadł za drzwi.

– Niczego nie rób! – rzuciła za nim żona.

– Głowy im poodrąbuję! – odparł Ricardo i zniknął.

Na ulicy leniwa kobieta przeciągała się przy poręczy oblażonej z niebieskiej farby. Ricardo wypadł na dwór akurat, by ją tam zobaczyć.

– To moja poręcz! – warknął.

Fotograf podbiegł do niego.

– Nie, nie, robimy zdjęcia, wszystko w porządku, za chwilę pójdziemy dalej.

– Wszystko nie jest w porządku. – Ciemne oczy Ricarda błysnęły. Pomacał pomarszczoną dłońią. – Ona jest przy moim domu.

– Robimy zdjęcia do magazynu mody. – Fotograf uśmiechnął się.

– I co ja mam z tym zrobić? – spytał Ricardo, zwracając się ku błękitnemu niebu. – Oszaleć na tę nowinę? Zacząć tańczyć dokoła jak święty epileptyk?

– Jeśli chodzi o pieniądze, tu jest banknot pięciopesowy. – Fotograf znowu się uśmiechnął.

Ricardo odepchnął jego rękę.

– Pieniądze zarabiam w pracy. Ty nie rozumiesz. Proszę, idź stąd.

Fotograf słuchał oszołomiony.

– Chwileczkę...

– Tomas, wracaj do domu.

– Ale tato...

– Gaaa! – ryknął Ricardo.

Chłopiec zniknął.

– Coś takiego nigdy wcześniej mnie nie spotkało – mruknął fotograf.

– No to najwyższy czas! Za kogo nas macie? Za tchórzy? – spytał świata Ricardo.

Wokół zbierał się tłumek; sąsiedzi mamrotali, uśmiechali się i szturchali łokciami. Fotograf z irytująco dobrą wolą zamknął aparat i oglądając się przez ramię na modelkę, rzucił:

– Dobra, użyjemy tamtej drugiej ulicy. Był tam fajny popękany mur i ukośne cienie. Jeśli się pośpieszymy...

Dziewczyna, która podczas tej wymiany zdań stała nerwowo, skręcając w palcach chustę, teraz chwyciła zestaw do makijażu i przemknęła obok Ricarda. Zdążył jednak dotknąć jej przedramienia.

– Nie zrozum mnie źle – rzekł szybko.

Zatrzymała się, patrząc na niego.

– To nie na ciebie jestem wściekły. Ani na ciebie – dodał pod adresem fotografa.

– W takim razie czemu... – zaczął tamten.

Ricardo pomachał ręką.

– Wy macie pracę, ja mam pracę, my wszyscy tu mamy pracę, musimy rozumieć się nawzajem. Ale kiedy przychodzicie do mojego domu z waszym aparatem, nie ma już zrozumienia. Nie pozwolę wam użyć mojej uliczki dla jej pięknych cieni, ani mojego nieba dla jego słońca, ani mojego domu, ponieważ ma ciekawe pęknięcie w murze. Widzisz? Och, jakie piękne! Oprzyj się tutaj! Stań tutaj! Siądź tutaj! Kucnij tutaj! Wyciągnij ręce! O tak, słyszałem was. Bierzecie mnie za durnia? W pokoju na górze mam książki. Widzicie to okno? Maria!

Z okna wysunęła się głowa jego żony.

– Pokaż im moje książki! – zawołał.

Wymamrotała coś pod nosem z irytacją, ale chwilę później zademonstrowała jedną, dwie, pół tuzina książek, odwracając przy tym głowę jakby trzymała w rękach stare ryby.

– I jeszcze dwa tuziny na górze! – zawołał Ricardo. – Nie rozmawiacie z jakimś tchórzem z lasu, rozmawiacie z mężczyzną.

– Słuchaj – fotograf szybko pakował swoje płyty – już idziemy, dzięki za nic.

– Zanim pójdziecie, musicie zobaczyć, o co mi chodzi – podjął Ricardo. – Nie jestem człowiekiem wrednym, ale potrafię się mocno zezłościć. Czy wyglądam na postać wyciętą z kawałka kartonu?

– Nikt tu nie twierdził, że ktokolwiek jakoś wygląda.

Fotograf zważył futerał w dłoni i ruszył naprzód.

– Dwie przecznice stąd jest zakład fotograficzny. – Ricardo dotrzymywał mu kroku. – Mają tam kawałki kartonu z obrazkami. Stajesz przed nimi i widzisz napis Grand Hotel. Robią ci zdjęcie i wygląda na to, że byłeś w Grand Hotelu. Rozumiesz, co mam na myśli? Moja uliczka to moja uliczka, moje życie to moje życie, mój syn to mój syn. Mój syn nie jest kawałkiem kartonu. Widziałem, jak ustawiasz go pod ścianą, tak i tak w tle. Jak to nazywasz? Właściwą atmosferą? Żeby całość wyglądała atrakcyjnie, podkreślając urodę ślicznej panny?

– Robi się późno. – Fotograf spływał potem, modelka dreptała po jego drugiej stronie.



– Jesteśmy tu biedni – ciągnął Ricardo. – Z naszych drzwi złazi farba, ściany są obtłuczone i popękane, rynsztoki śmierdzą na ulicy, jezdnia wciąż jest wyłożona kamieniami. Ale czuję głąchą furję, kiedy widzę, jak przejmujecie te rzeczy, zupełnie jakbym tak właśnie zaplanował, jakbym wiele lat temu zachęcił ścianę do pęknięcia. Myślałeś, że wiedziałem o waszym przyjeździe i postarzyłem farbę? A może spodziewałem się was i dlatego przebrałem syna w najbrudniejsze ciuchy? Nie jesteśmy studiem! Jesteśmy ludźmi i należy poświęcać nam uwagę, jak przystało ludziom. Czy wyraziłem się jasno?

– Do ostatniego szczegółu – odparł fotograf, nie patrząc na niego. Śpieszył się.

– A teraz, gdy znasz moje życzenia i rozumowanie w tej kwestii, postąpisz jak przystało przyjacielowi i wrócisz do domu?

– Zabawny z pana człowiek – zauważył fotograf. – Hej! – Dołączyli do grupy złożonej z pięciu innych modelek i drugiego fotografa, u podstawy masywnych, kamiennych schodów, które warstwami, niczym tort ślubny, wiodły na miejski targ. – Co u ciebie, Joe?

– Mamy kilka przepięknych ujęć pod kościołem Maryi Dziewicy. Posągi bez nosów, cudo – odparł Joe. – Co tu się dzieje?

– Ten tu Pancho narobił szumu. Najwyraźniej opieraliśmy się o jego dom i go zniszczyliśmy.

– Na imię mam Ricardo, mój dom pozostał nietknięty.

– Urządzimy sesję tutaj, moja droga – powiedział pierwszy fotograf. – Stań obok łuku w sklepie, masz tu ładny, antyczny mur. – Gorączkowo wymachiwał swoim aparatem.

– Ach tak! – Ricarda ogarnął złowrogi spokój. Obserwował, jak się szykują. Kiedy byli gotowi zacząć robić zdjęcia, pośpieszył naprzód, wołając mężczyznę w drzwiach. – Jorge! Co robisz?

– Po prostu stoję – odparł tamten.

– No cóż – mruknął Ricardo – to przecież twoje przejście. Zamierzasz pozwolić im go użyć?

– Nie wadzą mi – oznajmił Jorge.

Ricardo szarpnął go za rękę.

– Traktują twoją własność jak plan dla aktorów filmowych. Nie

obraża cię to?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. – Jorge podłubał w nosie.

– Jezusiczku święty, człowieku, myśl!

– Nie widzę w tym nic złego.

– Czy tylko ja na całym świecie mam w ustach język? – spytał Ricardo, zwracając się do pustych rąk. – I smak na języku? Czy to ma być miasto fałszywych, słodkich obrazeczków? I czy nikt z tym nic nie robi, oprócz mnie?

Tłum podążał za nimi ulicą, po drodze zbierając kolejne osoby. Stał się już całkiem spory, a wciąż dołączali następni, wabieni byczymi okrzykami Ricarda. On sam tupał głośno, zaciskał pięści, spluwał.

Fotografowie i modelki przyglądali mu się niespokojnie.

– Czy chcecie mieć w tle uroczego człowieczka? – spytał fotografa podniesionym głosem. – Zapozuję wam tam. Mam stanąć pod ścianą z kapeluszem, o tak, stopami, o tak, światłem, o tak? I tak w sandałach, które sam uszyłem? Mam sam powiększyć sobie dziurę w koszuli, o w ten sposób? Proszę! Czy twarz mam dostatecznie spoconą? Włosy dość długie, łaskawy panie?

– Proszę tam stanąć, jeśli pan chce – odparł fotograf.

– Nie będę patrzył w aparat – zapewnił Ricardo.

Fotograf uśmiechnął się i uniósł swoją maszynę.

– Jeden krok w lewo, moja droga.

Modelka przesunęła się.

– Teraz odwróć prawą nogę, właśnie tak, o tak. Chwila!

Modelka zamarła, unosząc głowę.

Ricardo opuścił spodnie.

– O mój Boże! – rzucił fotograf.

Część modelek zaczęła piszczeć, zgromadzeni ludzie ryknęli śmiechem, poklepując się nawzajem. Ricardo szybko podciągnął spodnie i oparł się o ścianę.

– Czy to było dość urocze? – spytał.

– O mój Boże – wymamrotał fotograf.

– Chodźmy nad wodę – zaproponował asystent.

- Chyba też tam pójde. - Ricardo uśmiechnął się.  
- Dobry Boże, co mamy zrobić z tym idiotą? - wyszeptał fotograf.  
- Przekupmy go?  
- Próbowałem.  
- Nie starałeś się dostatecznie - przypuszczał asystent.  
- Słuchaj, pobiegnij po policjanta, ja zaraz z tym skończę.  
Asystent pobiegł. Wszyscy dokoła nerwowo palili papierosy, przyglądając się Ricardo. Podbiegł pies i na chwilę przystanął, oblewając ścianę.  
- No proszę, spójrzcie! - zawołał Ricardo. - Cóż za sztuka! Co za wzór! Szybko, nim słońce to wysuszy!  
Fotograf odwrócił się do niego plecami, patrząc w morze.  
Asystent wrócił biegiem ulicą, za nim spokojnie maszerował miejscowy policjant. Asystent musiał przystawać i poganiać go, a on zapewniał go gestem z daleka, że dzień jeszcze się nie skończył i że z czasem dotrą na miejsce domniemanej katastrofy.  
W końcu policjant zajął pozycję za plecami dwóch fotografów.  
- W czym mamy problem?  
- Ten człowiek, o tam. Chcemy, żeby go usunąć.  
- Ten człowiek wygląda, jakby tylko opierał się o ścianę - zauważył policjant.  
- Nie, nie, nie chodzi o opieranie, on... A, do diabła! - rzucił fotograf. - Zamiast tłumaczyć, lepiej to panu pokażę. Pozycja, moja droga.  
Dziewczyna zajęła pozycję. Ricardo też pozował, uśmiechając się lekko.  
- Nie ruszaj się!  
Dziewczyna zamarła.  
Ricardo opuścił spodnie.  
Aparat szcęknał.  
- Ach - mruknął policjant.  
- Proszę, jeśli pan potrzebuje, mam dowód na filmie! - zawołał fotograf.  
- Ach - powtórzył policjant, nie ruszając się ani o krok, i podparł dłońmi brodę. - No tak. - Przyjrzał się całej scenie,

jakby sam był fotografem-amatorem. Ujrzał modelkę z niespokojną, zarumienioną, marmurową twarzą, kocie łby, mur i Ricarda.

Ricardo z dumną miną palił papierosa w południowym słońcu pod błękitnym niebem, ze spodniami tam, gdzie rzadko znajdują się spodnie mężczyzny.

– I co, panie oficerze? – spytał fotograf.

– Co właściwie – policjant zdjął czapkę i otarł ciemne czoło – chcecie, żebym z nim zrobił?

– Proszę go aresztować! Obnażanie się w miejscu publicznym.

– Ach – mruknął policjant.

– I co? – naciskał fotograf.

Tłum zaczął mamrotać. Wszystkie miłe modelki wbijały wzrok w mewy i ocean.

– Tego człowieka pod ścianą? – upewnił się policjant. – Ja go znam. Nazywa się Ricardo Reyes.

– Witaj, Estebanie! – zawołał Ricardo.

Policjant odkrzyknął do niego.

– Witaj, Ricardo!

Pomachali do siebie.

– Nie widzę tu nic zdrożnego – oznajmił policjant.

– Co to ma znaczyć? – zdumiał się fotograf. – Jest nagi jak głaz. To niemoralne.

– Ten człowiek nie robi niczego niemoralnego, po prostu tam stoi. Owszem, gdyby coś robił, coś okropnego dla oka, natychmiast wkroczyłbym do akcji. Ponieważ jednak po prostu się tam opiera, nie rusza nawet jednym mięśnieniem, nie widzę w tym nic złego.

– Jest nagi, nagi! – wrzasnął fotograf.

– Nie rozumiem.

Policjant zamrugnął.

– Po prostu nikt nie chodzi nago po ulicach.

– Są nadzy ludzie i nadzy ludzie – odparł policjant. – Dobrzy i źli. Trzeźwi i po paru drinkach. Oceniam, że ten nie ma w sobie drinka, cieszy się dobrą reputacją. Owszem, jest nagi, ale nie robi ze swoją nagością niczego, co mogłoby obrazić społeczność.

– Kim ty niby jesteś, jego bratem? Jego powiernikiem? – oburzał się fotograf. Wyglądał, jakby lada moment coś miało w nim trzasnąć, a wówczas zacznie ujadać, gryźć, skomlić i ganiać w kółko pod palącym słońcem. – Gdzie tu sprawiedliwość? Co się tu dzieje? Chodźcie, dziewczęta, pójdziemy gdzie indziej.

– Do Francji – podsunął Ricardo.

– Co? – Fotograf odwrócił się gwałtownie.

– Powiedziałem: do Francji albo Hiszpanii – zaproponował Ricardo. – Może Szwecji, widziałem kilka ładnych zdjęć ścian w Szwecji, ale nie są zbyt popękane, proszę wybaczyć sugestię.

– I tak zrobimy te zdjęcia, na złość tobie.

Fotograf potrząsnął aparatem w pięści.

– A ja tam będę – odparł Ricardo. – Jutro, pojutrze, podczas walk byków, na targu, zawsze i wszędzie, dokąd pójdziecie, ja też pójdę, spokojnie, z gracją, z godnością, by wykonać niezbędne zadanie.

I patrząc na niego, zrozumieli, że mówi prawdę.

– Kim ty jesteś, za kogo, do diabła, się masz?! – huknął fotograf.

– Czekałem na to pytanie – przyznał Ricardo. – Przyjrzyj mi się, wróć do domu i pomyśl o mnie, bo dopóki w dziesięciotysięcznym mieście znajdzie się choć jeden człowiek taki jak ja, ten świat będzie trwał dalej. Beze mnie wszędzie zapanowałby chaos.

– Dobrej nocy, siostró – rzucił fotograf i cały rój kobiet, pudełek na kapelusze, aparatów i zestawów do makijażu zaczął się wycofywać ulicą w stronę portu. – Czas na lunch, moje drogie. Później coś wymyślimy.

Ricardo w milczeniu odprowadził ich wzrokiem. Cały czas trwał bez ruchu na swym posterunku. Tłum wciąż patrzył na niego i uśmiechał się.

Teraz, pomyślał Ricardo, przejdę ulicą do swojego domu, w którym z drzwi frontowych obłazi farba w miejscu, w którym ocierałem się o nie w przelocie tysiąc razy, i przejdę po kamieniach, które wytarłem przez czterdzieści sześć lat chodzenia. Przesunę dłonią po pęknięciu w ścianie mojego własnego domu, które to pęknięcie zostało tam po trzęsieniu

ziemi w tysiąc dziewięćset trzydziestym. Doskonale pamiętam tę noc, leżeliśmy w łóżkach, Tomas jeszcze się nie urodził, Maria i ja tak bardzo się kochaliśmy i z początku sądziliśmy, że to nasza miłość potrzęsnęła domem, ciepła i potężna w nocy. Ale to ziemia drżała, a rankiem zobaczyłem pęknięcie ściany. Wdrapię się po schodach na otoczony misterną barierką balkon domu mojego ojca, który sam wykonał to ogrodzenie, i zjem posiłek podany przez żonę na balkonie, z książkami pod ręką. A ze mną mój syn Tomas, którego stworzyłem z całej tkaniny, owszem, pościelowej, przyznajmy to, razem z moją dobrą żoną. I będziemy tak siedzieć, jeść i rozmawiać, nie fotografie, nie fałszywe kartonowe sylwetki, nie obrazy, nie rekwizyty, nikt z nas. Ale przecież aktorzy. Naprawdę świetni aktorzy.

I jakby na poparcie jego ostatniej myśli nagle zaskoczył go pewien dźwięk. Właśnie uroczyście, z wielką godnością i gracją podciągał spodnie, żeby zapiąć pasek, gdy usłyszał ów cudowny dźwięk. Przypominał on trzepot miękkich skrzydeł synogarlicy w powietrzu. To były oklaski.

Niewielki tłumek patrzący na niego, gdy odgrywał ostatnią scenę sztuki przed przerwą na lunch, widział, jak pięknie, z jakimi manierami godnymi dżentelmena podciągał spodnie. Oklaski zalały go niczym niewielka fala zalewająca brzeg pobliskiego morza.

Ricardo machnął ręką i uśmiechnął się do wszystkich.

Po drodze do domu na wzgórzu przybił piątkę z psem, który podlał ścianę.

## ŁĄKA

Ściana wali się, po niej następna i następna; z głuchym grzmotem miasto popada w ruinę.

Wieje nocny wiatr.

Świat czeka w milczeniu.

W ciągu dnia zniszczyli Londyn. Wyburzyli Port Said. Wyciągnęli gwoździe z San Francisco. Glasgow zniknęło.

Odeszły na zawsze.

Deski klekoczą cicho na wietrze, piasek skowyczy i przesypuje się w niewielkich wirach pośród nieruchomego powietrza.

Na drodze wiodącej ku bezbarwnym ruinom pojawia się stary nocny stróż. Otwiera bramę w wysokim ogrodzeniu zwieńczonym drutem kolczastym i staje w niej, zaglądając do środka.

Tam w blasku księżyca leżą Aleksandria i Nowy Jork. Tam jego promienie ukazują Johannesburg, Dublin i Sztokholm. A także Clearwater w Kansas i Provincetown, i Rio de Janeiro.

Zaledwie tego popołudnia stary człowiek patrzył, jak to się odbywało, widział samochód pędzący z rykiem wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego, oglądał szczupłych, opalonych mężczyzn w owym samochodzie, mężczyzn odzianych w kosztowne i eleganckie garnitury z grafitowej flaneli, błyskających złotymi spinkami do mankietów w kształcie masek i połyskliwymi, złotymi zegarkami, oślepiającymi pierścieniami, zapalających papierosy z barwionymi filtrami grawerowanymi zapalniczkami...

– Proszę, to jest to, panowie. Cóż za bałagan. Spójrzcie, jakie szkody poczyniła pogoda.

– Tak, panie Douglas, wygląda to bardzo źle.

– Może uda nam się ocalić Paryż.

– Tak jest!

– Ale, do diabła, deszcz go wypaczył. I proszę, oto całe

Hollywood. Wyburzcie to i uprzątnijcie. Możemy wykorzystać te parcele. Jeszcze dziś przyślijcie ekipę rozbiórkową.

– Tak jest, panie Douglas!

Samochód ryknął silnikiem i odjechał w dal.

\* \* \*

Teraz jest noc. Stary nocny stróż stoi tuż za bramą.

Wspomina, co wydarzyło się tego popołudnia, kiedy przybyły ekipy rozbiórkowe.

Łoskot młotów, szcęk, trzaski, gruchoty: ryki i huki. Pył i grzmot, grzmot i pył!

I cały świat zrzucił z siebie gwoździe, siatki podtynkowe, tynki, parapety, celuloidowe okna, gdy miasto po mieście i następne miasto padało na ziemię i leżało nieruchomo. Drżenie, cichnący grzmot, a potem znowu tylko cichy wiatr.

Nocny stróż powoli rusza naprzód pustymi ulicami.

W jednej chwili jest w Bagdadzie, gdzie żebracy próżnują w cudownym brudzie, a kobiety o przejrzystych, szafirowych oczach uśmiechają się zza welonów w wysokich wąskich oknach.

Wiatr unosi piasek i konfetti.

Kobiety i żebracy znikają.

I znów wszystko zamienia się w rusztowania, w papier mâché i olejne obrazy na płótnie, i rekwizyty oznaczone nazwą studia. I pod frontami budynków nie ma niczego prócz nocy, pustki i gwiazd.

Stary człowiek wyciąga ze skrzynki z narzędziami młotek i kilka długich gwoździ; rozgląda się dokoła, grzebiąc w śmieciach, aż w końcu znajduje tuzin solidnych, mocnych desek i kawałek nieuszkodzonego płótna. I ujmuje w tępe, spracowane palce lśniące stalowe gwoździe, a wszystkie to gwoździe o zwykłych główkach.

A potem zaczyna składać Londyn do kupy, raz po raz tłukąc młotkiem, deska za deską, ściana za ścianą, okno za oknem, stukając i stukając, coraz głośniej i głośniej, stałą w stal, stałą w drewno, drewnem w niebo, a godziny mijają, mijają, zmierzając ku północy, gdy on bez końca uderza młotkiem,



naprawia i znów uderza.

– Hej, ty tam!

Stary człowiek przerywa pracę.

– Ty, nocny stróżu!

Z cienia wypada nieznajomy w roboczym kombinezonie.

– Hej, ty tam, jak się nazywasz?!

Stary człowiek odwraca się.

– Nazywam się Smith.

– Dobra, Smith, co ty, do diabła, wyprawiasz?

Stróż w milczeniu przygląda się nieznajomemu.

– A ty kim jesteś?

– Kelly, brygadzysta ekipy rozbiórkowej.

Stary kiwa głową.

– Ach, to ci, którzy wszystko burzą. Dziś sporo zrobiliście. Czemu nie jesteś w domu i nie przechwalasz się swoim dziełem?

Kelly chrząka i spluwa.

– Musiałem sprawdzić parę maszyn na planie Singapuru. – Otarł usta. – Słuchaj Smith, na miłość boską, co ty tu robisz? Zostaw ten młotek, znów wszystko budujesz! My to burzymy, a ty budujesz, oszalałeś?

Stary człowiek kiwa głową.

– Może i tak, ale ktoś musi pozbierać to znów do kupy.

– Słuchaj Smith, ja robię swoje, ty swoje, i wszyscy są zadowoleni. Ale nie możesz się wtrącać, jasne? Powiem o wszystkim panu Douglasowi.

Stary człowiek znów unosi młotek.

– Zadzwoń, wezwij go. Chcę z nim pogadać. To on tu oszalał.

Kelly wybucha śmiechem.

– Żarty sobie stroisz? Douglas z nikim się nie widuje. – Unosi rękę, po czym schyla się, żeby obejrzeć nowe dzieło Smitha. – Hej, chwila! Jakich ty gwoździ używasz, z pojedynczą główką? Przestań w tej chwili! Jutro będziemy mieli mnóstwo pracy z ich wyciąganiem!

Smith obraca głowę i przez chwilę patrzy na swego rozmówcę, kołyszącego się na piętach.

– To przecież logiczne. Nie można złożyć świata do kupy

gwoździami z podwójną główką. Zbyt łatwo je wyciągnąć. Musisz użyć normalnych i wbić je do samego końca, o tak.

Uderza z ogromną siłą w stalowy gwóźdź, który całkowicie wbija się w drewno.

Kelly podpira się pod boki.

– Dam ci jeszcze jedną szansę. Przestań zbijać wszystko z powrotem, a zagram z tobą w piłkę.

– Młody człowieku – mówi nocny stróż, nie przerywając pracy, i po zastanowieniu dodaje coś jeszcze – byłem tu na długo przed twoim urodzeniem, byłem tu, kiedy wszędzie rosła tylko łąka, a kiedy powiał wiatr, łąka falowała. Przez ponad trzydzieści lat patrzyłem, jak to wszystko rośnie, aż w końcu stało się całym światem. Mieszkałem tu z nim, dobrze mi się żyło, teraz to dla mnie prawdziwy świat. Tamten świat poza ogrodzeniem to tylko miejsce, gdzie sypiam. Mam pokój przy wąskiej uliczce, widuję nagłówki, czytam o wojnach i innych złych ludziach. Ale tutaj? Tu mam swój świat, w którym panuje pokój. Wędruję po ulicach tego świata od 1920. I kiedy tylko zechcę, mogę o pierwszej w nocy wpaść na przekąskę do baru przy Polach Elizejskich! Mogę się napić pysznego amontillado w madryckiej kafejce, jeśli najdzie mnie ochota. Albo wspiąć się wysoko do kamiennych gargulców – widzisz je na szczycie Notre Dame? – i zagłębić się w poważną polityczną dyskusję o sprawach państwowych.

– Tak, dziadku, jasne. – Kelly niecierpliwie macha ręką.

– A potem zjawiasz się ty, rozwalasz wszystko i zostawiasz tylko tamten świat, na zewnątrz, który nie ma pojęcia o pokoju, jaki poznałem w tej krainie za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Zjawiasz się, zaczynasz rozbiórkę i nigdzie już nie ma pokoju. Ty i twoi wyburzyciele, tak dumni ze swego burzenia, rozwalacie miasteczka, miasta, całe kraje!

– Jakoś trzeba żyć – mówi Kelly. – Mam żonę i dzieci.

– Wszyscy to mówią, wszyscy mają żony i dzieci i prą przed siebie, rozwalając, rozbierając, zabijając. Mieli rozkazy! Ktoś im polecił, musieli to zrobić!

– Zamknij się i oddaj ten młotek!

– Nie podchodź bliżej!

– Ty zwariowany stary...

– Ten młotek nadaje się nie tylko do gwoździ! – Stary człowiek ze świstem przecina nim powietrze; robotnik odskakuje szybko.

– Niech to diabli! – rzuca Kelly. – Ty naprawdę zwariowałeś! Zaraz zadzwonię do głównego studia; szybko ściągniemy tu gliniarzy. Mój Boże, w jednej chwili budujesz i wygadujesz wariactwa, ale skąd mam wiedzieć, że za dwie chwile nie wpadniesz w szal i nie zaczniesz rozlewać benzyny i zapalać zapalek?

– Nie skrzywdziłbym nawet najmniejszego kawałeczka drewna w tym miejscu i dobrze o tym wiesz – odpowiada stary.

– Mógłbyś spalić to wszystko do gołej ziemi – ciągnie Kelly. – Słuchaj stary, zaczekaj no tutaj.

Obraca się na pięcie i odbiega w głąb wiosek, zrujnowanych miast i śpiących dwuwymiarowych miasteczek świata nocy. A potem, gdy odgłos jego kroków cichnie, rozlega się muzyka, którą wiatr wygrywa na długich srebrnych drutach kolczastych ogrodzenia. A stary człowiek znów uderza młotkiem, wybierając długie deski i podpierając ściany, aż w końcu nadchodzi chwila, gdy z trudem chwyta oddech przez otwarte usta, a serce o mały nie eksploduje mu w piersi; młotek wypada spomiędzy rozchylonych palców, stalowe gwoździe sypią się z brzękiem na chodnik, jak monety, a on krzyczy sam do siebie:

– To na nic, na nic! Nie dam rady odbudować wszystkiego, nim się zjawią. Potrzebuję tak wiele pomocy. Nie wiem, co robić.

Stary człowiek zostawia swój młotek na drodze i rusza naprzód, jak się zdaje, bez celu, bez namysłu, po prostu chce wykonać jeszcze jeden, ostatni obchód, jeszcze raz, po raz ostatni przyjrzeć się wszystkiemu i pożegnać się ze wszystkim, co jest bądź było w tym świecie, i z czym można się pożegnać. Maszeruje zatem pośród cieni i przez cienie całej tej krainy, w której zrobiło się już bardzo późno, bardzo, bardzo późno. Cienie wszelkich rodzajów, odmian i wielkości, cienie budynków, cienie ludzi. Nie patrzy na nie wprost, o nie, bo gdyby spojrzął, wszystkie by się rozplynęły. Nie, po prostu idzie środkiem Piccadilly Circus... słysząc echo własnych kroków... albo Rue de la Paix... odchrząka w głębi

gardła... albo Piątą Aleją... i nie ogląda się w prawo ani w lewo. A wszędzie dokoła w ciemnych przejściach i pustych oknach czekają jego bliscy przyjaciele, bardzo bliscy przyjaciele. W dali słycać syk pary i cichy szept ekspresu z kawiarenki w srebrze i chromie, a także cichą włoską piosenkę... trzepot dłoni w ciemności nad otworkami w pudłach bałałajek, szelest liści palmowych, pomruk bębnow, brzęczenie talerzy i małych dzwoneczków oraz odgłos letnich jabłek spadających na miękką nocną trawę, tyle że to wcale nie jabłka, lecz ruchy bosych kobiecych stóp, powoli tańczących w kręgu w rytm słabych pobrząkiwań talerzy i dzwonienia malutkich złotych dzwoneczków. Słycać też chrzęst ziaren kukurydzy zgniatanych na czarnych wulkanicznych kamieniach, skwierczenie tortilli tonących w rozgrzanym tłuszczu, trzask węgla, po każdym dmuchnięciu wyrzucających w powietrze tysiące iskierświatlików, i kołysanie pióropusza papai; i wszędzie są twarze i kształty, wszędzie ruchy, gesty, widmowe ognie, które unoszą w powietrzu magiczne twarze hiszpańskich Cyganów w kolorze pochodni – wyglądają, jakby pływały na ognistej wodzie, ich usta wykrzykują piosenki opowiadające o obcości, dziwności i smutku życia. Wszędzie cienie i ludzie, wszędzie ludzie i cienie, i śpiewy do wtóru muzyki.

I wszystko to ta jedna, jakże banalna rzecz – wiatr?

Nie. Ludzie są tu wszędzie. Byli tu od wielu lat. A jutro?

Stary człowiek zatrzymuje się, przyciska dłoń do piersi.

Jutro już ich tu nie będzie.

\* \* \*

Klakson buczy!

Przed bramą z drutu kolczastego – nieprzyjaciel! Przed bramą mały czarny wóz policyjny i wielka czarna limuzyna z samego studia leżącego trzy mile dalej.

Klakson ryczy!

Stary człowiek chwyta szczeble drabiny i wspina się gnany odgłosem trąbienia, coraz wyżej i wyżej. Brama otwiera się szeroko, nieprzyjaciel z rykiem wpada do środka.

– Tam jest!

Oślepiająco jasne reflektory policyjne padają na miasta na łące; światło ukazuje surowe płócienne dekoracje Manhattanu, Chicago i Czunkingu! Blask migocze na imitacjach kamiennych wież katedry Notre Dame; skupia się na maleńkiej postaci balansującej na murach, wspinającej się coraz wyżej i wyżej, tam, gdzie noc i gwiazdy powoli obracają się nad głową.

– Tam jest, panie Douglas! Na górze!

– Dobry Boże, człowiek nie może już spędzić spokojnego wieczoru na przyjęciu bez...

– Zapala zapałkę! Wezwijcie straż pożarną!

Na szczycie Notre Dame nocny stróż, patrząc w dół i osłaniając dłonią zapałkę przed lekkim wietrzykiem, widzi policję, robotników i rosnącego mężczyznę – producenta w ciemnym garniturze. Wszyscy patrzą na niego, a on powoli obraca wciąż osłoniętą zapałkę i przytyka do końca cygara. Zapala je, pykając powoli.

– Czy tam na dole jest pan Douglas?! – woła.

Ktoś odkrzykuje:

– Czego ode mnie chcesz?!

Stary człowiek uśmiecha się.

– Niech pan tu przyjdzie. Sam. Jeśli pan woli, proszę wziąć broń. Chcę tylko zamienić słówko.

Głosy odbijają się echem na rozległym dziedzińcu kościelnym.

– Panie Douglas, proszę tego nie robić!

– Oddaj mi broń, załatwmy to i miejmy z głowy, żebym mógł wrócić na przyjęcie. Osłaniajcie mnie, nie będę się wychylał. Nie chcę, żeby spalił te dekoracje, samo drewno jest warte dwa miliony dolarów. Gotowi? Już idę.

Producent wdrapuje się wysoko po nocnych drabinach, w górę przez półskorupę Notre Dame, w miejsce, gdzie stary człowiek opiera się o gipsowego gargulca, w milczeniu paląc cygaro. Producent zatrzymuje się, celując z broni przez otwartą klapę.

– No dobra, Smith, zostań tam, gdzie jesteś.

Smith wyjmuje z ust cygaro.

– Proszę się mnie nie bać. Nic mi nie jest.

– Nie zakładałbym się.

– Panie Douglas – mówi nocny stróż. – Czy kiedykolwiek czytał pan historię o człowieku, który wyprawił się w przyszłość i odkrył, że wszyscy tam oszaleli? Wszyscy. Ale ponieważ wszyscy byli szaleni, nie wiedzieli, że są szaleni, zachowywali się identycznie i uważali się za normalnych. A że nasz bohater był jedynym normalnym człowiekiem pośród nich, to on był szalony. Przynajmniej dla nich. Owszem, panie Douglas, obłąd to rzecz względna, zależy od tego, kto zamyka kogo w jakiej klatce.

Producent przeklina pod nosem.

– Nie włączyłem tu, żeby rozmawiać całą noc. Czego chcesz?

– Chcę pomówić ze Stwórcą. To pan, panie Douglas. Pan to wszystko stworzył. Przyjechał pan tu pewnego dnia, uderzył o ziemię magiczną książeczką czekową i zawołał: „Niech się stanie Paryż!”. I stał się Paryż: ulice, bistra, kwiaty, wino, stragany bukinistów i tak dalej. A pan znów klasnął w dłoń. „Niech się stanie Konstantynopol!”. I oto on! Klasnął pan tysiąc razy, za każdym razem tworząc coś nowego, a teraz myśli pan, że jedno ostatnie klaśnięcie wystarczy, by to wszystko runęło w gruzy. Ale, panie Douglas, to nie takie łatwe!

– Należy do mnie pięćdziesiąt jeden procent akcji studia!

– Ale czy studio kiedykolwiek tak naprawdę należało do pana? Czy przyszło panu kiedyś do głowy, żeby przyjechać tu w nocy, wspiąć się na tę katedrę i zobaczyć, jaki cudowny świat pan stworzył? Zastanawiał się pan kiedyś, czy nie warto by usiąść tu ze mną i z moimi przyjaciółmi i napić się z nami amontillado? No dobrze, fakt, amontillado smakuje, wygląda i pachnie jak kawa. Wyobraźnia, panie Stwórcu, wyobraźnia. Ale nie, nigdy pan nie przyjechał, nigdy się nie wspiął, nigdy nie spojrzął, nie słuchał, nie dbał o to. Zawsze gdzieś było jakieś przyjęcie. A teraz, bardzo późno, nie pytając nas, chce pan wszystko zniszczyć. Może i należy do pana pięćdziesiąt jeden procent akcji studia, ale nie oni.

– Oni?! – krzyczy producent. – Co to za jacyś oni?!

– Trudno wyrazić to słowami. Ludzie, którzy tu żyją. – Nocny stróż szerokim gestem dłoni w pustym powietrzu wskazuje pół

miasta i noc. – Tak wiele filmów nakręcono tu przez te wszystkie lata. Statyści krążyli po ulicach, odziani w kostiumy, przemawiali w tysiącu języków, palili papierosy, fajki z pianki morskiej, a nawet perskie szisze. Tancerki tańczyły. I lśniły, och, jakże lśniły! Kobiety w welonach uśmiechały się z wysokich balkonów. Żołnierze maszerowali. Dzieci się bawiły. Rycerze w srebrnych zbrojach walczyli. Były tu eleganckie herbaciarnie, ludzie sączyli w nich herbatę, przemawiając z wytwornym akcentem. Uderzano w gongi, statki wikingów żeglowały po morzach wewnętrznych.

Producent przeciska się przez klapę i siada na deskach, rozluźniając palce na kolbie pistoletu. Wygląda, jakby patrzył na starego człowieka najpierw jednym okiem, potem drugim, słuchał go jednym uchem, potem drugim, i cały czas kręci głową.

Nocny stróż mówi dalej.

– I w jakiś sposób po tym, jak statyści, ludzie z kamerami i mikrofonami i całym sprzętem odeszli, zamykając bramy, i odjechali wielkimi samochodami, w jakiś sposób coś z tych tysięcy różnych ludzi pozostało. Zostało tu to, czym byli, czy może udawali, że są, obce języki, kostiumy, rzeczy, które robili, rzeczy, o których myśleli, ich religie i muzyka, wszystko, wielkie i małe, zostało tutaj. Widoki z dalekich stron. Zapachy. Słony wiatr. Morze. To wszystko jest tu dziś, w nocy. Wystarczy tylko posłuchać.

Producent słucha, stary człowiek też słucha, siedząc na pełnym przeciągu rusztowaniu katedry, gdzie promienie księżycy oślepiają oczy gipsowych gargulców, a wiatr sprawia, że sztuczne kamienne paszcze szepczą, i unosi dźwięki tysiąca krajów wewnątrz krainy w dole. Dźwięki te szybują, opadają, ślizgają się na wietrze, tysiąc żółtych minaretów, mlecznobiałych wież i zielonych alejek, jak dotąd nietkniętych pośród setki nowych ruin. A wszystko to wibruje drutami i siatkami, niczym wielka harfa z drewna i stali, trącona przez noc, a wiatr porywa ów nowo zrodzony dźwięk wysoko ku niebu, do tych dwóch oddalonych od siebie i zasłuchanych mężczyzn.

Producent śmieje się krótko i kręci głową.

– Usłyszał pan – mówi nocny stróż. – Usłyszał pan, prawda?

Widać to po pańskiej twarzy.

Douglas wciska pistolet do kieszeni płaszcza.

– Jeśli nasłuchujemy dość długo, możemy usłyszeć wszystko. Popełniłem ten błąd, że zacząłem słuchać. Powinieneś zostać pisarzem, z łatwością wygryzłbyś z pracy sześciu moich najlepszych autorów. To co, jesteś już gotów zejść?

– To zabrzmiało niemal uprzejmie – zauważa nocny stróż.

– Nie wiem, czemu miałbym być uprzejmy. Zrujnowałeś mi miły wieczór.

– Naprawdę? Nie było chyba tak źle, co? Powiedziałbym, że trochę inaczej, może wręcz pobudzająco.

Douglas śmieje się cicho.

– Zupełnie nie jesteś niebezpieczny, po prostu potrzebujesz towarzystwa. To przez tę pracę i w ogóle. Wszystko idzie w diabły, a ty jesteś samotny. Choć nie do końca cię rozgryzłem.

– Czyżbym pobudził pana do myślenia? – pyta stary człowiek.

Douglas parska.

– Kiedy mieszka się dość długo w Hollywood, spotyka się najróżniejszych ludzi. Poza tym nigdy wcześniej nie byłem tu, na górze. Jak mówisz, to niesamowity widok, ale niech mnie diabli, jeśli rozumiem, czemu przejmujesz się tymi śmieciami. Co ci po nich?

Nocny stróż klęka na jednym kolanie i uderza dłonią na płask w drugą, by podkreślić swoje argumenty.

– Proszę spojrzeć. Jak wcześniej mówiłem, przyjechał pan tu wiele lat temu, klasnął w dłonie i z ziemi wyrosło trzysta miast! Potem dodał pan pół tysiąca innych nacji, krajów, ludzi, religii i systemów politycznych, a wszystkie okolone ogrodzeniem z drutu kolczastego. I zaczęły się kłopoty! Och, nic, co mógłby pan zobaczyć, wszystko działo się na wietrze i przestrzeniach pomiędzy, ale były to takie same kłopoty jak te, których doświadczał świat poza ogrodzeniem: konflikty, rozruchy, niewidzialne wojny. W końcu jednak wszystko minęło. Chce pan wiedzieć dlaczego?

– Gdybym nie chciał, nie siedziałbym tu i nie zamarzał.

Odrobinę nocnej muzyki, proszę, myśli stary i macha dłonią



w powietrzu, jak ktoś wygrywający prawdziwą i piękną muzykę, akompaniament do słów, które zaraz wypowie.

– Bo Boston połączył pan z Trynidadem – oznajmił cicho. – Część Trynidadu wystawała w głąb Lizbony, część Lizbony opierała się o Aleksandrię, Aleksandria tuliła się do Szanghaju, a między nimi mnóstwo maleńkich klinów i gwoździków w Chattanooga, Oshkosh, Oslo, Sweet Water, Soissons, Bejrucie, Bombaju i Port Arthur. Kiedy postrzeli pan człowieka w Nowym Jorku, to on poleci naprzód i padnie martwy w Atenach. Przyjmie pan w Chicago łapówkę, a w Londynie ktoś trafi do więzienia. Powiesi pan Murzyna w Alabamie, a mieszkańcy Węgier będą musieli go pochować. Martwi polscy Żydzi tłoczą się na ulicach Sydney, Portland i Tokio. Wbija pan nóż w czyjś brzuch w Berlinie, a ostrze wychodzi z pleców rolnika z Memphis. Wszystko jest blisko, tak bardzo blisko. To dlatego mamy tu pokój. Ze względu na tłumy musiał zapanować pokój, inaczej nic by nie zostało! Jeden pożar zniszczyłby nas wszystkich, nieważne, kto by go wywołał i z jakiej przyczyny. Zatem wszyscy ludzie, wszystkie wspomnienia, nieważne, jak pan je nazwie, są tutaj, ustatkowały się i to ich świat, dobry świat, piękny świat. – Stary mężczyzna milknie, powoli oblizuje wargi. Oddycha głęboko. – A jutro – dodaje – jutro pan go wyburzy.

Kuca tam jeszcze chwilę dłużej, potem wstaje i wygląda na miasta i tysiące cieni w nich. Wielka gipsowa katedra zawodzi i kołysze się w nocnym powietrzu, w przód i w tył, poruszana letnimi płytami.

– No to... – zaczyna w końcu Douglas. – My... może już zejdziemy?

Smith przytakuje.

– Powiedziałem, co miałem do powiedzenia.

Douglas znika; stróż słucha, jak młodszy mężczyzna schodzi coraz niżej i niżej, drabinami i pomostami nocy. Potem, po chwili rozsądnego wahania, stary człowiek chwytą drabinę, szepcze coś do siebie i rozpoczyna długie wejście między cienie.

Policja studia, kilku robotników i paru pomniejszych dyrektorów – wszyscy odjeżdżają, na zewnątrz zostaje tylko jeden wielki ciemny samochód, zaparkowany tuż za bramą z drutu kolczastego. Obaj mężczyźni tymczasem stoją i rozmawiają w miastach, na łące.

– Co pan teraz zrobi? – pyta Smith.

– Pewnie wrócę na moje przyjęcie – odpowiada producent.

– Będzie pan się dobrze bawił?

– Tak. – Producent waha się chwilę. – Jasne, będzie świetnie. – Zerka na prawą dłoń nocnego stróża. – Nie mów tylko, że znalazłeś ten młotek, o którym wspominał Kelly? Znów zaczniesz budować? Nie poddajesz się, prawda?

– A czy pan by się poddał, gdyby był pan ostatnim budowniczym, a wszyscy inni na świecie zamienili się w wyburzycieli?

Douglas rusza naprzód za starym człowiekiem.

– Cóż, może jeszcze się zobaczymy, Smith?

– Nie – odpowiada Smith. – Mnie tu nie będzie, tego wszystkiego tu nie będzie. Jeśli nawet wróci pan tu jeszcze, to już za późno.

Douglas zatrzymuje się.

– Do ciężkiej cholery! Czego ty ode mnie chcesz?

– Prostej rzeczy. Zostawcie to wszystko, zostawcie miasta w spokoju.

– Nie mogę! Do diabła, z przyczyn biznesowych to wszystko musi zniknąć.

– Człowiek z prawdziwym nosem do interesów i odrobiną wyobraźni zdołałby wykombinować zyskowny powód dla ich zostawienia – upiera się Smith.

– Czeka na mnie samochód! Jak się stąd wydostać?

Producent maszeruje po stercie gruzów, przecina połowę zwalonej ruiny, odkopując na bok deski. Na moment opiera się o gipsową fasadę i rusztowanie, z nieba pada deszcz pyłu.

– Uwaga!

Producent potyka się pod naporem pośród grzmotu i kurzu; próbuje złapać się czegoś, leci naprzód i zostaje pochwycony przez starego mężczyznę, szarpnięty naprzód.

– Skacz!

Skacząc i połowa budynku osuwa się w gruzy, do wtóru łomotu rusztowań o wzgórze, gór starego gipsu i siatek podtynkowych. W powietrzu wykwita wielki kwiat zniszczenia.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Dzięki. Dziękuję. – Producent patrzy na zawalony budynek. Pył opada. – Chyba właśnie ocaliłeś mi życie.

– Ależ nie, większość tego to cegły z papier mâché. Mogły najwyżej pana skaleczyć, zostawić siniaka.

– Mimo wszystko dzięki. Co to był za budynek, ten, który się zawalił?

– Normańska wieża wioskowa, zbudowana w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym. Proszę nie podchodzić bliżej, bo reszta też może się posypać.

– Będę uważał. – Producent idzie ostrożnie i zatrzymuje się przy kolejnej dekoracji. – Ależ mógłbym zburzyć ten cały cholerny budynek jedną ręką – demonstruje, budynek przechyla się, drży i jęczy, producent szybko cofa się o krok. – Mógłbym zniszczyć to w jedną sekundę.

– Ale nie chciałby pan tego robić – odpowiada stróż.

– Nie chciałbym? A czymże jest jeden francuski dom mniej czy więcej o tak późnej porze?

Stary człowiek bierze go za rękę.

– Proszę przejść na drugą stronę budynku.

Przechodzą na drugą stronę.

– Proszę przeczytać ten napis – dodaje Smith.

Producent naciska przycisk zapalniczki, unosi ognek, by sobie dopomóc, i mrużąc oczy, czyta.

– PIERWSZY BANK NARODOWY, MELLINTOWN – zawiesza głos. – ILLINOIS – dodaje bardzo powoli.

Budynek stoi tam w ostrym blasku gwiazd i bezbarwnym księżycu.

– Z jednej strony – Douglas balansuje dłońmi niczym wagą – francuska wieża, z drugiej – przechodzi siedem kroków w prawo, siedem kroków w lewo, zagłada – Pierwszy Bank Narodowy. Bank. Wieża. Wieża. Bank. A niech mnie.

Smith uśmiecha się.

– Wciąż chce pan zburzyć tę francuską wieżę gołymi rękami, panie Douglas?

– Jedna chwila, chwileczkę, wstrzymaj konie – odpowiada Douglas i nagle zaczyna widzieć stojące przed nim budynki. Obraca się, zataczając powolny krąg, jego wzrok wędruje w górę, w dół, w poprzek, z powrotem, oczy zerkają to tu, to tam, widzą to, widzą tamto, badają, katalogują, odkładają na później i znów badają. Rusza dalej w milczeniu. Przechodzą przez łąkowe miasta, po trawie i polnych kwiatach, pod, do i przez ruiny i półruiny. Przez, do, pod nietknięte aleje, wioski i miasta.

Zaczynają recital, który trwa tak i trwa, a oni idą dalej. Douglas pyta, nocny stróż odpowiada, Douglas pyta, nocny stróż odpowiada.

– Co to jest, o tam?

– Buddyjska świątynia.

– A po jej drugiej stronie?

– Drewniana chata, w której urodził się Lincoln.

– A tutaj?

– Kościół Świętego Patryka w Nowym Jorku.

– A na rewersie?

– Rosyjska ortodoksyjna cerkiew w Rostowie.

– A to co?

– Drzwi do zamku nad Renem.

– A wewnątrz?

– Kanadyjski sklepik z barem.

– A tutaj? A tutaj? A tam? A to co? – pyta Douglas. – Co to jest? A to? A to tam?

Wydaje się, że biegną, pędzą i krzyczą przez kolejne miasta, tu, tam, wszędzie, w górę, w dół, do i z, wspinając się, schodząc, trącając, mieszając, otwierając, zamykając drzwi.

– A to i to, i to, i to?

Nocny stróż odpowiada, nazywając wszystko.

Ich cienie pędzą przed nimi wąskimi uliczkami i alejami szerokimi jak rzeki z kamienia i piasku. Zataczają wielki, rozgadany krąg, w pośpiechu docierają na miejsce, z którego

zaczęli.

Znów milkną. Stary człowiek powiedział już, co miał do powiedzenia, a producent milczy, bo słucha, wspomina, układa to sobie wszystko w głowie. Stoi, z roztargnieniem szukając w kieszeni papierośnicy, potrzebuje pełnej minuty, by ją otworzyć, zbadać każdy szczegół, przemyśleć go i podsunąć papierośnicę stróżowi.

– Dzięki.

Z namysłem zapalają papierosy, zaciągają się i odprowadzają wzrokiem ulatujący dym.

– Gdzie ten twój cholerny młotek? – pyta Douglas.

– Tutaj – mówi Smith.

– Masz ze sobą gwoździe?

– Tak jest.

Douglas zaciąga się głęboko, wypuszcza powietrze.

– No dobra, Smith, bierz się do roboty.

– Co takiego?

– Słyszałeś. Przybij wszystko co zdołasz w swoim własnym tempie. Większości tego, co już zburzono, nie uda się uratować, ale wszelkie kawałki i fragmenty, które wciąż wyglądają przyzwoicie, poskładaj z powrotem. Dzięki Bogu, mnóstwo jeszcze stoi. Potrzebowałem wiele czasu, żeby to sobie poukładać. „Człowiek z nosem do interesów i odrobiną wyobraźni”, powiedziałaś. „To cały świat”, powiedziałaś. Powinienem był to dostrzec wiele lat temu. To wszystko kryło się za ogrodzeniem, a ja byłem zbyt ślepy, by dostrzec, co można z tym zrobić. Światowa Federacja na moim własnym podwórku, a ja chciałem się jej pozbyć. Na Boga, potrzeba nam więcej szaleńców i nocnych stróżów.

– Wie pan co? – odpowiada nocny stróż. – Starzeję się już i robię trochę zdziwaczały. Nie nabiera pan chyba starego dziwaka, prawda?

– Nie obiecuję niczego, czego nie mógłbym dotrzymać – mówi producent. – Przrzekam tylko, że spróbuję. Istnieje spora szansa, że nam się uda. To byłby piękny film, bez dwóch zdań. Moglibyśmy nakręcić tu całość, za płotem, sfotografować to ze

wszystkich stron, no i mamy też historię, sam mi ją podałeś. Jest twoja, nietrudno będzie posadzić do niej kilku autorów, dobrych autorów. Może krótki metraż, dwadzieścia minut, ale pokazalibyśmy wszystkie miasta i kraje, wsparte na sobie, podtrzymujące się nawzajem. Podoba mi się ten pomysł, bardzo mi się podoba, wierz mi. Taki film moglibyśmy wyświetlać na całym świecie i wszystkim by się spodobał. Musieliby go zauważyć, bo byłby znaczący.

– Miło mi słuchać tego, co pan mówi.

– Mam nadzieję, że nadal będę to mówił – odpowiada producent. – Mnie nie można ufać, sam sobie nie ufam. Do diabła, jednego dnia się nakręcam, drugiego mi mija. Może będziesz musiał przywalić mi w głowę tym młotkiem, żeby mnie pogonić.

– Z przyjemnością – mruczy Smith.

– A gdybyśmy nakręcili ten film – dodaje młodszy mężczyzna – chyba mógłbyś nam pomóc. Znasz te dekoracje, zapewne lepiej niż ktokolwiek. Chętnie wysłuchamy wszelkich sugestii, a potem, gdy już to zrobimy, nie będziesz się chyba sprzeciwiał, że wyburzymy resztę tego świata?

– Udzielę oficjalnej zgody – odpowiada stróż.

– Cóż, na kilka dni odwołam sforę i zobaczymy, co się da zrobić. Jutro przyślę ekipę z kamerą, żeby popracowała nad możliwymi ujęciami. Przyślę też kilku scenarzystów, może pogadacie. Do diabła, coś wymyślimy. – Douglas odwraca się w stronę bramy. – A tymczasem używaj młotka do woli. Do zobaczenia. Mój Boże, zamarzam.

Pośpiesznie maszerują ku bramie, po drodze starszy mężczyzna znajduje pudełko z jedzeniem, które zostawił gdzieś kilka godzin wcześniej. Otwiera je, wyciąga termos i potrząsa.

– Może łyka, nim pan odjedzie?

– Co tam masz? Amontillado, które tak zachwalałeś?

– Rocznik tysiąc osiemset siedemdziesiąt sześć.

– No to się poczęstujmy.

Otwiera termos i nalewa do kubka parujący płyn.

– Proszę – mówi stary człowiek.

– Dziękuję, twoje zdrowie. – Producent pije. – Wyborne, diablo

wyborne.

– Może smakuje jak kawa, ale powiadam panu, to najlepsze amontillado, jakie kiedykolwiek otwarto.

– Bez dwóch zdań.

I stoją tak obaj między miastami świata, w promieniach księżyca popijając gorący płyn. Nagle staremu coś się przypomina.

– Jest taka stara piosenka, świetnie tu pasuje. To chyba pijacka piosenka, coś, co śpiewamy my wszyscy, żyjący wewnątrz ogrodzenia, gdy najdzie nas nastrój. Kiedy słucham jak trzeba, a wiatr wygrywa ją na drutach telefonicznych. Brzmi tak:

*Wszyscy wracamy tą drogą do domu,  
Z tym samym gronem, w tę samą stronę,  
Wszyscy wracamy tędy do domu,  
Więc kto by chciał się rozstawać w podróży,  
Lepiej trzymać się razem, jak bluszcz na starym murze...*

Kończą swoją kawę pośrodku Port-au-Prince.

– Hej! – rzuca nagle producent. – Uważaj no z tym papierosem! Chcesz spalić cały cholerny świat?

Obaj patrzą na papierosa i uśmiechają się.

– Będę uważał – przyrzeka Smith.

– Do zobaczenia – mówi producent. – Jestem okropnie spóźniony na przyjęcie.

– Do zobaczenia, panie Douglas.

Skobel na bramie unosi się i opada ze szczękiem, kroki cichną w dali, limuzyna włącza silnik i odjeżdża w blasku księżyca, pozostawiając za sobą miasta świata i starego człowieka, stojącego pośrodku tych miast, unoszącego rękę w pożegnalnym geście.

– Do zobaczenia – powtarza nocny stróż.

A potem jest już tylko wiatr.

## ŚMIECIARZ

Oto, jak wyglądała jego praca: wstawał o piątej chłodnym, ciemnym rankiem, mył twarz w ciepłej wodzie, jeśli grzejnik zadziałał, lub w zimnej, jeśli akurat był popsuty. Golił się ostrożnie, rozmawiając z żoną krzątającą się w kuchni, która szykowała mu jajka na szynce, naleśniki czy inne śniadanie. O szóstej rano jechał już samotnie do pracy i parkował samochód na wielkim dziedzińcu, gdzie wszyscy inni pracownicy też zajeżdżali akurat o wschodzie słońca. Niebo o tej porze dnia miało barwę oranżu, błękitu i fioletu, czasem też mocnej czerwieni albo żółci czy też jasnego koloru wody na białych skałach. Zdarzały się ranki, gdy widział w powietrzu własny oddech, i inne, gdy go nie dostrzegał. Ale zawsze, gdy słońce wciąż wschodziło, uderzał pięścią w bok zielonej ciężarówki, a jego kierowca z uśmiechem mówił „cześć” i wdrapywał się z drugiej strony wozu, a potem odjeżdżali do wielkiego miasta, krążąc ulicami, póki nie dotarli do miejsca, gdzie zaczynali pracę. Czasem po drodze przystawali na czarną kawę i jechali dalej, czując w środku ciepło. A potem zaczynali pracę, co oznaczało, że wyskakiwał przed każdym domem, zbierał kubły ze śmieciami, przynosił je, zdejmował pokrywy, uderzał nimi o krawędź kubła, co sprawiało, że skórki pomarańczy, łupiny melonów i kawowe fusy wypadały z łoskotem i zaczynał napełniać pustą śmieciarkę. W kubłach nigdy nie brakowało kości od steków i rybich łbów, kawałków szczypioru i zwiędłych łodyg selera. Nowe śmieci nie były jeszcze takie najgorsze, ale te bardzo stare... Sam nie wiedział, czy lubi tę pracę, czy nie, ale była to prawdziwa praca, a on radził w niej sobie dobrze. Czasem dużo o niej gadał, a czasami w ogóle wolał nie myśleć. Bywały dni, gdy szło im cudownie, bo wstawali wcześniej, powietrze było rześkie i świeże. Potem jednak harowali za długo, słońce zaczynało przygrzewać i śmieci parowały. Zwykle jednak wystarczyło, by miał zajęcie,



zachował spokój i mógł oglądać mijane domy i przystrzyżone trawniki, patrzeć, jak żyją wszyscy w mieście. A raz czy dwa w miesiącu zaskakiwało go odkrycie, że kocha tę pracę i że to najlepsza robota na świecie.

I tak to trwało przez wiele lat. A potem nagle praca się zmieniła. Zmieniła w ciągu jednego dnia. Później często się zastanawiał, jak to możliwe, że praca może się tak bardzo odmienić w zaledwie kilka krótkich godzin.

\* \* \*

Wszedł do mieszkania i nie zauważył żony, nie usłyszał jej głosu, choć tam była. Podeszedł do fotela, nie zbliżając się do niej, dotknął go i usiadł bez słowa. I siedział tak bardzo długo.

– Co się stało?

W końcu dotarł do niego jej głos; musiała to powtórzyć trzy czy cztery razy.

– Stało? – Spojrzał na kobietę i owszem, to była jego żona, ktoś, kogo znał, i ich mieszkanie o wysokim suficie i wytartej wykładzinie.

– Coś się dziś wydarzyło w pracy.

Czekała.

– Coś się wydarzyło w mojej śmieciarce. – Język przesunął się po suchych wargach, powieki opadły, pozbawiając go wzroku i pozostawiając tylko czerń, bez cienia światła. Czuł się, jakby wstał samotnie z łóżka w środku ciemnej nocy. – Chyba rzucę pracę. Spróbuj zrozumieć.

– Zrozumieć?! – wykrzyknęła.

– Nic na to nie poradzę. To najdziwniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek spotkała mnie w życiu. – Otworzył oczy i siedział tam, ręce miał zimne, pocierał kciuki i palce wskazujące. – To, co się stało, było bardzo dziwne.

– Nie siedź tak!

Wyjął z kieszeni skórzanej kurtki fragment gazety.

– To dzisiejsza – wyjaśnił. – Dziesiątego grudnia 1951, „Los Angeles Times”. Biuletyn Obrony Cywilnej. Informują, że kupują radia do naszych śmieciarek.

– I co jest złego w odrobinie muzyki?

– Nie muzyki. Ty nie rozumiesz. Nie chodzi o muzykę.

Rozprostował szorstką dłoń i jednym czystym paznokciem przesunął powoli po papierze, starając się to zrobić tak, by widzieć i by ona też widziała.

– W tym artykule burmistrz mówi, że we wszystkich śmieciarkach w mieście montują aparaturę nadawczo-odbiorczą.

– Zmrużył oczy, przyglądając się swojej ręce. – Po tym, jak na miasto spadną bomby atomowe, te radia przemówią i wtedy nasze śmieciarki zaczną zbierać trupy.

– To się wydaje całkiem praktyczne, kiedy...

– Ciężarówka – powtórzył – wyjadą pozbierać trupy.

– Nie można przecież zostawić ich ot tak, na ulicy. Trzeba je zebrać i...

Żona powoli zamknęła usta, mrugnęła jeden jedyny raz i bardzo wolno. Przyglądał się temu powolnemu mrugnięciu. Potem odwróciła się drętwą, jakby ktoś ją przesunął, podeszła do fotela, przystanęła, pomyślała chwilę i usiadła sztywno wyprostowana. Milczała.

Słuchał tykania swojego zegarka, ale poświęcił temu tylko część uwagi.

W końcu roześmiała się.

– Oni żartowali.

Pokręcił głową; czuł, jak przesuwają się z lewej na prawo, z prawej na lewo, tak wolno, jak wszystko tego popołudnia.

– Nie. Dziś zamontowali odbiornik w mojej śmieciarce. Powiedzieli, że kiedy odezwie się alarm, jeśli będę w pracy, mam wywalić śmieci gdziekolwiek. „Kiedy cię wywołamy, wyjedziesz na miasto i zaczniesz zbierać zwłoki”.

Coś w kuchni gotowało się głośno, żona nie reagowała przez pięć sekund, potem jedną ręką przytrzymała się poręczy fotela, wstała, znalazła drzwi i wyszła. Bulgot ucichł nagle. Stała w drzwiach, wróciła na miejsce, gdzie wciąż siedział, nie poruszając głową.

– Mają dokładne plany. Oddziały, sierżantów, kapitanów, kaprali, wszystko – ciągnął. – Wiemy nawet, dokąd zwozić trupy.

– Zatem rozmyślałeś o tym cały dzień – odgąłła.

– Cały dzień od rana myślałem sobie: może teraz nie chcę już być śmieciarzem. Kiedyś z Tomem traktowaliśmy to jak coś w rodzaju gry. Trzeba tak robić, śmieci to paskudna sprawa, ale da się z nimi pracować, jeśli udaje się, że to gra. Tak właśnie robiliśmy z Tomem. Oglądaliśmy cudze śmieci, widzieliśmy, co wyrzucają, kości od steków w bogatych domach, sałatę i skórki pomarańczy w biednych. Jasne, to niemądre, ale trzeba jakoś nadać sens temu, co robimy; praca musi być pożyteczna, bo inaczej po co w ogóle to robić? No i w śmieciarce człowiek jest własnym szefem: wyjeżdża wcześniej rano, pracuje na dworze, ogląda wschód słońca, widzi, jak wstaje miasto. Nie jest tak źle. Ale teraz, dzisiaj, nagle to już nie jest praca dla mnie.

Żona zaczęła mówić szybko. Wymieniła mnóstwo rzeczy, mówiła o wielu innych, nim jednak zaszła zbyt daleko, przerwał jej łagodnie.

– Wiem, wiem, dzieci i szkoła, nasz samochód, wiem. Rachunki, pieniądze, kredyt. Ale pamiętasz farmę, którą zostawił nam tato? Może przeniesiemy się tam, z daleka od miast? Trochę się znam na uprawie roli. Moglibyśmy zabrać zapasy, zaszyć się tam, mieć dość, by przeżyć kilka miesięcy, gdyby coś się wydarzyło.

Milczała.

– Jasne, wszyscy nasi przyjaciele mieszkają tu, w mieście – ciągnął rozsądnie. – Pamiętajmy też o filmach, teatrze, kolegach dzieciaków i...

Odetchnęła głęboko.

– Nie moglibyśmy tego przemyśleć jeszcze przez kilka dni?

– Nie wiem. Boję się tego. Boję się, że jeśli zacznę zbyt długo myśleć o tym, o mojej śmieciarce i nowej pracy, to do tego przywyknę, a Chryste, człowiek, istota ludzka, nigdy nie powinien pozwolić sobie przywyknąć do czegoś takiego.

Powoli pokręciła głową, wodząc wzrokiem po oknach, szarych ścianach, wiszących na nich ciemnych obrazkach. Zacisnęła dłonie, zaczęła otwierać usta.

– Przemyślę to dziś wieczór – oznajmił. – Posiedzę do późna, rano będę wiedział, co zrobić.

– Bądź ostrożny przy dzieciach. Nie powinny o tym usłyszeć.

– Będę ostrożny.

– W takim razie nie rozmawiajmy więcej na ten temat. Dokończę obiad. – Zerwała się z fotela, uniosła dłonie do twarzy, potem spojrzała na nie i na promienie słońca wpadające przez okna. – Dzieci zaraz wrócą.

– Nie jestem głodny.

– Musisz przecież jeść. Nie możesz tracić sił.

Odeszła szybko, zostawiając go samego pośrodku pokoju, gdzie nawet najłżejszy wietrzyk nie poruszał firankami. A nad głową wisiał mu tylko szary sufit z samotną, zgaszoną żarówką, niczym starym księżycem na niebie. Milczał. Oburącz pomasaował twarz, potem wstał i stanął samotnie w drzwiach jadalni. Ruszył naprzód, poczuł, że siada, i pozostał tam na krześle. Zobaczył własne dłonie leżące na białym obrusie, otwarte i puste.

– Całe popołudnie – oznajmił – rozmyślałem.

Żona krążyła po kuchni, brzęcząc sztućcami, uderzając rondlami o zalegającą wszędzie ciszę.

– Zastanawiałem się – dodał – czy trupy ładuje się do ciężarówek, układając w poprzek czy wzdłuż? Z głowami czy stopami po prawej? Mężczyzn i kobiety razem czy oddzielnie? Dzieci w jednej śmieciarce czy też pomieszane z mężczyznami i kobietami? A psy w specjalnych wozach czy zostawia się je na ulicach? Zastanawiałem się, ile trupów pomieściłaby jedna śmieciarka i czy układa się je w sterty, jednego na drugim, aż w końcu zrozumiałem, że to chyba konieczne. Nie wiem. Nie potrafię tego poukładać. Próbuje, ale nie da się zgadnąć, nie da się zgadnąć, ile zmieściłoby się w jednej śmieciarce.

Siedział tak, myśląc o późnych godzinach swej pracy, gdy śmieciarka jest już pełna, a brezent naciągnięty na sterty śmieci, które tworzą pod nim nierówny kopiec. I jak to jest, gdy nagle zdejmuje się brezent i zagląda do środka, i przez parę sekund widzi się białe stwory przypominające kluski bądź makaron, tyle że te białe stwory żyją i zwijają się, całymi milionami. A kiedy poczują na sobie gorące promienie słońca, rozedrgane zaczynają zakopywać się i znikają pod stertą sałaty, starej mielonej

wołowiny, fusów od kawy i łbów białych ryb. Po dziesięciu sekundach słońca białe stwory przypominające kluski bądź makaron znikają, kupa śmieci czeka w milczeniu, nieruchomo, a człowiek znów osłania je brezentem i patrzy, jak układa się nierówno na ukrytych zbiorach, i wie, że pod nimi znowu zapada ciemność i stwory zaczynają się poruszać, jak zawsze, kiedy znika słońce.

Nadal tam siedział w pustym pokoju, gdy frontowe drzwi mieszkania otworzyły się gwałtownie. Jego syn i córka wpadli do środka ze śmiechem, zobaczyli go i zamarli.

Ich matka podbiegła do drzwi kuchennych, przytrzymała się ich krawędzi, przyglądając się rodzinie. Zobaczyli jej twarz i usłyszeli głos:

– Siadajcie dzieci, siadajcie! – Uniosła jedną rękę i machnęła nią ku nim. – Zdążyliście akurat na czas.

## WIELKI OGIEN

Rankiem, kiedy w domu pojawił się wielki ogień, nikt nie mógł go ugasić. To zapłonęła siostrzenica matki, Marianne, mieszkająca z nami na czas pobytu rodziców w Europie. Nikt zatem nie mógł stłuc małego okienka w czerwonej skrzynce w kącie i nacisnąć guzika, który sprowadziłby tryskające wodą węże i strażaków w kaskach. Marianne, płonąca niczym sterta pogniecionego celofanu, zeszła na dół, z głośnym krzykiem bądź jękiem usadowiła się przy stole śniadaniowym i odmówiła zjedzenia porcji większej, niż zmieściłaby się w dziurze w zębie.

Matka i ojciec odsunęli się, bo panujący w kuchni upał stawał się nie do zniesienia.

- Dzień dobry, Marianne.

- Co? - Marianne spojrzała ponad głowami ludzi, półprzytomna.  
- A, dzień dobry.

- Dobrze spałaś tej nocy, Marianne?

Wiedzieli jednak, że nie spała. Matka dała Marianne szklanek wody i wszyscy zastanawiali się, czy wyparuje w jej dłoni. Babcia ze swego krzesła przyjrzała się płonącym gorączką oczom dziewczyny.

- Jesteś chora, ale to nie zarazki - oznajmiła. - Nie da się ich znaleźć pod mikroskopem.

- Co? - spytała Marianne.

- Miłość to matka chrzestna głupoty - wtrącił od niechcienia ojciec.

- Nic jej nie będzie - mruknęła matka. - Dziewczęta tylko wydają się głupie, bo kiedy są zakochane, niczego nie słyszą.

- To wpływa na kanały półkoliste - wyjaśnił ojciec. - Przez to wiele dziewcząt wpada wprost w ramiona mężczyzny. Ja to wiem; kiedyś upadająca kobieta omal nie zmiażdżyła mnie na śmierć i powiadam wam...

- Ciii. - Matka zmarszczyła brwi, przyglądając się Marianne.

– Nie słyszy, co mówimy. W tej chwili jest praktycznie w katalepsji.

– Przyjedzie po nią dziś rano – wyszeptała matka do ojca, jakby Marianne nie było nawet w tym samym pokoju. – Wybierają się na przejażdżkę jego gruchotem.

Ojciec otarł usta serwetką.

– Czy nasza córka też taka była, mamusko? – chciał wiedzieć. – Od tak dawna z nami nie mieszka, że zapomniałem. Nie pamiętam, żeby zachowywała się równie niemądrze. Choć w takich okolicznościach wszystkie dziewczyny do reszty tracą rozsądek. To właśnie sprawia, że mężczyzna daje się nabrać. Och, cóż za urocza bezmyślna dziewczyna. Kocha mnie, chyba się z nią ożeni. Żeni się zatem, a potem budzi pewnego ranka i widzi, że rozmarzenie minęło, a rozum powrócił, zdążył się już rozpakować i rozwiesza bieliznę w całym domu. Mężczyzna zaczyna wszędzie wpadać na liny i przeszkody. Odkrywa, że trafił na małą bezludną wysepkę, utknął w niewielkim saloniku, samotnym w sercu wszechświata, wraz z plastrem miodu, który okazał się pułapką na niedźwiedzie, z motylem przeistoczonym w osę. Wówczas natychmiast znajduje sobie jakieś hobby: kolekcję znaczków, spotkania w klubie, albo...

– Gadasz tylko i gadasz! – wykrzyknęła matka. – Marianne, powiedz nam o tym młodzieńcu. Jak on się nazywa? Isak Van Pelt, prawda?

– Co? Och, tak, Isak, tak.

Marianne całą noc przewracała się w łóżku. Czasami sięgała po tomiki poezji, wynajdując wspaniałe fragmenty, czasem leżała na wznak, bądź na brzuchu, wyglądając na pogrążony w księżycowym śnie świat. Do pokoju sączył się zapach jaśminu, a nietypowy jak na wczesną wiosnę upał (termometr wskazywał trzystaście stopni) nie pozwalał jej spać. Gdyby ktoś zajrzał przez dziurkę od klucza, uznałby, że wygląda jak konająca ćma.

Tego ranka klasnęła w dłonie nad swą głową w lustrze i zeszła na śniadanie, w ostatniej chwili przypominając sobie, że powinna włożyć sukienkę.

Przez całe śniadanie babcia chichotała cicho w kącie.

– Musisz jeść, dziecko. Musisz – rzekła w końcu.

Marianne zatem przestała bawić się grzanką i zdołała przełknąć jej połówkę. W tym momencie z dworu dobiegło głośne trąbienie. Zjawił się Isak! W swoim gruchocie!

– Jejku! – zawołała Marianne i pobiegła szybko na górę.

Młody Isak Van Pelt został zaproszony do środka i przedstawiony wszystkim.

Kiedy Marianne w końcu odjechała, ojciec usiadł, ocierając spocone czoło.

– No nie wiem, to dla mnie za wiele.

– To ty proponowałeś, żeby zaczęła się spotykać z chłopakami.

– I bardzo mi przykro, że to zasugerowałem – rzekł. – Ale mieszka już u nas sześć miesięcy i zostało jej jeszcze sześć. Pomyślałem, że gdyby spotkała jakiegoś miłego młodzieńca...

– I gdyby wzięli ślub – wtrąciła ochryplym głosem babcia – Marianne mogłaby wyprowadzić się niemal natychmiast. O to ci chodziło?

– No cóż – zaczął ojciec.

– No cóż – odparła babcia.

– Ale teraz jest gorzej niż wcześniej – rzekł. – Fruwa po domu, śpiewając z zamkniętymi oczami, puszcza z płyt te piekielne piosenki miłosne i gada do siebie. Mężczyźnie w pewnym momencie kończy się wytrzymałość. A w dodatku cały czas się śmieje. Czy osiemnastolatki często lądują w wariatkowie?

– Sprawia wrażenie miłego młodzieńca – zauważyła matka.

– Tak, zawsze możemy się o to modlić. – Ojciec wyciągnął niewielki kieliszek. – Wypijmy za młode małżeństwa.

Kolejnego ranka Marianne, słysząc klakson gruchota, wypadła z domu niczym ognista kula. Jej towarzysz nie miał nawet czasu podejść do drzwi. Tylko babcia ze swego okna widziała, jak z rykiem silnika razem odjeżdżają.

– Omal mnie nie wywróciła. – Ojciec przygładził wąsa. – A to co? Roztrzepane jajka?

Po południu Marianne znów w domu przepłynęła salon, kierując się do adaptera. Syk igły wypełnił dom. Puściła „That Old Black Magic” dwadzieścia jeden razy, nucąc „la la la”



i z zamkniętymi oczami płąsała po pokoju.

– Boję się wejść do własnego salonu – poskarżył się ojciec. – Odszedłem na emeryturę, żeby palić cygara i cieszyć się życiem, a nie słuchać, jak wiotka krewniaczka nuci do siebie pod salonowym żyrandolem.

– Ciii – upomniała matka.

– To kryzys – oznajmił ojciec. – W moim życiu. Ostatecznie ona jest tylko gościem.

– Wiesz, jakie są dziewczyny przyjeżdżające w gości. Z dala od domu myślą, że znalazły się w Paryżu we Francji. W październiku wyjedzie. Nie jest tak okropnie.

– Zobaczmy. – Ojciec zaczął powoli odliczać. – Do tej pory, przez jakieś sto trzydzieści dni będę leżał zakopany na cmentarzu Green Lawn. – Wstał i cisnął gazetę tak, że utworzyła niewielki biały namiot na podłodze. – Do diaska, matko! Idę z nią porozmawiać! I to już!

Poszedł i zatrzymał się w drzwiach salonu.

– La – śpiewała do wtóru muzyki.

Ojciec odchrząknął i postąpił krok naprzód.

– Marianne... – zaczął.

– Stara czarna magia – śpiewała Marianne. – Tak?

Patrzyła, jak jej ręce wymachują w powietrzu. Przemknęła obok w tańcu, posyłając mu palące spojrzenie.

– Chcę z tobą porozmawiać. – Poprawił krawat.

– Da dum di dum di dum dum – zaśpiewała.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – spytał ostro.

– Jest taki miły – rzuciła.

– Najwyraźniej.

– Wiesz, że kłania się i otwiera drzwi jak odźwierny i gra na trąbce jak Henry James, a dziś rano kupił mi stokrotki?

– Nie wątpię.

– Ma niebieskie oczy. – Wbiła wzrok w sufit.

Ojciec nie zdołał znaleźć na nim niczego ciekawego do oglądania.

I gdy tak tańczyła, cały czas wpatrywała się w sufit, a on podszedł i stanął obok niej, unosząc wzrok. Nie widział jednak

żadnej plamy deszczu ani pęknięcia czy szczeliny.

Westchnął.

– Marianne.

– I jedliśmy homara w nadrzecznej kafejce.

– Homara. Wiem, ale nie chcemy, żebyś się załamala. Osłabła. Jeden dzień, jutro, musisz zostać w domu i pomóc ciotce składać obrusy.

– Tak, proszę pana. – Krążyła po pokoju jak we śnie, rozkładając skrzydła.

– Czy ty mnie słyszałaś? – naciskał.

– Tak – wyszeptała. – Tak. – Zamknęła oczy. – O tak, tak. – Spódnica wirowała wokół niej. – Wuju – dodała, odchylając głowę, która odwróciła się bezwładnie.

– Pomożesz ciotce z obrusami?! – krzyknął.

– Z obrusami – wymamrotała.

– No i proszę. – Usiadł w kuchni i sięgnął po gazetę. – Chyba powiedziałem jej do słuchu.

A następnego ranka usiedli w swych łózkach na dźwięk grzmiącego tłumika starego samochodu i Marianne, która runęła na dół, została dwie sekundy w jadalni na śniadaniu, zawahała się obok łazienki dość długo, by rozważyć, czy może wymiotuje, a potem zatrzasnęła drzwi frontowe. Gruchot z klekotem odjechał ulicą, siedząca w środku para śpiewała, fałszując. Ojciec przycisnął dłonie do skroni.

– Obrusy – mruknął.

– Co? – spytała matka.

– Do Bruce’a – dodał głośniej. – Idę do Bruce’a z poranną wizytą.

– Ale Bruce’a otwierają dopiero o dziesiątej.

– Zaczekam – zdecydował ojciec i zamknął oczy.

Tego wieczoru i przez następne siedem szalonych nocy huśtawka na werandzie odśpiewywała krótką skrzypiącą piosenkę, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Ojca, ukrytego w salonie, widać było niczym surową płaskorzeźbę za każdym razem, gdy zaciągał się cygarem za dziesięć centów. W ciepłym czerwonym blasku jaśniała niemal niezwykle tragiczna twarz. Huśtawka skrzypiała. Cekał na kolejne skrzypnięcia. Z dworu

dobiegały miękkie jak motyle dźwięki, urywane palpitacje śmiechu i słodkich słówek, szeptanych do ucha.

– Moja weranda – rzekł ojciec. – Moja huśtawka – szepnął do swego cygara, patrząc na nie. – Mój dom. – Wyteńczył słuch, czekając na kolejne skrzyknięcie. – Mój Boże.

Poszedł do szopy z narzędziami i pojawił się na ciemnej werandzie ze lśniąco oliwiarką w dłoni.

– Nie, nie wstawajcie. Nie przeszkadzajcie sobie. Już, już. – Naoliwił zawiasy huśtawki. Było ciemno, nie widział Marianne, czuł tylko jej zapach. Woń perfum o mało nie odrzuciła go w krzak róży. Nie widział też towarzysza dziewczyny. – Dobranoc.

Wszedł do środka i usiadł. Huśtawka już nie skrzypiała. Teraz słyszał tylko coś, co brzmiało jak bicie serca Marianne, ciche jak trzepot ćmy.

– Musi być bardzo miły – zauważyła matka. Stała w drzwiach do kuchni i wycierała talerz po obiedzie.

– Taką mam nadzieję – szepnął ojciec. – To dlatego co wieczór zostawiam ich na werandzie.

– Tyle dni z rzędu – mruknęła matka. – Dziewczyna nie spotyka się tyle razy z miłym młodzieńcem, o ile nie traktuje go poważnie.

– Może oświadczy się jeszcze dziś wieczorem! – Na tę myśl ojciec się rozpromienił.

– Z pewnością nie tak prędko. Jest bardzo młoda.

– Mimo wszystko – zastanawiał się na głos – to przecież możliwe. Na Boga świętego, musi tak się stać.

Babcia zachichotała w swym fotelu w kącie. Brzmiało to, jakby ktoś obracał stronicę starożytnej księgi.

– Co cię tak bawi? – spytał ojciec.

– Zaczekaj, a sam zobaczysz – odparła babcia. – Jutro.

Ojciec wpatrywał się w mrok, ale staruszka odmówiła dalszych wyjaśnień.

\* \* \*

– No, no, no – rzucił ojciec przy śniadaniu. Przyjrzał się swojej

jajeczniczy życzliwym rodzicielskim okiem. – Proszę, proszę. Zeszłej nocy na werandzie słyszeć było jeszcze więcej szeptów. Jak on się nazywa? Isak? Cóż, o ile znam się choć trochę na ludziach, myślę, że wczoraj oświadczył się Marianne; tak, jestem tego praktycznie pewien!

– Byłoby miło – mruknęła matka. – Wiosenny ślub. Ale są tacy młodzi.

– Posłuchaj – upierał się ojciec z pełnymi ustami. – Marianne należy do dziewcząt, które wychodzą za mąż szybko i młodo. Nie możemy jej przecież przeszkadzać, prawda?

– Choć raz myślę, że masz rację – przyznała matka. – Ślub byłby wspaniały. Weselne kwiaty, Marianne w tej ślicznej sukni, którą widziałam wczoraj u Haydeckera.

Wszyscy obejrzeni się na schody, czekając na przybycie Marianne.

– Przepraszam, że się wtrącam – powiedziała babcia, unosząc wzrok znad porannej grzanki – ale na waszym miejscu nie mówiłabym jeszcze o pozbyciu się Marianne.

– A czemu nie?

– Ponieważ...

– Ponieważ co?

– Nie chciałabym popsuć waszych planów – zachręściła ze śmiechem babcia. Machnęła drobną złośliwą głową. – Ale podczas gdy wy zastanawialiście się, jak wydać Marianne za mąż, ja ją obserwowałam. Od siedmiu dni patrzyłam, jak ten młodzian co dzień przyjeżdża swoim samochodem i naciska klakson. Musi być aktorem albo drobnym oszustem, czy kimś takim.

– Co? – spytał ojciec.

– A tak – odparła babcia. – Ponieważ pierwszego dnia był jasnym blondynem, następnego wysokim brunetem, w środę młodzieńcem z brązowym wąsem, w czwartek miał kręcone rude włosy, a w piątek był niższy i przyjechał rozklekotanym chevroletem zamiast fordem.

Matka i ojciec siedzieli chwilę w milczeniu, jakby uderzyła ich młotkiem tuż za lewym uchem.

W końcu ojciec poczerwieniał gwałtownie.

– Chcesz powiedzieć, że... Twierdzisz, że ci wszyscy mężczyźni...

– Ty zawsze się chowałeś – warknęła babcia – żeby niczego nie zepsuć. Gdybyś wyszedł na dwór, zobaczyłbyś to samo, co ja. Nie odzywałam się ani słowem. Wkrótce przygaśnie, uspokoi się. Po prostu nastał jej czas. Każda kobieta przez to przechodzi. To trudne, ale wszystkie przetrwały ten okres. Nowy mężczyzna każdego dnia czyni cuda z dziewczęcym ego.

– Ty, ty, ty, ty, ty! – Ojciec zadławił się na tym słowie. Oczy miał szalone, gardło rozdęte, zbyt wielkie dla kołnierzyka. Wyczerpany runął na krzesło.

Matka wciąż siedziała bez ruchu oszołomiona.

– Dzień dobry wszystkim!

Marianne zbiegła na dół i klapnęła na krzesło. Ojciec spojrzął na nią.

– Ty, ty, ty, ty... – rzucił oskarżycielsko w stronę babci.

Pobiegnę ulicą z krzykiem, pomyślał szaleńczo. Stłukę szybkę alarmu pożarowego, szarpnę dźwignię i ściągnę tu wozy strażackie i węże z wodą. A może nadejdzie późna śnieżycy i wystawię Marianne na dwór, by ostygła.

Ale tego nie zrobił. Według kalendarza ściennego w pokoju zrobiło się nieznośnie gorąco, toteż wszyscy przenieśli się na chłodną werandę, a tymczasem Marianne siedziała zapatrzona w swój sok pomarańczowy.

## ZŁOCISTE JABŁKA SŁOŃCA

– Na południe – powiedział kapitan.

– Ale – zaprotestowała załoga – tu, w Kosmosie, nie ma przecież żadnych kierunków.

– Kiedy podróżujecie w dół, ku słońcu – odparł kapitan – i wszystko wokół robi się żółte, ciepłe i leniwe, to znaczy, że zmierzacie w tylko jednym kierunku. – Zamknął oczy i pomyślał o rozpalonej, cieplej, odległej krainie. Powoli wciągnął powietrze przez usta. – Na południe. – Pokiwał głową sam do siebie. – Na południe.

Ich rakieta nosiła nazwę „Copa de Oro”, choć nazywano ją także „Prometeuszem” i „Ikarem”, a ich cel stanowiła rzeczywiście płonąca w zenicie gwiazda. Z radością i entuzjazmem załadowali na pokład dwa tysiące kwaśnych lemoniad i tysiąc butelek piwa z białymi kapslami, mających towarzyszyć im w podróży na rozległą Saharę. A teraz, gdy słońce paliło niemiłosiernie, wspominali fragmenty wierszy i cytaty.

– Złociste jabłka słońca?

– Yeats.

– Już cię nie srożą pożogi słońca?

– Szekspir, oczywiście<sup>7</sup>.

– „Złota czara”? Steinbeck. „Garniec złota”? Stephens. Tak, garniec ze złotem na końcu tęczy! Oto właściwe miano dla naszej trajektorii, na Boga. Tęcza!

– Temperatura?

– Tysiąc stopni Fahrenheita!

Kapitan spojrzał przez wielki przyciemniany bulaj i rzeczywiście ujrzał słońce. Od zawsze jego jedynym marzeniem było podlecieć do niego, dotknąć go i wykraść jego część na zawsze. Na tym statku połączono to, co chłodne i delikatne oraz chłodne i praktyczne. Korytarzami z lodu i mlecznego szronu

---

<sup>7</sup> Przeł. Leon Ulrich.

wędrowała amoniakowa zima i pędziła przed sobą tabuny śnieżnych płatków. Jakakolwiek iskra z olbrzymiego paleniska płonącego na zewnątrz, poza zrogowaciałym kadłubem tego statku, jakikolwiek ognisty dech, który mógłby przeniknąć do środka, napotkałby zimę, śpiącą tu niczym w najmroźniejszych godzinach lutego.

Audiotermometr mamrotał w arktycznej ciszy:

– Temperatura: dwa tysiące stopni.

Spadamy, pomyślał kapitan, niczym płatek śniegu w ramiona czerwca, ciepłego lipca i dusznych, szalonych, upalnych dni sierpnia.

– Trzy tysiące stopni Fahrenheita!

Chłodziwo przepływało z prędkością dziesięciu tysięcy mil na godzinę w ciasnych, węzowych zwojach rur.

– Cztery tysiące stopni Fahrenheita!

Południe. Lato. Lipiec.

– Pięć tysięcy Fahrenheita!

W końcu kapitan przemówił, a w jego głosie słychać było cały spokój tej podróży.

– Teraz dotknęliśmy słońca.

I gdy o tym myśleli, ich oczy lśniły niczym roztopione złoto.

– Siedem tysięcy stopni!

Dziwne, jak mechaniczny termometr mógł wydawać się podniecony, choć dysponował tylko pozbawionym emocji, stalowym głosem.

– Która to godzina? – spytał ktoś.

I wszyscy musieli się uśmiechnąć.

Teraz bowiem istniało tylko słońce, i słońce, i słońce. Wypełniało każdy horyzont, wszystkie kierunki, wypalało minuty, sekundy, klepsydry, zegary, wypalało cały czas i wieczność. Wypalało powieki i serum mrocznego świata pod nimi, siatkówkę, ukryty mózg, a także sen i słodkie wspomnienia o śnie i chłodnym zmierzchu.

– Uwaga!

– Kapitanie!

Bretton, pierwszy oficer, upadł na zimowy pokład. Jego

kombinezon ochronny świsnął głośno w miejscu, gdzie przez pęknięcie wypłynął tlen wraz z życiem, rozkwitając płatkami zamrożonej pary.

– Szybko!

Wewnątrz plastikowej maski osłaniającej twarz Brettona wyrastały już mleczne kryształy, tworząc ślepe wzory. Pochylili się, żeby sprawdzić.

– Strukturalne uszkodzenie kombinezonu, kapitanie. Nie żyje. Zamarzł.

Wpatrywali się w drugi termometr, pokazujący, jak żyje zima na ich zaśnieżonym statku. Tysiąc stopni poniżej zera. Kapitan zerknął z góry na zamarznięty posąg i lśniące kryształy, które na jego oczach rozrastały się i zamieniały w bryłę lodu. Cóż za mroząca krew w żyłach ironia, pomyślał: człowiek, który boi się ognia, ginie zabity przez mróz.

Odwrócił głowę.

– Nie ma czasu, brak czasu. Niech tu leży. – Poczuł, jak jego język się porusza. – Temperatura?

Wskazówki przeskoczyły o cztery tysiące stopni.

– Proszę spojrzeć. Zechce pan spojrzeć? Tutaj.

Ich sople topniały.

Kapitan szarpnięciem uniósł głowę i wbił wzrok w sufit.

Nagle odkrył, że jego umysł skupił się idiotycznie na scenie wyrwanej z czasów dzieciństwa, zupełnie jakby projektor filmowy zaciął się na jednej wybranej klatce pamięci w jego głowie.

W wiosenne ranki jako chłopiec wyglądał przez okno sypialni, wciągając w płuca pachnące śniegiem powietrze, i patrzył, jak słońce odbija się od ostatniego sopla zimy. Po przejrzystej klindze ściekały krople białego wina, krew chłodnego, lecz coraz cieplejszego kwietnia. Minutę po minucie mordercza broń grudnia stawała się coraz mniej niebezpieczna. A potem w końcu sople odpadał z czystym brzękiem, lądując na zwirowej ścieżce w dole.

– Pompa pomocnicza się zepsuła, kapitanie. Chłodzenie. Tracimy nasz lód!



Z góry spadł na nich nagły ciepły deszcz. Kapitan rozglądał się na prawo i lewo.

– Widzicie uszkodzenie? Chryste, nie stójcie tak, nie mamy czasu!

Mężczyźni rozbiegli się; pochylony w ciepłym deszczu kapitan, przeklinając, poczuł, jak jego dłonie przesuwają się po zimnej maszynie, jak zagłębiają się w nią i szukają. I gdy tak pracował, ujrzał przyszłość oddaloną od nich o zaledwie jedno tchnienie. Jedna cienka skórka dzieliła go od raketowego ula, odkryci w ten sposób mężczyźni wyroili się i biegali, ich usta krzyczały bezdźwięcznie. Kosmos był czarną, omszałą studnią, w której życie topi swe ryki i koszmary. Możesz krzyczeć ile sił, ale kosmos zdławi ów krzyk, zanim jeszcze zdąży dojść do połowy gardła. Ludzie biegali dokoła, mrówki w płonącym pudełku od zapalek, statek ociekał lawą, tryskał parą, potem nic.

– Kapitanie?

Koszmar minął.

– Tutaj. – Pracował w ciepłym, łagodnym deszczu padającym z górnych pokładów, majstrując przy pompie pomocniczej. – Do diabła!

Szarpnął przewód doprowadzający. Kiedy nadejdzie, to będzie najszybsza śmierć w historii umierania. W jednej chwili krzyk, w drugiej ciepły błysk i miliardy miliardów ton kosmicznego ognia szepną niesłyszalne w przestrzeni. A oni spłoną jak truskawki ciśnięte do paleniska, podczas gdy ich myśli pozostaną w zwęglonym powietrzu jeszcze długi oddech po tym, jak ciała zamienią się w zwęglone mięso i fluorescencyjny gaz.

– Do diabła! – Dźgnął pompę śrubokrętem. – Jezu!

Zadrzał. Absolutna zagłada. Zacisnął mocno powieki i zęby. Boże, pomyślał, przywykliśmy do bardziej leniwego umierania, odmierzanego minutami i godzinami. Teraz nawet dwadzieścia sekund byłoby powolną śmiercią w porównaniu z tym wygłodniałym, bezmyślnym czymś czekającym, by nas pożreć!

– Kapitanie, zawracamy czy zostajemy?

– Przygotujcie Puchar. Przejmij to i dokończ, już!

Odwrócił się i wsunął dłoń w mechanizm roboczy olbrzymiego

pucharu, wcisnął palce w głąb robotycznej Rękawicy. Jedno drgnięcie ręki tutaj poruszało olbrzymią dłoń o gigantycznych metalowych palcach, wysuwając ją z wątpi statku. Teraz, teraz wielka metalowa ręka wynurzyła się, dzierżąc olbrzymi Copa de Oro, i zdyszana sięgnęła ku żelaznemu palenisku, bezcielesnemu ciału i bezkrwawej krwi słońca.

Milion lat temu, pomyślał kapitan, szybko, szybko poruszając dłoń i Pucharem. Milion lat temu nagi mężczyzna na samotnym północnym szlaku ujrzał, jak piorun uderza w drzewo. I podczas gdy jego klan umknął, on gołymi rękami oderwał ognistą gałąź, przypalając skórę na palcach, by ją ponieść w tryumfalnym biegu, osłaniając przed deszczem własnym ciałem, do jaskini, gdzie zaśmiał się wrzaskliwie i cisnął ją całą na stertę liści i zesłał na swój lud lato. A członkowie plemienia, drżąc ze strachu, podkradli się w końcu blisko ognia i wyciągnęli nerwowo umykające dłonie, czując w swej jaskini nową porę roku, niewielki żółty krąg zmieniającej się pogody, i wreszcie oni także uśmiechnęli się nerwowo. I tak otrzymali dar ognia.

- Kapitanie!

Trzeba było zaledwie paru sekund, by olbrzymia dłoń wepchnęła pusty puchar w ogień. I oto dziś znów jesteśmy na innym szlaku, pomyślał, sięgając po puchar cennego gazu i próżni, garść różnych ogni, z którymi mieli powrócić pędem przez zimną pustkę, oświetlając sobie drogę na Ziemię, niosąc dar ognia, który może płonąć wiecznie. Dlaczego?

Nim jeszcze spytał, znał odpowiedź.

Bo atomy, nad którymi pracujemy własnymi rękami na Ziemi, są żalosne; bomba atomowa jest żalosna i mała, tak samo jak nasza wiedza i tak naprawdę tylko Słońce wie to, co chcemy wiedzieć, tylko Słońce zna tę tajemnicę. A poza tym to jest fajne, to dla nas szansa, to coś wielkiego przybyć tutaj, zabawić się w berka, atak i unik. Tak naprawdę nie ma powodu, poza dumą i próżnością małych owadów-ludzi, liczących na to, że zdołają użądlić lwa i umknąć z jego paszczy. Mój Boże, powiemy, że to zrobiliśmy! A oto nasz puchar energii, ognia, wibracji, nazwijcie go, jak chcecie, który być może zasili nasze miasta, puści w ruch

statki, oświetli biblioteki, opali dzieci, upiecze chleb powszedni i podgotuje wiedzę o naszym wszechświecie przez następne tysiąc lat, dopóki nie będzie gotowa. O, dobrzy ludzie nauki i religii, podejdźcie i pijcie z tego kielicha! Rozgrzejcie się pośród nocy ignorancji, długich śniegów przesądu, mroźnych wiatrów niewiary i uwolnijcie przed znanym każdemu człowiekowi ogromnym strachem przed ciemnością. Zatem wyciągamy naszą dłoń z żebraczym kubkiem...

– Ach.

Puchar zanurzył się w Słońcu. Zgarnął odrobinę ciała Boga, krwi wszechświata, ognistej myśli, oślepiającej filozofii, która wykoncypowała i zrodziła galaktykę, która zatrzymywała i przesuwiała planety w ich polach i przywoływała bądź odsyłała na spoczynek życia i majątności.

– A teraz powoli – wyszeptał kapitan.

– Co się stanie, kiedy wciągniemy go do środka? Dodatkowe źródło ciepła w tym momencie, kapitanie?

– Bóg jeden wie.

– Pompa pomocnicza naprawiona, kapitanie.

– Uruchomić!

Pompa ożyła.

– Zamknij pokrywę Pucharu i do środka. Tylko powoli, powoli.

Piękna dłoń na zewnątrz statku zadrżała, odbijając w ogromie jego własny gest i w naoliwionej ciszy zagłębiła się w korpus statku. Puchar z zamkniętą pokrywą, ociekający żółtymi kwiatami i białymi gwiazdami, zniknął w głębi. Audiotermometr krzyczał, system mrozący nagle ożył; nasyczone amoniakiem płyny zatętniły o ściany niczym krew w głowie wrzeszczącego idioty.

Kapitan zamknął zewnętrzne drzwi śluzy.

– Teraz.

Czekali. Puls statku przyśpieszał. Serce statku trzepotało, biło rozpędzone, kryjąc w sobie puchar złota. Zimna krew pędziła dookoła, dookoła, dookoła.

Kapitan powoli odetchnął.

Lód przestał kapać z sufitu. Znów zamarzył.

– Wynośmy się stąd.

Statek zawrócił i pomknął naprzód.

– Słuchajcie!

Serce statku zwalniało, wskaźniki opadały poprzez kolejne tysiące; igły wirowały niewidoczne, głos termometru wyśpiewywał zmianę pór roku. Teraz wszyscy myśleli razem, oddalamy się od ognia i płomienia, od gorąca, topnienia, żółci i bieli, teraz zmierzamy w chłód i mrok. Za dwadzieścia godzin może nawet rozmontują część systemów chłodzących, pozwolą zimie odejść. Wkrótce znajdą się w nocy tak zimnej, że może nawet trzeba będzie użyć nowego paleniska statku, czerpiąc ciepło z osłoniętego ognia, który nosili teraz niczym nienarodzone dziecko.

Wracali do domu.

Wracali do domu i kapitan zajmujący się ciałem Brettona, leżącym w zaspie białego zimowego śniegu, miał nawet chwilę, by przypomnieć sobie wiersz, który napisał wiele lat wcześniej:

*Czasami widzę słońce jak drzewo z płomienia  
o złocistych owocach w pustce bez powietrza.  
W jabłkach ryją robaki ludzi i ciążenia,  
i cześć oddają z każdym oddechem na przestrzał,  
gdy człowiek widzi słońce jak drzewo z płomienia...*

Kapitan siedział długi czas obok ciała targany sprzecznymi emocjami. Czuję smutek, pomyślał, i czuję się dobrze, czuję się jak chłopiec wracający do domu ze szkoły z naręczem mleczy.

– No dobrze – rzekł w końcu, wciąż siedząc z zamkniętymi oczami, i westchnął. – Dokąd teraz lecimy, dokąd teraz? – Wyczuwał, jak jego ludzie siadają bądź stoją dookoła, trzymająca ich w szponach groza obumarła, ich oddechy uspokoiły się. – Kiedy już polecieście daleko w dół, ku Słońcu, dotknęliście go, zostaliście chwilę, a potem zawróciliście skokiem i umknęliście, dokąd wyruszyacie teraz? Gdy oddalicie się od ciepła, południowego światła i lenistwa, dokąd podążycie?

Jego ludzie czekali, aż to powie, czekali, aż zbierze cały chłód,

biel, ożywczy, rzeński klimat słowa w swym umyśle, i widzieli, jak kształtuje je niczym porcję lodów w ustach, obracając delikatnie.

– Stąd jest tylko jeden kierunek w przestrzeni – oznajmił w końcu.

Czekali. Czekali, a statek mknął chyżo w mroźną ciemność, z dala od światła.

– Północ – wymamrotał kapitan. – Na północ.

A oni uśmiechnęli się wszyscy, jakby nagle w upalne popołudnie zerwał się wiatr.